

Tańczący Trumniarz

Deaver Jeffrey



calibre 0.9.27

JEFFERY DEAVER

TANCZACY TRUMNIARZ

Coffin dancer

(Przełożył: Lukasz Praski)

Wydanie oryginalne: 1998

Wydanie polskie: 2003



TMN

OD AUTORA

Jak wiadomo wszystkim pisarzom, książki tylko w części są ich własnym dziełem. Na kształt powieści wpływ mają nasi najbliżsi i przyjaciele, czasem ingerując w jej kompozycje bezpośrednio, a czasem w bardziej subtelny, choć nie mniej ważny sposób. Chciałbym podziękować kilku osobom, które pomogły mi w pracy nad tą książką: dzięki Madelyn Warcholik - mojemu niewyczerpanemu źródłu inspiracji - postaci zachowały autentyczność, a wątki powieści nie zeszły na manowce. Dziękuję moim wydawcom, Davidowi Rosenthalowi, Marysue Rucci i Carolyn Mays, za ich cierpliwość i wspaniałą pracę; agentce Deborah Schneider za to, że jest najlepsza w swojej profesji, oraz mojej siostrze pisarce, Julie Reece Deaver, która była przy mnie przez cały czas.

SMIERC MA WIELE TWARZY

Zadnego jastrzebia nie można oswoić. W kontaktach z ptakiem nie ma miejsca na sentymenty. To w pewnym sensie sztuka psychiatrii. Jeden umysł przeciwstawia się drugiemu z zimną i nieugiętą zaciętością.

„Jastrzab golebiarz”

T.H. White

Rozdział pierwszy

Kiedy Percey Carney zegnala sie ze swoim mezem, nie przypuszczala, ze wiecej go nie zobaczy.

Edward Carney wsiadl do samochodu zaparkowanego przy Wschodniej Osiemdziesiątej Pierwszej ulicy na Manhattanie i po chwili wlaczyl sie do ruchu. Carney, spostrzegawczy z natury, zauwazyl zaparkowana w poblizu ich domu czarna furgonetke. Woz mial lustrzane szyby, zapackane blotem. Rzuciwszy okiem na grata, Carney zauwazyl numery Wirginii Zachodniej i w tej samej chwili zdal sobie sprawe, ze w ciagu kilku ostatnich dni pare razy widzial te furgonetke na ulicy. Potem jednak sznur samochodow przyspieszyl. Carney zdazyl przejechac na zoltych swietle i zupełnie zapomnial o furgonetce. Po chwili jechal juz na polnoc Aleja Roosevelta.

Dwadziescia minut pozniej siegnal po telefon i zadzwonil do zony. Kiedy nie odebrala, zaniepokoil sie. Wedlug planu Percey miala leciec razem z nim - poprzedniego wieczora rzucili moneta o to, kto bedzie drugim pilotem, i ona wygrala, kwitujac zwyciestwo swym niepowtarzalnym uśmiechem triumfu. Ale o trzeciej nad ranem zbudzila sie z dokuczliwa migrena, ktora dreczyla ja potem przez caly dzien. Zadzwonili do kilku osob i znalezli kogos innego na jej miejsce, a Percey wziala fiorinal i wrocila do lozka.

Migrena byla jedyna dolegliwoscia, ktora mogla ja zatrzymac na ziemi.

Edward Carney byl wysoki i szczuply; mimo czterdziestu pieciu lat nadal nosil wojskowa fryzure. Przekrzywil glowe, sluchajac dzwonek telefonu oddalonego o pare mil. Gdy wlaczyla sie automatyczna sekretarka, odlozyl sluchawke, czujac lekkie zdenerwowanie.

Utrzymywal stala predkosc szescdziesieciu mil na godzine, jadac dokladnie srodkiem prawego pasa; jak wiekszosc pilotow, w samochodzie byl konserwatysta. Ufal innym pilotom, lecz wiekszosc kierowcow uwazal za szalencow.

W biurze Hudson Air Charters na lokalnym lotnisku Mamaroneck w Westchester czekalo na niego ciasto czekoladowe. Z okazji podpisania nowego kontraktu upiekla je wlasnorecznie pedantyczna i sztywna Sally Anne, pachnaca niczym dzial perfumeryjny u Macy'ego. Miala na piersi wyobrazajaca dwuplatowiec broszke ze sztucznych brylantow, ktora dostala na Boze Narodzenie od wnukow, i rozgladala sie uwaznie, pilnujac, by kazdemu z kilkunastu pracownikow dostala sie porcja

smakolyku. Ed Carney zjadł parę keśow, rozmawiając o dzisiejszym locie z Ronem Talbotem, którego wielki brzuch zdradzał, że Ron przepada za ciastem, choć tak naprawdę był głównie dzięki kawie i papierosom. Talbot pełnił dwie funkcje, dyrektora firmy i kierownika technicznego. Martwił się, czy zdąży z załadunkiem, czy prawidłowo obliczono zużycie paliwa, czy uczciwie wycenili prace. Carney poczęstował go resztą swojej porcji ciasta i poradził mu, by się rozluźnił.

Znow pomyślał o Percey i poszedł do swojego biura zadzwonić.

W domu wciąż nikt nie podnosił słuchawki.

Jego niepokój przybrał na sile. Ludzie, którzy mają dzieci albo własną firmę, zawsze odbierają telefony. Odłożył z trzaskiem słuchawkę, zastanawiając się, czy zadzwonić do sąsiada, by sprawdził, co się dzieje z żoną. Jednak w tej samej chwili przed hangarem obok biura zatrzymała się duża biała ciężarówka. Czas do pracy. Osiemnasta.

Talbot dał Carneyowi kilkanaście dokumentów do podpisania, a tymczasem przyjechał młody Tim Randolph, ubrany w ciemny garnitur, białą koszulę i wąski czarny krawat. Tim mówił o sobie „drugi pilot”, co podobało się Carneyowi. W firmie i liniach lotniczych nazywano ich „pierwszymi oficerami”, a choć Carney szanował każdego, kto dobrze sobie radził na prawym fotelu, pretensje do tytułów traktował z rezerwą.

Lauren, wysoka brunetka, asystentka Talbota, była ubrana w swoją ulubioną, „szczęśliwą” sukienkę, której błękit pasował do barwy logo Hudson Air - sylwetki sokoła lecącego nad Ziemią opasana siecią południków i równoleżników. Pochyliła się nad Carneyem i szepnęła:

- Wszystko będzie w porządku, prawda?

- W jak najlepszym - zapewnił ją.

Uściskali się. Sally Anne również wzięła go w objęcia i zaproponowała ciasto na drogę. Odmówił. Ed Carney chciał już lecieć. Był dalej od czułości, od atmosfery świętowania. Był dalej od ziemi.

I niedługo potem był już w powietrzu. Trzy mile nad ziemią, za sterami Leara 35 A, najlepszego prywatnego odrzutowca na świecie, lśniącego srebrem jak zwinny szczupak i pozbawionego wszelkich oznaczeń z wyjątkiem numeru rejestracyjnego.

Lecieli prosto w kierunku zachodzącego słońca - pomarańczowej doskonałej kuli, która miękko osiadła na sklebionych różowofioletowych chmurach, przecinanych ostatnimi jasnymi promieniami.

Tylko świt był równie piękny. A burze bardziej widowiskowe.

Do O'Hare mieli siedemset dwadzieścia trzy mile, które pokonali w niecałe dwie godziny. Centrum kontroli lotów w Chicago grzecznie poprosiło, by zeszli na czterdzieści tysięcy stop, po czym połączyło ich z kontrolą podejścia do lądowania.

- Chicago, kontrola lądowania. Lear cztery dziewięć „Charlie Juliet”, na czterdziestu tysiącach -

powiedział do mikrofonu Tim.

- Dobry wieczor, cztery dziewiec „Charlie Juliet” - odezwał się spokojny głos innego kontrolera.
- Zejdz na osiem tysiecy. Cisnienie w Chicago trzydziesci koma jedenascie. Czekał na kurs na pas dwadziescia siedem, lewo.

- Zrozumialem, Chicago. „Charlie Juliet” dziewiec z czternastu na osiem tysiecy.

O'Hare to najbardziej zatloczone lotnisko na swiecie. Kontrola lotow skierowala ich nad zachodnie przedmiescia, gdzie krazyli, czekajac na swoja kolej.

Dziesiec minut pozniej przez szumy radiowe przebil sie mily glos:

- „Charlie Juliet” dziewiec, kurs zero dziewiec zero, podchodzisz z wiatrem na dwadziescia siedem, lewo.

- Zero dziewiec zero. „Charlie Juliet” dziewiec - zameldowal Tim.

Carney spojrzal w gore na jasne punkty konstelacji polyskujace na szarostalowym niebie i pomyslal: Popatrz, Percey, wszystkie gwiazdy wieczoru...

Wtedy poczul zupełnie nieprofesjonalny impuls, chyba po raz pierwszy w ciagu wszystkich lat spedzonych w fotelu pilota. Niepokoj o Percey stal sie nie do zniesienia, jak nagly atak goraczki. Za wszelka cene musial z nia porozmawiac.

- Przejmij samolot - powiedzial do Tima.

- Zrozumialem - odparl mlody czlowiek, poslusznie kladac dlonie na wolancie steru.

Wśród radiowych trzaskow odezwala sie kontrola lotow.

- „Charlie Juliet” dziewiec, zejdz na cztery tysiace. Utrzymuj kurs.

- Zrozumialem, Chicago - rzekl Tim. - „Charlie Juliet” dziewiec, z osmiu na cztery.

Carney zmienil czestotliwosc radia, aby odbyc prywatna rozmowe. Tim zerknal na niego.

- Lacze sie z firma - wyjasnil Carney. Kiedy zglosil sie Talbot, poprosil go o telefoniczne polaczenie z domem.

Czekajac na rozmowe, Carney przeszedl do rutynowej litanii komunikatow przed ladowaniem, ktore zaczal wymieniac z Timem.

- Klapy do podejscia... dwadziescia stopni.

- Dwadziescia, dwadziescia, jest - odrzekl Carney.

- Predkosc.

- Sto osiemdziesiat wezlow.

Gdy Tim zaczął mówić do mikrofonu: „Chicago, > dziewięć mija numery: pięć, cztery...” - Carney usłyszał sygnał telefonu, który dzwonił w jego domu na Manhattanie, siedemset mil stąd.

No dalej, Percey, odbierz! Gdzie jesteś?

Proszę...

Kontrola powiedziała:

- „Charlie Juliet” dziewięć, zmniejsz predkosc do stu osiemdziesieciu. Polacz sie z wieza. Milego wieczoru.

- Zrozumialem, Chicago. Sto osiemdziesiat wezlow. Do uslyszienia.

Trzy dzwonki.

Gdzie ona, u diabla, jest? Co sie dzieje?

Ucisk w zoladku przybral na sile.

Silnik wydal wysoki, zgrzytliwy dzwiek. Jeknelo przewody hydrauliczne. Carney uslyszal w sluchawkach trzaski zaklocen. Tim obwiescil spiewnie:

- Klapy trzydziesci. Podwozie w dol.

- Klapy, trzydziesci, trzydziesci jest. Podwozie w dol, jest.

A potem - nareszcie - krotki trzask w sluchawkach. I glos jego zony:

- Halo?

Carney z ogromna ulga zasmial sie w glos.

Chcial cos powiedziec, lecz nim zaczal, samolotem targnal gwaltowny wstrzas i nastapila eksplozja, ktorej sila w ulamku sekundy zerwala mu z glowy sluchawki i rzucila obu mezczyzn na tablice przyrzadow. Obok nich swisnelo plonace iskry i odlamki.

Ogluszony Carney instynktownie chwycil niereagujacy wolant steru lewa reka; prawej juz nie mial. Odwrocil sie do Tima dokladnie w chwili, gdy zakrwawione cialo drugiego pilota niczym bezwladna kukle wyszalo przez dziure ziejaca w boku kadluba.

- O, Boze. Nie, nie...

Po chwili cala kabina oderwala sie od rozpadajacego sie samolotu i pofrunela w gore,

zostawiając w szalejącym ogniu kadłub, skrzydła i silniki Leara.

- Och, Percey - szepnął - Percey... - chociaż nie miał już mikrofonu, do którego mógłby mówić.

Rozdział drugi

Wielkie jak asteroidy barwy złotych koci.

Na ekranie komputera błyszczwały ziarna piasku. Przed monitorem siedział zgarbiony człowiek z obolalym karkiem i w skupieniu spoglądał na ekran zmrużonymi oczami.

Gdzieś w oddali rozległ się grzmot. Poranne niebo miało żółtozieloną barwę, więc lada chwila mogła się rozpetać burza. Ta wiosna była chyba najbardziej mokra w historii.

Ziarna piasku...

- Powiększenie - polecil i obraz stal sie dwa razy wiekszy.

Dziwne, pomyslal.

- Kursor w dol... stop.

Pochyliwszy sie w przod, wyciagnal szyje, studiujac ekran monitora.

Lincoln Rhyme pomyslal, ze piasek to sama radosc dla specjalisty od kryminalistyki: kawalki skal, czasem zmieszane z innym materialem, o rozmiarach od pol do dwoch milimetrow (zwir jest wiekszy, a mul drobniejszy). Przykleja sie do ubrania sprawcy jak lepka farba, a potem odpada w miejscu zbrodni albo kryjowce - i tak powstaje trop laczaczy morderce z zamordowanym. Piasek moze tez sporo powiedziec o tym, skad przybyl podejrzan. Nieprzezroczysty piasek oznacza, ze zbrodniarz przyjechal z pustyni. Przezroczysty to plazza. Hornblenda - Kanada. Obsydian - Hawaje. Kwarc i nieprzezroczysta skala magmowa - Nowa Anglia. Gladki szary magnetyt - zachodnia czesc Wielkich Jezior.

Jednak Rhyme nie mial pojecia, skad pochodzi piasek widoczny na ekranie. Na terenach wokol Nowego Jorku lezal kwarc i skalenie. Kamienisty nad cieśnina Long Island, sypki nad Atlantykiem i mulisty nad Hudsonem. Ale ten byl bialy, polyskliwy, nierowny i zmieszany z jakimis czerwonymi kulkami. A te pierscienie? Biale kamienne pierscienie, jak mikroskopijne plasterki kalmara. Nigdy nie widzial czegos podobnego.

Przez te zagadki Rhyme nie spał do czwartej nad ranem. Własnie wysłał próbke piasku znajomemu z laboratorium FBI w Waszyngtonie. Zrobił to bardzo niechętnie - Lincoln Rhyme nie cierpiał, kiedy na dreczace go pytania odpowiedzi udzielał ktos inny.

Za oknem przy łozku cos sie poruszyło. Rhyme spojrzal w te strone. Mieszkajaca w sasiedztwie para sokolow wedrownych własnie wybierala sie na lowy. Drzyjcie gołębie, pomyslal Rhyme. Potem przekrzywil glowe, mruzac pod nosem: „niech to szlag”, nie miał jednak na mysli swojej porazki w pracy nad niewdzięcznym piaskiem, lecz zbliżajacych sie intruzow. Na schodach rozlegly sie bowiem szybkie kroki. Thom wpuscil kogos do domu, a Rhyme nie miał ochoty na gosci. Spojrzal ze zloscia w kierunku korytarza.

- Nie teraz, na litosc boska.

Ale oni oczywiscie nie mogli tego uslyszec, a nawet gdyby slyszeli, i tak by sie nie zatrzymali.

Bylo ich dwoch...

Jeden ciezki i zwalisty.

Energiczne pukanie do drzwi. Weszli.

- Lincoln.

Rhyme chrzaknal.

Lon Sellitto byl detektywem pierwszego stopnia z Departamentu Policji Nowego Jorku i to on tak glosno tupal na schodach. Obok stal szczuplejszy i mlodszy Jerry Banks, jego partner, wystrojony w elegancki szary garnitur w kratke. Niesforny kosmyk wlosow ulozyl za pomoca lakieru - Rhyme poczul zapach propanu, izobutanu i octanu winylu - mimo to uroczy czubek sterczal na jego glowie dumnie niczym maszt.

Zwalisty detektyw rozejrzal sie po sypialni na pietrze, ktora miała dwadziescia na dwadziescia stop. Sciany byly puste, bez jednego obrazka.

- Co tu sie zmienilo, Linc?

- Nic.

- A, juz wiem: jest czysto - powiedzial Banks, po czym raptownie urwal, zorientowawszy sie, ze popelnil gafe.

- Pewnie, ze czysto - odparl Thom, ktory wygladal nieskazitelnie w wyprasowanych jasnobrazowych spodniach, bialej koszuli i krawacie w kwiaty, choc ten wydawal sie Rhyme'owi troche krzykliwy, mimo ze sam mu go kupil w sprzedazy wysylkowej. Thom byl jego asystentem od kilku lat - i chociaz juz dwukrotnie zostal zwolniony, a raz sam zrezygnowal, Rhyme wciaz zatrudnial na nowo swego doradce-pielegniarza, ktory byl ucielesnieniem spokoju. Thom wiedzial juz tyle o paralizu, ze moglby zostac lekarzem, i nauczyl sie od Lincolna Rhyme'a tyle o kryminalistyce, ze sam

mogłoby być detektywem. Wystarczyła mu jednak funkcja, którą towarzystwo ubezpieczeniowe nazywało „opiekunem”, choć razem z Rhyme'em traktowali ten tytuł z pewnym lekceważeniem. Rhyme nazywał Thoma różnie: swoją „kwoka” albo „Nemezis”, co dla asystenta było źródłem nieustającej radości. Thom precyzyjnie siedział obok gości.

- Nie spodobało mi się to, ale sprowadziłem dziewczyny od Molly i jakos udało im się doczekać spokoju. Każdy kat wymagał niemalże odkazania. Później nie odzywał się do mnie przez cały tydzień.

- Nie trzeba było sprzątać. Teraz niczego nie mogę znaleźć.

- Przecież nie musi niczego szukać, prawda? - odparł Thom. - Po to tu jestem.

Nie miał nastroju do przekomarzania.

- No? - Rhyme odwrócił przystojną twarz do Sellitta. - Co jest?

- Dostałem sprawę. Może będziesz chciał pomóc.

- Jestem zajęty.

- Co to takiego? - zapytał Banks, wskazując nowy komputer stojący przy łóżku Rhyme'a.

- Ach - powiedział Thom z uśmiechem, który wyprowadzał Rhyme'a z równowagi. - Teraz ma ultranowoczesny sprzęt. Pokaż im, Lincoln. Pokaż im.

- Nie chce.

Jeszcze jeden grzmot w oddali, ale ani kropli deszczu. Natura jak zwykle z nich kpila.

- Pokaż im, jak to działa - nalegał Thom.

- Nie mam ochoty.

- Wstydzisz się.

- Thom - mruknął Rhyme.

Lecz młody asystent nie zważał na groźby i brnął dalej. Poprawił swój okropny, a może po prostu modny krawat.

- Nie wiem, dlaczego tak się zachowuje. Jeszcze wczoraj był z tego bardzo dumny.

- Wcale nie.

- Ta skrzynka - Thom pokazał bezowiany aparat - jest połączona z komputerem.

- O, dwieście megaherców? - spytał Banks, ruchem głowy wskazując komputer. Pod ponurym spojrzeniem Rhyme'a ugryzł się w język.

- No - odrzekł Thom.

Lincolna Rhyme'a nie interesowały jednak komputery. W tej chwili interesowały go tylko mikroskopijne plasterki kamiennego kalmara zmieszane z białym piaskiem.

- Z komputerem jest połączony mikrofon - ciągnął Thom. - Komputer rozumie wszystko, co Lincoln mówi. Trochę czasu zajęła mu nauka jego głosu. Lincoln nieco mamrocze.

W rzeczywistości Rhyme cieszył się z nowego systemu - błyskawicznie działającego komputera, specjalnie skonstruowanej skrzynki USO - układu sterowania otoczeniem - i programu rozpoznawania głosu. Wystarczyło tylko mówić do mikrofonu, by móc kierować kursorem i robić wszystko to, co robi użytkownik dysponujący myszą i klawiaturą. Mogł też wydawać polecenia. Teraz głosem regulował ogrzewanie, zapalał i gasił światło, włączał i wyłączał wieże stereo i telewizor, pisał w edytorze tekstów, dzwonił i wysyłał fakсы.

- Może nawet komponować muzykę - powiedział do gości Thom. - Mówi do komputera, jakie ma zapisać nuty.

- Też mi pożytek - rzekł cierpko Rhyme. - Muzyka.

Rhyme został sparalizowany z powodu uszkodzenia czwartego kręgu szyjnego - mógł więc kiwać głową, a także wznosić ramionami, choć nie wyglądało to tak wyraziście, jakby sobie tego życzył. Inna cyrkowa sztuczka polegała na poruszaniu palcem serdecznym lewej dłoni, kilka milimetrów w każdym kierunku. Od kilku dobrych lat był to cały repertuar jego aktywności fizycznej; raczej nie planował skomponowania sonaty na skrzypce.

- Ma też gry - powiedział Thom.

- Nie cierpie gier. W ogóle nie gram.

Sellitto, który przypominał Rhyme'owi wielkie niezasłane łozko, gapił się bez entuzjazmu na komputer.

- Lincoln - zaczął bardzo poważnie. - Chodzi o zadanie grupy specjalnej, złożonej z naszych i federalnych. Wczoraj wieczorem wpakowaliśmy się w szambo.

- Utknelismy na amen - odezwał się niepewnie Banks. - Pomysleliśmy... właściwie to ja pomyslałem, że zechcesz nam w tym pomóc.

Zechcesz pomóc?

- Właśnie nad czymś pracuje - wyjaśnił Rhyme. - Dla Perkinsa. - Thomas Perkins był agentem specjalnym i dowodził manhattanskim biurem FBI. - Zaginał jeden z chłopaków Freda Dellraya.

Agent specjalny Fred Dellray, weteran FBI, prowadził większość tajnych agentów na Manhattanie. Sam Dellray był jednym z najlepszych tajniaków w Biurze. Za swą pracę zyskał pochwałę samego dyrektora. Kilka dni temu zaginał jeden z agentów Dellraya, Tony Panelli.

- Mowil nam o tym Perkins - rzekl Banks. - Dziwaczna sprawa.

Rhyme przewrocil oczami na to malo oryginalne wyrazenie. Lecz trudno bylo nie przyznac Banksowi racji. O dwudziestej pierwszej agent zniknal z samochodu stojacego przed budynkiem federalnym w centrum Manhattanu. Ulice nie byly zatloczone, ale tez nieopustoszone. Silnik sluzbowej victorii pracowal, drzwi zostawiono otwarte. Nigdzie krwi, sladow po oddanym strzale ani sladow walki. Brak swiadkow - a przynajmniej takich, ktorzy chcieliby mowic.

Rzeczywiscie dziwaczna sprawa.

Perkins mial do dyspozycji swietna ekipe do zabezpieczania miejsc zbrodni, w sklad ktorego wchodzila grupa analiz dowodow fizycznych. Ale to Rhyme stworzyl te grupe i wlasnie jego Perkins poprosil, by zajal sie zniknieciem agenta. Funkcjonariusz, ktory pracowal jako partner Rhyme'a, spedzil w samochodzie Panellego dobre kilka godzin i wyszedl stamtad z pustymi rekami, nie liczac odciskow palcow agenta i dziesieciu torebek nic nieznaczacych materialow. Jedynym tropem moglo byc kilkadziesiat ziarenek tego zagadkowego piasku.

Ziarna widnialy teraz na monitorze komputera, ogromne jak ciala niebieskie.

- Perkins pchnie do sprawy Panellego innych ludzi, jezeli nam pomozesz, Lincoln - ciagnal Sellitto. - W kazdym razie mam wrazenie, ze bedziesz chcial pomoc.

Znowu „chcial”. O co im chodzi?

Rhyme i Sellitto kilka lat temu prowadzili razem dochodzenia w sprawach glosnych zabojstw. Byly to trudne sprawy. Jednak znal Sellitto nie lepiej niz innych gliniarzy. Na ogol Rhyme nie ufal wlasnym umiejetnosciom czytania w ludziach (jego byla zona, Blaine, mawiala czesto, ze Rhyme potrafi dostrzec luske pocisku z odleglosci mili, ale nie zauwazy stojacego tuz przed nim czlowieka), lecz teraz wyczul, ze Sellitto cos ukrywa.

- No dobra, Lon. Powiedz, o co chodzi.

Sellitto skinal glowa Banksowi.

- Phillip Hansen - powiedzial znacaco mlody detektyw, unoszac cienka brew.

Rhyme znal to nazwisko jedynie z artykulow prasowych. Hansen - potezny i obrotny biznesmen pochodzacy z Tampy na Florydzie - byl wlasicielem duzej hurtowni w Armonk, w stanie Nowy Jork. Przedsiębiorstwo prosperowalo doskonale, dzieki czemu Hansen stal sie multimilionerem. Osiagnal wiele, a zaczynal jako drobny przedsiębiorca. Nigdy nie musial zabiegac o klientow, nigdy sie nie reklamowal, nigdy nie mial kopotow z platnosciami. Wlasciwie jedyna trudnosc, z jaka borykala sie firma PH Distributors Inc., polegala na tym, ze rzad federalny i wladze stanu Nowy Jork nie szczedzily energii, by ja zamknac, a jej prezesa wyslac za kratki. Hansen handlowal bowiem nie, jak twierdzil, uzywanymi pojazdami z nadwyzek wyposazenia armii, lecz bronia, najczesciej kradziona z baz wojskowych lub sprowadzana nielegalnie z zagranicy. W tym roku koło mostu Waszyngtona napadnieto na ciezarowke transportujaca do New Jersey bron reczna, zginelo dwoch

szeregowcow. Stal za tym Hansen - prokurator generalny i prokuratura stanowa Nowego Jorku byli o tym przekonani, ale nie mieli dowodow.

- Pchamy sprawe razem z Perkinsem - powiedzial Sellitto. - I z wojskowym wydzialem sledczym. Na razie idzie nam ciezko.

- Nikt go jeszcze nie zakapowal - rzekl Banks. - Nigdy.

Rhyme przypuszczal, ze nikt by sie nie odwazyl kablowac na takiego faceta jak Hansen.

- Ale w zeszlym tygodniu cos w koncu drgnelo - ciagnal mlody detektyw. - Hansen jest pilotem. Jego firma ma magazyny na lotnisku Mamaroneck - tym niedaleko White Plains. Sad wydal nakaz ich rewizji. Oczywiscie nic nie znalezlismy. Dopiero w zeszlym tygodniu, w srodku nocy... Lotnisko bylo juz zamkniete, ale w srodku pracowalo pare osob. Widzieli faceta, ktorego wyglad odpowiada rysopisowi Hansena, jak podjechal do prywatnego samolotu, wladowal do niego jakies worki i wystartowal. Bez zezwolenia. Nie zglosil lotu kontroli, po prostu wystartowal. Czterdziesti minut pozniej wrocil, wyladowal, wsiadl do samochodu i odjechal z piskiem opon. Bez workow. Swiadkowie podali numery samolotu Federalnemu Urzedowi Lotnictwa. Okazalo sie, ze to prywatny samolot Hansena, nie firmy.

- Musial wiedziec, ze depczecie mu po pietach - powiedzial Rhyme. - Chcial sie pozbyc czegos, co mialo zwiazek z zabojstwami. - Zaczynal rozumiec, jak mial im pomoc. Troche go nawet zaciekawili. - Kontrola lotow miala go na oku?

- LaGuardia miala go przez chwile. Polecial prosto nad ciesnine Long Island. Potem zнизyl lot i na jakies dziesiec minut zniknal z ekranu radaru.

- I chcielibyscie wiedziec, jak daleko dotarl. Ciesnine przeczesuja nurkowie?

- Zgadza sie. Wiedzielismy, ze gdy tylko Hansen dowie sie o trzech swiadkach, da drapak. Udalo sie nam przymknac go do poniedzialku. Areszt federalny.

Rhyme rozesmial sie.

- Macie sedziego, ktory wymysli na poczekaniu cos przekonujacego?

- Tak, jakas bajeczke o niebezpiecznym locie - odparl Sellitto. - I o naruszeniu przepisow urzedu lotnictwa, lekkomyslnym stworzeniu zagrozenia. Nie bylo zgloszenia w kontroli lotow, poza tym Hansen lecial ponizej wymaganego pulapu.

- Co na to pan Hansen?

- Zna zasady. Ani slowa do oficerow, ani slowa do ludzi z prokuratury. Adwokat wszystkiemu zaprzecza i chce wytoczyc proces za bezpodstawne aresztowanie i tak dalej, i tak dalej... Jesli wiec znajdziemy te pieprzone worki, w poniedzialek idziemy przed sad przysieglych i bach! - mamy go.

- Pod warunkiem - zauwazyl Rhyme - ze w workach jest cos obciazajacego.

- Na pewno jest cos obciazajacego.

- Skad wiesz?

- Bo Hansen sie boi. Wynajal kogos, zeby zabil swiadkow. Jednego juz zlikwidowano. Wczoraj wieczorem tuz nad lotniskiem w Chicago wysadzono samolot.

A wiec chca, zebym znalazl te worki... W myslach zaczely mu krazyc pytania. Czy mozna ustalic lokalizacje samolotu nad powierzchnia wody na podstawie jakiegos opadu, osadu soli albo owada rozniecionego na przednim placie skrzydla? Mozna w ogole obliczyc czas smierci owada? A moze stezenie soli i zanieczyszczen w wodzie? Czy podczas lotu tak nisko nad woda silniki albo skrzydla mogly naniesc na kadlub czy ogon jakies glony?

- Musze miec mapy cieśniny - zaczął Rhyme. - Schematy samolotu...

- Hm, nie po to do ciebie przyszliśmy - powiedział Sellitto.

- Nie po to, zeby znalezc worki - dodal Banks.

- Nie? W takim razie po co? - Rhyme zmierzyl mlodego czlowieka niechetyym spojrzeniem.

Sellitto ponownie przyjrzał sie bezowej skrzynce USO. Dolaczone do niej ciemnoczerwone, zolte i czarne przewody lezaly skrecone na podlodze jak klebowisko wezy.

- Chcemy, zebyś pomogl nam znalezc morderce. Faceta, ktorego najal Hansen. Zatrzymaj go, zanim dopadnie dwoje pozostalych swiadkow.

- Tak? - Rhyme czul, ze Sellitto nie powiedzial wszystkiego.

Patrzac za okno, detektyw odezwal sie:

- Wyglada na to, ze to Trumniarz, Lincoln.

- Tanczacy Trumniarz?

Sellitto spojrzal na niego i skinal glowa.

- Jesteś pewien?

- Dowiedzielismy sie, ze kilka tygodni temu wykonal robote w Waszyngtonie. Zabil jakiegos pracownika Kongresu, zamieszanego w handel bronia. Mamy zapis z ksiegi meldunkowej i dowody na to, ze Hansen dzwonil z automatu do hotelu, w ktorym zatrzymal sie Trumniarz. To musi byc on, Lincoln.

Wielkie jak asteroidy i gladkie jak ramiona kobiety ziarna na ekranie monitora przestaly nagle interesowac Rhyme'a.

- No - powiedział cicho. - To mamy sprawe.

Rozdział trzeci

Przypomniała sobie:

Wczoraj wieczorem, ostry dzwonek telefonu wcinający się w szum mżawki za oknem sypialni.

Spojrzała na aparat z odrazą, jak gdyby to Bell Atlantic ponosił odpowiedzialność za mdłości, pulsujący pod czaszką ból i migoczące pod powiekami oslepiające światło.

Wreszcie zwlokła się na nogi i po czwartym dzwonku podniosła słuchawkę.

- Halo?

Odpowiedziało jej głuche echo połączenia radiowo-telefonicznego.

Potem głos. Chyba.

Śmiech. Chyba.

Potężny huk. Trzask w słuchawce.

Cisza.

Urwany sygnał, tylko cisza, otulona szumiącymi w jej uszach falami.

Halo? Halo?...

Odłożyła słuchawkę i wróciła na kanapę, patrząc na deszcz, na uginający się pod siłą wiatru teren. Potem zasnęła. Poł godziny później obudził ją telefon z wiadomością, że Lear dziewięć „Charlie Juliet” roztrzaskał się przy lądowaniu, a jej mąż i młody Tim Randolph zgineli.

O szarym poranku Percey Rachael Clay wiedziała już, że tajemniczy wieczorny telefon był od jej męża. Ron Talbot - który bohatercko zadzwonił do niej z wiadomością o wypadku - wyjaśnił, że połączył z nią Eda w momencie katastrofy.

Smiech Eda...

Halo? Halo?

Percey odkorkowała piersiówkę i pociągnęła łyk. Myślała o wietrznym dniu sprzed kilku lat, gdy razem z Edem polecili nad Jezioro Czerwone w Ontario cessa 180 - hydroplanem - i siadali z szescioma uncjami paliwa w baku, a potem uczcili lądowanie, osuszając butelkę taniej kanadyjskiej whisky, po której oboje mieli największego w życiu kaca. To wspomnienie sprawiło, że do oczu, tak jak wtedy, napłynęły jej łzy.

- Daj spokój, Perce, już wystarczy, co? - powiedział mężczyzna siedzący na kanapie w salonie. - Proszę. - Wskazał butelkę.

- Dobrze - odrzekła nieprzyjemnym tonem, z ledwie powstrzymanym sarkazmem. - Jasne. - I pociągnęła jeszcze jeden łyk. Poczula ochotę na papierosa, ale jej nie uległa. - Po co, do diabła, dzwonił do mnie na koniec?

- Może martwił się o ciebie - podsunął Brit Hale. - Miałas migrenę.

Podobnie jak Percey, Hale nie spał tej nocy. Talbot poinformował go o katastrofie, więc przyjechał ze swojego mieszkania w Bronxville, żeby być przy Percey. Został przez resztę nocy, pomagając jej telefonować tam, gdzie należało. To Hale, nie Percey, przekazał wiadomość jej rodzicom w Richmond.

- Nie powinien tego robić, Brit. Dzwonić na koniec.

- Ten telefon nie miał nic wspólnego z tym, co się stało - powiedział łagodnie.

- Wiem - odrzekła.

Znali się od lat. Hale był jednym z pierwszych pilotów Hudson Air i przez pierwsze cztery miesiące pracował za darmo, dopóki nie skończyły się jego oszczędności. Wtedy niechętnie zwrócił się do Percey z prośbą o jakąś wypłatę. Nie wiedział, że zapłaciła mu wtedy z własnych oszczędności, bo firma przez rok od rejestracji nie przynosiła żadnych zysków. Hale przywodził na myśl koscistego, surowego nauczyciela. W istocie jednak niezwykle trudno, było wyprowadzić go z równowagi - jego spokój był dla Percey idealnym antidotum. Poza tym był z niego niezły dowcipnis; potrafił obrocic w locie samolot i lecieć brzuchem do góry, dopóki szczególnie niesforni i nieprzyjemni pasażerowie się nie uspokoili. Często zajmował w kabinie prawy fotel obok Percey i był jej ulubionym partnerem za sterami.

- To wielki zaszczyt latać z pania - mawiał, nieudolnie naśladując Elvisa Presleya. - Bardzo dziękuję.

Ból uciskający oczy prawie zupełnie ustal. Percey straciła już kilku przyjaciół - głównie w wypadkach lotniczych - i wiedziała, że psychiczny szok po stracie działa jak narkoza na ból fizyczny.

Podobnie whisky.

Kolejny lyk z piersiowki.

- Do diabla, Brit. - Ciezko opadla na kanape obok niego. - Do diabla.

Hale objal ja mocnym ramieniem. Oparla o nie glowe obramowana ciemnymi puklami wlosow.

- Juz dobrze, malenka - rzekl. - Co moge dla ciebie zrobic?

Potrzasnela glowa. Na to pytanie nie bylo odpowiedzi.

Lyczek burbona. Spojrzala na zegarek. Dziewiata. Lada chwila mogla przyjechac matka Eda. Przyjaciele, krewni... Trzeba zaplanowac szczegoly pogrzebu...

Tyle rzeczy do zrobienia.

- Musze zadzwonic do Rona - powiedziala. - Trzeba cos robic. Firma...

W spolkach lotniczych i czarterowych slowo „firma” mialo inne znaczenie niz w pozostalych galeziach biznesu. Firma przez duze F byla zywa istota. Mowilo sie o niej ze czcia albo rozgoryczeniem, albo duma. Czasem ze smutkiem. Smierc Eda byla ciosem dla wielu ludzi, takze dla firmy, a cios ten mogl okazac sie smiertelny.

Tyle rzeczy do zrobienia...

Lecz Percey Clay, kobieta, ktora nigdy nie wpadala w panike, ktora pewna reka potrafila wyprowadzic samolot ze smiertelnie niebezpiecznej beczki, Nemezis learow 23, wychodzaca z karkolomnych korkociagow, od ktorych krecilo sie w glowie wytrawnym pilotom - teraz jak sparalizowana siedziala na kanapie. Dziwne, pomyslala, patrzac na siebie jak gdyby z innego wymiaru, nie umiem sie poruszyc. Spojrzala na rece i nogi i zauwazyla, ze sa zupełnie blade, jakby odplynela z nich krew.

Och, Ed...

I jeszcze Tim Randolph. Jeden z najlepszych drugich pilotow, jakich udalo im sie znalezc, a dobrzy pierwsi oficerowie byli prawdziwa rzadkoscia. Przed oczami stanela jej okragla twarz Tima, ktory przypominal mlodego Eda. Z niewiadomego powodu wiecznie sie usmiechal. Czujny i posluszny, ale stanowczy, nawet Percey wydawal krotkie i rzeczowe rozkazy, kiedy dowodzil samolotem.

- Powinnas napic sie kawy - orzekl Hale, idac do kuchni. - Zrobie ci podwojne cappuccino z pianka.

Czesto zartowali sobie na temat wymyslonych odmian kawy. Oboje czuli sie prawdziwymi pilotami, pili wiec tylko maxwell house albo folgersa.

Lecz dzisiaj Hale nie mial na mysli kawy. Chcial jej delikatnie powiedziec: odstaw flaszke. Percey zrozumiala aluzje. Zakorkowala piersiowke i ze stukiem postawila na stoliku.

- Dobrze, dobrze.

Wstala i zaczela chodzic po salonie. Zerknela na swoje odbicie w lustrze. Drobną kwadratową twarz z zadartym nosem. Czarne włosy uparcie zwijające się w ciasne loki. (W czasach burzliwej młodości, w chwili rozpaczy, ściela włosy na krocitkiego języka. Żeby im wszystkim pokazać. Niestety ową akt buntu dostarczył uroczym koleżankom ze szkoły Lee w Richmond jedynie nowych argumentów przeciw niej). Percey była drobna i miała błyszczące czarne oczy, które zdaniem jej matki były jej największym atutem. Czyli jedynym. I to atutem, który mężczyźni mieli gdzieś.

Szare cienie pod oczami i beznadziejnie matowa skóra - skóra nalogowej palaczki, pamiątka po latach, gdy wypalała dwie paczki Marlboro dziennie. Nakłute płatki uszu dawno już zarosły.

Wyjrzała przez okno na ulicę, która biegła za drzewami. Zatrzymała wzrok na jadących samochodach i nagle poczuła jakiś nieuchwytny niepokój.

Dlaczego? Skąd to dziwne doznanie?

Po chwili rozległ się dzwonek u drzwi i niepokój zniknął.

Percey otworzyła i ujrzała stojących na progu dwóch rosłych policjantów.

- Pani Clay?

- Tak.

- Departament Policji Nowego Jorku - przedstawili się, pokazując legitymacje. - Przyjechalismy, żeby pani pilnować, dopóki nie sprawdzimy, co naprawdę stało się z pani mężem.

- Proszę wejść - powiedziała. - Jest u mnie Brit Hale.

- Pan Hale? - spytał jeden z gliniarzy. - Jest tu? To dobrze. Wysłaliśmy do niego kilku funkcjonariuszy z Westchester.

Spojrzała ponad ramieniem policjantów na ulicę i wtedy ją oślepiło. Wyminięła gliniarzy i wyszła na werandę.

- Wolelibyśmy, żeby została pani w środku, pani Clay...

Wpatrywała się w ulicę. Co to było?

Wreszcie zrozumiała.

- Powinnicie o czymś wiedzieć - powiedziała do policjantów. - Czarna furgonetka.

- Czarna...?

- Czarna furgonetka. Stała na ulicy.

Jeden z nich wyciągnął notatnik.

- Proszę opowiedzieć o tym coś więcej.

- Czekaj - powiedział Rhyme.

Lon Sellitto przerwał opowiadanie.

Rhyme usłyszał odgłos kroków na schodach, ani lekkich, ani ciężkich. Wiedział, kto nadchodzi. Nie musiał się domyslać. Wiele razy słyszał ten rytm.

W drzwiach pojawiła się Amelia Sachs. Jej piękna twarz była otoczona długimi rudymi włosami. Rhyme zobaczył, jak dziewczyna przez chwilę się zawahała, po czym wkroczyła do pokoju. Miała na sobie granatowy mundur patrolowy; do regulaminowego stroju brakowało tylko czapki i krawata. W dłoni trzymała plastikową torbę z napisem „Jefferson Market”.

Na jej widok Jerry Banks rozpromienił się w uśmiechu. Jego oczy wyrażały szczerzy zachwyt i uwielbienie - co wcale nie było dziwne, gdyż niewielu funkcjonariuszy miało za sobą, jak Amelia Sachs, karierę modelki. Piękna policjantka nie odwzajemniła zachwyconego spojrzenia młodego detektywa, który sam był przystojnym chłopcem, mimo niedokładnie ogolonej twarzy i sterczącego niesfornie kosmyka włosów, a teraz zdawał się pogodzony z tym, że ulokował uczucia dość nieszczęśliwie.

- Cześć, Jerry - powiedziała. Sellittowi skinęła głową z szacunkiem. (Był porucznikiem i prawdziwa legenda wydziału zabójstw. Sachs pochodziła z rodziny policyjnej i szacunku dla przelozonych uczyła się nie tylko na akademii, ale i przy rodzinnym stole).

- Wyglądasz na zmęczona - zauważył Sellitto.

- Nie spałam - odparła. - Szukałam piasku. - Z reklamówki wydobyła kilkanaście małych woreczków. - Zbierałam próbki.

- Świetnie - odezwał się Rhyme. - Ale to już historia. Mamy nowy przydział.

- Nowy?

- Ktoś się zjawil w mieście. Musimy go złapać.

- Kto?

- Zabójca - rzekł Sellitto.

- Zawodowiec? - spytała Sachs. - Mafia?

- Profesjonalista, zgadza się - potwierdził Rhyme. - O związkach z mafia nic nie wiemy. - Mafia była największym dostawcą płatnych morderców w kraju.

- Wolny strzelec - wyjaśnił Rhyme. - Nazywamy go Tancerzem Trumniarzem.

Sachs uniosła brew zaczerwieniona od drapania paznokciem.

- Dlaczego?

- Tylko jedna ofiara widziała go z bliska i udało się jej pozyc jeszcze tak długo, że zdążyła podać nam pewne szczegóły. Morderca ma - a w każdym razie miał - tatuaż na ramieniu: na tle trumny z zakapturzona śmiercią tancerz ludzka postać.

- Należałoby to umieścić w raporcie wśród „Znaków szczególnych” - powiedziała z lekką drwiną. - Co jeszcze o nim wiecie?

- Biały mężczyzna, około trzydziestki. To wszystko.

- Próbowaliście określić pochodzenie tatuażu? - zapytała Sachs.

- Oczywiście - odparł cierpko Rhyme. - Na samym końcu świata. - W tym określeniu nie było cienia przesady. Żaden departament policji w żadnym większym mieście świata nie miał jakichkolwiek danych na temat podobnego tatuażu.

- Wybacz panowie - i pani - rzekł Thom. - Mam coś do zrobienia. - Rozmowa urwała się, kiedy młody człowiek zaczął obracać ciałem swego szefa. Pomagało to oczyścić płuca. Osoby o sparalizowanych kończynach często personifikują niektóre części swojego ciała; nabierają do nich specyficznego stosunku. Kilka lat temu, po wypadku podczas zabezpieczania miejsca zbrodni, w wyniku którego Rhyme doznał uszkodzenia kręgosłupa, ręce i nogi stały się jego największymi wrogami; poświęcał wiele energii, próbując zmusić je do posłuszeństwa. To one jednak bezapelacyjnie triumfowały, pozostając nieczule jak kłody drewna. Potem Rhyme musiał stawić czoło skurczom bezlitosnie wstrząsającym jego ciałem. Starał się je powstrzymać. I w końcu ustąpiły - ale chyba bez jego udziału. Nie mógł więc przypisać sobie zwycięstwa, ale przyjął kapitulację. Później podjął kolejne wyzwanie i zaczął się zmagać z płucami. Po roku rehabilitacji mógł już samodzielnie oddychać, bez sztucznego płuca i rurki w tchawicy. Było to jego jedyne zwycięstwo nad nieposłusznym ciałem, choć zaczynał żywić ponure podejrzenie, że płuca tylko czekają na okazję do rewanzu. Był przekonany, że za rok czy dwa umrze na zapalenie albo rozedme płuc.

Lincoln Rhyme nie miał nic przeciwko śmierci. Lecz śmierć miała tyle twarzy; stanowczo wolał jakąś przyjemniejszą drogę zejścia z tego świata niż uduszenie.

- Jest jakiś trop? Ostatnie miejsce zbrodni? - zapytała Sachs.

- Ostatnio pojawił się w okolicach Waszyngtonu - rzekł Sellitto z brooklyńskim akcentem. - I tyle. Nie wiemy nic więcej. Oczywiście od czasu do czasu czegoś się o nim dowiadujemy. Częściej od nas słyszy o nim Dellray, dzięki swoim tajnym informatorom. Wydaje się, że Trumniarz to dziesięć różnych osób. Zmienia kształt uszu, robi sobie operacje plastyczne, wszczepia silikonowe. Dodaje bliźny, usuwa je, przybiera i traci na wadze. Raz obdarł ze skóry zwłoki ofiary - skóry z rak używał jak rękawiczek, próbując innymi odciskami palców zrobić w konia ludzi ze wsparcia

dochodzeniowego.

- Mnie nie oszukał - przypomniał mu Rhyme.

Mimo to wciąż chodzi na wolności, pomyślał z gorczyzą.

- Wszystko dokładnie planuje - ciągnął detektyw. - Używa podstępów, odwraca uwagę na wszelkie możliwe sposoby i dopiero wtedy wkracza. Złatwia sprawę. A potem po sobie sprząta jak jakiś pieprzony czyscioch. - Sellitto urwał, dziwnie wzburzony jak na człowieka, który zarabia na życie łapaniem morderców.

Rhyme utkwił spojrzenie za oknem, nie potwierdzając enigmatycznych słów swego byłego partnera. Podjął przerwany przez niego wątek.

- Ta historia ze zdejmowaniem skóry z rak była ostatnim dziełem Trumniarza w Nowym Jorku. Jakies pięć, sześć lat temu. Wynajął go wtedy jeden bankier z Wall Street, żeby pozbyć się wspólnika. Czysta, perfekcyjna robota. Moja grupa zaczęła przeczesywać teren, chodząc według siatki. Ktoś wyciągnął z kosza na śmieci zwitek papieru. Wtedy nastąpiła detonacja ładunku tetraazotanu pentaerytrytu. Około osmiu uncji, wzbogacony benzyna. Zginęli obaj technicy, a praktycznie wszystkie ślady uległy zniszczeniu.

- Przykro mi - powiedziała Sachs. Zaległa niezręczna cisza. Sachs była jego uczennicą i partnerem od ponad roku - stała się też jego przyjaciółką. Od czasu do czasu nawet tu nocowała, spać na kanapie albo, jak niewinna siostrzyczka, u boku Rhyme'a w jego poltonowym łóżku leczniczym „Clinitron”. Rozmowy między nimi ograniczały się jednak do tematów związanych z kryminalistyką, a Rhyme na dobranoc opowiadał jej bajki o scigających swe ofiary seryjnych zbrojnych i zwinnych jak koty włamywaczach. Zwykle omijali sprawy osobiste. Sachs ograniczyła się więc do krótkiego: - To musiało być trudne.

Rhyme skwitował jej wymuszone współczucie nieznacznym ruchem głowy. Wpatrywał się w puste ściany. Długi czas w całym pokoju wisiały plakaty. Od dawna już ich nie było, lecz Rhyme zaczął się bawić w „połącz kropki”, próbując na podstawie pozostałych śladów odtworzyć poprzedni wygląd ścian. Uzyskał nieregularny kształt gwiazdy. Równocześnie czuł bezsilną rozpacz, gdy w pamięci przesuwali mu się okropne obrazy eksplozji i płonących ciał jego ludzi.

- Ten człowiek, od którego Trumniarz dostał zlecenie, był skłonny go wydać? - zapytała Sachs.

- Był skłonny, oczywiście. Ale niewiele miał do powiedzenia. Dostarczył pieniądze do umówionego miejsca razem z pisemnym zleceniem. Nie było żadnego przelewu drogą elektroniczną, żadnych numerów konta. Nigdy nie spotkali się osobiście. - Rhyme głęboko zaczerpnął tchu. - Najgorsze było jednak to, że bankier, który zlecił zbrojstwo, zmienił zdanie. Puscili mu nerwy. Ale nie miał jak skontaktować się z Trumniarzem. Zresztą to i tak nie miało znaczenia. Trumniarz oświadczył mu wprost: „Odwołanie nie wchodzi w grę”.

Sellitto krótko wprowadził Sachs w szczegóły sprawy Phillipa Hansena, informując ją o świadkach, którzy widzieli jego lot o północy, i o zamachu w Chicago.

- Kim sa pozostali swiadkowie? - zapytala.

- Percey Clay, zona tego Carneya, ktory wczoraj zginal w samolocie. Jest prezesem ich firmy, Hudson Air Charters. Jej maz byl wiceprezesem. Trzeci swiadek to Britton Hale, pilot, ktory u nich pracowal. Wyslalem do nich ochrone.

- Wezwalem Mela Coopera - powiedzial Rhyme. - Bedzie pracowal w laboratorium na dole. Sprawa Hansena jest zadaniem grupy specjalnej, wiec od federalnych wezwiemy Freda Dellraya. Gdy bedzie trzeba, da nam agentow i zdobedzie pozwolenie na umieszczenie tej Clay i Hale'a w jednym z ich bezpiecznych domow.

Potem Sellitto cos powiedzial, ale Lincolnowi Rhyme'owi stanelo przed oczami zywe wspomnienie tamtych wydarzen i na chwile przestal sluchac. Znow ujrzal biuro, w ktorym Trumniarz piec lat temu podlozyl bombe.

Przypomnial sobie: kosz na smieci wybuchl jak czarna roza. Zapach ladunku - duszacy, chemiczny odor, w niczym nieprzypominajacy dymu plonacego drewna. Powolne zweglanie sie drewna, ktore po wszystkim przypominalo krokodylowa skore. Osmalone ciala technikow w plomieniach przybraly postawy walczacych bokserow.

Z tych przerazajacych wizji wyrwal go odglos faksu. Jeny Banks wyszarpnal z maszyny pierwsza kartke.

- Raport z zabezpieczenia miejsca katastrofy lotniczej - oznajmil.

Rhyme ozywil sie.

- Do pracy, chlopcy i dziewczynki!

Zmyc, zmyc to.

Zolnierzu, rece juz czyste?

Melduje, ze za chwile beda.

Krotko obciety, barczysty mezczyzna po trzydziestce stal przed umywalka w barze przy Lexington Avenue, pochloniety swoim zajeciem.

Szoruj, szoruj, szoruj...

Przerwal i wyjrzel z toalety. Nikogo nie zaciekawil fakt, ze tkwi tu juz od dziesieciu minut.

Wrocil do szorowania.

Stephen Kall obejrzel skore wokol paznokci i duze czerwone kostki dloni.

Wygladaja na czyste, juz czyste. Nie ma robakow. Ani jednego.

Czul sie swietnie, wjezdzajac czarna furgonetka na podziemny parking. Stephen zabral z samochodu potrzebne narzedzia i wyszedl z powrotem na ulice, wtapiajac sie w tlum. Pracowal juz kilka razy w Nowym Jorku, mimo to nigdy sie nie przyzwyczail do tylu ludzi; na ulicy musialy ich byc tysiace.

Przez to miasto sie kule.

Przez to miasto czuje sie zarobaczony.

Potem wstapil do tej toalety, zeby sie wyszorowac.

Zolnierzu, jeszcze nie skonczyles? Masz dwa cele do wyeliminowania.

Melduje, ze juz prawie koniec. Zanim bede kontynuowal dzialania, musze usunac najmniejszy slad.

Och, na litosc boska...

Na rece chlusnela goraca woda. Szorowal szczoteczka, ktora nosil w plastikowej torebce. Z pojemnika tryskalo rozowe mydlo w plynie. Szorowal dalej.

Wreszcie obejrzal zaczerwienione dlonie i osuszyl je strumieniem goracego powietrza z suszarki. Nie uzywal recznikow, dzieki czemu nie pozostawaly zdradzieckie wlokna.

I nie widac bylo zadnych robakow.

Dzis Stephen mial na sobie stroj maskujacy, ale nie byl to ani oliwkowobrazowy mundur, ani bezowy, taki jak nosilo wojsko podczas operacji Pustynna Burza. Byl ubrany w dzinsy, pare reebokow, koszule robocza i szara wiatrowke upstrzona plamami farby. Na pasku wisial telefon komorkowy i dluga tasma miernicza. Wygladal jak zwykly manhattanski robotnik i wybral ten stroj, by nikogo nie dziwily rekawice, jakie nosil mimo cieplej wiosennej pogody.

Wyszedl z baru.

Wciaz mnostwo ludzi. Ale rece mial juz czyste i przestal sie kulic.

Przystanal na rogu, by spojrzec w glab ulicy na dom, w ktorым mieszkali Maz i Zona, ale teraz tylko Zona, bo Maz zostal rozerwany na milion malych kawaleczkow nad ziemia.

Dwoje swiadkow jeszcze zylo i oboje musieli zginac, zanim w poniedzialek rano zbierze sie sad przysieglych. Rzucil okiem na masywny stalowy zegarek. Wpol do dziesiatej rano, sobota.

Zolnierzu, wystarczy czasu na oboje?

Teraz moze nie na oboje, ale melduje, ze mam jeszcze czterdziesti osiem godzin. To wiecej niz dosc, zeby zlokalizowac i zneutralizowac obydwu cele.

Zolnierzu, czy potrafisz sprostac temu wyzwaniu?

Melduje, ze zyje dla wyzwania.

Przed domem stal tylko jeden woz policyjny. Tak jak sie spodziewal.

W porzadku, znamy juz strefe razenia przed domem, w srodku jeszcze nie...

Rozejrzal sie po ulicy i ruszyl dalej, czujac, jak swedza go wyszorowane dlonie. Plecak wazyl blisko szescdziesiat funtow, ale Stephen prawie tego nie czul. Jego ciało skladalo sie przede wszystkim z miesni.

Idac, wyobrazil sobie, ze jest stad. Anonimowy przechodzien. Nie myslal o sobie jako o Stephenie ani panu Kallu, ani Toddzie Johnsonie czy Stanie Bledsoe, ani o nikim noszacym jedno z kilkadziesieciu przybranych nazwisk, jakich uzywal w ciagu ostatnich dziesieciu lat. Prawdziwe nazwisko bylo jak zapomniany przyrzad gimnastyczny, rdzewiejacy gdzies na podworku, który wprawdzie istnial, ale go sie nie zauwazalo.

Skrecil gwałtownie do budynku znajdujacego sie naprzeciw domu Zony. Pchnal drzwi wejsciowe i ze srodka wyrzyl na zewnatrz, wpatrujac sie w duze okna frontowe, czesciowo zasloniete kwitnacymi galeziami derenia. Nalozyl specjalne zolte okulary strzeleckie i oslepiajacy blask odbity od szyby zniknal. Zobaczyl poruszajace sie wewnatrz postacie. Jeden... nie, dwoch gliniarzy. Czlowiek stojacy plecami do okna. Moze Przyjaciel, ostatni swiadek, ktorego mial zabic. I... tak! Zona tez tu byla. Niska. Pospolita. Chlopieca. Ubrana w biala bluzke. Dobry cel.

Odeszla w glab domu.

Stephen pochylil sie i rozpial plecak.

Rozdział czwarty

Przeniesiono go na wozek Storm Arrow w pozycji siedzącej.

Potem Rhyme przejął kierowanie wozkiem, sciskając w ustach plastikową słomkę pneumatycznego sterowania. Wjechał do małej windy - za jej drzwiami znajdował się kiedyś zwykły schowek - i po chwili znalazł się na parterze.

W roku 1890, kiedy zbudowano dom, pomieszczenie, w którym znalazł się teraz Lincoln Rhyme, było salonikiem przylegającym do jadalni. Gipsowo-drewniana konstrukcja, sufitowa sztukateria zdobna w burbonskie lilie, lukowo sklepione wneki i solidne, debowe deski podłogi trzymały się razem niczym zespawana stal. Jednak architekt byłby przerażony, gdyby zobaczył, że Rhyme kazał zburzyć ścianę rozdzielającą pokoje, a w pozostałych ścianach wybić wielkie dziury, by przeprowadzić dodatkowe przewody elektryczne. Połączone pokoje stanowiły teraz zabalaganioną przestrzeń, w której nie było szkła od Tiffany'ego ani nastrojowych pejzazy George'a Innessa, ale dzieła nieco innej sztuki: probówki do oznaczania gęstości, komputery, mikroskopy optyczne, mikroskopy sprężone, chromatograf gazowy ze spektrometrem masowym, źródło zmiennego światła PoliLight, ramki dymne do wywoływania odcisków linii papilarnych. Na widocznym miejscu w kacie stał bardzo drogi elektronowy mikroskop skaningowy, połączony z urządzeniem rozpraszającym promienie rentgenowskie. Oczywiście były tu także pospolite narzędzia laboratoryjne wykorzystywane w kryminalistyce: gogle, lateksowe rękawice odporne na działanie środków czyszczących, zlewki, srubokrety i kleszcze, łyżeczki do badań zwłok, szczypce, skalpele, zaciski do języka, tampony bawełniane, słojeczki, plastikowe torebki, tace do badań, sondy. Kilkanastce par chinskich paleczek (Rhyme kazał asystentom brać dowody rzeczowe paleczkami, tak jak chinszczyzna u Ming Wa). Rhyme podjechał łsniając czerwonym wozkiem do stołu. Thom umieścił na jego głowie mikrofon i włączył komputer.

Chwile potem w drzwiach staneli Sellitto i Banks, a za nimi pojawił się przybyły przed chwilą człowiek. Był wysoki i długonogi, o skórze ciemnej jak mahon. Miał na sobie zielony garnitur i wściekle żółta koszula.

- Witaj, Fred.

- Cześć, Lincoln.

- Hej. - Wchodząc do pokoju, Sachs skinęła Fredowi Dellrayowi głową. Wybaczyła mu już, że nie tak dawno ją aresztował - mała sprzeczka między policją a federalnymi - i teraz te wysoka, piękna policjantka i wysokiego agenta-dziwaka łączyła nic zagadkowej sympatii. Rhyme doszedł do przekonania, że oboje są gliniarzami od ludzi (on sam uważał się za gliniarza od dowodów). Dellray nie dowierzał badaniom kryminalistycznym, podobnie jak Rhyme nie dowierzał zeznaniom świadków. Natomiast była policjantka ze służby patrolowej, Sachs - coż, Rhyme nie mógł zmienić jej naturalnych skłonności, ale postanowił zmusić ją, by odłożyła swój talent na polkę i została najlepszym specem kryminalistycznym w Nowym Jorku, a może w całym kraju. Mogła z łatwością osiągnąć ten cel, nawet jeśli sama nie zdawała sobie z tego sprawy.

Dellray przemierzył długim krokiem pokój, zatrzymał się pod oknem i skrzyżował kosciste ramiona. Nikt - nie wyłączając Rhyme'a - nie potrafił rozgryźć agenta. Mieszkał sam w małym mieszkaniu na Brooklynie, uwielbiał literaturę piękną i filozofię, a jeszcze bardziej lubił grać w bilarda w obskurnych barach. Freda Dellraya, kiedyś najjasniej błyszcząca gwiazda wśród tajniaków FBI, jeszcze od czasu do czasu określano dawnym przydomkiem „Kameleon” - nadanym mu w uznaniu niesamowitych zdolności przeistaczania się w osobę, którą miał udawać podczas misji. Miał na koncie ponad tysiąc aresztowań. Zbyt długo jednak działał jako tajny agent i „przesilił się”, jak mówiono w żargonie federalnych. W każdej chwili groziła mu śmierć, gdyby rozpoznał go jakiś dealer narkotyków czy boss mafii. Bardzo niechętnie zgodził się więc przejść do pracy administracyjnej i został szefem innych agentów i tajnych informatorów.

- Chłopcy powiedzieli, że macie coś nowego o Trumniarzu - mruknął Dellray, z akcentem nie tyle murzyńskim, ile... Dellrayowskim. Język, jakim się posługiwał, był w dużej mierze, podobnie jak jego życie, efektem improwizacji.

- Jakies wieści o Tony? - spytał Rhyme.

- O moim chłopaku, co zaginał? - rzekł Dellray, krzywiąc gniewnie twarz. - Ani słowa.

Tony Panelli, agent, który kilka dni temu zniknął przed budynkiem FBI, zostawił żonę, szarego fordą z włączonym silnikiem i trochę ziaren tajemniczego piasku - gładkich asteroid, które miały udzielić odpowiedzi, lecz dotychczas zawsze milczały.

- Kiedy będziemy mieli Trumniarza - powiedział Rhyme - wrócimy do tego z Amelia. Na całego, obiecuje.

Dellray ze złością przytknął w papierosa zatkniętego za uchem.

- Trumniarz... cholera jasna. Lepiej tym razem dobierzcie mu się do dupy. Cholera.

- A co z wczorajszym zamachem? - odezwała się Sachs. - Mamy jakieś szczegóły?

Sellitto poszperał w pliku faktów i własnych odrecznych notatek. Po chwili unosił głowę.

- Ed Carney wystartował z lotniska Mamaroneck wczoraj około dziewiętnastej piętnastce. Firma - Hudson Air - zajmuje się czarterem. Przewozi ładunki, zorganizowane grupy pasażerów i tak dalej.

Samoloty maja w leasingu. Wlasnie podpisali nowy kontrakt na przewoz organow do przeszczepow na linii Srodkowy Zachod-Wschodnie Wybrzeze. W dzisiejszych czasach w transporcie tego rodzaju jest spora konkurencja.

- Krwiozercza - rzekl Banks i tylko on skwitowal wlasny dowcip usmiechem.

- Klientem Hudson Air byla firma Amer-Med z siedziba w Somers - ciagnal Sellitto. - Obsluguje siec klinik komercyjnych. Carney mial bardzo napiety rozklad lotow. Najpierw lecial do Chicago, potem do Saint Louis, Memphis, Lexington i Cleveland, przystanek w Erie w Pensylwanii i rano powrot do domu.

- Mieli pasazerow? - spytal Rhyme.

- Calych nie - odparl Sellitto. - Nie, tylko ladunek organow. Wczesniej wszystko przebiegalo zgodnie z planem. Potem, po dziesieciu minutach krazenia nad O'Hare, wybuchla bomba. Rozerwala samolot na strzepy. Zginal Carney i drugi pilot. Na ziemi zostaly ranne cztery osoby. Nawiasem mowiac, zona Carneya zamierzala leciec razem z nim, ale zachorowala i musiala zrezygnowac.

- Jest raport z Rady Bezpieczenstwa Transportu? - zapytal Rhyme. - Nie, pewnie jeszcze nie ma.

- Raport bedzie dopiero za dwa, trzy dni.

- Nie mozemy czekac tyle czasu! - jeknal glosno Rhyme. - Musze go miec teraz!

Na jego szyi widac bylo rozowa blizne po rurce aparatu. Rhyme sam odzwyczail sie od sztucznego pluca i teraz oddychal na calego. Lincoln Rhyme byl sparalizowanym czlowiekiem, ktory umial wzdychac, kaszlec i krzyczec jak marynarz.

- Musze wszystko wiedziec o bombie.

- Zadzwoenie do kumpla w Chicago - powiedzial Dellray. - Jest mi cos winien. Powiem mu co i jak, i niech nam przysle wszystko, co maja, migiem.

Rhyme skinal glowa i zastanowil sie nad tym, co mowil Sellitto.

- Dobra, mamy dwa miejsca zbrodni. Lotnisko w Chicago. Tam juz za pozno na cokolwiek, Sachs. Zapaprane jak diabli. Mozemy miec tylko nadzieje, ze ludzie z Chicago przynajmniej zrobili to porzadnie. Drugie miejsce to lotnisko w Mamaroneck - gdzie Trumniarz podlozyl bombe.

- Skad wiadomo, ze zrobil to na lotnisku? - spytala Sachs. Zwinela swoje olsniewajace rude wlosy w wezel i upiela je na czubku glowy. Takie wspaniale pukle stanowily niebezpieczenstwo przy ogladzinach miejsca zbrodni; mogly zanieczyscic dowody. Sachs chodzila wiec do pracy uzbrojona w glocka 9 i kilkanascie spinek do wlosow.

- Sluszenie, Sachs. - Uwielbial, kiedy ubiegala jego mysli. - Nie wiadomo i nie dowiemy sie, dopoki nie stwierdzimy, gdzie podlozono bombe. Mogla byc w ladunku, w bagazu podrecznym, w dzbanku z kawa.

Albo w koszu na smieci, pomyslal ponuro, znow przypominajac sobie eksplozje przy Wall Street.

- Chce dostac jak najszybciej kazdy najdrobniejszy kawalek tej bomby. Musimy ja miec - rzekl Rhyme.

- Linc - powiedzial wolno Sellitto. - W momencie wybuchu samolot byl mile nad ziemia. Pomysl, w jakim promieniu rozrzucilo szczatki.

- Nic mnie to nie obchodzi - odparl Rhyme, czujac bol miesni karku. - Ciagle ich szukaja?

Miejsca katastrof lotniczych przeszukiwaly miejscowe sluzby, ale sledztwo nalezalo do federalnych, wiec Fred Dellray zadzwonil do agenta specjalnego FBI w Chicago.

- Powiedz mu, ze musimy otrzymac kazda drobine ze sladami ladunku. Chocby nanogramowa. Chce miec te bombe.

Dellray przekazal jego slowa przez telefon. Po chwili pokrecil glowa.

- Skonczyli juz zabezpieczanie sladow.

- Co? - krzyknal Rhyme. - Po dwunastu godzinach? To kpiny. Karygodne!

- Musieli udostepnic ulice. Powiedzial...

- Wozy strazackie! - zawolal Rhyme.

- Co?

- Kazdy woz strazacki, karetka, radiowoz... wszystkie pojazdy, ktore byly na miejscu wypadku. Trzeba oskrobac opony.

Pociagla, ciemna twarz Dellraya wpatrywala sie w niego.

- Chcesz to powtorzyc? Mojemu bylemu dobremu koledze? - Podsunal mu sluchawke.

Rhyme zignorowal gest i powiedzial do Dellraya:

- Opony wozow ratowniczych to jedno z najlepszych zrodel dowodow rzeczowych w zanieczyszczonych miejscach zbrodni. To one przyjezdza pierwsze, zwykle maja nowe opony z glebokim bieznikiem i prawdopodobnie nie jada nigdzie indziej, tylko na miejsce wypadku i z powrotem. Chce, zeby oskrobali opony i przyslali mi slady.

Dellray zdolal wymoc na ludziach z Chicago obietnice, ze zeszkrobia material z tylu wozow, z ilu sie da.

- Nie „z ilu sie da” - zawolal Rhyme. - Ze wszystkich!

Dellray przewrocil oczami i przekazal jego slowa, po czym odlozyl sluchawke.

Nagle Rhyme krzyknal:

- Thom! Thom, gdzie jestes?

Wchwile pozniej w drzwiach ukazal sie zdyszany asystent.

- Robie pranie.

- Daj spokoj z praniem. Musimy zrobic plan. Pisz, pisz...

- Co mam pisac, Lincoln? Gdzie?

- Na tablicy, tej duzej. - Rhyme spojrzal na Sellitta. - Kiedy zbiera sie sad przysieglych?

- W poniedzialek o dziewiatej.

- Prokurator bedzie chcial, zeby przyjechali wczesniej... przywioza ich miedzy szosta a siodma. - Rzucil okiem na zegar scienny. Byla dziesiata rano, sobota.

- Mamy dokladnie czterdziesci piec godzin. Thom, pisz: „Czterdziesci piec godzin - godzina pierwsza”.

Chlopak zawahal sie.

- Pisz!

Napisal.

Rhyme spojrzal po twarzach obecnych. Popatrywali na siebie niepewnie, Sachs miala sceptyczna mine. Uniosla dlon i bezwiednie podrapala sie w glowe.

- Sadszicie, ze przesadzam? - zapytal. - Czy waszym zdaniem nie powinnismy nieustannie o tym pamietac?

Przez chwile wszyscy milczeli. W koncu odezwal sie Sellitto:

- Linc, chyba nic sie przez ten czas nie stanie.

- Alez stanie sie - powiedzial Rhyme, patrzac na sokola, ktory bez wysilku wzbil sie nad Central Park. - Do siodmej rano w poniedzialek albo bedziemy mieli Trumniarza, albo zgina pozostali swiadkowie. Nie ma innej mozliwosci.

Ciezka cisze, jaka zapadla po tych slowach, przerwal dzwiek telefonu komorkowego Banksa. Detektyw sluchal przez minute, po czym uniosl wzrok.

- Jest cos.

- Co? - spytał Rhyme.

- Dzwonili opiekunowie pani Clay i drugiego świadka, Brittona Hale'a.

- Co z nimi?

- Sa u niej w domu. Pani Clay twierdzi, że przez kilka dni na ulicy przed domem parkowała czarna furgonetka, której nigdy wcześniej nie widziała. Z rejestracją z innego stanu.

- Zapamiętała numery? Wie, z jakiego stanu?

- Nie - odrzekł Banks. - Powiedziała, że wieczorem, gdy jej mąż pojechał na lotnisko, samochód zniknął.

Sellitto spojrzał na niego uważnie. Rhyme ponaglił go ruchem głowy.

- I?

- Dzisiaj rano samochód znowu stał pod domem. Teraz go nie ma. Mówiła...

- O, Boże - szepnął Rhyme.

- O co chodzi? - spytał Banks.

- Centrala! - krzyknął specjalista od kryminalistyki. - Dzwon do centrali! Natychmiast!

Przed domem Zony zatrzymała się taksówka.

Wysiadła z niej starsza kobieta, która niepewnie podeszła do drzwi.

Stephen obserwował ją czujnie.

Zołnierzu, czy to łatwy strzał?

Melduje, że dla strzelca żaden strzał nie jest łatwy. Każdy wymaga maksymalnego skupienia i wysiłku. Ale potrafi oddać strzał, który spowoduje śmiertelną ranę. Melduje, że z obydwu celów zrobię miążgę.

Kobieta weszła po schodach i zniknęła w korytarzu. Chwilę potem Stephen zobaczył jej sylwetkę w oknie salonu Zony. Dostrzegł też błysk białej tkaniny - bluzka Zony. Kobiety uściśniły się. Do pokoju weszła jeszcze jakaś postać. Gliniarz? Postać odwróciła się. Nie, to był Przyjaciół.

Obydwa cele, pomyślał podniecony Stephen, trzydziści jardów od niego.

Starsza kobieta - matka albo tesciowa - stała przed Zoną i rozmawiała z nią. Obie miały spuszczone głowy.

Jego ulubiony model 40 został w furgonetce. Nie będzie jednak potrzebował karabinu

snajperskiego, wystarczy beretta z dluga lufa. Wspaniala bron. Stara, poobijana, ale praktyczna. W przeciwienstwie do innych najemnikow i zawodowcow, Stephen nie traktowal swojej broni jak fetyszu. Gdyby najlepszym narzedziem zabicia ofiary byl kamien, uzylby kamienia.

Ocenil cel, obliczajac kat, prawdopodobne zniekształcenie wywolane przez szyby i odchylenie linii strzalu. Starsza kobieta odsunela sie od Zony i stanela na wprost szyby.

Zolnierzu, jaki jest plan akcji?

Strzeli przez okno i trafi w gorna czesc ciala starszej kobiety. Ta upadnie. Zona instynktownie pochyli sie nad nia i stanie sie latwym celem. Przyjaciel tez wbiegnie do pokoju i bedzie jak na dloni.

A co z glinami?

Niewielkie ryzyko. Policjanci z patroli w najlepszym razie byli srednimi strzelcami i prawdopodobnie nigdy jeszcze nie uzywali broni na sluzbie. Na pewno wpadna w panike.

Korytarz, w ktorym stal, byl nadal pusty.

Stephen odciagnal suwadlo, ustawil pojedynczy strzal i polozyl palec na spuscie. Otworzył drzwi, blokujac je noga, po czym rozejrzal sie po ulicy.

Nikogo.

Oddychaj, zolnierzu. Oddychaj, oddychaj, oddychaj...

Polozyl karabin w dloni. Kolba spoczywala w drugiej odzianej w rekawiczke rece. Niedostrzegalnym, plynnym ruchem zaczal naciskac spust.

Oddychaj, oddychaj.

Wpatrujac sie w starsza kobieta, zupełnie zapomniat o spuscie, celowaniu, zapomniat o pieniadzach, jakie zarobi, zapomniat o calym wszechswiecie. Po prostu trzymal nieruchoma jak skala bron, rozluznil rece i czekal, az karabin sam wypali.

Rozdział piąty

45 godzin - godzina pierwsza

Starsza kobieta ociera łzy, Zona stoi za nią z założonymi rękami.

Juz po nich, juz...

Zolnierzu!

Stephen zamarł. Rozluźnił palec leżący na spuszcze.

Swiatla!

Migające światła cicho, ale bardzo szybko zbliżały się ulica. Błyskające koguty na dachu policyjnego radiowozu. Potem jeszcze dwa samochody, następnie kilkanaście i karetka pogotowia podskakująca na wybojach. Jadąc z obu końców ulicy, kierowały się w stronę domu Zony.

Zabezpiecz broni, żołnierzu.

Stephen opuścił karabin i cofnął się w głąb mrocznego korytarza.

Policjanci potężną falą wysypali się z wozów. Rozbiegli się po chodniku, przyglądając się domom i spoglądając w górę na dachy. Gwałtownie otworzyli drzwi do domu Zony i wpadli do środka, tłukąc jakieś szkło.

Pięciu funkcjonariuszy brygady specjalnej, w pełnym uzbrojeniu, rozstawiło się wzdłuż krawężnika, zajmując dokładnie te pozycje, które należało zająć; ich oczy rozglądały się czujnie, a palce lekko obejmowały czarne spustы pistoletów. Jeśli policjanci z patroli byli kims w rodzaju trochę lepszych funkcjonariuszy drogowki, to trudno znaleźć drugich takich żołnierzy jak ludzie z nowojorskiej brygady specjalnej. Zona i Przyjaciół zniknęli, prawdopodobnie leżeli na podłodze. Starszej pani też nie było widać.

Nadjechały kolejne samochody, parkowały na chodniku.

Stephen Kall znów się kulil. Czuł się zarobaczony. Spocily mu się dłonie, więc zacisnął je w pięści, by pot wsiąkł w tkaninę rękawiczek.

Odwrot, żołnierzu...

Wywazył srubokretem zamek wewnętrznych drzwi, wcisnął się do środka i z pochyloną głową, szybkim krokiem, ale nie biegiem, skierował się do tylnego wyjścia, które prowadziło na alejkę obok domu. Nikt go nie widział, więc po chwili wysliznął się na zewnątrz. Szybko dotarł na Lexington Avenue i przedzierając się przez tłum przechodniów, zaczął iść w stronę podziemnego parkingu, gdzie zaparkował furgonetkę.

Spojrzał przed siebie.

Melduje, że mam kłopoty.

Wiecej glin.

Zamknęli Lexington Avenue trzy przecznice dalej i zacieśniali kordon wokół domu, zatrzymując samochody, przyglądając się przechodniom, chodząc od drzwi do drzwi i oświetlając latarkami wnętrza zaparkowanych aut. Stephen zobaczył dwóch gliniarzy, którzy sciskając w drżących dłoniach glocki, kazali jakiemuś człowiekowi wysiąść z wozu i zaczęli szukać czegoś pod kocami na tylnym siedzeniu. Stephen zaniepokoił się, bo mężczyzna był mniej więcej w jego wieku.

Budynek, gdzie zaparkował furgonetkę, znajdował się na terenie otoczonym przez policję. Gdyby chciał stąd wyjechać, na pewno by go zatrzymali. Kordon gliniarzy zbliżał się. Stephen zszedł na podziemny parking i otworzył drzwi furgonetki. Szybko się przebrał - zrzucił stroj robotnika i włożył niebieskie dzinsy, buty robocze (bez charakterystycznego protektora), czarna koszulka, ciemnozielona kurtka (bez napisów) i czapkę baseballową (bez żadnych znaczków klubowych). W plecaku miał laptop, kilka telefonów komórkowych, parę sztuk małej broni ręcznej oraz amunicję. Wziął więcej pocisków, lornetkę, noktowizor, narzędzia, kilka paczek materiałów wybuchowych i detonatory. Wszystkie zapasy spakował do dużego plecaka.

Model 40 spoczywał w pudle po gitarze basowej Fendera. Stephen zabrał pudło z tylnej części furgonetki i położył obok plecaka na podłodze. Zastanawiał się, co zrobić z samochodem. Nie dotykał żadnej części wozu bez rękawiczek, a w środku nie znajdowało się nic, co mogłoby zdradzić jego tożsamość. Zresztą dogdzie był kradziony i Stephen usunął znak identyfikacyjny z deski rozdzielczej i wszystkie ukryte znaki. Tablice rejestracyjne zrobił sam. Zamierzał prędzej czy później porzucić samochód i dokonać zadania bez pojazdu. Postanowił to zrobić teraz. Nakrył kanciastego dodge'a brezentową plandeką, nożem przebił opony, aby wyglądało, że furgonetka stoi tu od kilku miesięcy. Następnie ruszył do windy, która zawiozła go do budynku.

Na ulicy znów wśliznął się w tłum. Policjanci byli wszędzie. Skóra mu scierpla. Jakby obeszły ją robaki; była wilgotna. Wstąpił do budki telefonicznej i udawał, że dzwoni, pochylając głowę nad obudową aparatu. Poczul strzyki potu spływające po czole, pod pachami. Myślał: są wszędzie. Szukają go, patrzą na niego. Z samochodów. Z ulicy.

Z okien...

Znow wrocilo tamto wspomnienie...

Twarz w oknie.

Gleboko nabral powietrza.

Twarz w oknie.

To bylo niedawno. Stephen zostal wynajety do zadania w Waszyngtonie. Mial zabic pracownika Kongresu sprzedajacego tajne informacje wojskowe jakiemuś - jak przypuszczal - konkurentowi czlowieka, ktory wynajal Stephena. Czlowiek z Kongresu, co zrozumiale, bal sie panicznie i ukrywal w strzeżonym domu w Alexandrii w Wirginii. Stephen odszukal go i zdolal dotrzec do miejsca, skad mogl oddac celny strzal, choc piekielnie trudny.

Jedna szansa, jeden strzal...

Czekal na niego cztery godziny, a kiedy ofiara wreszcie przyjechala i rzucila sie do drzwi, zdolal oddac pojedynczy strzal. Wydawalo mu sie, ze celny, ale czlowiek zniknal na dziedzincu domu i Stephen stracil go z oczu.

Posluchaj, chlopcze. Sluchasz?

Tak jest.

Tropisz kazdy ranny cel i konczysz zadanie. Za sladami krwi musisz isc chocby do piekla i z powrotem.

Ale...

Nie ma zadnego ale. Upewniasz sie, ze obiekt nie zyje. Rozumiesz? Musisz to zrobic.

Tak jest.

Stephen przelazl przez ceglany murek na dziedziniec. Znalazl cialo ofiary lezace na brukowanej alejce, obok fontanny w ksztalcie koziej glowy. Strzal okazal sie smiertelny.

Ale potem zdarzylo sie cos dziwnego. Cos, od czego Stephen zadrzal, a niewiele rzeczy w zyciu przyprawialo go o drzenie. Moze to byl tylko przypadek, moze czlowiek tak upadl albo tak trafila go kula. Wygladalo, jakby ktos celowo wyciagnal mu ze spodni koszule i podwinal ja, ukazujac mala rane wlotowa tuz nad mostkiem.

Stephen obrocil sie na piecie, szukajac tajemniczej osoby. Nie, w poblizu nie bylo nikogo.

Tak w kazdym razie z poczatku pomyslal.

Potem spojrzal na druga strone dziedzinca. Znajdowala sie tam stara wozownia o brudnych oknach, ktora od tyłu oswietlala blask zachodzacego slonca. Za jednym z zakurzonych okien dostrzegl - lub wydawalo mu sie, ze dostrzegl - twarz, ktora mu sie przygladala. Nie widzial wyraznie, czy jest to mezczyzna, czy kobieta. Czlowiek w oknie w ogole nie wygladal na przestraszonego. Nie cofnal sie w glab budynku ani nie probowal uciekac.

Swiadek, zostawiles swiadka, zolnierzu!

Melduje, ze natychmiast wyeliminuje niebezpieczenstwo rozpoznania.

Gdy jednak wpadl do wozowni, w srodku nie znalazl nikogo.

Odwrot, zolnierzu...

Stephen stal w pustym budynku, ktorego okna wychodzily na oblany ostrym swiatlem zachodzacego slonca dziedziniec i jak szaleniiec zataczal kolka w miejscu.

Kto to byl? Co tu robil? Moze byl tylko wytworem jego wyobrazni? Podobnie jak ojczymowi Stephena zdawalo sie, ze w gniazdach jastrzebi na debach Wirginii Zachodniej widzi snajperow.

Twarz w oknie patrzyla na niego w sposob, w jaki czasem przygladal mu sie ojczym - nieruchomym, badawczym spojrzeniem. Stephen przypomnial sobie, co wtedy myslal mlody Stephen: Spieprzylem? Poradzilem sobie? Co on o mnie mysli?

Nie mogl dluzej czekac, wiec wrocil do hotelu w Waszyngtonie.

Stephen odniosl juz rane postrzalowa, byl pobity i zraniony nozem. Nic jednak nie wstrzasnelo nim tak, jak tanto wydarzenie w Alexandrii. Ani razu nie przesladowaly go twarze ofiar, zywe lub martwe. Lecz ta twarz w oknie byla jak pelznacy po nodze robak.

Skulil sie...

I dokladnie tak samo czul sie teraz, widzac zblizajace sie z obu koncow Lexington tyraliery policjantow. Samochody trabily, kierowcy sie niecierpliwili. Lecz gliniarze, na nic nie zwazajac, uparcie kontynuowali poszukiwania. Lada minuta mogli go zauwazyc - atletycznie zbudowanego, samotnego bialego mezczyznie z pudlem od gitary, w ktorym mogl nosic najlepszy na swiecie karabin snajperski.

Jego oczy spoczely na ciemnych i brudnych oknach wychodzacych na ulice.

Modlil sie, by nie zobaczyc wygladajacej z nich twarzy.

Zolnierzu, o czym ty mowisz, do kurwy nedzy?

Melduje, ze...

Przeprowadzic rozpoznanie.

Tak jest.

Do jego nozdrzy doszedł gorzki zapach spalenizny.

Odwrocił się i stwierdził, że stoi przed lokalem Starbucksa. Wszedł do środka, przez chwilę udawał, że studiuje menu, podczas gdy w rzeczywistości obserwował klientów.

Przy jednym stoliku, na wатыm i niewygodnym krzeselku siedziała samotnie dość pulchna kobieta. Czytała czasopismo, trzymając w dłoni spory kubek herbaty. Była przysadzista, miała niewiele ponad trzydzieści lat, szeroka twarz i pokazny nos. Lesbijka...?

Nie, chyba jednak nie. Studiując numer „Vogue'a”, miała w oczach raczej zawiesz niż pozadanie.

Stephen kupił herbatkę ziołową, z rumianku. Wziął kubek i zaczął iść w stronę stolika pod oknem. Kiedy mijał grubą kobietę, kubek wysliznął mu się z dłoni, lądując na drugim krzesle, a gorąca herbata rozprysła się po całej podłodze. Kobieta odruchowo cofnęła się, z zaskoczeniem spoglądając na przerażoną minę Stephena.

- Boże drogi - wyszeptał. - Tak mi przykro! - Złapał garsc serwetek. - Mam nadzieję, że pani nie oparzyłem!

Percey Clay uwolniła się z rąk młodego detektywa, który przycisnął ją do podłogi.

Matka Eda, Joan Carney, leżała kilka stop dalej, a na jej twarzy malowały się szok i zaskoczenie.

Brit Hale stał, ale przycisnięty do ściany przez dwóch gliniarzy. Wyglądało, jak gdyby go aresztowali.

- Przepraszam, pani Clay - rzekł jeden z policjantów. - My właśnie...

- Co się dzieje? - pytał szczerze zdumiony Brit. W przeciwieństwie do Eda, Rona Talbota i samej Percey nie miał wcześniej do czynienia z armią i nie brał udziału w żadnej walce. Był jednak nieustraszony. Nigdy nie nosił tradycyjnych koszul pilotów, białych z krótkimi rękawami, ale z długimi, aby ukryć ciemne blizny po oparzeniach, pamiątkę po wypadku sprzed kilku lat, kiedy wszedł do płonącej cessny 150, by uratować pilota i pasażera. Lecz takie rzeczy jak przestępstwo i celowe czynienie zła były mu zupełnie obce.

- Dostaliśmy telefon od grupy specjalnej - wyjaśnił detektyw. - Ich zdaniem człowiek, który zabił pana Carneya, wrócił. Prawdopodobnie ze względu na państwa oboje. Pan Rhyme sądzi, że to zbrojca był kierowcą czarnej furgonetki, która dziś pani widziała.

- Ci ludzie mieli nas pilnować - warknęła Percey, wskazując głową dwóch wcześniej przybyłych policjantów.

- Jezu - mruknął Hale, wyglądając przez okno. - Pod domem jest chyba że dwudziestu gliniarzy.

- Proszę nie podchodzić do okna - polecił mu stanowczym głosem detektyw. - On może siedzieć

na dachu. Miejsce nie jest jeszcze bezpieczne.

Percey usłyszała tupot nog na schodach.

- Na dachu? - powtórzyła cierpko. - A może przebija tunel do piwnicy? - Otoczyła ramieniem pani Carney. - Nic ci nie jest, mamó?

- Co się dzieje, o co chodzi?

- Mogą być państwo w niebezpieczeństwie - powiedział policjant. - Pani nie - dodał, zwracając się do matki Eda. - Ale pani Clay i pan Hale. Dlatego że są świadkami w pewnej sprawie. Mamy zabezpieczyć teren i oddać ich grupie specjalnej.

- Rozmawiali z nim już? - spytał Hale.

- Jeszcze nie wiadomo, kto to jest.

- Mam na myśli człowieka, przeciw któremu mamy zeznawać - odrzekł Brit. - Hansena.

Świat Hale'a był światem logiki. Światem ludzi rozsądnych. Maszyn, cyfr i układów hydraulicznych. Jego trzy małżeństwa zakończyły się niepowodzeniem, ponieważ największe uczucie żywił do aerodynamiki, a najlepiej czuł się w kabinie pilotów, gdzie niepodzielnie rządziła logika. Hale odgarnął z czoła włosy i rzekł:

- Wystarczy go zapytać. Powie wam, gdzie jest zbrojca. Przecież to on go wynajął.

- Nie sądzę, żeby to było takie proste.

W drzwiach pojawił się jeszcze jeden policjant i zameldował:

- Ulica bezpieczna.

- Zechcą państwo iść z nami. Oboje.

- A co z matką Eda?

- Mieszka pani w okolicy? - zapytał policjant.

- Nie. Zatrzymałam się u siostry - odrzekła pani Carney. - W Saddle River.

- Odwieziemy tam panią i wystawimy przed domem kogoś z policji New Jersey. Pani nie ma związków z tą sprawą, więc jestem pewien, że nie ma powodów do niepokoju.

- Och, Percey.

Kobiety padły sobie w objęcia.

- Wszystko będzie dobrze, mamó. - Percey z trudem powstrzymywała łzy.

- Nie, nie będzie - powiedziała watła kobieta. - Nigdy już nie będzie dobrze...

Funkcjonariusz zaprowadził ją do radiowozu.

Percey patrzyła, jak samochód odjeżdża, a potem zapytała policjanta stojącego obok:

- Dokąd jedziemy?

- Na spotkanie z Lincolnem Rhyme'em.

Inny gliniarz rzekł:

- Wyjdziemy z domu razem, beda panstwo szli między dwoma funkcjonariuszami. Proszę trzymać głowy opuszczone i nie podnosić ich pod żadnym pozorem. Idziemy do tamtej furgonetki, drugiej, widza panstwo? W samochodzie proszę nie wyglądać przez okna i zapisać pasy. Będziemy jechać dość szybko. Jakies pytania?

Percey otworzyła piersiówkę i pociągnęła łyk burbona.

- Tak. Kto to jest Lincoln Rhyme?

- Pani ja uszyła? Sama?

- Tak - powiedziała kobieta, obciągając wyszywaną kamizelkę, która podobnie jak spodnica w kratę była odrobinę za duża, aby zamaskować jej obfita figurę. Ścieg przypominał pierscienie na ciele dżdżownic. Wzdrygnął się z obrzydzeniem.

Mimo to uśmiechnął się i powiedział:

- Zdumiewające. - Wcześniej stał rozlana herbata i przeprosił ją jak dżentelmen, którego od czasu do czasu umiał udawać jego ojczym.

Zapytał, czy może się przysiąść do jej stolika.

- Hm, chyba tak - rzekła zawstydzona, chowając „Vogue'a” do płóciennej torby, jak gdyby było to piśmiśko pornograficzne.

- Ach, przy okazji - powiedział Stephen. - Nazywam się Sam Levine.

Na dźwięk tego nazwiska przyjrzała się nieufnie jego aryjskim rysom.

- Przeważnie wystarcza Sammie - dodał. - Tylko kiedy coś przeszkobie, mama nazywa mnie Samuelem. - Zachichotał.

- Będzie cie nazywać „przyjacielem” - oznajmiła. - Jestem Sheila Horowitz.

Zerknął za okno, aby umknąć zetknięcia z wilgotną dłonią, zakończoną miękkimi robakami.

- Milo mi - rzekl, odwracajac sie do niej z powrotem i popijajac nowa herbatke. Miala ohydny smak. Sheila zauwazyła, ze jej dwa kwadratowe paznokcie sa brudne. Zaczela dyskretnie usuwac zza nich czarny osad.

- To mnie uspokaja - wyjasnila. - Szycie. Mam starego singera, jeszcze z tych czarnych. Dostalam od dziadkow. - Probowala przygladziec blyszczace, krotkie wlosy, zalujac zapewne w duchu, ze ich dzis nie umyla; wlasnie dzis.

- Nie znam juz zadnych dziewczyn, ktore by szuly - powiedzial Stephen. - Kiedys, w college'u, chodzilem z jedna, ktora sama szyla sobie prawie wszystko. Bylem pod wrazeniem.

- W Nowym Jorku nikt, ale to nikt sobie sam nie szyje. - Usmiechnela sie szyderczo.

- Moja matka potrafila szyc calymi godzinami - rzekl Stephen. - Kazdy szew musial byc idealny. Naprawde idealny. Rowniutki, dlugosci jednej trzydziestej drugiej cala. - Mowil prawde. - Do dzis mam rzeczy, ktore mi uszyla. Moze to glupie, ale trzymam je wlasnie dlatego, ze ona je zrobila. - Teraz klamal.

Stephen wciaz slyszal dzwiek singera dochodzacy z malego, dusznego pokoiku matki. Dzień i noc. Kazdy szew jak nalezy, trzydziesta druga czesc cala. Dlaczego? Bo to wazne! Linijka, pas, kurek karabinu...

- Wietszosci facetow szycie nic nie obchodzi - powiedziala Sheila Horowitz, akcentujac drugie slowo, co pozwalalo sie domyslac, jak wyglada jej zycie. - Chca, zeby dziewczyny uprawialy sport albo znaly sie na filmach. Ja tez uprawiam sport - dodala szybko. - Jezdze na nartach, zaloze sie, ze nie tak dobrze jak ty. Lubie chodzic do kina. Na niektore filmy.

- Wcale nie jezdze na nartach - powiedzial Stephen. - Nie przepadam za sportem. - Wyjrzal na ulice. Gliniarze byli wszedzie. Zagladali do kazdego samochodu. Mrowie niebieskich robakow...

Melduje, ze nie rozumiem, po co prowadzi te ofensywe.

Zolnierzu, twoje zadanie nie polega na rozumieniu. Masz przeprowadzic rozpoznanie, oenic sytuacje, zmylic wroga, odizolowac i wyeliminowac cel. Oto twoje jedyne zadanie.

- Slucham? - rzekl, nie uslyszawszy, co powiedziala Sheila.

- Mowilam, zebys sie nie zgrywal. Musialabym cwiczyc kilka miesiecy, zeby byc w takiej formie jak ty. Zamierzam zapisac sie do klubu tenisowego. Tylko ze mam klopoty z kregoslupem. Ale naprawde chce to zrobic.

Stephen sie rozesmial.

- Wiesz, mam dosc tych dziewczyn o chorym wygladzie. Wszystkie sa takie blade i chude. Gdybys wziala taka dziewczyne z telewizji i przeniosla w sredniowiecze, na pewno krol wezwalby nadwornego medyka, a ten by mu powiedzial: „Biedactwo umiera, najjasniejszy panie”.

Sheila spojrzala na niego zaskoczona, a po chwili ryknela gromkim smiechem, ukazujac uzebienie w rozpaczliwym stanie. Zart dal jej pretekst, by polozyc dlon na jego ramieniu.

Stephen poczul, jak piec ciastowa tych robakow ugniata mu skore, i z trudem opanowal mdlosci.

- Moj tata - powiedziala - byl zawodowym wojskowym i duzo podrozowal. Mowil mi, ze w innych krajach uwazaja, iz amerykanske dziewczyny sa chude.

- Byl zolnierzem? - zapytal z usmiechem Sam Sammie Samuel Levine.

- Pulkownikiem.

- Aha...

Za duzo szczescia? - pomyslal. Nie.

- Ja tez jestem w wojsku. Mam stopien sierzanta.

- Naprawde? Gdzie stacjonujesz?

- Jednostka specjalna, w New Jersey. - Dziewczyna na pewno wie, ze o jednostke specjalna nie nalezy pytac. - Ciesze sie, ze masz zolnierza w rodzinie. Czasami nie mowie ludziom, co naprawde robie. Uwazaja, ze to niezbyt fajne zajecie. Zwlaszcza tutaj, w Nowym Jorku.

- Nie przejmuj sie tym. Dla mnie to bardzo fajne. - Pokazala futeral na gitare. - Jestes tez muzykiem?

- Niezupelnie. Jestem wolontariuszem w domu dziennej opieki. Ucze dzieciaki muzyki. Bas swietnie sie do tego nadaje.

Spojrzal za okno. Blyskajace swiatla. Niebiesko-bialo. Przemkнал radiowoz.

Przysunela swoje krzeslo blizej i Stephena owional obrzydliwy zapach. Znowu sie skulil, widzac w wyobrazni, jak spomiedzy jej tlustych wlosow wypelza robactwo. O malo nie zwymiotowal. Przeprzil ja na chwile i poszedl do toalety, gdzie przez trzy minuty szorowal rece. Kiedy wrocil, zauwazyl dwie rzeczy: rozpiety gorny guzik bluzki Sheili i z tysiac kocich wlosow na plecach jej kamizelki. Wedlug Stephena koty byly niczym wiecej jak tylko czworonogimi robakami.

Spojrzal na ulice i stwierdzil, ze kordon policjantow jest coraz blizej knajpki. Zerknal na zegarek i powiedzial:

- Zaraz musze odebrac kota od weterynarza, jest...

- Masz kota? Jak ma na imie? - Pochylila sie nad stolikiem.

- Kumpel.

Jej oczy rozblyly.

- Och, jak slicznie. Masz jego zdjecie?

Pieprzonego kota?

- Przy sobie nie. - Westchnal z zalem.

- Biedniutki Kumpel zachorowal?

- Nie, jest na badaniach kontrolnych.

- Och, to dobrze. Musisz uwazac na te robaki.

- Co? - spytal z naglym niepokojem.

- No wiesz, zwierzaki lapia rozne swinstwa.

- Ach, no jasne.

- Hm, jezeli bedziesz mily, przyjacielu - powiedziala spiewnie Sheila - moze przedstawie cie Garfieldowi, Andrei i Essie. Essie naprawde nazywa sie Esmeralda, ale nigdy sie z tym nie umiala pogodzic.

- Fantastyczne - rzekl, ogladajac zdjecia, ktore Sheila wyciagnela z portfela. - Strasznie chcialbym je poznac.

- Wiesz - zaczela szybko. - Mieszkam tylko trzy przecznice stad.

- Mam pomysl. - Stephen rozpromienil sie. - Moze pozwolisz mi zostawic u siebie ten majdan i poznam twoje malenstwa. A potem pomozesz mi odebrac Kumpla.

- Suuuper - odrzekla Sheila.

- Chodźmy.

Na ulicy powiedziala do niego:

- O, alez tu policji. Co sie dzieje?

- Nie wiem. - Stephen zarzucil plecak na ramie. Cos zadzwieczalo metalicznie. Moze granat stuknal w berette.

- Co tam masz?

- Instrumenty dla dzieciakow.

- Aha, takie trojkaty?

- Tak, cos w tym rodzaju.
- Chcesz, zebym poniosla gitare?
- A moglabys?
- Jasne. Nic mi sie nie stanie.

Wziela pudlo fendera, potem ujela pod ramie Stephena i poszli, mijajac grupke gliniarzy, zdajacych sie nie dostrzegac pary zakochanych. Znikneli w glebi ulicy, smiejac sie i rozmawiajac o swoich uroczych kotach.

Rozdział szesty

45 godzin - godzina pierwsza

W drzwiach pokoju Lincolna Rhyme'a ukazał się Thom, wprowadzając jakiegoś człowieka.

Szczupły, pięćdziesięciokilkuletni, krótko ostrzyżony mężczyzna. Kapitan Bo Haumann, szef jednostki szybkiego reagowania w Departamencie Policji Nowego Jorku - brygady antyterrorystycznej. Siwy i muskularny Haumann wyglądał jak srogi sierżant od musztry, którym zresztą był kiedyś w wojsku. Mówił powoli i zwieźle, patrząc rozmowcy prosto w oczy, bez cienia uśmiechu. Podczas akcji ubrany w kamizelkę kuloodporną i hełm, zwykle jako jeden z pierwszych wchodził do zabarykadowanych budynków.

- To naprawdę on? - spytał kapitan. - Trumniarz?

- Tak słyszeliśmy - odparł Sellitto.

Krotka chwila milczenia była bardziej wymowna niż głębokie westchnienie. Potem siwowłosego policjant powiedział:

- Dam wam dwa zespoły trzydziści dwa E.

Funkcjonariusze 32-E, nazywani tak od numeru pokoju, który zajmowali w centrali policji, stanowili tajemnicę poliszynele. Oficjalna nazwa brzmiała Oddział do Zadań Specjalnych, a należeli do niego byli żołnierze, bezustannie szkoleni w całej procedurze działań rozpoznawczych - a także w ataku, strzelaniu i odbijaniu zakładników. Nie było ich wielu. Mimo reputacji miasta, w Nowym Jorku zdarzało się bardzo mało sytuacji, w których oddział mógł się wykazać swymi umiejętnościami, a negocjatorom - uważanym za najlepszych w kraju - zwykle udawało się rozwiązać kryzys i uwolnić zakładników bez uciekania się do użycia siły. Jeśli Haumann przeznaczy do sprawy Trumniarza dwa zespoły, czyli dziesięciu ludzi, będzie to prawie cała grupa 32-E.

W chwili później do pokoju wszedł drobny, lysiejący mężczyzna w niemodnych okularach. Mel Cooper był najlepszym specjalistą od kryminalistyki w wydziale wsparcia dochodzeniowego, którym kiedyś kierował Rhyme. Nigdy nie zabezpieczał miejsca zbrodni, nie aresztował żadnego sprawcy,

prawdopodobnie zapomnial, jak sie obchodzic z pistoletem, ktory z koniecznosci nosil zawieszony na pasku. Ulubionym miejscem na swiecie, z ktorego Cooper najchetniej nigdzie by sie nie ruszal, byl taboret w laboratorium - nade wszystko Mel lubil gapic sie w mikroskop i analizowac odciski linii papilarnych (lubil tez parkiet w sali balowej, gdzie jako niezrownany tancerz zgarnal kilka nagrod w konkursach tanga).

- Detektywie - rzekl Cooper, zwracajac sie do Rhyme'a jak dawniej, gdy przeszedl do nowojorskiej policji z departamentu Albany. - Myslam, ze mam pracowac nad piaskiem. Podobno chodzi o Trumniarza. - Jest tylko jedno miejsce, gdzie plotka roznosi sie predzej niz na ulicach, pomyslal Rhyme - departament policji. - Tym razem bedziemy go mieli, Lincoln. Bedziemy.

Podczas gdy Banks relacjonowal nowo przybylym sytuacje, Rhyme mimowolnie uniosl wzrok. Ujrzal stojaca w drzwiach laboratorium kobiete. Ciemne oczy badawczo lustrowaly pokoj. Nie zdradzala ani sladu leku czy niepokoju.

- Pani Clay? - zapytal.

Skinela glowa. Obok niej stanal szczuply mezczyzna. Rhyme domyslil sie, ze to Britton Hale.

- Prosze wejsc - powiedzial Rhyme.

Wkroczyła na srodek pokoju, zerknela na Rhyme'a, potem na sprzet pod sciana i stojacego obok Mela Coopera.

- Percey - powiedziala. - Prosze mi mowic Percey. To pan jest Lincoln Rhyme?

- Zgadza sie. Przykro mi z powodu pani meza.

Skwitowala to krotkim skinieniem glowy. Wspolczucie widocznie ja krepowalo.

Tak jak mnie, pomyslal Rhyme.

- Pan Hale? - spytal stojacego obok Percey mezczyzne.

Tykowaty pilot kiwnal glowa i podszedl, by podac mu reke, ale zauwazyl, ze ramiona Rhyme'a sa przypiete do wozka.

- Och - baknal zarumieniony i cofnal sie.

Rhyme przedstawil im reszte grupy, wszystkich poza Amelia Sachs, ktora na jego usilne prosby poszla na gore zmienic mundur na pare dzinsow i bluze, wiszace w szafce Rhyme'a. Wyjasnil jej, ze Trumniarz czesto zabija lub rani policjantow, by odwrocic uwage od wlasciwego celu; dlatego chcial, zeby wygladala jak cywil.

Percey wydobyła z kieszeni spodni srebrna piersiowke i pociagnela lyczek. Pije alkohol - Rhyme poczul won drogiego burbona - jakby to bylo lekarstwo.

Zdradzony przez własne ciało, Rhyme rzadko zwracał uwagę na cechy fizyczne innych, poza ofiarami i sprawcami. Trudno jednak było przejść obojętnie obok Percey Clay. Miała niewiele ponad pięć stop wzrostu. Mimo to promieniowała z niej jakaś intensywna energia. Jej czarne jak noc oczy były zniewalające. Dopiero po chwili wpatrywania się można było zauważyć, że ma niezbyt piękną twarz - drobną i kwadratową twarz chłopczycy. Splątane czarne, kędzierzawe włosy były krótko przycięte, choć Rhyme miał wrażenie, że dłuższe lepiej by maskowały kanciastość jej rysów. Nie przybierała manieri charakterystycznej dla niskich ludzi - którzy brali się pod boki, krzyżowali ramiona na piersi, wymachiwali rękami na wysokości ust. Rhyme zdał sobie sprawę, że Percey jest niemal tak oszczędna w gestach jak on.

Nagle przyszło mu na myśl, że ta kobieta przypomina Cyganke.

Zorientował się, że ona też mu się przygląda. I reaguje na jego ulomność inaczej niż inni. Zwykle ludzie, którzy widzieli go po raz pierwszy, z przyklejonym do twarzy głupkowskim uśmiechem czerwienili się jak burak, wbijając spojrzenie w czoło Rhyme'a, by przypadkiem nie patrzeć na jego sparalizowane ciało. A Percey rzuciła okiem na jego twarz - o harmonijnie wykrojonych ustach i nosie Toma Cruise'a, twarz, która ujmowała mu nieco z jego czterdziestu kilku lat - i przelotnie zerknęła na nieruchome nogi, ręce i tułów. Zaraz potem jej uwagę przykuł sprzęt - błyszczący wózek, sterownik pneumatyczny, słuchawki z mikrofonem i komputer.

Do pokoju wszedł Thom i podszedł do Rhyme'a, aby zmierzyć mu ciśnienie.

- Nie teraz - powiedział mu jego szef.

- Ależ teraz.

- Nie.

- Cicho - odrzekł Thom i nie zważając na nic, zmierzył mu ciśnienie. Zdjął stetoskop. - Niezłe. Ale jesteś zmęczony, za dużo pracowałeś. Powinieneś odpocząć.

- Odejdź - mruknął Rhyme. Odwrócił wózek do Percey Clay. Ze względu na jego kalectwo, goście, uważając go za niepełną istotę ludzką, często sadzili, że nie rozumie, co do niego mówią; dlatego mówili powoli, a nawet zwracali się do niego za pośrednictwem Thoma. Percey odczuwała się swobodnie, zyskując sobie u niego dodatkowe punkty.

- Sądzi pan, że Britowi i mnie grozi jakieś niebezpieczeństwo?

- Ależ tak. Bardzo poważne.

Weszła Sachs, spoglądając na Rhyme'a i Percey.

Lincoln dokonał prezentacji.

- Amelia? - spytała Percey. - Ma pani na imię Amelia?

Sachs skinęła głową.

Percey usmiechnela sie nieznacznie. Odwracajac glowe, poslala usmiech Rhyme'owi.

- Nie dostalam tak na imie na czesc tej... lotniczki - powiedziala Sachs, przypominajac sobie zapewne, ze Percey jest pilotem. - Tylko siostry mojego dziadka. Ta Amelia Earhart byla jakimś bohaterem?

- Nie - odrzekla Percey. - Niezupelnie. To tylko zbieg okolicznosci.

- Dacie jej ochrone, prawda? - odezwal sie Hale, wskazujac Percey. - Calodobowa?

- Jasna sprawa - powiedzial Dellray.

- To dobrze - zawyrokowal Hale. - Jeszcze jedna rzecz. Pomyslalem sobie, ze powinniscie pogadac z tym facetem. Phillipem Hansenem.

- Pogadac? - zdziwil sie Rhyme.

- Z Hansenem? - spytal Sellitto. - Jasne. Ale gosc wszystkiemu zaprzecza i nic nam nie powie. - Spojrzal na Rhyme'a. - Przesluchiwali go blizniacy. - Ponownie zwrocil sie do Hale'a. - Nasi najlepsi ludzie. Ale nie mieli szczescia. Na razie milczy jak grob.

- Nie mozna go zastraszcyc... czy cos w tym rodzaju?

- Hm, nie - odparl detektyw. - Nie sadze.

- Niewazne - powiedzial Rhyme. - I tak Hansen nie moze nam nic powiedziec. Trumniarz nigdy nie spotyka sie osobiscie ze swoimi klientami i nigdy im nie mowi, jak wykona zlecenie.

- Trumniarz? - spytala Percey.

- Tak nazywamy morderce. Tanczacy Trumniarz.

- Tanczacy Trumniarz? - Percey parsknela krotkim smiechem, jak gdyby ten pseudonim cos jej mowil. Nie powiedziala jednak nic wiecej.

- Troche koszmarne - rzekl niepewnie Hale, jakby gliniarze nie powinni nadawac przestepcom makabrycznych przydomkow. Rhyme podzielal opinie Hale'a.

Percey spojrzala Rhyme'owi w oczy, niemal tak czarne jak jej.

- Co sie panu stalo? Postrzal?

Sachs i Hale drgneli na tak brutalnie postawione pytanie, lecz Rhyme nie widzial w tym nic niestosownego. Lubil ludzi podobnych do siebie - ktorzy nie przywiazywali specjalnej wagi do form, jesli nie bylo trzeba. Odrzekl spokojnie:

- Zabezpieczalem miejsce zbrodni, na budowie. Spadla na mnie belka, mam zlamany kark.

- Jak ten aktor. Christopher Reeve.

- Tak.

- To musiał być dla niego cios - powiedział Hale. - Ale jaka odwaga. Widziałem go w telewizji. Gdyby mnie się to przydarzyło, chyba bym się zabił.

Rhyme zerknął na Sachs, która pochwyciła jego spojrzenie.

- Potrzebujemy pani pomocy - zwrócił się do Percey. - Musimy ustalić, jak umieścił bombę na pokładzie samolotu. Nie domyśla się pani, jak to się mogło stać?

- Nie - odparła Percey i spojrzała na Hale'a, który przecząco pokręcił głową.

- Czy przed startem samolotu nie widziała pani w pobliżu kogoś nieznanego?

- Wczoraj wieczorem źle się poczułam - odparła Percey. - Nawet nie pojechałam na lotnisko.

- Ja byłem na polnocy, na rybach - rzekł Hale. - Miałem wolne. Późno wróciłem do domu.

- Gdzie dokładnie znajdował się samolot przed startem?

- W naszym hangarze. Wyposażaliśmy go do nowego czarteru. Trzeba było wyjąć fotele, zainstalować specjalne polki z gniazdami wysokiej mocy - do urządzeń chłodzących. Wie pan, jakiego rodzaju ładunek przewożiliśmy?

- Organy - rzekł Rhyme. - Ludzkie narządy. Dzielicie hangar z jakąś inną firmą?

- Nie, należy tylko do nas. No, właściwie to go wynajmujemy.

- Łatwo się dostać do środka? - spytał Sellitto.

- Zwykle jest zamknięty, jeśli nie ma nikogo, ale przez ostatnie kilka dni ekipa pracowała przy learze dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Dobrze ich znacie? - zapytał Sellitto.

- Sa dla nas jak rodzina - obruszył się Hale.

Sellitto spojrzał wymownie na Banksa. Rhyme sadził, że zdaniem detektywa członkowie rodziny są zawsze pierwszymi podejrzаныmi w sprawach morderstw.

- W każdym razie sprawdzimy wszystkich, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

- Sally Anne kieruje naszym biurem, proszę zwrócić się do niej po listę nazwisk.

- Trzeba będzie zaplombować hangar - powiedział Rhyme. - I nie wolno nikogo tam wpuszczać.

Percey pokręciła głową.

- Nie możemy...

- Zapłombować - powtórzył. - I nikt, ale to nikt nie może wejść do środka.

- Ale...

- Musimy - uciął krótko Rhyme.

- Będziemy mieli przestój. - Percey spojrzała na Hale'a. - „Foxtrot Bravo”?

Brit wzruszył ramionami.

- Ron mówił, że to potrwa co najmniej cały dzień.

Percey westchnęła.

- Tylko learjet, którym leciał Ed, był przystosowany do przewożenia tego ładunku. Jutro wieczorem mamy w rozkładzie następny lot. Trzeba będzie pracować non stop, żeby przygotować inny samolot. Nie możemy zamknąć hangaru.

- Przykro mi - rzekł Rhyme. - Ale nie ma innego wyjścia.

Percey posłała mu zaskoczone spojrzenie.

- A kim pan jest, żeby mi mówić, co mam robić?

- Kims, kto stara się ocalić pani życie - odparował Rhyme.

- Nie mogę ryzykować utraty tego kontraktu.

- Zaraz, zaraz, droga pani - wtracił się Dellray. - Pani nie rozumie, kim jest morderca...

- Zabił mojego męża - odparła lodowatym głosem. - Doskonale rozumiem. Ale nikt mnie nie zmusi, żebym straciła pracę.

Sachs położyła dłonie na biodrach.

- Chwileczkę. Jeśli ktokolwiek potrafi uratować pani skórę, to na pewno Lincoln Rhyme. Nie można się upierać bez sensu.

Rhyme uznał, że musi przerwać kłótnię. Zapytał spokojnie:

- Da nam pani godzinę na przeszukanie hangaru?

- Godzinę? - Percey zaczęła się zastanawiać.

Sachs wybuchnela smiechem i obrocila zdumione oczy na szefa.

- Przeszukac hangar w godzine? Daj spokoj, Rhyme. - Jej twarz mowila: Ja cie bronie, a ty wyjezdzasz mi z czymy takim? Czyja trzymasz strone?

Niektorzy wysylali na miejsce zbrodni caly zespol ludzi. Rhyme jednak upieral sie, zeby Amelia Sachs pracowala sama, tak jak kiedys on. Jedna osoba potrafilo sie skoncentrowac w stopniu nieosiagalnym dla kogos pracujacego w towarzystwie innych. Godzina wydawala sie niezwykle krotkim czasem, jak na tak duzy teren i jednego czlowieka. Rhyme doskonale zdawal sobie z tego sprawe, ale nie odpowiedzial na niemy wyrzut Amelii. Nie spuszczal oczu z Percey.

- Godzina? - powtorzyla. - No, dobrze. Jakos to przezyje.

- Rhyme - zaprotestowala Sachs. - Musze miec wiecej czasu.

- Przeciez jestes najlepsza, Amelio - oswiadczył z usmiechem. Co oznaczalo, ze decyzja juz zapadla.

- Kto z lotniska moze nam pomoc? - zwrocil sie Rhyme do Percey.

- Ron Talbot. Jest wspolnikiem w firmie i szefem technicznym.

Sachs zapisala nazwisko w notesie.

- Mam juz isc? - zapytala.

- Nie - odrzekl Rhyme. - Zaczekaj, az bedziemy mieli bombe z Chicago. Bede potrzebował twojej pomocy przy analizie.

- Mam tylko godzine - powiedziala poirytowana. - Zapomniales?

- Musisz zaczekac - mruknal. Potem zapytal Freda Dellraya: - Co z bezpiecznym domem?

- Wedlug zyczenia. Spodoba sie pani - powiedzial agent do Percey. - Na Manhattanie. Dolary z pani podatkow nie ida na marne. Pilnujemy za nie swiadkow w najbardziej ekskluzywnych apartamentach. Trzeba bedzie tylko wziac kogos z miejskiej. Kogos, kto zna Trummiarza i wie, do czego jest zdolny.

Wtedy Jerry Banks uniosl glowe, zastanawiajac sie, dlaczego wszyscy na niego patrza.

- Co? - zapytal. - Co? - Na prozno usilowal przygladziec niesforny kosmyk.

Stephen Kall, ktory mowil jak zolnierz i strzelal z broni wojskowej, w rzeczywistosci nigdy nie sluzyl w armii.

Mimo to powiedzial do Sheili Horowitz:

- Jestem dumny z tradycji wojskowych w mojej rodzinie. Naprawdę.

- Niektórzy uważają...

- Nie - przerwał jej. - Niektórzy nie szanują za to człowieka. Ale to ich sprawa.

- Ich sprawa - powtórzyła jak echo Sheila.

-ładnie tu. - Rozejrzył się po dziurze, która wypełniały tanie meble z przeceny.

- Dziękuję ci, przyjacielu. Hm, chciałbyś się jakby czegoś napić? Oj, znowu to powiedziałam.

Mama zawsze mi dokucza. Oglądam za dużo telewizji. Jakby, jakby, jakby. Wstyd.

O czym ona, do cholery, mówi?

- Sama tu mieszkasz? - zapytał z uprzejmą ciekawością.

- Tak, z trojka tych wariatów. Nie wiem, gdzie się schowały. Słodkie urwisy. - Sheila nerwowo skubała brzeg kamizelki. A ponieważ wcześniej nie odpowiedział, ponowiła pytanie: - No wiec? Chcesz coś do picia?

- Jasne.

Zobaczył okryta czapą kurzu butelkę wina, która stała na lodowce. Na specjalną okazję. Czy to dziś?

Chyba jednak nie. Sheila wyciągnęła dietetycznego peppera.

Podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Tu glin nie było. I dwa kroki do stacji metra. Mieszkanie znajdowało się na drugim piętrze, a kraty w oknach z tyłu budynku były otwarte, więc w razie potrzeby mógł zejść schodami przeciwpożarowymi i zniknąć w tłumie, który niezależnie od pory dnia przelewał się przez Lexington Avenue...

Sheila miała telefon i komputer. Świetnie.

Rzucił okiem na wiszący na ścianie kalendarz - obrazki z aniołami. Gdzieś tam kilka notatek, ale na weekend nie było żadnych zapisków.

- Słuchaj, Sheila, czy... - Urwał, pokręcił głową i zamilkł.

- Co?

- No, właściwie... Wiem, że to trochę głupie. Tak nagle i w ogóle. Zastanawiam się, czy masz jakieś plany na kilka najbliższych dni.

Odrzekła ostrożnie:

- Hm, miałam odwiedzić mamę.

Rozczarowany Stephen zmarszczył czoło.

- Niedobrze. Widzisz, mam taki domek w Cape May...

- Na wybrzeżu Jersey!

- Zgadza się. I jadę tam...

- Jak już odbierzesz Kumpla?

Kto to, kurwa, jest Kumpel?

Aha, kot.

- Tak. Gdybyś nie miała nic specjalnego do roboty, może miałabys ochotę tam pojechać.

- A ty...

- Będzie tam moja mama i pare jej przyjaciół.

- No, ojej, sama nie wiem.

- Mogłabys zadzwonić do mamy i powiedzieć jej, że w ten weekend będzie sobie musiała poradzić bez ciebie?

- Nie muszę wcale dzwonić. Jeżeli nie przyjadę, nic wielkiego się nie stanie. Umawialiśmy się, że może przyjadę, a może nie.

A więc kłamala. Miała wolny weekend. Przez pare dni nikt nie zauważył jej nieobecności.

Obok niego skoczył kot i tracił go nosem w twarz. Stephen wyobraził sobie, jak tysiące robaków obłazi mu całe ciało. Wyobraził sobie, jak robaki klebia się we włosach Sheili. Miękkie robaki jej palców. Poczuli, że zaczyna nienawidzić tej kobiety. Miał ochotę wrzasnąć.

- O, przywitaj się z naszym nowym przyjacielem, Andrea. Polubiła cię, Sam.

Wstał i rozejrzał się po mieszkaniu. Myślał: Pamiętaj, chłopcze, wszystkim można zabić. Niektóre rzeczy zabijają szybko, inne powoli. Ale każda może zabić.

- Słuchaj - powiedział. - Masz jakąś szeroką taśmę klejącą?

- Hm, a po co ci? - Zaczęła gorączkowo myśleć. - Po co?

- Do instrumentów, które mam w torbie. Muszę skleić jeden bebenek.

- Jasne, gdzieś tu powinna być. - Poszła do przedpokoju. - Często wysyłam ciotkom różne paczki i

zawsze mam rolke tasmy. Nigdy nie pamietam, czy ja kupilam i kupuje nowa, a potem mam cale tony tasmy. No powiedz, czy nie jestem glupia?

Nie odpowiedzial, poniewaz rozgladal sie po kuchni, uznajac, ze to najlepsze miejsce w calym mieszkaniu.

- Prosze. - Z usmiechem rzucila mu rolke tasmy.

Zdenerwowal sie, bo nie zdazyl nalozyc rekawiczek. Wiedzial, ze na tasmie zostawil odciski palcow. Zadrzal z wscieklosci. Kiedy zobaczyl, ze Sheila nadal usmiecha sie, mowiac: - Dobry chwyt, przyjacielu - wtedy zamiast niej ujrzal wielkiego robaka, ktory zblizal sie coraz bardziej. Odlozyl tasme i nalozyl rekawiczki.

- Po ci rekawiczki? Zimno ci? Co ty...?

Nie zwracajac na nia uwagi, otworzyl lodowke i poczal ja oprznic.

Sheila cofnela sie w strone pokoju. Jej radosny usmiech przybladl.

- Jestes... glodny?

Zaczal wyjmowac polki.

Ich spojrzenia skrzyzowaly sie na ulamek sekundy i nagle z glebi gardla Sheili dobylo sie slabe:

- Eeeeeeeeeeee.

Stephen dopadl tlustego robaka w polowie drogi do drzwi.

Szybko czy powoli?

Zawlokla ja z powrotem do kuchni. W poblize lodowki.

Rozdział siódmy

45 godzin - godzina druga

Parami.

Percey Clay, która z wyróżnieniem ukończyła inżynierię, zdobyła dyplom mechanika konstrukcji i silników lotniczych i wszystkie licencje, jakie Federalny Urząd Lotnictwa mógł nadać pilotowi - nie miała głowy do przesadów.

Mimo to, kiedy jechała pancerna furgonetka przez Central Park do bezpiecznego domu federalnego położonego w centrum miasta, myślała o starym powiedzeniu, które przesadni podróżnicy powtarzali niczym ponura mantra. Wypadki chodzą parami.

Tragedie też.

Najpierw Ed. A teraz druga rzecz. Percey rozmawiała przez telefon komórkowy z Ronem Talbotem z biura Hudson Air.

Siedziała z opuszczoną głową, wcisnięta między Brita Hale'a a młodego detektywa, Jerry'ego Banksa. Hale przyglądał się jej, a Banks czujnie spoglądał przez okno na samochody, przechodniów i drzewa.

- Amer-Med zgodził się dać nam jeszcze jedną szansę. - Oddech Talbota niepokojąco swiszczal. Ron był jednym z najlepszych pilotów, jakich Percey знаła, lecz od lat nie siedział za sterami - został „ziemiony” ze względu na stan zdrowia. Zdaniem Percey była to krzyżaco niesprawiedliwa kara za grzech nadużywania trunków, papierosów i jedzenia (głównie dlatego, że sama miała na sumieniu podobne występki). - Powiedzieli, że mogą zerwać kontrakt. Ich zdaniem bomby to nie siła wyższa. Nie możemy tłumaczyć w ten sposób zaważenia zadania.

- Ale zgodzili się na jutrzejszy lot.

Chwila ciszy.

- Tak, zgodzili się.

- Daj spokój, Ron - syknęła. - Mnie nie musisz wciskać kitu. - Usłyszała, jak zapala kolejnego papierosa. Wielki, wiecznie otoczony klebami dymu Talbot - od którego wyludzała camele, gdy usiłowała rzucić palenie - często zapominał zmienić ubranie albo się ogolić. I nie umiał przekazywać złych wiadomości.

- Chodzi o „Foxtrota Bravo” - powiedział z ociąganiem.

- Co z nim?

N695FB był learjetem 35A Percey Clay. Nie wynikało to jednak wcale z dokumentów. Według prawa dwusilnikowy odrzutowiec był dzierżawiony przez spółkę holdingową Clay-Carney Dwa, przedsiębiorstwo w całości kontrolowane przez Hudson Air Charters Ltd., od firmy Morgan Air Leasing, która z kolei dzierżawiła go od firmy z Delaware, Transport Solutions, zależnej od spółki holdingowej La Jolla Dwa. Ten bizantyjski system zależności był całkiem legalny i dość powszechnie stosowany, ponieważ w takim układzie samoloty i wypadki lotnicze były niewyobrażalnie kosztowne.

Jednak wszyscy w Hudson Air Charters wiedzieli, że N695 „Foxtrot Bravo” był samolotem Percey. Wylatała na nim kilka tysięcy godzin. Był jej pupilkiem. Jej dzieckiem. Podczas wielu nocy, gdy nie było Eda, myślała o samolocie pozwalając jej lepiej znosić samotność. Cudowna maszyna mogła lecieć na wysokości czterdziestu pięciu stop z prędkością czterystu sześćdziesięciu węzłów - czyli ponad pięćset mil na godzinę. Sama Percey wiedziała, że samolot potrafi lecieć wyżej i szybciej, lecz była to tajemnica, której nigdy nie zdradziła Morgan Air Leasing ani La Jolla, ani Transport Solutions, ani Urzędowi Lotnictwa.

Wreszcie Talbot powiedział:

- Wyposażenie go będzie bardziej skomplikowane, niż myślałem.

- Mów dalej.

- No dobrze - poddał się w końcu. - Stę się zwolnił.

Stę Marquard, ich główny mechanik.

- Co?!

- Ten sukinyś po prostu się zwolnił. Właściwie jeszcze nie - ciągnął Talbot. - Dzwonił, że zachorował, ale zabrzmiało to tak śmiesznie, że musiałem popytać u paru osób. On przechodzi do Sikorsky'ego. Już go zresztą przyjęli.

Percey oniemiała.

To był ich największy problem. Odrzutowe learjety 35A były fabrycznie wyposażone w osiem miejsc pasażerskich. Aby przystosować samolot do przewozu ładunku dla Amer-Medu, trzeba było

wymontować siedzenia, zainstalować amortyzowane i chłodzone przegrody i dodatkowe gniazda połączone z alternatorami. W sumie sporo pracy przy układzie elektrycznym i konstrukcji samolotu.

Stu Marquard był jednym z najlepszych mechaników. Leara Eda przygotował w rekordowym czasie. Percey nie miała pojęcia, jak bez niego uda im się zdążyć przed jutrzejszym lotem.

- Co jest, Percey? - spytał Hale, widząc grymas na jej twarzy.

- Stu odszedł - szepnęła.

Potrząsnął głową, nie rozumiejąc, o co chodzi.

- Skąd odszedł? Dokąd?

- Z firmy - wyjaśniła przybitym głosem. - Rzucił robotę. Idzie pracować do pieprzonych helikopterów.

Hale spojrzał na nią wstrząsnięty.

- Dzisiaj?

Skinęła głową.

- Przestraszył się, Percey - ciągnął Talbot. - Ludzie już wiedzą, że to była bomba. Gliny nic nie mówią, ale i tak wszyscy wiedzą, co się stało. Są zdenerwowani. Rozmawiałem z Johnem Ringle'em...

- Z Johnnym? - Młodym pilotem przyjętym w zeszłym roku. - On też odchodzi?

- Pytał tylko, czy zamkniemy na jakiś czas interes. Dopóki wszystko się nie uspokoi.

- Nie, nie zamykamy - powiedziała stanowczo. - I nie odwołujemy żadnego z zaplanowanych lotów. Firma działa jak zwykle. A jeżeli ktoś jeszcze zadzwoni z wiadomością, że zachorował, wyrzuc go.

- Percey...

Talbot sprawiał wrażenie surowego, ale wszyscy wiedzieli, że w rzeczywistości jest naiwniakiem o gołębi sercu.

- No dobrze - dodała ostro. - W takim razie ja ich wyrzucę.

- Słuchaj, przy twoim „Foxtrocie Bravo” większość roboty mogę zrobić sam - powiedział Talbot, posiadacz dyplomu mechanika konstrukcji lotniczych.

- Zrob, co tylko się da. Postaraj się jednak znaleźć innego mechanika - odparła. - Pogadamy później.

Wylaczyła telefon.

- Nie wierze - rzekł skonsternowany Hale. - Zwolnił się.

Z kolei Percey była wściekła. Ludzie wyskakiwali w locie - najgorszy z możliwych grzechów. Firma umierała. A ona nie miała pojęcia, jak ją ratować.

Percey Clay nie posiadała malpiej zrecznosci w kierowaniu przedsiębiorstwem.

Malpia zrecznosc...

Pierwszy raz użył tego sformułowania w stosunku do niej lotnik marynarki, admirał, gdy latała na myśliwcu. Miał na myśli jej nieprzecietny talent urodzonego pilota, zdolności, których nie sposób było nikogo nauczyć.

Jeśli chodziło o latanie, Percey rzeczywiście była malpio zreczna. Niezależnie od typu samolotu, wszystko jedno, czy już na nim latała, czy nie, bez względu na pogodę, widoczność ziemi, dzień czy noc. Prowadziła samolot perfekcyjnie i sadzała go w magicznym punkcie, który był celem pilotów - dokładnie „tysiąc za numerami” - tysiąc stop od białych oznaczeń początku pasa startowego. Szybowce, dwupłaty, herculesy, boeingi 737, migi - w każdej kabinie czuła się równie pewnie.

Jednak Percey Rachael Clay umiała się wykazać malpia zrecznoscia tylko za sterami samolotu.

Nie potrafiła sobie radzić z rodziną. Jej ojciec, pracujący w branży tytoniowej, od lat z nią nie rozmawiał - właściwie ją wydziedziczył - kiedy rzuciła jego alma mater, Uniwersytet Wirginii, żeby wstąpić do szkoły lotniczej. (Choć Percey sama mu mówiła, że wyjazd z Charlottesville jest nieunikniony - po sześciu tygodniach pierwszego semestru znokautowała przewodniczącą zenskiego koła studenckiego, po tym jak koscista blondynka teatralnym szeptem rzuciła uwagę, że ta podobna do trolla dziewczyna powinna się znaleźć w szkole rolniczej, a nie w szeregach zacnego bractwa).

Naturalnie nie posiadała też malpiej zrecznosci w dyplomacji. Biegłość w pilotowaniu wielkich tomcatów budziła respekt, ale nie mogła usprawiedliwić jej nieszczerego zwyczaju szczerego wyrażania swoich myśli, podczas gdy inni nie puszczali pary z ust na pewne tematy.

Wreszcie nie umiała dobrze rządzić firmą, której była prezesem. Nie mieściło jej się w głowie, że mimo nawalu pracy Hudson Air stoi na krawędzi bankructwa. Tak jak Ed, Brit Hale i inni piloci, Percey pracowała bez przerwy (jednym z powodów, dla których unikała regularnych linii lotniczych, było idiotyczne zarządzenie Federalnego Urzędu Lotnictwa, że piloci nie powinni latać więcej niż osiemdziesiąt godzin miesięcznie). Dlaczego więc ciągle byli bez grosza? Gdyby nie przyciągający klientów urok Eda i kuglarskie zdolności Talbota, który zrzędzac, zmniejszał wydatki i mydlil oczy wierzycielom, nie przetrwaliby ostatnich dwóch lat.

W zeszłym miesiącu firma mało nie splajtowała, ale na szczęście Edowi udało się zdobyć kontrakt z Amer-Medem. Sieć szpitali zarabiała niewiarygodne pieniądze na transplantacjach, które, jak dowiedziała się Percey, nie kończyły się na operacjach przeszczepu serc i nerek. Największy problem stanowiło dostarczenie organu do właściwego biorcy zaledwie w ciągu kilku godzin od

momentu pobrania. Często narzady przewożono samolotami rejsowymi (w chłodziarkach umieszczonych w kabinie pilotów), lecz wszystko zależało od rozkładu lotów i tras linii handlowych. Hudson Air nie miał podobnych ograniczeń. Firma zgodziła się przeznaczyć jeden samolot na obsługę kontraktu z Amer-Medem. Trasa przebiegała przeciwnie do ruchu wskazówek zegara, przez Wschodnie Wybrzeże i Środkowy Zachód, z lądowaniem w sześciu czy osmiu miejscach, do których trzeba było dostarczyć organy. Gwarantowali każdą dostawę, bez względu na deszcz, śnieg, gwałtowne zmiany wiatru, widoczność - dopóki lotnisko było otwarte i można było latać, Hudson Air dostarczał ładunek na czas.

Pierwszy miesiąc miał być okresem próbnym. Gdyby wszystko przebiegło pomyślnie, podpisaliby osiemnastomiesięczny kontrakt, dzięki któremu firma mogłaby ocaleć.

Widocznie Ronowi udało się jakos zaczarować klienta, by dał im jeszcze jedną szansę, lecz gdyby „Foxtrot Bravo” nie był gotowy na jutro... Percey nie chciała nawet myśleć o takiej możliwości.

Jadąc policyjnym wozem przez Central Park, Percey Clay przyglądała się pierwszej wiosennej zieleni. Ed uwielbiał park i często tu biegał. Dwukrotnie okrażał staw, po czym wracał do domu mokry, ze zlepionymi w strąki szpakowatymi włosami. A ja? Percey zasmiała się ze smutkiem. Siedziała w domu zatopiona po uszy w rejestrze nawigacyjnym albo podręczniku naprawy silników turbinowych dwuprzepływowych, z papierosem albo szklaneczką wild turkey. Ed dzgał ją koscistym palcem między zębra i z uśmiechem pytał, ile niezdrowych rzeczy umie robić jednocześnie. I gdy oboje wybuchali śmiechem, zawsze ukradkiem upijał kilka łyżek burbona.

Potem przypominała sobie, jak się pochylał i całował ją w ramię. Kiedy się kochali, wtulony w jej ciało właśnie tam opierał twarz i Percey Clay wierzyła, że w miejscu, gdzie szyja łączyła się z jej delikatnymi ramionami, była piękna. Przynajmniej tam.

Ed...

Wszystkie gwiazdy wieczoru...

Jej oczy znów wypełniły się łzami. Spojrzała w szare niebo. Wyglądało groźnie. Oceniała pulap chmur na tysiąc pięćset stop, wiatr 090, piętnaście węzłów. Gwałtowne zmiany kierunku. Poprawiła się na siedzeniu. Palce Brita Hale'a zaciskały się mocno na jej przedramieniu. Jerry Banks o czymś gadał. Nie słuchała go.

Percey Clay podjęła decyzję. Ponownie włączyła telefon.

Rozdział osmy

45 godzin - godzina trzecia

Zawyla syrena.

Kiedy nadjeżdżał samochodem, Lincoln Rhyme spodziewał się, że za moment usłyszy efekt Dopplera. Jednak tuż pod jego domem syrena wydała krótki dźwięk i zamilkła. Chwilę później Thom wpuszczał do laboratorium młodego człowieka. Modnie przystrzyżony policjant stanowy z Illinois był ubrany w niebieski mundur, który pewnie jeszcze wczoraj wyglądał nieskazitelnie, lecz teraz był pognieciony i poplamiony sadzą i błotem. Mężczyzna niedawno chyba przejechał po twarzy golarką elektryczną, ale zdołał tylko lekko naruszyć ciemny zarost, który kontrastował z jego cienkimi, żółtawymi włosami. W rękach trzymał dwie duże płocienne torby i brązowa teczka. Jego widok sprawił Rhyme'owi większą radość niż widok jakiegokolwiek z osób, które spotkał w ciągu ostatniego tygodnia.

- Bomba! - krzyknął. - Mamy bombe!

Policjant zdumiał się, ujrawszy to nieco osobliwe grono stróżów prawa, potem zaniemówił, kiedy Cooper wyrwał mu torby, a Sellitto skrobnął podpis na pokwitowaniu i karcie przejęcia dowodu w sprawie, po czym wcisnął mu oba dokumenty z powrotem do ręki.

- Dzięki, do zobaczenia - wymamrotał detektyw, odwracając się.

Thom uśmiechnął się uprzejmie do funkcjonariusza i wyprowadził go z pokoju.

- No dalej, Sachs - zawołał Rhyme. - Co tak stoisz! Zobacz, co tam mamy.

Posłała mu zimny uśmiech i podeszła do stołu Coopera, gdzie technik ostrożnie rozkładał zawartość toreb.

O co jej dzisiaj chodziło? Godzina to mnóstwo czasu na przeszukanie hangaru, jeżeli tym się zajmowała. Ale lubił, kiedy była odrobine poirytowana. On sam zawsze funkcjonował najlepiej właśnie w takim stanie.

- Dobrze, Thom, pomożesz nam. Tablica. Trzeba zrobić listę dowodów. Pierwszy „nagłówek” MZ jeden.

- MZ?

- Miejsce zbrodni - wyjaśnił ostrym tonem Rhyme. - Co jeszcze? MZ jeden, Chicago.

Jeszcze niedawno Rhyme robił listę dowodów w sprawie na odwrócenie sfatygowanego plakatu z Metropolitan Museum. Dzisiaj miał sprzęt najnowszej generacji - kilka zamontowanych na ścianie ściernych tablic i krede, której zapach przywołał mu na myśl wilgotne wiosenne dni spędzone w szkole na Środkowym Zachodzie, kiedy oczekiwał lekcji przedmiotów ścisłych, a z pogardą odnosił się do dyktand i angielskiego.

Asystent posłał szefowi pełne wyrzutu spojrzenie, wziął krede, strzepnął jakiś pyłek ze swego szalowego krawata i spodni zaprasowanych na ostry jak brzytwa kant, po czym zaczął pisać.

- Co tam mamy, Mel? Sachs, pomóż mu.

Zaczeli wypakowywać plastikowe torebki i słoiczki z popiołem, kawałkami metalu i włókien oraz drobinami plastiku. Zebrali zawartość na porcelanowych płytkach. Ludzie, którzy przeczesywali miejsce katastrofy - jeżeli dorównywali wszystkim uczniom Rhyme'a - aby oddzielić drobinę ładunku od szczątków samolotu, musieli używać zamontowanych na walcach magnesów, specjalnych odkurzaczy i kilku przesiewaczy o gestych sitach.

Rhyme, ekspert w większości dziedzin kryminalistyki, był autorytetem w kwestii bomb. Nie interesował się nimi specjalnie, dopóki Trumniarz nie podłożył swojej małej paczuski w koszu biura przy Wall Street, gdzie zginęli dwaj technicy.

Wówczas postanowił nauczyć się wszystkiego na temat materiałów wybuchowych. Przeprowadzał badania z jednostką pirotechniczną FBI, jedną z najmniejszych - ale najbardziej elitarnych - komórek biura, w laboratorium federalnym, którego ekipa składała się z czternastu agentów i techników. Ich zadaniem nie było odnajdywanie amatorskich ładunków wybuchowych, jak nazywano w branży bomby, ani ich rozbijanie. Analizowali ładunki i miejsca, w których je podkładano, tropili i klasyfikowali konstruktorów bomb i ich uczniów (w pewnych kregach produkcje bomb uważano za sztukę i uczniowie musieli ciężko pracować, by pod okiem znanych konstruktorów opanować technologie ich wytwarzania).

Sachs grzebała w torbach.

- Bomba nie niszczy się sama?

- Nic nigdy nie ulega zniszczeniu, Sachs. Pamiętaj o tym. - Choć gdy podjechał na wozku do stołu i przyjrzał się bliżej resztkom, przyznał: - Rzeczywiście kiepsko to wygląda. Widzisz te kawaleczki? Kępki aluminium po lewej? Metal jest strzaskany, a nie wygięty. To oznacza, że ładunek miał wysoką kruszność.

- Wysoka co? - zapytał Sellitto.

- Krusznosc. Wspolczynnik detonacji - wyjasnil Rhyme. - Mimo to od szescdziesieciu do dziewiecdziesieciu procent bomb przetrzymuje wybuch. Oczywiscie, nie sam ladunek. Ale zawsze zostanie tyle, zeby moc go zidentyfikowac. O, mamy tu sporo materialu.

- Sporo? - Dellray parsknal smiechem. - To gorzej niz zlozyc do kupy abecadlo, co z pieca spadlo.

- Przeciez nie to mamy zrobic, Fred - odparl zywo Rhyme. - Musimy tylko zlapac tego sukinsyna, ktory je z pieca zrzucil. - Podjechal blizej stolu. - Jak to wyglada, Mel? Bateria, przewod, detonator zegarowy. Co jeszcze? Moze kawalki pojemnika albo opakowania?

Walizki przyczynily sie do wykrycia wiekszej liczby zamachowcow niz zapalniki i mechanizmy czasowe. Nie mowilo sie o tym glosno, lecz czesto bagaz, do ktorego nikt sie nie przyznawal, linie lotnicze przekazywaly FBI, a specjaliści federalni detonowali go, aby na podstawie skutkow eksplozji opracowac standardy do badan kryminalistycznych. Po zamachu bombowym w locie 103 linii Pan Am FBI zidentyfikowalo sprawcow nie dzieki badaniu ladunku, ale przez to, ze ukryli bombe w radiu Toshiba, ktore lezalo w walizce Samsonite razem z ubraniami. Ubrania doprowadzily agentow do sklepu w Sliemie na Malcie, a sprzedawca zidentyfikowal agenta libijskiego wywiadu jako osobe, ktora kupila u niego te rzeczy.

Cooper pokrecil jednak przeczaco glowa.

- Nic z miejsca detonacji poza elementami bomby.

- Czyli ladunek nie byl w walizce ani torbie - zamyslil sie Rhyme. - Ciekawe, Jak on, u diabla, podrzucil to na poklad? I gdzie? Lon, przeczytaj mi raport z Chicago.

- Trudno okreslic dokladna lokalizacje wybuchu - czytala Sellitto - ze wzgledu na rozlegly pozar i zniszczenie samolotu. Ladunek prawdopodobnie umieszczono pod spodem, za kabina pilotow.

- Pod spodem i za. Ciekawe, czy jest tam luk bagazowy. Moze... - Rhyme zamilkl. Glowa poruszala mu sie tam i z powrotem, gdy przygladal sie torebkom z dowodami. - Chwila! - krzyknal. - Mel, daj mi popatrzec na te kawaleczki metalu. Trzecia torebka od lewej. Aluminium. Wloz to pod mikroskop.

Cooper polaczyl juz wczesniej wyjscie wideo swojego mikroskopu z komputerem Rhyme'a. Rhyme widzial wiec na ekranie to co Cooper. Technik polozyl na plytkach malenkie drobiny metalu i wsunal pod soczewki.

Wchwile potem Rhyme powiedzial do mikrofonu:

- Kursor w dol. Kliknij dwa razy.

Obraz na monitorze powiekszyl sie.

- Zobacz! Poszycie samolotu zostalo wepchniete do srodka.

- Do srodka? - zdziwila sie Sachs. - To znaczy, ze bomba byla na zewnatrz?
- Chyba tak. Co o tym sadzisz, Mel?
- Masz racje. Lby nitow sa wgiete do srodka. Wybuch nastapil na zewnatrz, to jasne.
- Moze rakietka? - podsunal Dellray. - Ziemia-powietrze?

Czytajac raport, Sellitto powiedzial:

- Na ekranie radaru nie odnotowano zadnych punktow odpowiadajacych pociskom raketowym.

Rhyme pokrecil glowa.

- Nie, wszystko wskazuje na bombe.
- Ale na zewnatrz? - spytal niedowierzajaco Sellitto. - Nigdy o czym takim nie slyszalem.

- Mam wyjasnienie - zawolal Cooper. Technik w okularach powiekszajacych i uzbrojony w ceramiczny probnik przegladal kawaleczki metalu z szybkościa kowboja przeliczajacego krowy w stadzie. - Fragmenty metalu zelaznego. Magnes. Nie przylegaja do aluminiowego poszycia, ale pod spodem jest stal. Znalazlem drobiny zywiczy epoksydowej. Bomba byla przytwierdzona do kadluba magnesami, dopoki nie chwycil klej.

- Spojrz na slady fal uderzeniowych na epoksydzie - zauwazyl Rhyme. - Klej nie zdazyl stezec, czyli podlozyl bombe niedlugo przed startem samolotu.

- Mozna okreslic rodzaj epoksydu?
- Nie. To popularna mieszanka, dostepna wszedzie.
- Nie ma nadziei na odciski palcow? Powiedz prawde, Mel.

Odpowiedzia byl krotki sceptyczny smiech. Mimo to Cooper poczal sprawdzac kawalki, uzywajac piora swietlnego, lecz nie bylo widac nic procz resztek ladunku.

- Nic.
- Chce to powachac - oswiadczył Rhyme.
- Powachac? - zapytala Sachs.

- Przy takiej krusznosci mozemy miec pewnosc, ze to material kruszacy. Chce wiedziec dokladnie jaki.

Wielu zamachowcow uzywalo materialow miotajacych - substancji, ktore szybko sie spalaly, lecz nie eksplodowaly, dopoki nie umieszczono ich na przyklad w rurze albo pojemniku. Najpowszechniej

używany materiał tego typu był proch. Materiały kruszące - jak plastik albo trotyl - wybuchają w naturalny sposób i nie trzeba ich do niczego pakować. Były drogie i trudne do zdobycia. Rodzaj i źródło pochodzenia ładunku mogło wiele powiedzieć o tożsamości zamachowca.

Sachs przyniosła torebkę do wózka Rhyme'a i otworzyła. Mocno pociągnął nosem.

- RDX - powiedział, natychmiast rozpoznając te wonie.

- To by się zgadzało z silną kruszącą - rzekł Cooper. - Jak sądzisz, C-3 czy C-4? - zapytał.

RDX był głównym składnikiem tych dwóch plastycznych materiałów wybuchowych używanych przez wojsko; cywil mógł wejść w ich posiadanie tylko nielegalnie.

- C-3 nie - odparł Rhyme, ponownie wachając pozostałości materiału, jak gdyby to było markowe Bordeaux. - Nie ma słodkiego zapachu... W każdym razie nie tak wyraźnego. Dziwne, czuje coś jeszcze... Mel, sprawdź to w chromatografii.

Technik wprowadził próbkę do chromatografu gazowego sprzężonego ze spektrometrem masowym. Maszyna rozkładała związek na pierwiastki, które potem identyfikowała. Mogła analizować próbki o masie milionowej części grama, a kiedy określiła ich skład, sprawdzała informacje w bazie danych, by odnaleźć nazwę własnej substancji.

Cooper przyjrzał się wynikom.

- Masz rację, Lincoln. To RDX. Do tego olej i ciekawostka - jakas skrobia.

- Skrobia! - zawołał Rhyme. - To właśnie poczułem. Maczka guar.

Cooper roześmiał się, albowiem w tej samej chwili na ekranie komputera pojawiła się ta nazwa.

- Skąd wiedziałeś?

- Bo to wojskowy dynamit.

- Nie ma tu nitrogliceryny - zaprotestował Cooper. - Czyli aktywnego składnika dynamitu.

- Nie, to nie jest prawdziwy dynamit - powiedział Rhyme. - Mieszanka RDX, trotylu, oleju silnikowego i maczki guar. Często się tego nie spotyka.

- Materiał wojskowy? - odezwał się Sellitto. - Wskazuje na Hansena.

- Owszem.

Technik umieścił próbkę na stoliku mikroskopu. Obraz z mikroskopu ukazał się równocześnie na monitorze Rhyme'a. Jakies kawałki włókien, przewody, skrawki, odłamki i pył.

Przypomniał mu się podobny widok sprzed roku, choć widziany w zupełnie innych

okolicznościach. W ciężkim mosiężnym kalejdoskopie, który kupił na urodziny przyjaciółce. Claire Tripper była piękna i elegancka kobieta. Rhyme znalazł ten kalejdoskop w sklepie w SoHo. Oboje spędzili wieczór przy butelce merlota, próbując odgadnąć, jakie egzotyczne kryształy i kamienie tworzą niesamowite obrazy, które widzieli w okularze. Wreszcie Claire, której ciekawość naukowa dorównywała ciekawości Rhyme'a, odkreciła tylną część rury i wysypała jej zawartość na stół. Wybuchnęli śmiechem. W środku były tylko skrawki metalu, drewniane wiórki, złamany spinacz biurowy, wyrwane kawałeczki złotych stron książki telefonicznej, pinezki.

Rhyme odłożył na bok wspomnienie i skupił się na przedmiotach, które widział na ekranie. Kawalek szarego woskowanego papieru, w który opakowany był wojskowy dynamit. Włókna - sztuczny jedwab i bawelna - z przewodu detonacyjnego, którym Trumniarz obwiązał dynamit, by się nie pokruszył. Kawalek aluminium i cienkiego kolorowego przewodu odchodzącego ze splonki elektrycznej. Kolejny, większy kawałek przewodu i fragment elektrody węglowej z baterii, rozmiarów gumki do wycierania.

- Zegar! - zawołał Rhyme. - Pokaż mi zegar.

Cooper wziął ze stołu małą plastikową torebkę.

W środku tkwiło nieruchome, zimne serce bomby.

Urządzenie prawie zupełnie zachowało swój pierwotny kształt, co zdziwiło Rhyme'a. Aha, twoja pierwsza wpadka, powiedział w duchu do Trumniarza. Większość zamachowców opakowywała materiałem wybuchowym układ detonujący, by zniszczyć wszelkie ślady. Ale Trumniarz przypadkowo umieścił mechanizm czasowy za grubą stalową krawędzią metalowej obudowy, w której tkwiła bomba. Krawędź osłoniła mechanizm przed siłą wybuchu.

Rhyme poczuł ukłucie w szyi, gdy się wyciągnął, by jak najlepiej przyjrzeć się powyginanej tarczy zegara.

Cooper przyjrzał się urządzeniu.

- Mam numer modelu i producenta.

- Sprawdź wszystko w spisie federalnym.

Archiwum materiałów wybuchowych FBI było największa i najbardziej szczegółowa baza danych o urządzeniach wybuchowych na świecie. Zawierało informacje na temat wszystkich bomb, jakie znaleziono na terenie Stanów Zjednoczonych, a także związane z wieloma z nich dowody. Niektóre pozycje w archiwum były już historyczne i sięgały roku 1920.

Cooper zaczął stukac w klawiaturę komputera. Po pięciu sekundach modem zaczął działać przy akompaniamencie świstów i trzasków.

Kilka chwil później ich prośba została spełniona.

- Niedobrze - powiedział mężczyzna z łysiną, krzywiąc się odrobine, co u technika było wyrazem

ogromnych emocji. - Bomba nie ma żadnych wspólnych cech z typami w archiwum.

Niemal wszyscy zamachowcy konstruuja bomby wedlug okreslonego schematu - ucza sie technologii i scisle sie jej trzymaja. (Zwazywszy na nature materialow, lepiej z nimi nie eksperymentowac). Gdyby elementy bomby Trumniarza pasowaly do jakiegos amatorskiego ladunku, ktory podlozono na przyklad na Florydzie czy w Kalifornii, zespol moglby zebrac dodatkowe slady z tamtych miejsc, ktore byc moze doprowadzilyby do miejsca pobytu Trumniarza. Z praktyki wynikalo, ze jezeli dwie bomby maja przynajmniej cztery wspolne cechy konstrukcyjne - a roznia sie na przyklad tym, ze przewody w jednej sa lutowane, w drugiej sklezione tasma albo w jednej jest analogowy, a w drugiej cyfrowy mechanizm zegarowy - to prawdopodobnie zostaly wyprodukowane przez te sama osobe lub pod jej nadzorem. Bomba podlozona przez Trumniarza kilka lat temu na Wall Street byla zupełnie inna niz ta. Rhyme wiedzial jednak, ze tamta miala inny cel. Zadaniem bomby przy Wall Street bylo utrudnienie sledztwa; ta miala rozerwac na czesci wielki samolot. Rhyme niewiele wiedzial o Tanczacym Trumniarzu, ale byl pewien, ze bardzo starannie dobiera narzedzia do wykonania zadania.

- Gorzej? - zapytal Rhyme, przygladajac sie minie wpatzonego w monitor Coopera.

- Zegar.

Rhyme westchnal. Zrozumial.

- Ile ich wyprodukowano?

- Korporacja Daiwana z Seulu w zeszlym roku sprzedala ich sto czterdziesti dwa tysiace sztuk. Sklepom detalicznym, kontrahentom, posiadaczom licencji. Nie maja zadnego kodu, zeby sprawdzic, gdzie ktore trafily.

- Swietnie. Po prostu swietnie.

Cooper czytala pozostale informacje z ekranu.

- Hm, ludzie z archiwum twierdza, ze bardzo ich zainteresowala nasza bomba i maja nadzieje, ze dodamy ja do ich bazy danych.

- Rzeczywiscie, to nasz najwazniejszy cel - rzekl zgryzliwie Rhyme.

Miesnie jego ramienia nagle zlupal kurcz, wiec musial oprzec glowe o zaglowek wozka. Przez kilka minut gleboko oddychal, dopoki dotkliwy bol nie zelzal, a potem nie ustapil. Sachs, ktora jedyna to zauwazyła, chciala do niego podejsc, lecz pokrecil glowa, mowiac:

- Ile widzisz przewodow, Mel?

- Wyglada na to, ze byly tylko dwa.

- Wielokanalowe czy swiatlowody?

- Nie, po prostu zwykły drut.

- Jakis bocznik?

- Nie ma.

Bocznik był osobnym przewodem, który zamykał obwód, gdyby przy próbie rozbrojenia bomby odcięto przewód od baterii albo zegara. Wszystkie bardziej wyrafinowane bomby miały boczniki.

- To chyba dobra wiadomość, nie? - powiedział Sellitto. - Wskazuje na to, że przestaje uważać.

Jednak Rhyme był przekonany, że jest wręcz odwrotnie.

- Nie sądzę, Lon. Jednym celem bocznika jest utrudnienie rozbrojenia. Skoro nie zamontował bocznika, musiał być pewien, że nikt nie znajdzie bomby, która wybuchnie tak, jak sobie zaplanował - w powietrzu.

- Nasz chłopak musiał się zetknąć z jakimiś ludźmi, żeby zrobić coś takiego - zauważył Dellray, spoglądając na składniki bomby. - Mam informatorów, co wiedza to i owo o dostawcach bomb.

Fred Dellray również musiał się nauczyć o bombach więcej, niż wcześniej zamierzał. Jego wieloletni partner i przyjaciel, Toby Doolittle, parę lat temu znalazł się na parterze budynku federalnego w Oklahoma City. Zginął na miejscu w wyniku eksplozji amatorskiej bomby z nawozów sztucznych.

Lecz Rhyme pokręcił głową.

- Wszystko zrobiono z rzeczy, które można kupić w każdym sklepie, Fred. Z wyjątkiem materiału wybuchowego i przewodu detonatora. Prawdopodobnie dostał to od Hansena. Niech to szlag, przecież Trumniarz mógł wszystko dostać w sklepie dla radioamatorów.

- Co? - spytała zdumiona Sachs.

- A tak - powiedział Cooper. I dodał: - My nazywamy to sklepem „Wszystko dla bombiarzy”.

Rhyme podjechał wozkiem bliżej kawałka stalowej obudowy, skreconego jak zmięty papier i patrzył w niego przez dłuższą chwilę.

Potem uniosł wzrok, spoglądając w sufit.

- Ale dlaczego przykleił ją na zewnątrz? - rozmyślał na głos. - Percey mówiła, że zawsze kreci się tam dużo ludzi. A pilot nie obchodzi samolotu przed samym startem, nie ogląda kół czy czegoś takiego?

- Chyba tak - rzekł Sellitto.

- Dlaczego Ed Carney ani drugi pilot tego nie zauważyli?

- Dlatego - odezwala sie nagle Sachs - ze Trumniarz nie mogli podlozyc bomby, dopoki nie wiedzial na pewno, kto bedzie w samolocie.

Rhyme odwrocil wozek i podjechal do niej.

- Tak jest, Sachs! Najpierw obserwowal. Gdy zobaczyl, jak Carney wsiada na poklad, wiedzial, ze ma przynajmniej jedna z ofiar. Podlozyl wiec bombe po tym, jak piloci wsiedli, a przed startem samolotu. Musisz sie dowiedziec gdzie, Sachs. I przeszukac to miejsce. Ruszaj.

- Mam tylko godzine... teraz juz nawet mniej - powiedziala ze spokojem Amelia Sachs, idac w strone drzwi.

- Jeszcze jedno - zatrzymal ja Rhyme.

Przystanela.

- Trumniarz jest troche inny od wszystkich, ktorymi sie dotychczas zajmowalas. - Jak mial jej to wyjasnic? - To, co widac, niekoniecznie jest tym, czym sie wydaje.

Uniosla pytajaco brew. Do rzeczy.

- Pewnie go nie ma na lotnisku Ale jezeli zobaczysz, ze ktos na ciebie rusza... strzelaj pierwsza.

- Co? - wybuchnela smiechem.

- Najpierw martw sie o siebie, potem o miejsce, ktore masz przeszukac.

- Zamierzam tylko zabezpieczac miejsce - powiedziala juz od drzwi. - Nie bedzie sie mna przejmowal.

- Posluchaj, Amelio...

Lecz odpowiedzial mu jedynie odglas oddalajacych sie krokow. Znajoma sekwencja dzwiekow: gluchy tupot na debowych deskach, potem ciche kroki na perskim dywanie, wreszcie stukot na marmurze korytarza. Na koniec, jak finalowy akord, trzasniecie frontowych drzwi.

Rozdział dziewiąty

45 godzin - godzina trzecia

Najlepsi żołnierze to cierpliwi żołnierze.

Melduje, że będę o tym pamiętać.

Stephen Kall siedział przy stole w kuchni Sheili, zastanawiając się, do jakiego stopnia nie cierpi Essie, wyliniętego kota, czy cokolwiek to stworzenie było, i słuchając długiej rozmowy nagranej na magnetofon. Z początku chciał znaleźć i pozabijać wszystkie koty, ale zauważył, że od czasu do czasu wydają z siebie przeraźliwe wycie. Jeśli sąsiedzi byli przyzwyczajeni do tego odgłosu, nagle cisza w mieszkaniu Sheili Horowitz mogłaby nasunąć pewne podejrzenia.

Cierpliwości... patrzył na krecaca się szpulce kasety. Słuchał.

Dwadzieścia minut później usłyszał z taśmy to, co chciał usłyszeć. Uśmiechnął się. Świetnie. Wziął swój ulubiony model 40 schowany w futerale po gitarze, gdzie bron miała wygodnie jak dziecko w kołysce, a potem podszedł do lodowki. Przekrzywił głowę, nasłuchując. Hałasy ustaly. Lodowka już się nie trzęsła. Poczul ulgę, przestał się kulic, skóra przestała mu cierpnąć, gdy myślał o uwiezonym w środku robaku, teraz już zimnym i nieruchomym. Mogł bezpiecznie wyjść. Podniósł plecak i opuścił tonacę w półmroku mieszkania, wypełnione ostrym zapachem kotów, zostawiając zakurzona butelkę wina i miliony obrzydliwych robaków.

W teren.

Amelia Sachs jechała przez tunel z wiosennych drzew, mając po jednej stronie skały, a po drugiej niewysoki klif. Jak okiem sięgnąć, na tle zieleni wybuchały żółte kwiaty forsycji.

Sachs była dziewczyna z miasta, urodzona w szpitalu na Brooklynie i przez całe życie mieszkała w tej dzielnicy. Dla niej kontakt z naturą to były wyjazdy do Prospect Park w niedziele, a na co dzień wieczorne wypady do lasów Long Island, gdzie chowała swego zwinnego czarnego dodge'a chargera przed patrolami, które polowały na nią i podobnych rajdowców amatorów.

Teraz, za kolkiem wozu wydziału wsparcia dochodzeniowego - dużego kombi wykorzystywanego przez ekipę zabezpieczającą miejsca zbrodni - wcisnęła gaz, gwałtownie skręciła w lewo i wyprzedziła furgonetkę, której tylna szyba była ozdobiona podobizną Garfielda, odwrócona do góry nogami. Potem wjechała w boczna drogę, prowadząca w głąb okręgu Westchester.

Zdjęła jedną dłoń z kierownicy i nerwowym ruchem podrapała się w głowę. Po chwili, wciskając gaz do dechy, wpadła między budynki przedmieścia, obskurne sklepiki i tanie kafejki.

Myslała o bombach, o Percey Clay.

I o Lincolnie Rhymie.

Dzisiaj wyglądał, jakby coś się w nim zmieniło. Coś ważnego. Pracowali razem już od roku, od kiedy siła odsuwała ją od upragnionego zadania w wydziale spraw publicznych, żeby pomogła mu schwytac seryjnego porwacza. W tym czasie Sachs przeżywała kryzys życiowy - sprawa poszła źle, a skandal korupcyjny w departamencie pozbawił ją złudzeń do tego stopnia, że zaczęła rozważać odejście ze służby. Jednak Rhyme nie pozwolił jej tego zrobić. Tak po prostu. Mimo że był tylko cywilnym konsultantem, udało mu się załatwić jej przeniesienie do wydziału wsparcia dochodzeniowego. Z początku protestowała, ale wkrótce przestała udawać niechęć; naprawdę pokochała te prace. Uwielbiała też pracować z Rhyme'em, którego przenikliwa inteligencja dodawała jej energii, oniesmiała, ale była też - do czego Sachs nie przyznawała się przed nikim - cholernie pociągająca.

Co nie znaczy, że umiała zrozumieć go do końca. Lincoln Rhyme był ostrożnym graczem i nie pokazywał jej kart.

Strzelaj pierwsza...

O co mu chodziło? Na miejscu zbrodni użycie broni jest ostatecznością, jeżeli - naprawdę nie można tego uniknąć. Strzał mógł zanieczyszczyć teren węglem, siarką, rtęcią, antymonem, ołowiem, miedzią i arsenem, a emisja gazów groziła zniszczeniem kluczowych dowodów. Rhyme sam opowiadał jej o tym, jak musiał zastrzelić sprawcę ukrywającego się na miejscu zbrodni i najbardziej zmartwił się tym, że strzał zepsuł większość mikrośladow. (A gdy Sachs w nadziei, że wreszcie udało się jej pomysleć szybciej niż on, powiedziała: „Przecież to i tak nie miało znaczenia. Stuknales sprawcę, nie?”, Rhyme odparł zgrzyliwie: „A jeżeli miał współników, hm? Co wtedy?”).

Coż takiego różniło Tanczącego Trumniarza od innych, poza idiotycznym przydomkiem i faktem, że był odrobinę sprytniejszy od typowego żołnierza mafii czy płatnego mordercy?

Przeszukać hangar w godzinę? Sachs wydawało się, że zgodził się na to tylko ze względu na Percey. Zupełnie do niego niepodobne. Rhyme potrafił nie wpuszczać nikogo na miejsce zbrodni przez kilka dni, jeżeli uznał to za konieczne.

Dreczyły ją te pytania, a nie cierpiała pytan bez odpowiedzi.

Nie miała już jednak czasu na rozważania. Skręciła w szeroką bramę lotniska Mamaroneck,

polozonego na skraju lasu w okregu Westchester na polnoc od Manhattanu. Panowal tu duzy ruch. Przy liniach lotniczych pracowaly firmy uslugowe - United Express, American Eagle - lecz wiekszosc samolotow nie miala zadnych oznaczen, zapewne ze wzgledow bezpieczenstwa.

Przy wjezdzie stalo kilku policjantow ze stanowej, sprawdzajac dokumenty wszystkim wchodzacych. W pierwszej chwili nie rozpoznali rudowlosej pieknosci, kiedy zatrzymala woz - byla ubrana po cywilnemu, w dzinsy, kurtke i czapke baseballowa. Zaraz jednak machneli reka, zezwalajac na wjazd. Kierujac sie tablicami informacyjnymi, znalazla szary budynek Hudson Air Charters, ktory stal na koncu rzedu terminali linii lotniczych.

Zaparkowala przed wejsciem i wyskoczyla z samochodu. Przedstawila sie dwom policjantom trzymajacym straz przy hangarze, w ktorym stal Isniacy srebrem samolot. Ucieszyla sie, ze miejscowa policja ogrodzila tasma hangar i plyte przy wjezdzie. Zaniepokoiły ja jednak rozmiary miejsca, ktore miala przeszukac.

Godzina? Mogla tu spedzic caly dzien.

Wielkie dzieki, Rhyme.

Pobiegla do biura.

Znajdowalo sie tu kilkanascie osob zbitych w male grupki, kobiety i mezczyzni, niektorzy ubrani w garnitury, inni w kombinezony robocze. Wiekszosc z nich miala po dwadziescia-trzydziesti kilka lat. Sachs pomyslala, ze do wczoraj pewnie wszyscy tryskali entuzjazmem wlasciwym mlodym ludziom. Teraz twarze zdradzaly smutek, ktory w widoczny sposob ich postarzal.

- Czy jest tu Ron Talbot? - zapytala, pokazujac srebrna odznake.

Podeszla do niej najstarsza osoba w biurze - piecdziesieciokilkuletnia kobieta z trwala ondulacja, ubrana w paskudna sukienke.

- Jestem Sally Anne McCay - przedstawila sie. - Kieruje biurem. Jak sie czuje Percey?

- Dobrze - odrzekla ostroznie Sachs. - Gdzie jest pan Talbot?

Z pokoju obok wyszla trzydziestokilkuletnia brunetka w pogniecionej niebieskiej sukience i otoczyla ramieniem Sally Anne. Starsza kobieta scisnela jej reke.

- Lauren, dobrze sie czujesz?

Na zapuchnietej twarzy Lauren wciaz malowal sie szok. Zapytala Sachs:

- Wiadomo juz, co sie stalo?

- Wlasnie zaczynamy sledztwo... Gdzie znajde pana Talbota?

Ocierajac lzy, Sally Anne pokazala oczyma gabinet w rogu. Sachs podeszla do drzwi. W srodku

siedział zwałisty mężczyzna; jego podbródek okrywał zarost, a siwa czupryna była nieuczesana. Siedział nad wydrukami komputerowymi, oddychając ciężko. Unosił znad papierów ponure spojrzenie. Wyglądało na to, że on też wcześniej płakał.

- Sierżant Amelia Sachs z Departamentu Policji Nowego Jorku - powiedziała.

Skinał głową.

- Macie go już? - zapytał, spoglądając za okno, jak gdyby spodziewał się ujrzeć wzlatającego w niebo ducha Eda Carneya. Zaraz jednak popatrzył na nią. - Zabójce?

- Trzeba sprawdzić kilka tropów. - Amelia Sachs, gliniarz w drugim pokoleniu, do perfekcji opanowała sztukę udzielania wymijających odpowiedzi.

W drzwiach stanęła Lauren.

- Nie mogę uwierzyć, że już go nie ma - wykrztusiła głosem drgającym od smutku. - Kto mógł zrobić coś takiego? Kto?

Pełniąc służbę patrolową, Sachs często przekazywała złe nowiny najbliższym osobom ofiary. Nigdy się jednak nie przyzwyczaiła do rozpacz, którą słyszała w głosach rodziny i przyjaciół zmarłego.

- Lauren - Sally Anne wzięła ją pod ramię - Lauren, lepiej idź do domu.

- Nie! Nie chcę wracać do domu. Chcę wiedzieć, kto to zrobił! Och, Ed...

Wchodząc do gabinetu Talbota, Sachs powiedziała:

- Musi mi pan pomóc. Zdaje się, że zbrojca umieścił bombę na zewnątrz samolotu, pod kabiną pilotów. Musimy się dowiedzieć gdzie.

- Na zewnątrz? - Talbot zmarszczył brwi. - Jak?

- Przytwierdził magnesami i przykleił. Klej nie zdążył dobrze stępnąć, wniosek więc z tego taki, że zrobił to na krótko przed startem.

Talbot kiwnął głową.

- Zrobię, co będę mógł.

Pokazała wiszący u pasa walkie-talkie.

- Połącz się z moim szefem, który jest na Manhattanie. Zadamy panu kilka pytań. - Włączyła motorole i nałożyła słuchawkę z mikrofonem.

- Rhyme? Jestem na miejscu. Słyszysz mnie?

Choc uzywali specjalnej czestotliwosci operacyjnej i zgodnie z procedura ustalona przez Departament Lacznosci powinni zaczac od rytualnego wywolania i wymiany kodow cyfrowych, Sachs i Rhyme rzadko przejmowali sie zargonem radiowym. Dzis tez go zlekcewazyli. W sluchawce odezwal sie glos Rhyme'a, przekazany przez Bog wie ile satelitow.

- Slysze. Dluugo jechalas.

Nie przeginaj, Rhyme.

Zwrocila sie do Talbota:

- Gdzie byl samolot, zanim wystartowal? Powiedzmy, godzine, godzine i kwadrans przed startem?

- W hangarze - odparl Talbot.

- Sadzi pan, ze zabojca mogl sie tam dostac? Juz po tym... jak wy to nazywacie? Po inspekcji pilota?

- Po przegladzie. Przypuszczam, ze to mozliwe.

- Alez caly czas sa tam jacys ludzie - odezwala sie Lauren, atak szloch u minal i kobieta otarla juz twarz. Uspokoila sie, a rozpacz w jej oczach zastapil wyraz determinacji.

- Mozna spytac pania o nazwisko?

- Lauren Simmons.

- Lauren jest zastepca kierownika technicznego - rzekl Talbot. - Pracuje ze mna.

- Cala dobe razem ze Stu - ciagnela Lauren - naszym glownym mechanikiem... naszym bylým glownym mechanikiem... pracowalismy nad wyposazeniem samolotu. Gdyby ktos krecil sie w poblizu, na pewno bysmy go zauwazyli.

- Czyli - powiedziala Sachs - podlozyl bombe dopiero wtedy, gdy samolot wyjechal z hangaru.

- Chronologicznie! - wrzasnal w sluchawce glos Rhyme'a. - Gdzie byl samolot pomiedzy wyjazdem z hangaru i startem?

Sachs przekazala jego pytanie, a Talbot i Lauren zaprowadzili ja do sali konferencyjnej. W pomieszczeniu byly mapy, rozklady lotow, setki ksiazek, notatnikow i stosy papierow. Lauren rozwinela duza mape lotniska. Widnialy na niej numery i symbole, ktorých Sachs nie rozumiala, choc budynki i drogi rozrysowano dosc czytelnie.

- Zaden samolot nie moze przesunac sie nawet o cal - tlumaczyl szorstkim barytonem Talbot - bez pozwolenia kontroli naziemnej. „Charlie Juliet" byl...

- Co? „Charlie" ...?

- To numer samolotu. Nazywamy wszystkie ostatnimi literami numeru rejestracyjnego. Widzi pani numer na kadlubie? Tamten miał CJ, więc nazywaliśmy go „Charlie Juliet”. Stał w hangarze, tutaj... - Stuknął palcem w mapę. - Zakonczyliśmy załadunek...

- Kiedy? - odezwał się Rhyme tak głośno, że Sachs nie zdziwiłaby się, gdyby Talbot usłyszał jego pytanie. - Musimy znać dokładny czas!

Rejestr pokładowy „Charlie Juliet” spalił się na popiół, a taśmy Federalnego Urzędu Lotnictwa z zapisem czasu nie poddano jeszcze transkrypcji. Lauren zaczęła przeglądać wewnętrzne zapisy firmy.

- Wieża pozwoliła im kołować o dziewiętnastej szesnastce. O dziewiętnastej trzydziestu zgłosili gotowość do startu.

Rhyme wszystko słyszał.

- Czternastce minut. Zapytaj ich, czy w tym czasie samolot zatrzymał się gdzieś poza zasięgiem ich wzroku.

Sachs posłusznie przekazała pytanie i Lauren odrzekła:

- Prawdopodobnie tu. - Pokazała na mapie.

Wąski pas drogi do kołowania, długości około dwustu stop. Od reszty lotniska odgradzał go rząd hangarów. Kończył się skrzyżowaniem z pasem startowym.

- O, na dodatek ślepy punkt KL.

- Zgadza się - przytaknął Talbot, jak gdyby było to coś ważnego.

- Przetłumacz! - zatrzeszczał w słuchawce Rhyme.

- Czyli? - spytała Sachs.

- Poza zasięgiem widoczności z wieży kontroli lotów - wyjaśniła Lauren. - Ślepy punkt.

- Tak! - odezwał się głos w słuchawce. - Dobra, Sachs. Zabezpiecz i przeszukaj. Hangar zwolnij.

- Nie będziemy wchodzić do hangaru - oznajmiła Talbotowi. - Chce jednak zamknąć tę drogę do kołowania. Może pan dać znać wieży? Żeby skierowali ruch inną drogą?

- Chyba może - rzekł z powątpiewaniem. - Nie spodoba im się to.

- Jeżeli będą jakieś kłopoty, proszę zadzwonić do Thomasa Perkinsa - powiedziała Sachs. - Jest szefem biura FBI na Manhattanie. Zwroci się bezpośrednio do Federalnego Urzędu Lotnictwa.

- Do Urzędu? W Waszyngtonie? - spytała Lauren.

- Wlasnie tego.

Talbot usmiechnal sie blado.

- Dobrze.

Sachs ruszyła w kierunku drzwi, przystanęła i spojrzała na zatłoczona plyte lotniska.

- Mam samochod - powiedziala do Talbota. - Czy jezdzac po lotnisku, trzeba robic cos szczegolnego?

- Tak - odparl. - Niech pani stara sie nie zderzyc z zadnym samolotem.

STREFA RAZENIA

Ptak sokolnika, nawet oswojony i oddany swemu panu, zachowuje instynkty i zwyczaje dzikiego zwierzecia, jak kazde zwierze zyjace z czlowiekiem. Przede wszystkim jest lowca.

„Sokoly moja pasja”

Stephen Bodio

Rozdział dziesiąty

45 godzin - godzina trzecia

- Jestem na miejscu, Rhyme - oznajmiła.

Sachs wysiadła z samochodu, nałożyła na dłonie rękawiczki lateksowe i gumowe ochraniacze na buty, aby nie zatrzeć śladów sprawcy. Tak ją uczył Rhyme.

- Co to znaczy na miejscu, Sachs? - spytał.

- Na skrzyżowaniu dróg do kolowania. Między rzędami hangarów. To tutaj zatrzymał się przed startem samolot Carneya.

Spojrzała z niepokojem na stojące w oddali drzewa. Był pochmurny, wilgotny dzień, a w powietrzu wisiała następna burza. Sachs czuła się zupełnie odsłonięta. Możliwe, że Trumniarz tu był - wrocil by zniszczyć pozostawione dowody, albo chciał zabić policjanta, żeby utrudnić śledztwo. Jak wtedy na Wall Street dwa lata temu, gdy bomba zabiła techników Rhyme'a.

Strzelaj pierwsza...

Niech cię szlag, Rhyme, ale mnie nastraszyłeś! Dlaczego chcesz mi wmówić, że ten facet przenika przez ściany i pluje trucizną?

Z bagażnika kombi Sachs wyciągnęła skrzynkę PoliLight i duży neseser, w którym miała potrzebne narzędzia: śrubokręty, klucze, młotki, przecinaki do drutu, noże, zestaw do zbierania odcisków linii papilarnych, ninhydryne, pincete, szczotki, szczypce, nożyczki, kleszcze o gietkich końcówkach, zestaw do zabezpieczania pozostałości po strzałach, ołówki, plastikowe i papierowe torebki, taśmę ochronną...

Po pierwsze, ustalic granice miejsca zbrodni.

Otoczyła cały teren żółta taśma policyjna.

Po drugie, wziac pod uwage media, zasieg obiektywow kamer i mikrofonow.

Nie ma dziennikarzy. Na razie. Dzieki ci, Panie.

- Co mowisz, Sachs?
- Dziekuje Bogu, ze nie ma reporterow.
- Niezla modlitwa. Ale powiedz mi, co robisz.
- Zabezpieczam teren.
- Znajdz... wejscie i wyjscie - powiedzial.

Krok trzeci, ustalic droge, ktora przyszedl i odszedl sprawca - bedzie to drugie miejsce do zabezpieczenia.

Nie miala jednak pojecia, skad mogli nadejsc. Moze przekradl sie miedzy hangarami, przyjechal wozkiem bagazowym, cysterna...

Sachs nalozyla gogle i zaczela omiatac pas drogi piorem PoliLight. Nie dzialalo tak dobrze jak w ciemnym pokoju, ale dzieki nisko wiszacym chmurom w upiornym zoltozielonym swietle widziala rozne plamy i smugi. Sladow stop nie bylo.

- Wczoraj wieczorem spryskali droge - zawolal jakis glos za nia.

Sachs obrocila sie na piecie z reka na glocku, nieznacznie wysuwajac bron z kabury.

Nigdy nie bylam taka nerwowa, Rhyme. To twoja wina.

Przy zoltej tasmie stalo kilku mezczyzn w kombinezonach ochronnych. Podeszla do nich ostroznie, przygladajac sie zdjeciom na ich identyfikacjach. Wszystkie pasowaly do twarzy wlascicieli. Oderwala dlon od pistoletu.

- Codziennie wieczorem myja pas woda pod cisnieniem. Mowie, bo chyba pani czegos szuka.
- Pod wysokim cisnieniem - dodal drugi.

Swietnie. Wszystkie dowody, najdrobniejszy slad, kazde wlókienko, jakie spadlo z Trumniarza, szlag trafil.

- Widzieliście tu kogos wczoraj wieczorem?
- A to ma cos wspolnego z bomba?
- Okolo dziewietnastej pietnascie? - nie ustepowala.
- Nie. Tu nikt nie przychodzi. Hangary sa zupełnie puste. Pewnie je kiedys rozbiora.

- A wy co tu robicie?

- Zobaczyliśmy policje - bo pani jest z policji, nie? I przyszliśmy popatrzeć. Chodzi o bombe, nie? Kto to zrobił? Arabcy? Może jakaś pieprzona ochotnicza milicja?

Odgoniła ich i powiedziała do mikrofonu:

- Wczoraj wieczorem umyli drogę do kolowania, Rhyme. Zdaje się, że strumieniem wody pod ciśnieniem.

- O, nie.

- Podobno też...

- Halo? - usłyszała zza pleców.

Odwrociła się z westchnieniem, spodziewając się zobaczyć wracających robotników. Nowym gościem był jednak jakiś gliniarz z okregowej, w czapce drogowki i szarych spodniach o ostrych jak brzytwa kantach. Pochylił się i przeszedł pod żółtą tasmą.

- Przepraszam - zaprotestowała - ale na ten teren nie ma wstępu.

Zwolnil, lecz się nie zatrzymał. Sprawdziła jego identyfikator - wszystko się zgadzało. Na zdjęciu przypominał trochę faceta z okładki czasopisma z męską modą.

- To ty jesteś ta policjantka z Nowego Jorku, tak? - Rozesmiał się dzwicznie. - Fajne tam mają mundury - dodał, obrzucając znaczącym spojrzeniem jej obcisłe dzinsy.

- Teren jest zamknięty.

- Mogę pomóc. Skończyłem szkolenie z badań kryminalistycznych. Normalnie pracuję na autostradzie, ale brałem udział w śledztwach. Masz fantastyczne włosy. Pewnie nieraz ci o tym mówili?

- Naprawdę muszę prosić...

- Jestem Jim Everts.

Strzeż się przechodzenia na ty; przylepia się to do ciebie jak rzep.

- Sierżant Sachs, departament nowojorski.

- Ale historia z tą bombą. Jakaś brudna sprawa.

- Słuchaj, Jim, tasma jest po to, żeby nikt tu nie wchodził. Skoro chcesz pomóc, mogłbyś łaskawie wrócić na drugą stronę?

- Zaraz. Nikt, czyli policjanci tez nie?

- Tez.

- Czyli ja tez nie?

- Nie da sie ukryc.

Istnialo piec klasycznych czynnikow stanowiacych zagrozenie dla materialow dowodowych na miejscu zbrodni: pogoda, krewni ofiary, podejrzani, kolekcjonerzy pamiatek i najgorszy z nich - inni gliniarze.

- Niczego nie dotkne. Przysiegam. Wystarczy mi, ze bede patrzyl, jak pracujesz, zlotko.

- Sachs - szepnal Rhyme. - Powiedz mu, zeby stamtad spieprzal.

- Jim, spieprzaj z mojego miejsca zbrodni.

- Inaczej zlozysz na niego raport.

- Inaczej zloze na ciebie raport.

- Uuu, jestes do tego zdolna, prawda? - Uniosl rece, poddajac sie. Z jego ust zniknal ostatni slad uwodzicielskiego usmieszku.

- Do roboty, Sachs.

Gliniarz odszedl powoli, unoszac ze soba swoja dume. Odwrocil sie jeszcze, ale nie przyszła mu do glowy zadna cieta riposta.

Amelia Sachs przystapila do systematycznego badania terenu, chodzac po siatce.

Bylo kilka roznych sposobow przeszukiwania miejsc zbrodni. Wstegowe - gdy chodzilo sie po torze serpentyny - zwykle stosowano na otwartym terenie, poniewaz w ten sposob mozna bylo zbadac spory obszar w dosc krótkim czasie. Rhyme nigdy o czymś takim nie chcial slyszec. On wolal siatke, czyli dokladne przeszukanie terenu w jednej plaszczyznie, krok po kroku, tam i z powrotem, a potem w kierunku prostopadlym. Kiedy Rhyme kierowal wydzialem, „chodzenie po siatce” stalo sie synonimem zabezpieczania miejsca zbrodni i biada policjantowi, ktorego przylapal na chodzeniu skrotami albo oddawaniu sie marzeniom podczas robienia siatki.

Sachs przez godzine chodzila tam i z powrotem. Polewaczka mogla zlikwidowac odciski palcow i mikroslady, lecz na pewno nie zniszczyla by zadnego wiekszego przedmiotu upuszczonego przez Trumniarza ani nie popsulaby sladow stop czy odciskow innych czesci ciala w blocie obok drogi. Nic jednak nie znalazla.

- Do diabla, Rhyme, nic nie ma.

- Sachs, zaloze sie, ze jest mnostwo dowodow. Musisz sie bardziej postarac niz przy innych okazjach. Pamietaj, ze Trumniarz nie jest taki jak wiekszosc sprawcow.

Ten znowu swoje.

- Sachs. - Jego cichy glos zabrzmial szalenie zmyslowo, az zadrzala. - Wejdz w niego - wyszeptal.
- Wiesz, co mam na mysli.

Och, wiedziala doskonale. Nie cierpiala tego, ale tak, wiedziala, o co chodzi Rhyme'owi. Najlepsi kryminalistycy potrafili odnalezc takie miejsce w swoim umysle, gdzie granica miedzy scigajacym a sciganym wlasciwie przestawala istniec. Poruszali sie po miejscu zbrodni nie jak policjanci szukajacy sladow, ale jakby byli sprawcami, wczuwajac sie w ich emocje, pragnienia i leki. Rhyme posiadl ow talent. Sachs tez, chociaz probowala temu zaprzeczac. (Miesiac temu zabezpieczala miejsce zbrodni - ojciec rodziny zamordowal zone i dziecko - i jako jedyna zdolala odnalezc narzedzie zbrodni. Po zamknieciu sprawy nie mogla pracowac przez tydzien, bo dreczyly ja wspomnienia, jak gdyby to rzeczywiscie ona zaklula nozem ofiary. Widziala ich twarze, slyszala krzyki).

Uplynela chwila milczenia.

- Mow do mnie - odezwal sie Rhyme. Nareszcie z jego glosu zniknelo zdenerwowanie. - Jestes nim. Idziesz droga, ktora on szedl, myslisz tak jak on.

Oczywiscie nieraz juz tak do niej mowil. Lecz teraz - bo w przypadku Trumniarza wszystko bylo inaczej - wydawalo sie jej, ze Rhyme'owi chodzi o cos wiecej niz ukryte dowody. Nie, miala wrazenie, ze Rhyme obsesyjnie chce poznac sprawce. Kim jest, dlaczego zabija.

Jeszcze raz przeszedl ja dreszcz. W myslach ujrzala wczorajszy wieczor. Swiatla na plycie lotniska, ryk silnikow odrzutowych, zapach spalin.

- No, Amelio, jestes nim. Jestes Tanczacym Trumniarzem. Wiesz, ze w samolocie jest Ed Carney, wiesz, ze musisz podlozyc na pokladzie bombe. Pomysl nad tym przez minute.

I myslala, starajac sie wzbudzic w sobie chec zabijania.

- Jestes doskonala - ciagnal melodyjnym, niesamowitym glosem. - Nie masz zadnych oporow moralnych. Mozesz zabic kazdego, zrobisz wszystko, zeby osiagnac cel. Odwracasz od siebie uwage, wykorzystujesz innych ludzi... Twoja najniebezpieczniejsza bronia jest podstep.

Leze i czekam.

Moja najniebezpieczniejsza bron...

Zamknela oczy.

...to podstep.

Sachs poczula cien nadziei, budzacy sie w niej instynkt czujnego lowcy.

- Rhyme...

- Mozesz sprobowac jakos odwrocic od siebie uwage ludzi na lotnisku? - ciagnal cicho.

Otworzyla oczy.

- Teren jest zupełnie pusty. Nic nie moze odwrocic uwagi pilotow.

- Gdzie sie chowasz?

- Wszystkie hangary sa pozamykane. Trawa jest za niska, zeby sie w niej ukryc. Nie ma zadnych ciezarowek ani zbiornikow z paliwem. Zadnych drozek. Zadnych zakamarkow.

Skurcz rozpaczy. Co ja teraz zrobie? Musze podlozyc bombe. Nie mam czasu. Te swiatla... wszedzie jasno. Co mam robic?

- Nie moze sie ukryc po drugiej stronie hangarow - powiedziala. - Za duzo tam robotnikow. Bede na widoku. Zobacza mnie.

Przez glowe Sachs przemknelo, nie pierwszy raz, pytanie - skad Lincoln Rhyme wzial te moc, pozwalajaca mu zmieniac ja w kogos innego. Czasem ja to zloscilo. Czasem ekscytowalo.

Padla na kolana, zapominajac o zapaleniu stawow, ktore nekalo ja z przerwami od dwudziestych trzecich urodzin, czyli od dziesieciu lat.

- Teren jest otwarty. Widac mnie jak na dloni.

- O czym myslisz?

Szukaja mnie, a ja nie moze pozwolic, by mnie znalezli. Nie moze!

To ryzykowna gra. Trzeba zostac w ukryciu. Nie pokazywac sie.

Nigdzie nie mozna sie schowac.

Jezeli mnie zobacza, to koniec. Znajda bombe, dowiedza sie, ze chce zabic wszystkich troje swiadkow. Dadza im bezpieczne schronienie. Wtedy nigdy ich nie dopadne. Nie moze na to pozwolic.

Czujac panike, ktora musiala towarzyszyc Trumniarzowi, Sachs zawrocila do jedynej mozliwej kryjowki. Hangaru przy drodze do kolowania. Jedyne okno w scianie od strony plyty lotniska bylo wybite. Mialo trzy na cztery stopy, lecz nie zwrocila na nie uwagi, poniewaz zakrywala je gnijaca sklejka, przybita do ramy od wewnatrz.

Wolno podeszla do hangaru. Na ziemi przed nim wysypano zwir, bez zadnych sladow stop.

- Rhyme, jest tu zabite deska okno. Od srodka. Szyba wybita, sa resztki szkla.

- Resztki szyby sa brudne?

- Okropnie.

- A brzegi?

- Brzegi sa czyste. - Zrozumiala, dlaczego o to zapytal. - Ktos wybil szybe niedawno!

- Zgadza sie. Wypchnij te deske.

Sklejka wpadla do hangaru bez zadnego oporu, uderzajac z halasem o podloge.

- Co to bylo? - wrzasnal Rhyme. - Sachs, nic ci nie jest?

- To tylko sklejka - odpowiedziala, a jego niepokoju znow przejal ja lekkiem.

Oswietlila wnetrze hangaru latarka halogenowa. Nikogo.

- Co widzisz, Sachs?

- Pusto. Tylko kilka zakurzonych skrzynek. Zwir na podlodze...

- To on! - przerwal Rhyme. - Wybil okno i wrzucil troche zwiru, zeby mogl na nim stanac, nie zostawiajac sladow. Stary trik. Sa przed oknem jakies odciski stop? Zaloze sie, ze tylko troche zwiru - dodal kwasno.

- Rzeczywiscie.

- Dobra. Sprawdz okno. Potem wejdz do hangaru. Przede wszystkim uwazaj na bomby pulapki. Pamietaj o tamtym koszu na smieci sprzed kilku lat.

Przestan, Rhyme! Przestan.

Sachs jeszcze raz skierowala snop swiatla do srodka.

- Czysciutko, Rhyme. Nie widze zadnych pulapek. Obejrze rame okna.

PoliLight nie wykazal nic, poza ledwie widocznym odciskiem pozostawionym przez palec w bawelnianej rekawiczce.

- Nie ma ani jednego wlókienka, tylko odcisk tkaniny bawelnianej.

- Jest cos w hangarze? Cos, co warto ukrasc?

- Nie. Pusto.

- To dobrze - odrzekł Rhyme.

- Dlaczego dobrze? Mówiłam, że nie ma żadnych odcisków.

- Ach, ale to znaczy, że to on, Sachs. Czy ktoś inny włamywałby się do hangaru w bawełnianych rękawiczkach, skoro w środku nic nie ma? Przecież to by było bezsensowne.

Dokładnie zbadała teren. Nie było odcisków stop ani palców, żadnych widocznych dowodów. Specjalnym odkurzaczem wciągnęła materiał z podłogi, umieszczając filtr w torebce.

- Szkło i żwir też? - spytała. - Do papierowej torebki?

- Tak.

Często materiał dowodowy niszczyła wilgoć i choć mogło się to wydawać nieprofesjonalne, niektóre dowody najlepiej było transportować w papierowych torebkach zamiast w plastikowych.

- Dobra, Rhyme. Za czterdzieści minut wszystko otrzymasz.

Rozłączyli się.

Ostrożnie pakując torebki do bagażnika służbowego kombi, Sachs zauważyła, że się zdenerwowała, jak zwykle gdy nie udało się jej znaleźć żadnego niezbitego dowodu - broni palnej, noża albo portfela sprawcy. Materiał, który zebrала, być może zawierał jakieś informacje na temat Trumniarza i jego kryjówki. Równie dobrze jednak cały wysiłek mógł się zdać psu na bude. Zależało jej, by jak najprędzej wrócić do laboratorium Rhyme'a i zobaczyć, czy on coś w tym znajdzie.

Wskoczyła za kierownicę i pojechała z powrotem do biura Hudson Air. Wbiegła do gabinetu Rona Talbota. Ron rozmawiał z wysokim mężczyzną, który stał odwrócony do drzwi plecami. Sachs powiedziała:

- Wiem, gdzie się ukrywał, panie Talbot. Teren jest już wolny. Może pan przekazać wieści...

Mężczyzna odwrócił się. To był Brit Hale. Zmarszczył brwi, usiłując przypomnieć sobie jej nazwisko.

- Ach, sierżant Sachs. Witam.

Odruchowo chciała odwzajemnić pozdrowienie, lecz powstrzymała się.

Co on tu robił? Przecież miał siedzieć w bezpiecznym domu.

Usłyszała cichy płacz i zajrzała do sali konferencyjnej. Obok Lauren, ładnej brunetki, która była zastępczynią Talbota, siedziała Percey Clay. Lauren płakała, a Percey z determinacją próbowała ją pocieszać. Uniósł oczy, zobaczyła Sachs i skinęła jej głową.

Nie, nie, nie...

Po chwili trzecia niespodzianka.

- Cześć, Amelio - powiedział wesoło Jerry Banks, popijając kawę przy oknie, przez które przed chwilą oglądał Isniacego Learjeta. - Robi wrażenie taki samolot, co?

- Co wy tu robicie? - zapytała ostro, wskazując Hale'a i Percey, zapominając, że Banks jest starszy stopniem.

- Mieli jakieś kłopoty z mechanikiem - rzekł Banks. - Percey chciała tu na chwilę wpaść, żeby spróbować...

- Rhyme - krzyknęła Sachs do mikrofonu. - Ona tu jest.

- Kto? - odezwał się zrzędlawy głos. - I co to znaczy „tu”?

- Percey. I Hale. Na lotnisku.

- Nie! Przecież mieli być w bezpiecznym domu.

- Ale nie są. Mam ich przed sobą.

- Nie, nie, nie! - krzyknął wściekle Rhyme. Po chwili dodał spokojniej: - Zapytaj Banksa, czy przynajmniej jechali tak, żeby zgubić ewentualny ogon.

Banks z ociąganiem przyznał, że nie.

- Percey upierała się, żeby tu wstąpić. Probowałem ją namawiać...

- Jezus, Sachs. On tam gdzieś jest. Trumniarz. Wiem, że tam jest.

- Jak to? - Jej wzrok powędrował za okno.

- Zatrzymaj ich - rzekł Rhyme. - Dellray przysłał wam z White Plains samochód opancerzony.

Percey usłyszała zamieszanie w gabinecie.

- Pojaje do tej twierdzy za jakąś godzinę. Muszę znaleźć mechanika, który...

Sachs uciszyła ją gestem i powiedziała:

- Jerry, zatrzymaj ich tu. - Pobiegnęła do drzwi i wyjrzała na szarą polac lotniska; po pasie startowym mknął z rykiem samolot śmigłowy. Przysunęła mikrofon bliżej ust.

- Jak, Rhyme? - zapytała głośno. - Jak nas może zaatakować?

- Nie mam pojęcia. Jest zdolny do wszystkiego.

Sachs starała się ponownie wejść w umysł Trumniarza, ale na próżno. Jedyne, co przychodziło jej

do glowy, to podstep.

- Jak dobrze jest zabezpieczone lotnisko? - zapytal Rhyme.

- Dosc szczelne. Ogrodzenie ze stalowej siatki. Blokada policyjna przy wjezdzie, sprawdzaja wszystkim przepustki i legitymuja.

- Ale nie legitymuja policjantow, prawda?

Sachs spojrzala na umundurowanych funkcjonariuszy, przypominajac sobie, jak latwo ja wpuscili.

- Do diabla, Rhyme, tu jest kilkanascie wozow policyjnych i pare cywilnych. Nie znam detektywow ani mundurowych... Kazdy z nich moglby nim byc.

- Dobrze, Sachs. Sluchaj, dowiedz sie, czy nie zaginal zaden z miejscowych gliniarzy. W ciagu ostatnich dwoch, trzech godzin. Trumniarz mogl ktoregos zabic i ukrasc jego legitymacje i mundur.

Sachs zawolala jednego ze stanowych, dokladnie przyjrzala sie jego twarzy i legitymacji, uznajac, ze jest prawdziwy. Powiedziala:

- Siedzimy, ze zabojca moze byc w poblizu, prawdopodobnie w przebraniu policjanta. Chce, zebys sprawdzil wszystkich, ktorzy tu sa. Gdyby trafil sie jakis nieznany, daj mi znac. Dowiedz sie tez u dyspozytora, czy w ciagu ostatnich kilku godzin nie zaginal zaden gliniarz z waszego rejonu.

- Zajme sie tym.

Wrocila do biura. Na oknach nie bylo rolet, wiec Banks zaprowadzil Percey i Hale'a do wewnetrznego gabinetu.

- Co sie dzieje? - zapytala Percey.

- Za piec minut stad wyjezdza - odrzekla Sachs, spogladajac za okno i probujac odgadnac, jak Trumniarz moze zaatakowac. Nie miala zielonego pojecia.

- Dlaczego? - zapytala lotniczka, marszczac brwi.

- Mamy wrazenie, ze czlowiek, ktory zabil pani meza, jest tutaj. Albo w drodze na lotnisko.

- Przestancie. Plyta jest obstawiona policja. Bezpieczniej byc nie moze, musze...

- Bez dyskusji - uciela ostro Sachs.

Mimo to Percey nie zamierzala dac za wygrana.

- Nie mozemy odjechac. Wlasnie zwolnil sie moj glowny mechanik. Musze...

- Percey - powiedzial niepewnie Hale. - Chyba jednak powinnismy jej posluchac.

- Powinnismy przygotować samolot.

- Wracać do pokoju. I milczeć.

Percey wstrząsnęta otworzyła usta.

- Nie może pani tak się do mnie zwracać. Nie jestem więźniem.

- Halo, sierżancie Sachs? - W drzwiach stanął policjant, z którym Sachs rozmawiała na zewnątrz.
- Przyjrzałem się pobieżnie wszystkim mundurowym i detektywom. Nie ma żadnych nieznajomych. Nie zaginal żaden funkcjonariusz z Westchester ani ze stanowej. Lecz nasza centrala o czymś mi powiedziała. Być może to nic takiego, ale warto wiedzieć.

- Słucham.

- Sierżancie Sachs, muszę z panią porozmawiać... - wtraciła Percey Clay.

Nie zareagowała, ponaglając policjanta gestem.

- No, proszę.

- Meldunek od patrolu drogowki z White Plains, dwie mile stąd. W kontenerze ze śmieciami znaleźli zwłoki. Ofiara musiała zginąć z godziny temu, może później.

- Rhyme, słyszysz?

- Tak.

- Dlaczego sądzisz, że to może być ważne? - spytała gliniarza Sachs.

- Chodzi o sposób zadania śmierci. Okropna masakra.

- Zapytaj go, czy ofierze odcięto ręce i zdarto skórę z twarzy - odezwał się Rhyme.

- Co?

- Spytaj go!

Przekazała pytanie, a rozmowy w biurze urwały się i wszyscy obecni utkwili spojrzeniem w Sachs. Zaskoczony policjant odrzekł:

- Tak, zgadza się. Przynajmniej jeśli chodzi o ręce. Skąd pani wie?

- Gdzie jest teraz ciało? - wyrzucił z siebie Rhyme.

Sachs znów powtórzyła jego pytanie.

- W samochodzie koronera. Wiozą je do kostnicy okręgowej.

- Nie - powiedział Rhyme. - Kaz im przekazac je sobie, Sachs. Chce, zebys obejrzala zwloki. Dzieki temu dowiesz sie, jak zamierza was zaatakowac. Niech Percey i Hale nie ruszaja sie stamtad, dopoki nie bedziemy wiedzieli, co nas moze czekac.

Proszba Rhyme'a została przekazana policjantowi.

- Dobrze - odrzekł. - Zajme się tym. Ale czy to znaczy, że mają przywieźć ciało... tutaj?

- Tak. Jak najszybciej.

- Sachs, powiedz im, żeby się pospieszyli - rzekł Rhyme. Westchnął. - Niedobrze, bardzo niedobrze.

Sachs odniosła niejasne wrażenie, że Rhyme martwi się nie tyle z powodu człowieka, który zginął straszną śmiercią, ile z powodu ludzi, którzy być może mieli podzielić jego los.

Powszechnie uważa się, że najważniejszy dla snajpera jest karabin, ale to nieprawda. Ważniejszy jest celownik optyczny.

Jak nazywamy to urządzenie, żołnierzu? Celownik teleskopowy? Teleskop?

Melduje, że to luneta. Redfield, z regulacją trzy na dziewięć i z siatką nitek. Nie ma lepszej.

Luneta, którą Stephen montował na modelu 40, miała dwanaście i trzy czwarte cala długości, wazyła nieco ponad dwanaście uncji. Zgodnie z numerami seryjnymi celownik był specjalnie dobrany do tej broni, ostrość dokładnie wyregulowana. Inżynier optyk ustawił paralaksę w taki sposób, że jeśli strzelec nieznacznie poruszył głową z lewa na prawo, krzyż nitek na brzegu serca człowieka stojącego w odległości pięciuset jardów pozostawał na miejscu. Kat przyłożenia oka był tak dokładny, że okular cofający się pod siłą odrzutu zatrzymywał się milimetr od brwi Stephena, nie dotykając ani jednego włosa.

Luneta Redfield była czarna i lśniła. Stephen trzymał ją w wyłożonej aksamitem styropianowej kształtce w futerale gitary.

Teraz, ukryty w trawie jakieś trzysta jardów od hangaru i biura Hudson Air, Stephen zamontował czarna tuleję na prostopadłych do lufy uchwytych (zawsze, gdy to robił, myślał o krucyfiksie ojczyzny), po czym przekreślił celownik, słysząc przyjemny trzask zacisków. Dokreślił śruby mocujące.

Żołnierzu, jesteś dobrym snajperem?

Melduje, że jestem najlepszy.

Jakie masz kwalifikacje?

Melduje, że jestem w świetnej formie fizycznej, jestem precyzyjny, praworeczny, mam doskonały wzrok, nie pale, nie pije, nie biore żadnych narkotyków, potrafię leżeć nieruchomo przez kilka godzin

i żyje po to, żeby posyłać kule wrogom.

Wtulił się głębiej w sterte traw i liści.

Pomyślał, że mogą tu być robaki. Lecz w tej chwili się nie kulił. Miał do spełnienia misję, która zaprzętała mu umysł bez reszty.

Stephen przycisnął do siebie broń, wdychając zapach oleju z trzonka zamka i oleju kopytkowego, którym smarował skorzany pas, tak miękki i wytarty, że w dotyku przypominał angore. Model 40 był karabinem z uzbrojenia NATO, kalibru 7,62 milimetra, o wadze osmiu funtów dziesięciu uncji. Zwykle siła nacisku na spust wahała się między trzema a pięcioma funtami, lecz Stephen ustawił więcej, ze względu na siłę swoich palców. Broń miała zasięg znamionowy tysiąca jardów, ale już z niej trafiał do celów oddalonych o ponad tysiąc trzysta.

Stephen znalazł swój karabin na wylot. Ojczym mówił mu, że snajperom nie pozwala się samym rozbierać broni i konsekwentnie zabraniał tego robić Stephenowi. On jednak nie zgadzał się z tą zasadą starego i w nietypowym dla siebie odruchu buntu, w tajemnicy nauczył się rozkładać karabin, czyścić go, naprawiać, a nawet samemu dorabiać zepsute części.

Obserwował przez lunetę biuro Hudson Air. Nie widział Zony, ale wiedział, że tam jest albo niedługo przyjedzie. Na tasmie z podsłuchu zamontowanego na linii Hudson Air Stephen usłyszał, jak mówi komus o imieniu Ron, że zmieniają plany; zamiast do bezpiecznego domu postanowili pojechać na lotnisko i znaleźć mechaników, którzy mieli pracować przy samolocie.

Czołgając się nisko przy ziemi, Stephen przesunął się na lekkie wzniesienie, gdzie nadal chroniły go drzewa i liście, lecz skąd miał lepszy widok na hangar, biuro i parking, od których oddzielała go polna trawa i dwa pasy startowe.

Wspaniała strefa rażenia. Szeroka. Prawie brak zasłon. Wszystkie wejścia i wyjścia stanowiły łatwy cel.

Przed frontowymi drzwiami biura stały dwie osoby. Policjant ze stanowej albo okregowej. Druga osoba była kobieta - spod baseballowej czapki wymykały się kosmyki rudych włosów. Bardzo ładna. Policjantka w cywilu. Widział zarys kabury nad jej biodrem pod kurtką - pewnie Glock albo Sig-Sauer. Wziął dalmierz i nastawił ostrość obu soczewek na rudych włosach kobiety. Przekrecał pierścien, aż obrazy stały się jednolite.

Trzysta szesnastu jardów.

Odłożył dalmierz, podniósł karabin i spojrzał przez celownik na kobietę, zatrzymując skrzyżowane nitki na jej włosach. Popatrzył na jej piękną twarz. Jej uroda zaniepokoiła go. Nie podobała mu się. Zastanawiał się dlaczego.

Trawa wokół niego zaszleściła. Pomyślał: robaki.

Zaczął się kulic.

Twarz w oknie...

Nitki celownika znalazły się na piersi kobiety.

Paskudne uczucie zniknęło.

Żołnierzu, jak brzmi motto snajpera?

„Jedna szansa, jeden strzał, jedna ofiara”.

Warunki były doskonałe. Z prawej wiał słaby boczny wiatr, z prędkością około czterech mil na godzinę. W powietrzu czuć było wilgoc, która nadawała pociskowi płynny tor. Miał strzelac nad mało urozmaiconym terenem, przy umiarkowanych prądach termicznych.

Wycofał się z powrotem za pagórek i wsunął w lufę wycior zakończony kawalkiem miękkiej bawelny. Przed oddaniem strzału zawsze trzeba wyczyszczyć bron. Najmniejsza drobina wody czy oleju mogła spowodować odchylenie kuli od trajektorii o jakiś cal. Zrobił pętle na pasie karabinu i położył się płasko w swoim gnieździe.

Stephen załadował do komory pięć nabożów - M-118, produkowanych w renomowanej wytwórni uzbrojenia w Salt Lake City. Sam pocisk był stuśiedemdziesięcioletnim stożkiem, który trafiał w cel z prędkością pół mili na sekundę. Jednak Stephen zmodyfikował trochę te amunicje. Wywiercił w pociskach otworki, wypełniając je małymi ładunkami wybuchowymi i zmienił zwykłe metalowe obudowy na końcówki ceramiczne, które łatwo mogły przebić większość kuloodpornych osłon ciała.

Rozwinał cienką ściereczkę i rozłożył ją na ziemi, by łuski opadły na materiał. Potem zrobił jeszcze jedną pętle na pasku, owinał go wokół bicepsu lewej ręki i wbił łokieć mocno w ziemię, tak aby przedramię tworzyło z podłożem kat prosty - w ten sposób zrobił naturalną podporę. Policzkiem i kciukiem prawej ręki przywarł do łoża karabinu nad spustem.

Następnie zaczął obserwować strefę rażenia.

Trudno było zajrzeć do wnętrza biura, ale Stephenowi wydawało się, że dojrzał Zone.

Tak! To była ona.

Stała za wysokim, kędzierzawym mężczyzną, ubranym w białą pogniecioną koszulę. Mężczyzna trzymał w dłoni papierosa. Młody blondyn z policyjną odznaką na pasku wyprowadził ich poza zasięg wzroku Stephena.

Cierpliwości... zaraz znowu się pokaze. Nie mają pojęcia, że tu jesteś. Możesz czekać cały dzień. Dopóki robaki...

Znow zobaczył błyskające światła.

Na parking wjechał z dużą szybkością ambulans. Rudowłosa policjantka zobaczyła go i zaintrygowana pobięła do samochodu.

Stephen głęboko odetchnął.

Jedna szansa...

Wyceluj bron, żołnierzu.

Melduje, że normalny kąt celowania przy trzystu szesnastu jardach wynosi trzy minuty. Skierował lufę lekko w górę, by uwzględnić siłę grawitacji.

Jeden strzał...

Uwzględnij boczny wiatr, żołnierzu.

Melduje, że wzór jest następujący: zasięg w setkach jardów razy prędkość, dzielone przez piętnaście. Stephen dokonał błyskawicznych obliczeń w myślach: nieco mniej niż minuta poprawki na wiatr. Odpowiednio ustawił lunetę.

Melduje, że jestem gotów.

Jedna ofiara...

Spoza chmury błysnął snop światła i rozjaśnił front budynku biurowego. Stephen zaczął oddychać wolno i równo.

Miał szczęście: robaki trzymały się z daleka. I nie patrzyły na niego żadne twarze z okien.

Rozdział jedenasty

45 godzin - godzina czwarta

Z karetki wytoczył się pulchny sanitariusz.

Skinęła mu głowa.

- Jestem sierżant Sachs.

Skierował w jej stronę okrągły brzuch i z kamienną twarzą powiedział:

- Aha, to ty zamawiałaś pizzę? - Po czym zachichotał.

Westchnęła.

- Co się stało? - spytała.

- Co się stało? Z nim? Dał się zabić, tyle się stało. - Obrzucił ją badawczym spojrzeniem i pokręcił głową. - Jesteś policjantka? Nigdy cie tu nie widziałem.

- Jestem z miasta.

- A, z miasta. Jest z miasta. Zawsze lepiej zapytać - dodał ze śmiertelną powagą. - Widziałas już kiedyś nieboszczyka?

Czasem trzeba trochę pokory. Musisz się nauczyć ile, ale to cenna lekcja. Czasem więcej niż cenna - konieczna. Sachs uśmiechnęła się.

- Mamy tu naprawdę trudną sytuację. Będzie wdzięczna, jeśli mi pomożesz. Gdzie go znaleźliście?

Przez chwilę przyglądał się jej biustowi.

- Pytam, czy widziałas już zwłoki, bo te tutaj to dość przykry widok. Mogę zrobić przy nim, co trzeba, dokonać oględzin i tak dalej.

- Dzięki. Zaraz się do tego zabierzemy. Ale najpierw chcę wiedzieć, gdzie znaleźliście ciało?
- W kontenerze na parkingu, jakieś dwa kilometry stąd...
- Dwie mile - poprawił ktos.
- Cześć, Jim - powiedział sanitariusz.

Sachs odwróciła się. No nie, znowu ten gliniarz, który usiłował z nią flirtować przy pasie startowym. Podszedł do karetki wolnym krokiem.

- Witaj, złotko. To znowu ja. Jak się trzyma żółta tasma na lotnisku? Co tam masz, Earl?

- Zwłoki bez rak. - Earl rozsunął drzwi ambulansu, sięgnął do środka i rozpiął zamek worka. Na podłogę karetki bryzgnęła krew.

- Faj. - Earl skrzywił się. - Słuchaj, Jim, jak tu skończysz, masz ochotę na spaghetti?

- Może lepiej zimne nozki.

- To jest myśl.

- Sachs, co się tam dzieje? - włączył się Rhyme. - Masz te zwłoki?

- Mam. Próbuje się czegoś dowiedzieć. - Zwrociła się do grubego sanitariusza. - Pospieszmy się. Wiecie, kto to jest?

- Nie miał nic, co pomogłoby go zidentyfikować. Nie zgłaszano żadnych zaginień. Nikt nic nie widział.

- Istnieje możliwość, że to policjant?

- Nie. W każdym razie ja go nie znam - odparł Jim. - A ty, Earl?

- Nie. Dlaczego?

Sachs nie odpowiedziała.

- Muszę go obejrzeć.

- No dobrze - rzekł Earl. - Gdybys mnie potrzebowała, jestem pod reka.

- Chyba nie pod jego - odezwał się Jim, parskając śmiechem. Sanitariusz znowu głupkowato zachichotał.

Sachs weszła do ambulansu i rozpięła do końca worek ze zwłokami.

A ponieważ nie zdradzała ochoty, by sięgnąć przed nimi dzinsy ani nawet nie chciała niewinnie

poflirtowac, nie pozostawalo im nic innego, jak gnebic ja dalej.

- To nie to samo co zatrzymywanie samochodu za przekroczenie predkosci - powiedzial do niej Earl. - Jim, jek myslisz, lepsze od tego, co widziales w zeszlym tygodniu?

- Od tamtej glowy? - Gliniarz zamyslil sie. - Cholera, wolalbym codziennie swieza glowe niz taka po miesiacu. Widzialas kiedys glowe po miesiacu w wodzie, zlotko? Nieprzyjemna rzecz. Gdy cialo lezy w wodzie trzy, cztery miesiace - nie ma sprawy, zostaja tylko kosci. Ale miesiac...

- Paskudztwo - dodal Earl.

- Widzialas kiedys glowe z wody, zlotko?

- Wolalabym, zebys tak nie mowil, Jim - powiedziala z roztargnieniem.

- Glowa z wody?

- Zlotko.

- Jasne, przepraszam.

- Sachs - rzekl zniecierpliwiony Rhyme. - Co sie dzieje?

- Denat niezidentyfikowany, Rhyme. Nikt nie ma pojecia, kto to moze byc. Rece odciete ostrza pila.

- Percey jest bezpieczna? Hale?

- Oboje sa w biurze. Jest z nimi Banks. Stoja daleko od okien. Co z wozem opancerzonym?

- Powinien u was byc za trzy minuty. Musisz dowiedziec sie czegos o denacie.

- Mowisz do siebie, zlot... sierzancie?

Sachs ogladala cialo. Doszla do wniosku, ze ofierze odcieto rece w chwile po smierci albo w momencie agonii, poniewaz krwi bylo mnostwo. Nalozyla rekawiczki lateksowe.

- Dziwne, Rhyme. Dlaczego tylko czesciowo udaremnilo identyfikacje?

Zabojcy, jezeli nie maja czasu, by pozbyc sie ciala, udaremniaja jego identyfikacje, usuwajac charakterystyczne czesci: glownie rece i zeby.

- Nie wiem - odrzekl Rhyme. - Takie niedopatrzzenie zupełnie nie pasuje do Trumniarza, nawet gdyby sie spieszyl. Co ofiara ma na sobie?

- Tylko bielizne. Na miejscu zbrodni nie znaleziono ubran ani rzeczy osobistych.

- Dlaczego Trumniarz wybral wlasnie jego? - Rhyme sie zamyslil.

- Jezeli to w ogole byl Trumniarz.
- Jak czesto w Westchester znajduje sie ciala w takim stanie?
- Z tego, co mowia miejscowi, wynika - powiedziala przygnebiona - ze co drugi dzien.
- Wracajmy do denata. Przyczyna smierci?
- Ustaliliscie przyczynie smierci? - zawolala do pucolowatego Earla.
- Uduszenie - odrzekl sanitariusz.

Lecz Sachs od razu zauwazyla, ze na wewnetrznych stronach powiek nie ma naciekow krwi. Jezyk tez nie byl uszkodzony. Wiekszosc ofiar podczas duszenia przygryza sobie jezyk.

- Nie sadze.

Earl poslal Jimowi znaczace spojrzenie i prychnal:

- Na pewno. A skad ta czerwona prega na szyi? Nazywamy to sladem zadzierzgnięcia, zlotko. Nie mozemy go tu trzymac w nieskonczonosc. W taki dzien jak dzisiaj szybko zacznie dojrzewac. A to zapaszek, jakiego na pewno twoj ksztaltny nosek nie zniesie.

Sachs zmarszczyla brwi.

- Nie zostal uduszony.

Natarli na nia we dwojke.

- Zlot... sierzancie, to slad zadzierzgnięcia - powiedzial Jim. - Widzialem takich setki.
- Nie, nie - odrzekla. - Sprawca zerwal mu tylko lancuszek.

- Chyba masz racje, Sachs - wtracil Rhyme. - Pierwsza rzecz, zeby uniemozliwic identyfikacje zwlok, to zabrac bizuterie. Pewnie mial medalik ze swietym Krzysztofem, moze z dedykacja. Kto tam jest z toba?

- Dwoch kretynow - odparla.
- Aha. Jaka jest wiec przyczyna smierci?

Po krotkich poszukiwaniach znalazla rane.

- Szpikulec do lodu albo noz o waskim ostrzu, ktory wszedl z tylu czaszki.

Drzwi zatarasowala kragla postac Earla.

- Znalezlilibysmy to - powiedzial na swoja obrone. - Przez twoich kolegow musieliśmy od razu

gnac tutaj.

- Opisz go - poprosil w sluchawce Rhyme.

- Ma nadwage, wielki brzuch. Duzo obwislej skory.

- Opalenizna, moze oparzenie sloneczne?

- Tylko na ramionach i korpucie. Na nogach nie. Nieobciete paznokcie u nog, tani kolczyk ze zwyklego metalu. Slipki Sears, z dziurami.

- Wyglada na robotnika albo jakiegos dostawce - powiedzial Rhyme. - Wiemy coraz wiecej. Zajrzyj mu do gardla.

- Co?

- Moze znajdziesz portfel. Kiedy ofiara ma zostac przez pare godzin anonimowa, sprawca wpycha jej dokumenty do gardla. Znajduje sie je dopiero w czasie sekcji.

Z zewnatrz dobiegl wybuch smiechu, ktory zaraz ucichl, gdy Sachs chwycila szczeke nieboszczyka, odciagnela i siegnela w glab ust.

- Jezu - wymamrotal Earl. - Co ty robisz?

- Nic nie ma, Rhyme.

- Lepiej przetnij gardlo. I siegnij glebiej.

Kiedys Sachs obruszala sie, slyszac niektore makabryczne prosby Rhyme'a. Ale dzis zerknela na dwojke usmiechnietych balwanow, po czym wyjela z kieszeni dzinsow swoj ulubiony, choc nielegalny, noz sprezynowy i otworzyla go.

Z obu twarzy zniknely usmieszki.

- Zlotko, co ty wyrabiasz?

- Robie mala operacje. Musze zajrzec do srodka - powiedziala tonem, jak gdyby robila to codziennie.

- Sluchaj, nie moge zawiezec koronerowi zwlok pocietych przez policjantke z Nowego Jorku.

- W takim razie sam to zrob.

Wyciagnela do niego rekojesc noza.

- Robi nas w konia, Jim.

Uniosla brew, po czym wbila noz w jablko Adama nieboszczyka gestem rybaka patroszacego

pstraga.

- O Jezusie, Jim, zobacz, co ona robi. Powstrzymaj ją.

- Mnie tu nie ma, Earl. Nic nie widziałem. - Policjant odszedł od ambulansu.

Zrobiła równe ciecacie i zajrzała do środka. Westchnęła.

- Nic.

- O co mu tym razem chodzi? - rozmyślał na głos Rhyme. - Zastanówmy się... Nie zależy mu na udaremnieniu identyfikacji ciała, w przeciwnym razie wybilby żeby. Może chce przed nami ukryć coś innego?

- Coś, co ofiara miała na rękach? - podsunęła Sachs.

- Możliwe - odrzekł Rhyme. - Coś, co niełatwo zmyć ze zwłok. I co by nam powiedziało, gdzie go mamy szukać. - Olej? Smar?

- Może facet pracował przy pompach z paliwem do odrzutowców - powiedział Rhyme. - Albo pracował w cateringu, a jego ręce pachniały czosnkiem.

Sachs rozejrzała się po lotnisku. Kreciło się po nim kilkudziesięciu ludzi obsługujących zbiorniki z paliwem, załogi naziemnej, mechaników i robotników, którzy budowali nowe skrzydło w jednym z terminali.

- Mówiłaś, że facet jest gruby? - ciągnął Rhyme.

- Tak.

- Prawdopodobnie się dzisiaj spocił. Może ocierał włosy albo drapał skórę głowy.

Sama to dzisiaj robię cały dzień, pomyślała Sachs, czując nagłą chęć, by zanurzyć dłoń we włosy i kaleczyć skórę, jak zawsze robiła, kiedy czuła niepokój i napięcie.

- Sprawdź skórę głowy, Sachs. Pod włosami.

Zrobiła to.

I znalazła.

- Widzę kolorowe smugi. Niebieskie. Jest też trochę białych, na włosach i skórze. O cholera, Rhyme. To farba! Mamy malarza. Na płycie lotniska jest chyba ze dwudziestu robotników budowlanych.

- Prega na szyi - ciągnął Rhyme. - Trumniarz zdarł mu identyfikator.

- Przecież zdjęcie by nie pasowało.

- Cholera, identyfikator jest pewnie zapackany farbą albo on sam zamazał zdjęcie. Jest gdzieś na terenie lotniska, Sachs. Kacie Percey i Hale'owi położyć się na podłodze. Daj im opiekuna, a resztę wyslij na poszukiwania Trumniarza. Oddział specjalny jest w drodze.

Kłopoty.

Obserwował rudowłosą policjantkę, która siedziała w ambulansie. Przez lunetę Redfield nie widział dokładnie, co robiła, lecz mimo to nagle się zaniepokoił.

Poczuł, jak gdyby robiła tam coś, przez co go znajda i schwyta.

Robaki były coraz bliżej. Szukała go zarobaczona twarz z okna, Stephen wzdrygnął się.

Rudowłosa wyskoczyła z samochodu, rozglądając się po płycie lotniska.

Cos się dzieje, żołnierzu? Melduje, że się zorientowałem.

Kobieta zaczęła wykrzykiwać rozkazy do innych gliniarzy. Większość z nich spojrzała na nią, przyjmując nowiny z ponurą miną, i zaczęła się rozglądać. Jeden pobiegł do radiowozu, zaraz po nim drugi.

Ujrzał piękną twarz rudowłosej i jej robaczywe oczy, które lustrowały teren lotniska. Zatrzymał krzyż nitek celownika na jej doskonałym podbródku. Co znalazła? Czego szukała?

Zatrzymała się i Stephen zobaczył, jak mówi sama do siebie. Nie, nie do siebie. Mówiła do przytwierdzonego do słuchawki mikrofonu. Ze sposobu, w jaki słuchała i kiwała głową, wywnioskował, że ktoś wydaje jej rozkazy. Ciekawe kto?

Ktoś, kto się domyślił, że tu jestem, pomyślał Stephen. Ktoś, kto mnie szuka.

Ktoś, kto przygląda mi się przez okno i potrafi w jednej chwili zniknąć. Kto umie przechodzić przez ściany, dziurki od klucza i najmniejsze szczeliny, żeby mnie znaleźć.

Po plecach przebiegł mu zimny dreszcz. Przez chwile nitki celownika zatoczyły i z lunety zniknęła twarz rudowłosej gliny. Kurwa, co to ma znaczyć, żołnierzu?

Gdy z powrotem ustawił celownik na rudowłosej, stwierdził, że jest coraz gorzej. Wskazywała prosto na furgonetkę malarza, która ukradł. Wóz stał zaparkowany mniej więcej dwieście stop od niego, na małym placu zarezerwowanym dla pracowników budowy.

Osoba, z którą rozmawiała ruda, musiała znaleźć zwłoki malarza i domyślić się, jak Stephen znalazł się na terenie lotniska. Robak zbliżał się. Czuł jego cień, oblepiający jego ciało zimny śluz.

Skulił się. Robaki pelzną mu po nogach... robaki pelzną po szyi...

Co mam robic? - zastanawial sie.

Zona i Przyjaciel sa tak blisko. Moglby w jednej chwili zakonczyc zadanie. Piec sekund by wystarczylo. Moze to ich sylwetki widzial przez okno. Cien tamtej postaci... Lecz Stephen wiedzial, ze gdyby strzelil przez szybe, wszyscy padliby na podloge. Gdyby nie zabil Zony pierwszym strzałem, zmarnowalby okazje.

Ona musi stamtad wyjsc. Musze wyciagnac ich oboje z ukrycia, zeby weszli w strefe razenia. Wtedy nie wolno mi spudlowac.

Nie ma czasu! Mysl!

Jezeli chcesz upolowac lanie, musisz stworzyc zagrozenie dla mlodych.

Stephen zwolnil oddech. Wdech, wydech, wdech, wydech. Spokojnie wycelowal. Zaczal niedostrzegalnie naciskac spust. Model 40 wypalil.

Przez lotnisko przetoczyl sie huk, a wszyscy policjanci padli na ziemie, wyciagajac bron.

Kolejny strzal i z silnika zamontowanego na ogonie srebrnego samolotu, ktory stal w hangarze, wzbil sie drugi klab dymu.

Rudowlosa policjantka z pistoletem w dloni siedziala w kucki, starajac sie zlokalizowac strzelca. Spojrzala na dwie dymiace dziury w poszyciu odrzutowca, a potem przeniosla wzrok na plyte lotniska, trzymajac przed soba grubego glocka.

Sprzatnac ja?

Tak? Nie?

Odpowiedz negatywna, zolnierzu. Pozostan przy pierwotnym celu.

Znow wystrzelil. Pocisk wyrwal z boku samolotu kolejny kawalek blachy.

Spokoj. Jeszcze jeden strzal. Uderzenie kolby w ramie, slodka won spalonego prochu. Rozprysnela sie przednia szyba w kabinie pilotow.

Dopiero ten strzal zadzialal.

Nagle sie pojawila Zona, torujac sobie droge przez drzwi biura i mocujac sie z mlodym blondynem, ktory usilowal ja powstrzymac.

Jeszcze nie. Niech podejdzie blizej.

Pociagniecie za spust. I kolejny pocisk przeszywa silnik.

Zona z malujacym sie na twarzy przerazeniem, uwolniwszy sie z ramion gliniarzy, zbiegla po

schodach do hangaru, by zamknac drzwi i uratowac swoje dziecko.

Przeladowac.

Ustawil nitki celownika na jej piersi w momencie, gdy postawila stope na ziemi i zaczela biec.

Wyprzedzenie celu cztery cale, obliczyl odruchowo Stephen. Przesunal karabin przed nia i nacisnal na spust. Strzal padl dokladnie w chwili, gdy jasnowlosy policjant chwycil ja i oboje znikneli w plytkim zaglebieniu w ziemi. Pudlo. Mieli wystarczajaca oslone, by nie mogli wpakowac im kulek w plecy.

Nadchodzi, zolnierzu. Oskrzydlaja cie.

Tak jest, zrozumialem.

Stephen spojrzal w kierunku pasow startowych. Pojawili sie inni policjanci. Pochyleni skradali sie do samochodow. Jeden woz jechal wprost na niego i byl juz w odleglosci piecdziesieciu jardow. Stephen strzelil w blok silnika. Samochod zatrzymal sie, tryskajac para spod maski.

Spokojnie, powiedzial do siebie.

Jestesmy gotowi do odwrotu. Tylko jeden czysty strzal.

Uslyszal kilka szybkich wystrzalow z pistoletu. Obejrzal sie na rudowlosa. Stala w pozycji strzeleckiej, celujac grubym pistoletem w jego strone, czyhajac na blysk lufy jego karabinu. Odglos wystrzalu na pewno nie pomoze jej zlokalizowac jego gniazda; dlatego Stephen nigdy nie zawracal sobie glowy tlumikami. Glosny strzal jest rownie trudno namierzyc jak cichy.

Ruda policjantka stala, mruzac oczy.

Stephen zatrzasnal zamek modelu 40.

Amelia Sachs ujrzala niewyraźny blysk i wiedziala juz, gdzie jest Tanczacy Trumniarz.

Wśród kilku drzewek rosnacych w odleglosci okolo trzystu jardow. Celownik optyczny odbil swiatlo splywajace z bladych chmur.

- Tam! - zawolala, wskazujac to miejsce dwom ludziom z okregowej, ktorzy siedzieli skuleni pod radiowozem.

Gliniarze wsiedli do samochodu i ruszyli, skrecajac z impetem za hangar, zeby zaskoczyc Trumniarza z boku.

- Sachs! - zawolal w sluchawce Rhyme. - Co tam...

- Jezu, Rhyme, on jest na lotnisku i strzela do samolotu.

- Co?

- Percey probuje sie dostac do hangaru. On strzela pociskami rozpryskowymi. Chce ja wywabic na zewnatrz.

- Nie ruszaj sie, Sachs. Jesli Percey sama chce sie zabic, niech to robi. Ale ty sie nie ruszaj!

Pocila sie z wscieklosci, drzaly jej rece, serce szalenczo walilo. Poczula, jak po plecach przebiega dreszcz paniki.

- Percey! - krzyknela Sachs.

Kobieta wyrwala sie Jerry'emu Banksowi i pobiegla w kierunku drzwi hangaru.

- Nie!

Niech to szlag.

W tym momencie zobaczyła blysk celownika Trumniarza.

Za daleko, pomyslala. Z takiej odleglosci nie mam szans w nic trafic.

Jesli zachowasz spokoj, trafisz. Masz jedenascie nabojew. Nie ma wiatru. Jedyny problem to trajektoria. Celuj wysoko i powoli opuszczaj lufe.

Zobaczyła, jak przy kolejnym strzale wzlatuje w powietrze kilka lisci.

Ulamek sekundy pozniej kula przeleciala kilka cali od jej twarzy. Poczula fale uderzeniowa i uslyszala swist pocisku, ktory mknal dwa razy szybciej od dzwieku, rozpalajac powietrze wokol niej.

Lekko jeknela, padla na kolana i przycisnela rece do zoladka.

Nie! Mialas szanse strzelic do niego. Zanim przeladowal bron. Ale juz za pozno. Znow ma pelna komore.

Spojrzala w gore, uniosla bron i stracila zimna krew. Z pochylona glowa, celujac w strone drzew, oddala piec szybkich strzalow z glocka.

Rownie dobrze mogla strzelac slopakami.

No juz, dziewczyno. Wstawaj. Wyceluj i strzelaj. Masz szesc pociskow i dwa magazynki przy pasie.

Lecz mysl o przelatujacym pocisku nie pozwolila jej wstac z ziemi.

Zrob to! - wrzasnela na siebie w duchu.

Ale nie mogla.

Odwagi wystarczyło jej tylko na tyle, by unieść głowę o kilka cali - zobaczyła Percey Clay, która pedzila, gnała w stronę hangaru, i Jerry'ego Banksa, który zdolał ją dogonić. Młody detektyw pchnął ją i kobieta upadła za generatorem. Niemal równocześnie z hukiem karabinu Trumniarza usłyszała, jak kula rozrywa ciało Banksa, który zatoczył się jak pijany, a z rany w jego ciele trysnęła krew.

Na jego twarzy najpierw odbiło się zdumienie, potem konsternacja. Wreszcie z obojętną miną osunął się na wilgotny beton.

Rozdział dwunasty

45 godzin - godzina piąta

- No i co? - zapytał Rhyme.

Lon Sellitto wyłączył swój telefon.

- Nadal nic nie wie. - Patrzył za okno, nerwowo bebnąc palcami w szybę. Sokoly wrocily na parapet, ale patrzyly czujnie na Central Park, dziwnie obojetne na halas.

Rhyme nigdy nie widzial podobnego zdenerwowania u detektywa. Jego nalana, pokryta kropelkami potu twarz byla bardzo blada. Sellitto, legenda wydzialu zabojstw, znany byl z tego, ze nic nie moglo wyprowadzic go z rownowagi. Bez wzgledu na to, czy dodawal otuchy rodzinie ofiary, czy bezwzglesdnie obalal alibi podejrzanego, zawsze koncentrowal sie na tym, co robi. Jednak teraz jego mysli zdawaly sie bladziec daleko stad, z Jerrym Banksem, ktory moze wlasnie umieral w szpitalu Westchester. Bylo sobotnie popoludnie, po trzeciej, a Banks od godziny lezal w sali operacyjnej.

Sellitto, Sachs, Rhyme i Cooper znajdowali sie w laboratorium na parterze domu Rhyme'a. Dellray wyjechal, zeby dopilnowac przygotowan w bezpiecznym domu i sprawdzic nowego opiekuna, ktorego na miejsce Banksa wyznaczyl Departament Policji Nowego Jorku.

Na lotnisku rannego detektywa zapakowano do ambulansu - tego samego, w ktorym lezaly bezrekie zwloki malarza. Earl, gruby sanitariusz, przestal sie zgrywac i goraczkowo usilowal powstrzymac obfity krwotok Banksa. Potem pognal z bladym, nieprzytomnym detektywem na ostry dyzur do odleglego o kilka mil szpitala.

Agenci FBI z White Plains wsadzili Percey i Hale'a do opancerzonego wozu i kluczac, ruszyli na poludnie, w kierunku Manhattanu. Sachs zabezpieczyla nowe miejsca: gniazdo snajpera w srod drzew, furgonetke malarza i samochod, ktorym uciekl Trumniarz - furgonetke cateringu. Znaleziono ja niedaleko miejsca, gdzie zabil malarza i gdzie zdaniem policji ukryl samochod, ktorym przyjechal do Westchester.

Potem z materialem dowodowym pojechała na Manhattan.

- Co tam mamy? - zapytał Coopera Rhyme. - Kule z karabinu?

Skubiac zakrwawiony paznokiec, Sachs wyjaśniła:

- Nic po nich nie zostało. Pociski rozpryskowe. - Wydawała się bardzo przestraszona, oczy latały jej niespokojnie.

- To Trumniarz. Nie tylko jest skuteczny, ale też nic po sobie nie zostawia. Dowody same się niszcza.

Sachs traciła plastikową torebkę.

- Tyle zostało z jednego pocisku. Wydlubałam to ze ściany.

Cooper wysypał zawartość na porcelanową płytkę. Zamieszał.

- Zakonczenia ceramiczne. Kamizelki na nic.

- Pieprzony zawodowiec - rzekł Sellitto.

- Trumniarz zna się na rzeczy - dodał Rhyme.

Usłyszeli jakiś ruch przy wejściu i po chwili Thom wprowadził do pokoju dwóch odzianych w garnitury agentów FBI. Za nimi weszli Percey Clay i Brit Hale.

- Jak on się czuje? - spytała Percey Sellitta. Rozejrzała się po pomieszczeniu ciemnymi oczyma, dostrzegając chłód, z jakim ją przywitano. Nie zrobiło to niej specjalnego wrażenia. - Pytam o Jerry'ego.

Sellitto nie odpowiedział.

- Jeszcze jest operowany - powiedział Rhyme.

Miała zmięta, zmęczona twarz i włosy bardziej potargane niż dziś rano.

- Mam nadzieję, że z tego wyjdzie.

Amelia Sachs odwróciła oczy na Percey i zapytała lodowato:

- Masz coś?

- Mam nadzieję, że z tego wyjdzie.

- Nadzieje? - Policjantka gorowała nad nią wzrostem. Podeszła bliżej. Niska kobieta nie ruszyła się z miejsca, gdy Sachs ciągnęła: - Trochę na to za późno, nie sadsisz?

- O co ci chodzi?

- To ja powinnam cie o to spytac. Przez ciebie zostal ranny.

- Hej, sierzancie - odezwal sie Sellitto.

Percey odparla spokojnie:

- Nie prosilam, zeby za mna biegl.

- Gdyby nie on, juz bys nie zyla.

- Byc moze. Tego nie wiemy. Przykro mi, ze zostal ranny. Ja...

- Jak bardzo ci przykro?

- Amelio - upomniat ja ostro Rhyme.

- Nie, chce wiedziec, jak bardzo jest jej przykro. Na tyle, zeby oddac dla niego krew? Zeby pchac jego wozek, gdyby nie mogl chodzic? Wyglosic mowe nad grobem, gdyby umarl?

- Sachs, uspokoj sie - warknal Rhyme. - To nie jej wina.

Sachs plasnela sie w uda rekami o poobgryzanych paznokciach.

- Nie?

- Trumniarz nas przechytrzył.

Sachs ciagnela, wpatrujac sie w ciemne oczy Percey:

- Jerry byl twoim opiekunem. Skoro biegniesz prosto na linie ognia, jak sadzisz, co innego mial zrobic?

- Nic nie sadze. Po prostu tak zareagowalam.

- O Boze.

- Sierzancie - powiedzial Hale. - Moze pani w takich sytuacjach zachowuje sie spokojniej niz niektorzy z nas. My nie jestesmy przyzwyczajeni, zeby do nas strzelano.

- W takim razie powinna zostac w biurze. Tam gdzie wam kazalam zostac.

Przeciągając lekko samogłoski, Percey próbowała wyjaśnić:

- Zobaczyłam, że mój samolot znalazł się w niebezpieczeństwie. Zareagowałam. To tak jakbyś zobaczyła rannego partnera.

- Zrobila tylko to, co kazdy pilot zrobilby na jej miejscu - rzekl Hale.

- Otoz to - wtracil Rhyme. - Wlasnie o tym mowie, Sachs. Tak pracuje Trumniarz.

Amelia Sachs nie miala jednak zamiaru dac za wygrana.

- Po pierwsze, powinniscie byc w bezpiecznym domu. W ogole nie powinniscie przyjezdzac na lotnisko.

- To wina Jerry'ego - oswiadczył Rhyme, czujac wzburzona zlosc. - Nie mial pozwolenia na zmiane trasy.

Sachs zerknela na Sellitta, ktory od dwoch lat byl partnerem Banksa. On jednak nie zamierzal stawac w obronie mlodego detektywa.

- Bylo miło - powiedziala oschle Percey Clay, odwracajac sie do drzwi - ale musze wracac na lotnisko.

- Co? - Sachs omal nie stracila tchu ze zdumienia. - Oszalalas?

- To niemozliwe - rzekl Sellitto, przerywajac ponure milczenie.

- Mialam klopoty z wyposazeniem samolotu na jutrzejszy lot. A teraz trzeba go jeszcze naprawic. Skoro wszyscy mechanicy w Westchester to cholerni tchorze, bede musiala to zrobic sama.

- Pani Clay - zaczal Sellitto. - To niedobry pomysl. W bezpiecznym domu nic sie pani nie stanie, ale nie mozemy zapewnic pani ochrony w zadnym innym miejscu. Zostanie pani tam do poniedzialku...

- Do poniedzialku! - przerwala mu gwaltownie. - Nie, nic pan nie rozumie. Jutro wieczorem musze leciec tym samolotem. Czarter dla Amer-Medu.

- Nie moze pani.

- Jedno pytanie - zabrzmial lodowaty glos Amelii Sachs. - Kogo jeszcze chcesz zabic?

Percey postapila naprzod.

- Do cholery, wczoraj stracilam meza i jednego z najlepszych pracownikow. Nie zamierzam stracic firmy. Nie mozecie mi mowic, gdzie mam jechac i co robic. Dopoki mnie nie aresztujecie.

- Dobra - powiedziala Sachs i jednym ruchem zatrzasnela kajdanki na szczuplych przegubach kobiety. - Jesteś aresztowana.

- Sachs - krzyknal rozwscieczony Rhyme. - Co ty wyprawiasz? Rozkuj ja. W tej chwili!

Sachs odwrocila sie, spogladajac mu w oczy.

- Jesteś cywilem - warknęła. - Nie możesz mi rozkazywać.

- Ja mogę - powiedział Sellitto.

- Nic z tego - odparła niewzruszenie. - Ja ją aresztowałam. Nie możesz tego zmienić, mogłoby to zrobić tylko prokurator.

- Co to za błazenada? - zachnęła się Percey, znów przeciągając ze złością samogłoski. - Za co mnie aresztujesz? Za to, że jestem świadkiem?

- Pod zarzutem lekkomyślnego stwarzania zagrożenia, a jeśli Jerry umrze, pod zarzutem zaniedbania, w wyniku którego popełniono zbrojstwo. Albo nieumyślnego spowodowania śmierci.

Hale zebrali się na odwagę i powiedział:

- Nie podoba mi się sposób, w jaki cały dzień pani z nią rozmawia. Jeśli aresztuje pani Percey, musi pani aresztować też mnie.

- Nie ma sprawy - odrzekła Sachs, po czym zwróciła się do Sellitta. - Poruczniku, potrzebuje drugich kajdanek.

- Sierzancie, dość tego - powiedział stanowczo Sellitto.

- Sachs - zawołał Rhyme. - Nie mamy na to czasu! Trumniarz jest na wolności i w tej chwili planuje następny atak.

- Aresztujecie mnie - świadczyła Percey - a za dwie godziny będę na wolności.

- I zginiesz za dwie godziny i dziesięć minut. Właściwie to by była twoja sprawa...

- Sierzancie - syknął ostrzegawczo Sellitto. - Nie igraj z ogniem.

- ...gdybys nie miała zwyczaju brać ze sobą innych.

- Amelio - powiedział zimno Rhyme.

Odwróciła się do niego. Zwykle zwracał się do niej „Sachs”, gdy użył jej imienia, poczuła się, jakby wymierzył jej policzek.

Brzęknęły kajdanki na koscistych przegubach Percey. Sokół za oknem zatrzepotał skrzydłami. Wszyscy milczeli.

Wreszcie Rhyme odezwał się rzeczowym tonem:

- Proszę cię, zdejmij Percey kajdanki i zostawcie mnie z nią na parę minut.

Sachs zawahała się. Jej twarz przypominała maskę bez wyrazu.

- Proszę, Amelio. - Rhyme starał się zachować cierpliwość.

Bez słowa rozkuła Percey.

Wszyscy wyszli z laboratorium.

Percey potarła nadgarstki, wyciągnęła z kieszeni piersiówkę i pociągnęła lyk.

- Mogłabys zamknąć ze sobą drzwi? - rzekł do Sachs Rhyme.

W drodze na korytarz posłała mu przelotne spojrzenie, lecz nie posłuchała prośby. Ciężkie, debowe drzwi zamknął Hale.

Na korytarzu Lon Sellitto jeszcze raz zadzwonił do szpitala. Banks wciąż był operowany i pielęgniarka nie potrafiła powiedzieć nic więcej.

Sachs przyjęła tę wiadomość krótkim skinieniem głowy. Podeszła do okna wychodzącego na alejkę pod domem Rhyme'a. Światło ukosnie padło na jej ręce i zobaczyła swoje zniszczone paznokcie. Dwa najbardziej pokaleczone palce obwiązała bandażami. Paskudne nawyki, pomyślała. Dlaczego nie umiem z nimi skończyć?

Detektyw stanął obok niej, spojrzał w szare niebo. Zbierało się na kolejną wiosenną burzę.

- Sierzancie - zaczął cicho, by nikt inny nie mógł usłyszeć. - Ona spieprzyła sprawę, fakt. Ale musisz zrozumieć, Percey nie jest zawodowcem. To nasza wina - dopuściliśmy do tego. Rzeczywiście, Jerry powinien być mądrzejszy. Mówię to z bólem, lecz schrzanił sprawę.

- Nie - rzekła przez zacisnięte zęby. - Nie rozumiesz.

- Czego nie rozumiem?

Bedzie umiała o tym opowiedzieć? Słowa przychodziły z takim trudem.

- Ja schrzaniłam. To nie wina Jerry'ego. - Ruchem głowy wskazała drzwi laboratorium. - Ani Percey. Tylko moja.

- Twoja? Kurwa, przecież to ty i Rhyme zorientowaliście się, że Trumniarz jest na lotnisku. Gdyby nie ty, załatwiłby wszystkich.

Pokreciła głową.

- Widziałam... widziałam, gdzie jest, zanim trafił Jerry'ego.

- I co?

- Dokładnie wiedziałam, gdzie jest. Wycelowałam i...

Cholera, alez to trudne.

- Co ty mowisz?

- Kula przeleciala obok mnie... O Boze. Upadlam na ziemie. - Wsunela palec we wlosy i poczela drapac, dopoki nie poczula cieplej krwi. Przeszan. Niech to szlag.

- I co z tego? - Sellitto nie pojal, o co jej chodzi. - Wszyscy rzucili sie na ziemie, nie? To normalne.

Patrzyła przez okno z twarza plonaca wstydem.

- Kiedy strzelil i spudlowal, mialam co najmniej trzy sekundy na strzal - wiedzialam, ze strzela pojedynczo, moglam wysypac na niego caly magazynek. Ale zarylam twarza w bloto. Potem juz nie mialam odwagi wstac, bo wiedzialam, ze zdazyl przeladowac.

- Co? - rzekl drwiaco Sellitto. - Wyrzucasz sobie, ze nie wstalas bez zadnej oslony i nie zostalas idealnym celem dla snajpera? Daj spokoj... Poza tym, czekaj, mialas bron sluzbowa?

- Tak, ale...

- Trzysta jardow z glocka 9? Strzal marzen.

- Byc moze bym nie trafila, ale moglabym powstrzymac go ogniem. Nie strzelilby do Jerry'ego. Niech to wszyscy diabli. - Zacisnela dlonie, ponownie spogladajac na paznokiec palca wskazujacego. Byl ciemny od krwi. Podrapala mocniej.

Czerwien przypomniala jej o fontannie krwi, ktora trysnela z ciala Jerry'ego Banksa, lecz mimo to drapala jeszcze mocniej.

- Naprawde nie zamartwialbym sie tym na twoim miejscu.

Jak mogla mu to wytlumaczyc? To, co ja gnebil, bylo bardziej skomplikowane, niz sadzil detektyw. Rhyme byl najlepszym specjalista od kryminalistyki w Nowym Jorku, moze nawet w calym kraju. Sachs, mimo swoich ambicji, nigdy nie bedzie sie z nim mogla rownac. Lecz strzelanie i szybka jazda samochodem nalezaly do jej atutow. Strzelala lewa i prawa reka lepiej niz wiekszosc ludzi z policji. Ustawiala dziesieciocentowki na piecdziesieciojardowej strzelnicy i trafiala w ich blyszczace srodki, a potem dawala w prezencie pogiete monety swojej chresnicy i jej kolezankom. Mogla uratowac Jerry'ego. Do diabla, mogla nawet stuknac tego skurwysyna Trumniarza.

Byla wsciekla na siebie, wsciekla na Percey za to, ze postawila ja w takiej sytuacji.

I wsciekla na Rhyme'a.

Otworzyly sie drzwi, w ktorych stanela Percey. Rzuciwszy chlodnym okiem na Sachs, poprosila do srodka Hale'a. Zniknal w laboratorium, a po kilku minutach otworzyl drzwi i powiedzial:

- Pan Rhyme prosi wszystkich z powrotem.

Sachs zobaczył Percey siedzącą obok Rhyme'a na starym sfatygowanym fotelu. Nie mogła się oprzec niedorzecznemu wrażeniu, że wyglądają jak małżeństwo.

- Osiągnęliśmy kompromis - oświadczył Rhyme. - Brit i Percey pojedą do bezpiecznego domu Dellraya. Znajdą kogoś innego do naprawy samolotu. Natomiast bez względu na to, czy odnajdziemy Trumniarza, czy nie, zgodziłem się, żeby Percey leciała jutro wieczorem.

- A jeżeli ja zatrzymam? - powiedziała rozdrażniona Sachs. - I zabiorę do aresztu?

Wydawało się jej, że Rhyme wybuchnie - była na to przygotowana - lecz on spokojnym głosem odparł:

- Myślałem o tym, Sachs. Nie sądzę jednak, żeby to był dobry pomysł. Wtedy narazilibyśmy oboje na większe niebezpieczeństwo. Śąd, areszt, transport - Trumniarz miałby więcej okazji.

Po krótkim wahaniu Amelia Sachs poddała się. Miał rację, jak zwykle. Zresztą gdyby nawet nie miał, i tak stawiał na swoim. Ona była tylko jego asystentka. Pracownikiem. Nikim więcej.

- Powiem wam, co mi przyszło do głowy - ciągnął Rhyme. - Urządzimy zasadzkę. Będzie potrzebował twojej pomocy, Lon.

- Słucham.

- Percey i Hale pojedą do bezpiecznego domu. Chce jednak, żeby wyglądało na to, że wybierają się zupełnie gdzie indziej. Zrobimy wokół tego szum. Wybierzemy jakiś posterunek i będziemy udawać, że ze względów bezpieczeństwa chcemy zamknąć ich w tamtejszym areszcie. Damy komunikat na całe miasto, niekodowany, że zamykamy ulicę przed posterunkiem, a wszystkich zatrzymanych podejrzanych przewożymy do głównego aresztu, żeby posterunek był czysty. Przy odrobinie szczęścia Trumniarz nas podsłucha. A jeśli nie, dowiedzą się media i ta droga wiadomość do niego trafi.

- Może dwudziesty? - zaproponował Sellitto.

Dwudziesty posterunek, w West Side, znajdował się kilka przecznic od domu Rhyme'a. Lincoln znalazł tam wielu policjantów.

- W porządku, może być.

Sachs nagle ujrzała cien niepokoju w oczach Sellitta. Nachylił się nad wozkiem Rhyme'a, po jego szerokim zmarszczonym czole płynęła kropla potu. Kiedy się odezwał, usłyszeli go tylko Rhyme i Sachs:

- Jesteś pewien, Lincoln? Dobrze się nad tym zastanowiłeś?

Rhyme popatrzył na Percey. Wymienili krótkie spojrzenie. Sachs nie wiedziała, co ono znaczy, ale

bardzo sie jej nie spodobalo.

- Tak - odrzekl Rhyme. - Jestem pewien.

Jednak Sachs wydawalo sie, ze wcale nie jest taki pewien.

Rozdział trzynasty

45 godzin - godzina szosta

- Sporo śladów, jak widzę.

Rhyme przyglądał się z zadowoleniem plastikowym torebkom, które Sachs przywiozła z lotniska.

Mikroślady były ulubionym materiałem Rhyme'a - drobiny i kawaleczki, czasem mikroskopijnej wielkości, pozostawiane przez sprawców w miejscach zbrodni albo bezwiednie stamtąd zabierane. Właśnie tych dowodów nawet najinteligentniejsi sprawcy nie mogli zamienić ani podrzucić, a najbardziej zapobiegliwi nie mogli się pozbyć.

- Najpierw pierwsza torebka, Sachs. Skąd pochodzi?

Przerzuciła ze złości swoje notatki.

Zastanawiał się, co ja gryzł. Rhyme wyraźnie widział, że coś jest nie tak. Może to echo złości na Percey Clay, może niepokój o Jerry'ego Banksa, może jeszcze coś innego. Z jej chłodnych spojrzeń wyczytał, że nie ma ochoty o tym mówić. W porządku. Przede wszystkim trzeba złapać Trumniarza. W tym momencie nie mieli ważniejszego zadania.

- Z hangaru, gdzie Trumniarz czekał na samolot. - Podniosła dwie torebki, wskazując głową trzy pozostałe. - Ta z gniazda snajpera, ta z furgonetki malarza, a ta z wozu cateringowego.

- Thom... Thom! - krzyknął Rhyme, a wszyscy w laboratorium drgnęli.

W drzwiach stanął asystent. Zapytał zrzędlawie:

- Tak? Właśnie usiłuję zrobić coś do jedzenia, Lincoln.

- Jedzenia? - powtórzył zirytowany Rhyme. - Nie musimy jeść. Musimy mieć więcej rzeczy na tablicy. Pisz: „MZ dwa, hangar”. Tak, „MZ dwa, hangar”. Dobrze. Teraz „MZ trzy”. Stamtąd strzelał. Z trawiastego pagorka.

- Tak mam napisac? „Trawiasty pagorek”?

- Oczywiście, że nie. To żart. Czasem przejawiam poczucie humoru. Pisz: „MZ trzy, gniazdo snajpera”. Dobra, przyjrzyjmy się najpierw hangarowi. Co tam masz?

- Kawalki szkła - powiedział Cooper, wysypując zawartość torebki na porcelanową płytkę gestem sprzedawcy brylantów.

- I trochę śladów zebranych odkurzaczem, włókna z parapetu okna. Brak odcisków palców czy dłoni.

- Za bardzo uważa z tymi odciskami - rzekł przygnębiony Sellitto.

- Alez to dobrze - powiedział Rhyme. Był zirytowany, jak zawsze, gdy nikt nie potrafił wyciągać wniosków tak szybko jak on.

- Jak to? - zdziwił się detektyw.

- Jest ostrożny, czyli musi być w jakiejś kartotece! Gdybyśmy więc znaleźli odcisk, mielibyśmy szansę go zidentyfikować. No tak, odcisk bawełnianej rękawiczki, to nic nie da... Odcisku buta też nie ma, bo rozsypał żwir na podłodze hangaru. Spryciarz. Ale gdyby był głupi, nie byłibyśmy potrzebni, prawda? Co nam powie szkło?

- A co nam może powiedzieć? - rzekła Sachs. - Poza tym, że stłukł okno, żeby wejść do hangaru?

- Ciekawe - odezwała się Rhyme. - Popatrzmy.

Mel Cooper umieścił parę szklanych odprysków między płytkami i wsunął pod obiektyw mikroskopu, ustawiając niewielkie powiększenie. Włączył kamerę wideo, aby Rhyme mógł oglądać obraz na ekranie monitora.

Rhyme podjechał na wózku do komputera.

- Tryb poleceń - nakazał. Usłyszawszy jego głos, maszyna posłusznie wyświetliła na ekranie menu poleceń. Rhyme nie mógł sterować samym mikroskopem, lecz mógł swobodnie manipulować obrazem, powiększając go i zmniejszając. - Kursor w lewo. Kliknij dwa razy.

Rhyme wyciągnął szyję, wpatrując się w tęczowe kęsy refrakcji.

- Wygląda na standardowe, niezbrojone szkło okienne.

- Zgadza się - rzekł Cooper, po czym zauważył: - Nie ma szczerb. Zostało rozbite tępym narzędziem, może łokciem.

- Hm, hm, hm. Popatrz na te linie muszlowe, Mel.

Kiedy ktoś tłucze okno, na szkło powstają zakrzywione linie pęknięć - przypominające rysunkiem

wnętrze muszli. Z zakrzywien tych linii można się dowiedzieć, z której strony rozbito szybę.

- Widzę - rzekł technik. - Standardowe pęknięcia.

- Spójrz na brud - powiedział nagle Rhyme. - Na szkle.

- No, widzę. Bloto naniesione przez deszcz, osad paliwa.

- Po której stronie szyba jest brudna? - spytał niecierpliwie Rhyme. Kiedy kierował wydziałem, podlegli mu funkcjonariusze skarżyli się przede wszystkim na to, że często zachowywał się jak surowa nauczycielka starej daty. Rhyme uważał to za komplement.

- Jest... o kurcze. - Cooper wreszcie zauważył. - Jak to możliwe?

- Co? - zapytała Sachs.

Rhyme wyjaśnił, że linie muszlowe zaczynały się na czystej stronie szyby, a kończyły na brudnej.

- Wybił to okno, będąc w środku.

- Niemożliwe - zaprotestowała Sachs. - Szkło leżało na podłodze hangaru. Przecież... - Urwała i pokiwała głową. - To znaczy, że wybił szybę od środka, a potem zebrał szkło i wrzucił do hangaru razem ze zwirem. Ale po co?

- Zwir wcale nie miał zapobiec pozostawieniu odcisku buta. Miał nas zmylić. Żebyśmy myśleli, że Trumniarz włamał się do hangaru. Ale on był w środku i „wylamał się”. Ciekawe. - Lincoln zastanawiał się przez chwilę, po czym zawołał: - Sprawdź to. Są ślady mosiadzu? Może mosiadzu z grafitem?

- Klucz - powiedziała Sachs. - Myślisz, że ktoś dał mu klucz, żeby mógł się dostać do hangaru.

- Otoż to. Trzeba się dowiedzieć, kto jest właścicielem albo najemcą hangaru.

- Zadzwoń - rzekł Sellitto, biorąc telefon komórkowy.

Cooper spojrzał w okular drugiego mikroskopu, ustawionego na duże powiększenie.

- Proszę bardzo - oznajmił - grafit i mosiadz. Chyba też drobiny oleju „Trzy w jednym”. Czyli stary zamek. Musiał się przy nim bawić.

- Albo? - Rhyme patrzył na nich wyczekująco. - Pomyslcie!

- Dorobiony klucz! - krzyknęła nagle Sachs.

- Tak jest! Nasmarowany. Dobra, Thom, tablica. Pisz: „Hangar otwarty kluczem”.

Asystent swym wyraźnym charakterem pisma zanotował informacje.

- Co jeszcze? - Dmuchając w rurkę, Rhyme podjechał bliżej komputera. Trochę źle wymierzył i zderzył się z maszyną, omal nie zrzucając na podłogę monitora.

- Niech to... - wymamrotał.

- Nic ci nie jest? - spytał Sellitto.

- Nic, nic - odburknął. - Pytałem, co jeszcze?

Cooper i Sachs rozsypali resztkę materiału dowodowego na czystej plachcie papieru gazetowego. Nałożyli okulary powiększające i zaczęli go oglądać. Cooper zebrał kilka drobinek probnikiem i położył na płytce.

- Mamy jakieś włókna - powiedział.

Chwile później Rhyme oglądał na swoim monitorze drobne pasemka.

- Co o tym myślisz, Mel? Papier, prawda?

- Aha.

Mówiąc do mikrofonu, Rhyme kazał komputerowi przewinąć obraz włókien pod mikroskopem.

- Wygląda, jakby były dwa różne. Jeden biały albo szary. Drugi ma odcień zielony.

- Zielony? Pieniądze? - podsunął Sellitto.

- Być może.

- Masz ich tyle, żeby spróbować gazem? - spytał Rhyme. Chromatograf zniszczyłby włókna.

Cooper skinął głową i przystąpili do testów. Technik zaczął czytać z ekranu monitora.

- Nie ma bawełny, sodu, siarczanów ani siarczynów. Te substancje chemiczne dodawano przy rozpuszczaniu podczas produkcji papieru wysokiej jakości.

- To tani papier. Barwnik rozpuszczalny w wodzie. Farba nie jest na bazie oleju.

- Czyli - podsumował Rhyme - to nie pieniądze.

- Prawdopodobnie papier makulaturowy - rzekł Cooper.

Rhyme znów powiększył obraz. Na tle dużej mozaiki nie widać było żadnego szczegółu. Przez chwilę rozczarowany Lincoln żałował, że nie patrzy przez prawdziwy okular mikroskopu. Nic nie dorównywało wyrazistości przyrządów optycznych.

Jednak coś zauważył.

- Co to za zolte kropki, Mel? Klej?

Technik popatrzył w okular mikroskopu i oznajmil:

- Tak. Wyglada na klej z koperty.

Czyli prawdopodobnie Trumniarz dostal klucz w kopercie. Ale co mogli oznaczac zielony papier? Rhyme nie mial pojecia. Sellitto zamknal klapke telefonu.

- Rozmawialem z Ronem Talbotem z Hudson Air. Zadzwonil do kilku miejsc. Zgadnijcie, kto wynajmuje ten hangar.

- Phillip Hansen - rzekl Rhyme.

- Aha.

- Sprawa zaczyna sie kleic - powiedziala Sachs.

Rzeczywiscie, pomyslal Rhyme, chociaz jego celem wcale nie bylo dostarczenie prokuraturze gotowego materialu do aktu oskarzenia przeciw Hansenowi. Chcial glowy Trumniarza.

- Cos jeszcze?

- Nic.

- W porzadku, mozemy przejsc do nastepnego miejsca. Gniazdo snajpera. Tam byl w powaznych opalach, byc moze przestal uwazac.

Ale oczywiscie wcale nie przestal uwazac.

Przeciez nie zostawil ani jednej luski.

- Mamy odpowiedz - powiedzial Cooper, ogladajac slady pod mikroskopem. - Wlokna bawelniane. Luski spadly na sciereczke do naczyn.

Rhyme pokiwal glowa.

- Jakies odciski stop?

- Nie. - Sachs wyjasnila, ze Trumniarz omijal odkryte bloto, chodzac po trawie, nawet kiedy uciekal do furgonetki.

- Ile odciskow palcow?

- W gniezdzie snajpera nie znalazlam zadnych - powiedziala. - W obu furgonetkach prawie dwiescie.

Mogli je sprawdzic przez automatyczny system identyfikacji odciskow palcow, ktory laczył bazy

danych zawierające odciski palców kryminalistów, wojskowych i pracowników służby cywilnej całego kraju - mimo że byłaby to zmutna i czasochłonna operacja. Jednak Rhyme, opętany pragnieniem odnalezienia Trumniarza, nie chciał tym sobie zwracać głowy. Zresztą Sachs twierdziła, że w furgonetkach znalazła te same ślady bawełnianych rękawiczek, odciski w samochodach nie mogły więc raczej należeć do Trumniarza.

Cooper opróżnił plastikową torebkę, Oboje z Sachs pochylili się nad jej zawartością.

- Bloto, trawa, kamyczki... O, proszę. Zobacz, Lincoln. - Cooper położył coś na płytce i wsunął pod mikroskop. - Włosy - powiedział znad okularu. - Trzy, cztery, sześć, dziewięć... kilkanaście. Wygląda jak ciągły rdzeń.

Rdzeń to kanał biegnący przez środek niektórych włosów. U ludzi rdzeń włosowy albo nie istnieje, albo jest przerywany. Ciągły rdzeń oznaczał, że włosy pochodzą od zwierzęcia.

- Co o tym sądzisz, Mel?

- Sprawdzę w SEM-ie.

SEM to był elektronowy mikroskop skaningowy. Cooper ustawił skalę na tysiącpięćsetkrotne powiększenie i zaczął manipulować pokrętkami, dopóki na ekranie nie pojawił się jeden włos. Wyglądał jak białawy kłos z ostro zakończonymi łuskami, przypominającymi skórkę ananasa.

- Kot - oznajmił Rhyme.

- Koty, w liczbie mnogiej - uciszył Cooper, spoglądając w mikroskop. - Wygląda na to, że dwa były krótkowłose, jeden czarny, a drugi dwubarwny. Trzeci żółtobrazowy, o dłuższej i miękkiej sierści. Pers czy coś takiego.

Rhyme parsknął.

- Z charakterystyki Trumniarza raczej nie wynika, żeby mógł być miłośnikiem zwierząt. Albo chce uchodzić za posiadacza kotów, albo stykał się z kims, kto je ma.

- Mam jeszcze jakieś włosy - powiedział Cooper, wsuwając płytki pod obiektyw. - Ludzkie. Zaraz... dwa pasma, długości około sześciu cali.

- Lysieje, co? - zasugerował Sellitto.

- Kto wie? - rzekł sceptycznie Rhyme. Bez cebulki włosowej nie sposób określić płci właściciela włosa. Wiek, z wyjątkiem włosów niemowlęcia, był również niemożliwy do zidentyfikowania.

- Może to kierowcy furgonetki, tego malarza, Sachs? - spytał Rhyme. - Miał długie włosy?

- Nie, krótko obcięte. Blond.

- Co myślisz, Mel?

Technik oglądał włosy cał po cał.

- Farbowane.

- Trumniarz jest znany z tego, że często zmienia wygląd - powiedział Rhyme.

- No, nie wiem, Lincoln - rzekł Cooper. - Kolor farby jest zbliżony do naturalnego odcienia włosów. Gdyby chciał zmienić tożsamość, wybrałby coś bardziej odmiennego. Czeka, widzę tu dwa kolory. Naturalna barwa to czern. Farbowane na kasztanowo, później na ciemnofioletowo. Między jednym a drugim farbowaniem upłynęły dwa, może trzy miesiące... Lincoln, na włosach coś jeszcze jest. Chyba potraktuje jeden gazem.

- Zrob to.

Chwile później Cooper czytał listę z komputera połączonego z chromatografem i spektrometrem.

- Jakis kosmetyk.

Kosmetyki stanowiły ważne źródło informacji w badaniach kryminalistycznych; producenci znani byli z tego, że często zmieniali skład środków, chcąc wykorzystać nowe trendy. Dzięki temu łatwiej można było określić datę produkcji kosmetyku i miejsce dystrybucji.

- I co tu mamy?

- Chwileczkę. - Cooper sprawdzał skład chemiczny w bazie danych z nazwami własnymi produktów. Zaraz potem otrzymał odpowiedź. - Slim-U-Lite. Produkcji szwajcarskiej, importowana przez Jencon spod Bostonu. Zwykle mydło na bazie detergentu, z dodatkiem olejków i aminokwasów. Było coś o tym w wiadomościach - Federalna Komisja Handlu przytrzymała się do firmy za twierdzenie, że środek likwiduje tłuszcz i cellulitis.

- Zastanówmy się nad tą osobą - zarządził Rhyme. - Sachs, co sądzisz?

- O nim?

- O niej. Tej, która mu pomaga i go kryje. Albo o tej, która zabiła, żeby się schować w jej mieszkaniu. A może ukradła jej samochód.

- Jesteś pewien, że to kobieta? - spytał z powątpiewaniem Sellitto.

- Nie. Ale nie mamy czasu na ostrożne spekulacje. Więcej kobiet niż mężczyzn przejmują się cellulitisem. Więcej kobiet niż mężczyzn farbują sobie włosy. Czekam na odważne wnioski! No!

- Ktoś z nadwagą - powiedziała Sachs. - Ma kłopoty z zaakceptowaniem swojego wyglądu.

- Może jakaś punkowa, nowa fala, czy jak dzisiaj się nazywają ci popapraczy - podsunął Sellitto. - Moja córka pomalowała sobie włosy na fioletowo. I przeklula... nie powiem nawet co. Może East Village?

- Nie sadze, zeby byla typem buntowniczkki - powiedziala Sachs. - Kolory wlosow sa zbyt do siebie zblizone. Probuje tylko szykownie wygladac, ale nic jej z tego nie wychodzi. Czyli tak: jest gruba, ma krotkie wlosy, okolo trzydziestki, gdzies pracuje. Wieczorem wraca sama do domu, do kotow.

Rhyme kiwal glowa, patrzac na tablice.

- Samotna. I naiwna - latwo by ulegla komus wyszczekanemu. Dobra, trzeba sprawdzic u weterynarzy. Wiemy, ze ma trzy roznokolorowe koty.

- Ale gdzie? - spytal Sellitto. - Westchester? Manhattan?

- Najpierw musimy postawic pytanie - rzekl z namyslem Rhyme - dlaczego w ogole wybral wlasnie te kobiety?

Sachs pstryknela palcami.

- Bo musial! Bo juz go prawie mielismy. - Twarz sie jej rozjasnila. Wrocila dawna Amelia.

- Tak! - podchwycil zywo Rhyme. - Dzisiaj rano, niedaleko domu Percey. Kiedy do akcji wkroczyla jednostka specjalna.

- Porzucil czarna furgonetke - ciagnela Sachs - a potem ukryl sie w jej mieszkaniu, az niebezpieczenstwo minelo.

Rhyme zwrocil sie do Sellitta:

- Kaz swoim ludziom sprawdzic weterynarzy w promieniu dziesieciu przecznic od domu Percey. Albo nie, cale East Side. Dzwon, Lon, dzwon!

Podczas gdy detektyw pospiesznie wstukiwal numer, Sachs zapytala powaznie:

- Myslisz, ze tej kobiecie cos sie stalo?

- Miejmy nadzieje, ze nie, Sachs - odrzekl Rhyme, choc w glebi serca w to nie wierzyl. - Miejmy nadzieje.

Rozdział czternasty

45 godzin - godzina siódma

Bezpieczny dom nie wydawał się Percey Clay szczególnie bezpiecznym miejscem.

Był to budynek z brązowego piaskowca, o trzech kondygnacjach, niczym nierozniący się od innych przy ulicy w okolicach Biblioteki Morgana.

- To tutaj - powiedział do nich agent, pokazując dom przez okno samochodu. Zaparkowali z tyłu, a potem pośpiesznie wepchnięto Percey i Hale'a do suterenu przez stalowe drzwi, które zaraz się za nimi zatrzasnęły. Staneli przed sympatycznym trzydziestokilkuletnim mężczyzną o przerzedzonych ciemnych włosach. Mężczyzna uśmiechnął się.

- Witam - powiedział, pokazując legitymację Departamentu Policji Nowego Jorku i złotą odznakę. - Roland Bell. Od tej chwili, kiedy państwo kogoś poznają, nawet tak czarującego jak ja, proszę zawsze zadac dowodu tożsamości i sprawdzać, czy zdjęcie pasuje do właściciela.

Sluchając jego przeciągłego akcentu, Percey zapytała:

- Czy pan nie pochodzi przypadkiem... z Karoliny Południowej?

- Pewnie, że tak. - Rozesmiał się. - Mieszkalem w Hoggston - poważnie - potem cztery lata w Chapel Hill. Rozumiem, że pani jest dziewczyna z Richmond.

- Byłam. Dawno temu.

- A pan, panie Hale? - spytał go Bell. - Pan też spod sztandaru Konfederacji?

- Michigan - rzekł Hale, sciskając energicznie rękę detektywa. - Przez Ohio.

- Niech się pan nie przejmuj, wybacze panu ten mały błąd sprzed stu trzydziestu lat.

- Ja bym się poddał - zazartował Hale. - Nikt mnie nie pytał o zdanie.

- Ha. Teraz pracuje w wydziale zabojstw, ale bawie sie w ochrone swiadkow, bo mam talent do ocalania ludziom zycia. Moj drogi przyjaciel Lon Sellitto poprosil mnie wiec o pomoc. Bede sie wami przez jakis czas opiekowal.

- A co z tamtym detektywem? - zapytala Percey.

- Z Jerrym? Z tego, co wiem, jeszcze jest operowany. Nie mamy nowych wiadomosci.

Choc mowil powoli, jego oczy z nadzwyczajna szybkościa taksowaly ich od stop do glow. Czego szukal? - zastanawiala sie Percey. Broni? Ukrytych mikrofonow? Potem rozejrzal sie po korytarzu i sprawdzil okna.

- Dobra - powiedzial Bell. - W zasadzie mily ze mnie facet, ale potrafi byc troche uparty, gdy chodzi o opieke. - Poslal Percey nikly usmiech. - Pani tez mi wyglada na uparciucha, prosze jednak pamietac, ze wszystko, co wam kaze robic, jest dla waszego dobra. W porzadku? W porzadku. Cos mi sie wydaje, ze sie dogadamy. Chodmy, pokaze wam nasze apartamenty pierwszej kategorii.

Kiedy wchodzili po schodach, powiedzial:

- Pewnie padacie trupem z ciekawosci, jak tu bezpiecznie...

- Slucham? - odezwal sie niepewnie Hale. - „Padamy trupem”?

- To znaczy, pewnie umieracie z ciekawosci. Chyba zostalo mi jeszcze cos z Poludnia. Chlopaki z Duzego Budynku - z naszej centrali - troche sie ze mnie nabijaja. Zostawiaja mi wiadomosci, ze niby zlapali jakiegos kmiota i chca, zebym byl tlumaczem. Tak czy inaczej, to naprawde bezpieczne miejsce. Nasi przyjaciele z wymiaru sprawiedliwosci znaja sie na rzeczy. Wiekszy, niz sie wydaje z zewnatrz, nie?

- Wiekszy niz kabina pilotow, mniejszy niz ulica - rzekl Hale.

Bell zachichotal.

- Chodzi o okna od frontu? Dom nie wygladal zbyt bezpiecznie, kiedy podjezdzaliscie, tak?

- To jedna rzecz... - zaczela Percey.

- Oto nasz frontowy pokoj. Mozecie rzucic okiem. - Pchnal drzwi.

W srodku nie bylo okien. Przysrubowano do nich arkusze stalowej blachy.

- Firanki sa po drugiej stronie - wyjasnil Bell. - Z ulicy wyglada to jak ciemny pokoj. We wszystkich pozostalych oknach sa szyby kuloodporne. Mimo to lepiej trzymac sie od nich z daleka. I nie podnosic rolet. Wyjscie ewakuacyjne i dach sa nadziane czujnikami, a w kazdym zakamarku ukryto kamere wideo. Kazdy, kto sie zblizy, zanim dojdzie do drzwi, zostanie przeswietlony i obfotografowany. Moglby tu wejsc tylko duch z anoreksja. - Poszedl w glab szerokiego korytarza. - Chodmy tedy... Proszę, to pani pokoj, pani Clay.

- Skoro mamy razem mieszkać, proszę mi mówić Percey.

- Nie ma sprawy. A pan...

- Brit.

Pokoje były małe, ciemne i niezwykle ciche - w przeciwieństwie do biura Percey mieszczącego się w kacie hangaru w Hudson Air. Pomyślała o Edzie, który wolął biuro w głównym budynku; na jego biurku panował nienaganny porządek, na ścianach wisiały zdjęcia B-17 i P-51, na każdym pliku dokumentów stał przezroczysty przycisk do papieru. Percey lubiła zapach paliwa do odrzutowców, a najlepiej pracowało się jej przy akompaniamencie warkoczających kluczy pneumatycznych. Oczyma wyobraźni zobaczyła Eda siedzącego na jej biurku, gdy razem pili kawę. Zdolała odsunąć od siebie te myśli, zanim lzy zdążyły jej napłynąć do oczu.

Bell powiedział do walkie-talkie:

- Główni bohaterowie na miejscu.

W chwili później w korytarzu pojawili się dwaj umundurowani funkcjonariusze. Skineli im głowami, a jeden z nich powiedział:

- Będziemy tu dwadzieścia cztery godziny na dobe. - Ciekawe, że ich twardy nowojorski akcent prawie się nie odróżniał od przeciąglej mowy Bella.

- Bardzo dobrze - pochwalił Percey Bell.

Zdziwiona uniosła brwi.

- Sprawdziłaś identyfikator. Nie dasz się nabrać.

Uśmiechnęła się blado.

- Dalismy twojej tesciowej w New Jersey dwóch ludzi - rzekł Bell. - Masz jeszcze jakąś rodzinę, której trzeba pomóc?

Percey odparła, że w okolicy nie ma żadnej. Bell zapytał o to samo Hale'a, który ze smutnym uśmiechem odparł:

- Nie, jeżeli byleż żony nie uważa się za rodzinę. Byłych żon - uscislił.

- W porządku. Nie trzeba karmić ani poić żadnych psów czy kotów?

- Nie - powiedziała Percey, a Hale tylko pokręcił głową.

- No to możemy się odprezyc. Nie używajcie komórek, jeżeli macie. Korzystajcie tylko z tej linii. Pamiętajcie o oknach i roletach. Tam jest przycisk alarmowy. Gdyby nie było już żadnego wyjścia, wciskacie go i padacie na ziemię. Dobra, jeżeli macie do mnie jakąś prośbę, możecie walić.

- Ja mam - odezwala sie Percey. Wyciagnela srebrna piersiowke i pokazala.

- No - rzekl przeciagle Bell. - Jesli chcesz, zebym ci pomogl ja oproznic, musze odmowic. Jestem na sluzbie. Mimo to dzieki. Jezeli chcesz, zebym ci ja napelnil, to... nie ma sprawy.

Ich przekret nie stal sie wiadomoscia dnia.

Przez miejskie kanaly policyjne poszly jednak trzy niekodowane komunikaty informujace posterunki o planowanej operacji na dwudziestym posterunku oraz ograniczeniach ruchu i zamknieciu niektorych ulic w West Side. Wszyscy podejrzani zatrzymani w rejonie dwudziestego mieli byc zabrani do glownego aresztu w centrum. Nikt nie mogl wejsc ani wyjsc z posterunku bez specjalnej zgody FBI. Albo Federalnego Urzedu Lotnictwa - ten pomysl podsunal Dellray.

W trakcie nadawania komunikatow grupa 32-E Bo Haumanna zajela pozycje wokol komisariatu.

Haumann objal dowodztwo tej czesci operacji. Fred Dellray organizowal federalna jednostke odbijania zakladnikow, w razie gdyby zidentyfikowano wlascicielke kotow i zlokalizowano jej mieszkanie. Rhyme z Sachs i Cooperem dalej badali material dowodowy.

Nie dokonali zadnego nowego odkrycia, lecz Rhyme chcial, by Sachs i Cooper jeszcze raz zbadali slady. Na tym polega kryminalistyka - trzeba sie przygladac i przygladac, a gdy niczego nie mozna znalezc, trzeba sie przyjrzec jeszcze raz. Kiedy do niczego sie dojdzie, nalezy przyjrzec sie jeszcze dokladniej.

Rhyme podjechal do komputera i powiekszył obraz zegara znalezionego we wraku samolotu Eda Carneya. Samo urzadzenie - seryjne - niewiele moglo pomoc, lecz Rhyme zastanawial sie, czy nie znajdzie sie na nim malenki slad albo nawet czesciowo niewidoczny odcisk linii papilarnych. Zamachowcy sa czesto przekonani, ze eksplozja niszczy odciski, wiec zdejmuja rekawiczki, pracujac przy drobniejszych elementach bomby. Jednak wybuch niekoniecznie niszczy odciski palcow. Rhyme polecil Cooperowi okadzic zegar w ramce dymnej, a gdy to badanie niczego nie wykazalo - napylic urzadzenie drobnym proszkiem magnetycznym. Jednak i ten sposob nie przyniosl zadnych rezultatow.

Wreszcie Rhyme kazal Cooperowi oswietlic probke laserem typu yag, najnowsza i ostateczna bronia w poszukiwaniu niewidzialnych odciskow palcow. Cooper patrzyl w okular mikroskopu, a Rhyme ogladal obraz na monitorze.

Rhyme zasmial sie, zmruzył oczy i popatrzyl jeszcze raz, by sie upewnic, czy nie zawodzi go wzrok.

- Czy to... Zobaczcie, w prawym dolnym rogu! - zawolal.

Lecz Cooper i Sachs nic nie widzieli.

Powiekszony komputerowo obraz wydobyl cos, czego nie bylo widac w mikroskopie optycznym. Na brzegu metalu, ktory mial ochraniać urzadzenie przed rozwaleniem na kawalki, widzial ledwie widoczny polksiezyc zakonczen i rozgalezien linii papilarnych. Slad mial szerokosc jednej szesnastej cala i dlugosc moze pol cala.

- Odcisk - powiedział Rhyme.
- Za mały do identyfikacji - stwierdził Cooper, patrząc na ekran monitora.

W jednym odcisku palca jest około stu pięćdziesięciu cech charakterystycznych, lecz ekspert potrafi go zidentyfikować tylko na podstawie osmiu, szesnastu elementów. Niestety w tym nie było nawet połowy wymaganych cech.

Mimo to Rhyme był wyraźnie podekscytowany. On, który nie potrafił ustawić pokrętła mikroskopu, zauważył coś, czego inni nie widzieli. Też prawdopodobnie by to przegapił, gdyby był „normalny”.

Rhyme kazał komputerowi zapisać obraz jako mapę bitową, nie chcąc kompresować go do formatu pliku graficznego, aby nie uszkodzić obrazu. Wydrukował obraz odcisku i kazał Thomowi przykleić wydruk obok tablicy z listą dowodów z miejsca katastrofy.

Zadzwonił telefon i Rhyme odebrał, korzystając ze swego nowego systemu, przelaczając aparat na głośnik.

To byli bliźniacy.

Dwaj detektywi z wydziału zabójstw, znani też jako Chłopcy Twardziele, pracowali poza Dużym Budynkiem, główną siedzibą policji. Prowadzili śledztwo w terenie - rozmawiali z mieszkańcami, przechodniami i świadkami po dokonanej zbrodni - i uważano ich za najlepszych w mieście. Nawet Lincoln Rhyme ich szanował, mimo swej nieufności do ludzkich zdolności obserwacyjnych.

Nie przeszkadzały mu maniere bliźniaków.

- Cześć, detektywie. Sie masz, Lincoln - powiedział jeden z nich. Mieli na imię Bedding i Saul. Trudno ich było od siebie odróżnić, a przez telefon nie było nawet sensu próbować.
- Co macie? - zapytał Rhyme. - Znaleźliście pania kotów?
- To było łatwe. Siedmiu weterynarzy, dwa hotele dla zwierząt...
- Trzeba było iść do obu i...
- Obskoczyliśmy też trzy firmy opieki nad zwierzętami. Chociaż...
- Kto by wychodził z kotem na spacer, nie? Ale oni karmią, poją i sprzątają po zwierzętku, gdy właściciela nie ma. Pomysleliśmy, że nie zaszkodzi sprawdzić.
- Trzech weterynarzy nie było pewnych. Mają strasznie dużo roboty.
- W East Side jest kupa zwierzątek. Zdziwiłbys się. A może nie.

- Musielismy dzwonic do ludzi do domu. No wiesz, lekarzy, asystentow, kosmetyczki...

- Tez mi robota, kocia kosmetyczka. W kazdym razie rejestrator u weterynarza na Osiemdziesiatej Drugiej myśli, ze moze chodzic o Sheile Horowitz. Trzydziesci kilka lat, krotkie, ciemne wlosy, przy kosci. Ma trzy koty. Jeden czarny, jeden biały. Nie wiedza, jakiego koloru jest trzeci. Mieszka na Lexington, miedzy Siedemdziesiata Osma a Siedemdziesiata Dziewiata.

Piec przecznic od domu Percey.

Rhyme podziekowal blizniakom i powiedzial, zeby dalej byli uchwytnei, po czym wrzasnal:

- Pchnijcie tam ludzi Dellraya! Ty tez sie rusz, Sachs. Mamy nastepne miejsce do zabezpieczenia. Chyba jestesmy coraz blizej. Czujecie to? Coraz blizej!

Percey Clay opowiadala Rolandowi Bellowi o swoim pierwszym samodzielnym locie.

Mial on troche inny przebieg, niz planowala.

Wystartowala z krotkiego trawiastego pasa, cztery mile za Richmond, slyszac znajome tung, tung, tung cessny podskakujacej na nierownosciach, dopoki nie oderwala sie od ziemi. Potem pociagnela stery i zwawa stopiecdziesiatka uniosla sie w powietrze. Bylo wilgotne wiosenne popoludnie, takie jak dzis.

- Musialo byc fajnie - rzekl Bell, patrzac na nia niepewnie.

- Potem juz nie - odparla Percey, pociagajac lyk z piersiowki.

Dwadziescia minut pozniej zamilkł silnik nad pustkowiem lasow wschodniej Wirginii, koszmarna gestwina jezyn i sosen. Percey posadzila posluszny samolot na polnej drodze, sama oczyscila przewod paliwowy i wystartowala jeszcze raz, wracajac bez szwanku do domu.

Malej cessnie nic sie nie stalo, wiec wlasciciel nigdy nie dowiedzial sie o przejazdce. Jedynym ubocznym skutkiem tej historii bylo lanie, jakie sprawila jej matka, dowiedziawszy sie od dyrektora szkoly Lee, ze Percey znow wdala sie w bojke i uderzyla piescia w nos Susan Beth Halworth, a po piatej lekcji uciekla.

- Musialam zwiac - wyjasnila Bellowi Percey. - Wszyscy sie mnie czepiali. Chyba przezywali mnie „troll” i jeszcze inaczej.

- Dzieciaki potrafia byc okrutne - zgodzil sie Bell. - Gdyby moje chlopaki cos takiego zrobily, zloilbym im skore jak... czekaj, ile wtedy mialas lat?

- Trzynascie.

- Jak moglas to zrobic? Nie trzeba miec skonczonych osiemnastu, zeby latac?

- Szesnascie.

- Aha... To jak ci sie udalo?

- Nie zlapali mnie - powiedziala Percey. - Udalo sie.

- Aha.

Siedzieli z Rolandem w jej pokoju. Uczynny Bell napelnil jej buteleczke wild turkey - prezentem od jakiegos informatora, ktory mieszkal tu piec tygodni. Zajeli zielona kanape, a Roland zlitowal sie i wreszcie przyciszl szumiacy walkie-talkie. Percey siedziala wygodnie oparta, Bell wyprostowany - nie z powodu niewygodnego mebla, lecz nadzwyczajnej czujnosci. Na ruch przelatujacej muchy lub najlzejszy podmuch wzdymajacy firanke reagowal, kladac dlon na jednym z dwu pistoletow, ktore mial przy sobie.

Zachecona przez niego, Percey kontynuowala opowiesc o swoich lotniczych dokonaniach. Uczniowska licencje pilota zdobyła w wieku szesnastu lat, a amatorska rok pozniej. Skonczywszy osiemnascie lat, zostala pilotem zawodowym.

Ku zgrozie rodzicow uciekla z kregu branzy tytoniowej (ojciec nie pracowal w „firmie”, ale na „plantacji”, choc w rzeczywistosci byla to korporacja o szesciu miliardach dolarow kapitalu), postanawiajac zdobyc dyplom inzynierski. („Rzucenie uniwersytetu stanu Wirginia bylo pierwsza rozsadna rzecza, jaka w zyciu zrobila”, powiedziala w rozmowie z jej ojcem matka Percey i byl to jedyny raz, kiedy wziala jej strone. Potem jednak dodala: „W szkole inzynierskiej latwiej jej bedzie znalezc meza”, wychodzac z zalozenia, ze chlopcy w uczelniach technicznych maja mniejsze wymagania).

Ale Percey nie interesowalo zycie towarzyskie, zenskie kola studenckie ani chlopcy. Istnialo tylko jedno. Samolot. Kiedy tylko pozwalal jej na to czas i finanse, latala. Zrobila dyplom instruktora i zaczela uczyc adeptow lotnictwa. Nieszczegolnie podobalo sie jej to zajecie, lecz nie rezygnowala z niego ze wzgledu na bardzo cenny atut: godziny spedzone w fotelu instruktora liczono jako godziny wylatane przez pierwszego pilota. Co moglo niezwykle korzystnie wygladac w zyciorysie, bo niedlugo miala zamiar zaczac pukac do drzwi linii lotniczych.

Po dyplomie rozpoczela zycie pilota bez stalego zatrudnienia. Lekcje, pokazy, loty dla przyjemnosci, od czasu do czasu lewy kurs z jakimś ładunkiem albo zlecenie od malej firmy czarterowej. Taksowki powietrzne, hydroplany, opryskiwanie pol, nawet numery kaskaderskie na starych steermanach i dwuplatach Curtis Jenny, podczas festynow w niedzielne popoludnia.

- Bylo naprawde ciezko - mowila do Rolanda. - Moze tak samo trudno jak w poczatkach kariery policyjnej.

- To chyba wcale sie tak bardzo nie rozni. Kiedy pracowalem w biurze szeryfa w Hoggston, chowalem sie w krzakach z radarem i pilnowalem ruchu na skrzyzowaniach. Przez trzy lata nie bylo ani jednego zabojstwa, nawet przypadkowego. Potem zaczalem piac sie w gore - zostalem zastepca szeryfa okregowego, zaczalem pracowac na autostradzie. Ale robota polegala przede wszystkim na wyciaganiu gosci z rozbitych wozow. Wrocilem na uniwersytecie skonczyac kryminologie i socjologie. Potem przenioslem sie do Winston-Salem i dochrapalem sie zlotej odznaki.

- Czego?

- Zostałem detektywem. Jasne, że przed pierwszą sprawą zdążyli mnie dwa razy pobić i trzy razy postrzelić. Uwważaj, o co prosisz, bo możesz to dostać. Słyszałaś to kiedyś?

- Przecież robiłaś to, co chciałaś.

- Zylem tym. Wiesz, ciotka, która mnie wychowała, zawsze mawiała: „Idź drogą, którą Bóg ci wskaże”. Coś w tym jest. Ciekawy jestem, jak założyłaś własną firmę?

- Założyliśmy ją we trojkę, Ed - mój mąż, Ron Talbot i ja. Jakies siedem, osiem lat temu. Wcześniej jednak miałam małą przerwę.

- Jak to?

- Zaciągnęłam się do armii.

- Poważnie?

- Serio. Chciałam latać, a nikt mnie nie potrzebował. Widzisz, zanim dostaniesz pracę w firmie czarterowej albo liniach lotniczych, muszą cię ocenić na samolotach, którymi latają. Żeby mogli to zrobić, musisz zapłacić za szkolenie i godziny w symulatorze - z własnej kieszeni. Żeby latać wielkim odrzutowcem, trzeba często wybulić dziesięć tysięcy zielonych. Ja utknelam na smigłowcach, bo nie było mnie stac na szkolenia. No i przyszło mi do głowy: zaciągnę się i będą mi płacić za latanie najbardziej seksownymi maszynami na świecie. Wstąpiłam więc do marynarki.

- Dlaczego tam?

- Przez lotniskowce. Pomyślałam, że fajnie będzie ładować na ruchomym pasie startowym.

Bell skrzywił się. Na jej pytające spojrzenie powiedział:

- Gdybys się nie domyślała, nie jestem wielkim fanem twojego fachu.

- Nie lubisz pilotów?

- Och, nie to miałem na myśli. Nie lubię latania.

- Wolisz, żeby do ciebie strzelali, niż żebyś miał latać?

Bez zastanowienia energicznie skinął głową, a potem spytał:

- Widziałaś kiedyś prawdziwą walkę?

- Pewnie. W Las Vegas.

Zmarszczył brwi.

- W dziewięćdziesiątym pierwszym. Hotel Hilton, trzecie piętro.

- Walka? Nie rozumiem.

- Nie słyszałaś nigdy o Tailhook?

- Aha, to była jakaś konferencja marynarki? Kiedy banda pilotów się upiła i napadła na kobiety?

Byłaś tam?

- Podszczyptywali mnie i macali. Znokautowałam jednego porucznika, innemu złamałam palec, chociaż żał mi, że był za bardzo pijany i poczuł ból dopiero następnego dnia. - Pociągnęła kolejny łyk burbona.

- Naprawdę było tak źle, jak mówili?

Po chwili milczenia powiedziała:

- Zwykle spodziewasz się, że nagle jakiś Koreańczyk z Polnocy albo Iranczyk w migu pojawi się znikąd i siądzie ci na ogonie. Ale kiedy robią to ludzie, którzy mają być po twojej stronie - naprawdę można się zalać. Czujesz się paskudnie, jakby cię oszukano.

- Co się stało?

- Brudna sprawa - mruknęła. - Nie chce się nad tym rozwodzić. Podaliśmy kilka nazwisk, paru ludzi wyleciało. Nie tylko piloci, kilka szyców też. Jak możesz przypuszczać, nie przyjęto tego najlepiej w sali odpraw.

Z małą zrezygnacją czy bez, nie łączyła się z ludźmi, którym nie można ufać.

- No i rzuciłam armię. Fajnie było z chłopakami, fajne były loty bojowe. Ale najwyższy czas był odejść. Poznałam Eda, postanowiliśmy założyć firmę czarterową. Pogodziłam się z tatusem - mniej więcej - i pożyczył mi większą część forsy, którą władowałam w firmę. - Wzruszyła ramionami. - Oddałam mu resztę z procentem, nigdy nie spóźniłam się ani o dzień ze splatą raty. Kawal drania...

Ożyły wspomnienia związane z Edem. Pomagał jej wynegocjować pożyczkę. Wspólnie szukali odpowiedniego samolotu u firm leasingowych raczej sceptycznie nastawionych do ich projektu. Wynajmowali hangary. Kłócili się, o trzeciej nad ranem naprawiając panel nawigacyjno-komunikacyjny w samolocie, który miał wystartować o szóstej. Wspomnienia sprawiały jej ból tak ostry jak najdokuczliwsze migreny. Aby odegnąć myśli, zapytała:

- A ciebie co sprowadziło na północ?

- Rodzina żony tu mieszka. Na Long Island.

- Rzuciłaś Karolinę Polnocną dla tesciów?

Percey powstrzymała się przed uwagą na temat krótkiego łąsa, na które żona łapie męża. Była

jednak wdzieczna, że w porę ugryzła się w język, gdy Bell spojrzał na nią swymi piwnymi oczyma i rzekł:

- Beth poważnie chorowała. Dziewiętnaście miesięcy temu umarła.

- Och, przykro mi.

- Dzięki. Mieszkają tu jej starzy i siostra. Tak naprawdę nie za bardzo radziłem sobie z dziećmi. Umie robić chili i grać w piłkę, ale dzieci mają trochę inne potrzeby. Na przykład, po moim pierwszym praniu zbiegły się prawie wszystkie swetry. Przestałem się więc sprzeciwiać przeprowadzce. Poza tym chciałem pokazać dzieciakom, że życie to nie tylko kombajny i silosy.

- Masz zdjęcia? - zapytała Percey, przechylając piersiówkę. Przez moment czuła w gardle palący alkohol i postanowiła odstawić whisky. Zaraz jednak zmieniła decyzję.

- No jasne. - Z kieszeni workowatych spodni wyciągnął portfel i pokazał jej fotografie dzieci. Dwoch chłopców o blond włosach, w wieku mniej więcej pięciu i siedmiu lat. - Benjamin i Kevin - przedstawił ich Bell.

Percey zobaczyła jeszcze jedno zdjęcie - ładnej blondynki z krótką grzywką.

- Urocze.

- Masz dzieci?

- Nie - odrzekła. Zawsze był jakiś powód, żeby odwlekali z Edem decyzje o dzieciach na następny rok. Może zaczekamy, aż firma zacznie sobie lepiej radzić. Najpierw weźmiemy w leasing 737. Zdobęde certyfikat na DC-9... - Uśmiechnęła się do niego w zamysleniu. - A twoi chłopcy? Chcesz zostać glinami, jak dorosną?

- Raczej interesuje ich futbol. Ale wątpię, czy znajda zajecie w Nowym Jorku. Chyba że Metsi zaczna grać inaczej niż ostatnio.

Po krótkim milczeniu Percey spytała:

- Mogę zadzwonić do firmy? Muszę sprawdzić, co z samolotem.

- Pewnie. Zostawie cię sama. Tylko nikomu nie podawaj numeru ani adresu. W tej sprawie jestem niepoprawnym uparciuchem.

Rozdział piętnasty

45 godzin - godzina osma

- Tu Percey. Co u was?
- Wszyscy sa wstrzasnieni - powiedzial. - Wyslalem Sally do domu. Nie mogla...
- Jak sie czuje?
- Nie mogla dojsc do siebie. Carol tez. I Lauren. Zupelnie stracila nad soba panowanie. Nigdy nie widzialem nikogo w takim stanie. Co u ciebie i Brita?
- Brit jest wsciekly, ja tez. Ale sie porobilo. Och, Ron...
- A ten detektyw, ten ranny policjant?
- Chyba jeszcze nic nie wiadomo. Co z „Foxtrotem Bravo”?
- Nie tak zle, jakby sie wydawalo. Wymienilem juz okno w kabinie. W kadlubie nie ma zadnych uszkodzen. Silnik numer dwa... tu jest klopot. Trzeba bylo wymienic sporo poszycia. Staramy sie znalezc nowa butle gasnicza. Z tym nie powinno byc problemow...
- Ale?
- Ale trzeba wymienic pierscien.
- Komore spalania? Wymienic? O Boze.
- Juz dzwonilem do dystrybutora Garretta w Connecticut. Zgodzili sie przywiezc ja jutro, mimo ze to niedziela. Moge ja zamontowac w dwie, trzy godziny.
- Do diabla - mruknela. - Powinnam tam byc... Powiedzialam im, ze sie stad nie rusze, ale, niech to szlag, musze tam byc.

- Gdzie jestes, Percey?

Stephen Kall, sluchajacy tej rozmowy w ciemnym mieszkaniu Sheili Horowitz, wzial dlugopis, gotow zapisac adres. Przycisnal sluchawke do ucha.

Lecz Zona powiedziala tylko:

- Na Manhattanie. Otacza nas z tysiac gliniarzy. Czuje sie jak papiez albo prezydent.

Dzieki swemu odbiornikowi przeszukujacemu Stephen slyszal policyjne komunikaty o jakimis zamieszeniu w okolicach dwudziestego posterunku, ktory znajdowal sie w West Side. Komisariat zamykano i wywozono wszystkich aresztantow. Zastanawial sie, czy wlasnie tam jest teraz Zona - w budynku posterunku.

- Powstrzymaja jakos tego faceta? - spytal Ron. - Maja jakis trop?

Wlasnie, maja? - zastanawial sie Stephen.

- Nie wiem - odrzekla.

- Te strzaly - powiedzial Ron. - Boze, byly straszne. Przypomnialy mi wojsko. Ten sam huk.

Stephen jeszcze raz pomyslal o Ronie. Czy moglby go wykorzystac?

Prowadz rozpoznanie, oceniaj... przesluchuj.

Stephen wahal sie, czy wytropic Rona i torturami zmusic go, by zadzwonil do Percey i zapytal o adres jej kryjowki...

Lecz gdyby nawet udalo mu sie ponownie przedrzec sie przez zabezpieczenia na lotnisku, bylyby to wielkie ryzyko. I zajeloby mu zbyt wiele czasu.

Sluchajac rozmowy, Stephen wpatrywal sie w monitor laptopa, na ktorym nadal widzial komunikat „Prosze czekac”. Podsluch byl polaczony ze skrzynka przekaznikowa Bell Atlantic niedaleko lotniska i dzieki niemu Stephen juz od tygodnia nagrywal rozmowy z biura. Dziwil sie, ze policja jeszcze tego nie odkryla.

Na stol wskoczyl kot - Esmeralda, Essie, obrzydliwy worek robakow - i wygial w luk grzbiet. Stephen uslyszal, jak mruzczy.

Zaczal sie kulic.

Stracil kota na podloge, delektujac sie przerazliwym wrzaskiem zwierzecia.

- Szukalem pilotow - mowil niewyraźnie Ron. - Mam...

- Wystarczy tylko jeden. Jako drugi.

Chwila ciszy.

- Co? - spytał Ron.

- Polece jutro. Potrzebuje tylko pierwszego oficera.

- Ty? Wydaje mi się, że to nie jest najlepszy pomysł, Percey.

- A masz kogoś? - spytała krótko.

- No, chodzi o to...

- Masz kogoś?

- Na liście jest Brad Torgeson. Powiedział, że chętnie nam pomoże. Wie, jaka mamy sytuację.

- Dobrze. To pilot do rzeczy. Latał na Learach?

- Mnóstwo godzin... Percey, myślałem, że będziesz się ukrywać aż do zebrania sądu przysięgłych.

- Lincoln pozwolił mi na ten lot. Pod warunkiem że do tego czasu zostanie tutaj.

- Kto to jest Lincoln?

Otoż to, pomyślał Stephen. Kto to jest Lincoln?

- Dość dziwny człowiek... - Zona zawałała się, jak gdyby chciała coś więcej o nim powiedzieć, ale nie była pewna co. Zawiedziony Stephen usłyszał tylko: - Pracuje dla policji, stara się znaleźć mordercę. Powiedziałam mu, że zostanie tu do jutra, ale koniecznie muszę lecieć. Zgodził się.

- Percey, możemy to odłożyć. Pogadam z Amer-Medem. Już wiedza, że mamy pewne...

- Nie - ucierała stanowczo. - Oni nie chcą żadnych usprawiedliwień. Chcą mieć towar na czas. Jeżeli nie będziemy im go w stanie dostarczyć, znajdą inną firmę. O której przywożą ładunek?

- O szóstej albo siódmej.

- Przyjadę tam po południu. Pomogę ci przy pierścieniu.

- Percey - wykrztusił. - Wszystko będzie w porządku.

- Zrobmy silnik na czas, a będzie świetnie.

- Musiałas przejść piekło - rzekł Ron.

- Piekło? Nie - powiedziała.

Jeszcze nie, poprawił ją bezgłośnie Stephen.

Sachs skrecila swoim kombi za rog z predkoscia czterdziestu mil na godzinie. Zobaczyla kilkunastu agentow spacerujacych po ulicy.

Ludzie Freda Dellraya otoczyli budynek, w ktorym miescilo sie mieszkanie Sheili Horowitz. Typowy brazowy dom East Side, sasiadujacy z koreanskim sklepikiem, przed ktorym na skrzynce z mlekiem siedzial Azjata i obieral marchew do salatki, patrzac bez specjalnego zainteresowania na uzbrojonych w bron maszynowa ludzi okrazajacych budynek.

Sachs znalazla Dellraya w klatce schodowej. Agent trzymal w reku bron i studiowal liste lokatorow.

S. Horowitz. 204.

Pokazal radio.

- Jestesmy na cztery osiem trzy koma cztery.

Czestotliwosc operacyjna federalnych. Sachs ustawila radio, a Dellray zajrzal do skrzynki na listy Horowitz, oswietlajac ja mala czarna latarka.

- Nikt dzis nie wyjmowal poczty. Mam przecucie, ze dziewczyny nie ma. - Potem dodal: - Chlopcy sa przy wyjsci ewakuacyjnym, pietro wyzej i pietro nizej, z mikrofonami i kamerami. W srodku nikogo nie widac. Slychac jednak drapanie i mruczenie. Takich dzwiekow nie wydaje czlowiek. Ona ma koty, pamietaj. Rhyme mial niezly pomysl z tymi weterynarzami.

Rhyme nie miewa zlych pomyslow, pomyslala.

Gwizdal wiatr i nad miasto nadciagalo kolejne stado czarnych chmur. Ogromne sine platy. Dellray warknal do nadajnika:

- Wszystkie zespolo, meldowac o sytuacji.

- Czerwoni. Jestesmy przy wyjsci ewakuacyjnym.

- Niebiescy. Pierwsze pietro.

- Zrozumialem - mruknal Dellray. - Rozpoznanie. Meldujcie.

- Nic pewnego. Mamy slabe odczyty w podczerwieni. Ktokolwiek tam jest, nie rusza sie. To moze byc spiacy kot. Albo ranna ofiara. Albo plomyk zapalacza w piecyku, ktory pali sie juz od jakiegos czasu. Rownie dobrze moze to byc jednak poszukiwany. W glebi mieszkania.

- A jakie jest wasze zdanie? - zapytala Sachs.

- Kto to? - spytal przez radio agent.

- Departament Policji Nowego Jorku, odbiornik przenosny, piec osiem osiem piec - zameldowala

Sachs, podając numer swojej odznaki. - Chciałabym znać waszą opinię. Sądzą, że podejrzany jest w środku?

- Dlaczego pytasz? - chciał wiedzieć Dellray.

- Nie chce tam mieć żadnych zanieczyszczeń. Wolalabym wejść sama, jeśli ich zdaniem nie ma go w mieszkaniu. - Wtargnięcie kilkunastu uzbrojonych funkcjonariuszy mogło nieodwracalnie uszkodzić wszystkie ślady na miejscu zbrodni.

Dellray patrzył na nią przez chwilę, marszcząc czoło, a potem powiedział do mikrofonu:

- Rozpoznanie, jakie jest wasze zdanie?

- Nie możemy niczego stwierdzić z całą pewnością - rzekł głos agenta.

- Wiem, Billy. Powiedzcie mi tylko, co wam mówi nos.

Krotka przerwa.

- Moim zdaniem prysnął. Chata jest chyba czysta.

- Dobra. - Do Sachs powiedział: - Weź ze sobą jednego człowieka. To rozkaz.

- Ale wejdź pierwsza. Może mnie osłaniać od drzwi. Słuchaj, ten facet nie zostawia żadnych śladów. Musimy go w końcu na czymś przyłapać.

- No dobrze, sierżancie. - Dellray kiwnął głową do kilku agentów jednostki specjalnej.

- Zezwolenie na wejście - powiedział oficjalnie.

Jeden z agentów w ciągu trzydziestu sekund rozmontował zamek u drzwi na korytarz.

- Chwila - rzekł Dellray, przekrzywiając głowę. - Jest sygnał z centrali. - Powiedział do radia: - Podajcie im częstotliwość. - Spojrzył na Sachs. - Lincoln do ciebie.

W chwili potem wtracił się głos Rhyme'a:

- Sachs. Co ty wyrabiasz?

- Tylko...

- Słuchaj - oznajmił tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Nie wchodzi tam sama. Pozwól im najpierw sprawdzić mieszkanie. Znasz zasady.

- Mam wsparcie.

- Nie, najpierw wejda agenci.

- Sa pewni, ze go nie ma w srodku - sklamala.

- To nie wystarczy - ucial krotko. - Nie w przypadku Trumniarza. Z nim niczego nie mozna byc pewnym.

Znowu to samo. Daj sobie spokoj, Rhyme.

- Nie przypuszczal, ze znajdziemy to mieszkanie. Prawdopodobnie nie posprzatal po sobie. Moze znajdziemy odcisk palca, luske z pocisku. Do cholery, przy odrobinie szczescia mozemy znalezc jego karte kredytowa.

Odpowiedzialo jej milczenie. Nieczesto udawalo sie uciszyc Lincolna Rhyme'a.

- Przeszan mnie straszyc, Rhyme, dobrze?

Milczal, a ona odniosla wrazenie, ze Rhyme chce, by byla przestraszona.

- Sachs...?

- Co?

- Badz ostrozna - brzmiala jego jedyna rada, wygloszona dosc niepewnym tonem.

Nagle pojawilo sie pieciu agentow w rekawicach, kominiarkach i niebieskich kamizelkach kuloodpornych, z czarnymi H&K w dloniach.

- Odezwe sie do ciebie juz z mieszkania - powiedziala.

Poszla za nimi po schodach, bardziej myslac o ciezkiej walizce ze sprzetem, ktora niosla w slabej lewej dloni, niz o czarnym pistolecie w prawej.

W dawnych czasach, Przed Tym, Lincoln Rhyme uwielbial spacerowac.

W ruchu bylo cos, co go uspokajalo. Przechadzka w Central Parku albo w Parku Washington Square, szybki marsz przez Fashion District. Czesto sie zatrzymywal, aby podniesc jakis kawaleczek i potem wprowadzic go do bazy danych wydzialu - lecz gdy juz zapakowal drobiny ziemi, roslin czy probki materialow budowlanych i skrupulatnie odnotowal ich pochodzenie, szedl dalej. Potrafil pokonywac cale mile.

W obecnym stanie najbardziej frustrujace bylo to, ze nie mogl w zaden sposob rozladowac napiecia. Lincoln zamknal oczy i wbil tyl glowy w zaglowek swojego wozka, zaciskajac zeby.

Poprosil Thoma o odrobinie szkockiej.

- Nie powinienes zachowac jasnego umyslu?

- Nie.

- Chyba jednak powinienes.

Idz do diabla, pomyslal Rhyme i mocniej zacisnal zeby. Thom bedzie musial oczyszcic mi zakrwawione dziasla i wezwac dentyste. Wobec niego tez bede sie zachowywal jak ostatni kutas.

W oddali przetoczyl sie grzmot. Swiatla w pokoju przygasly.

Wyobrazil sobie Sachs idaca przed grupa uzbrojonych agentow. Oczywiscie miala racje: wchodzac do mieszkania, agenci z jednostki specjalnej zniszczyliby wiekszosc dowodow. Mimo to drzal z leku o nia. Byla zbyt lekkomyslna. Widzial, jak drapie sie w glowe, skubie brwi, obgryza paznokcie. Rhyme, tak sceptyczny wobec czarnej magii psychologii, dostrzegal wszystkie jej autodestrukcyjne zachowania. Jechal z nia kiedyś jej podrasowanym sportowym samochodem. Pedzili sto piecdziesiat mil na godzine, a Sachs wydawala sie zawiedziona, ze nierowne drogi Long Island nie pozwalaja jej jechac dwa razy szybciej.

Drgnal, uslyszawszy jej szept:

- Rhyme, jestes tam?

- Slucham, Amelio.

Chwila milczenia.

- Bez imion. To przynosi pecha.

Probował sie rozesmiac. Zalował, ze zwrocil sie do niej po imieniu, zastanawiajac sie, dlaczego to wlasciwie zrobil.

- Mow.

- Jestem przed drzwiami. Chca je wywazyc. Zameldowal sie drugi zespol. Ich zdaniem w srodku nie ma nikogo.

- Masz kamizelke?

- Ukradlam ja jednemu federalnemu. Wyglada, jakbym zamiast stanika miala dwa pudelka z czarnych lusek.

- Na trzy - Rhyme uslyszal glos Dellraya - wszystkie zespolo, obstawic drzwi i okna, zajac wszystko, ale zatrzymac sie przy wejsci. Raz...

Rhyme byl rozdarty. Chcial dorwac Trumniarza - niemal czul smak tego pragnienia. Jednoczesnie tak bardzo bal sie o Sachs.

- Dwa...

Sachs, niech to szlag, pomyslal. Nie chce sie o ciebie bac...

- Trzy...

Usłyszał cichy trzask, jakby ktos wylamał stawy palców i stwierdził, że opadła mu głowa. W szyi poczuł bolesny skurcz, więc odchylił się do tyłu. Natychmiast zjawil się Thom i poczał masować mu kark

- Wszystko w porządku - wymamrotal Rhyme. - Dziękuję. Proszę cię, otrzyj mi pot.

Thom spojrzal na niego podejrzliwie - na dźwięk „proszę cię” - po czym otarł mu czoło.

Co robisz, Sachs?

Chciał zapytać, lecz nie mógł jej teraz przeszkadzać.

Potem usłyszał, jak Sachs wstrzymuje oddech. Zjeżyły mu się włoski na karku.

- Chryste, Rhyme.

- Co jest? Mów.

- Ta kobieta... Horowitz... Drzwi lodówki są otwarte. Ona jest w środku. Nie żyje, ale wygląda jakby... O Boże, jej oczy.

- Sachs...

- Chyba włożył ją do lodówki, kiedy jeszcze żyła. Dlaczego do cholery...

- Zapomnij o tym na chwilę, Sachs. Spróbuj.

- Jezu.

Rhyme wiedział, że Sachs cierpi na klaustrofobie. Wyobraził sobie, co musiała czuć, patrzeć na tak potworną śmierć.

- Skrepował ją tasma czy sznurem?

- Tasma. Ma też kawałek przezroczystej tasmę na ustach. Ale jej oczy, Rhyme, te oczy...

- Otrząsnij się, Sachs. Na powierzchni tasmę mogą być odciski. Co jest na podłodze?

- W salonie dywan. Linoleum w kuchni. I... - Krzyknęła nagle. - Boże!

- Co się stało?

- Kot na mnie skoczył. Cholerny zwierzę... Rhyme?

- Co?

- Czuje jakis zapach. Zabawny.

- Dobrze. - Uczyl ja, zeby na miejscu zbrodni zawsze zwracala uwage na zapach. To pierwsza rzecz, ktora nalezy zauwazyc. - Co to znaczy „zabawny“?

- Taki kwasny. Chemiczny. Nie wiem, skad dochodzi.

Wtedy zorientowal sie, ze cos jest nie tak.

- To ty otworzylas drzwi lodowki? - zapytal nagle.

- Nie. Byly otwarte. I zdaje sie zablokowane krzeslem.

Dlaczego? Po co mialby to zrobic, zastanawial sie Rhyme. Mysli przelatywaly mu przez glowe jak blyskawice.

- Zapach staje sie silniejszy. Czuc go dymem.

Ta kobieta to przyneta! Zostawil otwarta lodowke, zeby od razu zauwazyli ja po wejsci do mieszkania. Och, nie! Znowu!

- Sachs! Ten zapach to zapalnik. Zapalnik z opoznionym zaplonem. Tam jest bomba! Wyjdz stamtad natychmiast! Zostawil otwarta lodowke, zeby nas zwabic do srodka.

- Co?

- Zapalnik! Podlozyl bombe. Masz kilka sekund na ucieczke. Zmiataj!

- Tylko zerwe tasme z jej ust.

- Uciekaj, do cholery!

- Tylko wezme...

Rhyme uslyszal szelest, przyspieszony oddech, a kilka sekund pozniej glosny huk eksplozji, dzwoniacy jak cios mlotem w kociol.

Lomot na chwile go ogluszyl.

- Nie! - krzykнал. - Nie!

Spojrzal na Sellitta, ktory wpatrywal sie w jego przerazona twarz.

- Co sie stalo? Co sie stalo? - wolal detektyw.

Chwile potem Rhyme uslyszal w sluchawce meski glos, krzyczacy w panice:

- Mamy ogien na drugim pietrze. Zburzone sciany... Sa ranni... O Boze, co sie z nia stalo? Popatrz,

krw. Alez krwi! Potrzebujemy pomocy. Drugie pietro! Drugie pietro...

Stephen Kall obchodzil wkolo dwudziesty posterunek w West Side.

Budynek stal niedaleko Central Parku i Stephen przelotnie ujrzal cienie drzew. Skrzyzowanie, przy ktorym znajdowal sie posterunek, bylo pilnowane, ale nie wygladalo to groznie. Przed wejsciem stalo trzech rozgladajacych sie nerwowo gliniarzy. Od wschodniej strony, gdzie okna zaslanialy grube stalowe kraty, nie dostrzegl nikogo. Domyslil sie, ze wlasnie tam jest areszt.

Stephen przeszedl za rog i skierowal sie na poludnie, do nastepnego skrzyzowania. Ulica nie byla zamknieta niebieskimi barierkami, ale stalo tu dwoch policjantow. Przygladali sie badawczo wszystkim samochodom i przechodniom. Obrzucil budynek krotkim spojrzeniem, poszedl jeszcze przecznice dalej i okrazil posterunek od zachodu. Przemknal przez opustoszala alejke, wyciagnal z plecaka lornetke i poczal badawczo ogladac gmach.

Bedziesz tu umial uderzyc, zolnierzu?

Tak jest, bede umial.

Na parkingu obok posterunku stal dystrybutor z benzyna. Jakis gliniarz tankowal swoj radiowoz. Stephenowi nigdy nie przyszlo do glowy, ze samochody policyjne nie tankuja na stacjach Amoco czy Shella.

Przez dluzsza chwile patrzyl na dystrybutor przez ciezka lornetke, ktora po chwili wlozyl z powrotem do plecaka, i ruszyl szybkim krokiem na zachod, jak zawsze uwazajac na rozgladajacych sie za nim ludzi.

Rozdział szesnasty

45 godzin - godzina dwunasta

- Sachs! - krzyknął znowu Rhyme.

Niech to szlag, dlaczego nie pomyślała? Jak mogła być tak nieostrożna?

- Co się stało? - spytał ponownie Sellitto. - O co chodzi? Co się z nią stało?

- Bomba w mieszkaniu Horowitz - odrzekł glucho Rhyme. - W czasie wybuchu Sachs była w środku. Połącz się z nimi. Dowiedz się, co z nią. Włącz głośnik.

Alez krwi...

Po trzech minutach, które zdawały się ciągnąć w nieskończoność, Sellittowi udało się połączyć z Dellrayem.

- Fred - zawołał Rhyme. - Co z nią?

Uplynęła chwila dramatycznej ciszy.

- Niedobrze, Lincoln. Właśnie gasimy ogień. To była jakaś mina pulapka. Przeciwpiechotna. Cholera, mogliśmy wcześniej sprawdzić. Kurwa mac.

Miny pulapki często robią z plastyku albo trotylu ze szrapnelem czy kulkami z łożysk - by maksymalnie zwiększyć ich siłę rażenia.

- Zawałilo się kilka ścian - ciagnął Dellray. - Prawie całe mieszkanie się spaliło. Musze ci powiedzieć, Lincoln - zawiesił głos. - Znaleźliśmy... - Zawsze spokojny Dellray był wyraźnie zdenerwowany.

- Co? - wyrzucił z siebie Rhyme.

- Części ciała... Reke. Kawalek ramienia.

Rhyme zamknął oczy z przerażeniem, jakiego nie zaznał od lat. Lodowaty dreszcz przeszedł jego nieczule ciało. Ze świstem wypuścił powietrze.

- Lincoln... - zaczął Sellitto.

- Ciągłe szukamy - ciągnął Dellray. - Być może jeszcze żyje. Znajdziemy ją. Zawieziemy do szpitala. Zrobimy wszystko, przecież wiesz.

Sachs, po co to zrobiłaś, do cholery? Dlaczego ci na to pozwoliłem?

Nie powinienem...

We włożonej do ucha słuchawce usłyszał suchy trzask, jak wybuch petardy.

- Czy ktoś może... Chryste, niech ktoś to ze mnie zdejmie.

- Sachs? - zawołał Rhyme do mikrofonu. Był pewien, że to jej głos. Po chwili usłyszał kaszel, jak gdyby się zakrztusiła.

- Kurcze - powiedziała. - Ale ohyda.

- Nic ci nie jest? - Potem zwrócił się do Dellraya: - Fred, gdzie ona jest?

- To ty, Rhyme? - spytała. - Nic nie słysze. Niech się ktoś do mnie odezwie!

- Lincoln - zawołał Dellray. - Mamy ją. Cała i zdrowa.

- Amelio?

Usłyszał, jak Dellray wzywa ambulans. Choć od kilku lat żaden dreszcz nie wstrząsnął jego ciałem, Rhyme zauważył, że palec serdeczny u lewej dłoni drży jak osika.

Znow odezwał się Dellray:

- Nie za dobrze słyszy, Lincoln. Zdaje się, że te kawałki to trup tej Horowitz. Sachs wyciągnęła zwłoki z lodowki dokładnie w momencie wybuchu i zwłoki ją osłoniły.

- Widzę twoją mine, Lincoln - powiedział Sellitto. - Daj jej spokój.

Lecz on nie miał zamiaru odpuszczać.

- Co ci przyszło do głowy, Sachs? Mówiłem ci, że tam jest bomba. Powinnas sama wiedzieć, że to bomba i zwiewać.

- Rhyme, to ty?

Udawiała, że go nie słyszy. Był niemal pewien.

- Sachs...

- Musiałam zabrać ten kawałek taśmy, Rhyme. Jesteś tam? W ogóle cie nie słysze. To plastikowa taśma do pakowania. Słuchaj, musimy mieć jego odcisk. Sam mi to mówiłeś.

- Jesteś niemożliwa - powiedział ostro.

- Rhyme? Rhyme? Nie słysze ani słowa.

- Sachs, nie wciskaj mi kitu.

- Coś sprawdzę, Rhyme.

Na moment zapadła cisza.

- Sachs... Sachs, jesteś tam? Co u diabła...?

- Słuchaj, Rhyme - właśnie sprawdziłam taśmę pod lampą. Zgadnij, co znalazłam? Częściowy odcisk! Odcisk Trumniarza!

Wiadomość o znalezisku powstrzymała go na chwilę, lecz zaraz podjął przerwana tyradę. Kiedy się już na dobre rozkrecił, zorientował się, że swój akt oskarżenia o bunt wygłasza do głuchego telefonu.

Okryta sadza Sachs wyglądała na ogluszona.

- Tylko bez ochrzanu, Rhyme. To było głupie, fakt, ale w ogóle o tym nie pomyślałam. Po prostu działałam.

- Co się stało? - spytał. Surowa mina zniknęła w jednej chwili; Rhyme cieszył się, że widzi Sachs żywą.

- Byłam w połowie drogi do drzwi. Zobaczyłam za nimi ładunek i już wiedziałam, że nie zdążę uciec. Złapałam zwłoki tej kobiety i wyciągnęłam z lodówki. Chciałam zawlec ją pod okno w kuchni. Ale wybuchło, zanim zdążyłam tam dojść.

Mel Cooper obejrzał torebkę z materiałem, który podała mu Sachs. Zbadal sadze i kawałki bomby.

- M czterdzieści pięć. Trochę z zapalnikiem wstrzasowym i czterdziestopięciosiekundowym opóźnieniem. Wywazając drzwi, agenci przewrocili go; włączył się zapalnik. Znalazłem grafit, więc to trochę o ulepszonym składzie. Bardzo dużej mocy, wyjątkowo niebezpieczny.

- Skurwiel - bluźniał Sellitto. - Zapalnik opóźnieniowy... Chciał mieć pewność, że zabije jak najwięcej ludzi.

- Da się namierzyć? - spytał Rhyme.

- Standardowy ładunek wojskowy. Nie zaprowadzi nas nigdzie indziej tylko...

- Do tego gnoja, który mu to dal - mruknal Sellitto. - Phillipa Hansena. - Zadzwonil telefon detektywa, wiec Sellitto odebral i sluchal, kiwajac glowa.

- Dziekuje - powiedzial, wylaczajac telefon.

- Co? - zapytala Sachs.

Detektyw mial zamkniete oczy.

Rhyme domyslil sie, ze chodzi o Jerry'ego Banksa.

- Lon?

- Jerry - Detektyw otworzyl powieki i westchnal. - Bedzie zyl. Ale stracil reke. Nie mogli jej uratowac. Zbyt zmasakrowana.

- O nie - szepnal Rhyme. - Moge z nim porozmawiac?

- Nie - odrzekl detektyw. - Teraz spi.

Rhyme myslal o mlodym czlowieku, który mowil niewlasciwe rzeczy w nieodpowiednim czasie, przygladzal sterczace wlosy, pocieral slad po zacieciu na rozowym podbrodku.

- Przykro mi, Lon.

Detektyw pokrecil glowa, podobnie jak Rhyme, gdy ktos czestowal go wyrazami wspolczucia.

- Mamy teraz inne klopoty.

Istotnie.

Rhyme dostrzegl kawalek plastikowej tasmy, którym Trumniarz zakneblowal ofiare. Zobaczyl ledwie widoczny odcisk szminki po lepkiej stronie tasmy.

Sachs wpatrywala sie w dowod, lecz nie bylo to spojrzenie „klinikzne” - zawodowe. Byla wyraznie wzburzona.

- Sachs?

- Dlaczego on to zrobil?

- Mowisz o bombie?

Pokrecila glowa.

- Dlaczego wlozyl ja do lodowki? - Uniosla palec do ust i przygryzla paznokiec. Tylko na malym

palcu lewej ręki miała długi i kształtny paznokiec. Pozostałe były paskudnie poobgryzane. Niektóre pokrywała brązowa warstewka zakrzepłej krwi.

- Chyba po to, żeby odwrócić naszą uwagę i żeby nikt nie zauważył bomby - odparł Rhyme. - Ciało w lodowce - to od razu rzuca się w oczy.

- Nie to mam na myśli - powiedziała. - Przyczyna śmierci było zaduszenie. Włożył ją tam, kiedy jeszcze żyła. Dlaczego? Jest jakimś sadystą?

- Nie, Trumniarz nie jest sadystą - rzekł Rhyme. - Nie może sobie na to pozwolić. Przede wszystkim musi wypełnić zadanie i ma tyle siły woli, żeby opanować inne instynkty. Dlaczego skazał ją na zaduszenie, jeśli mógł użyć noża albo sznura? Nie wiem, ale możliwe, że to nam pomoże.

- Jak to?

- Być może nie cierpiał jej z jakiegoś powodu, dlatego chciał jej zadać śmierć w najbardziej okrutny sposób.

- No dobrze, ale dlaczego ma nam to pomóc? - spytał Sellitto.

- Dlatego - odpowiedziała mu Sachs - że jeżeli go zdenerwowała, mógł się stać mniej ostrożny.

- Otoż to - zawołał Rhyme dumny z jej przenikliwości. Sachs nie dostrzegła jednak uśmiechu uznania na jego twarzy. Na chwilę spuściła oczy, prawdopodobnie przypominając sobie widok przerażonych oczu kobiety. Uważa się, że ludzie od kryminalistyki są zimni (co często zarzucała Rhyme'owi żona), lecz w istocie najlepsi z nich odczuwają głęboką empatię w stosunku do ofiar. Sachs nie była wyjątkiem.

- Sachs - szepnął do niej Rhyme. - Odcisk?

Spojrzała na niego.

- Mówiłaś, że znalazłaś odcisk palca. Trzeba działać szybko.

Sachs skinęła głową.

- Częściowy. - Uniosła plastikową torebkę. - Może to jej?

- Nie, zdjęłam jej odciski. Trochę trwało, zanim znalazłam jej rece. Ale odcisk na pewno nie jest jej.

- Mel - rzekł krótko Rhyme.

Technik włożył kawałek taśmy do ramki i podgrzał. Natychmiast wyłonił się mały fragment odcisku palca. Cooper pokręcił głową.

- Nie wierze - wymruczał.

- Co?

- Trumniarz wytarł tasme. Wiedział, że dotykał jej bez rękawiczek. Zostawił tylko kawaleczek odcisku.

Podobnie jak Rhyme, Cooper należał do Międzynarodowego Stowarzyszenia Identyfikacji. Obaj byli ekspertami w identyfikowaniu ludzi na podstawie badań daktyloskopijnych, DNA i stomatologicznych - śladów zębów. Ale wobec tego odcisku - podobnie jak poprzedniego na metalowej osłonie bomby - byli bezsilni. Umieeli znaleźć i zidentyfikować najbardziej ukryty ślad. Tego nie.

- Zrób zdjęcie i powies na tablicy - mruknął Rhyme. Zgodnie z wymogami profesjonalizmu należało tak postąpić. Zawód był jednak ogromny. Sachs o mało nie przypłaciła życiem tego śladu - na próżno.

Edmond Locard, słynny francuski ekspert kryminalistyczny, sformułował zasadę nazwaną później jego imieniem. Stwierdził, że przy każdym kontakcie zbrodniarza i ofiary następuje wymiana dowodów. Choćby w mikroskopijnej skali, lecz zawsze ma miejsce przepływ. Rhyme odnosił jednak wrażenie, że jeśli ktokolwiek był w stanie obalić zasadę Locarda, duch zwany przez nich Tancerzem Trumniarzem mógł sprostać temu zadaniu najlepiej.

Sellitto, widząc jego zmartwioną minę, rzekł:

- Urządziliśmy zasadzkę w dwudziestym. Przy odrobinie szczęścia będziemy go mieli.

- Miejmy nadzieję. Należy nam się trochę szczęścia.

Zamknął oczy, opierając głowę na poduszce. Po chwili usłyszał głos Thoma:

- Dochodzi jedenasta. Czas się położyć.

Czasami łatwo ignorować potrzeby ciała, nawet o nim zapominać - tak jak teraz, gdy stawka jest ludzkie życie, trzeba uwolnić się z fizycznych ograniczeń i pracować, pracować bez ustanku. Trzeba pokonać wszystkie bariery normalnego funkcjonowania organizmu. Ciało Lincolna Rhyme'a nie tolerowało jednak lekkomyślnego traktowania. Odleżyny mogły prowadzić do posocznicy i zatrucia krwi. Obecność płynu w płucach - do zapalenia płuc. Nikt nie cewnikował pęcherza? Nie masował jelit, by pobudzić je do ruchu? Za ciasno zawiązał buty? Konsekwencją mogła być dysrefleksja i udar. Już zwykłe wyczerpanie mogło spowodować atak.

Śmierć ma wiele twarzy...

- Idziesz spać - oświadczył Thom.

- Muszę jeszcze...

- Spać. Musisz spać.

Rhyme uległ. Był już bardzo zmęczony.

- No dobrze, Thom. - Podjechał do windy. - Jeszcze tylko jedno. - Odwrócił się. - Sachs, możesz do mnie przyjść za parę minut?

Skinęła głową, patrząc, jak zamykają się drzwi małej windy.

Zastąpiła go już leżący w „Clinitronie”.

Sachs odczekała dziesięć minut, by dać mu czas na wszystkie rutynowe czynności - Thom założył szefowi cewnik i wyczyścił zęby. Jak większość inwalidów Rhyme był pozbawiony fałszywego wstydu, lecz Sachs wiedziała, że nie chciał, by oglądała go przy niektórych czynnościach.

W tym czasie wzięła prysznic w łazience na dole, przebrała się w czyste ubranie, które Thom przypadkiem miał w pralni w suterenie.

Światła były przygaszone. Rhyme pocierał głowę o poduszkę jak niedźwiedź szorujący grzbietem o pień drzewa. „Clinitron” było to najwygodniejsze łóżko na świecie. Ważyło pół tony i składało się z masywnej płyty z umieszczonymi wewnątrz szklanymi kuleczkami, między którymi przepływało ogrzane powietrze.

- Sachs, dzisiaj byś była świetna. Przechytrzyłaś go.

Tyle że przeze mnie Jerry Banks stracił rękę.

I pozwoliłam Trumniarzowi uciec.

Podeszła do barku, gdzie nalala sobie macallana, unosząc pytająco brew.

- Śmiało - rzekł. - Cudowny nektar zapomnienia...

Zrzuciła mundurowe buty i podciągnęła bluzę, by obejrzeć siniec.

Rhyme syknął na ten widok.

Siniec miał kształt Missouri i barwę dojrzałego bakłazana.

- Nie lubię bomb - powiedziała. - Nigdy nie byłam tak blisko wybuchu.

Z torebki wyjęła trzy pastylki aspiryny, które połknęła, niczym ich nie popijając (to sztuczka, której artretycy uczą się dość szybko). Podeszła do okna. Na parapecie siedziały sokoly wędrownie. Piękne ptaki. Nie były duże. Czternastcie, może szesnastcie cali. Mniejsze od psa. Ale jak na ptaki... wyglądały wyjątkowo groźnie. Ich dzioby miały kształt pazurów dzikich stworów z filmów fantastycznych.

- Dobrze się czujesz, Sachs? Powiedz prawdę.

- Nic mi nie jest.

Wrocila na krzeslo, pociagajac kolejny lyk alkoholu, ktory mial ciezki smak dymu.

- Chcesz zostac na noc? - zapytal.

Od czasu do czasu nocowala u niego. Spala na kanapie albo w lozku obok niego. Nie wiedziala, czy ze wzgledu na cieple powietrze „Clinitronu”, czy dlatego ze lezala obok czlowieka - ale zawsze najlepiej spala tutaj. Od rozstania ze swoim ostatnim chlopakiem, Nickiem, nie miala zadnych blizszych kontaktow z mezczyzna. Tu mogla lezec z Rhyme'em w szerokim lozku i rozmawiac. Opowiadala mu o samochodach, zawodach strzeleckich, o matce i chrzesnicy. O ojcu zyjacym kiedys pelnia zycia, jego dlugim i smutnym umieraniu. Zdradzala mu znacznie wiecej osobistych spraw niz on jej. Wcale jej to jednak nie przeszkadzalo. Lubila go sluchac. Jego zywy umysl nie przestawal jej zdumiewac. Mowil o dawnym Nowym Jorku, o sprawkach mafii, o ktorych nikt sie nigdy nie dowiedzial, o miejscach zbrodni, ktore wygladaly beznadziejnie, dopoki nie znaleziono drobinki kurzu, skrawka paznokcia, kropelki sliny czy wloska, na podstawie ktorych mozna bylo ustalic tozsamosc albo miejsce pochodzenia sprawcy - ustalac mogl to oczywiscie Rhyme, lecz niewielu poza nim. Jego umysl byl niestrudzony. Wiedziala, ze przed wypadkiem wloczyl sie ulicami Nowego Jorku, szukajac probek ziemi, szkla, roslin i kamieni - wszystkiego, co moglo mu pomoc w rozwiazywaniu spraw. Sachs miala wrazenie, ze potrzeba nieustannego ruchu przeniosla sie z jego bezuzytecznych nog do umyslu, ktory teraz wedrowal po ulicach miasta do poznej nocy.

Dzis jednak bylo inaczej. Jego mysli zdawaly sie bladzic gdzies daleko. Nie miala mu za zle zacetego uporu - zawsze byl taki. Ale nie podobalo sie jej, ze myslami jest gdzie indziej. Usiadla na skraju lozka.

- Sachs... Lon mi powiedzial - zaczal. Zapewne poprosil ja do siebie wlasnie w tej sprawie. - O tym, co sie stalo na lotnisku.

Wzruszyła ramionami.

- Nie moglas nic wiecej zrobic. Narazilabys sie na pewna smierc. To dobrze, ze sie ukrylas. Strzelil bardzo blisko i nastepny pocisk juz by nie chybil.

- Mialam dwie, trzy sekundy. Moglam go trafic. Wiem, ze zmarnowalam szanse.

- Jestes lekkomyslna, Sachs. Ta bomba...

Zamilkl na widok blysku w jej oczach.

- Chce go dopasc, cena nie gra roli. Mam przecucie, ze chcesz tego samego. Tez bys zaryzykowal. - Po czym dodala zagadkowo: - Byc moze juz ryzykujesz.

Podzialalo lepiej, niz sie spodziewala. Zamrugal oczami, odwracajac wzrok. Nic jednak nie odpowiedzial, pociagajac szkocka przez slomke.

Pod wpływem impulsu rzekla:

- Moge o cos zapytac? Jezeli nie, powiedz, zebym sie zamknela.

- Daj spokoj, Sachs. Mamy przed soba jakies tajemnice? Nie sadze.

Ze wzrokiem wbitym w podloge powiedziala:

- Pamietam, jak kiedys mowilam ci o Nicku. Co do niego czulam i tak dalej. Jak mi bylo ciezko po tym, co sie miedzy nami stalo.

Skinal glowa.

- Pytalam cie tez, czy czules do kogos cos podobnego, moze do zony. Powiedziales, ze tak, ale to nie byla Blaine. - Uniosla oczy.

Przelknal to, choc nie od razu. Zorientowala sie, ze trafila w czuly punkt.

- Pamietam - odrzekl.

- Kto to byl? Sluchaj, jezeli nie chcesz o tym mowic...

- W porzadku. Miala na imie Claire. Claire Tripper. Jak ci sie podoba nazwisko?

- Pewnie musiala znosic podobne meki w szkole jak ja. Amelia Sachs-ofon, Amelia Seks... Jak ja poznales?

- No... - Zasmial sie z wlasnej niecheci, by mowic dalej. - W wydziale.

- Byla glina? - zdziwila sie Sachs.

- Tak.

- Co sie stalo?

- To byl... trudny zwiazek. - Rhyme ze smutkiem pokrecil glowa. - Mialem zone, ona meza. Nic by z tego nie wyszlo.

- Dzieci?

- Miala corke.

- I zerwaliscie?

- I tak by sie nie udalo, Sachs. Och, z Blaine i tak musielismy sie rozwiesc - inaczej bysmy sie pozabijali. To byla tylko kwestia czasu. Ale Claire... martwila sie o corke - o meza, czy da sobie z nia rade, kiedy sie rozwioda. Nie kochala go, lecz to byl dobry czlowiek. Bardzo kochal dziewczynke.

- Poznales ja?

- Jej córke? Tak.
- Widujesz ja czasem? Claire?
- Nie. Było minelo. Juz jej nie ma w policji.
- Zerwales z nia po wypadku?
- Nie, nie, przed.
- Ale wie, co sie z toba stalo?
- Nie - odrzekl Rhyme po chwilowym wahaniu.
- Dlaczego jej nie powiedziales?

Milczenie.

- Mialem powody... To zabawne, ze o niej wspomnialas. Od dawna w ogole o niej nie myslalem.

Poslal jej przelotny usmiech i Sachs poczula, jak jej ciało przeszywa ból - fizyczny ból, podobny do tego, który odcisnal na jej ciele siny ślad w kształcie Missouri. Bo Rhyme klamał. Przecież myślał o tej kobiecie. Sachs nie wierzyła w kobieca intuicje, ale wierzyła w intuicje gliniarza; za dużo przeszła, by lekcewazyc takie przecucia. Wiedziala, ze Rhyme myslal o pani Tripper.

A jej uczucia? Śmiechu warte. Miała za mało cierpliwosci, by odczuwac zazdrosc. Nie była zazdrosna o prace Nicka - który był tajniakiem i całe tygodnie wloczył sie po ulicach. Nie była zazdrosna o dziwki i blond pieknosci, z którymi przesiadywal w knajpach podczas zadania.

Na co wiecej mogła liczyć z Rhyme'em, pomijając zazdrosc? Często rozmawiala o nim z jego matka. Powsciagliwa starsza pani zwykle mawiala cos w rodzaju: „Dobrze, ze jest pani mila dla takiego kaleki”.

I tylko tyle mozna bylo powiedziec o związku, jaki ich laczył. Jaki mogli ich laczyć.

Mniej niz śmiechu warte.

Była jednak zazdrosna. Wcale nie o Claire.

O Percey Clay.

Sachs nie potrafil zapomniec, jak wygladali oboje, kiedy ujrzala ich dzisiaj siedzacych obok siebie w jego pokoju.

Jeszcze troche szkockiej. Myslala o nocach, ktore spedzila z Rhyme'em w tym pokoju, rozmawiajac z nim o pracy, pijac te doskonala whisky.

No, pięknie. Zaczynam się rozklejać. Tego uczucia jestem dla odmiany jak najbardziej pewna. Precz z ckliwością.

Lecz zamiast się otrząsnąć, podlala swój rzewny nastrój alkoholem.

Percey nie była atrakcyjna kobieta, ale to nie miało znaczenia; Sachs po tygodniu spędzonym w Chantelle, agencji modelek na Madison Avenue, w której pracowała przez kilka lat, rozumiała złudę urody. Mężczyźni uwielbiają patrzeć na piękne kobiety, ale nic ich nie odstrasza bardziej niż uroda.

- Masz ochotę na jeszcze jednego? - spytała.

- Nie.

Bezwiednie pochyliła się i złożyła głowę na poduszce. Zabawne, jak szybko przyzwyczajamy się do pewnych rzeczy, pomyślała. Naturalnie Rhyme nie mógł jej objąć i przyciągnąć do siebie. Zamiast tego przechylał w jej stronę głowę. Tak zasypiali już wiele razy.

Dzisiaj wyczuła u niego sztywność i rezerwę.

Miała wrażenie, że go traci. I mogła jedynie próbować się do niego zbliżyć.

Sachs zwierzyła się kiedyś ze swoich uczuć do Rhyme'a przyjaciółce, Amy - matce jej chrzesnicy. Kobieta zastanawiała się nad atrakcyjnością Lincolna. „Może chodzi o to, że on nie może się poruszać. Jest mężczyzną, ale nie ma nad tobą żadnej władzy. Być może to cie kreci” - rozmyślała głośno.

Sachs wiedziała jednak, że jest akurat odwrotnie. Przyciągał ją do niego fakt, że był mężczyzną, który miał nad nią absolutną władzę, mimo że nie mógł się poruszać.

Słyszała strzępy słów, kiedy mówił o Claire, a potem o Trummiarzu. Odchyliła głowę, by spojrzeć na jego wąskie usta.

Jej dłonie wyruszyły na wędrowkę.

Rhyme oczywiście nie był w stanie nic poczuć, lecz widział, jak jej smukłe palce zakończone obgryzionymi paznokciami suną po jego piersi, zmierzając niżej. Thom co dzień aplikował mu porcje ćwiczeń ruchowych i choć Rhyme nie był masywny, miał ciało młodego człowieka. Jak gdyby proces starzenia ustał w dniu wypadku.

- Sachs?

Jej dłoń przesunęła się jeszcze niżej.

Zaczęła oddychać szybciej. Odchyliła kocyk. Thom ubrał go na noc w koszulkę. Podciągnęła ją i położyła ręce na jego piersi. Potem schyliła własną koszulkę, rozpięła stanik i przycisnęła zaróżowione ciało do jego białej skóry. Przypuszczała, że ciało Rhyme'a będzie zimne, ale nie. Było bardziej gorące niż jej. Przytuliła się mocniej.

Pocalowala go: najpierw w policzek, pozniej w kacic ust, wreszcie prosto w usta.

- Sachs, nie... Slyszysz mnie? Nie.

Nie sluchala.

Nie mowila o tym Rhyme'owi, ale kilka miesiecy temu kupila sobie ksiazke pod tytulem „Niesprawny kochanek”. Ze zdumieniem dowiedziala sie z niej, ze sparalizowani mezczyzni moga sie normalnie kochac i miec dzieci. Zadziwiajacy meski organ ma doslownie niezalezny umysl, a uszkodzenie rdzenia kregowego eliminuje tylko jeden rodzaj bodzcow. Niepelnosprawni mezczyzni byli zdolni do normalnych erekcji. Wprawdzie Rhyme nie mial czucia, lecz - w kazdym razie dla niej - dreszcz fizycznej rozkoszy byl tylko czescia calego aktu, czesto nawet mniej wazna. Liczyla sie bliskosc; dzieki niej osiagalo sie szczyty, z ktorymi nie mogly sie rownac miliony udawanych, kinowych orgazmow. Podejrzewala, ze odczucia Rhyme'a sa podobne.

Pocalowala go jeszcze raz. Mocniej.

Po chwilowym wahaniu oddal pocalunek. Nie zdziwila sie, ze jest w tym dobry. W jego twarzy najpierw zauwazalo sie wyraziste ciemne oczy, a zaraz potem piekne usta.

Nagle Rhyme odsunal glowe.

- Nie, Sachs, prosze...

- Cii... nic nie mow. - Jej dlon zanurkowala pod kocami i zaczela piescic i dotykac.

- Chodzi o to...

O co? Ze moze sie nie udac? - zastanawiala sie.

Lecz wszystko szlo doskonale. Czula, jak rosnie w jej rece, bardziej wzrażliwy na dotyk niz u niektorych z najwiekszych macho, z jakimi zdarzylo sie jej w zyciu kochac.

Jednym ruchem znalazla sie na nim, skopujac reszte przescieradel i kocow; pochytila sie i znow go pocalowala. Och, jak bardzo pragnela byc z nim tak blisko. Przekonac go, ze widzi w nim doskonalego mezczyzne. By zrozumial, ze niczego mu nie brakuje.

Rozpiela wlosy, pozwalajac im swobodnie opasc.

Ich usta przywarly do siebie na pelna minute.

Nagle Lincoln potrzasnal gwaltownie glowa i w pierwszej chwili pomyslala, ze dostal ataku.

- Nie! - wyszeptal.

Spodziewala sie figlarnego, namietnego, w najgorszym razie kokieteryjnego „Och, coz za pomysly”... Tymczasem jego „nie” zabrzmialo bardzo cicho, jak gdyby nagle opadl z sil. Na gluchy

dzwiek jego glosu zabolala ja dusza. Zsunela sie z niego, przyciskajac do piersi poduszke.

- Nie, Amelio. Przykro mi. Nie.

Twarz palila ja ze wstydu. Ile to razy umawiala sie gdzies z mezczyzna, ktory byl jej przyjacielem, kolega albo przypadkowym znajomym, a potem nagle dretwiala z przerazenia, gdy nagle dobieral sie do niej zachlannie jak nastolatek. Wtedy w jej glosie brzmiala ta sama konsternacja, ktora teraz uslyszala u Rhyme'a.

W koncu zrozumiala.

Nie byla dla niego nikim wiecej niz tylko partnerem. Kolezanka z pracy. Przyjaciolka przez duze P.

- Przepraszam, Sachs... nie moge. Sa pewne komplikacje.

Komplikacje? Nie dostrzegala zadnych, naturalnie poza faktem, ze jej nie kochal.

- Nie, to ja przepraszam - powiedziala szorstko. - Glupio wyszlo. Troche za duzo szkockiej. Nigdy nie umialam pic, dobrze o tym wiesz.

- Sachs.

Ubierajac sie, przykleila do ust sztuczny usmiech.

- Sachs, pozwol mi cos powiedziec.

- Nie. - Nie chciala uslyszec ani slowa wiecej.

- Sachs...

- Powinnam isc. Wroce wczesnie rano.

- Chce cos powiedziec.

Lecz Rhyme nie mial okazji nic juz wiecej powiedziec, wytlumaczyc sie ani przeprosic, ani wyznac. Ani wyglosic wykladu.

Nagle rozleglo sie glosne pukanie do drzwi. Zanim Rhyme zdazyl zapytac, kto to, do pokoju wpadl Lon Sellitto.

Obrzucil przelotnym spojrzeniem Sachs, potem popatrzył na Rhyme'a i oznajmil:

- Wlasnie rozmawialem z chlopakami Bo spod dwudziestego. Trumniarz tam byl i weszyl dookola. Sukinsyn chwycil przynete! Bedziemy go mieli, Lincoln! Tym razem bedziemy go mieli.

- Kilka godzin temu - opowiadal dalej detektyw - paru chlopakow z rozpoznania zauwazylo

bialego mezczyzne spacerujacego wokol dwudziestego posterunku. Wsliznal sie w alejke i wygladalo, jakby sprawdzal ochrone. Pozniej widzieli go, jak sie gapil na dystrybutor obok komisariatu.

- Dystrybutor? Do tankowania radiowozow?
- Zgadza sie.
- Sledzili go potem?
- Probowali. Ale zniknal, zanim zdazyli sie zblizyc.

Rhyme domyslal sie, ze Sachs dyskretnie zapina gorny guzik bluzki... Musial z nia porozmawiac o tym, co tu przed chwila zaszlo. Musiala go zrozumiec. Ale wobec nowin, z jakimi przyszedl Sellitto, ta rozmowa bedzie musiala zaczekac.

- Mamy cos lepszego. Pol godziny temu dostalismy meldunek o kradziezy ciezarowki. Z Rollins Distributing. West Side, niedaleko rzeki. Firma dostarcza benzynie malym stacjom. Gosc przecial siatke ogrodzenia. Straznik uslyszal to i poszedl sprawdzic. Zostal zaatakowany od tylu i pobity niemal do nieprzytomnosci. A facet ulotnil sie razem z ciezarowka.

- Wydzial kupuje paliwo od tego Rollinsa?
- Nie, ale kto o tym moze wiedziec? Jesli Trumniarz podjedzie pod posterunek cysterna, straznicy przepuszcza go, nic nie podejrzewajac, a potem...
- Cysterna wyleci w powietrze - wtracila Sachs.

Sellitto zamilkl raptownie.

- Sadzilem, ze chce wykorzystac woz tylko po to, zeby dostac sie do srodka - powiedzial po chwili. - Waszym zdaniem to bomba?

Rhyme powaznie pokiwal glowa. Zly na siebie. Sachs miala racje.

- Wpadlismy we wlasne sidla. Nie przyszlo mi do glowy, ze moglby cos takiego zrobic. Chryste, cysterna wybucha w dzielnicy...

- Bomba z nawozow sztucznych?
- Nie - rzekl Rhyme. - Chyba nie mial czasu na zlozenie tego do kupy. Ale wystarczy maly ladunek na boku cysterny i powstanie superbomba ze wspomaganie benzynowym. Zmiecie posterunek z powierzchni ziemi. Trzeba wszystkich ewakuowac. Ale po cichu.
- Po cichu - mruknal Sellitto. - To nie bedzie trudne.
- A co ze straznikiem od Rollinsa? Moze mowic?

- Moze, ale dostal od tylu. Nic nie widzial.

- Chce przynajmniej jego ubranie. Sachs - spojrzala na niego - moglabys przywiezc jego rzeczy ze szpitala? Bedziesz wiedziala, jak je zapakowac, zeby nie zniszczyc sladow. A potem sprawdz miejsce, gdzie ukradl ciezarowke.

Zastanawial sie, jak dziewczyna zareaguje. Nie zdziwilby sie, gdyby wyszla bez slowa. Ale w jej nieruchomej, pieknej twarzy zobaczyl, ze czuje to samo co on: paradoksalna ulge, ze ich wieczor, nieuchronnie zmierzajacy do katastrofy, swoja interwencja uratowal Trumniarz.

Powoli, powoli zaczynalo im dopisywac szczescie, wyczekiwane przez Rhyme'a.

Godzine pozniej wrocila Amelia Sachs. Trzymala plastikowa torebke, w ktorej spoczywaly nozyce do drutu.

- Znalazlam je przy samym ogrodzeniu. Straznik musial zaskoczyc Trumniarza i ten je upuscil.

- Aha! - krzyknal Rhyme. - Nigdy nie sadzilem, ze popelni taki blad. Moze rzeczywiscie przestaje uwazac... Ciekawe, czego sie tak boi?

Rhyme rzucil okiem na nozyce. Prosze, modlil sie w duchu, niech tu bedzie odcisk.

Nieprzytomny Mel Cooper - ktory wczesniej spal w sypialni na gorze - zbadal kazdy milimetr kwadratowy narzedzia. Nie znalazl ani sladu odcisku.

- Mozesz cos powiedziec o samych nozycach? - odezwal sie Rhyme.

- Model Craftsman, jeden z najlepszych, sprzedawany w kazdym sklepie Searsa w calym kraju. Za kilka dolcow mozna je kupic na gielkach albo zlomowiskach.

Rhyme syknal zawiedziony. Przez chwile wpatrywal sie w nozyce, po czym spytal:

- Slady narzedzia?

Cooper spojrzal na niego zdziwiony. Slady po narzedziach to charakterystyczne znaki, pozostawiane na miejscu zbrodni przez uzywane przez sprawcow srubokrety, szczypce, wytrychy, lomy i tak dalej. Kiedys Rhyme'owi udalo sie ustalic osobe wlamywacza tylko na podstawie drobnego naciecia w ksztalcie litery V na mosieznym zamku. Naciecie pasowalo do skrzywionego dluta, ktore znaleziono u tego czlowieka. Teraz mieli narzedzie, ale nie mieli pozostawionych przez nie sladow. Cooper nie rozumial, co Rhyme ma na mysli.

- Mowie o sladach na ostrzu - powiedzial zniecierpliwiony Rhyme. - Moze Trumniarz przecial cos charakterystycznego, cos, co pomoze nam ustalic jego kryjowke.

- Aha. - Cooper obejrzel dokladnie ostrze nozyc. - Jest jakies drasniecie, ale sam zobacz... Widzisz cos szczegolnego?

Rhyme nic nie zauwazyl.

- Zbierz wszystko z ostrza i uchwytu, zobacz, czy nie ma jakichs resztek.

Cooper umiescil drobiny w chromatografie.

- No, no - wymruczal, czytając wyniki. - Posluchaj. Resztki RDX, asfaltu i sztucznego jedwabiu.

- Przewod detonatora - powiedzial Rhyme.

- Przecial go nozycami? - spytala Sachs. - Mozna to zrobic?

- Nie jest mocniejszy niz sznur od bielizny - rzekl z roztargnieniem Rhyme, wyobrazajac sobie, czego moze dokonac wybuch tysiacy galonow benzyny w okolicach dwudziestego posterunku.

Powinienem zmusic ich do wyjazdu, pomyslal. Percey i Brita Hale'a. Zastosowac areszt prewencyjny i wyslac do Montany, gdzie by siedzieli do posiedzenia sadu przysieglych. Pomysl z zasadzka to czyste wariactwo.

- Lincoln? - odezwal sie Sellitto. - Musimy znalezc te cysterne.

- Malo czasu - powiedzial Rhyme. - Bedzie probowal dostac sie do srodka najwczesniej nad ranem. Najpierw musi wymyslic historyjke z dostawa paliwa. Cos jeszcze, Mel? Mikroslady?

Cooper sprawdzil filtr prozniowy.

- Ziemia, kawaleczki cegly. Czeka... jakies wlokna. Pod chromatograf?

- Tak.

Technik zgarbil sie nad ekranem.

- Wlokno roslinne. Sklad podobny do skladu papieru. Jest jeszcze jakis zwiazek... NH₄OH.

- Wodorotlenek amonowy - rzekl Rhyme.

- Amonowy? - spytal Sellitto. - Moze sie pomyliles co do skladu bomby?

- Jakis olej? - zapytal Rhyme.

- Brak sladow.

- Wlokno z amoniakiem z uchwytu nozyc?

- Nie, z ubrania pobitego straznika.

Rhyme zamyslil sie. Poprosil Coopera, by umiescil wlokno pod mikroskopem skaningowym.

- Duze powiekszenie. W jaki sposob ta substancja przyczepila sie do wlokna?

Ekran rozjasnil sie. Wlokno wygladalo na nim jak pien drzewa.

- Chyba wtopila sie pod wplywem ciepla.

Kolejna zagadka. Papier i wodorotlenek amonowy...

Rhyme spojrzal na zegar. Za dwadziescia trzecia.

Nagle zorientowal sie, ze Sellitto o cos go pyta. Odwrocil glowe.

- Pytam - powtorzyl detektyw - czy mamy rozpoczac ewakuacje z okolicy posterunku? Chyba lepiej teraz, niz gdybysmy mieli czekac do ostatniej chwili przed atakiem.

Przez dluzsza chwile Rhyme wpatrywal sie w niebieskawy pien drzewa na ekranie mikroskopu.

- Tak - odparl. - Musimy wszystkich stamtad usunac. Ewakuowac budynki wokol posterunku. Zastanowmy sie - cztery domy po kazdej stronie komisariatu.

- Az tyle? - Sellitto usilowal sie rozesmiac. - Myslisz, ze naprawde trzeba ich wszystkich ewakuowac?

Rhyme popatrzył na detektywa i rzekl:

- Nie, zmienilem zdanie. Tylko domy do najblizszych przecznic. Natychmiast. I sprowadz tu Haumanna i Dellraya. Nie obchodzi mnie, gdzie teraz sa. Chce, zeby sie tu zaraz zjawili.

Rozdział siedemnasty

45 godzin - godzina dwudziesta druga

Niektórzy zdążyli się przespac.

Sellitto drzemal w fotelu. Wstał z niego bardziej pomięty niż zwykle, z rozczochranymi włosami. Cooper spał na dole.

Sachs spędziła noc na kanapie na dole albo w drugiej sypialni na gorze. „Clinitron” już jej nie interesował.

Kochany Thom krztał się z zaczerwienionymi oczyma, mierząc Rhyme'owi ciśnienie. Dom wypełniał aromat kawy.

Niedawno wzeszło słońce. Rhyme przyglądał się tablicom z listami dowodów. Wszyscy byli na nogach do czwartej, opracowując strategię schwytania Trumniarza i odpowiadając na liczne skargi od ewakuowanych mieszkańców.

Czy wszystko się uda? Czy Trumniarz wpadnie w pułapkę? Rhyme wierzył, że tak. Lecz nasuwało się jeszcze jedno pytanie, o którym Rhyme wolął nie myśleć, ale którego nie mógł uniknąć. Jakie będą skutki urzędzonej zasadzki? Trumniarz był i tak wystarczająco niebezpieczny. Jak daleko się posunie, gdy zostanie osaczony?

Thom nalal kawę, po czym wszyscy usiedli nad mapą przyniesioną przez Dellraya. Rhyme, już w wozku, podjechał do stołu i przyjrzał się planowi.

- Wszyscy na miejscach? - spytał Sellitta i Dellraya.

Ludzie Haumanna z 32-E i jednostka specjalna FBI z południowych i wschodnich dzielnic byli gotowi. Zajmowali pozycje pod osłoną nocy, idąc kanałami, piwnicami i dachami domów w pełnym kamuflażu; Rhyme był przekonany, że Trumniarz obserwuje swój cel.

- Dzisiaj na pewno nie będzie spał - powiedział Rhyme.

- Jesteś pewien, Linc? - pytał Sellitto.

Pewien? - pomyślał rozdrażniony. Kto może być cokolwiek pewien w przypadku Trumniarza?

Jego najniebezpieczniejsza broń jest podstęp...

- Pewien na dziewięćdziesiąt dwa koma siedem procent - odrzekł drwiaco Rhyme.

Sellitto parsknął zgryźliwym śmiechem.

Rozległ się dzwonek u drzwi. Chwilę później w drzwiach salonu zjawił się kłopotliwy człowiek w średnim wieku, którego Rhyme nie znał.

Westchnienie Dellraya mogło sugerować, że zanoszą się na większe kłopoty. Sellitto chyba też znał przybyłego i powściągliwie skinął głową.

Mężczyzna przedstawił się jako Reginald Eliopolos, zastępca prokuratora okręgowego. Rhyme przypomniał sobie, że to on prowadził sprawę Phillipa Hansena.

- Pan Lincoln Rhyme? Słyszałem o panu wiele dobrego. Mhm. - Kłopotliwy człowiek ruszył ku niemu, odruchowo wyciągając na powitanie rękę. Zaraz się jednak zorientował, że to bezcelowy gest, więc nie opuszczając ramienia, podał dłoń Dellrayowi, który uściśnął ją niechętnie.

- Fred, miło cię widzieć. - Choć zostało to powiedziane wesoło, oznaczało coś wręcz przeciwnego. Rhyme zastanawiał się, dlaczego traktują się nawzajem z chłodnym dystansem.

Prokurator nie zwrócił uwagi na Sellitta i Mela Coopera. Thom instynktownie wyczuł co i jak; nie zaproponował gościowi kawy.

- Mhm, mhm. Słyszałem, że prowadzicie jakąś poważną operację. Nie konsultujecie się za bardzo z górami, ale, do diabła, rozumiem, że niekiedy trzeba improwizować. Czasem nie warto czekać, żeby ktoś podpisywał dokument w trzech egzemplarzach. - Eliopolos podszedł do mikroskopu i zajrzał w okular. - Mhm, mhm - wymruczał, choć to, co zobaczył, nadal stanowiło dla Rhyme'a zagadkę.

- Może... - zaczął Rhyme.

- Do rzeczy? - Eliopolos obrócił się na pięcie. - Proszę bardzo. Pod budynkiem federalnym w centrum stoi opancerzona furgonetka. Chcemy, żeby w ciągu godziny znaleźli się w niej świadkowie w sprawie Hansena. Percy Clay i Brit Hale. Zostaną zawiezieni do Shoreham na Long Island, obiektu strzeżonego przez FBI. Tam zaczekają na przesłuchanie przed sądem przysięgłych w poniedziałek. Kropka. Co wy na to?

- Sądzi pan, że to dobry pomysł?

- Mhm. Tak właśnie uważamy. Lepsi niż żeby byli przynęta w jakichś osobistych porachunkach departamentu nowojorskiego.

Sellitto westchnal.

- Otworz oczy, Reggie - powiedzial Dellray. - Pomysl: wcale nie jest tak, ze nie masz na nic wplywu. Czy ktos tu prowadzi jakas operacje? Oddzial specjalny?

- Jeszcze jedno - dodal z roztargnieniem Eliopolos. Cala uwage skupil na Rhymie. - Naprawde sady pan, ze nikt w miescie nie pamietaja, ze ten sam facet zabil pana technikow piec lat temu?

Coz, hm, Rhyme mial nadzieje, ze nikt nie pamietaja. Poniewaz okazalo sie jednak, ze o tym nie zapomniano, zdaje sie, ze razem z calym zespolem pakowali sie w niezle tarapaty.

- Ale, ale - rzekl wesolo prokurator. - Nie chce wojny o wplywy. Myslicie, ze chce? Po co? Chce Phillipa Hansena. Dlaczego wszyscy chca glowy Hansena? Bo to on jest gruba ryba.

W istocie Rhyme niemal zapomnial o Phillipie Hansenie, wiec dopiero teraz zaczynal rozumiec, o co chodzi Eliopolosowi. I bardzo sie zaniepokoil.

Rhyme okrazil na wozku Eliopolosa jak kojota.

- Ma pan tam dobrych agentow, prawda? - spytal z niewinna mina. - Do ochrony swiadkow.

- W Shoreham? - rzekl niepewnie prokurator. - Oczywiscie. Mhm.

- Poinstruowal ich pan o wymogach bezpieczenstwa? O tym, jak grozny moze byc Trumniarz? - Dalej gral niewiniatko.

Chwila milczenia.

- Poinstruowalem.

- I jakie dostali rozkazy?

- Rozkazy? - udal zdziwienie Eliopolos. Nie byl glupi. Zorientowal sie, ze go przylapano.

Rhyme rozesmial sie. Zerknal na Sellitta i Dellraya.

- Rozumiecie, nasz przyjaciel prokurator ma nadzieje, ze dzieki trzem swiadkom bedzie mial w reku Hansena.

- Trzem?

- Percey, Hale... i sam Trumniarz - wyliczyl z szyderstwem w glosie Rhyme. - Chce go zlapac, zeby miec jeszcze jeden dowod. - Spojrzal na Eliopolosa. - Czyli pan takze chce wykorzystac Percey jako przynete.

- Tyle ze chce ja wsadzic w srodek pulapki. - Dellray zachichotal. - Chwytam, chwytam.

- Dobrze pan wie - ciagnal Rhyme - ze sprawa przeciw Hansenowi nie wyglada najlepiej, bez wzgledu na to, co widzieli Percey i Hale.

Pan Mhm postanowil sprobować szczerosci.

- Widzieli, jak pozbywal sie jakichs cholernych dowodow. Cholera, moze nawet nie widzieli. Jezeli znajdziemy te worki i uda sie ustalac zwiazek Hansena ze smiercia dwoch zolnierzy poprzedniej wiosny, swietnie, bedzie sprawa. Byc moze. Ale, po pierwsze - mozliwe, ze wcale nie znajdziemy workow, i po drugie, dowody mogly ulec zniszczeniu.

Wtedy, po trzecie, wezwijcie mnie, pomyslal Rhyme. Umiem znalezc material dowodowy chocby w nocnym wietrzyku.

- Jezeli jednak bedziesz mial zywego czlowieka wynajetego przez Hansena - wtracil Sellitto - mozliwe, ze facet wsypie szefa.

- Otoz to. - Eliopolos skrzyzowal rece na piersi w gescie, ktorego z pewnoscia uzywal w sadzie, wyglaszajac ostatnie zdanie oskarzenia.

Sachs przysluchiwala sie rozmowie, stojac w drzwiach. Zadala pytanie, ktore Rhyme mial na koncu jezyka.

- Na jakie okolicznosci lagodzace moze w zamian liczyc Trumniarz?

- Kim pani jest? - spytal Eliopolos.

- Sierzant Sachs, wydzial wsparcia dochodzeniowego.

- To chyba nie jest kwestia, ktora moglaby interesowac technika od zabezpieczania miejsc zbrodni.

- Wobec tego interesuje mnie - warknal Sellitto. - A jezeli nie uzyskam odpowiedzi, to pytanie zada burmistrz.

Rhyme przypuszczal, ze Eliopolosa czeka kariera polityka. Prawdopodobnie calkiem niezla. Prokurator powiedzial:

- Wazne, zeby udalo sie oskarzyc Hansena. Z dwojga zlego jest znacznie grozniejszy. Zdolny do czynienia wiekszego zla.

- No dobrze - rzekl Dellray, marszczac czolo. - Ale to nie jest odpowiedz. Co dasz Trumniarzowi, jesli zgodzi sie podkablrowac Hansena?

- Nie wiem - odparl wykretnie prokurator. - O tym jeszcze nie bylo mowy.

- Dziesiec lat dozoru? - mruknela Sachs.

- O tym nie było mowy.

Rhyme myślał o zasadzce, którą dokładnie opracowali, siedząc do czwartej nad ranem. Jeżeli teraz przewiożą Percey i Hale'a gdzieś indziej, Trumniarz na pewno to wywieszy. Zmieni plany. Dowiedzie się, że są w Shoreham, ominie strażników, którzy dostali rozkaz ujęcia go żywego, zabije Percey i Hale'a - i jeszcze paru ludzi - a potem zniknie.

- Zostało niewiele czasu - zaczął prokurator.

- A ma pan papier? - przerwał mu Rhyme. - Miałem nadzieję, że będziecie skłonni do współpracy.

- Nie będziemy.

- Pan jest cywilem.

- Ja nie - powiedział Sellitto.

- Mhm. Rozumiem. - Spojrzał na Dellraya, ale nawet nie spytał agenta, po czyjej stronie.

- W ciągu trzech albo czterech godzin mogę zdobyć nakaz aresztowania prewencyjnego - rzekł prokurator.

W niedzielę rano? - pomyślał Rhyme. *Mhm.*

- Nie oddamy ich - powiedział. - Niech pan robi, co pan musi.

Na okrągłej twarzy biurokraty rozlał się szeroki uśmiech.

- Jestem zmuszony poinformować pana, że jeżeli sprawca zginie podczas próby zatrzymania, osobiście zapoznam się z raportem komisji i istnieje duże prawdopodobieństwo, że dojdzie do wniosku, iż rozkaz użycia broni nie został wydany przez zwierzchników. - Spojrzał na Rhyme'a. - Możliwe też, że pojawi się kwestia ingerencji osób cywilnych w operacje organów federalnych. A to już jest materiał na bardzo poważny proces cywilny. Chcę pana tylko ostrzec.

- Dzięki - odparł jowialnie Rhyme. - Jestem ogromnie wdzięczny.

Gdy prokurator wyszedł, Sellitto przezeźgnął się.

- Chryste, Linc, słyszałeś? Powiedział „poważny proces cywilny”.

- Kurcze, po mojemu nasz bohater bardzo by się przestraszył „niepoważnego” procesu - wtracił się Dellray.

Wybuchnęli śmiechem.

Dellray przeciągnął się i rzekł:

- Alesmy wdepneli. Lincoln, slyszales o tym wirusie?

- Jakim wirusie?

- Ostatnio atakuje coraz wiecej naszych ludzi. Jesteśmy na jakiejś akcji, ja i chłopaki z oddziału, i dostajemy paskudnego tiku w palcu wskazującym. Tym, który naciska spust.

Sellitto, znaczenie gorszy aktor niż agent, rabnal:

- Wy też? Myślałem, że to dotyka tylko naszych ludzi z brygady specjalnej.

- Wiecie co? - powiedział Fred Dellray, Alec Guinness wśród gliniarzy. - Znalazłem na to lekarstwo. Wystarczy samemu zabić takiego gościa jak Trumniarz i zobaczyć zdziwienie na jego zezowatej gębie. Działa bez pudła. - Włączył telefon. - Chyba zadzwonię do moich chłopców i zapytam, czy pamiętają o tym lekarstwie.

Rozdział osiemnasty

45 godzin - godzina dwudziesta druga

Percey Clay zbudziła się w mrocznym pokoju, wstała z łóżka i podeszła do okna. Rozsunawszy zasłony, spojrzała w monotonie szare niebo. W powietrzu wisiała delikatna mgielka.

Warunki bliskie minimum, oceniła. Wiatr 090, pięć węzłów. Widzialność ćwierć mili. Miała nadzieję, że przed wieczornym lotem pogoda się poprawi. Och, potrafiła latać w każdych warunkach atmosferycznych - i latała. Wszyscy, którzy pomysłnie przeszli testy lotów według przyrządów, mogli startować, latać i lądować przy całkowitym zachmurzeniu. (Właściwie dzięki komputerom pokładowym, łączności radiowej, radarowi i systemom antykolizyjnym większość samolotów pasażerskich mogła latać i lądować bez udziału pilota). Lecz Percey wolala latać przy dużej widoczności. Lubiała patrzeć na przesuwaną się w dole ziemię. Światła w nocy. Chmury. A nad nią gwiazdy.

Wszystkie gwiazdy wieczoru...

Znowu pomyślała o Edzie i wczorajszym telefonie do jego matki. Zaczęły planować pogrzeb. Percey chciała dokładnie się nad wszystkim zastanowić, sporządzić listę gości, przygotować przyjęcie.

Lecz nie potrafiła. Jej myślami bez reszty zawładnął Lincoln Rhyme.

Przypomniła sobie rozmowę, jaką wczorajszego wieczoru odbyli za zamkniętymi drzwiami - po śpieniu z Amelia Sachs.

Siedziała obok niego w starym fotelu. Rhyme mierzył ją wzrokiem od stóp do głów. Doznała dziwnego uczucia. Nie było to taksujące spojrzenie, jakim mężczyźni obrzucają kobiety (niektóre - jej nie) w barze albo na ulicy. Patrzył na nią tak, jakby był bardziej doświadczonym pilotem i oceniał ją przed ich pierwszym wspólnym lotem. Sprawdzał jej kompetencje, zachowanie, szybkość podejmowania decyzji. Jej odwagę.

Wyciągnęła z kieszeni piersiówkę, lecz Rhyme pokręcił głową, po czym zaproponował jej

osiemnastoletnia szkocka.

- Zdaniem Thoma za duzo pije - rzekl. - Ma racje, ale czym jest zycie bez drobnych przywar?

Parsknela wymuszonym smiechem.

- Moj ojciec na nich zarabia.

- Na gorzale? Czy przywarach w ogole?

- Na papierosach. Jest jednym z szefow US Tobacco w Richmond. Nie, przepraszam, firma nazywa sie teraz Towary Konsumpcyjne czy cos w tym rodzaju.

Za oknem zatrzepotaly ptasie skrzydla.

- Och. - Percey zasmiala sie. - Samczyk.

Rhyme powedrowal wzrokiem za jej spojrzeniem.

- Slucham?

- Samiec sokola wedrownego. Dlaczego uwily gniazdo tutaj? Zwykle mieszkaja wyzej.

- Nie wiem. Obudzilem sie pewnego ranka i juz tu byly. Znasz sie na sokolach?

- Pewnie.

- Polowalas z nimi? - zapytal.

- Kiedys. Mialam jednego, z ktorym polowalam na kuropatwy. Dostalam go jako sokole.

- Coz to takiego?

- Piskle. Latwiej je ulozyc. - Dokladnie obejrzala gniazdo, usmiechajac sie nieznacznie. - Ale moim najlepszym lowca byl jastrzab golebiarz, zlapany jako dorosly ptak. Samica. Samice sa wieksze od samcow i lepiej poluja. Ciezko dac sobie z nimi rade. Ale ta polowala na wszystko - kroliki, zajace, bazanty.

- Masz jeszcze tego ptaka?

- Och, nie. Kiedys czekala - to znaczy krazyla w gorze, szukajac ofiary. Nagle zmienila zdanie. Pozwolila uciec tlustemu bazantowi. Potem wzbila sie w prad cieplego powietrza, ktore unioslo ja kilkaset stop w gore. Zniknela w sloncu. Jeszcze przez miesiac wystawialam przynete, ale nie wrocila.

- Tak po prostu zniknela?

- Zdarza sie doroslym ptakom - wyjasnila, wzruszajac obojetnie ramionami. - To dzikie

zwierzeta. Ale spedzila ze mna ponad pol roku. - Wlasnie ten jastrzab stanowil inspiracje przy projektowaniu logo Hudson Air. - Wskazujac sokoly za oknem, dodala: - Masz szczescie, ze trafilo ci sie takie towarzystwo. Nadales im imiona?

Rhyme parsknal pogardliwym smiechem.

- Nie mam takich zwyczajow. Thom probowal, ale go wysmialem i uciekl z pokoju.

- Ta Sachs... naprawde ma zamiar mnie aresztowac?

- Wydaje mi sie, ze bede umial jej to wyperswadowac. Sluchaj, musze ci cos powiedziec.

- Slucham.

- Musicie z Hale'em dokonac wyboru. Dlatego chcialem z toba porozmawiac.

- Wyboru?

- Mozemy was wywiezc z miasta. Do miejsca przeznaczonego specjalnie do ochrony swiadkow. Przy zachowaniu srodkow ostroznosci z pewnoscia zgubimy Trumniarza, a wy bezpiecznie doczekacie posiedzenia sadu przysieglych.

- Ale? - zapytala.

- Ale nadal bedzie was tropil. Nawet po posiedzeniu sadu bedziecie stanowic zagrozenie dla Phillipa Hansena, bo bedziecie musieli zeznawac w procesie. A proces moze trwac wiele miesiecy.

- Nie wiadomo, czy sad przysieglych w ogole postawi go w stan oskarzenia, bez wzgledu na to, co uslyszy od nas - zauwazyła Percey. - Po co wiec mialby nas zabijac?

- To nie ma znaczenia. Gdy Trumniarz dostanie od kogos zlecenie, nie spocznie, dopoki jego ofiara bedzie zyła. Poza tym prokuratorzy obciaza Hansena zbrojstwem twojego meza i w tej sprawie rowniez bedziesz swiadkiem. Hansenowi bardzo wiec zalezy, zeby sie ciebie pozbyc.

- Chyba rozumiem, do czego zmierzasz.

Uniosl brew.

- Robak na haczyku - powiedziala.

Zmruzył oczy, wybuchajac smiechem.

- No, nie zamierzam paradowac z wami na oczach wszystkich, tylko umiescic was w bezpiecznym domu w miescie. Pod pelna straza. Z najnowoczesniejszymi systemami bezpieczenstwa. Trumniarz odsloni sie i bedziemy go mieli. Skonczymy z nim raz na zawsze. Wariacki pomysl, ale nie sadze, zebyśmy mieli inny wybor.

Kolejny lyczek szkockiej. Niezła. Jak na trunk nie wyprodukowany w Kentucky.

- Wariacki? - powtórzyła. - Pozwól, że o coś cię spytam. Masz jakiegoś mistrza? Kogoś, kogo starasz się naśladować?

- Oczywiście. Najbardziej słynnych badaczy kryminalistycznych. Augusta Vollmera, Edmonda Locarda.

- Słyszales o Beryl Markham?

- Nie.

- Lotniczka brytyjska z lat trzydziestych i czterdziestych. To ona - nie Amelia Earhart - jest moim idolem. Prowadziła życie pełne fantazji. Pochodziła z arystokracji - wiesz, jak z „Pozegnania z Afryką”. Była pierwszym człowiekiem - nie kobietą, pierwszym człowiekiem - który samotnie przebył trasę nad Atlantykiem trudniejsza droga, ze wschodu na zachód. Lindbergh wykorzystał więcej w ogon wiatry. - Zasmiała się. - Wszyscy myśleli, że jest pomyłką. Gazety drukowały błagalne artykuły wstępne, żeby zrezygnowała z lotu. Oczywiście nie zrezygnowała.

- I dokonała tego?

- Lądowała awaryjnie tuż przed lotniskiem, lecz tak, dokonała tego. Nie wiem, czy to był akt odwagi, czy szalenstwa. Czasem wydaje mi się, że nie ma różnicy.

- Będziecie tam dość bezpieczni - ciągnął Rhyme. - Ale nie całkowicie.

- Co ci powiem. Jak nazywacie tego mordercę?

- Trumniarz.

- Właśnie. W odrzutowcach używamy określenia „trumieny prog”.

- Co to takiego?

- Margines między prędkością przecignięcia a prędkością, od której samolot zaczyna się rozpadać od turbulencji Macha - kiedy zbliża się do prędkości dźwięku. Na poziomie morza lecisz kilkaset mil na godzinę, ale na wysokości pięćdziesięciu albo sześćdziesięciu tysięcy stop prędkość przecignięcia może osiągać pięćset węzłów, a na barierze dźwięku trafiasz przy pięćset czterdziestu. Jeżeli nie zostaniesz w tym marginesie czterdziestu węzłów, przechodzisz przez trumieny prog i koniec. Wszystkie samoloty, które latają na takich pułapach, muszą mieć autopiloty, żeby utrzymać prędkość w marginesie. Powiem ci, że latam na takiej wysokości i prawie nigdy nie korzystam z autopilota. Nie znam pojęcia „absolutne bezpieczeństwo”.

- Czyli zrobisz to.

Percey nie odpowiedziała od razu. Przez chwilę patrzyła na niego badawczo.

- Chodzi o cos wiecej, prawda?

- Wiecej? - zdziwil sie Rhyme, ale niewinnosc w jego glosie zabrzmiala niezbyt przekonujaco.

- Czytam rubryke miejska w „Timesie”. Przeciez nie w kazde morderstwo angazuje sie tylu gliniarzy naraz. Co ten Hansen takiego zrobil? Zabil dwoch zolnierzy i mojego meza, a traktujecie go, jakby byl jakimś Alem Capone.

- Mam gdzieś Hansena - powiedzial cicho Lincoln Rhyme, siedzacy na swym zmotoryzowanym tronie. Ciało miał nieruchome, lecz ciemne oczy błyszczaly mu jak płomień - tak samo jak oczy jej jastrzębia. Nie mowila tego Rhyme'owi, ale ona tez nie nadawala imion ptakom myśliwskim. Swojego jastrzębia nazywala po prostu „sokolem”.

- Chce dostac Trumniarza - ciagnal Rhyme. - Zabil wielu gliniarzy, w tym dwoch, ktorzy pracowali u mnie. Zamierzam go zlapac.

Mimo to czula, ze kryje sie za tym cos wiecej. Nie naciskala jednak.

- Bedziesz musial porozmawiac tez z Bitem.

- Oczywiscie.

Po chwili oswiadczyła:

- Zgoda, zrobie to.

- Dziekuje. Chce...

- Zaraz - przerwala mu.

- Co takiego?

- Pod jednym warunkiem.

- Jakim? - Rhyme uniosl brew, a Percey uderzyla niespodziewana mysl: kiedy nie zwracalo sie uwagi na jego okaleczone ciało, mozna w nim bylo zobaczyc bardzo przystojnego mezczyzne. Kiedy to sobie uswiadomila, wrocilo dawne, znenawidzone wrazenie - w obecności atrakcyjnego mezczyzny czula sie znacznie brzydsza i gorsza. Hej, Trollu, Malpia Gebo, Pekinczyku, Zabo, jestes z kims umowiona na sobote? Pewnie nie...

- Ze jutro wieczorem polece z ladunkiem dla Amer-Medu - odrzekla Percey.

- Nie sadze, zeby to byl najlepszy pomysl.

- Ostatnie slowo - powiedziala, przypominajac sobie wyrazenie, ktore od czasu do czasu slyszala w rozmowach Rona i Eda.

- Dlaczego właśnie ty musisz lecieć?

- Hudson Air musi dotrzymać warunków kontraktu. Za wszelką cenę. Lot jest na styk i musi polecieć najlepszy pilot w firmie. Czyli ja.

- Co to znaczy „na styk”?

- Plan jest napięty do granic możliwości. Lecimy z minimalną ilością paliwa. Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby pilot krążył nad lotniskiem, bo schrzanił podejście do lądowania, albo lądował gdzie indziej, tłumacząc się złą pogodą. - Zamilkła na chwilę, po czym dodała: - Nie dopuszcza do upadku firmy.

Percey powiedziała to bardzo zdecydowanie. Stanowczością nie ustępowała Rhyme'owi, toteż zdumiała się, gdy ten skinął głową.

- Dobrze - rzekł. - Zgadzam się.

- A więc umowa stoi. - Instynktownie wyciągnęła do niego rękę, by przypieczętować układ, lecz zaraz się zreflektowała.

Rozesmiał się.

- Ostatnio polegamy wyłącznie na ustnych umowach - powiedział. By uczcić zawartą zgodę, wypili po szklaneczce szkockiej.

Teraz, w niedzielę o wpół do siódmej rano, opierała głowę o szybę okna. Miała tyle do zrobienia. Trzeba naprawić „Foxtrot Bravo”, przygotować rejestr nawigacyjny i plan lotu - co potrwa kilka godzin. A jednak mimo niepokoju, mimo smutku z powodu śmierci Eda, ogarniało ją nieokreślone poczucie szczęścia; jeszcze dziś będzie latać.

- Hej - odezwał się przyjazny głos.

Odwrociła się i ujrzała stojącego w drzwiach Rolanda Bella.

- Dzień dobry - powiedziała.

Podszedł do niej szybkim krokiem.

- Jeśli rozsuwasz zasłony, lepiej się nie wychylaj. - Zasłonił okno.

- Słyszałam, że detektyw Rhyme przygotowuje jakąś pułapkę. Na pewno go złapie.

- Fakt, Lincoln Rhyme zawsze ma rację. Ale za tego ptaszka nie dałbym funta klaków. Dobrze spalas?

- Nie - odrzekła. - A ty?

- Zdrzemnałem się parę godzin - powiedział Bell, wyglądając bacznie przez szpary między zasłonami. - Nie potrzebuje dużo snu. Przeważnie budzę się na każdy szmer. Tak to już jest, kiedy człowiek ma dzieciaki. Nie odsłaniaj więcej okna. Pamiętaj, to Nowy Jork. Pomyśl, co by się stało z moją karierą, gdyby przy okazji przypadkowej strzelaniny trafiła cię jakaś zblakana kula. Przez tydzień by ze mnie kpili. Masz ochotę na kawę?

W niedzielny rano w oknach starego domu odbijało się kilkanaście gestych chmur.

Zanosilo się na deszcz.

W oknie stała Zona ubrana w szlafrok. Jej blada twarz okalały rozczochrane czarne włosy; widocznie przed chwilą wstała.

Stephen Kall znajdował się na dachu starego budynku niedaleko bezpiecznego domu Departamentu Sprawiedliwości przy Trzydziestej Piątej, kryjąc się w cieniu wieży hydrantu. Przez lornetkę obserwował, jak po szczupłym ciele Zony przepływają cienie chmur.

Wiedział, że szyby w oknach są kuloodporne i z pewnością pierwszy pocisk się od nich odbije. W ciągu czterech sekund mógł oddać drugi strzał, lecz Zona na pewno odskoczyłaby od okna, gdyby rozprysła się szyba, nawet nie wiedząc, że ktoś do niej strzelił. Wszystko wskazywało na to, że nie będzie mógł zadać jej śmiertelnej rany.

Melduje, że będzie się trzymał pierwotnego planu.

Obok Zony pojawił się jakiś mężczyzna i zaciągnął zasłony. Potem wyrzwał przez szpary, oczy zlustrowały dachy okolicznych budynków, gdzie zgodnie z logiką mógł się czołgać snajper. Wyglądał na niebezpiecznego fachowca. Stephen zapamiętał wygląd tego człowieka.

Potem schował się za fasadę budynku, zanim mężczyzna zdążył go zobaczyć.

Błef policji - domyslał się, że to pomysł Lincolna Robaka - z rzekomym przewiezieniem Zony i Przyjaciela na posterunek w West Side, rozszyfrował już po dziesięciu minutach. Podsluchawszy rozmowę Zony z Ronem, po prostu uruchomił ściągnięty z Internetu program, sprawdzający zastrzeżone numery połączeń. Okazało się, że Zona dzwoniła z numeru zaczynającego się od 212. Manhattan.

Następnie podjął próbę, która miała niewielkie szanse powodzenia.

A jak inaczej odnosi się zwycięstwa, żołnierzu?

Melduje, że łapiąc się każdej, nawet najbardziej nieprawdopodobnej możliwości.

Zalogował się do sieci i chwilę później wstukiwał numer telefonu do „odwrotnej” książki telefonicznej, która podawała nazwisko i adres abonenta. Oczywiście nie było w niej zastrzeżonych numerów i Stephen był pewien, że nikt przy zdrowych zmysłach z władz federalnych nie korzystałby w bezpiecznym domu z normalnej linii.

Mylil sie.

Ekran wyswietlil: James L. Johnson, Trzydziesta Piata Wschodnia, nr 258.

Niemozliwe...

Potem zadzwonil do budynku federalnego na Manhattanie i poprosil pana Johnsona.

- Chodzi mi o pana Jamesa Johnsona.
- Prosze zaczekac. Lacze.
- Przepraszam - wtracil Stephen - prosze mi przypomniec, w ktorzym departamencie teraz pracuje.
- W Departamencie Sprawiedliwosci. W Biurze Zarzadu Infrastruktury.

Kiedy laczone go z biurem, Stephen odlozyl sluchawke.

Poniewaz juz wiedzial, ze Zona i Przyjaciel sa w bezpiecznym domu przy Trzydziestej Piatej, ukradl kilka planow kwartalu, by dokladnie zaplanowac atak. Potem ruszyl na przechadzke wokol dwudziestego posterunku na West Side i pozwolil, by zauwazono, jak obserwuje dystrybutor benzyny. Nastepnie gwizdnal cysterne i zostawil mnostwo sladow, zeby pomysleli, ze chce jej uzyc jako gigantycznej bomby paliwowej, za pomoca ktorej zamierza zgladzic dwoje swiadkow na posterunku.

I tak Stephen Kall znalazl sie tutaj i mial Zone i Przyjaciela w zasiegu broni krotkiej.

Skupil sie na zadaniu, starajac sie nie myslec o oczywistej paraleli: o twarzy widzianego w oknie czlowieka, ktory go szukal.

Tylko troche sie kulil. Czul sie tylko troche zarobaczony.

Twarz miedzy zaslonami zniknela. Stephen ponownie obejrzal dom.

Trzykondygnacyjny budynek, wolno stojacy, otoczony ciemna alejka. Sciany wylozone kwarcytem - najtwardszym z materialow budowlanych, ktorego w przeciwienstwie do granitu czy marmuru nie mozna bylo przebic. Okien bronily kraty, ktore wygladaly jak zrobione ze starego zelaza, ale Stephen wiedzial, ze w istocie sa z utwardzanej stali, nafaszerowane czujnikami ruchu albo dzwieku, albo jednym i drugim.

Wyjscie ewakuacyjne bylo prawdziwe, lecz jesli uwazniej sie przyjrzec, widac bylo, ze za zaslonietymi oknami panuje ciemnosc. Prawdopodobnie do ram przykrecono od wewnatrz stalowe plyty. Stephen znalazl prawdziwe wyjscie ewakuacyjne za duzym plakatem teatralnym przyklejonym do ceglanej sciany. (Po co ktos umieszczalby reklame przy prowadzacej na podworko alejce, jesli nie w celu zamaskowania drzwi?). Alejka niczym nie roznila sie od innych w miescie, z bruku i asfaltu, ale w scianach Stephen dostrzegl polyskujace szklem oczy kamer. Przy alejce staly jednak worki ze smieciami i kilka kublow, ktore stanowilyby wystarczajaca zaslone. Mogl zesliznac sie w

alejke z okna sasiedniego biurowca i pod oslona kublow na smieci dotrzec do ukrytych drzwi.

Akurat na pierwszym pietrze budynku biurowego bylo otwarte okno, w ktorым powiewala firanka. Ktos, kto sledzil monitory kamer, musial zauwazyc ten ruch i przestal nan zwazac. Stephen mogl zeskokczyc z wysokosci szesciu stop i za kublami podczolzac sie do wyjscia ewakuacyjnego.

Wiedzial, ze sie go nie spodziewaja - slyszal komunikaty o ewakuacji wszystkich budynkow w okolicach dwudziestego posterunku, naprawde wiec uwierzyli, ze chce wysadzić komisariat, wykorzystujac cysterne. Oceniaj, zolnierzu.

Melduje, ze wedlug mojej oceny wrog polega na obronnych zaletach budynku, wynikajacych z solidnej konstrukcji i anonimowosci posesji. Nie zauwazylem obecności uzbrojonego personelu, przypuszczam wiec, ze zaatakowanie domu z duzym prawdopodobienstwem pozwoli wyeliminowac jeden lub oba cele.

Mimo tej pewności natychmiast poczul sie zarobaczony od stop do glow.

Wyobrazil sobie, jak szuka go Lincoln. Lincoln Robak. Wielka, gruba larwa, sliska od sluzu, rozgladajaca sie wszedzie, widzaca przez sciany, wlazaca w najdrobniejsze szczeliny.

Wygladajaca przez okno...

Wspinajaca sie po jego nodze.

Wzerajaca sie w cialo.

Zmyc to! Zmyc!

Co zmyc, zolnierzu? Znowu zaczynasz o tych pieprzonych robakach?

Melduje, ze tak... ze nie.

Miekniesz, zolnierzu? Czujesz sie jak mala przestraszona dziewczynka?

Melduje, ze nie. Jestem twardy jak stal. Chce zabijac. Palam zadza mordu!

Zaczal gleboko oddychac. Powoli sie uspokoil.

Pod wieza hydrantu gasniczego na dachu ukryl futeral po gitarze z modelem 40 w srodku. Reszte sprzetu umiescil w duzej torbie, po czym nalozyl kurtke ze znaczkiem Uniwersytetu Columbia i czapke baseballowa.

Zszedl po schodach ewakuacyjnych i zniknal w alejce, czujac wstyd, a nawet strach - nie przed kulami wroga, lecz przed przewiercajacym go na wskros spojrzeniem Lincolna Robaka, ktory zblizal sie powoli, ale nieublaganie, szukajac go w calym miescie.

Stephen dokladnie zaplanowal atak na biurowiec, ale nie musial zabijac ani jednego czlowieka.

Budynek obok bezpiecznego domu był pusty.

Westybul wyglądał na opustoszały i nie było tu żadnych kamer. Drzwi wejściowe, częściowo otwarte, blokował gumowy ogranicznik, a obok stały wózki i podkładki pod meble. Kuszacy widok, ale Stephen nie chciał wpaść na tragarzy ani dzierżawców budynku. Wyszedł więc na zewnątrz i wśliznął się za róg po przeciwnej stronie bezpiecznego domu. Przystanął za małą sosną rosnącą w donicy, która zasłaniała go od strony chodnika.

Lokciem zbil wąskie okno, za którym było ciemne pomieszczenie - jak się okazało, gabinet psychiatry - i dostał się do środka. Przez pięć minut stał zupełnie bez ruchu, sciskając w reku pistolet. Potem cicho wymknął się za drzwi i znalazł w korytarzu.

Zatrzymał się pod drzwiami, za którymi powinien się znajdować pokój z otwartym oknem - i powiewająca firanka. Siegnął do klamki.

Lecz instynkt podpowiedział mu zmianę planów. Stephen postanowił spróbować wyjść przez piwnice. Odnalazł schody i zszedł do wionącego stęchlizną labiryntu.

Cicho zmierzał w kierunku ściany położonej najbliżej bezpiecznego domu. Pchnął stalowe drzwi i wszedł do tonącego w półmroku pomieszczenia o wymiarach dwadzieścia na dwadzieścia stop, w którym stały pudła i stare sprzęty. Na wysokości własnej głowy dostrzegł okienko wychodzące na alejkę.

Ciasna droga. Trzeba wyjść szybko wraz z ramą. Ale gdy już się znajdzie na zewnątrz, będzie mógł od razu ukryć się za workami i pelznąć po ziemi, dotrzeć do wyjścia ewakuacyjnego bezpiecznego domu. To lepszy plan.

Zrobiłem to, pomyślał Stephen.

Wystrychnął ich wszystkich na dudka.

Wystrychnął na dudka Lincolna Robaka! Ta myśl sprawiła mu przyjemność, jaka na pewno daloby zlikwidowanie obu celów.

Z przewieszanej przez ramię torby wyjął srubokręt i zaczął wydłubywać z okna kit. Szare platy odpadały powoli i zajęcie pochłonęło go do tego stopnia, że zanim zdążył rzucić srubokręt i położyć dłoń na kolbie beretty, ten człowiek już na nim siedział, przykładając mu lufę do szyi i szepcząc:

- Jeden ruch i nie żyjesz.

KUNSZT

[Sokol] zerwał się do lotu. Szybował: jak potworna latająca ropucha, jak pierzasta sowa, jak fruujący Ryszard III z garbem na plecach, zbliżał się do mnie, lecąc nisko przy ziemi. Skrzydła miarowo rozcinały powietrze, para oczu w opuszczonej nisko głowie wpatrywała się we mnie w upiornym skupieniu.

„Jastrząb golebiarz”

T.H. White

Rozdział dziewiętnasty

45 godzin - godzina dwudziesta trzecia

Krotka lufa, pewnie kolt, smittie albo podrobka dago, z ktorej dawno nie strzelano, albo ktorej nie smarowano.

Czuje rdze.

Co nam mowi rdza na broni, zolnierzu?

Melduje, ze duzo.

Stephen Kall uniosl rece.

Wysoki i drzacy niepewnoscia glos powiedzial:

- Rzuc bron. I walkie-talkie.

Walkie-talkie?

- No juz. Bo za chwile twoj mozg wyladuje na scianie. - Glos zalamywal sie z emocji. Napastnik pociagnal nosem.

Zolnierzu, czy zawodowcy groza?

Melduje, ze nigdy. Ten czlowiek jest amatorem. Mam go unieszkodliwic?

Jeszcze nie. Nadal jest grozny.

Tak jest.

Stephen upuscil bron na kartonowe pudlo.

- Gdzie... gdzie jest twoje radio?

- Nie mam radia - odrzekł Stephen.

- Odwroc sie. Nie probuj zadnych sztuczek.

Stephen ostroznie obrocil sie i stanal twarza w twarz z chudym mezczyzna, ktory patrzyl na niego wyzywajaco. Czlowiek byl bardzo brudny i wygladal na chorego. Z nosa mu cieklo, mial niepokojaco zaczerwienione oczy. Jego brazowe wlosy byly skoltunione. Poza tym cuchnal. Zapewne bezdomny. Menel, jak nazwalby go ojczym Stephen. Albo cpun.

Wysluzony stary colt z krotka lufa napieral na brzuch Stephen. Kciuk menela odwiol kurek. Spust mogl zaskoczyc w kazdej chwili, zwlaszcza ze rewolwer byl stary. Stephen usmiechnal sie lagodnie. Nie poruszyl zadnym miesniem.

- Posluchaj - powiedzial. - Nie chce jakichkolwiek klopotow.

- Gdzie masz radio? - powtorzyl czlowiek.

- Nie mam.

Czlowiek nerwowym ruchem stuknal jenca w piers. Stephen z latwoscia mogl go zabic - napastnik wydawal sie rozkojarzony. Czul, jak palce wloczugi badawczo przesuwaja sie po jego ciele. Wreszcie facet odsunal sie od niego.

- Gdzie twoj partner?

- Kto?

- Nie wciskaj mi kitu. Przeciez wiesz.

Nagle znowu robaki... Cos bylo nie tak.

- Naprawde nie wiem, o czym mowisz.

- Gliniarz, co tu byl przed chwila.

- Gliniarz? - szepnal Stephen. - W tym budynku?

W oczach wloczugi blysnela niepewnosc.

- Tak. Nie jestes jego partnerem?

Stephen podszedl do okna i wyjrzal.

- Nie ruszaj sie. Bo strzele.

- Wyceluj gdzie indziej - polecil mu Stephen, spogladajac na niego przez ramie. Przestal sie bac starego rewolweru. Zaczynal pojmovac swoj blad i mdlosci scisnely mu zoladek.

- Stoj. Kurwa, nie zartuje - zaskrzeczal czlowiek.

- W alejce tez sa? - spytal spokojnie Stephen.

Uplynela chwila milczenia.

- Naprawde nie jestes glina?

- W alejce tez sa? - powtorzyl stanowczym glosem Stephen.

Czlowiek rozejrzal sie zaniepokojony po pomieszczeniu.

- Kilku przed chwila bylo. Wystawili worki ze smieciami. Nie wiem, gdzie potem poszli.

Stephen wpatrywal sie w alejke. Worki... Wystawili je, zeby mnie zwabic. Falszywa zaslon.

- Jak dasz komus sygnal, przysiegam...

- Cicho badz. - Stephen powoli lustrowal alejke, z cierpliwoscia boa, i wreszcie dostrzegl nikly cien na bruku - za kublem na smieci. Cien przesunal sie o dwa cale.

Na szczycie budynku za bezpiecznym domem - na wiezy windy - zauwazyl inny postrzepiony cien. Byli za dobrzy, zeby wysunac lufy, ale nie na tyle dobrzy, zeby zaslonic swiatlo odbijajace sie od stojacej na dachu budynku wody.

Chryste... Lincoln Robak jakim cudem wiedzial, ze Stephen nie kupil bajeczki o dwudziestym posterunku. Caly czas czekali na niego tutaj. Lincoln rozgryzl nawet jego plan - wedlug ktorego Stephen chcial sie dostac do domu z tego budynku.

Twarz w oknie...

Stephenowi przyszla do glowy niedorzeczna mysl, ze wtedy w Alexandrii z okna zalanego rozowym swiatlem patrzyl na niego Lincoln Robak. Oczywiscie, to nie mogl byc on. Mimo to nie mogl opanowac mdlosci, rozchodzacych sie jak sklebione robaki w jego trzewiach.

Zablokowane drzwi, otwarte okna, lopoczaca firanka... pieprzone zaproszenie. Do tego alejka: idealna strefa razenia.

Ocalil go tylko instynkt.

Lincoln Robak zwabil go w pulapke.

Zagotowal sie z wscieklosci. Przez cialo przeplynela fala goraca. Jezeli sie go spodziewaja, musza postepowac zgodnie z zasadami rozpoznania. Co oznaczalo, ze gliniarz, ktorego widzial ten smiec, niedlugo zjawi sie tu ponownie. Stephen odwrocil sie do chudego wloczegi.

- Kiedy gliniarz byl tu ostatni raz?

W oczach mężczyzny pojawił się lek.

- Odpowiedz - warknął Stephen, ignorując wycelowaną w siebie czarna gardziel kolta.

- Dziesięć minut temu.

- Jaka miał broń?

- Nie wiem. Chyba jakaś fachowa. Pistolet maszynowy albo coś takiego.

- A ty kto jesteś? - zapytał Stephen.

- Nie muszę, kurwa, odpowiadać na twoje pytania - odparł zadziornie włocze. Otarł nos rekawem. I to był jego błąd, bo zrobił to reka, w której trzymał kolta. W ułamku sekundy Stephen wyszarpnął mu broń i rzucił mężczyźna na ziemię.

- Nie, nie rob mi krzywdy!

- Zamknij się - warknął Stephen. Odruchowo otworzył małego kolta, by sprawdzić, ile pocisków jest w bebenku. Nie było ani jednego.

- Pusty? - spytał z niedowierzaniem.

Człowieczek wzruszył ramionami.

- No...

- Groziles mi nienaladowana bronia?

- No... jeżeli cie łapia z pustym gnatem, nie zamykają na długo.

Stephen nie rozumiał. Pomyślał, że mógłby go zabić za jego głupotę: za to, że chodzi z nienaladowaną bronią.

- Co tu robisz?

- Odejdź i zostaw mnie w spokoju - zaskomlał człowiek, rozpaczliwie próbując podnieść się na nogi.

Stephen wrzucił mu kolta do kieszeni, po czym chwycił berette i wycelowal ją w głowę włoczegi.

- Co tu robisz?

Mężczyźna otarł twarz.

- Na gorze są gabinety lekarzy. W niedzielę nikogo nie ma, to przyszedłem zabrać trochę... no wiesz, próbek.

- Probek?

- Lekarze dostają bezpłatne próbki lekarstw i innego gówna, w ogóle tego nie wpisują do kartotek. Można nakręcić, ile się chce i nikt się nie dowie. Percodan, Fiorinal, tabletki na odchudzanie i tak dalej.

Jednak Stephen nie słuchał go. Znowu poczuł chłód Robaka. Lincoln musiał być bardzo blisko.

- Hej, nic ci nie jest? - spytał człowiek, patrząc na twarz Stephena.

Dziwne, ale robaki odeszły.

- Jak się nazywasz? - zapytał Stephen.

- Jodie. Właściwie Joe D'Onofrio. Ale wszyscy mówią mi Jodie. A ty?

Stephen nie odpowiedział. Patrzył przez okno. Na szczycie budynku za bezpiecznym domem mignął następny cień.

- Dobra, Jodie. Posłuchaj mnie. Chcesz zarobić parę groszy?

- No? - pytał niecierpliwie Rhyme. - Co się dzieje?

- Ciągle jest w budynku obok, od strony wschodniej. Jeszcze nie wyszedł na alejkę - zameldował Sellitto.

- Dlaczego? Musi. Przecież nie ma po co zostawiać w środku. O co chodzi?

- Sprawdzają każde piętro. Nie ma go w gabinecie, do którego - jak przypuszczaliśmy - powinien wejść.

W tym, gdzie było otwarte okno. Niech to szlag! Rhyme długo myślał, czy zostawić okno otwarte, pozwalając firancie zapraszająco powiewać na wietrze. Wydawało mu się, że to szyte zbyt grubymi niciami. Trumniarz mógł nabrać podejrzeń.

- Wszyscy w pogotowiu? - spytał Rhyme.

- Oczywiście. Wyluzuj się.

Nie mógł się jednak odprezyc. Rhyme nie znalazł szczegółów strategii Trumniarza, jednak był pewien, że atak nastąpi od strony alejki. Miał nadzieję, że worki i kubły na śmieci uspią jego czujność na tyle, że uzna je za wystarczającą zasłonę. Agenci Dellraya i grupa 32-A Haumanna otaczali alejkę, obstawili budynek obok i inne w okolicy bezpiecznego domu. Sachs razem z Haumannem, Sellitem i Dellrayem siedziała w furgonetce rzekomo należącej do firmy kurierskiej i zaparkowanej przecznice dalej.

Z początku Rhyme dał się nabrać na numer z bomba z cysterny. Mało prawdopodobne, żeby

Trumniarz zapomnial zabrac narzedzie, ale ostatecznie mozna w to bylo uwierzyc. Pozniej Rhyme nabral podejrzen do resztek przewodu detonatora na nozyczach. Ilosc materialu mogla sugerowac, ze Trumniarz pomazal nim ostrze, by miec pewnosc, ze policja podejmie trop zamachu bombowego na posterunek. Rhyme uznal, ze Trumniarz wcale nie schrzanił roboty - jak z poczatku sadzili on i Sachs. Pozwalajac, by namierzono trase ataku, a potem darowujac zycie straznikowi, który mogl wezwac policje i doniesc o kradziezy cysterny - wcale nie dzialal przypadkowo.

Ostatecznie szale przewazyl dowod rzeczowy. Wodorotlenek amonowy z papierowym włoknem. Taka kombinacja mogla pochodzic tylko z dwoch zrodel - ze starych planow architektonicznych albo map nieruchomosci, ktore reprodukowano na duzych maszynach drukarskich, wykorzystujac związki amonowe do przygotowania kliszy. Rhyme kazal Sellittowi zadzwonic do centrali policji i zapytac o wlamania do pracowni architektonicznych albo okregowych biur notarialnych. Rzeczywiscie byl meldunek o wlamaniu do biura sedziego. Rhyme poprosil, zeby sprawdzili Trzydziesta Piata w East Side i zdumieni stroze miasta stwierdzili, ze istotnie brakuje planu tej czesci miasta.

Mimo to wciaz pozostawalo tajemnica, jak Trumniarz zdobyl adres bezpiecznego domu, w ktorym byli Percey i Brit.

Piec minut temu dwaj funkcjonariusze jednostki specjalnej odkryli wybite okno na parterze biurowca. Trumniarz ominal otwarte drzwi frontowe, ale nadal chcial zaatakowac dom od strony alejki, tak jak przewidywal Rhyme. Cos go jednak odstraszylo. Byl w budynku, ale oni nie mieli pojecia, gdzie dokladnie. Jadowity waz w ciemnym pokoju. Gdzie byl, co zamierzal?

Smierc ma wiele twarzy...

- Nie bedzie czekal - mruknal Rhyme. - Za duze ryzyko. - Coraz bardziej sie denerwowal.

- Na parterze ani sladu - zameldowal agent. - Kontynuujemy obchod.

Uplynelo piec minut. Zglaszali sie nastepni, ktorzy nikogo nie znalezli. W swojej sluchawce Rhyme slyszal jednak tylko szum.

- Kto nie chce zarobic? - odezwal sie Jodie. - Ale nie wiem jak.

- Pomoz mi sie stad wydostac.

- A co tu wlasciwie robisz? To ciebie tak szukaja?

Stephen przyjrzel sie uwaznie smutnemu czlowieczkowi. Menda, ale nie wariat ani glupiec. Stephen uznal, ze najkorzystniejsza taktycznie bedzie szczerosc. Poza tym za kilka godzin facet i tak juz nie bedzie zyl.

- Przyszedlem tu, zeby kogos zabic - powiedzial.

- Nie mow. Jestes z mafii? Kogo chcesz zabic?

- Jodie, cicho badz. Jestesmy naprawde w trudnej sytuacji.

- My? Ja nic nie zrobiłem.

- Znalazles sie w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie - rzekl Stephen. - I to twoj kłopot, ale jestes w takiej samej sytuacji jak ja, bo szukaja mnie i nie uwierza, ze nie jestesmy wspolnikami. No wiec: pomozesz mi czy nie? Nie ma czasu - tak czy nie?

Jodie probowal opanowac lek, ale zdradzilo go spojrzzenie.

- Tak czy nie?

- Nie chce, zeby mi sie cos stalo.

- Jesli bedziesz po mojej stronie, nic ci sie nie stanie. To ja decyduje, komu sie stanie krzywda, a komu nie. Jestem w tym dobry.

- I zaplacisz? Pieniedzmi? Nie czekiem?

Stephen musial sie rozesmiac.

- Nie czekiem. Gotowka.

W kaprawych oczach odbil sie gleboki namysl.

- Ile?

Gnida chcial negocjowac cene.

- Piec tysiecy.

Lek pozostal, ale obok niego w oczach wloczegi pojawilo sie bezbrzezne zdumienie.

- Naprawde? Bez kitu?

- Naprawde.

- A jak pomoge ci wyjsc, a ty mnie zabijesz, zeby mi nie zaplacic?

Stephen znow sie rozesmial.

- Placa mi o wiele wiecej. Piec kawalkow to dla mnie nic. W kazdym razie, jezeli stad wyjdziemy, moze bede jeszcze potrzebawal twojej pomocy.

- Ja...

W oddali dal sie slyszec jakis dzwiek. Ktos sie zblizal.

Gliniarz, ktory go szukal.

Tylko jeden, stwierdził Stephen, nasłuchując. Słusznie. Spodziewają się go na pierwszym piętrze, w pokoju z otwartym oknem, który Lincoln Robak zapewne obstawil największym oddziałem.

Stephen wsunął pistolet do torby i wyciągnął noż.

- Pomozesz mi?

Glupie pytanie. Jeśli chciał żyć, musiał mu pomóc. Inaczej umrze w ciągu sześćdziesięciu sekund. Dobrze o tym wiedział.

- Dobra. - Wyciągnął do niego rękę.

Stephen ją zignorował.

- Jak się stąd wydostaniemy?

- Popatrz na te bloki żużlowe. Można je wyjść. Pod spodem jest wejście do tunelu. To sieć starych tuneli, które kiedyś biegły pod całym miastem. Nikt o nich nie wie.

- Tak? - Stephen załował, że nic o nich wcześniej nie słyszał.

- Dojdziemy nim do metra. Tam właśnie mieszkam. Na starej stacji metra.

Ostatni raz Stephen pracował z innym człowiekiem dwa lata temu. Czasami załował, że zabił swojego partnera.

Jodie ruszył w stronę bloków.

- Nie - szepnął Stephen. - Chce to zrobić inaczej. Stan pod ścianą. Tutaj. - Pokazał ścianę naprzeciw drzwi.

- Ale mnie zobaczy. Zaswieci latarka i od razu mnie zobaczy!

- Stan tam i podnies rękę.

- Zastrzeli mnie - zaskomlił Jodie.

- Nie, nie zastrzeli. Musisz mi zaufać.

- Ale... - Obejrzał się na drzwi i otarł twarz.

Czy ten człowiek nie stchorzy, żołnierzu?

Melduje, że istnieje takie ryzyko. Ale rozważyłem tę możliwość i moim zdaniem nie stchorzy. Bardzo potrzebuje pieniędzy.

- Musisz mi zaufać.

Jodie westchnal.

- No dobrze.

- Podnies rece jak najwyzej, inaczej strzeli.

- Tak? - Wyciagnal w gore ramiona.

- Cofnij sie, zeby miec twarz w cieniu. Tak, teraz dobrze. Nie chce, zeby widzial twoja twarz...
dobrze. Swietnie.

Kroki zblizaly sie. Przycichly, policjant sie wahal.

Stephen dotknal palcami ust i rzucil sie jak dlugi na podloge.

Kroki zatrzymaly sie. W drzwiach pojawila sie jakas postac. W kamizelce kuloodpornej i kurtce
FBI.

Wsliznela sie do pomieszczenia, oswietlajac je latarka umieszczona na koncu H&K. Kiedy agent
dostrzegl sylwetke Jodiego, zrobil cos, co zdumialo Stephena.

Zaczal naciskac spust.

Byl to bardzo subtelny ruch. Lecz Stephen strzelal juz do tyłu zwierzat i ludzi, ze doskonale znal to
napiecie miesni i postawe tuz przed oddaniem strzalu.

Stephen musial dzialac szybko. Skoczyl, podbijajac w gore karabin agenta i wrywajac mu
mikrofon. Potem wbil noz w triceps, paralizujac mu prawe ramie. Czlowiek zawyl z bolu.

Pozwolono im strzelac! Nie moze sie poddac. Jesli sie pokaze, zastrzela. Z bronia lub bez.

- O Boze! - krzyknal Jodie. Niepewnie postapil naprzod. Rece wciaz trzymal w gorze, co
wygladalo niemal komicznie.

Stephen rzucil agenta na kolana, wcisnal mu na oczy helm z kevlaru i zakneblowal usta szmata.

- O Boze, zabiles go - wykrztusil Jodie, opuszczajac ramiona i podchodzac blizej.

- Zamknij sie - powiedzial Stephen. - Gdzie to wyjscie?

- Ale...

- No juz.

Jodie wytrzeszczyl oczy.

- Gdzie?

Jodie pobiegł do dziury w ścianie, a Stephen pociągnął agenta na korytarz.

Pozwolili im strzelac...

Lincoln Robak zdecydował, że trzeba go zabić. Stephen był wściekły.

- Zaczekaj tu - rozkazał Jodiemu.

Stephen wcisnął wtyczkę mikrofonu ze słuchawką z powrotem do radia i zaczął nasłuchiwać. Działali na kanale operacyjnym, a w biurówcu musiało być kilkunastu gliniarzy i agentów porozumiewających się podczas przeszukiwania różnych części budynku.

Nie miał czasu, ale musiał ich zatrzymać.

Stephen wywlokł bezwładnego agenta na żółty korytarz.

Znow wyciągnął noż.

Rozdział dwudziesty

45 godzin - godzina dwudziesta trzecia

- Niech to szlag. Niech to jasny szlag! - krzyknął Rhyme, opluwając sobie brode. Podszedł Thom i starł mu slinę, lecz Rhyme odpedził go niecierpliwie.

- Bo! - zawołał do mikrofonu.

- Tak? - odezwał się siedzący w furgonetce Haumann.

- Chyba rozgryzł zasadzkę i będzie się starał wydostać. Powiedz swoim agentom, żeby się przegrupowali w zespoły obronne. Nie chce, aby ktokolwiek został sam. Pchnij wszystkich do budynku. Chyba...

- Czekaj... Czekaj... O nie...

- Bo? Sachs? Niech się ktoś odezwie.

Nikt jednak nie odpowiadał.

Rhyme usłyszał krzyki w radiu. Połączenie zostało przerwane. Potem zaczął słyszeć urywane słowa:

- ...pomocy. Mamy ślady krwi... W biurowcu. Tak, tak... nie... na dole... piwnicy. Innelman nie odpowiada. Był... piwnicy. Do wszystkich, ruszać się. Ruszać!...

- Bell, słyszysz mnie? - zawołał Rhyme. - Podwoić straż przy świadkach. Nie zostawiaj, powtarzam, nie zostawiaj ich bez opieki. Trumniarz jest w pobliżu, nie wiemy dokładnie gdzie.

W słuchawce odezwał się spokojny głos Rolanda Bella:

- Siedza jak piskleta pod skrzydłem. Nikt tu nie wejdzie.

Przeciągające się oczekiwanie doprowadzało Rhyme'a do wściekłości. Nie potrafił tego znieść.

Chcialo mu sie krzyczec.

Gdzie on jest?

Waz w ciemnym pokoju.

Potem zameldowal sie jeden z agentow, mowiac Haumannowi i Dellrayowi, ze zabezpieczaja pietro po pietrze.

Na koniec Rhyme uslyszal:

- Piwnica zabezpieczona. Jezu, ile tu krwi. Nie ma Innelmana. Nie mozemy go znalezc! Chryste, ilez krwi!

- Rhyme, slyszysz mnie?

- Tak.

- Jestem w piwnicy biurowca - powiedziala do mikrofonu Amelia Sachs, rozgladajac sie.

Betonowe sciany mialy brudnozolta barwe, a podlogi pomalowano na szary kolor, który przywodził na myśl okret wojenny. Trudno było jednak nie dostrzec krwi, wszystko było nią spryskane, jak na koszmarnym obrazie Jacksona Pollocka.

Biedny agent, pomyslała. Innelman. Lepiej jak najszybciej go odszukac. Czlowiek, który traci tyle krwi, nie przezyje dluzej niz pietnascie minut.

- Masz zestaw? - spytal ja Rhyme.

- Nie mamy czasu! Krwawi jak diabli, musimy go znalezc!

- Spokojnie, Sachs. Zestaw. Otworz swoj zestaw.

Westchnela.

- No dobrze. Mam.

Zestaw narzedzi do zabezpieczania miejsca zbrodni zawieral linial, katomierz zaopatrzony w ciezarek, tasme miernicza, zestaw odczynnikow do testow chemicznych. Byl tez luminol - który wykrywa pozostalosci tlenu zelaza, nawet gdyby sprawca posprzatal dokladnie slady krwi.

- To jedna wielka jatka, Rhyme - powiedziala. - Nie bede w stanie nic znalezc.

- Miejsce moze nam powiedziec o wiele wiecej, niz ci sie wydaje, Sachs. To miejsce tez.

Coz, Rhyme na pewno by sie polapal w tej makabrycznej piwnicy; on i Mel Cooper od dawna byli czlonkami Miedzynarodowego Stowarzyszenia Analitykow Plam Krwi. (Nie wiedziala, co jest

bardziej poruszające - potworne kaluże na miejscach zbrodni czy fakt, że istnieje grupa ludzi specjalizujących się w ich badaniu). Tu jednak rzecz przedstawiała się beznadziejnie.

- Musimy go znaleźć...

- Sachs, uspokój się... Rozumiesz mnie?

- W porządku - odrzekła po chwili.

- Potrzebujesz tylko linijki - powiedział. - Najpierw mów, co widzisz.

- Wszędzie plamki.

- Ślady rozprysku krwi mogą dużo wyjaśnić. Ale są bez wartości przy niejednorodnej powierzchni. Jak wygląda podłoga?

- Gładki beton.

- To dobrze. Jak duże są te plamki? Zmierz.

- Rhyne, on umiera.

- Jak duże? - powtórzył ostro.

- Różnych rozmiarów. Kilkaset plam ma średnice około trzech czwartych cala. Niektóre są większe. Cal i więcej. Tysiące bardzo małych. Jakby rozpylano krew w sprayu.

- Zostaw te najmniejsze. To odpryski, satelity większych. Opisz największe. Kształt?

- W większości okrągłe.

- Brzegi postrzępione?

- Tak - mruknęła. - Ale są też z gładkimi brzegami. Kilka mam tuż przed sobą. Są jednak trochę mniejsze.

Gdzie on jest, zastanawiała się. Agent Innelman. Człowiek, którego nie znalazła. Zniknął, krwawiąc jak zarzynana świnia.

- Sachs?

- Co? - odburknęła.

- Opisz mi drobniejsze plamki.

- Nie mamy czasu!

- Nie mamy czasu, żeby to zlekceważyć - powiedział spokojnie.

Niech cie szlag, Rhyme, pomyslała, a potem odezwala sie:

- Dobra. - Zmierzyła. - Maja srednice okolo pol cala. Idealnie okragle. Brzegi niepostrzezione.

- Gdzie one sa? - zapytal niecierpliwie. - Przy ktoryms z koncow korytarza?

- Przede wszystkim w srodku. Na koncu korytarza znajduje sie jakis skladzik. W srodku i blisko srodka plamy sa wieksze i maja nierowne brzegi. Na drugim koncu korytarza sa mniejsze.

- Tak, tak - rzekl z roztargnieniem Rhyme, po czym zaczal wyjasniac: - A wiec sprawa wygladala tak... Jak sie nazywa ten agent?

- Innelman. John Innelman. To przyjaciel Dellraya.

- Trumniarz dopadl Innelmana w skladziku, zadal mu jeden cios nozem, dosc wysoko. Chcial go oslabic, moze trafil w ramie albo szyje. Stad te duze, nierowne plamy. Potem wywlokl go na korytarz i zadal jeszcze jeden cios, tym razem nizej. Dlatego sa tam mniejsze i okragle plamy krwi. Z im mniejszej wysokosci spadaja krople krwi, tym rowniejsze sa brzegi plam.

- Dlaczego to zrobil? - spytala, tracac oddech.

- Zeby nas na chwile zatrzymac. Wie, ze zanim zaczniemy go gonic, bedziemy szukac rannego agenta.

Ma racje, pomyslała, ale szukamy go bardzo powoli!

- Jak dlugi jest ten korytarz?

Westchnela, spogladajac w obie strony.

- Jakies piecdziesiat stop, mniej wiecej. Na calej dlugosci ciagna sie slady krwi.

- We krwi sa jakies odciski butow?

- Kilkadziesiat. Rozchodza sie we wszystkich kierunkach. Czekaj... tu jest winda dla obslugi. Nie zauwazylam jej z poczatku. Tam wlasnie prowadzi slady krwi! Na pewno jest w srodku. Trzeba...

- Nie, Sachs, zaczekaj. To by bylo zbyt oczywiste.

- Trzeba otworzyc drzwi windy. Polacze sie ze straza pozarna. Niech przysla kogos z kluczem do wind albo lomem. Wtedy bedzie...

- Posluchaj mnie - rzekl spokojnie Rhyme. - Czy plamki prowadzace do windy wygladaja jak lezki? Wezszymi koncami skierowanymi w rozne strony?

- Musi byc w windzie! Na drzwiach widac czerwone smugi. On umiera, Rhyme! Czy ty tego nie rozumiesz?

- Lezki, Sachs? - powtorzyl, starajac sie przybrac uspokajajacy ton. - Wygladaja jak kijanki?

Spojrzala w dol. Rzeczywiscie. Idealne kijanki, z ogonami skierowanymi w rozne strony.

- Tak, Rhyme. Wlasnie tak wygladaja.

- Wycofaj sie do miejsca, w ktorym sie koncza.

Czyste szalenstwo. Innelman wykrwawial sie w szybie windy. Przez chwile patrzyła na metalowe drzwi, myslac o tym, czy nie zignorowac polecen Rhyme'a, lecz potem poslusznie cofnela sie w glab korytarza.

Do miejsca, w ktorym urywaly sie lezkowate plamy.

- Znalazlam, Rhyme. Tu sie koncza.

- Obok jakiegos schowka albo drzwi.

- Tak, skad wiesz?

- Zaryglowane od zewnatrz?

- Zgadza sie.

Jak on to, u diabla, robi?

- Czyli agenci zobaczyli rygiel i poszli dalej - przeciez Trumniarz nie mogli sie zaryglowac od zewnatrz. W srodku jest Innelman. Otworz te drzwi, Sachs. Chwyc kombinerkami skobel, ale nie za sam uchwyt. Byc moze uda sie zdjac odcisk. Jeszcze jedno, Sachs.

- Tak?

- Nie sadze, zeby zostawil bombe. Mial za malo czasu. Ale bez wzgledu na to, w jakim stanie jest agent, a na pewno w kiepskim, zapomnij o nim przez chwile i sprawdz, czy nie ma zadnej pulapki.

- Dobrze.

- Obiecujesz?

- Tak.

Kombinerki... odsunac skobel... przekrecic galke.

Bron w gore. Nacisnac mocniej. Juz!

Drzwi odskoczyly.

Nie bylo bomby ani zadnej innej pulapki. Tylko bezwladne, blade, ociekajace krwia cialo Johna

Innelmana, które upadło u jej stop.

Zdusiła krzyk.

- Jest. Szybko, sanitariuszy! Jest okropnie pocięty.

Sachs pochylila się nad nim. Podbiegli dwaj ludzie z ambulansu i kilku agentów, wśród których był posepny Dellray.

- Co on ci zrobił, John? Stary... - Wysoki agent cofnął się, podczas gdy sanitariusze zabrali się do pracy. Rozcieli ubranie i obejrżeli rany. Innelman miał polotwarte, zamglone oczy.

- Czy on...? - spytał Dellray.

- Żyje, ale ledwie, ledwie.

Sanitariusze nałożyli opatrunki na rany, na nogę i ramię nałożyli opaski uciskowe, podłączyli przewód z osoczem.

- Bierzmy go do busa. Szybko, każda chwila się liczy!

Położyli agenta na noszach i pomknęli korytarzem. Dellray ruszył za nimi z opuszczoną głową, mruczac do siebie i sciskając w palcach zgasłego papierosa.

- Może mówić? - spytał Rhyme. - Wiecie już, dokąd mógł pójść Trumniarz?

- Nie, był nieprzytomny. Nie wiem, czy zdołają go uratować. Jezu.

- Musisz zachować spokój, Sachs. Mamy miejsce zbrodni. Musimy się dowiedzieć, gdzie jest Trumniarz, jeżeli w ogóle jeszcze jest w pobliżu. Wróć do składziku. Sprawdź, czy są tam jakieś drzwi albo okna prowadzące na zewnątrz.

Po drodze zapytała go:

- Skąd wiedziałeś o schowku?

- Zorientowałem się po kształcie plam krwi. Trumniarz wepchnął tam Innelmana, a potem nasaczył jego krwią jakiś szmat. Poszedł do windy, wymachując szmatą. Krople padały pod różnym kątem i stąd ich lezkowaty kształt. Ponieważ usiłował zaprowadzić nas do windy, powinniśmy szukać w przeciwnym kierunku. Czyli w składziku. Jesteś tam już?

- Tak.

- Opisz to pomieszczenie.

- Jedno okno wychodzące na alejkę. Wygląda, jakby zaczął je otwierać. Ale jest zakitowane na amen. Drzwi nie ma. - Wyjrzała przez okienko. - Nie widac stąd żadnych stanowisk snajperów. Nie

wiem, co go spłoszyło.

- Ty nie widzisz snajperów - rzekł z nutą cynizmu Rhyme. - On mógł zobaczyć. Dobra, teraz przejdź po siatce i może coś znajdziesz.

Dokładnie przeszukała składzik, zebrała mikroslady i schowała do torebek filtry z materiałem.

- Widzisz coś? Cokolwiek?

Poswieciła latarką po ścianach i zauważyła dwa bloki, które zdawały się do siebie nie pasować. Między nimi była wąska szczelina, ale ktoś zwinny mógłby się przez nią przecisnąć.

- Wiem, kto kiedy uciekł, Rhyme. Przez ściany. Łuzne bloki betonowe.

- Nie otwieraj. Wezwij agentów.

Sprowadziła do składziku dwóch ludzi, którzy wyciągnęli bloki i omiotali wejście latarkami zamontowanymi na lufach H&K.

- Czysto - oznajmił jeden z agentów. Sachs wyciągnęła broń i wśliznęła się w chłodną, wilgotną przestrzeń.

Schodzący w dół korytarz był wąski, wypełniony gruzem. Wiodł przez dziury w fundamentach. Z góry kapłała woda. Sachs starała się stapać po dużych kawałkach betonu, nie dotykając wilgotnej ziemi.

- Co widzisz, Sachs? Mów!

Oświetliła piórem PoliLight miejsca, gdzie zgodnie z logiką Trumniarz musiał się przytrzymywać rękami i stawiać stopy.

- Kurcze, Rhyme.

- Co?

- Odciski palców. Całkiem świeże... Czekać, są też odciski rękawiczek. Z krwią, pewnie z tej szmaty. Nie rozumiem. To jakaś jaskinia... Może z jakiegoś powodu zdjął rękawiczki. Może sądził, że w tunelu jest bezpieczny.

Potem spojrzała w dół i skierowała tam snop upiornego żółtozielonego światła.

- Och.

- Co się stało?

- To nie jego odciski. Jest z nim ktoś jeszcze.

- Ktos jeszcze? Skad wiesz?

- Sa slady innych stop. Tez swieze. Jedne slady sa wieksze, drugie mniejsze. Ida w te sama strone, biegną. Jezu, Rhyme.

- O co chodzi?

- To znaczy, ze ma wspolnika.

- Daj spokoj, Sachs. Spojrz na to z drugiej strony - poradzil jej niemal wesolo Rhyme. - Bedzie dwa razy wiecej sladow, ktore pomoga go wytropic.

- Wydaje mi sie - powiedziala ponuro - ze raczej stal sie dwa razy niebezpieczniejszy.

- Co mamy? - spytal Lincoln Rhyme.

Sachs wrocila juz do jego domu i teraz razem z Melem Copperem przegladala material zebrany w biurowcu przy Trzydziestej Piatej. Z agentami jednostki specjalnej szla tropem az do miejsca, w ktorzym tunel laczył sie z kanalami i tam slad sie urywal. Wygladalo na to, ze Trumniarz ze swoim towarzyszem wyszli przez wlasz kanalizacyjny na ulice.

Sachs podala Cooperowi odcisk, ktory znalazla przy wejsciu do tunelu. Zeskanowal go w komputerze i wyslal do federalnych, by sprawdzili w automatycznym systemie identyfikacji odciskow palcow.

Potem uniosla dwie odbitki elektrostatyczne, by Rhyme mogl sie im przyjrzec.

- To sa slady stop z tunelu. Ten zostawil Trumniarz. - Pokazala przezroczysty arkusz przypominajacy zdjecie rentgenowskie.

- Pasuje do odcisku z gabinetu psychiatry na pierwszym pietrze, do ktorego sie wlamal.

- Zwyczajne buty robocze - rzekl Rhyme.

- Mozna by pomyslec, ze chodzi w wojskowych - mruknal Sellitto.

- Nie, to by bylo zbyt proste. Buty robocze maja gumowe podeszwy dla lepszej przyczepnosci i stalowe nakladki na palcach. Sa rownie dobre jak wojskowe, jesli nie musisz miec unieruchomionej kostki. Pokaz mi drugi slad, Sachs.

Mniejsze buty byly wyraznie zdarte na obcasach i w srodstopiu. W prawym bucie znajdowala sie duza dziura, przez ktora widac bylo siatke zmarszczek na skorze.

- Nie nosi skarpet. Mozliwe, ze jego przyjaciel to bezdomny.

- Dlaczego wzial sobie kogos do towarzystwa? - zapytal Cooper.

- Nie wiem - odrzekł Sellitto. - Wiadomo, że Trumniarz zawsze działa w pojedynkę. Wykorzystuje ludzi, ale im nie ufa.

O to samo zawsze oskarżano mnie, pomyślał Rhyme.

- Zostawia odciski palców? - spytał głośno. - Ten gość nie jest zawodowcem. Musi być Trumniarzowi do czegoś potrzebny.

- Przede wszystkim do wskazania drogi ucieczki z biurowca - podsunęła Sachs.

- Całkiem możliwe.

- Prawdopodobnie ten człowiek już nie żyje - dodała.

Prawdopodobnie, zgodził się milczaco Rhyme.

- Ślady są dość małe - powiedział Cooper. - Rozmiar chyba osemka.

Rozmiar podeszwy niekoniecznie odpowiada rozmiarowi butów i o wiele mniej mówi o posturze ich właściciela, lecz właściwie można było przyjąć, że współnik Trumniarza był raczej drobnej budowy.

Cooper zabrał się do mikroskopów. Umieścił próbki na płytce i wsunął pod mikroskop, przelaczając obraz do komputera Rhyme'a.

- Tryb poleceń, kursor w lewo - rzucił Rhyme do mikrofonu.

- Stop. Kliknij dwa razy. - Wpatrywał się w powiększony obraz.

- Zaprawa z żużlowych bloków. Ziemia, kurz... Skąd to jest, Sachs?

- Zdrapałam z okolic bloków i schyliłam z podłogi tunelu. Znalazłam też małe niszki za kartonami. Wygląda, jakby ktoś się tam wcześniej chował.

- No dobrze. Mel, potraktuj to gazem. Jest tu mnóstwo rzeczy, których nie umiem rozpoznać.

Chromatograf zahuczał, rozdzielając związki chemiczne, i wysłał opary do spektrometru. Cooper spojrział na wyświetlone na ekranie wyniki. Gwizdnął zdumiony.

- Dziwicie się, że jego przyjaciel jeszcze chodzi.

- Mogłbyś wyrazić się ściślej, Mel?

- Lincoln, on jest chodzącą apteką. Barbital, luminal, deksedryna, amobarbital, chlordiazepoksyd, diazepam.

- Jezu - mruknął Sellitto. - Czerwone i niebieskie kapsułki, amfa...

- Jest też laktoza i sacharoza - ciagnal Cooper. - Wapno, witaminy, enzymy pochodzące z produktów mlecznych.

- Formula niemowleca - mruknal Rhyme. - Dealerzy w ten sposób rozcienczaja narkotyki.

- Czyli Trumniarz wzial sobie na kumpla jakiegos szajbusa.

- Gabinety lekarskie w biurowcu... - powiedziala Sachs. - Ten gość musial je obrabiac z tabletek.

- Polacz sie z federalna baza danych - rzekl Rhyme. - Wez liste wszystkich przesiadywaczy spod aptek, jakich maja.

Sellitto wybuchnal smiechem.

- Lincoln, to bedzie wielka ksiazka telefoniczna.

- Nikt nie twierdzi, ze bedzie latwo, Lon.

Ale wczesniej Cooper dostal e-mail.

- Nie zawracaj tym sobie glowy.

- Co?

- Raport z federalnego systemu identyfikacji, widzisz? - Technik stuknal w monitor. - Kimkolwiek jest ten facet, nie maja go w kartotekach Nowego Jorku ani w stanowej, ani NCIC*.

- Cholera! - warknal przez zacisniete zeby Rhyme. Czul sie, jakby ciazyla nad nimi klatwa. Czy to nie moglo byc choc troche latwiejsze? - Mamy jeszcze jakis material? - spytal cicho.

- Cos jest - odrzekl Cooper. - Chyba kawalek niebieskiego kafla z resztką zaprawy, przyklejony do betonu.

- Zobaczymy.

Cooper wlozyl okruch pod mikroskop.

Mimo drzenia szyi, przechodzacego w spazm, Rhyme pochylil sie i wbil wzrok w monitor.

- No dobrze. Stara mozaikowa plytka. Porcelana, troche spekana, na olowiu. Moim zdaniem ma jakies szescdziesiat, siedemdziesiat lat. - Z plytki jednak nie potrafil nic wydedukowac. - Cos jeszcze? - mruknal.

- Wlosy. - Cooper polozyl je na szkieleku mikroskopu i pochylil sie nad okularem.

Rhyme rownoczesnie badal cienkie slupki na monitorze.

- Zwierzece - oznajmil.

- Znowu kocie? - spytał Sellitto.

- Zobaczymy - odparł Cooper, nie unosząc głowy.

Lecz te włosy nie pochodziły z kota. Była to sierść gryzonia.

- Szczur - powiedział Rhyme. - *Rattus noruegicus*. Zwyczajny szczur z kanałów.

- Dalej. Co jest w tej torebce, Sachs? - Rhyme pytał jak zgłodniałe dziecko, spoglądające lakomie na czekoladki w witrynie sklepu ze słodyczami. - Nie, nie w tej. Tak, w tamtej.

W torebce spoczywał kawalek papierowego ręcznika z ledwie widoczna brązowa plama.

- Znalazłam to na bloku zuzłowym, tym, który przesunął. Chyba ten facet miał to na rękach. Nie ma odcisków, ale kształt plamy wskazuje, że mógł ją zrobić reka.

- Dlaczego tak myślisz?

- Bo wsadziłam reke w coś brudnego, a potem pchnęłam drugi blok. Ślad był taki sam.

I to jest moja Amelia, pomyślał. Na chwilę wróciło wspomnienie wczorajszej nocy - oboje razem w jego wielkim łóżku. Szybko odsunął od siebie te myśli.

- Co to jest, Mel?

- Wygląda jak smar. Wymieszany z kurzem, brudem, fragmentami drewna i jakiegoś materiału organicznego. Chyba miesem zwierzęcym. Wszystko bardzo stare. Popatrz, tu w górnym rogu.

Rhyme zobaczył na ekranie monitora srebrzyste plamki.

- Metal. Opilki czegoś metalowego. Gazem. Musimy wiedzieć o wszystkim.

Cooper włożył próbkę do chromatografu.

- Substancja ropopochodna - oznajmił. - Słabo przerobiona, bez dodatków... Jest żelazo ze śladami manganu, krzemu i węgla.

- Czekaj - zawołał Rhyme. - A nie ma chromu, kobaltu, miedzi, niklu, wolframu?

- Nie.

Rhyme spojrzał na sufit.

- Metal? Stara stal, wytapiana z surowki w piecu bessemerowskim. Gdyby pochodziła z bardziej współczesnych czasów, musiałaby zawierać niektóre z tych pierwiastków.

- Jest coś jeszcze. Smoła węglowa.

- Kreozot! - wrzasnal Rhyme. - Mam cie. Pierwszy powazny blad Trumniarza. Jego wspolnik to chodzaca mapa ich drogi.

- Drogi dokad? - zapytala Sachs.

- Do metra. Stary smar, stal ze starych torow i hakow szynowych, kreozot z podkladow. Aha, a ten kawalek kafla jest z mozaiki. Duzo starych stacji bylo wylozonych kafelkami - z obrazkami zwiazanymi z okolica.

- Jasne - powiedziala Sachs. - Na stacji Astor Place jest mozaika ze zwierzetami, ktorymi handlowal John Jacob Astor.

- Popiekana porcelanowa plytka. A wiec po to byl potrzebny Trumniarzowi. Zeby pokazal mu kryjowke. Przyjaciel Trumniarza to pewnie bezdomny cpun, ktory mieszka w nieuzywanej bocznicy, w tunelu albo na starej stacji.

Rhyme zorientowal sie nagle, ze wszyscy patrza na cien stojacego w drzwiach czlowieka. Zamilkl.

- Dellray? - spytal niepewnie Sellitto.

Ukazala sie ciemna, posepna twarz Freda Dellraya.

- Co jest? - zapytal Rhyme.

- Innelman. Pozszywali go. Zalozyli mu trzysta szwow. Ale bylo za pozno. Stracil za duzo krwi. Wlasnie umarl.

- Przykro mi - powiedziala Sachs.

Agent uniosl dlonie, rozcapierzajac dlugie palce.

Wszyscy obecni w pokoju wiedzieli o dlugoletnim partnerze Dellraya, ktory zginal podczas zamachu bombowego na budynek federalny w Oklahoma City. Rhyme pomyslal tez o Tonym Panellim - porwanym kilka dni temu w srodku miasta. Prawdopodobnie juz nie byl, a jedynym sladem, ktory moglby pomoc go odnalezc, byly ziarna dziwnego piasku.

Teraz odszedl kolejny z przyjaciol Dellraya.

Agent zaczal chodzic po pokoju wolnym, ciezkim krokiem.

- Wiecie, po co ten skurwiel zadzgal Innelmana?

Wszyscy wiedzieli; nikt jednak nie odpowiedzial.

- Zeby odwrocic nasza uwage. To jedyny powod. Zebysmy zgubili trop. Mozecie w to uwierzyc? Zebysmy, kurwa, zgubili trop. - Zatrzymal sie gwaltownie. Spojrzal na Rhyme'a czarnymi oczyma, w

których tliła się wściekłość. - Masz w ogóle jakieś punkty zaczepienia, Lincoln?

- Niewiele. - Powiedział mi o bezdomnym przyjacielu Trumniarza, lekach, kryjówce w metrze. W bliżej niesprecyzowanym miejscu.

- To wszystko?

- Niestety tak. Ale mamy jeszcze trochę dowodów do zbadania.

- Dowodów - szepnął pogardliwie Dellray. Podeszedł do drzwi i przystanął. - Odwrócenie uwagi. Nie ma żadnego powodu, żeby zginał dobry chłopak. Żadnego, kurwa, powodu.

- Fred, zaczekaj... potrzebujemy twojej pomocy.

Ale agent już nie słyszał albo nie chciał słyszeć. Wyszedł z pokoju.

Chwile później drzwi na dole zamknęły się z głośnym trzaskiem.

Rozdział dwudziesty pierwszy

45 godzin - godzina dwudziesta czwarta

- Nareszcie w domu - powiedział Jodie.

Materac, dwa kartony starych ubran, jedzenie w puszkach. Czasopisma - „Playboy”, „Penthouse” i tanie pornosy, które Stephen obrzucił zniesmaczonym spojrzeniem. Jakies dwie książki. Cuchnaca stacja metra, gdzie mieszkał Jodie, znajdowała się gdzieś pod centrum miasta. Została zamknięta kilkadziesiąt lat temu i zastąpiona stacją położoną wyżej.

Dobre miejsce dla robaków, pomyślał ponuro Stephen, po czym z trudem odgonił ohydny obraz.

Weszli na małą stację z niższego peronu. Dotarli tutaj - dwie lub trzy mile od bezpiecznego domu - idąc cały czas pod ziemią, przez piwnice budynków, tunele, szerokie i wąskie rury kanalizacyjne. Po drodze zostawili fałszywy trop - otwarty wjazd do kanałów. W końcu weszli do tunelu metra i pokonali go w całkiem dobrym czasie, choć Jodie miał kiepską kondycję i ciężko dyszał, usiłując dotrzymać kroku pedzaczemu naprzód Stephenowi.

Prowadzące na ulice drzwi były od środka zabite deskami. Spomiędzy szpar w belkach padały ukosne promienie światła, w których tanczył kurz. Stephen wyjrzał na zewnątrz i zobaczył zaciągnięte chmurami niebo. Była to biedna część miasta. Na rogach ulic siedzieli włóczędzy, na chodnikach wałęsały się butelki po thunderbirdzie i colcie 44, ulice były upstrzone kapslami z fiolek. W ciemnej alejce przycupnął duży szczur, pozerając coś szarego.

Stephen usłyszał za sobą jakiś brzek. Odwrócił się i zobaczył, jak Jodie wsypuje garść ukradzionych tabletek do puszek po kawie. Zgarbiony uważnie sortował kolorowe pigułki. Stephen pogrzebał w torbie i wydobyl telefon komórkowy. Zadzwoił do mieszkania Sheili. Spodziewał się, że odezwie się automatyczna sekretarka, lecz usłyszał nagrany komunikat, że linia jest uszkodzona.

- O nie...

Stał jak ogłuszony.

Oznaczało to, że torebka z ładunkiem w mieszkaniu Sheili eksplodowała. Czyli dowiedzieli się, że tam był. Jakim cudem, do cholery?

- Dobrze się czujesz? - spytał Jodie.

Jak?

Lincoln, Krol Robakow. Tak się dowiedzieli!

Lincoln, biała robaczywa twarz przyglądająca mu się z okna...

Stephen poczuł, jak zaczynają mu się pocieć dłonie.

- Hej?

Stephen unosił głowę.

- Wyglądasz jakby...

- Wszystko w porządku - odrzekł krótko.

Przeszan się zadreżać, powiedział do siebie w duchu. Jeżeli wybuch rzeczywiście nastąpił, zmiotł całe mieszkanie i zniszczył najmniejszy ślad. Wszystko w porządku. Jesteś bezpieczny. Nigdy cie nie znajda, nie złapia. Robaki cie nie dostana...

Spojrzał na Jodiego, który uśmiechał się z zaciekawieniem. Napiecie ustąpiło.

- Nic, nic - powiedział. - Mała zmiana planów. - Wylaczył telefon.

Stephen ponownie otworzył torbę i odliczył pięć tysięcy dolarów.

- Masz swoją kasę.

Na widok pieniędzy Jodie osłupiał. Spoglądał to na banknoty, to na Stephena. Wyciągnął drżącą chudą dłoń i ostrożnie wziął pięć tysięcy, jakby papier mógł się rozpaść, gdyby chwycił go za mocno.

Odbierając pieniądze, Jodi na chwilę musnął dłońią rękę Stephena. Mimo rękawiczki morderca poczuł silne, wibrujące gorąco dotknięcia - jak wtedy, gdy dostał nożem w brzuch - szokujące, choć pozbawione bólu. Stephen puścił banknoty i odwracając wzrok, powiedział:

- Jeśli jeszcze coś dla mnie zrobisz, dostaniesz dziesięć kawalków.

Na napuchniętą, czerwoną twarz włocheży wypelzł niepewny uśmiech. Głęboko nabrał powietrza i zaczął grzebac w jednej z puszek po kawie.

- Troche... się zdenerwowałem. - Znalazł pastylkę i polknął. - To niebieski diabełek. Dobrze robi. Miło się po nim człowiek czuje. Chcesz jednego?

- Mhm...

Zolnierzu, czy mezczyzni od czasu do czasu pozwalaja sobie na drinka?

Melduje, ze nie wiem.

Owszem, pozwalaja. Poczestuj sie.

Nie sadze, zeby...

Poczestuj sie, zolnierzu. To rozkaz.

Wlasciwie...

Jestes dziewczynka, zolnierzu? Masz cycuszki?

Melduje, ze... ze nie mam.

A wiec bierz, zolnierzu.

Tak jest.

- Chcesz jednego? - powtorzyl Jodie.

- Nie - wyszeptal Stephen.

Jodie zamknal oczy i polozyl sie na wznak.

- Dziesiec... tysiecy... - Po chwili zapytal: - Zabiles go, nie?

- Kogo?

- Tego gliniarza w piwnicy. Ty, a soku pomaranczowego chcesz?

- Agentu? Byc moze go zabilem. Nie wiem. Nie zalezalo mi na tym.

- Trudno zrobic cos takiego? Nie, pytam tak sobie, z ciekawosci. Chcesz soku? Pije go bez przerwy. Po tabletkach bardzo chce sie pic. Robi sie sucho w ustach.

- Nie. - Puszka byla brudna. Mozliwe, ze oblazly ja robaki. Moze nawet wpelzly do srodka. Wypilbym robaka, nawet o tym nie wiedzac... Wzdrygnal sie. - Masz tu biezaca wode?

- Nie. Ale mam w butelkach. Mineralna. Ukradlem w supermarkecie.

Skulil sie.

- Musze umyc rece.

- Po co?
- Zeby zmyc krew. Przesiakła przez rekawiczki.
- Aha. Tam jest. Dlaczego cały czas nosisz rekawiczki? Nie chcesz zostawiać odcisków?
- Zgadza się.
- Byles w wojsku, co? To widac.

Stephen już miał sklamac, ale nieoczekiwanie zmienił decyzję.

- Nie - powiedział. - Prawie byłem. W piechocie morskiej. Chciałem się zaciagnąć. Moj ojczym był w piechocie morskiej i chciałem iść na ochotnika tak jak on.

- Semper fidelis*.

- Zgadza się.

Zapadła cisza. Jodie przyglądał mu się wyczekująco.

- Co się stało?

- Probowałem, ale nie chcieli mnie przyjąć.

- To głupie. Ciebie nie chcieli przyjąć? Byłbyś świetnym żołnierzem. - Jodie obejrzał Stephena od stop do głowy, kiwając głową. - Jesteś silny. Masz niezłe mięśnie. Ja... - Rozesmiał się. - Ja w ogóle nie ćwiczę, czasem tylko uciekam przed czarnuchami albo dziećmi, jak chcą mnie obić. Zresztą i tak mnie zawsze łapia. Jesteś też przystojny. Jak żołnierze z filmów.

Stephen poczuł, że robaki znikają, a on, Boże... zaczyna się rumienić. Wbił wzrok w ziemię.

- Nie wiedziałem.

- No co ty. Załóż się, że twoja dziewczyna też tak myśli.

Znow robaki.

- Właściwie...

- Nie masz dziewczyny?

- Gdzie schowałeś te wode? - spytał Stephen.

Jodie pokazał pudło z butelkami mineralnej. Stephen otworzył dwie i zaczął myć ręce. Zwykle nie cierpiał tego robić, kiedy ktoś na niego patrzył. Gdy przyglądali mu się ludzie, kulil się, a robaki nie chciały odejść. Jednak teraz nie przeszkadzało mu, że Jodie patrzy.

- To nie masz dziewczyny, co?

- Teraz nie - odpowiedział ostrożnie Stephen. - Ale nie jestem homo ani nic w tym rodzaju.

- Wcale tak nie pomyślałem.

- Nie wierze w to, co inni. Na przykład mysle, że moj ojczym nie miał racji. Mówił, że AIDS to bron, która Bog chce wymierzyć karę homoseksualistom. Ale gdyby Bog naprawdę chciał się pozbyć pedałow, toby się ich pozbył. Bez ryzyka, że mogą się zarazić normalni ludzie.

- Logiczne - rzekł Jodie. - Ja też nie mam dziewczyny. - Zasmiał się z goryczą. - Zresztą jakim cudem miałbym mieć? Nie? Co ja mam? Nie jestem taki przystojny jak ty, nie mam kasy... jestem tylko pieprzonym cpunem.

Stephen czuł, jak twarz mu plonie. Mył ręce coraz zjadlej.

Szoruj skóre, tak, tak...

Robaki, precz...

Patrzac na ręce, Stephen ciagnał:

- Ostatnio znalazłem się w takiej sytuacji, że nie interesuje się kobietami tak jak inni faceci. Ale to chwilowe.

- Chwilowe - powtórzył Jodie.

Oczy wbil w kostkę mydła, jak gdyby był to wiezien planujacy ucieczke.

- Chwilowe. Z powodu pracy. Musze zachowac czujnosc.

- Jasne. Czujnosc.

Szoruj, szoruj. Mydło pienilo się jak targane sztormem morze.

- Zabiles kiedy pedala? - spytał z ciekawoscia Jodie.

- Nie wiem. Powiem ci, że nigdy nikogo nie zabilem dlatego, że był homoseksualista. To by nie miało sensu. - Ręce zaczęły go piec i swędzić. Szorował jeszcze mocniej, nie patrząc na Jodiego. Nagle poczuł, że przepelnia go dziwne pragnienie - by porozmawiac z kims, kto byc może go zrozumie. - Widzisz, ja nie zabijam ludzi dla samego zabijania.

- W porządku - odparł Jodie. - Ale jak na ulicy podejdziesz do ciebie jakiś pijak, popchnie cie i powie do ciebie, bo ja wiem, „ty pieprzony pedale”. Zabilbys go, nie? Powiedzmy, że nikt by się o tym nie dowiedział.

- Ale... przeciez pedał tak czy tak bywa pieprzony, nie?

Jodie zamrugnął oczami i wybuchnął śmiechem.

- A to dobre.

Czyżbym powiedział coś dowcipnego? - zastanawiał się Stephen. Uśmiechnął się zadowolony, że zrobił wrażenie na Jodiem.

- No dobra - ciągnął Jodie. - Powiedzmy, że nazwał cię skurwysynem.

- Oczywiście, że bym go nie zabił. Skoro mówimy o pedałach, pomyśl też o Murzynach i Żydach. Nie zabiłbym Murzyna, chyba że dostałbym zlecenie i ofiara przypadkowo byłaby Murzynem. Pewnie są jakieś powody, dla których Murzyni nie powinni żyć, a przynajmniej mieszkać w tym kraju. Mój ojczym znalazłby dużo takich powodów. Zwykle miałem podobne poglądy jak on. Podobne zdanie miał o Żydach, ale tu się z nim nie zgadzam. Żydzi są dobrymi żołnierzami. Szanuje ich.

- Widzisz - ciągnął. - Zabijanie to tylko biznes. Pomyśl o Kent State. Byłem wtedy dzieckiem, ale ojczym mi opowiadał. Słyszales o Kent State? O tych studentach, do których strzelała Gwardia Narodowa?

- Pewnie, że słyszałem.

- I tak naprawdę nikogo nie obchodziło, że ci studenci zgineli, nie? Ale strzelanie do nich nie miało sensu. Zupełnie bez celu. Jeżeli ktoś chce zwalczyć jakiś ruch, czy co to było, powinien namierzyć przywódców i ich sprzątnąć. Wtedy byłoby łatwiej. Przeprowadzić rozpoznanie, ocenić, zmylić, odizolować i wyeliminować.

- Tak właśnie zabijasz ludzi?

- Rozpoznajesz teren. Oceniasz trudność zadania i możliwości obrony wroga. Wszystkich trzeba zmylić, odwracając ich uwagę od ofiary - na przykład sprawić, żeby uwierzyli, że ich atakujesz, a potem się okazuje, że to tylko chłopak na posyłki albo czyszcibut. Tymczasem ty docierasz do ofiary. Izolujesz ją i eliminujesz.

Jodie popijał sok pomarańczowy. W rogu pietrzyło się kilkadziesiąt pustych puszek. Wydawało się, że odżywia się wyłącznie sokiem.

- Wiesz - powiedział, ocierając usta rekawem - wszyscy myślą, że zawodowi mordercy są szurnięci. Ale ty wcale taki nie jesteś.

- Nie sądzę, że bym był szurnięty - rzekł pogardliwie Stephen.

- Ci ludzie, których zabijasz, są zli? Na przykład oszuści, ludzie z mafii czy inni tacy?

- Zawsze zrobili coś złego ludziom, którzy mi płacą, że bym ich zabił.

- Czyli są zli?

- Pewnie.

Jodie zasmiał się glupkowato, z polprzymkniętymi oczyma.

- Niektorzy mówią, że tacy jak ty nie zawsze wiedzą, co jest dobre, a co złe.

- No dobra, co jest dobre, a co złe? - odparł Stephen. - Robię to samo co Bóg. W katastrofach kolejowych giną dobrzy i zli ludzie i nikt nie ma o to do Boga pretensji. Niektorzy zawodowi mordercy mówią o swoich ofiarach „cele” albo „obiekty”. Słyszałem o jednym, który nazywał ofiary „zwłokami”. Jeszcze przed wykonaniem zadania. Na przykład: „Zwłoki wysiadają z samochodu. Biore je na cel”. Latwiej mu chyba myśleć w ten sposób o ofierze. Mnie to nie obchodzi. Nazywam ich normalnie. Ofiary, które teraz namierzam, to Zona i Przyjaciół. Zabiję już Meza. Tak o nich myślę. Są ludźmi, których zabijam, i tyle.

Jodie myślał nad tym, co przed chwilą usłyszał.

- Wiesz co? Myślę, że wcale nie jesteś zły. A wiesz dlaczego?

- No?

- Bo zło to coś, co wygląda niewinnie, a dopiero potem wychodzi z niego prawdziwa natura. A ty jesteś, jaki jesteś. To chyba dobrze.

Stephen bawił się czystymi paznokciami. Poczuli, że znów się rumieni. Wreszcie zapytał:

- Boisz się mnie, co?

- Nie - odrzekł Jodie. - Nie chciałbym cię mieć przeciw sobie. O nie. Ale mam wrażenie, że jesteśmy przyjaciółmi. Chyba byś mi nie zrobił krzywdy.

- Nie - powiedział Stephen. - Jesteśmy współnikami.

- Mówiłeś o swoim ojczymie. Żyje?

- Nie, umarł.

- Przykro mi. Kiedy o nim powiedziałeś, pomyślałem o swoim ojcu - też już nie żyje. Zawsze mówił, że na świecie ludzie najbardziej szanują sztukę. Lubił patrzeć, jak utalentowany człowiek robi coś najlepiej, jak umie. Jak ty.

- Sztuka - powtórzył Stephen, czując, jak przepelniają go nieokreślone uczucia. Przyglądał się, jak Jodie chowa pieniądze w dziurze w brudnym materacu. - Co chcesz zrobić z tą kasą?

Jodie usiadł, wbijając w niego otumaniony, lecz poważny wzrok.

- Chcesz, żebym ci coś pokazał? - Pod wpływem narkotyku jego głos stał się niewyraźny.

- Jasne.

Z kieszeni wyciągnął książkę. Na okładce widniał tytuł „Koniec z zależnością”.

- Ukradłem ją w księgarni na Saint Mark. To taki poradnik dla ludzi, którzy nie chcą już być alkoholikami albo narkomanami. Zupełnie niezły. Pisz tu o takich klinikach. Znalazłem jedną w New Jersey. Spędzasz tam miesiąc - cały miesiąc - i wychodzisz czysty. Podobno to naprawdę działa.

- Świetnie - rzekł Stephen. - Podoba mi się ten pomysł.

- No, wiesz. - Jodie skrzywił się. - Kosztuje czterdzieści tysięcy.

- Poważnie?

- Za jeden miesiąc. Masz pojęcie?

- Ktoś robi na tym niezłe pieniądze. - Stephen zarabiał sto pięćdziesiąt tysięcy za jedną robotę, lecz nie podzielił się tą informacją z Jodiem, swoim nowym przyjacielem i współnikiem.

Jodie westchnął, ocierając oczy. Zdaje się, że narkotyki wywoływały u niego większą płaczliwość. Jak u ojczyma Stephena, kiedy pił.

- Całe życie miałem takie popieprzone - powiedział. - Chodziłem do college'u. No, radziłem sobie zupełnie niezłe. Potem trochę uczyłem w szkole. Pracowałem w jednej firmie. Później mnie wylali. Wszystko się posypało. Straciłem mieszkanie... Zawsze miałem kłopoty z tabletkami. Zaczęłam kręcić... Niech to szlag...

Stephen usiadł obok niego.

- Dostaniesz pieniądze i pojedziesz do tej kliniki. Wszystko się jakos ułoży.

Jodie uśmiechnął się do niego z trudem.

- Mój ojciec mówił mi coś takiego: kiedy musisz zrobić coś trudnego, nie myśl, że trudności to problem. Pomyśl, że to tylko czynnik. Rzecz, nad którą trzeba się zastanowić. Patrzył mi w oczy i mówił: „To nie problem, to tylko czynnik”. Probuje o tym nie zapominać.

- Nie problem, tylko czynnik - powtórzył Stephen. - Podoba mi się.

Stephen położył dłoń na nodze Jodiego, by dać mu do zrozumienia, że naprawdę podoba mu się to zdanie.

Zołnierzu, co tu robisz, do kurwy niedzy?

Melduje, że jestem teraz zajęty. Zamelduje się później.

Zołnierzu...

Później!

- Twoje zdrowie - rzekł Jodie.

- Nie, twoje - odparł Stephen.

Wzniesli toast wodą mineralną i sokiem pomarańczowym, by uczcić ich osobliwy sojusz.

Rozdział dwudziesty drugi

45 godzin - godzina dwudziesta czwarta

Labirynt.

Metro nowojorskie ma łączną długość ponad dwustu pięćdziesięciu mil i składa się z kilkunastu oddzielnych tuneli, które przecinają cztery z pięciu dzielnic (z wyłączeniem Staten Island, choć mieszkańcy wyspy mają oczywiście słynny prom).

Satelita mogłoby odnaleźć zagłówek dryfujący po północnym Atlantyku szybciej niż zespół Lincolna Rhyme'a dwóch mężczyzn ukrywających się w metrze Nowego Jorku.

Rhyme, Sellitto, Sachs i Cooper sletzeli nad mapą metra, przyklejona napędce na ścianie. Oczy Rhyme'a śledziły różnokolorowe kreski oznaczające poszczególne linie; niebieska oznaczała linię Osmej Alei, zielona Lexington, a czerwona Broadway.

Rhyme miał szczególnie przykre wspomnienia związane z systemem kolei podziemnej. To właśnie w wykopie na budowie metra odłamała się słaba belka i roztrzaskała mu kregosłup - dokładnie w momencie, gdy pochylał się, by podnieść złote jak anielskie włosy włókno z ciała ofiary morderstwa.

Jednak nawet przed wypadkiem metro odgrywało ważną rolę w badaniach kryminalistycznych departamentu nowojorskiego. Kiedy Rhyme kierował jeszcze wydziałem, pilnie studiował układ linii: pokrywały tak ogromny obszar, a w ciągu wielu lat wykorzystywano do budowy tyle różnych materiałów, że na podstawie mikrosładow często można było określić, która linia jechał sprawca lub nawet w której dzielnicy albo stacji wsiadł do metra. Rhyme od lat zbierał próbki materiałów z metra - niektóre pochodziły jeszcze z zeszłego wieku. (Właśnie w roku 1860 Alfred Beach, wydawca „New York Sun” i „Scientific American”, postanowił zaadaptować swój pomysł przesyłania poczty wąskimi rurami pneumatycznymi do transportowania ludzi szerszymi tunelami).

Rhyme polecił komputerowi wybrać numer i po chwili rozmawiał z Samem Hoddlestonem, szefem Ochrony Transportu. Podobnie jak policja dzielnicowa, była to regularna policja Nowego Jorku, nierozniaca się niczym od departamentu miejskiego, tyle że do jej zadań należała ochrona systemu komunikacyjnego miasta. Hoddleston znalazł Rhyme'a jeszcze z dawnych czasów. Kiedy

Lincoln przedstawił się, z ciszy, jaka zapadła, wywnioskował, że Sam, podobnie jak jego wielu byłych kolegów, nie wiedział, że Rhyme wrócił do żywych niemal znad grobu.

- Mamy wyłączyć jakąś linię? - zapytał Hoddleston, gdy Rhyme krótko streszczył sprawę. - I zarządzić przeszukanie?

Sellitto usłyszał pytanie przez głośnik telefonu i pokręcił przecząco głową.

Rhyme zgodził się z nim.

- Nie, nie chcemy się odkryć. W każdym razie sądzę, że są gdzieś w starej części.

- Wyłączonych stacji nie jest dużo - rzekł Hoddleston. - Ale chyba setka starych bocznicy i placów budowy. Słuchaj, Lincoln, co u ciebie?

- W porządku, Sam. W porządku - rzekł szybko Rhyme, jak zwykle uchylając się od odpowiedzi na podobne pytania. Po chwili dodał: - Rozmawialiśmy o tym - naszym zdaniem prawdopodobnie błąd przemieszczania się pieszo. Raczej nie wsiada do pociągu. Czyli najprawdopodobniej są na Manhattanie. Mamy tu mapę i chcielibyśmy, żebyś nam pomógł zauważyć trochę teren poszukiwany.

- Jasne - odrzekł Sam.

Rhyme nie pamiętał, jak Hoddleston wyglądał. Z głosu można było wnioskować, że jest atletyczny i wysportowany, lecz Rhyme przypuszczał, że on sam przez telefon mógł uchodzić za olimpijczyka, jeśli rozmówca nie widział jego kalekiego ciała.

Rhyme zastanawiał się teraz nad resztą materiałów, które Sachs znalazła w biurówcu - pozostawione przez współnika Trumniarza.

- W ziemi jest bardzo dużo wilgoci, skał i piasku kwarcowego - powiedział do Hoddlestona.

- Pamiętam, jak lubiłeś grzebać się tym błotem, Lincoln.

- Z gleby można sporo wyczytać - odrzekł, po czym ciągnął: - Mało kamieni, żaden nie jest rozgnieciony ani rozkruszony. Nie ma wapieni ani lupków mikowych z Manhattanu. Czyli szukamy w centrum. Z ilości drewnianych drobin wynika, że to bliżej Canal Street.

Na północ od Dwudziestej Siodmej podłoże skalne znajduje się bliżej powierzchni. Natomiast na południe teren pokrywa ziemia, piasek i glina, bardzo wilgotne. Kiedy dawno temu ludzie w kesonach kopali tunele metra, ziemia o konsystencji gęstej zupy z okolic Canal Street zalewała szyby. Dwa razy dziennie przerywano prace, żeby odpompować masę i podeprzeć ściany drewnem, które z czasem przegniło, przenikając do gleby.

Hoddleston nie był optymistą. Z jego słów wynikało, że choć informacje Rhyme'a ograniczały geograficznie obszar poszukiwań, na tym terenie istniało kilkadziesiąt połączonych tuneli, peronów i części stacji sukcesywnie wyłączanych z ruchu. Niektóre były zapomniane i zagrzebane głęboko jak egipskie grobowce. Wiele lat po śmierci Alfreda Beacha robotnicy budujący kolejną linię metra,

przebiwszy się przez ściany, odnaleźli pierwotny, od dawna nieużywany tunel, z piękną poczekalnią, ozdobioną malowidłami ściennymi i wyposażoną w fortepian i akwarium.

- Ten wloczega na pewno nie spi na czynnej stacji albo między stacjami? - spytał Hoddleston.

Sellitto pokręcił głową.

- Nie pasuje do jego profilu. To cpun. Za bardzo by się martwił o swoją kryjówkę.

Rhyme powiedział Hoddlestonowi o turkusowym kaflu.

- Nie umiem powiedzieć, skąd to pochodzi, Lincoln. Tyle się odnawiało mozaik, że pył i gruz możesz znaleźć wszędzie. Kto wie, skąd twój cpun mógł to przywlec.

- No dobrze, podaj wreszcie jakieś konkrety - rzekł Rhyme. - W ilu miejscach mamy szukać?

- Ze dwudziestu - odparł tubalny głos Hoddlestona. - Może trochę więcej.

- Niech to... - mruknął Rhyme. - Prześlij nam listę najbardziej prawdopodobnych lokalizacji.

- Jasne. Kiedy chcecie to mieć? - Zanim jednak Rhyme zdążył odpowiedzieć, Hoddleston dodał: - Nieważne, pamiętam cię z dawnych lat, Lincoln. Zawsze chciałeś wszystko na wczoraj.

- Tym razem na zeszły tydzień - zakpił Rhyme, zniecierpliwiony, że szefowi zebrało się na zarciki, gdy powinien stukac w klawiaturę.

Pięć minut później zabuczał faks. Thom położył przed Rhyme'em kartkę papieru, na której widniała lista piętnastu punktów w sieci metra.

- Dobra, Sachs, do roboty.

Skinęła głową, podczas gdy Sellitto łączył się z Haumannem, by wydać rozkazy oddziałom operacyjnym.

- Amelio, tym razem trzymaj się z tyłu - rzekł z naciskiem Rhyme. - Jesteś specjalistką od badania miejsc zbrodni, pamiętasz? Miejsc zbrodni.

Na krawężniku w centrum Manhattanu siedział Leon Kanciarz. Obok usiadł Misiarz - przewany tak po tym, jak zaczął wozic w wozku z supermarketu kilkadziesiąt pluszowych zwierzątek, przypuszczalnie na sprzedaż, ale chyba tylko rodzice niespełna rozumu kupiliby dziecku jedną z tych podartych i zawszonych zabawek.

Leon i Misiarz mieszkali razem - to znaczy wspólnie zajmowali jedną alejkę niedaleko Chinatown - i utrzymywali się ze sprzedaży butelek, uzebranych datków i drobnych, nieszkodliwych kradzieży.

- Umiera, co nie? - odezwał się Leon.

- Nie, ma tylko koszmary - odrzekl Misiarz, kolyszac wozkiem, jak gdyby probowal ukolysac swoje misie do snu.

- Trzeba by wydac dziesiataka i zadzwonic po karetke.

Leon i Misiarz spogladali na druga strone ulicy, w przecznice. Lezal tam inny bezdomny, czarny, wygladajacy na chorego, o drgajacej nerwowo i wynedznialej twarzy. Jego ubranie bylo w strzepach.

- Trzeba by kogo zawolac.

- Chodz, obejrzymy go.

Ruszyli w kierunku lezacego, rozgladajac sie czujnie jak szczury.

Czlowiek byl chudy - prawdopodobnie mial AIDS, z czego wywnioskowali, ze pewnie bierze here - i bardzo brudny. Nawet Leon i Misiarz od czasu do czasu kapali sie w fontannie w Washington Square Parku albo lagunie w Central Parku, nie zwazajac na zolwie. Murzyn mial na sobie postrzepione dzinsy, oblepione brudem skarpety (byl bez butow) i podarta, ubrudzona kurtke z napisem „Cats... The Musical”.

Patrzyli na niego przez dluzsza chwile. Gdy Leon niepewnie dotknal nogi Catsa, czlowiek natychmiast sie zbudzil i raptownie usiadl, wbijajac w nich wsciekle spojrzenie.

- Co jest, kurwa? Kto to?

- Hej, stary, wszystko w porzadku? - Odsuneli sie o kilka stop.

Cats zadrzal, chwytajac sie za brzuch. Rozkaszal sie, a Leon szepnal:

- Wyglada chujowo, nie?

- Straszny jest. Lepiej chodzmy. - Misiarz chcial wrocic do swojego wozka z pluszowymi zabawkami.

- Potrzebuje pomocy - wymamrotal Cats. - Jestem ranny.

- Tam jest klinika i...

- Nie moge isc do kliniki - warknal Cats, jak gdyby go obrazili.

A wiec byl notowany, a jezeli ktos lezal na ulicy w takim stanie i nie chcial isc do szpitala, musial miec na sumieniu powazne rzeczy. Jakies ciezkie przestepstwo. Tak, ten kundel musial miec klopoty.

- Potrzebuje lekarstwa. Macie jakies? Zaplace. Mam kase.

Nie uwierzyliby w to, gdyby Cats nie kradl puszek. Musial byc w tym bardzo dobry, jak zauwazyli. Obok niego stala duza torba, ktora wygrzebal gdzies ze smieci, pelna puszek po wodzie

sodowej i piwie. Leon wlepił w nią zazdrosne spojrzenie. Musiał poświęcić na zbieranie takiej kolekcji ze dwa dni. Warta trzydziści dolarów, może czterdziści.

- Nic nie mamy. Nie bierzemy prochów.

- On mówi o tabletkach.

- Chcesz butelkę? T-bird. Mam całkiem dobrego T-birda. Sprzedam ci za te puszki.

Cats wzruszył jednym ramieniem.

- Nie chce żadnej butelki. Dostałem wpierdół. Od jakichś dzieciaków. Rzucili we mnie czymś. Złe się czuję. Muszę wziąć lekarstwo. Nie koka ani here, ani pieprzonego T-birda. Chce, żeby mnie przestało boleć. Tabletki! - Wygramolił się na nogi i zataczając się, ruszył na Misiarza.

- Nic nie mamy, stary.

- Pytam ostatni raz, dacie mi coś? - Jeknął, łapiąc się za bok. Dobrze wiedzieli, jak silni mogą być cpuni. Ten był wysoki. Z łatwością mógł ich obu złamać na pół.

- Ty, pamiętasz tego gościa, wczoraj? - szepnął do Misiarza Leon.

Misiarz skwapliwie pokiwał głową, ale był to nerwowy odruch. Nie miał pojęcia, o kim mówi Leon.

- Jest taki facet, nie? - ciągnął Leon. - Wczoraj próbował nam sprzedać jakieś gówno. Piguły. Był strasznie zadowolony.

- Tak, strasznie zadowolony - powiedział szybko Misiarz, jak gdyby mógł w ten sposób uspokoić Catsa.

- Nie obchodziło go, że ktoś może zobaczyć. Sprzedawał piguły. Nie koka, nie here, nie trawę, tylko piguły na dobry nastrój albo zły, co chcesz.

- Tak, co chcesz.

- Mam pieniądze. - Cats pogrzebał w brudnej kieszeni i wyciągnął trzy złote dwudziestki. - Widzicie? Gdzie jest ten skurwysyn?

- Niedaleko Ratusza. Na starej stacji metra...

- Złe się czuję. Dostałem wpierdół. Dlaczego ktoś mi wpierdolił? Co ja zrobiłem? Te parę puszek? I patrzcie, co się stało. Kurwa mać. Jak on się nazywa?

- Nie wiem - powiedział szybko Misiarz, tracąc czoło, jak gdyby intensywnie myślał. - Nie, czekaj. Coś mówił.

- Nie pamietam.
- Pamietasz... patrzyl na twoje miski.
- I cos mowil. Tak, tak. Powiedzial, ze nazywa sie Joe czy cos takiego. Moze Jodie.
- Tak, juz wiem. Jodie.

- Jodie - powtorzyl Cats, po czym otarl czolo. - Poszukam go. Stary, musze cos wziac. Kurwa, jak mnie boli.

Kiedy Cats oddalil sie chwiejnym krokiem, pojekujac, mamroczac do siebie i ciagnac za soba torbe z puszkami, Leon i Misiarz wrocili na swoj kraweznik i usiedli. Leon otworzyl piwo Voodoo i zaczeli pic.

- Nie powinniśmy mu tego robic - powiedzial.

- Komu?

- Joemu, czy jak on sie nazywal.

- Chcesz, zeby ten skurwiel sie tu krecil? - zapytal Misiarz. - Niebezpieczny. Balem sie go. Chcesz, zeby sie tu krecil?

- Pewnie, ze nie. Ale wiesz, nie?

- No.

- Sam wiesz.

- Wiem. Daj butelke.

Rozdział dwudziesty trzeci

45 godzin - godzina dwudziesta piąta

Siedząc obok Jodiego na materacu, Stephen podsłuchiwał rozmowę prowadzoną przez telefon Hudson Air.

Rozmawiał Ron. Stephen już wiedział, że nazywa się Talbot. Nie był pewien, na czym dokładnie polega praca Rona, ale był to ktoś ważny w firmie, więc Stephen miał nadzieję, że podsłuchując jego telefon, zdobędzie ważne informacje na temat Zony i Przyjaciela.

Usłyszał, jak Ron kłoci się z kims z firmy sprzedającej części do silników Garretta. Ponieważ była niedziela, mieli kłopoty ze zdobyciem części do naprawy samolotu - butli gasniczej i czegoś, co nazywali pierścieniem.

- Obiecales, że będzie o trzeciej - zrzędził Ron. - Musi być o trzeciej.

Po krótkich negocjacjach - i utyskiwaniach - firma zgodziła się przerzucić części samolotem z Bostonu do siedziby w Connecticut. Potem ciężarówka miała je dostarczyć do Hudson Air o trzeciej albo czwartej. Na tym skończyli rozmowę.

Stephen słuchał jeszcze przez kilka minut, ale nikt już nie dzwonił.

Zawiedziony wyłączył telefon.

Nie miał pojęcia, gdzie teraz mogą być Zona i Przyjaciel. Dalej w bezpiecznym domu? Może ich gdzieś przewieziono?

O czym teraz myślał Lincoln Robak? Do czego jest zdolna jego inteligencja?

I kim on jest? Stephen próbował go sobie wyobrazić jako cel oglądany przez celownik optyczny Redfield. Jednak nie potrafił. Widział tylko masę sklebionych robaków i twarz spokojnie mu się przyglądająca zza brudnej szyby okna.

Zorientował się, że Jodie coś do niego mówi.

- Co?

- Pytam, co robił twój ojczym.

- Różne rzeczy. Dużo polował i łowił ryby. Był bohaterem w Wietnamie. Przeszedł za linię frontu i zabił pięćdziesięciu czterech ludzi. To się podobało nie tylko żołnierzom, ale politykom i zwykłym ludziom.

- On cię nauczył tego... co robisz? - Narkotyk przestał działać i zielone oczy Jodiego nabrały blasku.

- Nie, ćwiczyłem przede wszystkim w Afryce i Ameryce Południowej, ale on zaczął mnie uczyć. Nazywałem go „Największym żołnierzem świata”. Śmiał się z tego.

W wieku osmiu, dziewięciu i dziesięciu lat Stephen maszerował za Lou przez wzgorza Wirginii Zachodniej. Gorące krople potu kapaly im z nosa wprost na palce, zgietę na spustach winchesterów albo rugerów. Godzinami leżeli bez ruchu w trawie, nie odzywając się ani słowem. Na skórze czaszki Lou perlil się pot, widoczny pod krótko przyciętymi włosami. Obaj mieli oczy utkwione w celu.

Nie mrucz lewego oka, żołnierzu.

Nigdy.

Wiewiorki, dzikie indyki, jelenie, bez względu na okres ochronny, niedzwiedz, gdy udało się go wytropić, psy w mniej fartowne dni.

Zabij to, żołnierzu. Patrz na mnie.

Huk. Uderzenie w ramię, zdumione oczy umierającego zwierzęcia.

W parne sierpniowe niedziele ładowali karabiny do paint-ballu pociskami z dwutlenkiem węgla, rozbierali się do spodenek i polowali na siebie nawzajem, robiąc sobie na piersiach i udach rozległe plamy i pęgi. Kulki swistały w powietrzu z prędkością trzystu stop na sekundę, a młody Stephen z trudem powstrzymywał płacz po bolesnym trafieniu. Można było kupić kule w każdym kolorze, ale Lou upierał się, by ładowali bronią pociskami z czerwoną farbą. Jak krew.

Wieczorami siedzieli przy ognisku w ogrodzie; dym ulatywał pierścieniami w niebo i wciskał się przez otwarte okno do kuchni, gdzie matka myła naczynia po kolacji szczoteczka do zębów. Muskularny, niewysoki człowiek - w wieku piętnastu lat Stephen był już wzrostu Lou - popijał ze świeżo otwartej butelki Jacka Daniela i mówił, mówił, mówił, bez względu na to, czy Stephen słuchał, czy nie, spoglądając na iskry mknące w niebo jak świetliste pomarańczowe owady.

- Chcę, żebyś jutro nożem załatwił jelenia.

- Ja...
- Umiesz to zrobic, zolnierzu?
- Tak jest, umiem.
- No to sluchaj. - Pociagnal lyk. - Gdzie twoim zdaniem jest tetnica szyjna?
- No chyba...
- Nie boj sie powiedziec, jesli czegos nie wiesz. Dobry zolnierz przyznaje sie do niewiedzy. Potem jednak robi cos, zeby to zmienic.
- Melduje, ze nie wiem, gdzie jest tetnica szyjna.
- Pokaze na tobie. Tutaj. Czujesz pulsowanie? Dokladnie tu.
- Tak jest, czuje.

- Najpierw musisz znalezc rodzine - lanie z cielakami. Podejdiesz blisko. To najtrudniejsza czesc zadania. Zeby zabic lanie, musisz stworzyc zagrozenie dla mlodych. Ruszasz na cielaka. Jesli mu zagrozysz, lania nie ucieknie. Podejdzie do ciebie. Wtedy skok! Wbijasz jej noz w szyje. Ale nie prosto, tylko pod katem. Rozumiesz? Robisz naciecie w ksztalcie V. Chwytasz? To dobrze. Chlopcze, to dopiero bedzie zabawa!

Potem Lou szedl do domu, zeby sprawdzic, czy talerze i garnki sa czyste i stoja rowno na kraciastym obrusie, cztery kwadraty od brzegu stolu. Kiedy staly trzy i pol kwadratu od brzegu albo choc na jednym znalazla sie plamka tluszczu, Stephen, lezac przy ognisku i obserwujac lecace w ciemne niebo iskry, slyszal dobiegajace z domu odglosy uderzen i placz.

- Musisz byc w czymys dobry - mowil mu pozniej ojczym, kiedy matka juz spala, a on z butelka wychodzil przed dom. - Inaczej nie ma po co zyc.

Kunszt. Mowil o kunszcie.

- Jak to sie stalo, ze cie nie wziali do piechoty morskiej? - zapytal Jodie. - W koncu mi nie powiedziales.

- To bylo glupie - odrzekl Stephen, a po chwili dodal: - Kiedy bylem dzieciakiem, wpakowalem sie w klopoty. Ty tego nie robiles?

- Czy pakowalem sie w klopoty? Rzadko. Za bardzo sie balem. Nie chcialem martwic matki. Nie podobalo sie jej, ze kradlem i tak dalej. A co zrobiles?

- Niezbyt madra rzecz. W naszym miescie mieszkal jeden facet. Wiesz, taki tyran. Zobaczylem, jak wykrecal rece swojej kobiecie. Byla chora, wiec dlaczego jeszcze sie nad nia znecal? Poszedlem do niego i powiedziales, ze jezeli nie przestanie, to go zabije.

- Tak mu powiedziales?

- Ojczym nauczył mnie jeszcze jednej rzeczy. Nie groz. Zabij albo daruj życie, ale nie groz. Dalej gnebil te kobiety i musiałem dać mu nauczkę. Zaczalem go bic. Poniosło mnie. Wziałem kamień i walnałem go. Nie zastanawiałem się nad tym, co robię. Dostałem kilka lat za nieumyślne spowodowanie śmierci. Miałem piętnaście lat, ale już zaszargana kartoteka. Wystarczyło, żeby mnie nie przyjęli do piechoty morskiej.

- Chyba gdzieś czytałem, że nawet jak jesteś notowany, możesz iść do wojska. Do jakiegoś specjalnego obozu.

- Ale to było zabojeństwo.

Jodie scisnął ramię Stephena.

- To nie fair.

- Wtedy tak nie myślałem.

- Naprawdę mi przykro - powiedział Jodie.

Stephen, który umiał bez mrugnięcia patrzeć ludziom w oczy, zerknął przelotnie na Jodiego, po czym zaraz odwrócił wzrok. I gdzieś w głębi ujrzał dziwny obrazek: on i Jodie mieszkają w chacie, razem chodzą polować i na ryby. Gotują kolacje nad ogniskiem.

- Co się z nim stało? Z twoim ojczymem?

- Zginął w wypadku. Był na polowaniu i spadł ze skały.

- Może właśnie tak chciał umrzeć - rzekł Jodie.

- Niewykluczone - odparł Stephen po krótkim milczeniu.

Poczuł, jak noga Jodiego ociera się o jego nogę. Znow ten elektryczny wstrząs. Stephen wstał szybko i podszedł do okna.

Przejechał radiowóz, ale gliniarze w środku pili wodę i rozmawiali.

Ulica była pusta, jeśli nie liczyć grupki bezdomnych: kilku białych i jednego Murzyna.

Stephen przymrużył oczy. Murzyn, dzwigający wielką torbę pełną puszek po wodzie sodowej i piwie, kłocił się z innymi, gestykulował, rozglądał się na boki i proponował torbę jednemu z białych, który przecząco krecił głową. Czarny miał w oczach jakiś obłęd i biali wyraźnie się go bali. Stephen przyglądał się kłotni przez parę minut, po czym wrócił na materac i usiadł obok Jodiego.

Położył mu dłoń na ramieniu.

- Chce z toba pogadac o tym, co zrobimy.

- Dobra. Slucham, wspolniku.

- Ktos mnie szuka.

Jodie wybuchnal smiechem.

- Po tym, co sie stalo w tamtym budynku, powiedzialbym, ze calkiem sporo ludzi.

Stephen nawet sie nie usmiechnal.

- Chodzi o jedna osobe. Nazywa sie Lincoln.

Jodie skinal glowa.

- To imie?

Stephen wzruszyl ramionami.

- Nie wiem... Nigdy nie spotkalem nikogo podobnego.

- Kto to jest?

Robak...

- Moze gliniarz. Albo federalny. Konsultant czy ktos w tym rodzaju. Dokladnie nie wiem.

Stephen przypomniał sobie, jak Zona opisywała Lincolna w rozmowie z Ronem - mowila o nim jak o guru albo duchu. Poczul, ze sie kuli. Przesunal dlon na plecyc Jodiego i zatrzymal na wystajacym kregoslupie. Przykre uczucie minelo.

- Juz drugi raz udalo mu sie mnie powstrzymac. Prawie mnie zlupal. Probuje go rozgryzc i nie potrafie.

- Co chcesz rozgryzc?

- Jego nastepny ruch. Co zamierza teraz zrobic. Zebym mogl go uprzeczic.

Poklepal po plecach Jodiego, ktory najwyrazniej nie mial nic przeciwko temu. Nie unikal tez jego spojrzecia. Jego bojazn zniknela. Popatrzyl dziwnie na Stephena. Czyzby bylo to spojrzecie... Stephen nie umial znalezc wlasciwego slowa. Moze podziwu?

Zdal sobie sprawe, ze tak samo patrzyla na niego Sheila w barze, gdy mowil jej rzeczy, ktore chciala uslyszec. Tyle tylko, ze wtedy nie byl Stephenem. Byl kims, kto nie istnial. Jodie spogladal na niego podobnie, choc dokladnie wiedzial, kim jest Stephen. Wiedzial, ze jest morderca.

Wciaz trzymajac reke na jego plecach, Stephen rzekl:

- Nie umiem odgadnac, czy wywiezie ich z bezpiecznego domu. Tego, który stoi obok biurowca.
- Kogo wywiezie? Ludzi, których masz zabic?
- Tak. Probuje mnie przechytrzyc. Mysli... - Stephen urwal.

Mysli...

O czym myslal Lincoln Robak? Wywiezie Zone i Przyjaciela, bo sie spodziewa, ze jeszcze raz sprobujecie zaatakowac dom? Albo zostawi ich przekonany, ze odczekam jakis czas i sprobujecie w nowym miejscu? Jezeli nawet mysli, ze jeszcze raz sprobujecie dostac sie do domu, moze zostawi ich na przynete, zeby mnie zwabic do nastepnej pulapki? Przewiezie do innego bezpiecznego domu dwoje pozorantow? I sprobujecie mnie sprzatnac, kiedy za nimi pojedzie?

Chudy czlowiek powiedzial prawie szeptem:

- Wygladasz, ja wiem, jakbys przezyl jakis szok.

- Nie rozumiem go... Nie wiem, co robi. Wszystkich, ktorzy mnie do tej pory chcieli zlapac, rozumialem. Jego nie potrafie.

- Co mam zrobic? - spytal Jodie, przechylajac sie na bok. Jego ramie dotknelo Stephena.

Stephen Kall, fachowiec w swej profesji, pasierb czlowieka, który nigdy nie przezyl chwili wahania - zabijajac jelenia czy sprawdzajac talerze czyszczone szczoteczka do zebow - zupełnie zdezorientowany gapil sie teraz w podloge. Potem spojrzal Jodiemu w oczy.

Reka na plecach. Zetknieci ramionami.

Stephen podjal decyzje.

Pochylil sie i pogrzebal w plecaku. Znalazl czarny telefon komorkowy. Patrzyl na niego przez chwile, a potem podal Jodiemu.

- Co to? - spytal wlozega.

- Telefon. Bedziesz z niego korzystal.

- Komorka! Super. - Ogladal aparat, jak gdyby nigdy wczesniej nie mial w rekach czegos podobnego. Otworzył klapke, badal wszystkie przyciski.

- Wiesz, kto to jest naganiacz? - spytal Stephen.

- Nie.

- Najlepsi snajperzy nie pracuja sami. Zawsze maja naganiacza. To on lokalizuje cel, szacuje odleglosc, oslania snajpera i tak dalej.

- Chcesz, zebym byl twoim naganiaczem?

- Tak. Widzisz, chyba Lincoln ich wywiezie.

- Rozgryzles go w koncu? - zapytal Jodie.

- Nie umiem tego wytлумaczyc. Mam po prostu przecucie. - Spojrzal na zegarek. - Dobra, sluchaj. O wpol do drugiej przejdiesz sie ulica, jak zwykly... bezdomny.

- Mozesz mowic „wloczega”.

- I bedziesz obserwowac dom. Mozesz grzebac w smieciach i szukac, bo ja wiem, puszek.

- Butelek. Zawsze tak robie.

- Dowiesz sie, jakim samochodem stamtad wyjezdza, potem zadzwonisz do mnie. Bede czekal za rogiem w samochodzie. Ale musisz uwazac na pozorantow.

W myslach ujrzal rudowlosa policjantke. Nie moglaby udawac Zony. Za wysoka, za ladna. Zastanawial sie, dlaczego tak jej nie znosi... Zalowal, ze strzelajac do niej, nie wycelowal lepiej.

- Dobra. Zrobie to. Chcesz ich zastrzelic na ulicy?

- To zalezy. Moze pojade za nimi do nowego miejsca i tam to zrobie. W razie czego moge improwizowac.

Jodie ogladal telefon jak dziecko prezent gwiazdkowy.

- Nie wiem, jak to dziala.

Stephen pokazal mu.

- Dzwonisz, kiedy bedziesz na stanowisku.

- Na stanowisku. Brzmi zawodowo. - Jodie uniosl wzrok znad telefonu. - Wiesz, po tym wszystkim, kiedy juz wyjde z kliniki, moze bedziemy sie czasem spotykac? Pojdziemy na kawe, sok czy cos w tym rodzaju? Hm? Chcesz?

- Jasne - odparl Stephen. - Mozemy...

Nagle drzwiami wstrzasnal jakis lomot. Stephen okrecil sie na piecie i wyszarpnal bron z kieszeni, przyjal klasyczna pozycje strzelecka.

- Otwieraj te jebane drzwi! - krzyknal glos z zewnatrz. - I to juz!

- Cicho - szepnal Stephen do Jodiego. Serce walilo mu jak oszalale.

- Jesteś tam, szmaciarzu? - Głos był nieustepliwy. - Jo-die. Gdzie, kurwa, jesteś?

Stephen podszedł do zabarykadowanego okna i wyjrzał. Bezdomny Murzyn z przeciwnej strony ulicy. Miał na sobie postrzepiona kurtkę z napisem „Cats... The Musical”. Murzyn nie widział go.

- Gdzie ten kurdupeł? - spytał czarny. - Muszę dostać jakieś piguły! Jodie, Joe? Gdzie jesteś?
- Znasz go? - spytał Stephen, odwracając się.

Jodie unosił wzrok, wzruszył ramionami i szepnął:

- Nie wiem, może. Na ulicy jest kupa ludzi.

Stephen przyglądał się człowiekowi, gładząc kciukiem plastik rekojesci pistoletu.

Bezdomny zawołał:

- Wiem, że tam jesteś, stary. - Jego głos przeszedł w ohydny kaszel. - Jo-die! Jo-die! Wiesz, ile mnie to będzie kosztować? Tydzień, kurwa, polowania na puszki. Otwieraj, powiedzieli mi, że tu jesteś. Wszyscy tak mówią. Jodie, Jodie!

- Zaraz sobie pojdzie - rzekł Jodie.

- Czekaj - powiedział Stephen. - Może będzie go można wykorzystać.

- Jak?

- Pamiętaj, co ci mówiłem? Zmylić wroga. Nadaje się... - Stephen kiwał głową. - Wygląda groźnie. Skupia uwagę na nim, nie na tobie.

- To znaczy, mam go wziąć ze sobą? Do bezpiecznego domu?

- Tak - odparł Stephen.

- Potrzebuje towaru, stary - jęknął Murzyn. - Kurewsko źle się czuję. Proszę. Cały się trzęse. Ty skurwielu! - Kopnął w drzwi. - Proszę, Jodie. Jesteś tam? Pomóż mi. O co ci, kurwa, chodzi? Szmaciarczy! Pomóż mi. - Chyba płakał.

- Wyjdź do niego - rzekł Stephen. - Powiedz mu, że dostanie coś ode mnie, jeżeli z toba pojdzie. Zrób tak, żeby podszedł do jakiegoś śmietnika naprzeciw domu, kiedy ty będziesz obserwował. Tyle wystarczy.

Jodie spojrzał na niego.

- Teraz? Mam z nim rozmawiać?

- Tak. Powiedz mu.

- Chcesz, żeby tu wszedł?

- Nie, nie chce, zeby mnie zobaczyl. Ty idz i z nim pogadaj.
- No... dobra. - Jodie pchnal mocno drzwi. - A jezeli wbije mi noz albo co?
- Popatrz na niego. Ledwie zyje. Polozylbys go jedna reka.
- Wyglada, jakby mial AIDS.
- Idz.
- A jak dotknie...
- Idz!

Jodie gleboko nabral powietrza i wyszedl na zewnatrz.

- Hej, uspokojsie - powiedzial do czlowieka. - Czego chcesz, do cholery?

Stephen widzial, jak Murzyn przyglada sie Jodiemu oszalalymi oczami.

- Mowili, ze sprzedajesz prochy. Mam kase. Szescdziesiat dolcow. Potrzebuje pigul. Sluchaj, jestem chory.

- Czego chcesz?
- A co masz, stary?
- Czerwone, amfe, kwas, demerol.

- Dobra, demerol jest niezly. Zaplace. Kurwa, mam kase. Boli mnie w srodku. Dostalem wpierdol. Gdzie moje pieniadze? - Kilka razy poklepal sie po kieszeniach, zanim sie zorientowal, ze sciska banknoty w lewej dloni.

- Ale musisz najpierw cos dla mnie zrobic - powiedzial Jodie.
- No, co mam zrobic? Obciagnac ci?
- Nie - odrzekl przerazony Jodie. - Chce, zeby mi pomogl przerzucic jedne smieci.
- Po co mam sie babrac w takim gownie?
- Tam sa puszki.

- Puszki? - ryknal czarny, drapiac sie zawziecie w nos. - Po co ci, kurwa, puszki? Dostaniesz za nie moze piataka. Wlasnie dalem setke puszek, zeby sie dowiedziec, gdzie grzejesz dupe. Pierdol puszki. Place ci gotowka, gosciu.

- Dam ci demerol za friko, tylko mi pomoz znalezc pare flaszek.

- Za friko? - Murzyn zdawał się nie rozumieć. - Znaczy, że nie będę musiał płacić?

- Tak.

Czarny rozejrział się, jak gdyby szukał kogoś, kto mu to wytłumaczy.

- Zaczekaj tu - powiedział mu Jodie.

- Gdzie mam szukać tych flaszek?

- Zaczekaj chwile...

- Gdzie? - powtórzył ostro.

Jodie cofnął się do tunelu. Powiedział do Stephena:

- Zgodził się.

- Dobra robota. - Stephen uśmiechnął się.

Jodie odwzajemnił uśmiech. Zaczął się odwracać do drzwi, lecz Stephen powiedział:

- Hej.

Chudy człowiek zatrzymał się w połowie kroku.

- Fajnie, że cię spotkałem - wyrzucił z siebie Stephen.

- Też się cieszę. - Jodie zawahał się przez chwilę. - Wspólniku. - Wyciągnął do niego rękę.

- Wspólniku - powtórzył za nim Stephen. Poczul chęć, by zdjąć rękawiczkę, żeby poczuć na swojej skórze skórę Jodiego. Jednak nie zrobił tego.

Kunszt przede wszystkim.

Rozdział dwudziesty czwarty

45 godzin - godzina dwudziesta piąta

Dyskusja miała gorący przebieg.

- Chyba się mylisz, Lincoln - powiedział Lon Sellitto. - Trzeba ich wywieźć. Jeżeli ich zostawimy, znowu zaatakuje dom.

Nie tylko oni głowili się nad tym dylematem. Prokurator Reg Eliopolos jeszcze się do nich nie zgłosił, ale przybył we własnej osobie agent specjalny, szef manhattańskiego biura FBI, Thomas Perkins, reprezentujący w dyskusji stronę federalnych. Rhyme załował, że nie ma Dellraya i Sachs, która razem z połączonymi oddziałami policji i FBI przeszukiwała stare części metra. Jak dotąd nie natknęli się na żaden ślad Trumniarza ani jego towarzysza.

- Z mojej oceny sytuacji wynika, że lepiej przewieźć ich w inne miejsce - rzekł z powagą Perkins. - Mamy inne bezpieczne obiekty. - Był zbulwersowany faktem, że Trumniarz w ciągu zaledwie osmiu godzin ustalił miejsce ukrywania świadków i zdołał zbliżyć się na odległość pięciu jardów od zamaskowanego wyjścia ewakuacyjnego. - Lepsze obiekty - dodał szybko. - Powinnismy jak najszybciej zorganizować im transport. Miałem już sygnały z samej góry. Z Waszyngtonu. Świadkom trzeba bezwzględnie zapewnić bezpieczeństwo.

Czyli, pomyślał Rhyme, natychmiast wywieźć.

- Nie. - Rhyme był nieugięty. - Musimy ich zostawić tam, gdzie są.

- Biorąc pod uwagę priorytety - powiedział Perkins - odpowiedź może być tylko jedna. Przewieźć ich.

- Będzie ich dalej podchodził, wszystko jedno, czy zostaną w starym domu, czy pojedą do nowego - rzekł Rhyme. - Tam znamy teren, mniej więcej wiemy, skąd się go można spodziewać. Łatwiej zastawić pułapkę.

- To ważny argument - zgodził się Sellitto. - Możemy w ten sposób popsuć mu szyki.

- Jak to? - spytał Perkins.

- On też się teraz zastanawia.

- Tak?

- No pewnie - powiedział Rhyme. - Próbuje rozgryźć nasze zamiary. Jeśli postanowimy zostawić ich w domu, musi spróbować jeszcze raz. Jeżeli ich wywieziemy - i chyba tego się spodziewa - będzie szukał szczęścia podczas transportu. A wtedy zabezpieczenia będą gorsze niż w stałym obiekcie. Nie, musimy ich zostawić i przygotować się na ponowną próbę ataku. Przewidzieć wszystko. Ostatnim razem...

- Ostatnim razem zginął jeden agent.

- Gdyby Innelman miał osłone, skończyłoby się inaczej - odparował szefowi agentów Rhyme.

Ubrany w nienaganny garnitur Perkins był typowym biurokrata, lecz niepozbawionym rozsądku. Skinął głową, wyrażając zgodę.

Ale czy ja mam rację? - zastanawiał się Rhyme.

O czym myśli Trumniarz? Czy naprawdę wiem?

Przecież potrafię zajrzeć do czyjegós pokoju albo do cuchnącej uliczki i odtworzyć przebieg zbrodni, jaka się tam rozegrała. Z plam krwi na dywanie albo kafelkach umiem odczytać, jak w tescie Rorschacha, jak niewiele brakowało, żeby ofiara uciekła, albo jak mała miała szansę, albo jaka zginęła śmiercią. Wystarczy, że spojrzę na pozostawiony przez mordercę pyłek i już wiem, skąd przyszedł.

Wiem kto, wiem dlaczego.

Ale co robi Trumniarz?

Mogę się tylko domyślać, nie mogę mieć pewności.

W drzwiach stała jakaś postać - jeden z funkcjonariuszy pilnujących wejścia do domu. Podał Thomowi kopertę i wycofał się na swoje stanowisko.

- Co to? - Rhyme nieufnie przyglądał się kopercie. Nie czekał na żaden raport z laboratorium, poza tym zbyt dobrze pamiętał o upodobaniu Trumniarza do bomb. W kopercie była tylko gruba kartka papieru przysłana przez FBI.

Thom otworzył i zaczął czytać.

- To od grupy analiz dowodów fizycznych. Namierzyli fachowca od piasku.

- Nie ma związku z naszą sprawą - wyjaśnił Perkinsowi Rhyme. - Chodzi o agenta, który zginął

pare dni temu.

- Tony? - spytał Perkins. - Na razie nie mam żadnego tropu.

Rhyme zerknął na raport.

Substancja dostarczona do analizy, formalnie rzecz biorąc, nie jest piaskiem. To koralowe odłamki z rafy, wśród których można wyróżnić morskie bezkręgowce, fragmenty morskich pierscienic, muszli brzuchonogów i otwornic. Najbardziej prawdopodobne miejsce pochodzenia to północna część Karaibów - Kuba, Bahamy.

Karaiby... Ciekawe. Coż, na razie ta sprawa będzie musiała poczekać. Gdy dostana Trumniarza, razem z Sachs wróca...

W jego słuchawce rozległ się suchy trzask.

- Rhyme, jesteś tam? - zaskrzeczał głos Sachs.

- Tak! Gdzie jesteś, Sachs? Co masz?

- Jesteśmy przy starej stacji metra niedaleko ratusza. Wejście zabite dechami. Ludzie z rozpoznania twierdzą, że tam ktoś jest. Jedna, może dwie osoby.

- Dobra, Sachs - powiedział; serce mu waliło na myśl, że być może są blisko Trumniarza. - Melduj cały czas. - Spojrzył na Sellitta i Perkinsa. - Zdaje się, że w ogóle nie będzie trzeba wywozić świadków z domu.

- Znaleźli go? - zapytał detektyw.

Lecz Rhyme - przede wszystkim naukowiec - nie chciał wyrażać głośno swoich nadziei. Bał się, że to przyniesie pecha operacji - właściwie przyniesie pecha Sachs.

- Trzymajmy kciuki - mruknął.

Jednostki specjalne po cichu otoczyły stację.

Prawdopodobnie tu mieszka nowy wspólnik Trumniarza, uznała Amelia Sachs. Ludzie z rozpoznania spotkali kilku miejscowych, którzy poinformowali o narkomanie sprzedającym w tej okolicy tabletki. Był to drobny człowiek - czyli pasowałby do znalezionej odcisku buta numer osiem.

Wejście na stację było, prawie dosłownie, dziura w murze. Wiele lat temu zastąpiono je bardziej luksusowym, znajdującym się kilka przecznic dalej.

Oddział 32-E zajął stanowiska, rozpoznawanie ustawiało mikrofony i kamery na podczerwień, a pozostali funkcjonariusze przystąpili do wyłączenia ulicy z ruchu i usuwania bezdomnych, którzy siedzieli na krawężnikach i w drzwiach budynków.

Dowodca kazal Sachs odsunac sie od wejścia na stacje - zejść z linii ognia. Przydzielili jej upokarzające zadanie pilnowania wyjścia z metra, od lat zamkniętego aa kłódki i zagrodzonego żelaznymi kratami. Zaczęła się nawet zastanawiać, czy Rhyme nie umówił się z Haumannem, by ten osobście zadbał, żeby nic się jej nie stało. Złość z poprzedniego wieczoru, gdy pościg za Trumniarzem się nie udał, wróciła ze zdwojona siłą.

Sachs wskazała ruchem głowy żarzewiała kłódka.

- Tedy chyba nie wyjdzie - zauważyła od niechcienia.

- Trzeba pilnować wszystkich wyjść - mruknął zamaskowany gliniarz, nie zauważając jej sarkazmu lub puszczając go mimo uszu, po czym wrócił do swoich kompanów.

Z brudnoszarego nieba padał chłodny deszcz, bebnąc w usypaną przed starym wyjściem ze stacji stertę śmieci.

Czy w środku rzeczywiście jest Trumniarz? Jeżeli tak, będzie strzelanina. Na pewno. Nie wyobrażała sobie, by mógł się poddać bez morderczej walki.

I była wściekła, że nie weźmie w niej udziału.

Cwani z ciebie fiut, kiedy masz karabin i chroni cię ćwierć mili, powiedziała do niego w duchu. Ale powiedz mi, gnojku, jak się czujesz otoczony, mając tylko broń krotką? Chciałbys się teraz ze mną zmierzyć? W domu, na polce nad kominkiem, miała kilkanaście trofeów - pozłaczanych figurek strzelców celujących z pistoletów. (Wszystkie figurki przedstawiały mężczyzn, co z niewiadomego powodu bardzo śmieszyło Amelie Sachs).

Zeszła kilka schodków, podchodząc bliżej żelaznych krat. Potem przygłębła płasko do ściany.

Sachs, fachowiec w zabezpieczaniu miejsc zbrodni, zbadła obrzydliwy zakątek, czuła zapach śmieci, zgnilizny i moczu - charakterystyczne wonie metra. Dokładnie obejrzała kraty, lancuch i kłódka. Zajrzała do ciemnego tunelu, ale nic nie zobaczyła i niczego nie usłyszała.

Gdzie on jest?

I co robią agenci z gliniarzami? Dlaczego to tak długo trwa?

Chwile później usłyszała odpowiedź - w słuchawce telefonu: czekali na wsparcie. Haumann postanowił wezwać jeszcze dwudziestu ludzi z jednostki specjalnej i drugi zespół 32-E.

Nie, nie, nie - myślała. Błąd! Wystarczy, że Trumniarz wyjrzy na zewnątrz, zobaczy, że na ulicy nie ma ani jednego samochodu, taksówki ani pieszego, i od razu się domysli, że szykuje się akcja. Ulica spłynie krwią... Czy oni tego nie rozumieją?

Sachs położyła narzędzia u stop schodków i wspięła się z powrotem na ulicę. Niedaleko była apteka. Weszła tam, kupiła dwa pojemniki z butanem i pożyczyła od aptekarza pret od markizy nad drzwiami - kawał stali długości pięciu stop.

Wlozyla koniec preta w jedno z ogniow lancucha, ktore bylo czesciowo nadpilowane, po czym przekrecila go, az lancuch sie napial. Potem nalozyla rekawiczke z nomexu i oproznila oba pojemniki butanu, kierujac strumien gazu na metalowe ogniwa i obserwujac, jak pokrywaja sie szronem. (Amelia Sachs wiedziala o sposobach forsowania zamknietych drzwi tyle rzeczy, ze w razie czego mogla zmienic zawod).

Gdy drugi pojemnik byl juz pusty, zlapala oburacz pret i zaczela ciagnac. Pod wplywem lodowatego gazu metal stal sie bardzo kruchy. Z cichym trzaskiem ogniwo peklo na pol. Zlapala lancuch, zanim upadl na ziemie, i polozyla go na kupie lisci.

Zawiasy byly mokre od deszczu, ale splunela na nie, zeby nie skrzypialy i pchnela drzwi, wyciagajac jednoczesnie glocka z kabury. Pomyslala: nie trafilam do ciebie z trzystu jardow, ale z trzydziestu nie chybie.

Rhyme'owi na pewno by sie to nie podobalo, ale na szczescie nic nie wiedzial. Pomyslala przez chwile o nim i o wczorajszym wieczorze, gdy lezeli w lozku. Ale obraz jego twarzy szybko sie ulotnil. Jak podczas jazdy z predkoscia stu piecdziesieciu mil na godzine, tak i w tej misji nie miala czasu na uzalanie sie nad swoim tragicznym zyciem.

Zniknela w mrocznym korytarzu, przesadzila starodawny drewniany kolowrotek i ruszyla w kierunku stacji, idac wzdluz peronu.

Zanim uszla dwadziescia stop, uslyszala jakies glosy.

- Musze isc... rozumiesz... mowie? Odejdz.

Bialy mezczyzna.

Trumniarz?

Serce lomotalo jej w piersi.

Oddychaj spokojnie, pouczyła sie w mysli. Strzelanie to oddech.

(Lecz wtedy na lotnisku nie uspokoila oddechu. Dyszala ze strachu).

- Co, co mowisz? - odezwal sie ktos drugi. Czarny. W tym glosie uslyszala cos, co przeszylo ja lekiem - cos niebezpiecznego. - Moge miec kase. Moge miec forsy jak nasral. Mam szescdziesiat, nie? Ale moge miec wiecej. Ile chcesz. Mialem dobra robote, ale mi ja skurwiele zabrali. Za duzo wiedzialem.

Bron to tylko przedluzenie reki. Celuj soba, nie bronia.

(Ale gdy byla na lotnisku, w ogole nie celowala. Trzesla sie ze strachu jak osika i strzelala na oslep - co jest najbardziej bezsensowna i niebezpieczna metoda poslugiwania sie bronia palna).

- Rozumiesz? Zmienilem zdanie... i wyjdz. Dam ci... demerol.

- Nie powiedziales, gdzie idziemy. Gdzie mamy szukac tych jebanych butelek? Najpierw powiedz. Gdzie?

- Nigdzie nie idziemy. Odejdz stad.

Sachs powoli zaczela wchodzic po schodach.

Myslala: Najpierw wyciagnij cel z ukrycia, sprawdz, co masz za plecami, naciśnij spust. Schowaj sie. Jezeli trzeba, powtorz wszystko. I cofnij sie. Nie pozwol, zeby cos wytracilo cie z rownowagi.

(Na lotnisku wytracila ja z rownowagi kula, ktora z gwizdem przeleciala tuz obok jej twarzy).

Zapomnij o tym. Skup sie.

Jeszcze kilka schodow w gore.

- A teraz mowisz, ze nie dasz za darmo. Teraz mowisz, ze musze placic. Skurwysynu!

Schody byly najgorsze. Kolana, jej slaby punkt. Pieprzony artretyzm...

- Masz. Dwanascie demeroli. Zabieraj i spadaj stad!

- Dwanascie. I nie musze placic? - Czarny ryknal smiechem. - Dwanascie?

Zblizala sie do szczytu schodow.

Mogla juz prawie zajrzec na stacje. Byla gotowa do oddania strzalu. Jezeli facet przesunie sie w jakakolwiek strone o wiecej niz szesc cali, stuknij go, dziewczyno. Zapomnij o przepisach. Trzy strzaly w glowe. Bach, bach, bach. Nie celuj w korpus. Nie...

Nagle schody sie skonczyly.

Upadajac, wydala z siebie zduszony, gardlowy jek.

Jeden stopien okazal sie pulapka. Podstopnicy nie bylo, a sam schodek opieral sie na dwoch pudelkach po butach. Pod jej ciezarem karton sie zalamal, a betonowa plyta runela w dol, wiec i Sachs spadla ze schodow. Glock wylecial jej z reki, a kiedy zaczela przez radio wzywac pomocy, zorientowala sie, ze przewod laczaczy sluchawke i mikrofon z motorola zostal wyrwany z gniazdka.

Sachs wyladowala z gluchym loskotem na betonowo-stalowym podescie. Glowa uderzyla w slupek podtrzymujacy poręcz. Oszolomiona przewrocila sie na brzuch.

- No, swietnie - mruknal glos bialego.

- Kto to, kurwa? - spytal Murzyn.

Unoszac glowe, ujrzala dwoch mezczyzn stojacych u szczytu schodow.

- Jasny szlag - mruknął czarny. - Kurwa, co się tu dzieje?

Biały złapał kij baseballowy i ruszył w dół po schodach.

Już po mnie, pomyślała. To koniec.

W kieszeni miała noż sprężynowy. Musiała tylko zdobyć się na wysilek, by wyciągnąć spod siebie prawą rękę. Obroczyła się na plecy, szukając po omacku noża. Było już jednak za późno. Mężczyzna nastąpił jej na ramię, przygwożdżając ją do ziemi. Wlepil spojrzenie w jej twarz.

Kurcze, Rhyme, wszystko spieprzyłam. Szkoda, że w nocy nie pożegnaliśmy się lepiej...
Przepraszam... Przepraszam...

W obronnym geście uniosła ręce, żeby osłonić głowę, poszukiwała spojrzeniem glocka. Był za daleko.

Złapała rękę, która przypominała zakończoną pazurami ptasia nogę, wloczega wyciągnął ją z kieszeni sprężynowca. Odrzucił go daleko.

Potem wstał, mocno chwytając kij.

Dlaczego tak schrzaniałam? - pytała w duchu zmarłego ojca. Ile złamałam zasad? Przypomniała sobie jego słowa, że na ulicy można zginąć, popełniając jeden, jedyny błąd, trwający nie dłużej niż sekunda.

- Powiesz mi, co tu robisz - wymruczał, wymachując pałką z roztargnieniem, jak gdyby nie mógł się zdecydować, co jej złamać najpierw. - Kim, do cholery, jesteś?

- Nazywa się Amelia Sachs - powiedział bezdomny Murzyn, który nagle przestał mówić jak bezdomny. Zszedł z dolnego stopnia i zbliżył się do białego, wyciągając mu kij z ręki. - I jeżeli się nie mylę, przyszła tu, żeby dobrać ci się do dupy. Tak jak ja.

Sachs zmrużyła oczy i zobaczyła, jak czarny wloczega prostuje się i zmienia we Freda Dellraya. Agent mierzył do osłupiałego człowieka z wielkiego sig-sauera.

- Gliniarz? - parsknął bezdomny.

- FBI.

- Niech to szlag! - wyrzucił z siebie, zamykając oczy z niesmakiem. - To moje pierdolone szczęście.

- Mylisz się - powiedział Dellray. - Szczęście nie ma tu nic do rzeczy. Dobra, skuję cię i zachowuj się grzecznie. Jeżeli nie, to przez długie miesiące będzie cię bardzo bolało. Rozumiemy się?

- Jak to zrobiłeś, Fred?

- Bardzo łatwo. - Wysoki Dellray stal obok Sachs przed opuszczona stacja metra. Agent wciaz miał na sobie stroj wlozugi, a jego twarz i rece pokrywalo bloto, ktorym sie wysmarowal, by wygladac, jakby od tygodni mieszkal na ulicy. - Rhyme mi mowil, ze nowy kumpel Trumniarza jest cpunem i mieszka gdzies w metrze pod centrum. Wiedzialem, gdzie isc. Kupilem torbe puszek i pogadalem z kim trzeba, zeby dostac namiary na jego mieszkanko. - Ruchem glowy wskazal stacje. Spojrzeli na radiowoz, w ktorym na tylnym siedzeniu tkwil Jodie w kajdankach, z ponura mina.

- Dlaczego nam nie powiedziales?

Dellray zasmial sie i Sachs zrozumiala, ze pytanie nie ma sensu; tajniacy rzadko mowia komus - nawet innym gliniarzom, a zwlaszcza przelozonym - o swoich poczynaniach. Nick, jej byly eks, byl tajniakiem i cholernie malo jej mowil.

Pomasowala stluczony bok. Bolalo jak diabli i sanitariusze poradzili jej, zeby sie przeswietlila. Sachs scisnela biceps Dellraya. Sama czula sie nieswojo, gdy ktos jej dziekowal - w tym rzeczywiscie byla dobra uczennica Rhyme'a - ale bez zadnych oporow powiedziala teraz:

- Ocaliles mi zycie. Gdyby nie ty, byloby juz po mnie. Co ci mam powiedziec?

Dellray skwitowal podziekowanie wzruszeniem ramion i wydebil papierosa od jednego z mundurowych, ktorzy stali przed stacja. Obwachal marlboro i wsunal za ucho. Spojrzal w ciemne okno stacji.

- Prosze - rzekl nie wiadomo do kogo, wzdychajac. - Najwyzszy czas, zebysmy mieli troche szczescia.

Kiedy aresztowali Joego D'Oforio i wepchneli go do radiowozu, bezdomny powiedzial im, ze Trumniarz wyszedl dziesiec minut wczesniej i udal sie w glab ciemnej bocznicy. Jodie - bo tak brzmialo przyzwisko wlozugi - nie wiedzial, dokad poszedl. Po prostu nagle zniknal z bronia i plecakiem. Haumann i Dellray wyslali ludzi, zeby przetrzasneli stacje, tunele i polozona niedaleko czynna stacje. Teraz czekali na rezultaty poszukiwan.

- No dalej...

Dziesiec minut pozniej w drzwiach ukazal sie mezczyzna z jednostki specjalnej. Sachs i Dellray spojrzeli na niego z nadzieja. On jednak pokrecil glowa.

- Zgubilem jego slad na poczatku toru. Nie mam pojecia, dokad poszedl.

Sachs westchnela i z ociaganiem przekazala te wiadomosc Rhyme'owi, pytajac, czy ma zbadac tory i stacje.

Jak sie spodziewala, nie przyjal wiadomosci najlepiej.

- Niech to diabli - mruknal Rhyme. - Nie, sama stacje. Nie ma sensu isc tunelem. Cholera, jak on to robi? Jakby mial jakis pieprzony szosty zmysl.

- Przynajmniej mamy świadka - powiedziała.

I natychmiast pozalowała tych słów.

- Świadka? - prychnął Rhyme. - Świadka? Nie potrzebuje świadków. Potrzebuje dowodów! Ale przywieź go tu. Posłuchamy, co ma do powiedzenia. Sachs, chce, żebyś przeszukała stację tak dokładnie, jak jeszcze nie przeczesywałaś żadnego miejsca. Słyszysz? Jesteś tam, Sachs? Słyszysz mnie?

Rozdział dwudziesty piaty

45 godzin - godzina dwudziesta piata

- Co tu mamy? - spytał Rhyme, dmuchając w rurkę sterownika wózka i podjeżdżając bliżej.

- Kawalek smiecia - stwierdził Fred Dellray, już umyty i przebrany w mundur - jeśli mundurem można nazwać zjadliwie zielony garnitur. - Hm, hm. Nic nie mów. Czekać, aż cię spytamy. - Utkwił groźne spojrzenie w Jodiem.

- Nabrales mnie!

- Cicho bądź, szczaplaku.

Rhyme nie był zadowolony, że Dellray wypuścił się na samotną akcję, lecz na tym polegała praca tajniaka i nawet jeśli Lincoln nie do końca ją rozumiał, nie mógł kwestionować jej skuteczności - której agent niezaprzeczalnie dowiodł.

Poza tym ocalił skóre Amelii Sachs.

Wkrótce miała tu przybyć. Sanitariusze zabrali ją na ostry dyżur, żeby zrobić przeswietlenie zeber. Potłukła się, spadając ze schodów, ale na szczęście nic nie złamała. Zaniepokojony stwierdził, że w ogóle nie wzięła sobie do serca ich rozmowy; sama weszła do metra, gdzie prawdopodobnie ukrywał się Trumniarz.

Niech to szlag, pomyślał, jest tak samo uparta jak ja.

- Nie chciałem nikomu zrobić krzywdy - zaprotestował Jodie.

- Ogluchles? Powiedziałem, ani słowa.

- Nie wiedziałem, kim ona jest!

- No jasne - rzekł Dellray. - Srebrna odznaka nic oczywiście nie znaczy. - Potem sobie

przypomniał, że zabronił mu się odzywać.

Sellitto poszedł bardzo blisko Jodiego i nachylił się nad nim.

- Powiedz nam coś o swoim przyjacielu.

- To nie jest mój przyjaciel. Porwał mnie. Byłem w tym budynku przy Trzydziestej Piątej, bo...

- Bo podpieprzałeś tabletki. Wiemy, wiemy.

Jodie wybaluszył na niego oczy.

- Skąd...

- Nie obchodzi nas to. Przynajmniej na razie. Mów dalej.

- Myślałem, że to glina, ale potem mi powiedział, że przyszedł zabić jakichś ludzi. Bałem się, że mnie też zabije. Musiał stamtąd uciekać i kazał mi stać bez ruchu. Potem wszedł ten gliniarz, czy kto to był, a on wbił mu noż.

- I go zabił - wyrzucił z siebie Dellray.

Jodie westchnął nieszczęśliwie.

- Nie wiedziałem, że chce go zabić. Myślałem, że tylko obezwładnić.

- Ty gnojku - warknął Dellray. - Ale go zabił. Facet nie żyje.

Sellitto spojrzał na torebki z dowodami znalezionymi w metrze. Znajdowały się w nich swierszczyki, setki pigulek, ubrania. Nowy telefon komórkowy. Plik banknotów. Ponownie popatrzył na Jodiego.

- Mów dalej.

- Powiedział, że mi zapłaci, jak go wyprowadzę z budynku. Zaprowadziłem go do metra przez tunel. Jak ty mnie znalazłeś, człowieku? - zwrócił się do Dellraya.

- Bo włożyłeś się po ulicach i każdemu usiłowałeś wcisnąć te swoje prochy. Dowiedziałem się nawet, jak masz na imię. Chryste, ale z ciebie szmata. Powinienem cię złapać za kark i dusić, aż zsiniejesz.

- Nie możesz mi zrobić krzywdy. - Usiłował się zbuntować. - Mam swoje prawa.

- Kto mu zlecił robotę? - spytał Jodiego Sellitto. - Wspominał nazwisko Hansena?

- Nie. - Głos Jodiego zadrzał. - Posłuchajcie, zgodziłem się mu pomóc, bo wiedziałem, że mnie zabije, jeżeli tego nie zrobię. Wcale nie chciałem. - Zwrócił się do Dellraya: - Chciał, żebyśmy wzięli

cie do pomocy. Ale zaraz potem zniknal, dlatego mowilem, ze bys sobie poszedl. Mialem zamiar isc na policje i o wszystkim powiedziec. Naprawde. To straszny facet. Boje sie go!

- Fred? - odezwal sie Rhyme.

- No, tak - przyznal agent. - Zmienil ton. Chcial, ze bym go zostawil, ale nic nie wspominal o chodzeniu na policje.

- Dokad on poszedl? Co mieliscie zrobic?

- Mialem grzebac w kublach na smieci przed jakimś domem i obserwowac samochody. Powiedzial, ze bym uwazal na kobiety i mezczyzne wsiadajacych do samochodu. Mialem zadzwonic do niego z tego telefonu i podac marke wozu. Potem on mial za nimi pojechac.

- Nie myliles sie, Lincoln - powiedzial Sellitto. - W sprawie zatrzymania ich w domu. Szykowal sie do ataku w drodze.

- Chcialem do was przyjsc... - ciagnal Jodie.

- Czlowieku, nie ma sensu, ze bys klamal. Czy brak ci odrobiny godnosc?

- Naprawde chcialem - rzekl spokojniej. Nawet sie usmiechnal. - Przypuszczalem, ze dostane nagrode.

Rhyme zerknal w chciwe oczy czlowieka i zaczynal mu wierzyc. Spojrzal na Sellitta, ktory ze zrozumieniem skinal glowa.

- Jezeli zaczniesz z nami wspolpracowac - oznajmil detektyw - moze cie uratujemy przed pudlem. Co do pieniedzy - nie wiem. Niewykluczone, ze cos dostaniesz.

- Nigdy nikomu nie zrobilem krzywdy. Nie potrafiem...

- Zamknij juz gebe - powiedzial Dellray. - Rozumiemy sie?

Jodie przewrocil oczami.

- Rozumiemy? - szepnal jadowicie agent.

- Tak, tak, tak.

- Nie tracmy czasu - odezwal sie Sellitto. - Kiedy miales isc pod tamten dom?

- O wpol do pierwszej.

Do umowionej godziny zostalo piecdziesiat minut.

- Jakim samochodem jezdzi?

- Nie wiem.

- Jak wyglada?

- Chyba trzydziesci kilka lat. Niewysoki. Ale silny. Muskuly to on ma. Krotko obciete ciemne wlosy. Okragla twarz. Moze zrobicie taki wasz obrazek? Jak one sie nazywaja - portret pamieciowy?

- Powiedzial ci, jak sie nazywa? Skad pochodzi? Cokolwiek?

- Nie wiem. Mial troche poludniowy akcent. Aha, jeszcze jedno - powiedzial, ze nosi rekawiczki, bo jest notowany.

- Gdzie i za co? - spytal Rhyme.

- Nie wiem gdzie. Za zabojstwo. Powiedzial, ze zabil czlowieka w swoim miescie. Gdy mial kilkanascie lat.

- Co jeszcze? - warknal Dellray.

- Sluchaj - rzekl Jodie, krzyzujac rece na piersi i spogladajac na agenta. - Moze robilem swinstwa, ale nigdy w zyciu nikogo nie skrzywdzilem. Ten facet mnie porwal. Mial plecak pelen gnатов, wygladal jak pieprzony psychol i tak mnie przestraszyl, ze prawie zesralem sie w gacie. Na moim miejscu kazdy zrobilby to samo. Nie mam ochoty dluzej tego znosic. Jezeli chcecie mnie arestowac, prosze bardzo. Ale nic wiecej juz nie powiem.

Szczupla twarz Freda Dellraya nieoczekiwanie rozjasnila sie w usmiechu.

- Zaczyna pekac.

W drzwiach stanela Amelia Sachs i weszla do pokoju, patrzac na Jodiego.

- Powiedz im! - pisnal bezdomny. - Powiedz, ze nie zrobilem ci krzywdy.

Spojrzala na niego, jak gdyby byl kawalkiem przezutej gumy.

- Chcial mi roztrzaskac mozg kijem basebalowym.

- Wcale nie, wcale nie!

- Wszystko w porzadku, Sachs?

- Mam nastepnego siniaka. Na plecach. To wszystko.

Sellitto, Sachs i Dellray skupili sie wokol Rhyme'a, ktory relacjonowal Sachs zeznanie Jodiego.

Detektyw spytal Rhyme'a szeptem:

- Uwierzemy mu?

- Pieprzony szczaplak - mruknal Dellray. - Ale moim zdaniem mowi prawde.

Sachs rowniez skinela glowa.

- Chyba tak. Ale tak czy inaczej, nie mozemy go puscic, wszystko jedno, co zamierzamy zrobic.

- Och, bedzie mu u nas dobrze - zgodzil sie Sellitto.

Rhyme przystal na to niechetnie. Wygladalo na to, ze bez pomocy tego czlowieka nie beda mogli uprzeditc ruchu Trumniarza. W sprawie pozostawienia Percey i Hale'a w bezpiecznym domu pozostal nieugiety, lecz w istocie wcale nie wiedzial, czy Trumniarz zdecydowal sie na atak podczas transportu. Sklanial sie jedynie ku takiej konkluzji. Rownie dobrze mogl postanowic, by wywiezc Percey i Hale'a i zgineliby gdzieś w drodze do nowego strzezonego obiektu.

Poczul, ze sztywnieje mu szczeka.

- Jak twoim zdaniem powinniśmy to rozegrac, Lincoln? - spytal Sellitto.

To bylo pytanie do taktyka. Rhyme spojrzal na Dellraya, ktory wyciagnal zza ucha papierosa i przez chwile go wachal. Wreszcie rzekl:

- Niech ten smiec zadzwoni i sprobujcie wyciagnac od Trumniarza, ile sie da. Wypuscimy jakis falszywy woz i Trumniarz za nim pojedzie. W samochodzie beda nasi ludzie. Z tylu zastawi go kilka cywilnych wozow i mamy go na widelcu.

Rhyme niechetnie pokiwal glowa. Wiedzial, jak niebezpieczne sa podobne akcje na ulicy.

- Moze przynajmniej wyciagniemy go z centrum miasta?

- A gdyby wywabic go az do East River? - zaproponowal Sellitto. - Tam bedziemy mieli duzo miejsca na akcje. Na przyklad na jakims starym parkingu. Mozna udawac, ze swiadkowie musza sie przesiadc do innej furgonetki. Ze wzgledow bezpieczenstwa.

Wszyscy byli zgodni, ze to byl najmniej niebezpieczny sposob.

Wskazujac na Jodiego, Sellitto szepnal:

- Wsypl Trumniarza... co mu za to damy? Zeby na tym nie stracil.

- Odstapcie od zarzutu o udzielenie pomocy w dokonaniu przestepstwa - rzekl Rhyme. - I dajcie mu jakies pieniadze.

- Kurwa - powiedzial Dellray, choc byl znany ze swej szczodrosci wobec tajnych informatorow, ktorzy dla niego pracowali. W koncu skinal przyzwalajaco glowa. - Dobra, dobra. Podzielimy sie kosztami. Zalezy jeszcze, ile sobie szcur policzy.

Sellitto zawolal Jodiego.

- Umawiamy sie tak: pomozesz nam, zadzwonisz do niego, tak jak chcial, my go namierzymy, potem wycofamy zarzuty wobec ciebie i dostaniesz nagrode.

- Ile? - spytal Jodie.

- Sluchaj, jestes w takim polozeniu, ze negocjacje sa raczej niewskazane.

- Potrzebuje pieniedzy na terapie odwykowa. Dziesiec tysiecy. Da sie zrobic?

Sellitto spojrzal na Dellraya.

- Jak wyglada twój fundusz dla kapusiow?

- Mozemy na to pojsc - odrzekl Dellray. - Ale fifty-fifty.

- Naprawde? - Jodie z trudem powstrzymal usmiech. - To zrobie, co chcecie.

Rhyme, Sellitto i Dellray omowili plan. Uzgodnili, ze beda dowodzic akcja z ostatniego pietra bezpiecznego domu, gdzie umieszcza tez Jodiego z telefonem. Percey i Brit zajma srodkowe pietro razem z ochraniajacymi ich funkcjonariuszami. Jodie zadzwoni do Trumniarza i powie mu, ze para swiadkow wlasnie wsiada do furgonetki i odjezda. Samochod skieruje sie na opuszczony parking w East Side. Trumniarz pojedzie za furgonetka. Akcje przeprowadza na parkingu.

- No dobra, do roboty - powiedzial Sellitto.

- Czekaicie - rozkazal Rhyme. Zatrzymali sie i spojrzeli na niego. - Zapomnielismy o najwazniejszym.

- Czyli?

- Amelia przeszukala stacje metra. Chce zobaczyc, co znalazla. Moze dzięki temu dowiemy sie, jakie sa szczegoly planu Trumniarza.

- Znamy jego plan - oswiadczył Sellitto, wskazujac ruchem glowy Jodiego.

- Spelnij kaprys starego kaleki, dobrze? Sachs, zobaczmy, co tam masz.

Robak.

Stephen przemykal ulicami, jezdził autobusami, unikal gliniarzy, ktorých widzial po drodze, i Robaka, ktorego nie widzial.

Ale Robak patrzyl na niego z kazdego okna na kazdej ulicy. Robak zblizal sie coraz bardziej.

Myslal o Zonie i Przyjacielu, myslal o swoim zadaniu, zastanawial sie, ile mu zostalo amunicji, czy cele beda miec na sobie kamizelki, skad bedzie strzelal, czy tym razem użyje tłumika, czy nie.

Lecz były to myśli, które przychodziły automatycznie. Nie kontrolował ich świadomie, jak oddychania, bicia serca czy ciśnienia krwi pulsującej w jego ciele.

Był za to świadomy myśli o Jodiem.

Co go w nim tak zafascynowało?

Stephen nie potrafił tego dokładnie określić. Może to, że mieszkał sam, ale nie wydawał się samotny. Może to, że nosił przy sobie ten poradnik i naprawdę chciał się wyzwolić z nalogu. Albo to, że bez wahania stanął przy drzwiach piwnicy, kiedy Stephen mu kazał, mimo ryzyka, że zostanie zastrzelony.

Stephen poczuł rozbawienie...

Slucham, żołnierzu, co poczułeś?

Melduje, że...

Rozbawienie? Żołnierzu, co to znaczy „rozbawienie”? Mieknieysz?

Melduje, że nie.

Nie było jeszcze za późno na zmianę planów. Wciąż miał wybór. Było mnóstwo rozwiązań.

Myslał o Jodiem. O tym, co od niego usłyszał. Cholera, może rzeczywiście pojedzie na kawę po robocie.

Mogliby pojechać do Starbucksa. Tak jak wtedy z Sheila, tylko że teraz wszystko byłoby naprawdę. Nie będzie musiał saczyć tej lurowatej herbatki, tylko napije się porządnej, podwójnej kawy, jaką matka rano parzyła ojczymowi, gotując ją na ogniu dokładnie szesćdziesiąt sekund, z dokładnie dwóch i trzech czwartych łyżeczki na filiżankę, nie rozsypując ani ziarenka.

A może jeszcze przyjdzie czas na ryby i polowanie?

Albo ognisko...

Może powie Jodiemu, żeby nie szedł pod dom. Sam zlikwiduje Zone i Przyjaciela.

Żeby nie szedł, żołnierzu? O czym ty mówisz?

Melduje, że rozważam wszystkie możliwości związane z atakiem. Dokładnie według instrukcji.

Stephen wysiadł z autobusu i wśliznął się w aleję za strażą pożarną w Lexington. Ukrył torbę za pojemnikiem na śmieci, wysunął z pochwy noż i schował pod kurtkę.

Jodie. Joe D...

Znow zobaczył jego chude ramiona. Jego spojrzenie.

Tez sie ciesze, ze cie poznalem, wspolniku.

Nagle Stephen zadrzał. Tak jak w Bosni, kiedy musiał wskoczyć do strumienia, by nie złapali go partyzanci. Wtedy był marzec i woda miała temperaturę bliska zeru.

Zamknął oczy i oparł się o ceglany mur, wdychając zapach mokrych kamieni.

Jodie był...

Zołnierzu, co się, kurwa, dzieje?

Melduje, że...

Co?

Melduje, że ja...

Wykrztus to, żołnierzu.

Melduje, że według moich ustaleń wrog próbował prowadzić wojnę psychologiczną. Ale jego wysiłki okazały się bezskuteczne. Jestem gotów do realizacji planu.

Bardzo dobrze, żołnierzu. Ale patrz pod nogi.

Otwierając tylne drzwi do budynku straży i wchodząc do środka, Stephen zdał sobie sprawę, że już nie będzie zmiany planów. Wszystko było doskonale przygotowane i nie mógł tego zmarnować, zwłaszcza że miał szansę zabić nie tylko Zone i Przyjaciela, ale także Lincolna Robaka i rudowłosa policjantkę.

Stephen spojrział na zegarek. Za piętnaście minut Jodie będzie na stanowisku. Zadzwoń do Stephena. Stephen odbierze telefon i po raz ostatni usłyszy jego wysoki głos.

Potem naciśnie guzik nadajnika, który zdetonuje dwanaście uncji RDX w telefonie komórkowym Jodiego.

Zmylić wroga... odizolować... wyeliminować.

Naprawdę nie miał wyboru.

Poza tym, pomyślał, o czym byśmy rozmawiali? Co byśmy robili po tej kawie?

MALPIA ZREZNOSC

Zdolnosc [Sokola] do akrobacji powietrznych i podniebnych szalenstw mozna porownac jedynie z blazenada krukow. Wydaje sie, ze lataja dla samej przyjemnosci latania.

„Sokoly moja pasja”

Stephen Bodio

Rozdział dwudziesty szesty

45 godzin - godzina dwudziesta szosta

Czekal.

Rhyme był sam w swojej sypialni na gorze, słuchał radia ustawionego na częstotliwość operacyjną. Był śmiertelnie zmęczony. Minęło południe niedzieli, a on właściwie prawie w ogóle nie spał. Najbardziej jednak wyczerpał go inny wysilek - próby przeniknięcia myśli Trumniarza. Rachunek za te mordercza prace musiał zapłacić jego ciało.

Cooper siedział na dole w laboratorium, przeprowadzając testy, które miały potwierdzić domysły Rhyme'a co do najnowszego planu Trumniarza. Pozostali pojechali do bezpiecznego domu; Amelia Sachs również. Gdy tylko Rhyme, Sellitto i Dellray opracowali plan akcji przeciw zakładanej próbie ataku Trumniarza na Percey Clay i Brita Hale'a, Thom zmierzył Rhyme'owi ciśnienie i zrobił użytek ze swej władzy, w istocie rodzicielskiej, kazać szefowi położyć się, bez dyskusji. Wjechali na górę windą. Rhyme milczał, pełen niepokoju, czy znowu udało mu się trafnie przejrzeć zamiary Trumniarza.

- O co chodzi? - spytał Thom.
- O nic. Dlaczego pytasz?
- Bo siedzisz cicho i na nic nie narzekasz. Czyli coś jest nie tak.
- Bardzo śmieszne - mruknął Rhyme.

Thom położył go do łóżka i dokonał kilku rutynowych zabiegów. Rhyme unosił głowę z luksusowej poduszki i przez słuchawkę z mikrofonem, którą nałożył mu Thom, polecił komputerowi nastroić odbiornik na częstotliwość operacyjną.

System rzeczywiście był niewiarygodnym wynalazkiem. Przy Sellitcie i Banksie Rhyme wyrażał się o nim lekceważąco i jak zwykle narzekał. Jednak urządzenie, bardziej niż inne udogodnienia, sprawiało, że czuł się zupełnie inaczej. Przez parę lat był przekonany, że nigdy nie będzie mógł funkcjonować w miarę normalnie. Lecz dzięki tej maszynie i oprogramowaniu czuł się jak zdrowy

czlowiek.

Przekrecil glowe i polozyl ja z powrotem na poduszce.

Czekal. Probował nie myslec o swej wczorajszej klesce z Sachs.

Jakis ruch za oknem. Zobaczył sokola. Mignela biala piers, potem ptak odwrocil sie do niego blekitnoszarym grzbietem i spojrzal w strone Central Parku. Samiec. Samczyk, jak mowila Percey Clay. Mniejszy i mniej okrutny niz samica. Przypomniat sobie cos jeszcze o sokolach wedrownych. Mozna by powiedziec, ze ptaki zmartwychwstaly. Jeszcze kilka lat wczesniej cala populacja tego gatunku we wschodniej czesci Ameryki Polnocnej pod wplywem pestycydow stala sie bezplodna i niemal wyginela. Dzieki wysilkom hodowcow i ograniczeniu uzywania pestycydow udalo sie je uratowac.

Zmartwychwstanie...

Z radia dobiegl trzask. Meldowala sie Amelia Sachs. Gdy mowila, ze wszystko jest gotowe, w jej glosie slychac bylo napiecie.

- Jesteśmy z Jodiem na ostatnim pietrze - powiedziala. - Czekaj... jest juz samochod.

Przyneta miala byc opancerzona furgonetka z napędem na cztery kola i lustrzanymi szybami, w ktorej siedziat czterech funkcjonariuszy z jednostki specjalnej. Za nia mial ruszyc nieoznakowany samochod z dwoma „hydraulikami”, czyli w istocie ludzmi z grupy 32-E. Z tylu jechalo jeszcze czterech.

- Pozoranci sa juz na dole... w porzadku.

Role Percey i Brita grali dwaj funkcjonariusze z oddzialu Haumanna.

- Ida - poinformowala Sachs.

Rhyme byl niemal pewien, ze wobec nowych planow Trummiarza raczej nie mozna sie spodziewac snajperskiego strzalu z ulicy. Mimo to wstrzymal oddech.

- Biegna do wozu.

Trzask i radio umilklo.

Kolejny trzask. Zaklocenia. Odezwal sie Sellitto.

- Wsiedli. Wszystko idzie dobrze. Ruszaja. Drugi samochod gotowy.

- Dobra - rzekl Rhyme. - Jest tam Jodie?

- Jest z nami.

- Powiedz mu, żeby zadzwonił.
- W porządku, Linc. Dzwonimy. Radio wyłączyło się.

Rhyme czekał.

By zobaczyć, czy tym razem Trumniarz się zawaha. By się przekonać, czy tym razem przejrzał zimny umysł mordercy.

Czekał.

Zadzwieczył telefon. Stephen otworzył klapkę.

- Tak.
- Cześć, to ja. Jo...
- Wiem - odparł Stephen. - Bez imion.
- Jasne. - W głosie Jodiego słychać było lek. Sprawiał wrażenie zaszczutego zwierzęcia. Po chwili dodał: - Już jestem.
- Dobrze. Wziales ze sobą tego czarnucha?
- Hm, tak. Jest ze mną.
- Gdzie dokładnie jesteś?
- Po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko tego domu. Stary, tu jest kupa gliniarzy. Ale nikt nie zwraca na mnie uwagi. Minutę temu zatrzymał się tam samochód. Duża furgonetka, chyba Yukon z napędem na cztery koła. Niebieski, łatwo go zauważyć. - W zdenerwowaniu zaczął mówić bezładnie i składowo. - Bardzo ładny. Ma lustrzane szyby.

- Kuloodporne.

- No. Znasz się na tym, co?

Zaraz umrzesz, bezgłośnie powiedział do niego Stephen.

- Ten facet i kobieta właśnie wybiegli z alejki, razem z nimi jest może z dziesięciu gliniarzy. To na pewno oni.

- Nie pozoranci?

- Nie wyglądają na gliny poza tym są spanikowani. Jesteś na Lexington?

- Tak.

- W samochodzie? - spytał Jodie.

- Oczywiście - odparł Stephen. - Ukradłem małego gównianego japończyka. Pojadę za nimi. Zaczekam, aż znajda się w jakimś pustym miejscu i dopiero wtedy to zrobię.

- Jak?

- Co jak?

- Jak to zrobisz? Granatem, pistoletem maszynowym?

Tak bardzo chciałbyś wiedzieć? - pomyślał Stephen.

- Nie jestem pewien - powiedział. - To zależy.

- Widzisz ich? - spytał z napięciem Jodie.

- Widzę. Jadą za nimi. Ruszam.

- Japończyk, mówisz? - dopytywał się Jodie. - Toyota czy coś w tym rodzaju?

Ty śmierdzący zdrajco, pomyślał z goryczą Stephen. Świadomość, że włoczęga go zdradził, bardzo go zabolala, mimo iż wiedział, że to nieuniknione.

Stephen rzeczywiście widział yukona i towarzyszące mu samochody, które szybko przejechały obok niego. Nie siedział jednak w żadnym japońskim wozie, ani gównianym, ani dobrym. W ogóle nie siedział w żadnym samochodzie. Ubrany w kradziony mundur strażaka stał na rogu ulicy dokładnie sto stop od bezpiecznego domu, obserwując rzeczywisty rozwój wypadków, trochę inny od zmyślonej historyjki Jodiego. Wiedział, że w yukonie siedzą pozoranci. Zona i Przyjaciółka zostali w domu.

Stephen wziął do ręki szary nadajnik detonatora. Urządzenie wyglądało jak walkie-talkie, ale nie miało głośnika ani mikrofonu. Ustawił częstotliwość bomby ukrytej w telefonie Jodiego i uzbroił zapalnik.

- Nie wyłączaj się - powiedział do Jodiego.

- No - zaśmiał się Jodie. - Zrobi się.

Lincoln Rhyme był teraz tylko biernym obserwatorem.

Śluchał, co się dzieje w radiu. Modlił się, by jego przewidywania okazały się trafne. Usłyszał, że Sellitto pyta:

- Gdzie wóz?

- Dwie przecznice stąd - odrzekł Haumann. - Mamy go na oku. Jedźcie wolno przez Lex. A on...

czekaj. - Długa chwila milczenia.

- Co?

- Mamy tu kilka takich samochodów, nissan, subaru. Jest też honda accord, ale siedzą w niej trzy osoby. Do furgonetki zbliża się nissan. To może być on. Nie widzę kierowcy.

Lincoln Rhyme zamknął oczy. Poczul, jak drga nerwowo serdeczny palec jego lewej ręki, spoczywającej na grubej koldrze - jedyna, poza głową, poruszająca się część ciała.

- Halo? - rzekł Stephen do telefonu.

- Tak - odparł Jodie. - Jestem.

- Dokładnie naprzeciwko domu?

- Zgadza się.

Stephen patrzył na budynek. Nie było Jodiego, nie było Murzyna.

- Chciałem ci coś powiedzieć.

- Co takiego?

Stephen przypomniał sobie impuls elektryczny, gdy jego kolano dotknęło kolana tego drobnego człowieka.

Nie mogę tego zrobić...

Zołnierzu...

Stephen sciskał w lewej dłoni zdalny włącznik detonatora. Powiedział:

- Posłuchaj mnie uważnie.

- Przecież słucham.

Stephen wcisnął guzik.

Wybuch był nadzwyczaj głośny. Głośniejszy, niż Stephen się spodziewał. Zadrzały szyby w oknach, a w niebo wzbilo się mnóstwo gołębi. Stephen ujrzał, jak na alejce obok bezpiecznego domu sypie się szkło i drewno z ostatniego pietra.

Lepiej, niż mogłoby przypuszczać. Sądził, że Jodie będzie gdzieś niedaleko, może w wozie policyjnym stojącym przed domem. Nie mógł uwierzyć w swoje szczęście - Jodie był w środku. Doskonale!

Zastanawiał się, kto jeszcze mógł zginąć od eksplozji.

Modlił się, żeby wśród ofiar był Lincoln Robak.

Może rudowłosa policjantka?

Popatrzył w stronę domu i ujrzał dym unoszący się z okna na ostatnim piętrze.

Dobra, za parę minut dołączy do niego reszta drużyny.

Zadzwonił telefon i Rhyme kazał komputerowi przerwać połączenie radiowe i odebrać.

- Tak - powiedział do mikrofonu.

- Lincoln. - Mówił Lon Sellitto. - Korzystam ze zwykłej linii, bo nie chcę blokować kanału operacyjnego. Będzie potrzebny w czasie pościgu.

- Dobra, słucham.

- Zdetonował bombę.

- Wiem. - Rhyme słyszał wybuch; dom był oddalony o ponad dwie mile od jego sypialni, lecz od eksplozji zadrzały szyby, a sokoly spłoszone hałasem poderwały się z parapetu i poczęły zataczać koła w powietrzu. - Co się komu stało?

- Ten śmierdzi, Jodie, spanikował. Poza tym wszystko w porządku. Tylko federalni stwierdzili, że straty są większe, niż się spodziewali. Okropnie żrzedza.

- Powiedz im, że w tym roku wcześniej zapłacimy podatki.

Na trop bomby ukrytej w telefonie komórkowym naprowadziły Rhyme'a drobne skrawki polistyrenu, które Sachs znalazła na stacji metra. Poza tym w mikroskładach odkryli resztki plastyku, o trochę innym składzie niż w bombie podłożonej w mieszkaniu Sheili Horowitz. Rhyme po prostu dopasował skrawki polistyrenu do telefonu, który Trumniarz dał Jodiemu, i stwierdził, że ktoś odkrecał obudowę aparatu.

Po co? Był tylko jeden uzasadniony powód; dlatego Rhyme wezwał oddział pirotechników z szóstego posterunku. Dwóch detektywów rozbroiło telefoniczną bombę; usuneli z aparatu duży ładunek plastyku i obwód detonatora, po czym w pobliżu jednego z okien zamontowali znacznie mniejszy kawałek materiału wybuchowego z tym samym obwodem, umieszczony w specjalnym pojemniku, którego otwarta gardziel wycelowali w alejkę jak moździerz. Pokój zasłali kocami ochronnymi i wyszli na korytarz, wręczając bezpieczny już telefon Jodiemu, który ujął go drzacymi dłońmi, zadając, by mu udowodnili, że ładunku nie ma.

Rhyme domyślił się, że Trumniarz podłożył bombę, by odwrócić ich uwagę od furgonetki i zwiększyć swoje szanse w ataku na dwoje świadków. Morderca również prawdopodobnie się domyślił, że Jodie przejdzie na stronę przeciwnika i że będzie w towarzystwie glin, kiedy do niego zadzwoni. Gdyby udało mu się za jednym zamachem sprzątnąć dowódców - jego szanse byłyby jeszcze większe.

Podstep...

Tanczacy Trumniarz był najbardziej znienawidzonym przez Rhyme'a zbrodniarzem. Lincoln nikogo nie scigał z większą zjadłością, ale przede wszystkim był ekspertem kryminalistyki i skrycie podziwiał przenikliwość mordercy.

- Mamy dwa wozy na ogonie nissana - mówił Sellitto. - Za chwile...

Nastąpiła chwila ciszy.

- Glupota - mruknął Sellitto.

- Co jest?

- Nic takiego. Nikt się nie porozumiał z centralą. Jedźcie do nas straż pożarna. Nikt ich nie poinformował, żeby zignorowali zgłoszenie o wybuchu.

Rhyme też o tym zapomniał.

- Mam wiadomość - ciągnął Sellitto. - Furgonetka skręca na wschód, Linc. Nissan jedźcie za nią. Trzyma się jakieś czterdzieści jardów za furgonetką. Są cztery przecznice od parkingu przy Alei Roosevelta.

- Dobra, Lon. Jest tam Amelia? Chce z nią porozmawiać.

- Boże - powiedział jakiś głos w tle. Bo Haumann, pomyślał Rhyme. - Mamy tu pełno wozów strażackich.

- Czy ktoś...? - zaczął mówić inny głos, ale po chwili zamilkł.

Nie, ktoś nie, pomyślał Rhyme. Można by pomyśleć...

- Odezwę się później, Lincoln - powiedział Sellitto. - Musimy coś z tym zrobić. Wozy strażackie zatarasowały wszystkie chodniki.

- Sam się odezwę do Amelii - odrzekł Rhyme.

Sellitto odłożył słuchawkę.

Przy zaciągniętych zasłonach pokój stał się znacznie ciemniejszy.

Percey Clay bąkał się.

Myslała o swoim jastrzębiu, który złapał się kiedyś w sidła i próbował uwolnić, trzepocząc silnymi skrzydłami. Szpony i dziób siekły powietrze jak brzytwy, ptak skrzeczał jak oszalały. Lecz największe wrażenie na Percey zrobiły jego przerażone oczy. Gdy jastrzębiowi zabrano niebo, ptak wpadał w panikę. Stawał się nadwrażliwy.

Percey czula sie tak samo. Nie cierpiala tego domu. Zamknieta jak w klatce. Patrzyla na idiotyczne obrazki na scianach. Jakies gowno - Woolworth i J. C. Penney. Sflaczaly dywan. Miednica na wode i dzbanek. Brudnorozowa narzuta na lozko, z ktorej nadprutego rogu zwisalo kilkanascie dlugich nitok; moze siedzial tu kiedys jakis czlonek mafii, ktory postanowil sypac kompanow, i nerwowo skubal guzkowaty material.

Lyk z piersiowki. Rhyme mowil jej o zasadzce. Trumniarz mial jechac za furgonetka, w ktorej rzekomo siedzieli Percey i Hale. Mieli zatrzymac jego samochod i aresztowac go albo zabic. Jej poswiecenie nie pojdzie wiec na marne. Za dziesiec minut beda mieli czlowieka, ktory zabil Eda. Ktorego na zawsze zmienil jej zycie.

Ufala Lincolnowi Rhyme'owi i wierzyla mu. Ale wierzyla mu tak jak wiezy kontrolnej, kiedy podawala komunikat, ze nie ma zmiennego wiatru, a samolot nieoczekiwanie zaczynal spadac z szybkościa trzech tysiecy stop na minute - z pulapu dwoch tysiecy stop.

Percey rzucila piersiowke na lozko, wstala i zaczela chodzic po pokoju. Chciala znalezc sie w powietrzu, gdzie byla bezpieczna, gdzie nad wszystkim miala kontrole. Roland Bell kazal jej zgasic swiatla i siedziec w zamknietych pokojach. Wszyscy byli na ostatnim pietrze. Uslyszala huk eksplozji. Spodziewala sie go. Ale nie spodziewala sie leku, jaki ja ogarnal na dzwiek wybuchu. Strach byl nie do zniesienia. Dalaby wszystko, by moc wyjrzec za okno.

Podeszla do drzwi, otworzyla je i wyszla na korytarz.

Bylo ciemno, jak w nocy...

Wszystkie gwiazdy wieczoru...

Poczula gryzacy zapach. Pewnie z tego, co wybuchlo. Holl byl zupełnie pusty. W klatce schodowej pojawil sie jakis cien. Spojrzala w te strone, lecz cien zniknal.

Brit Hale byl w pokoju oddalonym zaledwie o dziesiec stop. Zapragnela z nim porozmawiac, ale nie chciala, by zobaczyl ja w tym stanie - blada, z trzesacymi sie rekami. Wilgotniejacymi ze strachu oczyma... Boze, byla spokojniejsza, wyprowadzajac z nurkowania boeinga 737, niz teraz, gdy wpatrywala sie w ciemny korytarz.

Cofnela sie do swojego pokoju.

Czyzby uslyszala jakies kroki?

Zamknela drzwi i wrocila na lozko.

Znow kroki.

- Tryb polecen - powiedzial do mikrofonu Lincoln Rhyme. Ekran poslusznie wyswietlil okno dialogowe.

W oddali uslyszal nikly odglos syren.

Dopiero wtedy Rhyme zdal sobie sprawę ze swojego błędu.

Wozy strażackie...

Nie! Nie przyszło mi to do głowy.

Ale Trumniarzowi przyszło. No jasne! Ukradł mundur strażaka albo kombinezon ratownika i w tej chwili wchodził do bezpiecznego domu!

- O nie - wymamrotał. - Nie! Jak mogłem się tak pomylić? To wyłącznie moja wina. Wylacz...

Komputer usłyszał ostatnie słowo i posłusznie wyłączył program telekomunikacyjny.

- Nie! - krzyknął Rhyme. - Nie!

Lecz system nie rozumiał głosnego, rozgorączkowanego głosu i wyświetlił pytanie: *Czy na pewno chcesz zamknąć system?*

- Nie - szepnął zrozpaczony.

Przez chwilę nic się nie działo, ale system się nie zamknął. Pojawił się następny komunikat: *Co chcesz teraz zrobić?*

- Thom! - krzyknął. - Niech ktoś tu przyjdzie... Mel!

Ale drzwi były zamknięte; z dołu nikt nie odpowiadał.

Palec u lewej ręki drgał jak oszalały. Kiedyś Rhyme miał mechaniczny USO i mógł sprawnym palcem wystukać numer telefonu. System komputerowy zastąpił wszystko i teraz Rhyme musiał używać głosu, żeby zadzwonić do bezpiecznego domu i powiedzieć im, że nadchodzi Trumniarz przebrany za strażaka albo ratownika.

- Tryb poleceń - rzucił do mikrofonu. Staral się za wszelką cenę zachować spokój.

Nie rozumiem. Powtórz.

Gdzie jest teraz Trumniarz? Wszedł już do środka? Już celuje do Percey Clay albo Brita Hale'a?

Może do Amelii Sachs?

- Thom! Mel!

Nie rozumiem...

Dlaczego o tym nie pomyślałem?

- Tryb poleceń - powiedział niemal bez tchu, próbując nie wpasć w panikę.

Wreszcie ukazalo sie okienko trybu polecen. Strzalka kursora byla na gorze ekranu, natomiast ikona programu telekomunikacyjnego widniala na samym dole.

- Kursor w dol - jeknal szeptem.

Nic sie nie stalo.

- Kursor w dol - powiedzial glosniej.

Znow wyswietlil sie komunikat: *Nie zrozumialem. Powtorz.*

- Niech cie szlag...

Nie zrozumialem...

Ciszej, zmuszajac sie do mowienia normalnym tonem, powiedzial:

- Kursor w dol.

Swietlista biala strzalka drgnela i poczela wolniutko wedrowac w dol ekranu.

Jeszcze jest czas, powtarzal sobie. Zreszta ludzie w bezpiecznym domu nie sa przeciez bezbronni.

- Kursor w lewo - polecil.

Nie zrozumialem...

- No juz!

Nie zrozumialem...

- Kursor w gore... kursor w lewo...

Kursor pelzal po ekranie jak slimak, az w koncu dotarl do ikony.

Spokojnie, spokojnie...

- Kursor stop. Kliknij dwa razy.

Na ekran poslusznie wyskoczyla ikona walkie-talkie.

W wyobrazni ujrzal Trumniarza bez twarzy, ktory z nozem albo ze stalowa linka zachodzi od tylu Percey Clay.

Tak spokojnym glosem, na jaki mogl sie zdobyć, skierowal kursor na okienko regulacji czestotliwosci.

Strzalka zatrzymala sie idealnie na poczatku okienka.

- Cztery - powiedział Rhyme, wymawiając słowo nadzwyczaj starannie.

W okienku wyskoczyło 4.

- Osiem.

Za czwórka pojawiło się „0”. Widocznie drugą sylabę wymówił za cicho.

Boże drogi!

- Cofnij.

Nie zrozumiałem...

Nie, nie!

Zdawało mu się, że usłyszał kroki za drzwiami.

- Hej! - zawołał. - Jest tam ktoś? Thom? Mel?

Nikt nie odpowiedział, poza wiernym komputerem, który ze spokojem oświadczył, że nie rozumie.

- Osiem - powiedział powoli Rhyme.

Udało się. Następna cyfra.

- Trzy.

Trojka wyświetliła się na ekranie.

- Przecinek.

W okienku pojawiło się słowo przecinek.

Niech cię szlag!

- Cofnij. Ułamek dziesiętny.

Ekran pokazał wreszcie przecinek.

Cztery.

Zostało jedno wolne miejsce. Pot spływał mu po twarzy. Rhyme podyktował „zero” i w okienku ukazała się wreszcie częstotliwość operacyjna.

Radio włączyło się.

Nareszcie!

Lecz zanim się odezwał, przez trzaski zakłócen przebił się przerażony męski głos, który zmroził Rhyme'owi serce. Głos wzywał sztyfrem pomocy.

- Dziesięć trzynastcie. Federalny obiekt chroniony w szóstce, potrzebujemy wsparcia.

Bezpieczny dom.

W mężczyźnie rozpoznał Rolanda Bella.

- Dwóch leży i... Jezu, jeszcze tu jest. Atakuje nas! Trzeba...

Dwa wystrzały. Potem jeszcze jeden. Kilkanastcie. Gesta kanonada, przypominająca fajerwerki czwartego lipca.

- Potrzebujemy...

Radio umilkło.

- Percey! - krzyknął Rhyme. - Percey...

Na ekranie ukazał się prosty komunikat: *Nie zrozumiałem. Powtorz.*

Koszmar.

Stephen Kall, w kominiarce na twarzy i obszernym płaszczu strażackim, leżał płasko na podłodze, zasłonięty ciałem jednego z dwóch gliniarzy, których przed chwilą zabił.

Kolejny pocisk odłupiał kawalek podłogi obok jego głowy. Strzelił detektyw o ciemnych, przeredzonych włosach - ten, którego rano widział w oknie domu. Mężczyzna kucal w drzwiach, stanowiąc dość łatwy cel, ale Stephen nie mógł oddać strzału. Detektyw w obu dłoniach trzymał pistolety automatyczne i posługiwał się nimi mistrzowsko.

Stephen poczołgał się jeszcze jard naprzód, w kierunku otwartych drzwi pokoju.

Spanikowany, oblepiony ze wszystkich stron robakami.

Strzelił jeszcze raz, a ciemnowłosy detektyw zrobił unik, chowając się z powrotem w pokoju, krzyknął coś do radia i znow się wysunął, spokojnie otwierając ogień.

Ubrany w długi czarny płaszcz - taki sam jak te, które miało na sobie trzydziestu czy czterdziestu strażaków przed domem - Stephen wysadził drzwi od strony alejki ładunkiem przecinającym i wbiegł do środka, spodziewając się ujrzyć płonące pobożowisko, Zone i Przyjaciela - i połowę obecnych w domu - rozerwanych na kawalki lub przynajmniej ciężko rannych. Ale Lincoln Robak znow go nabral. Domyslił się, że telefon jest pułapka. Nie spodziewali się tylko, że Stephen jeszcze raz zaatakuje dom; sadzili, że planuje akcje w czasie transportu. Mimo to, kiedy wpadł do środka, dwóch strażników otworzyło ogień. Byli jednak ogluszeni przez eksplozję i Stephenowi udało się ich zabić.

Później z korytarza wybiegł ciemnowłosy detektyw, strzelając z dwu pistoletów; dwie kule zesliznęły się po kamizelce Stephena, który też trafił w kuloodporny pancerz przeciwnika. Odskoczyli od siebie równocześnie. Znowu strzały, znowu prawie celne. Gliniarz był niemal tak dobrym strzelcem jak Stephen.

Minęła najwyżej minuta. Nie miał więcej czasu.

Czuł się tak zarobaczony, że chciał mu się krzyknąć... Obmyślił plan najlepiej, jak umiał. Najsprytniejszy, na jaki było go stać, ale mimo to Lincoln Robak go rozgryzł. Czy właśnie ma go przed sobą? Czy to ten łysiejący detektyw z dwoma pistoletami?

Następna salwa z broni Stephena. I... niech to szlag... ciemnowłosy detektyw ruszył do przodu, nie zważając na ogień. Każdy normalny glina by się schował. Ale ten nie. Posunął się jeszcze dwie stopy, potem trzy. Stephen przeladował, znowu strzelił i czolgając się, pokonał podobną odległość w kierunku drzwi pokoju.

Wtapiasz się w ziemię, chłopcze. Jeśli chcesz, możesz się stać niewidzialny.

Melduje, że chce. Chce być niewidzialny...

Jeszcze jeden jard, już prawie u celu.

- Tu znowu Roland Bell! - krzyknął do mikrofonu gliniarz. - Potrzebujemy wsparcia, natychmiast!

Bell. Stephen zapamiętał nazwisko. Czyli to nie Lincoln Robak.

Gliniarz przeladował i kontynuował wymianę ognia. Kilkanascie strzałów, jeszcze kilkanascie... Stephen podziwiał jego technikę. Bell dokładnie wiedział, ilu strzałów jest każdy pistolet i przeladowywał na zmianę, więc ani przez moment nie miał nienaladowanej broni.

Jeden pocisk zarył się w ścianie cal od twarzy Stephena, który odpowiedział podobnym minimalnie chybionym strzałem.

Podczołgał się jeszcze dwie stopy.

Bell unosił wzrok i zobaczył, że Stephen w końcu dotarł pod drzwi ciemnej sypialni. Ich spojrzenia się spotkały. Choć Stephen tylko udawał żołnierza, widział dość walk, by wiedzieć, że właśnie pekała ostatnia nic rozsadku gliniarza, który zmienił się w najniebezpieczniejszą istotę na ziemi - zreznego żołnierza, niezważającego na własne bezpieczeństwo. Bell wstał i zaczął iść naprzód, strzelając z obu pistoletów.

Dlatego właśnie na Pacyfiku używali czterdziestekpiątek, chłopcze. Dzikich żołtów mogli powstrzymać tylko wielkie pociski. Nie bali się śmierci; parli naprzód za wszelką cenę.

Stephen pochylił głowę, rzucił w Bellę granat oslepiający z sekundowym opóźnieniem i zamknął oczy. Detonacji towarzyszył zdumiewająco głośny huk. Usłyszał krzyk gliniarza, który padł na kolana, zakrywając twarz rękami.

Z obecności strażników i zjadłości, z jaką Bell próbował go zatrzymać, Stephen domyślił się, że w pokoju musi być Zona albo Przyjaciół. Pomyślał też, że przebywająca w sypialni osoba na pewno chowa się w szafie albo pod łóżkiem.

Mylił się.

Spojrząwszy w drzwi pokoju, zobaczył nacierającą na niego postać, uzbrojona w lampę i wrzeszcząca ze strachu i wściekłości.

Z broni Stephena padło pięć szybkich strzałów. W głowę i piersi napastnika, dobrze rozłożonych. Postać obróciła się i padła na wznak na podłogę.

Dobra robota, żołnierzu.

Rozległ się odgłos kroków na schodach. Kobięcy głos. Potem inne głosy. Nie ma już czasu, żeby wykonać Bella, nie ma czasu szukać drugiego celu.

Odwrot...

Pobiegł do tylnych drzwi i wystawił przez nie głowę, wołając strażaków.

Zaraz podbiegło kilku.

Stephen dał im znak, by weszli do domu.

- Wybuchła rura gazowa. Trzeba wszystkich wyprowadzić!

Po czym zniknął w alejce i wybiegł na ulicę. Przemykał między samochodami strażackimi, ambulansami i policyjnymi radiowozami.

Cały się trząsł.

Ale był zadowolony. Wypełnił zadanie w dwóch trzecich.

Amelia Sachs pierwsza zareagowała na eksplozję ładunku przy wejściu i krzyki.

Potem usłyszała głos Rolanda Bella dobiegający z pierwszego piętra:

- Wsparcie! Wsparcie! Straciliśmy człowieka!

Potem rozległy się strzały. Po kilkanastu, w krótkich odstępach.

Nie wiedziała, jak Trumniarz się tu dostał, ale nic jej to nie obchodziło. Chciała tylko zobaczyć go przed sobą i mieć dwie sekundy, by wpakować w niego pół magazynka dziewięciomilimetrowych pocisków.

Z glockiem w dłoni wybiegła na korytarz drugiego piętra. Za sobą miała Sellitta, Dellraya i

młodego policjanta, zupełnie nie wiedziała, jak dzieciuch zachowa się pod ostrzałem. Jodie zwinął się w kłębek na podłodze, z bolesną świadomością, że zdradził bardzo niebezpiecznego człowieka, który z bronią w ręku znajduje się niecałe trzydzieści stop od niego.

Zbiegając po schodach, Sachs usłyszała skrzypienie własnych kolan. Cholerny artretyzm. Zeskakując z trzech ostatnich stopni, skrzywiła się z bólu.

W słuchawce usłyszała, jak Bell powtarza prośbę o wsparcie.

Weszła do ciemnego korytarza, trzymając pistolet blisko ciała, by nikt nie mógł go jej wytrącić (tylko w filmach i w telewizji gliniarze i gangsterzy, wychylając się zza rogów, trzymają broń przed sobą albo przechylona poziomo). Obrzucała szybkim spojrzeniem każde mijane pomieszczenie, kucając poniżej poziomu, na którym mogła być wycelowana lufa.

- Pojde z przodu - powiedział Dellray, po czym ze swoim wielkim sig-sauerem w dłoni zniknął w korytarzu za jej plecami.

- Oslaniajcie nas z tyłu - poleciała młodemu gliniarzowi w mundurze i Sellittowi, nie zważając na jego stopień.

- Tak jest - odparł policjant. - Oslaniam tyły.

Zasapani Sellitto też rozglądał się na boki.

W słuchawce Sachs coś trzeszczało, ale nie słyszała żadnych głosów. Zdarła słuchawkę z mikrofonem - by nic jej nie przeszkadzało - i z najwyższą ostrożnością szła dalej korytarzem.

U swoich stop zobaczyła zwłoki dwóch policjantów.

W powietrzu czuć było silną wonię chemicznego materiału wybuchowego. Sachs zerknęła na tylne drzwi. Były stalowe, ale Trumniarz rozdarł je jak papier ładunkiem przecinającym.

- Jezu - powiedział Sellitto, lecz był zbyt doświadczony, aby próbować pomóc leżącym policjantom, a zbyt wrażliwy, aby widok podziurawionych ciał nie zrobił na nim żadnego wrażenia.

Sachs przystanęła przed drzwiami jednego z pokoi. Pierwsi weszli przez zniszczone drzwi ludzie Haumanna.

- Oslaniajcie mnie - zawołała i zanim ktokolwiek zdążył ją powstrzymać, dała susa przez próg.

Rozejrzała się, unosząc głocka.

Nikogo.

Nie czuła też zapachu prochu. Tu nikt nie strzelał.

Wycofała się na korytarz. Następne drzwi.

Pokazala na siebie, potem na pokoj. Ludzie z 32-E skineli glowami.

Sachs wpadla do srodka z bronia gotowa do strzalu, oslaniajacy gliniarze za nia. Zamarla na widok lufy wycelowanej w swoja piers.

- Boze - mruknal Roland Bell, opuszczajac bron. Mial potargane wlosy i sadze na twarzy. Dwa pociski rozdarly mu koszule i drasnely kamizelke kuloodporna.

Potem Sachs spojrzala podloge. Potworny widok.

- O nie...

- Budynek czysty - zameldowal policjant z korytarza. - Widzieli, jak uciekal. W stroju strazackim. Juz go nie ma. Wmieszal sie w tlum na ulicy.

Amelia Sachs, przedzierzgnawszy sie na powrot z czlonka oddzialu operacyjnego w eksperta kryminalistyki, zauwazyła rozprysnieta krew, ostry zapach pozostaly po strzalach, przewrocone krzeslo, ktore prawdopodobnie swiadczylo o stoczonej tu walce - czyli moglo zawierac slady do analizy. Luski rozpoznala od razu - 7,62 milimetra, z automatu.

Zwrocila rowniez uwage, w jak charakterystyczny sposob upadly zwloki. Z ulozenia ciala wynikalo, ze ofiara zaatakowala napastnika - prawdopodobnie lezaca obok lampy. Z miejsca zbrodni pewnie mozna bylo wyczytac jeszcze inne informacje - dlatego jak najpredzej powinna pomoc Percey Clay wstac i odsunac ja od bezwladnego ciala przyjaciel. Lecz Sachs nie mogla tego zrobic. Patrzyla tylko, jak drobna kobieta o nieładnej, kwadratowej twarzy tuli do siebie zakrwawiona glowe Brita Hale'a, powtarzajac: „O, nie, nie, nie...”.

Jej twarz przypominala nieruchoma maske, na ktorej nie bylo ani sladu lez.

Wreszcie Sachs dala znak Rolandowi, ktory otoczyl Percey ramieniem i wyprowadzil ja na korytarz. Bell wciaz byl czujny. Nie wypuszczal z reki broni.

Dwiescie trzydziesci jardow od bezpiecznego domu.

Czerwone i niebieskie swiatla pojazdow ratunkowych migaly, probujac go osleplic, ale on patrzyl przez celownik Redfield, wiec poza siatka nitek nie widzial nic wiecej. Przesuwal lunete tam i z powrotem, ogladajac cala strefe razenia.

Stephen zdjal stroj strazaka i znow wygladal jak nieco starszy student college'u. Spod zbiornika wodnego wyciagnal model 40, ukryty tam dzis rano. Bron byla juz zaladowana. Pas owinal wokol dloni i byl gotow do zabijania.

W tym momencie nie czyhal na Zone.

Ani na Jodiego, malego pedala-Judasza.

Szukal Lincolna Robaka. Czlowieka, ktoremu znowu udalo sie go przechytrzyc.

Kim on jest? Ktorem z nich?

Stephen skulil sie.

Lincoln... Ksiaze Robakow.

Gdzie jestes? Tu, przede mna? W tlumie stojacym wokol dymiacego budynku?

Jestes tym grubym gliniarzem, ktory poci sie jak mysz?

Wysokim, szczuplym Murzynem w zielonym garniturze? Ten wydawal sie znajomy. Gdzie Stephen mogl go spotkac?

Podjechal cywilny samochod, z ktorego wysiadlo kilku ludzi w garniturach.

Moze Lincoln byl jednym z nich.

Z domu wyszla rudowlosa policjantka. W lateksowych rekawiczkach. A wiec jestes od przeszukiwania miejsca zbrodni, tak? Zadbalem o swoje kule i luski, zlotko, powiedzial do niej bezglosnie, ustawiajac celownik na jej szyi. Zeby namierzyc moja bron, musialabys leciec do Singapuru.

Doszedl do wniosku, ze zdazy oddac pojedynczy strzal, a potem jego cialo spadnie prosto w alejke, zmiecione gradem pociskow.

Kim jestes?

Lincoln? Lincoln?

Nie mial pojecia.

Otworzyly sie frontowe drzwi domu, w ktorych stanal Jodie. Niepewnie przekroczył prog. Rozejrzal sie wokolo, zmruzył oczy, cofnal sie pod sciane budynku.

Ty...

Znow ten elektryczny impuls. Mimo dzielacej ich odleglosci.

Stephen przesunal celownik na jego piers.

No dalej, zolnierzu, strzelaj. Logiczne, ze to twoj nastepny cel; jest w stanie cie zidentyfikowac.

Melduje, ze obliczam tor i poprawke na wiatr.

Stephen zwiekszył nacisk na spust.

Jodie...

Zdradził cie, żołnierzu. Musisz... go... sprzątnąć.

Tak jest. Już po nim. Już jest zimny. Melduje, że już krąży nad nim sepy.

Żołnierzu, według podręcznika snajpera amerykańskiej piechoty morskiej język spustu modelu 40 należy naciskać niezauważalnie, tak żebyś sam nie wiedział, kiedy dokładnie broń wypali. Zgadza się, żołnierzu?

Tak jest.

Dlaczego więc tego, kurwa, nie robisz?

Nacisnął mocniej.

Powoli, powoli...

Lecz broń nie wystrzeliła. Przesunął nitki celownika na głowę Jodiego. I tak się złożyło, że w tym momencie bladejce po dachach oczy Jodiego ujrzaly go.

Za długo zwlekał.

Strzelaj, żołnierzu. Strzelaj!

Na mgnienie oka zatrzymał palec.

A potem szarpnął spust jak chłopiec, strzelający pierwszy raz na letnim obozie.

Jodie odskoczył na bok, pociągając za sobą gliniarzy.

Jak, do kurwy niedzy, mogłeś spudłować, żołnierzu? Powtórz strzał!

Tak jest!

Oddał jeszcze dwa strzały, ale Jodie i wszyscy pozostali ukryli się albo rzucili na chodnik i ulice, czolgając się do bezpiecznej kryjówki.

Wtedy wybuchła kanonada. Najpierw kilkanaście pojedynczych sztuk broni, potem coraz więcej. Przede wszystkim pistolety, ale też H&K, plujące kulami z taką szybkością, że ich odgłos przypominał ryk silników z dziurawym tłumikiem.

Pociski siekły wieże windy tuż za nim. Na Stephena spadał deszcz odłamków cegieł i betonu, ołowiu i ostrych miedzianych osłon kul, bolesnie raniąc mu przedramiona i dłonie.

Stephen upadł w tył, zakrywając twarz rękami. Czuł piekące rany i widział, jak na smołowany dach kapia z nich drobne krople krwi.

Po co czekałem? Po co? Mogłem go zastrzelić i już by mnie tu nie było.

Po co?

Odgłos helikoptera, nadlatującego nad budynek. Syreny.

Odwrot, żołnierzu! Odwrot!

Spojrzał w dół i zobaczył, jak Jodie chowa się za samochodem. Stephen włożył model 40 do futerału, zarzucił na ramię plecak i po schodach przeciwpożarowych zbiegł w alejkę.

Druga tragedia.

Percey Clay przebrała się i wyszła na korytarz, wspierając się bezwolnie na Rolandzie Bellu, który podtrzymywał ją ramieniem.

Tragedia. To nie był kłopot z mechanikiem czy problemy z czarterem. Zginął jej przyjaciel.

Och, Brit...

Wyobrażała go sobie, jak z szeroko otwartymi oczyma, ustami rozchylonymi w niemym krzyku biegnie wprost na tego strasznego człowieka. Próbowal go zatrzymać, oburzony tym, że ktoś zamierza zabić jego, zabić Percey. Bardziej wściekły niż przestraszony. Twoje życie było takie pedantyczne, pomyślała. Nawet ryzyko skrupulatnie obliczałaś. Lot brzuchem do góry na wysokości pięćdziesięciu stop, korkociagi, skoki spadochronowe. Widziałam wszystko wydawało się niemożliwe. A jednak dobrze wiedziałas, co robisz i jeśli kiedyś pomyślałaś o przedwczesnej śmierci, sadziłaś, że nawali jakas dzwignia, zapcha się przewód paliwowy albo nieostrożny uczeń wepchnie ci się przed nos.

Świetny autor książek o lotnictwie, Ernest K. Gann, napisał, że los jest jak myśliwy. Percey zawsze sadziła, że miał na myśli naturę albo nieszczęśliwe okoliczności - kaprysne żywioły, perfidne i zawodne mechanizmy, które tracą samoloty na ziemi. Lecz los okazał się bardziej złożony. Los był skomplikowany jak ludzki umysł i jak zło, do jakiego człowiek był zdolny.

Nieszczęścia chodzą parami... a jeśli trójkami? Co się jeszcze może wydarzyć? Jaka tragedia? Jej śmierć? Koniec firmy? Śmierć kogoś innego?

Wtulona w Rolanda Bella drżała ze złości. Wszystko było wynikiem głupiego zbiegu okoliczności. Pomyślała o wilgotnej nocy sprzed kilku tygodni: ona, Ed i Hale, slaniając się z niewyspania, stali w rzeszycie oświetlonym hangarze wokół learjeta „Charlie Juliet”, w nadziei, że podpiszą kontrakt z Amer-Medem; drząc z zimna, próbowali wykombinować, jak najlepiej przygotować samolot do czekającego go zadania.

Była mglista noc. Lotnisko opustoszałe i ciemne. Jak w ostatniej scenie „Casablanki”.

Usłyszeli pisk hamulców i wyrzeli na zewnątrz.

Ten człowiek przytargał z samochodu dwa wielkie worki i postawił je na płycie lotniska. Potem wrzucił do beechcrafta i uruchomił silnik. Rozległ się charakterystyczny wizz silnika tłokowego.

Przypomniała sobie, jak Ed powiedział z niedowierzaniem:

- Co on wyprawia? Lotnisko jest zamknięte.

Los.

Traf chciał, że tej nocy tam byli.

Ze Phillip Hansen właśnie w tym momencie postanowił pozbyć się obciążających go dowodów.

Ze Hansen należał do ludzi, którzy byli w stanie zabić, by utrzymać tamten lot w tajemnicy.

Los...

Nagle podskoczyła - na dźwięk pukania do drzwi domu.

Na progu stali dwaj mężczyźni. Bell poznał ich. Byli z Biura Ochrony Świadców departamentu nowojorskiego.

- Mam przewieźć panią do Shoreham na Long Island, pani Clay.

- Nie, nie - odrzekła. - To pomyłka. Muszę jechać na lotnisko Mamaroneck.

- Percey - powiedział Roland Bell.

- Muszę.

- Nic o tym nie wiem, proszę pani - rzekł jeden z policjantów. - Dostaliśmy rozkaz, żeby zawieźć panią do Shoreham i zatrzymać tam do rozprawy przed sądem przysięgłych w poniedziałek.

- Nie, nie, nie. Proszę zadzwonić do Lincoln Rhyme'a. On o wszystkim wie.

- No... - Policjanci spojrzeli po sobie.

- Proszę - powiedziała. - Zadzwońcie. On wam powie.

- Właściwie to Lincoln Rhyme kazał panią przewieźć, pani Clay. Proszę iść z nami. I niczego się nie bój. Dobrze się panią zaopiekujemy.

Rozdział dwudziesty siódmy

45 godzin - godzina dwudziesta osma

- Nie jest zbyt sympatyczny - poinformował Amelie Sachs Thom.

Usłyszała dobiegający zza drzwi sypialni głos:

- Podaj mi te butelke, i to już!

- Co się tu dzieje?

Przystojna twarz młodzieńca wykrzywił grymas.

- Czasem potrafi być takim kutasem. Kazał jednemu gliniarzowi nalac sobie szkockiej. Powiedział mu, że to na ból. Ze mu lekarz przepisał szklaneczkę dziennie. Masz pojęcie? Jest nieznosny, kiedy pije.

W pokoju rozległ się wściekły ryk.

Sachs wiedziała, że Rhyme rzucalby, czym popadnie, gdyby tylko mógł.

Sięgnęła do klamki.

- Powinnaś trochę zaczekać - ostrzegł ją Thom.

- Nie mamy czasu.

- Niech was szlag! - warczał Rhyme. - Kurwa, chce butelkę!

Otworzyła drzwi.

- Tylko potem nie mów, że cie nie ostrzegalem - szepnął Thom.

Sachs zatrzymała się w drzwiach. Rhyme przedstawiał żalony widok. Rozczochrane włosy, ślina

na brodzie, zaczerwienione oczy.

Na podłodze leżała butelka macallana. Pewnie ją przewrócił, usiłując złapać zębami.

Zauważył Sachs, ale powiedział do niej tylko:

- Podnies.
- Mamy robota, Rhyme.
- Podnies tę butelkę.

Wzięła ją z podłogi. I odstawiała na półkę.

- Przecież wiesz, o co mi chodzi! - wrzasnął z wściekłością. - Chce drinka.
- Zdaje się, że wypiles już więcej niż jednego.
- Nalej mi whisky do szklanki. Thom! Chodź tutaj! Pieprzony tchórz.
- Rhyme - rzekła ostro. - Musimy zbadać ślady.
- Do diabła ze śladami.
- Ileś ty wypił?
- Trumniarz dostał się do środka, nie? Lis w kurniku. Lis w kurniku.
- Mam filtr pełen materiału, pocisk, próbki jego krwi...
- Jego krwi? No, to sprawiedliwie. On ma mnóstwo naszej.
- Powinieneś cieszyć się jak dziecko z takich dowodów - ofuknęła go. - Przestanieś nad sobą uzalać i zabierajmy się do pracy.

Nie odpowiedział. Zauważyła, że jego zaczerwienione oczy spoglądają ponad jej ramieniem, na drzwi. Odwróciła się. Stała tam Percey Clay.

Rhyme natychmiast wbił wzrok w podłogę. Zamilkł.

Jasne, pomyślała Sachs. Nie chce wyjść na chama przed nową ukochaną.

Weszła do pokoju, przyglądając się zmienionemu Rhyme'owi.

- Lincoln, co się dzieje? - Sachs zobaczyła, że Percey towarzyszył Sellitto. Detektyw wszedł do sypialni.
- Trzy osoby zginęły, Lon. Trzy następne. Lis w kurniku.

- Lincoln - powiedziała stanowczo Sachs. - Przestan. Nie wstyd ci?

Bład. Rhyme wlepił w nią zdumione spojrzenie.

- Nie wstyd mi. Wyglądam na zawstydzonego? Niech ktoś powie. Jestem zawstydzony? Czy ja, kurwa, wyglądam na zawstydzonego?

- Mamy...

- Gówno mamy! Koniec na dziś. Dosyć. Wystarczy. Pora się zwijać. Przegralismy bitwę i wycofujemy się za wzgórze. Idziesz z nami, Amelio? Chyba nie zostaniesz sama?

Wreszcie spojrzał na Percey.

- Co tu robisz? Miałas jechać na Long Island.

- Chcę z tobą porozmawiać.

- Daj mi drinka - rzekł po chwili.

Percey zerknęła na Sachs, po czym podeszła do polki, nalala sobie i Rhyme'owi. Sachs posłała jej wściekłe spojrzenie; Percey zauważyła to, ale nie zareagowała.

- Oto kobieta z klasą - oznajmił Rhyme. - Ja zabijam jej partnera, ale mimo to się ze mną napije. Ty tego nie zrobiłaś, Sachs.

- Och, Rhyme, potrafisz być takim draniem - powiedziała z wyrzutem Sachs. - Gdzie Mel?

- Odesłałem go do domu. Nie ma już nic do roboty... Pakujemy ją do samochodu i odwozimy na Long Island, tam będzie bezpieczna.

- Co? - spytała Sachs.

- Powinnismy to zrobić na samym początku. Należ mi jeszcze.

Percey przechyliła butelkę. Sachs powiedziała:

- Już ma dość.

- Nie słuchaj jej - rzucił Rhyme. - Jest na mnie wściekła. Nie miałem ochoty na to, co ona, więc się wkurzyła.

Dzięki, Rhyme. Wypierzmy brudy przy wszystkich, co? Zatopiła w nim zimne spojrzenie swoich pięknych oczu, ale nawet tego nie zauważył. Patrzył na Percey Clay.

A ona powiedziała:

- Zawarliśmy umowę. I nagle zjawia się dwóch agentów, którzy chcą mnie zabrać na Long Island.

Myslalam, ze moge ci ufac.

- Jesli mi zaufasz, zginiesz.
- Istnialo ryzyko - rzekla Percey. - Ostrzegales, ze moze dostac sie do domu.
- Jasne, ale nie wiesz, ze wszystkiego sie domyslilem.
- Wszystkiego... co?

Sachs sluchala ze zmarszczonymi brwiami.

- Domyslilem sie, ze chce zaatakowac dom - ciagnal Rhyme. - Domyslilem sie, ze przebral sie za strazaka. Nawet sie domyslilem, ze rozwali tylne drzwi ladunkiem przecinajacym. Zaloze sie, ze to byl accuracy piec dwadziescia albo piec dwadziescia jeden z systemem odpalajacym Instadet. Mam racje?

- Ja...

- Mam racje?

- Piec dwadziescia jeden - potwierdzila Sachs.

- Widzisz? Wszystko wiedzialem. Piec minut przed jego wejsciem do domu. Ale nie moglem nikomu o tym powiedziec. Nie moglem... zadzwonic z tego pieprzonego telefonu i przekazac wam, co sie swieci. I twój przyjaciel zginął. Przez mnie.

Sachs wspolczula mu. Cierpiala, widzac jego bol, lecz nie miala pojecia, co powiedziec, zeby go pocieszyc.

Na policzku mial krople wilgoci. Podszedl Thom z chusteczka, ale Rhyme odgonil go, z wsciekloscia wysuwajac szczeke. Ruchem glowy wskazal komputer.

- Bylem taki nadety. Zaczalem myslec, ze jestem zupełnie normalny. Jezdze na wozku jak kierowca rajdowy, sam zapalam i gasze swiatlo, zmieniam plyty... Normalny. Gowno prawda! - Zamknal oczy i wcisnal glowe w poduszke.

Nagle, ku zdziwieniu wszystkich, w pokoju rozlegl sie smiech.

Percey Clay nalala sobie jeszcze troche whisky. Potem odrobine Rhyme'owi.

- Gowno prawda, to fakt. Ale dlaczego nie moge od ciebie uslyszec po prostu prawdy?

Rhyme otworzyl oczy i spiorunowal ja wzrokiem.

Percey znow wybuchnela smiechem.

- Nie... - ostrzegł ja Rhyme.

- Och. - Wykonała zniecierpliwiony gest. - Co - nie?

Sachs zobaczyła, jak Percey mruży oczy.

- Cos ty powiedział? - zaczęła Percey. - Ze Brit zginal przez jakas... usterke techniczna?

Sachs zorientowała sie, ze Rhyme nie tego sie spodziewal. Chwile milczal, zbity z tropu.

- Tak - odrzekł wreszcie. - Wlasnie to powiedziałem. Gdybym mógł zadzwonic...

- I co? - przerwała mu. - I dlatego sadzisz, ze masz prawo stroic fochy? Lamac dane mi slowo? -

Odstawiła szklanke i westchnęła z tłumioną złością. - Na litość boską... Czy ty w ogóle wiesz, w jaki sposób zarabiam na życie?

Sachs ze zdumieniem stwierdziła, że Rhyme się uspokoił. Zaczął coś mówić, lecz Percey znowu mu przerwała.

- Zastanów się. - Jej południowy akcent zabrzmiał bardzo wyraźnie. - Siedzę w aluminiowej rurce, która leci z prędkością czterystu węzłów, sześć mil nad ziemią. Na zewnątrz minus sześćdziesiąt Fahrenheita, wiatr sto mil na godzinę. Nie wspomnę o błyskawicach, gwałtownych zmianach wiatru i oblodzeniu. Chryste, żyje tylko dzięki maszynom. - Kolejny wybuch śmiechu. - Czym to się różni od twojej sytuacji?

- Nie rozumiesz - rzekł opryskliwie.

- Nie odpowiedziałes na moje pytanie. Czym to się różni? - pytała nieustępliwie.

- Możesz chodzić, potrafisz podnieść słuchawkę telefonu i...

- Chodzić? Jestem na pięćdziesięciu tysiącach stop. Jeżeli otworze drzwi, w ciągu kilku sekund krew mi się ugotuje.

Po raz pierwszy, odkąd go znam, pomyślała Sachs, Rhyme spotkał kogoś takiego jak on. Zaniemówił.

- Przykro mi, detektywie - ciągnęła Percey - ale nie widzę cienia różnicy między nami. Oboje jesteśmy produktami dwudziestowiecznej nauki. Do cholery, gdybym miała skrzydła, latałabym bez niczyjej pomocy. Ale nie mam i nigdy mi nie wyrosną. Żeby zrobić to, co robimy, oboje... musimy być zależni.

- W porządku... - Uśmiechnął się diabelsko.

No dalej, Rhyme, pokaz jej! Sachs gorąco pragnęła, żeby wygrał, żeby wykopał tę kobietę na Long Island i skończył z nią na zawsze.

- Ale jeżeli ja coś schrzanie, gina ludzie - powiedział Rhyme.

- Tak? A co się stanie, gdy zepsuje się urządzenie przeciwoślodzeniowe? Co się stanie, jeśli spieprzy mi się układ tłumienia drgan? Albo gólab wleci do rurki Pitota w czasie podchodzenia do ładowania według przyrzadów? Już nie żyje. Przerwanie płomienia, uszkodzenia w hydraulice, mechanicy, którzy zapominają wymienić zepsute wyłączniki automatyczne... Albo nawala systemy awaryjne. Jeżeli u ciebie coś się chrzani, niektórzy mają szansę wylizac się z ran. Ale mój samolot ryje w ziemię z predkoscia trzystu mil na godzinę. Nic po nim nie zostaje.

Rhyme wydawał się już zupełnie trzeźwy. Jego oczy przebiegały cały pokój, jak gdyby szukając jakiegoś dowodu, który mógłby obalic poglądy Percey.

- No dobrze - powiedziała spokojnie Percey. - Podobno Amelia ma jakieś dowody, które znalazła z tyłu domu. Proponuje, żebyś skónczył z tym przedstawieniem i zaczął badać te materiały. Ja zaś pojedę do Mamaroneck, skónczyć naprawę samolotu, a wieczorem zamierzam polecieć z ładunkiem. Zapytam cie wprost: pozwolisz mi lecieć, tak jak się umówiliśmy, czy mam dzwonic po adwokata?

Rhyme nadal milczał.

Uplynęła dłuższa chwila.

Sachs drgnęła zaskoczona, gdy Rhyme swoim dzwiecznym barytonem huknął:

- Thom! Thom! Chódz tutaj.

Asystent podejrzliwie zajrzał przez drzwi do sypialni.

- Nabalaganilem trochę. Zobacz, przewrócilem szklanke. I potargalem sobie włosy. Mogłbys coś z tym zrobić? Proszę.

- Nie nabierasz nas, Lincoln? - spytał z powatpiwaniem.

- A Mel Cooper? Możesz go wezwac, Lon? Pewnie serio potraktował to, co mówilem. Przecież to był żart. Naukowiec, cholera, ani śladu poczucia humoru. Potrzebujemy go.

Amelia Sachs chciała stąd uciec. Wsiąsc do samochodu i pomknac drogami New Jersey i okregu Nassau sto dwadziescia mil na godzinę. Nie wytrzyma z tą kobieta ani chwili dłuzej w jednym pokoju.

- No dobrze, Percey - powiedział Rhyme. - Wez ze sobą detektywa Bella, damy wam jeszcze ludzi Bo. Jedz na to swoje lotnisko i zrob, co musisz.

- Dziękuję, Lincoln. - Skinęła mu głowa i lekko się usmiechnęła.

Jeden usmiech wystarczył, by Amelia zaczęła się zastanawiac, czy część przemowy Percey nie była przeznaczona dla niej: by Sachs nie miała wątpliwosci, kto odniósł niekwestionowane zwyciestwo. Coż, Sachs miała wrażenie, że w pewnych dyscyplinach jest skazana na porazke. Była

mistrzyni w strzelaniu, właścicielka policyjnej odznaki, demonem szos i niezłym ekspertem kryminalistycznym, natomiast serce miała zupełnie nieodporne. Wyczuwał to jej ojciec; też był romantykiem. Gdy kilka lat temu ciężko przeżywała koniec pewnego romansu, mówił do niej: „Wiesz, powinni wynaleźć kamizelki ochronne na dusze, nie tylko na ciało, Amie”.

Zegnaj, Rhyme, pomyślała. Zegnaj.

A jak on odpowiedział na jej milczące pożegnanie? Przelotnym spojrzeniem i szorstkim:

- Zobaczmy te dowody, Sachs. Nie ma czasu do stracenia.

Rozdział dwudziesty osmy

45 godzin - godzina dwudziesta dziewiąta

Celem kryminalistyki jest ściśle określenie obiektu poszukiwan.

Konkretny ślad trzeba połączyć z jednym źródłem pochodzenia, wykluczając inne.

Lincoln Rhyme przyglądał się najbardziej konkretnemu dowodowi znalezionemu przez Sachs: krwi pochodzącej z ciała Trumniarza. Testy polimorfizmu wycinka DNA powinny wyeliminować możliwość, że krew pochodzi od kogoś innego.

Jednak ten dowód niewiele mógł im powiedzieć. System informacji o DNA, oparty na komputerowej bazie danych, zawierał personalia skazanych zbrodniarzy, lecz w istocie był to nieduży zbiór informacji, który dotyczył przede wszystkim sprawców przestępstw seksualnych i niewielkiej grupy zbrojczy. Rhyme nie zdziwił się więc, że poszukiwanie kodu genetycznego Trumniarza zakończyło się fiaskiem.

Mimo to odczuwał coś na kształt radości, że w probówce mają prawdziwy kawałek mordercy. Dla większości analityków kryminalistycznych sprawcy byli „gdzies tam”, rzadko spotykali się z nimi oko w oko, często po raz pierwszy widzieli ich dopiero na procesie. Był więc poruszony tą cząstkową obecnością człowieka, który sprawił wielu ludziom, nie wyłączając jego, tyle bólu.

- Co jeszcze znalazłaś? - spytał Sachs.

Sachs przeszukała cały pokój Brita Hale'a, lecz obejrząwszy z Cooperem zebrany materiał w powiększeniu, nie znaleźli nic poza śladami po strzałach i fragmentami pocisków, cegieł i tynku.

Znalazła łuski z polautomatycznego pistoletu, z którego strzelał Trumniarz. Beretta, 7,32 milimetra. Prawdopodobnie broń była stara; na metalu widniały drobne zniekształcenia. Wszystkie znalezione przez Sachs łuski zanurzono wcześniej w jakimś środku czyszczącym, aby usunąć nawet odciski palców pracowników fabryki zbrojeniowej - by nikt nie mógł ustalić miejsca produkcji; na podstawie odcisków palców konkretnej zmiany w fabryce Remingtona można było określić porę transportu towaru i w konsekwencji sklep, w którym amunicja została kupiona. Na dodatek Trumniarz

najwidoczniej ladował bron, uzywając klykci, by nie pozostawic odciskow. Stara sztuczka.

- Dalej - powiedzial do Sachs Rhyme.

- Kule z pistoletu.

Cooper obejrzał pociski. Trzy byly splaszczone. Jeden calkiem dobrze zachowal swoj ksztalt. Dwie pokrywala warstwa skrzeplej i przypalonej krwi Brita Hale'a.

- Sprawdz, czy sa jakies odciski - polecil Rhyme.

- Juz sprawdzilam - odrzekla obojetnie Sachs.

- Sprobuj laserem.

Cooper spelnil polecenie.

- Nic nie ma, Lincoln. - Technik spojrzal na bawelniany platek spoczywajacy w plastikowej torebce. - Co to jest?

- To? Och, mam tez jeden pocisk z jego karabinu - powiedziala Sachs.

- Co?

- Kilka razy strzelal do Jodiego. Dwa pociski trafily w sciane i eksplodowaly. Ten zaryl sie w ziemie - w grzadke kwiatow - i nie wybuchl. Znalazlam dziure pod pelargonia i...

- Zaraz. - Cooper wlepil w nia zdumione spojrzenie. - To jest pocisk rozpryskowy?

- Tak, ale nie wybuchl - odparla Sachs.

Technik ostrocznie polozyl torebke na stole i odsunal sie, pociagajac za soba Sachs - wyzsza od niego o dwa cale.

- O co chodzi?

- Pociski rozpryskowe sa bardzo niebezpieczne. Ziarna prochu moga sie tlic nawet w tym momencie... Lada chwila moze wybuchnac. Odlamek moglby cie zabic.

- Widziales fragmenty innych, Mel - powiedzial Rhyme. - Jak to jest zrobione?

- Dosc paskudnie, Lincoln - rzekl zaniepokojony technik; na jego lysinie lsnily kropelki potu. - Wypelnienie z czteroazotanu pentaerytrytu, proch bezdymny jako ladunek inicjujacy. Dlatego jest taki niebezpieczny.

- Czemu nie eksplodowal? - zapytala Sachs.

- Grzadka zadzialala jak amortyzator. Poza tym sam je robi. Moze akurat ten pocisk nie jest

najlepszej jakosci.

- Sam je robi? - powtorzyl Rhyme. - Jak?

Z oczyma wbitymi w torebke Cooper powiedzial:

- Zwyczajnie robi sie otwor od szpica do samej podstawy. Wrzuca sie tam srut i wsypuje troche czarnego albo bezdymnego prochu. Potem trzeba zwinac waska nitke z plastyku i wlozyc do otworu. Calosc zatyka sie z powrotem - w tym wypadku szpicem ceramicznym. Gdy pocisk trafia w cel, srut uderza w proch. Nastepuje wybuch czteroazotanu pentaerytrytu.

- Zwija plastyk? - spytal Rhyme. - Palcami?

- Zwyczajnie tak to sie robi.

Rhyme spojrzal na Sachs i na moment przepasc miedzy nimi zniknela. Usmiechneli sie do siebie i rownoczesnie powiedzieli:

- Odciski!

- Byc moze - przyznal Mel Cooper. - Ale jak je chcecie znalezc? Trzeba by rozlozyc pocisk.

- No to go rozlozimy - powiedziala Sachs.

- Nie, nie, nie, Sachs - rzekl szorstko Rhyme. - Lepiej sie do tego nie bierz. Zaczekamy na pirotechnikow.

- Nie mamy czasu.

Pochylila sie nad torebka i zaczela ja otwierac.

- Sachs, co ty, do cholery, chcesz udowodnic?

- Niczego nie probuje udowodnic - odparla spokojnie. - Staram sie zlapac morderce.

Cooper stal obok, bezsilny.

- Chcesz uratowac Jerry'ego Banksa? Chyba troche na to za pozno. Daj sobie spokoj. Zajmij sie swoja robota.

- To wlasnie jest moja robota.

- Sachs, to nie byla twoja wina! - krzyknal Rhyme. - Nie mysl o tym. Zapomnij o zmarlych. Powtarzalem ci to juz kilkanascie razy.

- Ustawie na stole kamizelke - powiedziala opanowanym glosem - i zaslonie sie nia. - Zdarla z siebie bluze, zerwala rzepy paskow kamizelki kuloodpornej. Ustawila ja jak namiot wokol torebki z

pociskiem.

- Ty jesteś zasłonięta, ale twoje ręce nie - zauważył Cooper.

- Kombinezony pirotechników też nie ochraniają rąk - odrzekła. Wyciągnęła z kieszeni zatyczki i wepchnęła do uszu. - Bedziesz musiał do mnie krzyknąć - uprzedziła Coopera. - Co mam teraz zrobić?

Nie, Sachs, pomyślał Rhyme.

- Jeżeli mi nie powiesz, jak to zdemontować, potrę pocisk na kawałki. - Wzięła do ręki pile. Ostrze zawisło nad torebką.

Rhyme westchnął i skinął głową Cooperowi.

- Powiedz jej, co ma robić.

Technik zawahał się, przelikał ślinę.

- Rozwin. Ostrożnie. Połóż na tym ręczniku. Nie wstrząsaj. To najgorsze, co możesz zrobić.

Wydobyła z torebki pocisk, zdumiewająco mały kawałek metalu z brudnobiałą końcówką.

- Widzisz ten szpic? - ciągnął Cooper. - Kiedy pocisk się rozrywa, szpic przebija kamizelkę kuloodporną i co najmniej jedną albo dwie ściany. Jest pokryty teflonem.

- Dobra. - Obróciła pocisk szpicem do ściany.

- Sachs - powiedział cicho Rhyme. - Weź kleszcze. Nie rob tego palcami.

- Jeśli wybuchnie, to żadna różnica, Rhyme. Poza tym muszę to robić z wyczuciem.

- Proszę cie.

Zawahała się, lecz po chwili wzięła od Coopera szczypce. Złapała nimi podstawę pocisku.

- Jak mam to otworzyć? Przeciąć?

- Nie możesz przeciąć ołowiu - zawołał Cooper. - Od temperatury powstałej przy tarcu zapali się proch. Musisz ostrożnie oddzielić biały czubek i wyciągnąć zwinięty plastik.

Po jej twarzy strugami spływał pot.

- Dobra. Kleszczami?

Cooper wziął ze stołu kleszcze o cienkich końcówkach, podszedł i stanął obok niej. Włożył jej narzędzie do prawej dłoni, po czym się wycofał.

- Złap i mocno przekrec. Przykleił plastik epoksydem. Żywica nie wiąże się najlepiej z ołowiem, więc powinien łatwo wyskoczyć. Ale nie ściskaj za mocno. Jeżeli pęknie, nie wyciągniesz tego bez wywiercenia otworu. A przy wierceniu wybuchnie.

- Mocno, ale nie za mocno - mruknęła.

- Pomyśl o wszystkich samochodach, przy których pracowałaś - powiedział Rhyme.

- Co?

- Jakbyś próbowała wyjąć stare świece. Na tyle mocno, żeby je obłuzować, ale nie tak mocno, żeby złamać ceramiczny korpus.

Skinęła głową i Rhyme nie wiedział, czy usłyszała, co powiedział. Sachs opuściła głowę za namiot sklecony z własnej kamizelki.

Rhyme zobaczył, jak mruży oczy.

Sachs...

Nie zauważył żadnego ruchu. Usłyszał tylko bardzo cichy trzask. Sachs zamarła na moment, a potem zajrzała za zasłone.

- Już. Otwarte.

- Widzisz materiał wybuchowy? - spytał Cooper.

Zerknęła do środka.

- Tak.

Podał jej puszkę oleju maszynowego.

- Kapnij trochę do środka i przechyl. Plastik powinien sam wypaść. Nie można go wyciągnąć, żeby nie zniszczyć odcisków.

Nalala odrobine oleju, po czym przechyliła pocisk otwartą stroną w kierunku rozłożonego recznika. Nic się nie stało.

- Niech to szlag - mruknęła.

- Nie...

Energicznie potrząsnęła pociskiem.

- Nie potrząsaj! - wrzasnął Cooper.

- Sachs! - sapnął Rhyme.

Potrzasnela mocniej.

- Niech to szlag.

- Nie!

Z pocisku wypadla cienka biala nitka i kilka czarnych ziaren prochu.

- Dobra - rzekl Cooper i odetchnal. - Juz jest bezpieczny.

Podszedl do stolu i iglowym probnikiem zwinal nitke plastyku na szklanej plytce. Poruszał sie typowym dla laborantow plynny krokiem - wyprostowany, z wyciagnieta reka, w ktorej nieruchomo trzymal probke - podszedl do mikroskopu i wsunal plytke pod okular.

- Proszkiem magnetycznym? - spytal.

- Nie - odrzekl Rhyme. - Gencjana. To odcisk na plastyku. Trzeba zobaczyc kontrast.

Cooper spryskal probke i jeszcze raz umiescil plytke pod mikroskopem.

Obraz pojawil sie rownoczesnie na monitorze komputera Rhyme'a.

- Jest! - krzyknal. - Jest!

Luki i rozgalezienia byly doskonale widoczne.

- Niezle, Sachs. Dobra robota.

Cooper powoli obracal jadro pocisku, a Rhyme zapisywal kolejne obrazy - mapy bitowe - na twardym dysku. Potem zlozil je razem i wydrukowal jeden, dwuwymiarowy obraz.

Jednak Cooper, obejrzawszy go, westchnal.

- Co? - spytal Rhyme.

- Nie wystarczy. Ledwie cwierc cala na piec osmych. Na tej podstawie nie znajdziemy nic w zadnym systemie identyfikacji odciskow.

- Chryste - westchnal Rhyme. - Caly wysilek... na nic.

Nagly wybuch smiechu.

Smiala sie Amelia Sachs. Patrzac na tablice na scianie. MZ jeden, MZ dwa...

- Zlozcie je razem.

- Co?

- Mamy trzy czesciowe odciski - wyjasnila. - Prawdopodobnie palca wskazujacego. Nie widzicie?

Cooper spojrzal na Rhyme'a.

- Nigdy nie slyszalem o takiej technice.

Rhyme tez nie. Wiekszosc ekspertyz kryminalistycznych polegała na analizowaniu dowodow w celu przedstawienia ich przed sadem - ekspertyza „sadowa” oznaczala „zgodna z postepowaniem prawnym” - i gdyby policja zaczela skladac fragmenty odciskow palcow sprawcy, adwokat moglby od razu isc swietowac sukces.

Ale oni chcieli znalezc Trumniarza, a nie wytoczyc mu sprawe.

- Jasne - powiedzial Rhyme. - Zrobcie to!

Cooper zdarl z tablicy wydruki fragmentarycznych odciskow Trumniarza i polozyl przed soba na stole.

Sachs i technik zabrali sie do pracy. Cooper zrobil fotokopie odciskow, zmniejszajac dwa, zeby wszystkie byly tych samych rozmiarow. Potem razem z Sachs zaczeli je dopasowywac, jak kawalki ukladanki. Jak dzieci probowali roznych kombinacji, przekladali, klocili sie. Sachs nawet wziela dlugopis i uzupelnila brakujace linie.

- Oszukujesz - stwierdzil Cooper.

- Ale pasuje - powiedziala triumfalnie.

Wreszcie sklecieli wszystko razem i wydrukowali. Obraz przedstawial trzy czwarte odcisku linii papilarnych, prawdopodobnie palca wskazujacego prawej dloni.

Cooper uniosl wydruk.

- Mam watpliwosci, Lincoln.

- Alez to czysta sztuka, Mel - rzekl Rhyme. - Piekne!

- Nie mow o tym nikomu w Stowarzyszeniu, bo nas zdegraduja i wyleja.

- Wprowadz to do systemu identyfikacji. Z klauzula absolutnego pierwszenstwa. Szukaj we wszystkich stanach.

- Uuu - powiedzial Cooper. - To mnie bedzie kosztowac roczna pensje.

Wprowadzil wydruk do komputera.

- Potrwa jakies pol godziny - rzekl Cooper - realista, nie pesymista.

Jednak poszukiwanie wcale nie trwało długo. Już po upływie pięciu minut - w ciągu których Rhyme zastanawiał się, kogo mogłoby naciągnąć na drinka, Sachs czy Coopera - ekran zamigotał.

Na podstawie przedstawionych danych znaleziono... 1 osobę. Zgodność 14 punktów porównawczych. Statystyczne prawdopodobieństwo tożsamości: 97%.

- Boże - wymruczała Sachs. - Mamy go.

- Kto to jest, Mel? - spytał Rhyme cicho, jak gdyby się obawiał, że słowa zdmuchną z ekranu kruche elektrony.

- Już nie Trumniarz - rzekł Cooper. - Nazywa się Stephen Robert Kall. Trzydzięci lat. Obecne miejsce zamieszkania nieznane. Ostatnie dane pochodzą sprzed piętnastu lat, wiejski adres w Cumberland w Wirginii Zachodniej.

Takie pospolite nazwisko. Rhyme poczuł ukłucie rozczarowania. Kall.

- Za co jest notowany?

Cooper zaczął czytać.

- Mówił o tym Jodiemu... Gdy miał piętnaście lat, odsiedział dwadzieścia miesięcy za nieumyślne spowodowanie śmierci. - Technik parsknął krótkim śmiechem. - Widocznie Trumniarz nie powiedział mu, że ofiara był jego ojczym.

- Ojczym?

- Kurcze, ale historia - rzekł Cooper, czytając.

- Co się stało? - spytała Sachs.

- To fragmenty raportów policyjnych. Posłuchajcie. Zdaje się, że w rodzinie od dawna nie działo się najlepiej. Matka chłopca miała raka, a jej mąż - ojczym Kalla - za jakies nieposłuszeństwo ją uderzył. Kobieta upadła i złamała rękę. Kilka miesięcy później zmarła, a Kall był przekonany, że to Lou był winien jej śmierci.

Cooper czytał dalej i wydawało się, że w pewnym momencie zadrzał.

- Chcecie wiedzieć, co się stało?

- Słuchamy.

- Kilka miesięcy po śmierci matki Stephen z ojczymem poszli na polowanie. Dzieciak uderzył go, tak że Lou stracił przytomność, rozebrał go do naga i przywiązał do drzewa w lesie. Zostawił go tam na parę dni. Chciał go tylko nastraszyć, mówił później jego adwokat. Zanim odnalazła go policja, ciało roilo się od robaków. Przede wszystkim larw. Człowiek żył jeszcze przez dwa dni. Majaczył.

- Niech mnie - szepnela Sachs.

- Kiedy go znaleziono, chłopak siedział obok, przyglądając się ojczymowi - czytał dalej Cooper. - Podejrzany poddał się bez oporu. Wydawał się zupełnie zdezorientowany. Cały czas powtarzał: „Wszystkim można zabić, wszystkim można zabić...”. Zabrano go na obserwację do Centrum Zdrowia Psychicznego Cumberland.

Rhyme'a nie za bardzo obchodziło psychiczne skrzywienie przestępcy. Wierzył w swoje techniki kryminalistyczne bardziej niż w badania behawioralne. Wiedział, że Trumniarz jest socjopata - jak wszyscy zawodowi mordercy - lecz przykrości i urazy, jakich doznał w przeszłości, w tym momencie nie miały większego znaczenia.

- Jest zdjęcie? - spytał.

- Z młodości nie ma żadnego.

- Cholera. Służba wojskowa?

- Nic z tego. Lecz jest jeszcze jeden wyrok - powiedział Cooper. - Próbował się zaciągnąć do piechoty morskiej, ale po badaniach psychologicznych nie przyjęli go. Przez kilka miesięcy nekął oficerów z komendy poborowej w Waszyngtonie, w końcu zaatakował i pobił sierżanta. Dostał wyrok w zawieszeniu.

- Sprawdzimy to nazwisko w spisie pseudonimów, na policji i w NCIC - powiedział Sellitto.

- Niech Dellray wyśle swoich ludzi do Cumberland, żeby zaczęli weszyc - polecił Rhyme.

- Dobra.

Stephen Kall...

Minęło tyle lat. Jak gdyby wreszcie zobaczył relikwiarz, o którym wiele słyszał w ciągu całego życia, ale którego nigdy nie widział na własne oczy.

Rozległo się energiczne pukanie do drzwi. Dłonie Sachs i Sellitta instynktownie sięgnęły do broni.

Był to jednak tylko jeden z gliniarzy z dołu. Trzymał w reku spora teczkę.

- Przesyłka.

- Co to takiego? - zapytał Rhyme.

- Przywiozł glina z Illinois. Powiedział, że to z pogotowia i straży pożarnej okręgu DuPage.

- Co to jest?

Policjant wzruszył ramionami.

- Powiedział, że jakiś syf z bieżników opon. Chyba sobie robił jaja.

- Nie - odrzekł Rhyme. - To właśnie to. - Spojrzał na Coopera. Mieli materiał z opon samochodów z miejsca katastrofy lotniczej.

Gliniarz posłał mu zdumione spojrzenie.

- I wiezli to samolotem z Chicago?

- Czekaliśmy z zapartym tchem.

- Życie czasami potrafi być zabawne.

Lincoln Rhyme musiał się z tym zgodzić.

Profesjonalne latanie tylko w części polega na lataniu.

Latanie to także robota papierkowa.

Z tyłu furgonetki, która wiozła Percey Clay na lotnisko Mamaroneck, pietrzył się stos książek, map i dokumentów: „Katalog lotnisk i punktów obsługi”, „Informator lotniczy”, „Ogłoszenia lotnicze” - wydawane przez Federalny Urząd Lotnictwa - okolniki doradcze i poradnik Jeppesena, „Katalog informacji i lotnisk”. Tysiące stron, góry informacji. Percey, jak większość pilotów, znalazła prawie wszystkie na pamięć. Mimo to nie zamierzała siadać za sterami samolotu pozbawiona możliwości konsultacji z materiałami źródłowymi.

Uzbrojona w te informacje oraz kalkulator mogła wypełnić dwa podstawowe dokumenty przed lotem, rejestr nawigacyjny i plan lotu. W rejestrze notowała wysokość, obliczała odchylenia kursu powstałe na skutek wiatru i odchylenia między kursem prawdziwym i magnetycznym, określała czas przelotu i ilość potrzebnego paliwa. Szesc miast, szesc różnych zapisów, między nimi kilkanascie punktów kontroli...

Potem plan lotu Federalnego Urzędu Lotnictwa, po drugiej stronie rejestru nawigacyjnego. Już po starcie samolotu drugi pilot uruchomił plan, łącząc się ze stanowiskiem obsługi lotów w Mamaroneck, które z kolei łączy się z Chicago i podaje zakładany czas przylotu „Foxtrota Bravo”. Gdyby samolot nie przybył pół godziny po ustalonym czasie, zostałby uznany za spóźniony i rozpoczęłaby się procedura poszukiwawcza.

Były to skomplikowane dokumenty i należało wszystko dokładnie obliczyć. Gdyby samolot miał nieograniczony zapas paliwa, mogliby polegać na nawigacji radiowej i kursować między miejscami przeznaczenia tak długo, jak by im się podobało, na dowolnie wybranej wysokości. Ale paliwo było nie tylko drogie (a dwa silniki odrzutowe Garretta spalały zdumiewająco dużo), lecz również nadzwyczaj ciężkie i transport dodatkowych zbiorników kosztował majątek. Podczas długich lotów, zwłaszcza przy dużej liczbie paliwozernych startów, zbyt wiele przewożonego paliwa mogło drastycznie ograniczyć zyski firmy z lotu. Federalny Urząd Lotnictwa wydał zarządzenie, by każdy

samolot miał tylko tyle paliwa, ile potrzeba na przelot do miejsca przeznaczenia plus rezerwa, w razie nocnego lotu, która umożliwiłaby dodatkowe czterdzieści pięć minut przebywania w powietrzu;

Percey Clay stukala w klawisze kalkulatora, wypełniając formularze swoim precyzyjnym charakterem pisma. Tak niedbala w innych sferach życia, w sprawach latania była wyjątkowo skrupulatna. Sama czynność wypełniania rubryk, wpisywania częstotliwości łączności z kontrola lotów i odchylen kursu magnetycznego sprawiała jej przyjemność. Nigdy nie podawała przybliżonych liczb, kiedy wymagano dokładnych obliczeń. Dzisiaj praca pochłonęła ją bez reszty.

Obok niej siedział Roland Bell. Miał wyjątkowo pośpina minę. Wesół chłopak z Południa gdzieś zniknął. Przejmowała się jego smutkiem, tak jak własnym; Brit Hale był chyba pierwszym świadkiem, jakiego stracił. Odczuła niewytłumaczalną potrzebę, by dotknąć jego ręki, pocieszyć go, powiedzieć mu to, co on wcześniej mówił jej. Widocznie należał jednak do tego typu mężczyzn, którzy w obliczu klęski zamykają się w sobie; każdy przejaw współczucia mógłby go rozdrażnić. Uważała, że jest podobny do niej. Bell patrzył przez okno samochodu, od czasu do czasu dotykając czarnej rekojesci pistoletu, spoczywającego w kaburze pod pachą.

W momencie gdy skończyła wypełniać ostatnią kartę planu lotu, furgonetka skreśliła na wjazd na lotnisko, zatrzymując się przy stanowisku uzbrojonych strażników, którzy sprawdzili ich dokumenty i wpuszczili.

Percey kazała kierowcy podjechać do hangaru, ale zauważyła, że w biurze nadal pali się światła. Poleciała zatrzymać wóz i wysiadła, a Bell z resztą ochroniarzy poszli za nią do głównego budynku biura, czujni i spieci.

W gabinecie siedział Ron Talbot, umorusany smarem i śmiertelnie zmęczony, ocierał spocone czoło. Jego twarz była niepokojąco czerwona.

- Ron... - Podbiegła do niego. - Nic ci nie jest?

Uscisnęli się.

- Brit - powiedział, krecąc ze smutkiem głową. - Brita też dostał. Percey, nie powiniś tu być. Jedź w jakieś bezpieczne miejsce, zapomnij o locie. Nie warto.

Odsunęła się.

- O co chodzi? Złe się czujesz?

- Jestem tylko zmęczony.

Wyjęła mu z palców papierosa i zgasila.

- Sam wszystko robiles? Przy „Foxtrocie Bravo”?

- Ja...

- Ron?

- Większość. Już prawie skończyłem. Facet przywiozł butle gasnicza i pierścien jakas godzinie temu. Zacząłem je montować. Trochę się zmęczyłem.

- Boli cie w piersiach?

- Nie, nie bardzo.

- Ron, jedź do domu.

- Moge...

- Ron - powiedziała ostro. - W ciągu dwóch dni straciłam dwie bliskie osoby. Nie mam zamiaru stracić trzeciej... Sama zamontuję pierścien. Przecież to nic wielkiego.

Talbot wyglądał, jakby nie był w stanie unieść zwykłego klucza, a co dopiero ciężkiej komory spalania.

- Gdzie Brad? - spytała Percy. Miał być dziś pierwszym oficerem.

- W drodze. Powinien być za godzinę.

Pocałowała Talbota w spocone czoło.

- Jedź do domu. I odstaw fajki, na litość boską. Zwariowałeś?

Objął ją.

- Percey, Brit...

Uciszyła go, kładąc palec na ustach.

- Do domu. Wypij się. Gdy się obudzisz, będę już w Erie i nikt nie odbierze nam tego kontraktu. Na mur.

Z trudem dzwignął się na nogi i przez chwilę stał, patrząc przez okno na „Foxyrota Bravo”. Na jego twarzy malowało się rozgoryczenie. Przypomniała sobie, że miał taką samą minę, kiedy ją poinformował, że oblał testy fizyczne i już nie będzie mógł latać. Talbot skierował się do drzwi.

Powinna brać się już do roboty. Zakasła rekawy, dała znak Bellowi, by podszedł bliżej. Pochylił głowę, przyjmując pozycję dokładnie taką jak Ed, kiedy coś do niego mówiła przyciszonym głosem.

- Muszę parę godzin spędzić w hangarze. Możesz przez ten czas dopilnować, żeby ten skurwysyn mnie nie zabił?

Bez wygłaszania żadnych ludowych mądrości ani stawiania warunków Roland Bell, człowiek z

dwoma pistoletami, skinal powaznie glowa, przygladajac sie uwaznie wszystkim cieniom w okolicy.

Mieli w rekach zagadke.

Cooper i Sachs zbadali caly material znaleziony w bieżnikach opon wozow strazackich i radiowozow policyjnych, ktore byly na lotnisku w Chicago po katastrofie samolotu Eda Carneya. Byla tam ziemia, psie odchody, smar, olej, trawa i smieci, czyli wszystko to, czego Rhyme sie spodziewal. Ale dokonali jednego odkrycia, ktore jego zdaniem moglo byc wazne.

Nie mial jednak pojecia, co ono znaczy.

Jedynym sladem, ktory mogl byc pozostaloscia po bombie, byly drobne fragmenty plastycznej bezowej substancji. Chromatograf gazowy sprzezony ze spektrometrem masowym okreslil ja jako C₅H₈.

- Izopren - zastanawial sie Cooper.

- Czyli co? - zapytala Sachs.

- Guma - wyjasnil Rhyme.

- Sa jeszcze kwasy tluszczowe. Barwniki, talk.

- Jakies utwardzacze? - spytal Rhyme. - Glina? Weglan magnezu? Tlenek cynku?

- Nic.

- Miekka guma. Na przyklad lateks.

- I fragmenty kleju kauczukowego - dodal Cooper, ogladajac probke pod mikroskopem. - Mam - oznajmil po chwili.

- Nie kpij, Mel - mruknal Rhyme.

- Slady lutowania i male kawalki plastyku wbitego w gume. Czyli obwody scalone.

- Czesc zegara z bomby? - zastanawiala sie glosno Sachs.

- Nie, przeciez zegar byl nienaruszony - przypomniał jej Rhyme.

Czul, ze sa na tropie. Jezeli byla to jeszcze jedna czesc bomby, moze natrafia na slad zrodla pochodzenia materialu wybuchowego albo innego skladnika.

- Musimy miec pewnosc, czy to element bomby, czy samolotu. Sachs, pojedziesz na lotnisko.

- Na...

- Do Mamaroneck. Znajdziesz Percey i powiesz jej, zeby ci dala probki wszystkich rzeczy z

lateksu, gumy albo obwodów scalonych, jakie są w brzuchu takiego samolotu, którym leciał Carney. W okolicy tego miejsca kadłuba, gdzie eksplodowała bomba. Mel, wyślij informacje do federalnego spisu materiałów wybuchowych i sprawdź w wojskowym biurze śledczym - może jakiś materiał używany przez armię ma wodoodporną osłonę z lateksu. Może w ten sposób dotrzemy do źródła.

Cooper zaczął stukac w klawiaturę komputera, lecz Rhyme zauważył, że Sachs nie jest zadowolona ze swojego zadania.

- Chcesz, żebym z nią porozmawiała? - spytała. - Z Percey?

- Tak. Przecież mówiłem.

- Dobra. - Westchnęła. - W porządku.

- I nie mów jej takich rzeczy jak ostatnio. Musi z nami współpracować.

Rhyme nie miał pojęcia, dlaczego z taką złością nałożyła kamizelkę i wyszła bez pożegnania.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

45 godzin - godzina trzydziesta pierwsza

Na lotnisku Mamaroneck Amelia Sachs zobaczyła przyczajonego pod hangarem Rolanda Bella. Wokół dużego budynku trzymało straż jeszcze sześciu ludzi. Przypuszczała, że snajperzy zajęli stanowiska w pobliżu.

Dojrzała kątem oka pagorek, obok którego padła wtedy na ziemię, chowając się przed ogniem. Z nieprzyjemnym uciskiem w żołądku przypomniała sobie zapach ziemi zmieszany ze słodką wonią prochu, które towarzyszyły jej, gdy strzelała do Trumniarza.

- Detektywie - zawołała do Bella.

- Hej. - Zerknął na nią przelotnie. Zaraz jednak wrócił do penetrowania lotniska. Jego bez troski sposób bycia Poludniowca zniknął bez śladu. Zmienił się. Sachs zdała sobie sprawę, że teraz coś ich oboje łączy. Oboje strzelali do Trumniarza i spudłowali.

Oboje znaleźli się też na linii ognia i przeżyli. Bell miał jednak więcej powodów do chwały. Zauważyła, że na jego kamizelce widnieją ślady po dwóch kulach, które odbiły się od Bella podczas ataku na dom. On twardo wytrzymał, nie chowając się przed ogniem.

- Gdzie Percey? - zapytała Sachs.

- W środku. Konczy naprawiać samolot.

- Sama?

- Chyba tak. To jest ktoś. Kto by przypuszczał, że taka, no, mało atrakcyjna kobieta może być tak intrygująca. Nie?

Och, nie, przestan.

- Jest tu ktoś jeszcze? Z firmy? - Wskazała biuro Hudson Air. W oknie paliło się światło.

- Percey prawie wszystkich wyslala do domu. Lada chwila ma tu przyjechac jeden gość - drugi pilot. W srodku jest ktos z obslugi naziemnej. Zdaje sie, ze musi dyzurowac, kiedy leci jakis samolot. Sprawdzilem go. Jest w porzadku.

- Ona naprawde chce leciec? - spytala Sachs.

- Na to wyglada.

- Samolot byl caly czas pilnowany?

- Od wczoraj. A ty co tu robisz?

- Potrzebuje paru probek do analizy.

- Ten Rhyme to tez jest ktos.

- Mhm.

- Od dawna pracujecie razem?

- Zrobilismy kilka spraw - odrzekla wymijajaco. - Zabral mnie z wydzialu spraw publicznych.

- Dobry uczynek. Slyszałem, ze niezle lutujesz.

- Niezle co...?

- Strzelasz. Z broni krotkiej. Jesteś podobno w druzynie.

Tak i wlasnie jestem w miejscu, gdzie odbyly sie ostatnie zawody, pomyslala z gorycza.

- Taka zabawa w weekendy - mruknela.

- Sam troche strzelam z pistoletu, ale nawet gdy mam dobry dzien, z dlugiej lufy i pojedynczymi strzalami jestem w stanie trafic najwyzej z piecdziesieciu, szescdziesieciu jardow.

Byla mu wdzieczna za te uwagi, ale domyslila sie, ze probuje ja pocieszyc po wczorajszej klesce; w istocie slowa nic nie znaczyly.

- Lepiej pojde pogadac z Percey.

- Smialo.

Sachs pchnela drzwi i znalazla sie w przestronnym hangarze. Szla powoli, zagladajac do wszystkich miejsc, w ktorych moglby sie ukryc Trumniarz. Przystanela za wysokim rzędem pudel; Percey jej nie widziala.

Kobieta stala na niskim rusztowaniu z dlonmi na biodrach i patrzyla na skomplikowana siec rurek i przewodow w otwartym silniku. Miala podwiniete rekawy i rece powalane smarem. Pokiwala

głowa i sięgnęła do środka.

Sachs przyglądała się zafascynowana, jak jej ręce migają wśród mechanizmów, regulując, badając, dopasowując metal do metalu, dociskając poszczególne elementy dokładnie obliczonymi ruchami szczupłych dłoni. Zamontowała jakiś duży czerwony cylinder - pojemnik gasniczy, jak się domyśliła Sachs - w ciągu dokładnie dziesięciu sekund.

Ale jedna część - wyglądała jak duża metalowa detka - nie chciała się dopasować.

Percey zeszła z rusztowania, wybrała jakiś klucz nasadowy i wróciła na górę. Poluzowała śruby i usunęła jakąś część, by mieć lepszy dostęp i większe pole manewru, po czym ponownie spróbowała wcisnąć duży pierścien na miejsce.

Bezsukutecznie.

Pchnęła, wykorzystując całą siłę ramienia. Pierścien nie przesunął się nawet o cal. Percey usunęła jeszcze jedną część, skrupulatnie układając każdą śrubę i śrubkę na plastikowej podstawie u swoich stop. Jej twarz poczerwieniała z wysiłku, a piers unosiła się gwałtownie. Nagle pierścien wysliznął się jej z rąk, wyskakując ze swojego miejsca i zwalając Percey z rusztowania. Odwróciła się w locie, padając na ręce i kolana. Narzędzia i śruby, tak pieczołowicie ułożone na podstawie, rozsypały się na podłodze pod ogonem samolotu.

- Nie! - krzyknęła Percey. - Nie!

Sachs dała krok naprzód, by zobaczyć, czy nie zrobiła sobie krzywdy, lecz natychmiast zauważyła, że jej okrzyk nie ma nic wspólnego z bólem - Percey chwyciła wielki klucz i z wściekłością walnęła nim w posadzkę hangaru. Policjantka zatrzymała się w poł kroku i schowała za dużym kartonem.

- Nie, nie, nie - powtarzała Percey, tłukąc kluczem w gładki beton.

Sachs pozostała w ukryciu.

- Och, Ed... - Percey upuściła klucz. - Nie umiem tego sama zrobić. - Ciężko dysząc, zwinęła się w kłębek. - Ed... Ed... tak mi ciębie brakuje! - Leżała skulona na lśniacej podłodze jak kruchy lis i lkała.

Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, atak rozpacz się skończył. Percey uniosła głowę, głęboko odetchnęła i wstała, ocierając łzy. Dusza lotniczki jeszcze raz wzięła górę. Pozbierała śruby i narzędzia, po czym wspierała się z powrotem na rusztowanie. Przez chwilę wpatrywała się w uparty pierścien. Dokładnie obejrzała obudowę, lecz nie widziała, w którym miejscu metal się klinował.

Sachs wycofała się do drzwi, głośno nimi trzasnęła i zaczęła iść w głąb hangaru, tupiąc donośnie.

Percey obróciła się, ujrzała ją i wróciła do silnika. Kilka razy otarła twarz rękawem i pracowała dalej.

Sachs podeszła do rusztowania, obserwując zmagania Percey z pierścieniem.

Zadna z nich przez dluzsza chwile nie odezwała sie ani slowem.

W koncu Sachs powiedziala:

- Sprobuj podnosnikiem.

Percey spojrzala przez ramie, lecz nie odpowiedziala.

- Niewiele brakuje - ciagnela Sachs. - Tylko trzeba wiecej sily. Stara technika przymusu. Nie uczaj jej w szkolach technicznych.

Percey przyjrzała sie dokladnie uchwytom mocujacym na metalowych czesciach.

- No, nie wiem.

- Ale ja wiem. Rozmawiasz z ekspertem.

- Montowalas kiedyś komore spalania w learze?

- Nie. Swiece zaplonowe w chevrolecie monza. Zeby ich dosiegnac, trzeba troche uniesc silnik. W kazdym razie silnik osmiocylindrowy. Zreszta kto by kupowal samochod z czterema cylindrami? Po co?

Percey spojrzala ponownie na silnik.

- To jak? - Sachs obstawala przy swoim. - Podnosnik?

- Moze wgiac obudowe.

- Ale nie jesli przylozysz go tutaj. - Sachs pokazala element konstrukcji, ktory biegł od silnika do wspornika, polaczonego z kadlubem.

Percey obejrzała lacznik.

- Nie mam takiego malego podnosnika, zeby tu pasowal.

- Ja mam. Zaraz przyniose.

Wyszla do samochodu i po chwili wrocila ze skladanym lewarkiem. Gdy wspinala sie na rusztowanie, poczula, ze jej kolana protestuja przeciw takiemu wysilkowi.

- Sprobuj tutaj. - Dotknela podstawy silnika. - Stalowy dwuteownik.

Kiedy Percey ustawiala lewarek, Sachs podziwiala skomplikowana konstrukcje silnika.

- Ile ma koni?

Percey rozesmiala sie.

- Mocy tych silnikow nie liczy sie w koniach mechanicznych, tylko w funtach sily ciagu. Te dwa to Garrett siedem trzy jeden, kazdy o sile ciagu do trzech i pol tysiacu funtow.

- Niesamowite. - Sachs rozesmiala sie. Wlozyla dzwignie do lewarka, a gdy zaczela krecic korba, poczula znajomy opor. - Nigdy nie bylam tak blisko silnika turbinowego - powiedziala. - Zawsze marzylam o tym, zeby pojezdzic samochodem z silnikiem odrzutowym po dnie wyschnietego slonego jeziora.

- To nie jest klasyczny silnik turboodrzutowy. Niewiele juz takich zostalo. Chyba w concorde'ach i samolotach wojskowych. Lear ma silniki dwuprzeplywowe, jak samoloty pasazerskie. Spojrz z przodu - widzisz te lopatki? To nic innego jak stale smiglo. Silniki odrzutowe sa niewydolne na malych wysokosciach. A te pala czterdziesti procent mniej.

Sachs oddychala ciezko, z trudem obracajac dzwignie lewarka. Percey ponownie wparla sie ramieniem w pierscien i pchnela. Czesc nie wydawala sie duza, ale byla bardzo ciezka.

- Znasz sie na samochodach, co? - spytala Percey, tez ledwie dyszac.

- Moj ojciec sie znal. Uwielbial auta. Cale popoludnia rozbieralismy samochody i skladalismy z powrotem. Kiedy akurat nie byl na patrolu.

- Na patrolu?

- Tez byl gliniarzem.

- A ty polknelas bakcyła mechaniki? - spytala Percey.

- Nie, raczej predkosci. A wtedy trzeba tez zostac fanem zawieszenia, układu napedowego i silnikow, inaczej nigdy nie pojedzie sie tak szybko, jak sie chce.

- Prowadzilas kiedyś samolot? - zapytala ja Percey.

- Czy prowadzilam? - Sachs usmiechnela sie na to slowo. - Nie. Ale pomysle o tym, skoro ma tyle pary pod maska.

Przekrecila jeszcze troche korbe, czujac bol w miesniach. Pierscien jeknal i zazgrzyl, unoszac sie do obudowy.

- No, nie wiem - powiedziala niepewnie Percey. - Jeszcze troche!

Z glosnym metalicznym brzekiem pierscien idealnie wskoczyl na miejsce. Na kwadratowej twarzy Percey pojawil sie nikly usmiech.

- Dokrecasz je kluczem dynamometrycznym? - spytala Sachs, wkrecajac sruby w otwory pierscienia i rozgladajac sie za narzedziem.

- Tak - odparl Percey. - Do momentu „zeby za cholere sie nie mogly poluzowac”.

Sachs docisnęła śruby kluczem z grzechotką. Stukot narzędzia sprawił, że przypomniała się jej szkoła średnia i chłodne sobotnie popołudnia spędzane z ojcem. Zapach benzyny, jesiennego powietrza i gulaszu gotującego się w kuchni w ich domu.

Percey sprawdziła dzieło Sachs, po czym powiedziała:

- Skoncze sama.

Zaczęła łączyć przewody i części elektroniczne. Sachs przyglądała się zdziwiona i zafascynowana. Percey na chwilę przerwała.

- Dzięki - rzekła cicho, a po chwili zapytała: - Co tu właściwie robisz?

- Mam materiał, który być może pochodzi z bomby, ale Lincoln nie wiedział, czy to nie jest część samolotu. Kawalki bezowego lateksu? Obwód scalony? Brzmi znajomo?

Percey wzruszyła ramionami.

- W learze są tysiące uszczelek. Mogą być z lateksu, nie mam pojęcia. A obwodów scalonych? Pewnie też z tyśiac. - Ruchem głowy wskazała szafkę obok stołu warsztatowego w rogu hangaru. - Płytki są różne, zależnie od składnika. Ale znajdziesz tam kupę uszczelek. Weź próbki, jakie chcesz.

Sachs podeszła do stołu i zaczęła wkładać do torebek wszystkie bezowe kawalki gumy, jakie znalazła.

Nie patrz na Sachs, Percey powiedziała:

- Myślałam, że przyjechałaś mnie aresztować. Odstawić z powrotem do więzienia.

I powinnam, pomyślała Sachs. Lecz głośno rzekła:

- Nie, tylko po próbki. - Po chwili dodała: - Co jeszcze trzeba zrobić przy samolocie?

- Wyregulować. Potem sprawdzić wszystkie ustawienia. Muszę też obejrzeć okno, to, które wymienił Ron. Głupio by było zgubić okno przy prędkości czterystu mil na godzinę. Możesz mi podać ten zestaw sześciokatny? Nie, metryczny.

- Zgubiłam kiedyś przy stu - poinformowała Sachs, podając jej narzędzia.

- Co?

- Okno. Scigałam faceta uzbrojonego w dubeltówkę. Zdażyłam się uchylić, ale przednia szyba poszła w drobny mak... Zanim go zgarnęłam, miałam już w zębach kilka robaczek.

- A ja myślałam, że mam życie pełne przygod - powiedziała Percey.

- Moja praca to głównie nuda. Placa mi za te pięć procent, kiedy buzuje adrenalina.

- Podobno - rzekła Percey.

Podłączyła laptop do kilku części silnika i zaczęła stukac w klawisze, od czasu do czasu spoglądając na ekran. Nie patrząc na Sachs, zapytała:

- Powiedz mi, o co właściwie chodzi?

Ze wzrokiem wbitym w ekran migoczący rzędami cyfr Sachs odpowiedziała pytaniem:

- Jak to - o co?

- Skąd to, hm, napięcie między nami. Między tobą i mną.

- Przez ciebie o mało nie zginął mój przyjaciel.

Percey pokręciła głową.

- Nie, to nie to - oznajmiła. - W waszą pracę jest wliczone ryzyko. Sami decydujecie, czy je podejmujecie, czy nie. Jerry Banks nie był złotodziobem. Nie, to coś innego - czułam to, zanim jeszcze Jerry został ranny. Kiedy cię pierwszy raz zobaczyłam, w pokoju Lincolna Rhyme'a.

Sachs nie odpowiedziała. Wyciągnęła podnośnik z komory silnika, postawiła go na stole i machinalnie złożyła.

Trzy metalowe części wskoczyły na miejsce wokół silnika. Percey posługiwała się srubokrętem jak dyrygent batuta. Miała naprawdę magiczne dłonie. W końcu spytała:

- Chodzi o niego, prawda?

- O kogo?

- Dobrze wiesz. O Lincolna Rhyme'a.

- Sądysz, że jestem zazdrosna? - Sachs rozesmiała się.

- Tak właśnie myślę.

- Śmieszne.

- Łaczy was coś więcej niż sama praca. Chyba go kochasz.

- Oczywiście, że nie. Co za pomysł.

Percey posłała jej znaczące spojrzenie, po czym ostrożnie zwinęła zbędny kawałek przewodu, upychając go obok komory silnika.

- Cokolwiek wtedy zobaczyłaś, to był tylko szacunek dla jego talentu, nic więcej. - Uniosła pokrytą smarem dłoń na wysokość własnej piersi. - Tylko spojrz na mnie, Amelio. Jaki ze mnie

material na kochankę. Jestem niska, despotyczna, nieładna.

- Jesteś... - zaczęła Sachs.

- Co, bajka o brzydkim kaczątku? - przerwała jej Percey. - Czytałam ją miliony razy, kiedy byłam mała. Ale nigdy nie zmieniłam się w labedzia. Wprawdzie nauczyłam się latać jak ptak - dodała ze smutnym uśmiechem - jednak to nie to samo. Poza tym... jestem wdowa. Dopiero co straciłam męża. Nie interesuje mnie nikt inny.

- Przepraszam - zaczęła wolno Sachs, niechętnie dając się wciągnąć w tę rozmowę - ale muszę powiedzieć... że nie wyglądasz, jakbyś tonęła w żalobie.

- Dlaczego? Bo próbuje za wszelką cenę ratować swoją firmę?

- Nie, nie tylko - odrzekła ostrożnie Sachs. - Prawda?

Percey wpatrywała się w twarz Sachs.

- Ed był mi bardzo bliski. Byliśmy małżeństwem, przyjaciółmi, współnikami... masz rację, spotykał się z kims innym.

Sachs zerknęła w stronę biura Hudson Air.

- Zgadza się - powiedziała Percey. - Lauren. Poznałaś ją wczoraj.

Brunetka zanosząca się od szlochu.

- Bardzo to przeżyła. Cholera, Ed też. Kochał mnie, ale musiał mieć te swoje ładne kochanki. Zawsze je miał. Ale wiesz, one chyba znosiły to jeszcze gorzej. Bo on zawsze do mnie wracał. - Przerwała na chwilę, walcząc ze łzami. - To chyba jest właśnie miłość. Kiedy się ma kogoś w domu i zawsze się do niego wraca.

- A ty?

- Czy byłam mu wierna? - Percey wybuchnęła swoim lekko drwiącym śmiechem, jak ktoś świadomy swoich wad, ale nie lubiący roztrząsać szczegółów. - Nie miałam zbyt wielu okazji. Nie należę do dziewczyn, które podrywa się na ulicy. - Z roztargnieniem oglądała klucz nasadowy. - Chociaż, kiedy dowiedziałam się o dziewczynach Eda, kilka lat temu, wścieklam się. Bardzo mnie to dotknęło. Spotykałam się z innymi facetami. Kilka miesięcy byłam z Ronem - z Ronem Talbotem. - Uśmiechnęła się. - Nawet mi się oświadczył. Powiedział, że zasługuje na kogoś lepszego niż Ed. Przypuśćmy, że miał rację. Ale mimo tych dziewczyn Ed był facetem, z którym musiałam być. To się nigdy nie zmieniło.

Wzrok Percey stał się na chwilę nieobecny.

- Poznał się w marynarce. Oboje byliśmy tam pilotami. Kiedy mi się oświadczył... W wojsku tradycyjne oświadczenia polegają na tym, że się mówi: „Chcesz zostać moim podwładnym?”. Taki

zart. Oboje mielismy stopien podporucznika, wiec Ed powiedzial: „Zostanmy swoimi podwladnymi”. Chcial mi kupic pierscionek, ale ojciec sie mnie wyrzekl...

- Naprawde?

- Tak. Jak w kiepskim serialu. Nie chce sie nad tym rozwodzic, w kazdym razie oszczedzalismy kazdego centa, zeby otworzyc wlasna firme czarterowa. Zwolnili nas ze sluzby, bylismy bez grosza. Ktoregos wieczoru powiedzial: „Lecimy”. Pozyczylismy starego norsemana, ktorego mieli na plycie. Niezla maszyna. Wielki, chlodzony powietrzem silnik tlokowy... Tym samolotem mozna bylo zrobic wszystko. Zajelam fotel po lewej. Wystartowalam i po chwili bylismy juz na szesciu tysiacach stop. Nagle Ed mnie pocalowal i zakolysal sterem, co oznaczalo, ze przejmuje maszynie. Pozwolilam mu. Powiedzial: „A jednak mam dla ciebie brylant, Percey”.

- I mial? - spytala Sachs.

Percey usmiechnela sie.

- Ed przyspieszyl i nagle pociagnal stery. Samolot zadarl nos do gory. - Lzy naplynely jej do oczu. - Przez krotka chwile, zanim wyrownal lot, patrzylismy prosto w rozgwiezdzone niebo. Pochylil sie do mnie i powiedzial: „Wybierz sobie. To wszystkie gwiazdy wieczoru - mozesz miec, ktora zechcesz”. - Percey schylila glowe, lapiac oddech. - Wszystkie gwiazdy wieczoru...

Potem otarla rekawem oczy i odwrocila sie z powrotem do silnika.

- Uwierz mi, nie masz sie czym dreczyc. Lincoln to fascynujacy czlowiek, ale Ed byl dla mnie wszystkim.

- Jest jeszcze cos. - Sachs westchnela. - Przypominasz mu kogos. Kogos, kogo kochal. Pojawiasz sie i nagle jakby tamto wrocilo.

Percey wzruszyla ramionami.

- Jestesmy podobni do siebie. Rozumiemy sie. I co z tego? To nic nie znaczy. Amelio, Rhyme cie kocha.

Sachs parsknela smiechem.

- Nie sadze.

Percey poslala jej kolejne wymowne spojrzenie i zaczela chowac sprzet do pudel z taka sama skrupulatnoscia, z jaka poslugiwala sie narzedziami i komputerem.

Do hangaru wszedl wolnym krokiem Roland Bell, sprawdzajac okna i przygladajac sie uwaznie wszystkim ceniom.

- Spokoj? - zapytal.

- Zupełny.

- Mam wiadomość. Facet z Amer-Medu właśnie wyjechał ze Szpitala Westchester. Ładunek będzie tu za godzinę. Dla bezpieczeństwa pojedzie za nimi wóz z moimi ludźmi. Nie musisz się bać, że popsują ci interes albo ich nastrasza. Moi ludzie to zawodowcy. Kierowca w ogóle się nie zorientuje, że ktoś za nim jedzie.

Percey zerknęła na zegarek.

- Dobra. - Spojrzała na Bella, który patrzył niepewnie na otwartą komorę silnika, jak wąż na mągustę. - Ale nie muszę lecieć z opiekunami, co? - zapytała.

Bell ciężko westchnął.

- Po tym, co się stało w domu - rzekł poważnie - nie mogę cię stracić z oczu. - Pokręcił głową, jak gdyby już robiło mu się niedobrze od wstrząsów samolotu, zawrócił do drzwi i wyszedł w chłodne powietrze popołudnia.

Sprawdzając efekty swojej pracy, Percey odezwała się z głębi komory silnika:

- Patrzeć na ciebie i Rhyme'a, nie mogę dać wam więcej niż pięćdziesiąt procent szans powodzenia. - Odwróciła się i spojrzała na Sachs. - Ale wiesz, miałam kiedyś jednego instruktora.

- I co?

- Kiedy latalismy dwusilnikowcem, dławil jeden silnik i śmigło kreciło się na wolnych obrotach. Wielu instruktorów odgrywa taki numer - wyłączają silnik na sporej wysokości, żeby zobaczyć, jak sobie poradzisz. Ale zawsze przed lądowaniem włączają go z powrotem. Ten instruktor kazał nam lądować na jednym silniku. Uczniowie pytali go: „Czy to nie za duże ryzyko?”, a on odpowiadał: „Bóg nie daje pewniaków. Czasami trzeba grać w ciemno”.

Percey zatrzasnęła kłapę silnika.

- W porządku, gotowe. Można latać. - Klepnęła lśniące poszycie gestem kowbojki, która dodaje animuszu swojemu chłopakowi startującemu w rodeo.

Rozdział trzydziesty

45 godzin - godzina trzydziesta druga

W niedzielę o osiemnastej wezwali do siebie Jodiego z sypialni Rhyme'a na dole, gdzie włoczega siedział zamknięty.

Począł na górze z ociąganiem, sciskając swoją głupią książkę „Koniec z zależnością”, jakby to była Biblia. Rhyme pamiętał ten tytuł. Gdy był w najczarniejszym nastroju, książka przez wiele miesięcy była na liście bestsellerów w „Timesie”. Zauważył ją wtedy i cynicznie pomyślał, że jemu przydałby się poradnik „Początek zależności”.

Do Cumberland w Wirginii Zachodniej leciał z Quantico zespół agentów, by w dawnym miejscu zamieszkania Stephena Kalla poszukać jakichś tropów, które być może pomogą odnaleźć jego obecną kryjówkę. Lecz Rhyme widział już, jak dokładnie Kall oczyszcza każde miejsce zbrodni, miał więc powody przypuszczać, że morderca z podobną sumiennością zacierá wszystkie inne ślady.

- Powiedziałeś nam o nim parę rzeczy - zwrócił się Rhyme do Jodiego. - Podałeś kilka faktów, kilka cennych informacji. Chcę wiedzieć więcej.

- Ale ja...

- Skup się.

Jodie zmrużył oczy. Rhyme odniósł wrażenie, że włoczega zastanawia się, jak ich zmieknąć. Dlatego zdziwił się, gdy Jodie powiedział:

- Jedno jest pewne - że się pana boi.

- Mnie? - zdumiał się Rhyme. - Skąd o mnie może wiedzieć?

- Wie, że ma pan na imię Lincoln. I że chce go pan złapać.

- Skąd?

- Nie wiem - odparł drobny człowiek, po czym dodał: - Kilka razy dzwonił z komórki i strasznie długo słuchał. Pomyslałem sobie...

- Niech to szlag jasny! - krzyknął Dellray. - Podsluchuje kogos.

- Oczywiście! - wykrzyknął Rhyme. - Pewnie biuro Hudson Air. Stad sie dowiedział, gdzie jest bezpieczny dom. Dlaczego wcześniej nie przyszło nam to do głowy?

- Trzeba przeczesac biuro - rzekł Dellray. - Ale pluskwa może być gdzieś w skrzynce przekaznikowej. Znajdziemy ją. Musimy znaleźć. - Zadzwoił do obsługi technicznej FBI.

- Mów dalej - powiedział do Jodiego Rhyme. - Co jeszcze o mnie wie?

- Wie, że jest pan detektywem. Chyba się nie orientuje, gdzie pan mieszka i nie zna pana nazwiska. Ale robi w portki ze strachu.

Gdyby Rhyme mógł czuć przyjemne ukłucie dumy w zółdaku - na pewno by je teraz poczuł.

Coz, panie Kall, może uda nam się sprawić, żeby się pan jeszcze bardziej bał.

- Już raz nam pomógł, Jodie. Chciałbym ponownie skorzystać z twojej pomocy.

- Zwariował pan?

- Zamknij się, do kurwy nędzy - huknął Dellray. - Słuchaj, co pan do ciebie mówi. Dobrze?

- Zrobiłem, co mi kazaliście. Więcej nic już nie zrobię. - Jego skomlenie było nie do zniesienia. Rhyme zerknął na Sellitta. Tu mogły się przydać jego umiejętności radzenia sobie z ludźmi.

- Pomoczenie nam leży w twoim własnym interesie - rzekł z przekonaniem Sellitto.

- Kula w plecy to ma być mój interes? Kula w łeb? Mhm. Rozumiem. Może mi pan wytłumaczy?

- A pewnie, że ci to wytłumaczę - mruknął Sellitto. - Trumniarz wie, że go wsypałeś. Wcale nie musiał do ciebie celować wtedy pod domem. Mam rację?

Zawsze zmuszaj ich do mówienia. Muszą brać udział w rozmowie. Sellitto często tłumaczył Rhyme'owi zasady prowadzenia przesłuchania.

- Chyba tak.

Sellitto dał Jodiemu znak, by się zbliżył.

- Rozsadniej dla niego byłoby, gdyby stamtąd spieprzał. Ale on mimo wszystko zaczął się na dachu, żeby cię rozwalić. Jaki z tego wniosek?

- No...

- Ze nie spocznie, dopoki cie nie stuknie.

Dellray, uradowany, ze u boku Sellitta moze zagrac role pozytywnego bohatera, rzekl:

- Chyba nie chcialbys, zeby ktos taki zapukal do ciebie o trzeciej nad ranem - w tym tygodniu, w przyszłym miesiacu albo przyszlym roku. Nie mam racji?

- No wiec - sapnal Sellitto. - Zgadzasz sie z nami, ze pomagajac nam, zalatwiasz wlasny interes?

- Dacie mi ochrone taka jak swiadkom?

Sellitto wzruszyl ramionami.

- Tak i nie.

- Co?

- Tak, jezeli nam pomozesz. Nie, jesli odmowisz.

Czerwone oczy Jodiego wypelnily sie lzami. Wygladal na naprawde przerazonego. W ciagu ostatnich lat Rhyme bal sie o innych - o Amelie, Thoma i Lona Sellitta. Ale nie sadzil, zeby kiedykolwiek bal sie wlasnej smierci (po wypadku na pewno przestal sie bac). Zastanawial sie, jak mozna zyc w takim leku. Jodie zyl jak mysz.

Smierc ma wiele twarzy...

Sellitto, wchodzac na powrot w role dobrego gliny, usmiechnal sie lekko do Jodiego.

- Byles przy tym, kiedy zabil tego agenta w piwnicy, prawda?

- Tak, bylem.

- Ten czlowiek mogl zyc. Brit Hale tez. Wielu ludzi moglo zyc... gdyby ktos nam pomogl powstrzymac tego gnoja kilka lat temu. Teraz ty masz taka szanse. Mozesz ocalic Percey i byc moze jeszcze kilkanascie innych osob. Tylko ty.

Tak dzialal geniusz Sellitta. Rhyme moglby bez skutku godzinami straszyc i probowac zmusic chudego wloczege do wspolpracy. Nigdy jednak nie przyszloby mu do glowy poruszyc resztki przyzwoitosci, jakie zostaly w tym smieciu, a ktore detektyw zdolal dojrzec.

Jodie w roztargnieniu kartkowal ksiazke brudnym kciukiem. Wreszcie uniosl wzrok i ze zdumiewajaca powaga rzekl:

- Kiedy go prowadzilem do siebie, na stacje metra, kilka razy pomyslam, czyby go nie wepchnac do rury kolektora kanalizacyjnego. Woda plynie tam bardzo szybko. Zmyloby go prosto do Hudson. Wiem tez, gdzie leza haki szynowe. Moglbym wziac jeden i walnac go w glowe, gdyby sie odwrocil. Naprawde o tym myslalem. Ale sie balem. - Podniosl ksiazke. - „Rozdzial trzeci. Sprobuj

stawic opor swoim demonom". Zawsze uciekalem. Nigdy nie probowalem niczemu sie przeciwstawic. Myslam, ze z nim mi sie uda, ale nie potrafilem.

Znow zaczal kartkowac sfatygowana ksiazke. Westchnal.

- Co mam zrobic?

Dellray wycelowal swoj niewiarygodnie dlugi kciuk w sufit. Byl to znak najwyzszej aprobaty.

- Za chwile do tego przejdziemy - powiedzial Rhyme, rozgladajac sie po pokoju. Nagle zawolal: - Thom! Thom! Chodz, potrzebuje cie!

Z kata wychynela przystojna, choc rozdrazniona twarz opiekuna.

- Tak?

- Czuje przyplyw proznosci - oznajmil dramatycznym tonem Rhyme.

- Czego?

- Proznosci. Przynies mi lustro.

- Chcesz lustro?

- Tak, duze. I prosze, uczesz mnie. Ciagle ci to powtarzam, a ty ciagle zapominasz.

Na plyte lotniska wjechala furgonetka Amer-Medu. Jesli nawet grupa gliniarzy uzbrojonych w bron maszynowa, ktora otaczala teren, zrobila wrazenie na dwoch odzianych na bialo pracownikach, wiozacych wart cwierc miliona dolarow ladunek ludzkich organow, nie dali tego po sobie poznac.

Wzdrygneli sie dopiero wowczas, gdy pojemniki zaczal obwachiwac King, owczarek niemiecki nalezacy do brygady pirotechnicznej, specjalista w odnajdywaniu materialow wybuchowych.

- Hm, dla psow watroba to watroba, a serce to serce - powiedzial z lekkim niepokojem jeden z dostawcow. - Zawsze to mieso.

Lecz King zachowywal sie jak stuprocentowy profesjonalista i przepuscil ladunek, nie probujac otworzyc zadnego z pojemnikow. Ludzie zanesli ladunek na poklad samolotu i zaladowali do chlodziarek. Percey wrocila do kabiny pilotow, gdzie Brad Torgeson, jasnowlosy mlodzieniec, ktory od czasu do czasu latal w Hudson Air, dokonywal rutynowej kontroli przed startem.

Oboje juz skonczyli przeglad maszyny, przy ktorym towarzyszyli im Bell, trzech funkcjonariuszy i King. Nie bylo mowy, by Trumniarz mogl sie dostac do samolotu, ale juz wiedzieli, ze morderca potrafi zmaterializowac sie w kazdej chwili; byl to chyba najbardziej drobiazgowy przeglad w historii lotnictwa.

Zajrzawszy do przedzialu pasazerskiego, Percey zobaczyla swiatelka chlodziarek. Zawsze czula

nieokreślona satysfakcja, kiedy zbudowana przez człowieka martwa maszyna ożywała. Dla Percey Clay dowodem na istnienie Boga było buczenie serwowatorów i unoszenie się w powietrzu lśniącego metalowego skrzydła w chwili, gdy płat tworzył u góry podciśnienie, a człowiek stawał się nieważki.

Kontynuując kontrole przedstartowe, Percey drgnęła na dźwięk ciężkiego dyszenia obok.

- O kurcze - powiedział Brad, gdy King uznał, że w jego kroczu nie ma materiałów wybuchowych i ruszył na dalszą kontrolę wewnątrz samolotu.

Niedawno z Percey rozmawiał Rhyme i powiedział, że sprawdzili z Sachs uszczelki i rurki - żadna nie pasowała do kawałków lateksu z lotniska w Chicago. Rhyme przypuszczał, że guma mogła służyć do uszczelnienia bomby, żeby psy nie wyczuli materiału wybuchowego. Kazał więc Percey i Bradowi zaczekać, podczas gdy technicy kilka razy przechodzili przez cały samolot z superczułymi mikrofonami, nasłuchując tykania detonatora zegarowego.

Maszyna była czysta.

Podczas kolowania samolotu pasa mieli strzec umundurowani policjanci. Fred Dellray porozumiał się z Federalnym Urzędem Lotnictwa, by lot był zastrzeżony - żeby Trumniarz nie dowiedział się, dokąd leca, gdyby nawet wiedział, że Percey siedzi za sterami. Agent skontaktował się też z biurami terenowymi FBI w każdym z miast, w których samolot miał lądować, i wydał dyspozycje, by podczas rozładunku na płycie lotniska czuwali agenci.

Odezwały się silniki. Brad siedział fotelu po prawej, a Roland Bell krecił się niespokojnie na jednym z dwóch pozostawionych w kabinie siedzeń pasażerskich. Percey Clay powiedziała do wieży:

- Lear sześć dziewięć pięć „Foxtrot Bravo” w Hudson Air. Gotów do kolowania.
- Zrozumiałem, dziewięć pięć „Foxtrot Bravo”. Zezwolenie na prawy pas zero dziewięć.
- Zero dziewięć, prawy, dziewięć pięć „Foxtrot Bravo”.

Lekkie dotknięcie dźwigni i zwinny samolot skrecił na pas, wolno sunąc w szarzącym świetle wczesnego wiosennego wieczoru. Prowadziła Percey. Drugiemu pilotowi wolno przejmować stery w powietrzu, lecz na ziemi samolotem może sterować tylko pierwszy.

- Jak się bawisz, detektywie? - zawołała Percey do Bella.

- Doskonale - odrzekł, patrząc z kwaśną miną przez okrągłe okno. - Można tu spojrzeć prosto w dół. Za dużo widac. Po co robia takie duże okna?

Percey rozesmiała się.

- Widzisz, w samolotach pasażerskich robia wszystko, żebyś się nie zorientował, że lecisz. Filmy, jedzenie, małe okienka. I jak tu się cieszyć z lotu? Po co to?

- Znalazlbym ze dwa powody - rzekl Bell, zujac energicznie gume. Zaslonil okno.

Percey nie odrywala oczu od pasa, spogladajac w lewo i w prawo, jak zwykle czujna.

- Zrobimy krotka odprawe, dobrze? - zwrocila sie do Brada.

- Tak jest.

- Start poziomy, kat ustawienia klap pietnascie stopni - powiedziala Percey. - Zwikszam ciag. Meldujesz predkosc wznoszenia, osiemdziesiat wezlow, potwierdzam, predkosc jeden, nos w gore, predkosc wznoszenia. Mowie ci, podwozie w gore i podnosisz je. Zapamietales?

- Predkosc wznoszenia, osiemdziesiat, predkosc jeden, w gore, predkosc dwa, utrzymac. Podwozie.

- Dobrze. Bedziesz kontrolowac wszystkie przyrzady i panel wskaznikow. Gdyby sie zapalila czerwona lampka albo przed predkoscia jeden nawalil ktorys z silnikow, powiedz glosno i wyraznie „Przerywamy” i wtedy zdecyduje - lecimy czy nie. Jesli cos takiego sie stanie po przekroczeniu predkosci jeden, nie przerywamy startu i traktujemy sytuacje jako awarie podczas lotu. Poprosisz o pozwolenie na niski lot i natychmiastowy powrot na lotnisko. Zrozumiano?

- Zrozumiano.

- Dobrze. No to lecimy... Roland, jestes gotowy?

- Ja tak. Mam nadzieje, ze wy tez. Tylko nie spatalasz.

Percey znow sie zasmiala. Tak samo mawiala ich gospodyni w Richmond.

Percey przesunela dzwignie. Silniki zazgrzytaly i learjet pomknal naprzod. Pokolowali do miejsca oczekiwania na start, dokladnie tam gdzie morderca podlozyl bombe w samolocie Eda. Wyjrzala przez okno i zobaczyla sylwetki dwoch gliniarzy.

- Lear dziewiec piec „Foxtrot Bravo” - odezwala sie w radiu kontrola naziemna. - Koluj na poczatek lewego pasa startowego piec.

- „Foxtrot Bravo”. Na poczatek zero piec.

Skierowala tam samolot.

Lear byl dosc niska maszyna, lecz kiedy Percey zajmowala fotel pilota, miala wrazenie, ze unosi sie mile nad ziemia. Czula ogrom swojej wladzy. To ona podejmowala wszystkie decyzje, ktore byly bezwarunkowo wykonywane. Na niej spoczywala cala odpowiedzialnosc. Byla kapitanem.

Spogladala na przyrzady.

- Klapy pietnascie - powiedziala, powtarzajac kat ustawienia.

- Kłapy pietnascie, jest pietnascie - jak echo powtorzył Brad.
- Lear dziewiec piec „Foxtrot Bravo”, przygotuj sie. Zezwolenie na start, lewy pas piec.
- Lewy pas piec, „Foxtrot Bravo”. Zezwolenie na start.

Brad konczyl kontrole przedstartowa.

- Cisnienie w kabinie w normie. Temperatura ustawiona automatycznie. Radar i swiatla zewnetrzne wlaczone. Zaplon, pitot i stroboskopy, u ciebie.

Percey zerknela na wskazniki.

- Zaplon, pitot i stroboskopy wlaczone.

Ustawila leara na poczatku pasa, wyprostowala przednie kolo i ulokowala sie dokladnie na linii srodkowej. Spojrzala na kompas.

- Wszystkie wskazniki w porzadku. Pas zero piec L. Zwikszam moc.

Nacisnela dzwignie sterowania silnika. Zaczeli pedzic srodkiem betonowego pasa. Poczula, ze Brad tez lapie dzwignie.

- Pelny ciag. - Potem Brad zawolal: - Jest predkosc wznoszenia.

Wskazniki predkosci drgnely i poczely piac sie coraz wyzej: dwadziescia wezlow, czterdziesci...

Silniki wyly pelna moca, samolot wystrzelil do przodu. Percey uslyszala ciche „Aj” z tylu i powstrzymala usmiech.

Piecdziesiat wezlow, szescdziesiat, siedemdziesiat...

- Osiemdziesiat wezlow - oznajmil Brad. - Sprawdz.

- Jest - zawolala, zerknawszy na predkosciomierz.

- Predkosc jeden - powiedzial Brad. - Nos w gore.

Percey zdjela prawa dlon z dzwigni i ujela wolant steru. Drgajacy do tej pory ster nagle zeszywnial pod wplywem oporu powietrza. Pociagnela go lekko, ustawiajac leara pod standardowym katem siedmiu i pol stopnia. Silniki dalej ryczaly spokojnie, wiec jeszcze troche pociagnela wolant, az samolot zadarl nos pod katem dziesieciu stopni.

- Wznoszenie - powiedzial Brad.

- Podwozie w gore. Kłapy w gore. Wlacz układ tłumienia drgan.

W sluchawkach odezwala sie kontrola naziemna.

- Lear dziewiec piec „Foxtrot Bravo”, kurs lewo dwa osiem zero. Polacz sie z kontrola odlotow.
- Dwa osiem zero, lear dziewiec piec „Foxtrot Bravo”. Dziekuje.
- Milego wieczoru.

Pociagnela wolant, jedenascie stopni, dwanascie, czternascie... na pare minut utrzymala ciag startowy troche wiekszy niz zwykle. Sluchala pokrzepiajacego szumu silnikow za soba.

Siedzac w srebrzystym samolocie, Percey Clay miala wrazenie, jakby leciala w sam srodek nieba, zostawiajac w dole wszystkich zbyt ciezkich i przygietych do ziemi. Zostawiala za soba smierc Eda i Brita, zostawiala nawet tego straszego czlowieka, diabla wcielonego, Tanczacego Trumniarza. Caly bol, lek i niepewnosc zostaly daleko w dole, a ona czula sie wolna. Niewykluczone, ze droga ucieczki od tego brzemienia nalezala do zbyt latwych, lecz dla Percey stanowila jedyny sposob. Bo Percey Clay siedzaca za sterami Leara N695FB nie byla niska dziewczyna o kwadratowej twarzy, ani dziewczyna majaca tylko jeden atut - fortune tatusia zbita na tytoniu. Znikala Malpia Geba, Pekinczyk czy Troll, niezgrabna brunetka nerwowo poprawiajaca rekawiczke na szkolnym balu, opierajaca sie na ramieniu purpurowego ze wstydu kuzyna, otoczona przez smukle blondynki, ktore czestowaly ja usmiechami, cieszac sie z gory na pozniejsze ploteczki.

Tamta Percey nie byla prawdziwa Percey Clay.

Ta byla prawdziwa.

Z tyłu dobiegl zduszony jek Rolanda Bella. Pewnie wyjrzal przez okno podczas niepokojacego przechylu samolotu.

- Kontrola odlotow Mamaroneck, lear dziewiec piec „Foxtrot Bravo” na dwuch tysiacach.
- Dobry wieczor, dziewiec piec „Foxtrot Bravo”. Wejdz na szesc tysiecy i utrzymuj pulap.

Przystapili do zrudnej pracy ustawiania systemu nawigacyjnego na czestotliwosc radiolatarni, dzieki ktorej mogli pomknac do Chicago prosto jak strzala.

Na szesciu tysiacach stop przebili sie przez warstwe chmur wprost w czyste niebo i zachod slonca, jakiego Percey nigdy jeszcze nie widziala. Wlasciwie nie obcowala zbyt blisko z natura i widok pieknego nieba nigdy jej nie nudzil. Przyszla jej do glowy jedna jedyna sentymentalna mysl - ze Ed powinien przed smiercia popatrzec na cos tak pieknego.

- Przejmij maszynie - powiedziala na dwudziestu jeden tysiacach.
- Tak jest - odparl Brad.
- Kawy?
- Z przyjemnoscia.

Percey poszła w głąb kabiny i nalala kawy do trzech kubków. Jeden podała Bradowi, a sama usiadła obok Rolanda, który ujął kubek trzesącymi się dłońmi.

- Jak się czujesz? - spytała go.

- Nie, wcale nie mam mdłości, tylko... - skrzywił się - zdenerwowałem się jak... - Poludniowcy znali pewnie tysiące porównań tego rodzaju, lecz tym razem elokwencja z Karoliny zawiodła. - Po prostu się zdenerwowałem - wyjaśnił.

- Popatrz - powiedziała, wskazując na okno.

Nachylił się i wyjrzał przez szybę. Obserwowała, jak na jego twarzy odmalowuje się zdumienie na widok olsniewającego zachodu.

Bell gwizdnął.

- No, no, popatrz tylko... Ale mieliście tempo przy starcie.

- To grzeczny ptaszek. Słyszales kiedyś o Brooke Knapp?

- Nie przypominam sobie.

- Bizneswoman z Kalifornii. Ustanowiła rekord świata, okrążając ziemię w Learze 35A - takim samym jak ten - w ciągu pięćdziesięciu godzin z kawalkiem. Pewnego dnia zamierzam pobić jej rekord.

- Nie wątpię. - Był już spokojniejszy. Przyglądał się przyrządom. - Chyba okropnie skomplikowana maszyna.

Pociągnęła łyk kawy.

- Jest taka sztuczka, o której nikomu nie mówimy. Tajemnica zawodowa. Wszystko jest o wiele prostsze, niż ci się wydaje.

- Co to za sztuczka? - spytał z niecierpliwością.

- Popatrz przez okno. Widzisz te kolorowe światełka na końcach skrzydeł?

Niechętnie wyjrzał.

- No, widzę.

- Na ogonie też jest takie.

- Aha. Widziałem, pamiętam.

- Całe nasze zadanie polega na tym, żeby utrzymać samolot między tymi światełkami. Wtedy

wszystko jest w porządku.

- Miedzy tymi... - Dopiero po chwili zrozumiał żart. Przez minute przyglądał się jej kamiennej twarzy, a potem lekko się uśmiechnął.

- Dużo ludzi na to nabralas?

- Paru.

Lecz żart wcale go nie rozbawił. Wciąż wpatrywał się w podłogę. Po dłuższym milczeniu Percey odezwała się:

- Brit Hale mógł się nie zgodzić, Roland. Wiedział, jakie jest ryzyko.

- Nie, nie mógł - odrzekł Bell. - Godził się na wszystko, ale nie bardzo wiedział, co się dzieje. Powinienem się domyslić po tych wozach strażackich. Powinienem się domyslić, że morderca wiedział, gdzie są wasze pokoje. Mogłem was umieścić w piwnicy czy gdzie indziej. I mogłem lepiej strzelać.

Bell był tak przygnębiony, że Percey nie wiedziała, co powiedzieć. Położyła swoją zylastą dłoń na jego przedramieniu. Wydawał się szczupły, ale poczuła twarde mięśnie.

Zasmiał się cicho.

- Wiesz co?

- Co?

- Pierwszy raz, odkąd cie poznałem, wyglądasz mniej więcej na spokojną.

- To jedyne miejsce, gdzie czuje się jak u siebie - odparła.

- Lecimy dwieście mil na godzinę, dwieście mil nad ziemią, a ty się czujesz bezpieczna. - Bell westchnął.

- Nie, lecimy czterysta mil na godzinę, czteryście mil nad ziemią.

- A... Dzięki za informacje.

- Piloci mawiają - rzekła Percey - że święty Piotr nie liczy godzin spędzonych w powietrzu, a godziny spędzone na ziemi liczy podwójnie.

- Bardzo śmieszne - powiedział Bell. - Mój wujek też mówił coś takiego. Tylko że wspominał coś o chodzeniu na ryby. Nie obraż się, ale wolę jego wersję.

Rozdział trzydziesty pierwszy

45 godzin - godzina trzydziesta trzecia

Robaki...

Spocony Stephen Kall stał w obskurnej łazience na zapleczu kubansko-chińskiej restauracji.

Szorował dłonie, by zbawić dusze.

Robaki wzerały się w skóre, klebiły, szarpaly...

Zmyć je... Zmyć je!!!

Zolnierzu...

Melduje, że jestem zajety.

Zol...

Szoruj, szoruj, szoruj.

Lincoln Robak mnie szuka.

Wszędzie, gdzie patrzy Lincoln Robak, pojawiają się robaki.

Precz!!!

Szczotka migala tam i z powrotem, aż skorki wokół paznokci zaczęły krwawić.

Zolnierzu, ta krew może być dowodem. Nie wolno ci...

Precz!!!

Wytarł ręce, a potem złapał futerał po gitarze i torbę i zawrócił do sali restauracyjnej.

Zolnierzu, rekawiczki...

Zaniepokojeni goscie przygladali sie jego zakrwawionym dloniom i nieprzytomnej minie.

- Robaki - wyjasnil calej restauracji. - Pieprzone robaki - po czym wypadl na ulice.

Biegnac chodnikiem, powoli sie uspokajal. Myslal o tym, co musi zrobic. Oczywiscie zabic Jodiego. Musi go zabic, musi zabic, musi... Nie dlatego, ze zdradzil, ale ze wyjawil tyle informacji o nim...

Po co to robisz, zolnierzu?

...temu czlowiekowi. I musi zabic Lincolna Robaka, bo... bo robaki go wykoncza, jesli tego nie zrobi.

Musze zabic, musze zabic, musze...

Sluchasz mnie, zolnierzu? Sluchasz?

Tylko tyle trzeba zrobic.

Potem wyjedzie z tego miasta. Z powrotem do Wirginii Zachodniej. Na wzgorza.

Lincoln, trup.

Jodie, trup.

Musze zabic, musze, musze, musze...

Nic wiecej go tu nie zatrzyma.

A Zona - spojrzal na zegarek. Minela wlasnie siodma. Powinna juz nie zyc.

- Kuloodporna.

- Ale czy odporna na te kule? - spytal Jodie. - Mowiliscie, ze one eksploduja!

Dellray zapewnil go, ze kamizelka wytrzyma. Skladala sie z grubej warstwy kevlaru i stalowej plyty pod spodem. Wazyla czterdzieci dwa funty. Rhyme nie znal zadnego gliniarza w miescie, który kiedykolwiek nosil taki pancierz.

- A jak strzeli mi w glowe?

- O wiele bardziej zalezy mu na mojej glowie - powiedzial Rhyme.

- Skad bedzie wiedzial, ze tu jestem?

- A jak myslisz, durniu? - warknal Dellray. - Powiem mu.

Agent docisnal paski kamizelki na drobnym cieple Jodiego i rzucil mu kurtke. Mimo protestow bezdomny zostal wykapany i przebrany w czyste ubranie. Duza granatowa kurtka zakrywajaca kamizelke kuloodporna lezala troche krzywo, ale nadawala mu wyglad muskularnego mezczyzny. Jodie przejrzal sie w lustrze i na widok swego nowego ja - wyszorowanego i wystrojonego - usmiechnal sie po raz pierwszy, odkad tu trafil.

- Dobra - powiedzial Sellitto do dwoch tajniakow. - Zabierajcie go do miasta.

Gliniarze wyprowadzili Jodiego z domu.

Dellray spojrzal na Rhyme'a, ktory nieznacznie skinal glowa. Wysoki Murzyn westchnal, siegnal po swoj telefon i zadzwonil do biura Hudson Air Charters, gdzie przy telefonie dyzurowal inny agent. Grupa techniczna FBI w jednej ze skrzynek przekaznikowych niedaleko lotniska znalazla urzadzenie podsłuchowe podlaczone do linii Hudson Air. Jednak agenci nie usuneli podsłuchu; Rhyme nalegal, zeby tylko sprawdzili, czy dziala i wymienili baterie. Chcial wykorzystac urzadzenie do nowej zasadzki.

W glosniku zabrzmialo kilka dzwonkow, potem trzask.

- Agent Mondale - odezwal sie gleboki glos. Nie byl to zaden Mondale, a rozmowa przebiegala wedlug ulozonego wczesniej scenariusza.

- Mondale - rzekl Dellray z akcentem urodzonego w Connecticut wlasciciela ziemskiego o skorze bialej jak lilia. - Tu agent Wilson, jestesmy u Lincolna. (Nie „u Rhyme'a". Trumniarz znal go jako „Lincolna").

- Jak tam lotnisko?

- Ciagle zabezpieczone.

- To dobrze. Sluchaj, mam pytanie. Pracuje z nami tajny informator, Joe D'Oforio.

- To ten sam, ktory...

- Zgadza sie.

- Pracujesz z nim?

- Tak - odrzekl Wilson alias Fred Dellray. - Troche mulowaty, ale chetnie wspolpracuje. Musimy go odstawic do jego nory i z powrotem.

- Z powrotem, czyli dokad? Do Lincolna?

- Zgadza sie. Facet chce zabrac jakies swoje rzeczy. Z tamtej starej stacji metra... W kazdym razie nie chcemy organizowac konwoju. Wystarczy jeden woz. Dzwonie, bo potrzebujemy dobrego kierowcy. Miales kiedys takiego niezlego faceta, nie?

- Kierowce?

- No, przy sprawie Gambino?

- A, tak... Niech pomysle.

Obaj świetnie odgrywali swoje role. Rhyme jak zwykle był pod wrażeniem zdolności aktorskich Dellraya. Facet był, kim chciał.

Agent „Mondale” - który zasługiwał na Oscara za rolę drugoplanową - powiedział:

- Przypomniałem sobie. Tony Glidden. Nie, Tommy. Taki blondyn, zgadza się?

- To ten. Chciałbym, żeby on jechał. Można go gdzieś złapać?

- Nie. Jest w Filadelfii. Wiesz, ta akcja z kupowaniem kradzionych aut.

- W Filadelfii. Niedobrze. Wyjeżdżamy za dwadzieścia minut. Dłużej nie możemy czekać. No dobra, sam pojedzie. Ale Tommy...

- Umiał skurczybyk jeździć, nie? Potrafił zgubić ogon między dwoma skrzyżowaniami. Niesamowity gość.

- Szkoda, że go nie ma. No nic, dzięki, Mondale.

- Na razie.

Rhyme mrugnął, co było u niego dowodem najwyższego uznania. Dellray wyłączył telefon i głęboko odetchnął.

- Zobaczymy, zobaczymy.

Sellitto optymistycznie zauważył:

- Trzeci raz zarzucamy przynęte. Powinien wreszcie złapać.

Lincoln Rhyme nie wierzył, że zasada „do trzech razy sztuka” działa w przypadku Trumniarza, ale powiedział:

- Miejmy nadzieję.

Siedząc w ukradzionym samochodzie, Stephen Kall obserwował służbowy wóz, który zatrzymał się niedaleko stacji Jodiego.

Wysiedli z niego Jodie i dwóch umundurowanych gliniarzy, którzy badawczo przyglądali się okolicznym dachom. Jodie wpadł do metra i pięć minut później biegiem wrócił do samochodu z dwoma zawiniatkami pod pachą.

Stephen nie widział żadnej obstawy, żadnego samochodu z tyłu. Wóz z Jodiem włączył się do ruchu, a Stephen ruszył za nim, myśląc, że nie ma lepszego miejsca niż Manhattan, by śledzić kogoś i nie zostać zauważonym. Na pewno nie udaloby się to w Iowa albo Wirginii.

Nieoznakowany samochód przed nim jechał dość szybko, lecz Stephen też był niezłym kierowcą i nie tracił ich z oczu. Wóz zwolnił, kiedy znaleźli się w zachodniej części Central Parku i mineli dom przy Siedemdziesiątej Ktores. Przed frontem stali dwaj ludzie w cywilu, ale na pewno byli glinami. Wymienili znak - zapewne „wszystko w porządku” - z kierowcą samochodu.

A więc to tutaj. Dom Lincolna Robaka.

Samochód pojechał dalej na północ. Stephen pokonał jeszcze pewien dystans, a potem gwałtownie zatrzymał się i wysiadł. Wziął pudło po gitarze i wbiegł między drzewa. Wiedział, że wokół mieszkania będą krążyć ludzie z rozpoznania, więc poruszał się dość szybko.

Jak jelen, żołnierzu.

Tak jest.

Zniknął w wysokich krzewach i poczuł się z powrotem w stronę domu. Znalazł sobie doskonałe stanowisko na kamiennym stopniu pod obsypanym paczkami bżem. Otworzył futerał. Samochód, w którym siedział Jodie, jechał teraz w kierunku południowym i nieoczekiwanie z piskiem opon zatrzymał się pod domniemanym domem Lincolna. Typowe gubienie ogona - zawrócił w gestym ruchu i podjechał pod dom z drugiej strony.

Przyglądał się, jak dwaj gliniarze wysiadają, rozglądają się i ruszają chodnikiem, eskortując przestraszonego Jodiego.

Stephen zdjął osłonę lunety i ostrożnie ustawił celownik na plecach zdrajcy.

Nagle przed domem przemknął jakiś czarny samochód i przeraził Jodiego. Włoczęga otworzył szeroko oczy, wyrwał się gliniarzom i wbiegł w alejkę biegnącą wzdłuż domu.

Eskorta odwróciła się na pięcie z dłońmi na pistoletach, patrząc za samochodem, którego tak przestraszył się bezdomny. Policjanci zobaczyli, że w środku siedzą cztery latynoskie dziewczyny, więc uznali, że to fałszywy alarm. Wybuchnęli śmiechem. Jeden z nich zawołał Jodiego.

Ale Stephen w tej chwili nie interesował chudy włoczęga. Nie mógł zlikwidować i Robaka, i Jodiego, a teraz musiał zabić Lincolna. Czuł smak tego pragnienia. Dojmującego jak głód, jak chęć wyszorowania rak.

Strzelić do twarzy w oknie, zabić Robaka.

Musze, musze, musze...

Przez celownik obserwował okna budynku. I nagle - jest. Lincoln Robak!

Przez całe ciało Stephena przebiegł dreszcz.

Jak elektryczny prąd, który poczuł, dotknawszy nogi Jodiego... tylko że tysiąc razy mocniejszy. Stephen wstrzymał oddech.

Wcale się nie zdziwił, że Robak jest kaleką. Właściwie od razu się domyślił, że ten przystojny mężczyzna siedzący w wyposażonym w silnik wózku inwalidzkim musi być Lincolnem. Stephen wiedział, że wytropić mógł go jedynie ktoś wyjątkowy. Ktoś, kogo zbytnio nie obchodziła codzienność. Dla kogo najważniejszy jest umysł.

Robaki mogły oblażyć Lincolna cały dzień i nawet by tego nie poczuł. Mogłyby wpełznąć mu pod skórę i nic by o tym nie wiedział. Był odporny. Za tę niewrażliwość Stephen nienawidził go jeszcze bardziej.

A więc twarz w oknie podczas akcji w Alexandrii... nie należała do Lincolna.

Może jednak należała?

Przestan o tym myśleć! Przestan! Inaczej robaki cie wykończą.

W magazynku były pociski rozpryskowe. Załadował jeden i ponownie obejrzał pokój.

Lincoln Robak z kims rozmawiał. Stephen nie widział osoby. Pokój wyglądał na jakieś laboratorium - zobaczył komputer i różne urządzenia.

Stephen owinał pas dookoła reki i przywarł policzkiem do kolby. Nastal chłodny, wilgotny wieczór. Powietrze było ciężkie; z łatwością mogło utrzymać pocisk. Nie trzeba nawet korygować; cel w odległości zaledwie osiemdziesięciu jardów. Odbezpieczyć, oddychać, oddychać...

Strzał w głowę. Stąd będzie łatwo.

Oddychać...

Wdech, wydech, wdech, wydech.

Skupił nitki celownika na uchu Lincolna Robaka, który patrzył w ekran monitora.

Palec zaczął wolniutko naciskać spust.

Oddychać. To jak seks, jak szczytowanie, jak dotknięcie napiętej skóry...

Mocniej.

Mocniej.

Nagle Stephen coś dostrzegł.

Niewyraźnie - drobna nierówność na rękawie Lincolna Robaka. Ale to nie była fałdka. To było zniekształcenie.

Rozluźnił palec wskazujący i przez chwilę uważnie przyglądał się temu obrazowi przez lunetę. Stephen zwiększył rozdzielczość celownika Redfield. Spojrzał na litery na monitorze komputera. Były odwrócone.

Lustro! Patrzył w lustro.

Następna pułapka!

Stephen zamknął oczy. Mało brakowało, żeby zdradził swoje stanowisko. Skulił się; robaki go dusiły, dławili się nimi. Rozejrzał się ostrożnie. Wiedział, że w parku musi być kilkunastu ludzi z czułymi mikrofonami, czekających, aż padnie strzał, żeby go natychmiast zlokalizować. Namierza go celownikami M-16 i roznieś ogień krzyżowym.

Nie będzie mowy o kapitulacji. Zabija go, bo taki mają rozkaz.

Szybko, lecz bezszelestnie drżącymi rękami zdjął lunetę i razem z bronią odłożył do futerału po gitarze. Powstrzymywał mdłości.

Zołnierzu...

Melduje, że nie mogę wypełnić rozkazu.

Zołnierzu, coś ty...

Kurwa, nie mogę wypełnić rozkazu!

Stephen przemknął między drzewami na ścieżce, która okrążyła lake, i wolnym krokiem skierował się na wschód.

O, tak, teraz jeszcze bardziej był pewien, że musi zabić Lincolna. Musi opracować nowy plan. Potrzebował godziny albo dwóch, żeby pomyśleć, żeby się zastanowić, co zrobić.

Nagle zszedł ze ścieżki i przystanął w krzakach, nasłuchując i rozglądając się wokół. Bali się, żeby nie nabral podejrzeń, gdyby park był pusty, zostawili więc otwarte wejścia.

To był błąd.

Stephen ujrzał grupkę mężczyzn w swoim wieku - japiszonów, sadzących z wyglądu - ubranych w dresy i bluzy do joggingu. Mieli pokrowce z rakietami do squasha i plecaki, a szli w stronę East Side, rozmawiając głośno. Ich włosy lśniły po prysznicu, jakby zapewne wzięli przed chwilą w niedalekim klubie sportowym.

Stephen zaczął, aż go mina, po czym dołączył na koniec grupki, jak gdyby do niej należał. Jednemu z młodych ludzi posłał szeroki uśmiech. Razno wymachując futerałem gitary, szedł za nimi

w kierunku tunelu prowadzącego do East Side.

Rozdział trzydziesty drugi

45 godzin - godzina trzydziesta czwarta

Otoczył ich zmierzch.

Percey Clay, znów siedząc w lewym fotelu learjeta, zobaczyła przed sobą małe światełka - Chicago.

Centrum lotów Chicago dało im pozwolenie zejścia na dwanaście tysięcy stop.

- Zaczynamy schodzić - oznajmiła, zmniejszając moc silników. - System lotniska.

Brad przełączył radio na automatyczny system informacyjny lotniska i głośno powtarzał wszystko, co mówił nagrany na taśmie głos.

- Tu Chicago. Wiatr dwa pięć zero na trzech. Temperatura pięćdziesiąt dziewięć stopni. Ciśnienie trzydziści koma jedenastę.

Brad ustawił wysokościomierz, a Percey powiedziała do mikrofonu:

- Chicago, kontrola lądowania, tu lear dziewięć pięć „Foxtrot Bravo”, na dwunastu tysiącach. Kurs dwadzieścia osiemdziesiąt.

- Dobry wieczór, „Foxtrot Bravo”. Zejdź na dziesięć tysięcy. Czekać na kurs na pas dwadzieścia siedem, prawo.

- Zrozumiałam. Zejdź na dziesięć. Kurs dwadzieścia siedem, prawo. Dziewięć pięć „Foxtrot Bravo”.

Percey nie chciała spojrzeć w dół. Gdzieś pod nimi był grób jej męża i jego samolotu. Nie wiedziała, czy kontrola O'Hare skierowała go na pas dwudziesty siódmy, ale było to wielce prawdopodobne. Jeśli tak, to schodziła tym samym korytarzem, który był ostatnią drogą Eda.

Moze wlasnie stad do niej zadzwonil...

Nie! Nie mysl o tym, rozkazala sobie. Lecisz samolotem, o nim mysl.

Cichym, spokojnym glosem powiedziala:

- Brad, schodzimy z widocznościa ziemi na prawy pas dwadziescia siedem. Kontroluj podchodzenie i powtarzaj wszystkie ustalone wysokosci. Kiedy juz bedziemy na prostej, kontroluj predkosc lotu, wysokosc i predkosc opadania. Gdybysmy schodzili szybciej niz tysiac stop na minute, powiedz mi. Zwrot przy dziewiecdziesieciu dwoch procentach.

- Zrozumialem.

- Klapy dziesiec stopni.

- Klapy dziesiec stopni, jest dziesiec stopni.

- Lear dziewiec piec „Foxtrot Bravo”, skrec w lewo, kurs dwiescie czterdziesci, zejdz i utrzymuj cztery tysiace - odezwal sie glos w radiu.

- Dziewiec piec „Foxtrot Bravo” z dziesieciu na cztery. Kurs dwiescie czterdziesci.

Pociagnela lekko dzwignie i samolot troche sie uspokoil, huk silnikow przycichl. Percey uslyszala szum powietrza jak szelest wiatru wpadajacego przez okno w nocy i poruszajacego przescieradla.

Zawolala do Bella:

- Zaraz przezyjesz pierwsze ladowanie learem. Zobaczymy, czy umiem go tak posadzić, zebys nie uронil ani kropli kawy.

- Wystarczy, ze przezyje - powiedzial Bell i zacisnal pas tak mocno, jak gdyby przypinal sie do bungee.

- Nic, Lincoln.

Zdegustowany Rhyme zamknal oczy.

- Nie wierze. Po prostu w to nie wierze.

- Nie ma go. Byl, to niemal pewne. Ale mikrofony nie wylowily zadnego dzwieku.

Rhyme zerknal na duze lustro, ktore kazal Thomowi ustawic po drugiej stronie pokoju. Spodziewali sie, ze roztrzaskaja je kule rozpryskowe. Central Park klebil sie od ludzi Haumanna i Dellraya czekajacych na odglos strzalu.

- Gdzie Jodie? - spytal Rhyme.

Dellray prychnal pogardliwie.

- Chowa sie w alejce. Zobaczył jakiś samochód i się spłoszył.

- Jaki samochód?

Agent rozesmiał się.

- Jeżeli to był Trumniarz, to udało mu się zmienić w cztery pulchne Portorykanki. Gnojek powiedział, że nie wyjdzie, dopóki ktoś nie wyłączy latarni przed domem.

- Zostaw go. Zmarznie, to wróci.

- Albo wróci po pieniądze - przypomniała Sachs.

Rhyme spojrzał na nią spodobał. Czuł gorycz zawodu, że i tym razem sztuczka się nie udała.

Czy to on popełnił błąd? A może Trumniarz miał jakiś osobliwy instynkt? Szosty zmysł? Sama myśl o tym była odstreczająca dla Rhyme'a jako naukowca, lecz nie mógł tego wykluczyć. W końcu nawet departament nowojorski od czasu do czasu korzystał z usług mediów.

Sachs ruszyła w stronę okna.

- Nie podchodź - powiedział Rhyme. - Ciągle nie mamy pewności, czy uciekł. - Sellitto zaciągnął zasłony, trzymając się z dala od szyb.

Dziwne, ale brak pewności, gdzie dokładnie jest Trumniarz, był straszniejszy niż świadomość, że celuje do nich z odległości dwudziestu stop.

Zadzwoił telefon Coopera. Technik odebrał.

- Lincoln, to pirotechnicy z FBI. Pogrzebali w archiwum materiałów wybuchowych i twierdzą, że być może namierzyli te kawałki lateksu.

- Co mówią?

Cooper przez chwilę słuchał agenta.

- Nie zidentyfikowali konkretnego typu gumy, ale niewykluczone, że to może być materiał z detonatora wysokościowego. Jego częścią jest balon z lateksu wypełniony powietrzem. Gdy samolot nabiera wysokości, balon powiększa się pod wpływem niższego ciśnienia na dużej wysokości i w pewnym momencie naciska na włącznik w sciance bomby. Wtedy następuje eksplozja.

- Ale ta bomba miała detonator zegarowy.

- Mówili tylko o tym lateksie.

Rhyme patrzył na plastikowe torebki ze składnikami bomby. Gdy jego wzrok spoczał na zegarze, pomyślał: Dlaczego jest nienaruszony?

Bo był zamontowany za stalową osłoną.

Ale Trumniarz mógł go zamontować gdziekolwiek, choćby wcisnąć w sam materiał wybuchowy i wtedy nic by po nim nie zostało. Pozostawienie zegara w całości w pierwszej chwili mogło się wydawać nieostrożnością. Lecz teraz zaczął się nad tym zastanawiać.

- Powiedz mi, że samolot eksplodował, kiedy podchodził do lądowania - rzekła Sachs.

Cooper przekazał agentowi te uwagi. Po chwili powiedział:

- Mówi, że to może być różnica konstrukcyjna. Kiedy samolot się wznosi, balon odbezpiecza zapalnik, a podczas schodzenia balon kurczy się i zamyka obwód.

- Zegar to błąd - szepnął Rhyme. - Zamontował go za stalową osłoną, żeby nie uległ zniszczeniu. Żebyśmy pomyśleli, że to bomba zegarowa, a nie wysokościowa. Jak wysoko był samolot Carneya w momencie wybuchu?

Sellitto przewertował raport.

- Schodził z pięciu tysięcy stop.

- Czyli bomba była uzbrojona od chwili, gdy weszli na pięć tysięcy nad Mamaroneck, i wybuchła, kiedy zeszli poniżej tego poziomu nad Chicago - rzekł Rhyme.

- Dlaczego podczas zejścia? - zapytał detektyw.

- Żeby samolot był daleko? - podsunęła Sachs.

- Zgadza się - odparł Rhyme. - Żeby Trumniarz zdążył uciec z lotniska przed wybuchem.

- Ale po co chciał, żebyśmy myśleli, że to taki, a nie inny typ bomby? - zapytał Sellitto.

Rhyme zobaczył, że Sachs domyśliła się w tej samej chwili co on.

- O, nie! - krzyknęła.

Sellitto nadal nie rozumiał.

- Co?

- Bo w samolocie Percey oddział saperów szukał bomby zegarowej - powiedziała. - Nasłuchiwali tykania.

- Czyli - wykrztusił Rhyme - Percey i Bell też mają na pokładzie bombę wysokościową.

- Predkosc schodzenia tysiac dwiescie stop na minute - oznajmil Brad.

Percey pociagnela lekko wolant steru, zwalniajac opadanie. Zeszli juz na piec i pol tysiaca stop.

Wtedy uslyszala ten dzwiek.

Dziwne cwierkanie. Nigdy nie slyszala takiego odglosu w learze 35A. Przypominal jakis brzeciuk ostrzegawczy, ale dosc daleki. Percey zerknela na wskazniki, lecz nie zobaczyła zadnej czerwonej lampki.

- Piec tysiecy trzysta stop - powiedzial Brad. - Co to za halas?

Nagle dzwiek ustal.

Percey wzruszyła ramionami.

Chwile pozniej uslyszala obok siebie krzyk:

- W gore! Ciagnij go w gore! Natychmiast!

Poczula na policzku goracy oddech Rolanda Bella, ktory kucnal obok jej fotela, wymachujac telefonem komorkowym.

- Co?

- Mamy bombe na pokladzie! Wysokosciowa. Wybuchnie, jesli bedziemy na wysokosci pieciu tysiecy stop.

- Ale jestesmy nad...

- Wiem! Ciagnij w gore! W gore!

- Ciag dziewiecdziesiat osiem procent! - krzyknela Percey. - Podaj wysokosc.

Bez chwili wahania Brad pchnal dzwignie ciagu. Percey obrocila leara o dziesiec stopni. Bell polecial do tyłu i wyladowal z hukiem na podlodze.

- Piec tysiecy dwie, piec sto piecdziesiat - mowil Brad - ...piec dwiescie, piec trzysta, piec czterysta... piec osiemset. Szesc tysiecy stop.

W ciagu lat spedzonych w powietrzu Percey Clay nigdy nie oglosila alarmu. Raz tylko zglosila sytuacje awaryjna, kiedy pechowe stado pelikanow postanowilo popelnic samobojstwo w silniku numer dwa, blokujac na dodatek pilota. Teraz jednak, po raz pierwszy powiedziala:

- SOS, SOS, lear szesc dziewiecdziesiat „Foxtrot Bravo”.

- Mow, „Foxtrot Bravo”.

- Kontrola, zawiadamiam, że mamy zgłoszenie o bombie na pokładzie. Proszę o natychmiastową zgodę na wejście na dziesięć tysięcy stop i przejście w tryb oczekiwania nad obszarem niezamieszkanym.

- Zrozumiałem, dziewięć pięć „Foxtrot Bravo” - powiedział spokojnie kontroler. - Utrzymuj obecny kurs dwięście czterdzieści. Zezwolenie na dziesięć tysięcy stop. Podamy odpowiednie kursy innym samolotom... Zmieni kod na siedem siedem zero zero i skrzecz.

Brad spojrział niepewnie na Percey, ustawiając w transponderze kod, który automatycznie wysyłał sygnał ostrzegawczy do wszystkich urządzeń radarowych w pobliżu, że „Foxtrot Bravo” ma kłopoty. Skrzeczenie polegało na wysyłaniu sygnału z transpondera, by wszyscy w kontroli lotów i innych samolotach dokładnie wiedzieli, który punkt na ekranie radaru oznacza leara.

Percey usłyszała, jak Bell mówi do telefonu:

- Poza mną i Percey do samolotu zbliżał się tylko Ron Talbot, dyrektor firmy. Wiesz, nic do niego nie mam, ale moi chłopcy albo ja nie spuszczałem z niego oka, kiedy pracował. Cały czas ktoś zaglądał mi przez ramię. Aha, przyjechał jeszcze ten człowiek z częściami. Z firmy dystrybucyjnej w Greenwich. Ale go sprawdziłem, był w porządku. Wziąłem od niego nawet numer do domu i rozmawiałem z jego żoną, żeby potwierdzić tożsamość. - Bell słuchał przez chwilę, po czym wyłączył telefon. - Odezwa się.

Percey spojrziała na Brada, potem na Bella i wróciła do pilotowania samolotu.

- Paliwo? - spytała drugiego pilota. - Na ile wystarczy?

- Jesteśmy poniżej normy. Mielismy dobry wiatr. - Obliczył szybko. - Zostało na sto pięć minut lotu.

Dziękowała Bogu albo losowi, albo własnej intuicji, że postanowiła nie tankować w Chicago, ale nalatć tyle, żeby starczyło do Saint Louis, plus wymagana nadwyżka na dodatkowe czterdzieści pięć minut lotu.

Znow zadzwonił telefon Bella.

Słuchał, potem westchnął i spytał Percey:

- Ta sama firma dostarczyła butle gasnicza?

- Cholera, włożył to do gasnicy? - spytała z goryczą.

- Na to wygląda. Samochód dostawczy złapał gumę zaraz po wyjeździe z magazynu. Kierowca zmieniał koło przez jakieś dwadzieścia minut. Gliniarz z Connecticut właśnie znalazł coś, co przypomina pianę z gasnicy śniegowej; w krzakach przy drodze niedaleko miejsca, gdzie to się zdarzyło.

- Niech to szlag! - Percey odruchowo spojrziała w kierunku silnika. - I sama zainstalowałam to

cholerstwo.

- Rhyme pyta o temperature - rzekl Bell. - Czy pod wplywem ciepla bomba nie wybuchnie?
- Niektore czesci silnika sa gorace, inne nie. Przy gasnicy nie jest az tak goraco.

Bell przekazal informacje Rhyme'owi, po czym powiedzial:

- Chce z toba porozmawiac.

Chwile pozniej Percey uslyszala w radiu odglos laczenia z telefonem.

Odezwal sie Lincoln Rhyme.

- Percey, slyszysz mnie?
- Glosno i wyraznie. Kutas wykrecil nam numer, co?
- Na to wyglada. Jak dlugo mozecie jeszcze leciec?
- Godzine czterdziesti piec minut. Mniej wiecej.
- Dobra. - Po chwili milczenia Rhyme zapytal: - Mozesz sie jakos dostac do silnika od wewnatrz?
- Nie.

Znow cisza.

- A moglabys odlaczyc caly silnik? Odkrecic, czy cos? Zeby odpadl?
- Od wewnatrz nie.
- Nie ma sposobu, zeby zatankowala w powietrzu?
- Zatankowac? Tego samolotu nie.
- A moglabys wzniesc sie na tyle, zeby zamrozic mechanizm bomby? - spytal Rhyme.

Zdumialo ja tempo jego mysli. Zaden z tych pomyslow jej nie przyszedlby do glowy.

- Byc moze. Ale nawet przy awaryjnym schodzeniu - mowie o locie nurkujacym - wyladowalibysmy dopiero po osmiu, dziewieciu minutach. Nie sadze, zeby czesci bomby mogly byc tak dlugo zamrozone. Poza tym taka predkosc rozerwalaby nas na kawalki.
- Dobra, a gdybyscie zostawili samolot i skoczyli ze spadochronami? - ciagnal Rhyme.

W pierwszym odruchu pomyslala, ze nigdy by nie porzucila swojego samolotu. Lecz realistyczna odpowiedz - a taka dala Rhyme'owi - byla taka, ze zwazywszy na predkosc leara 35A i uklad drzwi,

skrzydel i silnikow, raczej nikt by nie przezył skoku z samolotu.

Rhyme znów na chwile zamilkł. Brad przelknął slinę i otarł dłonie w nienagannie wyprasowane spodnie.

- Kurcze.

Roland Bell kiwał się w przód i w tył.

Beznadzieja, myślała, wpatrując się w zapadający zmierzch.

- Lincoln? - odezwała się Percey. - Jesteś tam?

Usłyszała jego głos. Wolął do kogoś w laboratorium - albo w sypialni. Rozdrażnionym tonem mówił:

- Nie te mapy. Wiesz, o która mi chodzi. Po co mi ta? Nie, nie...

Cisza.

Och, Ed, pomyślała Percey. Nasze życie zawsze biegło tym samym torem. Może nasza śmierć też będzie podobna. Najbardziej jednak martwiła się o Rolanda Bella. Nie mogła znieść myśli, że mogłby osierocić dzieci.

Usłyszała, jak Rhyme pyta:

- Jak daleko możesz dolecieć na paliwie, które ci zostało?

- Przy najbardziej ekonomicznym ciągu... - Spojrzała na Brada, który stukał w klawisze kalkulatora.

- Jeśli nabierzemy wysokości, powiedzmy, osiemset mil.

- Mam pomysł - rzekł Rhyme. - Czy moglibyście polecieć do Denver?

Rozdział trzydziesty trzeci

45 godzin - godzina trzydziesta szosta

- Lotnisko jest położone na wysokości pięciu tysięcy stu osiemdziesięciu stop - powiedział Brad, wertując „Przewodnik lotniczy Denver”. - Na podobnej wysokości byliśmy nad Chicago i bomba nie wybuchła.

- Ile jest do Denver? - spytała Percey.

- Od punktu, w którym teraz jesteśmy, dziewięćset dwie mile.

Percey zastanawiała się tylko kilka sekund. Skinęła głową.

- Dobra, spróbujemy. Podaj mi kurs obliczeniowy, dopóki nie dostaniemy częstotliwości radiolatarni. - Potem powiedziała do radia: - Będziemy próbować, Lincoln. Powinno wystarczyć paliwa, dojedziemy do samej kreski. Mamy sporo roboty. Odezwe się później.

- Będziemy czekać.

Brad wpatrywał się w mapę, po czym zajrzał do rejestru lotu.

- Kurs lewo dwieście sześćdziesiąt sześć.

- Dwa sześć sześć - powtórzyła. - Centrum Chicago - powiedziała do kontroli lotów. - Dziewięć pięć „Foxtrot Bravo”. Bierzemy kurs na międzynarodowe lotnisko Denver. Przypuszczalnie... mamy na pokładzie bombę wysokościową. Musimy siąść na terenie położonym na wysokości pięciu tysięcy stop albo nawet wyżej. Prośba o natychmiastowe podanie częstotliwości radiolatarni na Denver.

- Zrozumiałem, „Foxtrot Bravo”. Podamy za minutę.

- Proszę podać warunki pogodowe na trasie, Centrum Chicago - rzekł Brad.

- Nad Denver przechodzi teraz front wysokiego ciśnienia. Przeciwny wiatr na dziesięciu tysiącach

waha sie od pietnastu do czterdziestu, miejscami wzrasta do szescdziesieciu, siedemdziesieciu na dwudziestu pieciu tysiacach.

- Cholera - mruknal Brad i wrocil do swoich obliczen. - Paliwo wyczerpie sie piecdziesiat piec mil przed Denver.

- Nie mozecie wyladowac na autostradzie? - spytal Bell.

- Tylko jako wielka ognista kula - odparla Percey.

- „Foxtrot Bravo”, jestes gotow do przyjecia czestotliwosci? - odezwala sie kontrola z Chicago.

Podczas gdy Brad notowal informacje, Percey przeciagnela sie, opierajac glowe o fotel. Gest wydal sie jej znajomy i przypomniala sobie, ze podobny ruch wykonywal Lincoln Rhyme w swoim ogromnym lozku. Pomyslala o krotkim wykladzie, jakiego mu wowczas udzielila. Mowila wtedy powaznie, ale nie zdawala sobie sprawy, jak prawdziwe moga sie okazac te slowa. Jak zalezni moga sie stac od kruchego metalu i plastyku.

I byc moze przez nie zgina.

Los to myśliwy...

Zabraknie piecdziesieciu pieciu mil. Co mieli zrobic?

Dlaczego nie potrafi myslec tak szybko jak Rhyme? Nie bylo zadnego sposobu, zeby zaoszczedzic paliwo?

Ekonomiczne bylo latanie na wiekszej wysokosci.

Latanie z mniejszym obciazeniem tez. Moze cos zrzuca z samolotu?

Ladunek? Transport Amer-Medu wazyl dokladnie czterysta siedemdziesiat osiem funtow. Dzieki temu mozna by zyskac kilka mil.

Ale choc rozwazala te mozliwosc, wiedziala, ze nigdy by tego nie zrobila. Moze gdyby byla jakas szansa na ocalenie tego lotu, na ocalenie firmy.

Dalej, Lincoln, podsun mi jakis pomysl. Podaj... Wyobrazila sobie jego pokoj, siebie siedzaca obok niego, przypomniala sobie samczyka sokola przechadzajacego sie dumnie po parapecie.

- Brad - odezwala sie nieoczekiwanie. - Jak mamy wspolczynnik lotu slizgowego?

- Wspolczynnik leara trzydziesci piec A? Nie mam pojecia.

Percey latala kiedys schweizerem 2-32 - szybowcem wyczynowym. Jego prototyp zbudowano w 1962 roku i tym samym na dlugo ustalono standardy szybownictwa. Schweizer mial niesamowita predkosc schodzenia - sto dwadziescia stop na minute. Wazyl okolo tysiacy trzystu funtow. Lear,

którym teraz leciała, wazył czternaście tysięcy funtów. Mimo to mógł przecież, jak każdy samolot, wykonywać lot ślizgowy. Pamiętała przypadek kanadyjskiego boeinga 767 sprzed kilku lat, o którym nadal było głośno. Na skutek błędu komputera i ludzi skończyło się paliwo. Obydwa silniki zgasły na wysokości czterdziestu jeden tysięcy stop i boeing zmienił się w sztuczterdziestotrzytonowy szybowiec. Wylądował awaryjnie i wszyscy przeżyli.

- Trzeba pomyśleć. Jaka jest predkosć schodzenia bez ciągu?

- Chyba można utrzymać dwa trzysta.

Czyli prawie pionowe spadanie z predkoscią trzydziestu mil na godzinę.

- Policz teraz, kiedy skończyłoby się paliwo, gdybysmy chcieli wejść na pięćdziesiąt pięć tysięcy stop.

- Pięćdziesiąt pięć? - zapytał zdumiony Brad.

- Zgadza się.

Postukał w klawisze.

- Maksymalna predkosć wznoszenia to cztery tysiące trzysta stop na minutę; dużo spalimy, ale po trzydziestu pięciu tysiącach spalanie znacznie maleje. Można zredukować napęd...

- Ciągnąć na jednym silniku?

- Jasne. Da się zrobić.

Znow zaczął stukac w kalkulator.

- Nawet przy takich założeniach, będzie pusty osiemdziesiąt trzy mile przed Denver. Ale wtedy oczywiście osiągniemy spora wysokość.

Percey Clay, która zawsze otrzymywała najlepsze oceny z matematyki i fizyki, potrafiła doskonale liczyć bez kalkulatora; liczby zaczęły jej migac w głowie. Na pięćdziesięciu pięciu tysiącach wyłączają silniki, predkosć spadania dwa trzysta... Przed lądowaniem mogli pokonać ponad osiemdziesiąt mil. Może więcej, jeśli dopiszą wiatry.

Brad, za pomocą kalkulatora i swoich szybkich palców, doszedł do tego samego wniosku.

- Chociaż niewiele by zabrakło.

Bog nie daje pewniaków.

Powiedziała:

- Centrum Chicago. Lear „Foxtrot Bravo” prosi o natychmiastowe zezwolenie na pięćdziesiąt pięć

tysiecy.

Czasami trzeba grac w ciemno.

- Hm, powtorz, „Foxtrot Bravo”.

- Musimy wejść wyżej. Piecdziesiąt pięć tysięcy stop.

- „Foxtrot Bravo” - wtracił się głos kontrolera z wieży. - Macie leara trzydziści pięć, tak?

- Tak jest.

- Maksymalny pułap wynosi czterdziści pięć tysięcy.

- Zgadza się, ale musimy wejść wyżej.

- Sprawdzaliscie ostatnio uszczelnienie?

Uszczelnienie ciśnieniowe. Drzwi i okna. Dzięki któremu samolot nie rozpada się na kawałki.

- Jest w porządku - odrzekła, nie wspominając o tym, że „Foxtrot Bravo” został podziurawiony kulami i naprzód polatany jeszcze tego samego popołudnia..

- Zgoda, masz zezwolenie na pięcdziesiąt pięć tysięcy stop, „Foxtrot Bravo”.

Po czym Percey powiedziała coś, czego wcześniej nie mówił prawie żaden pilot leara.

- Zrozumiałam, z dziesięciu na pięcdziesiąt pięć tysięcy.

Zaczęła wydawać polecenia.

- Ciąg osiemdziesiąt osiem procent. Podaj prędkość wznoszenia i wysokość przy czterdziestu, pięcdziesięciu i pięcdziesięciu pięciu tysiącach.

- Zrozumiałem - rzekł opanowanym głosem Brad. Przechyliła samolot i lear zaczął się piąć w górę.

Wszystkie gwiazdy wieczoru...

Dziesięć minut później Brad zawołał:

- Piecdziesiąt pięć tysięcy.

Wyównali tor lotu. Percey wydawało się, że słyszy jęk szwów kadłuba. Przypomniała sobie, jak zachowuje się organizm ludzki na dużych wysokościach. Gdyby wyleciało okno, które wymienił Ron, albo pucilo któreś z uszczelnień ciśnieniowych, to jeśli by nawet samolot pozostał cały, niedotlenienie pozbawiłoby ich przytomności w ciągu pięciu sekund. Gdyby nawet mieli maski, na skutek różnicy ciśnień krew by się w nich zagotowała.

- Tlen. Zwiększ ciśnienie w kabinie na dziesięć tysięcy stop.

- Ciśnienie na dziesięć tysięcy - powiedział.

To przynajmniej zmniejszy nieco straszliwe ciśnienie na kruchy kadłub samolotu.

- Dobry pomysł - rzekł Brad. - Jak myślisz, uda się?

Malpia zrecznosc...

- Nie wiem - odparła. - Trzeba wyłączyć numer dwa. Dopływ paliwa zamknięty, system automatycznej regulacji odłączony.

- Zamknięty, odłączony - powtórzył jak echo Brad.

- Pompy paliwowe wyłączone, zapłon wyłączony.

- Pompy wyłączone, zapłon wyłączony.

Poczuła lekki skret samolotu, gdy ustal ciąg z lewej. Percey wyrownała przechył lekkim wychyleniem steru pionowego. Niespecjalnie to jednak odczuli. Ponieważ silniki były zamontowane z tyłu kadłuba, a nie na skrzydłach, utrata jednego z nich nie wpływała poważnie na stabilność samolotu.

- Co teraz mamy robić? - zapytał Brad.

- Ja zamierzam napić się kawy - powiedziała Percey, zeskakując z fotela jak chłopczyca ze swego domku na drzewie. - Hej, Roland, masz ochotę?

W pokoju Rhyme'a przez czterdzieści pełnych meki minut panowała cisza. Nie zadzwonił żaden telefon. Nie nadszedł żaden faks. Głos komputera nie zameldował: „Masz wiadomość”.

Wreszcie zabrzmiał telefon Dellraya. Agent kiwał głową, słuchając, ale Rhyme widział, że wieści nie są pomyślne. Dellray wyłączył aparat.

- Z Cumberland?

Dellray skinął głową.

- Zupełny kłops. Kall nie był tam od lat. Miejscowi ciągle wspominają chłopaka, który przywiązał ojczyzną do drzewa, żeby zjadły go robaki. Taka lokalna legenda. Nie ma tam żadnej rodziny. Nikt nic nie wie. Albo nie chce powiedzieć.

Po chwili zacwierał telefon Sellitta. Detektyw otworzył klapkę i powiedział:

- Tak?

Rhyme modlił się, żeby to był trop. Spojrzał na nalana, stoicka twarz Sellitta. Gliniarz zatrzaskał telefon.

- To Roland Bell - powiedział. - Chciał, żebyśmy wiedzieli. Skonczyło im się paliwo.

Rozdział trzydziesty czwarty

45 godzin - godzina trzydziesta osma

Trzy różne sygnały ostrzegawcze rozległy się równocześnie.

Niski poziom paliwa, niski poziom oleju, niska temperatura silnika.

Percey próbowała zmienić nieznacznie położenie samolotu, by sprawdzić, czy nie uda się jej wciągnąć do przewodów jeszcze trochę paliwa, lecz zbiorniki były suche jak pieprz.

Silnik numer jeden kaszlnął, stuknął cicho i zamilkł.

Kabine zalała nieprzenikniona ciemność.

O, nie...

Percey nie widziała żadnego przyrządu, ani jednej dźwigni czy galki. Jedynym jasnym elementem, dzięki któremu nie straciła orientacji, była ledwie widoczna linia świateł Denver daleko przed nimi.

- Co jest? - spytał Brad.

- Jezus, zapomniałam o alternatorach.

Alternatory były napędzane przez silniki. Bez silników nie mieli prądu.

- Opuszczaj turbiny naporowe - poleciała.

Brad znalazł po omacku odpowiednią dźwignię i pociągnął. Z dołu samolotu wysunęła się turbina powietrza naporowego.

Było to niewielkie śmigło połączone z alternatorem. Napędzał je strumień powietrza naporowego podczas lotu, a obrot turbiny zasilał alternator. Wystarczyło to na wytworzenie prądu do przyrządów i oświetlenia. Ale nie do klap, podwozia, hamulców aerodynamicznych.

Chwile później rozbłysły niektóre światła.

Percey patrzyła na wskaźnik prędkości pionowej. Pokazywał, że schodzą z prędkością trzech i pół tysiąca stop na minutę.

O wiele szybciej, niż zakładali. Prawie pięćdziesiąt mil na godzinę.

Dlaczego? - zastanawiała się. Czyżby pomylili się w obliczeniach?

Z powodu rozrzedzonego powietrza! Obliczała prędkość opadania w gęstej atmosferze. Myślała o tym teraz, przypominała sobie, że powietrze w okolicach Denver jest rzadsze również na mniejszych wysokościach. Nigdy nie latała szybowcem wyżej niż mile.

Pociągnęła ster, by zmniejszyć prędkość spadku. Po chwili schodzili dwa tysiące sto stop na minutę. Ale równocześnie zmniejszyła się prędkość pozioma. W tym rzadkim powietrzu prędkość przeciągnięcia wynosiła około trzystu węzłów. Drazek steru zaczął wibrować, a przyrządy stały się bezwładne. W takim samolocie nie będzie wyjścia z bezwładnego lotu.

Trumienny prog...

Wolant w przód. Opadali szybciej, ale nabierali przy tym prędkości. Bawiła się tak przez pięćdziesiąt mil. Kontrola lotów powiedziała im, gdzie wieją najsilniejsze wiatry przeciwnie i Percey próbowała znaleźć odpowiednią kombinację wysokości i toru lotu - wiatru, który by unosił leara na dostateczną wysokość, ale nie za szybko, żeby zbyt nie wytracili prędkości.

W końcu Percey - z obolałymi mięśniami od silowego sterowania samolotem - otarła spoczone czoło i powiedziała:

- Polącz się z nimi, Brad.

- Centrum Denver, tu lear sześć dziewięć pięć „Foxtrot Bravo” na dziewiętnastu tysiącach stop. Jesteśmy dwadzieścia jeden mil od lotniska. Prędkość dwadzieścia dwa węzłów. Nie działają silniki. Prosimy o skierowanie na najdłuższy pas zgodny z naszym kursem dwa pięć zero.

- Zrozumiałem, „Foxtrot Bravo”. Czekaliśmy na was. Ciśnienie trzydziści koma dziewięć pięć. Kurs w lewo dwa cztery zero. Pas lewo dwadzieścia osiem. Bedziecie mieli jedenastę tysięcy stop do dyspozycji.

- Zrozumiałem, Denver.

Cos nie dawało jej spokoju. Znow czuła ten paskudny ucisk w żołądku. Jak wówczas, gdy zobaczyła czarna furgonetkę.

Co to było? Tylko przesad?

Wypadki chodzą parami...

- Dziewietnascie mil do ladowania - powiedzial Brad. - Szesnascie tysiecy stop.

- „Foxtrot Bravo”, skontaktuj sie z kontrola podejscia do ladowania. - Kontroler z centrum podal im czestotliwosc i dorzucil: - Zostali poinformowani o waszej sytuacji. Powodzenia. Wszyscy o was myslimy.

- Dobranoc, Denver, Dzieki.

Brad przelaczyl radio na nowa czestotliwosc.

Co sie dzieje? - zastanawiala sie Percey. Musialam o czymś zapomniec. Ale o czym?

- Kontrola ladowania Denver, tu lear szesc dziewiec piec „Foxtrot Bravo”. Na trzynastu tysiacach stop, trzynascie mil przed ladowaniem.

- Mamy cie, „Foxtrot Bravo”. Kurs dwa piec zero. Podobno nie macie ciagu, zgadza sie?

- Jestesmy najwiekszym szybowcem, jaki latal nad Denver.

- Dzialaja klapy i podwozie?

- Klapy nie. Podwozie spuscimy recznie.

- Zrozumialem. Chcecie wozy ratownicze na plycie?

- Zdaje sie, ze mamy na pokladzie bombe. Chcemy wszystko, co macie pod reka.

Wtedy z dreszczem przerazenia uswiadomila sobie: cisnienie atmosferyczne!

- Kontrola Denver - powiedziala. - Podajcie cisnienie.

- Hm, mamy trzydziesci koma dziewiecdziesiat szesc, „Foxtrot Bravo”.

Podskoczylo o jedna setna cala w ciagu ostatniej minuty.

- Rosnie?

- Tak, „Foxtrot Bravo”. Idzie szeroki front wysokiego cisnienia.

Nie! Wzrosnie temperatura otoczenia wokol bomby, balon sie skurczy, jak gdyby byli duzo nizej niz w rzeczywistosci.

- Wdepnelismy w niezle gowno - mruknela.

Brad spojrzal na nia.

- Ile bylo na Mamaroneck? - spytala go.

Zajrzał do rejestru lotu.

- Dwadzieścia dziewięć koma sześć.

- Oblicz pięć tysięcy stop wysokości przy tym ciśnieniu i porównaj z ciśnieniem trzydziści jeden koma zero.

- Trzydziści jeden? Cholernie dużo.

- Właśnie w takie coś się pakujemy.

Wlepil w nią oczy.

- Przecież bomba...

Percey skinęła głową.

- Oblicz.

Młody człowiek pewną ręką wstukał cyfry do kalkulatora.

Westchnął, co było u niego pierwszą widoczną oznaką emocji.

- Pięć tysięcy stop w Mamaroneck przekłada się na cztery osiemset pięćdziesiąt tutaj.

Percey przywołała do siebie Bella.

- Sytuacja wygląda tak. Nadchodzi front wysokiego ciśnienia. Zanim zbliżymy się do pasa, bomba może odczytać wysokość jako mniejszą niż pięć tysięcy stop. Może wybuchnąć, kiedy będziemy pięćdziesiąt, sto stop nad ziemią.

- Aha. - Spokojnie skinął głową. - Aha.

- Klapy nie działają, więc będziemy ładować z dużą szybkością, jakieś dwieście mil na godzinę. Jeżeli będzie wybuch, stracimy kontrolę nad sterami i rozbijemy się. Nie powinno być dużo ognia, bo zbiorniki są puste. A w zależności od tego, co przed nami będzie, może nami niezle rzucić, zanim zaczniemy spadać. Nic tu nie poradzisz, więc przypnij się mocno pasami i spuść głowę najniżej, jak możesz.

- Dobra - powiedział, kiwając głową i spoglądając przez okno.

Zerknęła na jego twarz.

- Mogę cię o coś zapytać, Roland?

- Jasne.

- To nie jest twój pierwszy lot samolotem, co?

Westchnal.

- Wiesz, jak sie od urodzenia mieszka w Karolinie Polnocnej, nie ma wielu okazji do podrozowania. A do Nowego Jorku... pociagi sa bardzo wygodne. - Przerwal. - Wlasciwie nigdy nie wjechalem wyzej niz winda na ostatnie pietro wiezowca.

- Tu jest zupełnie inaczej.

Scisnal ja za ramie i szepnal:

- Nie spatalasz. - Po czym wrocil na swoje miejsce.

- Dobra - powiedziala Percey, przegladajac w „Przewodniku lotniczym” informacje na temat lotniska Denver. - Brad, bedziemy mieli nocne ladowanie z widocznościa ziemi na lewym pasie dwadziescia osiem. Ja dowodze. Opuszczisz recznie podwozie i bedziesz podawac predkosc spadku, odleglosc do pasa, wysokosc - prawdziwa wysokosc nad ziemia, nie nad poziomem morza - i predkosc. - Myslala, o czym jeszcze powiedziec. Silniki i klapy nie dzialaly, nie dzialaly hamulce aerodynamiczne. Nic wiecej nie przychodzilo jej do glowy; byl to najkrotszy instruktaż przed ladowaniem w ciagu jej lotniczej kariery. - Ostatnia rzecz. Kiedy sie juz zatrzymamy, spieprzaj stad, ile sil w nogach.

- Dziesiec mil do pasa - powiedzial Brad. - Predkosc dwiescie wezlow. Wysokosc dziewiec tysiecy stop. Trzeba zmniejszyc predkosc opadania.

Pociagnela wolant steru i predkosc znacznie zmalala. Drazek znow zaczal wibrowac. Jesli przekrocza teraz kat krytyczny, koniec.

Naprzod.

Dziewiec mil... Osiem...

Pocila sie jak mysz. Otarla twarz. Miedzy kciukami i palcami wskazujacymi zrobily sie jej pecherze.

Siedem... Szesc...

- Piec mil do ladowania, cztery i pol tysiac stop. Predkosc dwiescie dziesiec wezlow.

- Podwozie w dol - rozkazala Percey.

Brad zaczal krecic kolem, ktore opuszczalo ciezkie podwozie. Wprawdzie pomagala mu sila grawitacji, ale byl to spory wysilek. Mimo to nie odrywal oczu od wskaznikow, recytujac ze spokojem ksiegowego, ktory odczytuje cyfry z zestawienia bilansowego:

- Cztery mile do ladowania, trzy tysiac dziewiecset stop...

Percey zmagala sie z roznicami cisnien na mniejszej wysokosci i silnym wiatrem.

- Podwozie w dole - zawolal zdyszonym glosem Brad.

Predkosc spadla do stu osiemdziesieciu wezlow - okolo dwustu mil na godzine. Nadal lecieli za szybko. O wiele za szybko. Bez odwracaczy ciagu zaryja w beton i stana w ogniu nawet na najdluzszym pasie startowym.

- Denver, jakie cisnienie?

- Trzydziesci koma dziewiecdziesiat osiem - odparl niewzruszony glos kontrolera.

Rosnie. Ciagle rosnie.

Nabrala gleboko powietrza. Wedlug bomby pas startowy byl polozony niecale piec tysiecy stop nad poziomem morza. Z jaka dokladnoscia Trumniarz skonstruowal zapalnik?

- Podwozie opuszczone. Predkosc spadku dwa tysiace szescset. Czyli pionowa predkosc okolo trzydziestu osmiu mil na godzine.

- Opadamy za szybko, Percey - zawolal Brad. - Walniemy jakies sto jardow przed swiatlami. Moze dwiescie.

Kontrola tez to zauwazyla.

- „Foxtrot Bravo”, musisz nabrac troche wysokosci. Podchodzisz za nisko.

Znowu za stery. Predkosc zmalala. Niebezpieczenstwo przeciagniecia. Stery naprzod.

- Dwie i pol mili do ladowania, wysokosc tysiac dziewiecset stop.

- Za nisko, „Foxtrot Bravo”! - ostrzegl ponownie kontroler lotow.

Spojrzala przed siebie, poza srebrny nos samolotu. Zobaczyła wszystkie swiatla - stroboskopowe swiatla podchodzenia do ladowania, mrugajace do nich zachecajaco, niebieskie punkciki wyznaczajace droge do kolowania, pomaranczowoczerwone pasa startowego... I swiatla, jakich Percey nigdy nie widziala przy podchodzeniu. Setki blyskajacych bialych i czerwonych lamp. Wszystkie wozy ratownicze.

Wszedzie swiatla.

Wszystkie gwiazdy wieczoru...

- Ciagle nisko - powiedzial Brad. - Uderzymy o ziemie dwiescie jardow za blisko.

Pocily sie jej rece. Wyciagnieta do przodu, Percey znow pomyslala o Lincolnie Rhymie, przypietym do wozka i pochylajacym w przod glowe, kiedy przygladal sie czemus na monitorze komputera.

- Za nisko, „Foxtrot Bravo” - powtorzyła kontrola. - Wysylam wozy ratownicze przed pas startowy.

- Nie zgadzam sie - odparła niewzruszenie Percey.

- Wysokosc tysiac trzysta. Poltorej mili do ladowania.

Mamy trzydziesci sekund! Co mam robic?

Ed? Powiedz... Brit? Niech mi ktos powie...

Gdzie moja malpia zrecznosc? Co mam, do cholery, zrobic?!

Wyjrzała przez okno kabiny. W blasku ksiezycy dostrzegła miasteczka i przedmiescia, jakies pola, a po lewej rozciagala sie szeroka polac pustyni.

Kolorado to stan pustynny... No jasne!

Nieoczekiwanie wykonala ostry przechyl w lewo.

Zaskoczony Brad, nie wiedzac, co robi Percey, zawolal:

- Predkosc spadku trzy dwiescie, wysokosc tysiac stop, dziewiecset, osiemset piecdziesiat...

Przechyl samolotu bez silnikow kosztuje blyskawiczna utrate wysokosci.

- „Foxtrot Bravo”, nie skrecaj - krzyknal kontroler. - Powtarzam, nie skrecaj! Masz za mala wysokosc.

Nad pasem pustyni wyrownala lot.

Brad zasmial sie krotko.

- Wysokosc stala...Wysokosc rosnie, mamy dziewiecset stop, tysiac, tysiac dwiescie. Tysiac trzysta... Nic nie rozumiem.

- Ciepły prad powietrza - wyjasnila. - W ciagu dnia pustynia absorbuje cieplo, a w nocy oddaje.

Kontrola w Denver tez sie tego domyslila.

- Dobrze, „Foxtrot Bravo”! Dobrze. Zyskaliscie jakies trzysta jardow przy ladowaniu. Kurs prawo dwiescie dziewiecset, teraz lewo dwiescie osiemdziesiat. Dobrze. Jestes na kursie. Sluchaj, „Foxtrot Bravo”, jezeli chcesz skasowac swiatla podchodzenia, wal prosto przed siebie.

- Dzieki za propozycje, Denver, ale chyba siade tysiac za numerami.

- Tez moze byc.

Mieli następny kłopot. Wprawdzie mogli już dolecieć do pasa, lecz wciąż lecieli za szybko. Przydałyby się klapy, których zadaniem była redukcja prędkości przy lądowaniu. Normalna prędkość Leara 35A z wyłączonymi silnikami wynosiła sto dziesięć mil na godzinę. Bez klapy zbliżała się do stu osiemdziesięciu. Przy takiej prędkości nawet pas startowy długości dwóch mil byłby za krótki.

Percey zastosowała więc ślizg boczny.

Jest to prosty manewr, wykorzystywany podczas lądowania przy silnych bocznych wiatrach w małym prywatnym samolocie. Przechyliła się maszyna w lewo, naciskając równocześnie prawy pedał sterowania kierunkowego, dzięki czemu samolot znacznie zwalnia. Percey nie wiedziała, czy ktoś przed nią używał tej techniki w siedmiotonowym odrzutowcu, lecz nic innego nie przyszło jej do głowy.

- Potrzebuje twojej pomocy - powiedziała do Brada, łapiąc z trudem powietrze i czując ból przeszywający jej otarta skórę na dłoniach. Brad też złapał za wolant i nadepnął na pedały. Samolot zwolnił, choć niebezpiecznie przechylił się w lewo.

Percey zdołała go wyprostować, zanim zetknął się z pasem. Nadzieja w niej odżyła.

- Prędkość lotu? - zawołała.

- Sto pięćdziesiąt węzłów.

- Wygląda to niezłe, „Foxtrot Bravo”.

- Dwieście jardów do pasa startowego, wysokość dwieście osiemdziesiąt stop - rzekł Brad. - Światła podejścia na godzinie dwunastej.

- Prędkość spadku? - zapytała.

- Dwa szescset.

Za szybko. Lądowanie przy takiej prędkości opadania mogło zniszczyć podwozie. A także groziło detonacją bomby.

Przed sobą zobaczyła błyskające światła podejścia, kierujące ich naprzód...

W dół, w dół...

Gdy pedzili w kierunku rusztowania ze światłami, Percey krzyknęła:

- Przejmuje samolot!

Brad puścił wolant steru.

Percey wyprostowała leara z bocznego przechyłu i zadarła nos. Samolot pięknie unosił przód i chwycił wiatr, zatrzymując karkołomny spadek tuż nad numerami na początku pasa.

Chwycił wiatr tak dobrze, że nie chciał siasec.

Lżejszy bez paliwa samolot mknął naprzód w gęstym powietrzu, ani myślał o lądowaniu.

Zerknęła na żółte i zielone wozy ratownicze, rozstawione po obu stronach pasa.

Tysiąc stop za numerami nadal wisieli trzydziści stop nad betonem.

Chwile później byli już dwa tysiące za numerami. Potem trzy.

Do diabła, niech coś ja w końcu posadzi na ziemi!

Percey pchnęła ster naprzód. Nos samolotu opadł niebezpiecznie, więc szarpnęła z powrotem wolant. Srebrny ptak zadrzał, po czym miękko osiadł na betonie. Było to najłagodniejsze lądowanie w jej karierze.

- Hamulce do dechy!

Percey i Brad równocześnie wdusili pedaly, słysząc pisk klocków hamulcowych i czując gwałtowne wibracje. Kabina wypełniła się dymem.

Byli już w połowie długości pasa, lecz nadal pedzili z szybkością stu mil na godzinę.

Trawa, pomyślała Percey. Jeżeli będzie trzeba, skreca na trawę. Zniszczy podwozie, ale przynajmniej uratuje ładunek...

Siedemdziesiąt, sześćdziesiąt...

- Alarm pożarowy, prawe koło - zameldował Brad. A potem: - Alarm pożarowy, przednie koło.

Mam to gdzieś, pomyślała i napała na pedaly całym ciężarem ciała.

Learem zaczęło rzucać na boki i trząść. Percey skontrolowała, skrecając przednie koło. Do kabiny wdarło się jeszcze więcej dymu.

Sześćdziesiąt mil na godzinę, pięćdziesiąt, czterdzieści...

- Drzwi - zawołała do Bella.

W ulamku sekundy detektyw był przy drzwiach, wypychając je na zewnątrz; zmieniły się w schodki.

Z kilku miejsc jechały w ich kierunku wozy strażackie.

Z przeraźliwym jękiem dymiących hamulców Lear N695FB zatrzymał się dziesięć stop przed końcem pasa.

Najpierw w kabinie rozległ się głos Bella:

- Dobra, Percey, uciekaj! Ruszaj się.

- Musze...

- Teraz ja dowodze! - krzyknal detektyw. - Jak trzeba bedzie, wywole cie stad sila. A teraz spadaj.

Bell wypchnal ja i Brada za drzwi, potem sam zeskoczyl na beton, odciagajac ich od samolotu. Zawolal do strazakow, ktorzy zaczeli oblewac piana wnęki kol:

- Na pokladzie jest bomba, moze w kazdej chwili wybuchnac. W silniku. Nie zblizajcie sie.

Obserwujac tłum strazakow i ratownikow otaczajacych samolot, trzymal w dloni jeden ze swoich pistoletow. Percey wczesniej uwazala, ze Bell zachowuje sie czasem jak stukniety paranoik, lecz zdazyła od tego czasu zmienic zdanie.

Przystaneli w odleglosci stu stop od samolotu. Na pasie zatrzymal sie woz oddzialu pirotechnikow policji Denver. Bell przywolal ich gestem.

Z samochodu wysiadl chudy, wysoki gliniarz o wygladzie kowboja i podszedl do Bella. Pokazali sobie nawzajem legitymacje, po czym Bell wyjasnil mu, gdzie ich zdaniem moze znajdowac sie bomba.

- Czyli - rzekl gliniarz z Denver - nie jestescie pewni, ze bomba jest na pokladzie.

- Nie. Nie na sto procent.

Jednak gdy Percey spojrzala na „Foxtrota Bravo” - na jego piekne srebrne poszycie, zbryzgane teraz piana i lsniace w blasku reflektorow - rozlegl sie ogluszajacy huk. Wszyscy poza Percey i Bellem padli na ziemie w momencie, gdy tylna polowa samolotu rozpadla sie, a w niebo wzbil sie potezny slup plomieni i kawalkow metalu.

- Och - powiedziala bez tchu Percey, zakrywajac dlonia usta.

W zbiornikach oczywiscie nie bylo paliwa, lecz wnetrze samolotu - siedzenia, przewody, wykladzine, plastikowe elementy i cenny ladunek - trawil wielki ogien. Strazacy zaczekali na dogodniejsza chwile, po czym ruszyli naprzod, bezsensownie zalewajac metalowe szczatki strumieniami snieznej piany.

DANSE MACABRE

Spoglądając w górę, dostrzegłem spadającą kropkę, która zbliżając się, przybierała kształt odwróconego serca - nurkującego ptaka. Spadał przez pół mili w przezroczystym jesiennym powietrzu, a jego wrzask zmieszany z gwizdem wiatru przerodził się w dźwięk, jakiego nie wydaje żadne ziemskie stworzenie. W ostatniej chwili ptak zrównał swój lot z torem lotu przepiórki i rzucił się na nią. Towarzyszyło temu głośne „plask”, jak gdyby pocisk dużego kalibru rozerwał ciało.

„Sokoly moja pasja”

Stephen Bodio

Rozdział trzydziesty piaty

45 godzin - godzina czterdziesta druga

Rhyme zauważył, że minęła już trzecia nad ranem. Percey Clay leciała z powrotem na Wschodnie Wybrzeże odrzutowcem FBI i za parę godzin miała się stawić przed sądem przysięgłych.

A Rhyme nadal nie miał pojęcia, gdzie może być Tancerzy Trumniarz, co planuje, za kogo teraz się przebierze.

Zadzwonił telefon Sellitta. Detektyw słuchał wiadomości ze zmarszczonym czołem.

- Jezus. Trumniarz sprzątnął następną osobę. Znaleźli ciało w stanie uniemożliwiającym identyfikację, w tunelu w Central Parku. Niedaleko Piątej Alei.

- W ogóle nie da się ustalić tożsamości?

- Zdaje się, że wyczyścił go zupełnie. Odciał rece, usunął zęby, szczęki, zdjął ubranie. Wiadomo tylko, że to był biały mężczyzna. Młody, w okolicach trzydziestki. - Detektyw zamknął, słuchając dalej. - Nie był włóczega - zameldował. - Czysty, w dobrej formie. Niezły zbudowany. Haumann uważa, że to jakiś yuppie z East Side.

- No dobra - powiedział Rhyme. - Niech go tu przywiozą. Sam chce mu się przyjrzeć.

- Ciału?

- Zgadza się.

- Dobrze.

- A więc Trumniarz ma nową tożsamość - rzekł ze złością Rhyme i zamyslił sobie. - O co tym razem, do cholery, chodzi? Co planuje?

Westchnął, spoglądając za okno. Po chwili powiedział do Dellraya:

- Fred, w którym domu teraz ich umieścicie?

- Zastanawiałem się nad tym - odrzekł agent. - I wydaje mi się...

- W naszym - odezwał się nowy głos.

Wszyscy spojrzeli na stojącego w drzwiach krepiego mężczyznę.

- W naszym bezpiecznym domu - powiedział Reggie Eliopolos. - Przejmujemy świadka.

- Ale jeżeli nie macie... - zaczął Rhyme.

Prokurator pomachał papierkiem, zbyt szybko, by Rhyme mógł przeczytać, lecz wszyscy już wiedzieli, że ma oficjalny rozkaz o areszcie prewencyjnym.

- To niedobry pomysł - powiedział Rhyme.

- Lepszy niż pańskie pomysły, przez które ostatni świadek kilka razy otarł się o śmierć.

Sachs z gniewem postąpiła krok naprzód, ale Rhyme pokręcił głową.

- Proszę mi wierzyć - rzekł - że Trumniarz wszystkiego się domysli. Może nawet już się domyslił, że ich przejmiecie. Właściwie - dodał złowrogo - może właśnie na to liczy.

- Musiałby czytać w myślach.

Rhyme przechylił głowę na bok.

- Nareszcie pan coś chwytą.

Eliopolos parsknął pogardliwie. Rozejrzał się i spostrzegł Jodiego.

- Jesteś Joseph D'Oforio?

Człowieczek wlepił w niego zdziwione oczy.

- Ja... tak.

- Ciebie też zabieramy.

- Chwileczkę, powiedzieli mi, że jak tylko dostanę moje pieniądze, mogę...

- To nie ma nic wspólnego z żadnymi nagrodami. Jeżeli masz prawo do nagrody, dostaniesz ją. Chcemy tylko, żebyś był bezpieczny do posiedzenia sądu przysięgłych.

- Sadu! Nikt nic nie mówił o zeznaniach przed sądem!

- Coż - rzekł Eliopolos. - Jesteś ważnym świadkiem. - Ruchem głowy wskazał Rhyme'a. - On być

moze chce tylko zabic platnego morderce. My stawiamy zarzuty czlowiekowi, który go wynajal. Tak zreszta postepuje wiekszosc stozow prawa.

- Nie bede zeznawal.

- Wobec tego odsiedzisz wyrok za niezastosowanie sie do wyroku sadu. W normalnym wiezieniu. Sam pewnie wiesz, jak tam bezpiecznie.

Drobny czlowiek probowal sie rozzloscic, lecz byl zbyt przerazony. Krew odpłynela mu z twarzy.

- O Jezu.

- Nie bedziecie w stanie zapewnic im pelnego bezpieczenstwa - powiedzial do Eliopolosa Rhyme. - Znamy juz Trumniarza. Pozwolicie nam nadal ich chronic.

- Rhyme? - Eliopolos zwrocil ku niemu twarz. - Przez ten incydent z samolotem oskarze cie o przeszkadzanie w sledztwie.

- Kurwa, nie zrobisz tego - powiedzial Sellitto.

- Kurwa, zrobie - odrzekl ostro pulchny czlowiek. - Pozwalajac jej leciec, mogl rozwalic nam cala sprawe. Jeszcze w poniedzialek bede mial nakaz. I sam dopilnuje jego wykonania. To przez niego...

- On tu byl - rzekl cicho Rhyme.

Zastepca prokuratora przestal mowic. Po chwili spytal:

- Kto?

Chociaz doskonale wiedzial kto.

- Niecala godzine temu byl za tym oknem i celowal do tego pokoju z karabinu snajperskiego zaladowanego pociskami rozpryskowymi. - Rhyme wbil spojrzenie w podloge. - Prawdopodobnie dokladnie w to miejsce.

Eliopolos odruchowo chcial sie cofnac, ale wytrzymal. Tylko jego oczy przesliznely sie po oknie, sprawdzajac, czy rolety sa opuszczone.

- Dlaczego...?

- Nie strzelil? - dokonczyl pytanie Rhyme. - Bo wpadl na lepszy pomysl.

- Jaki?

- Ach, odpowiedz na to pytanie warta jest milion dolarow - odparl Rhyme. - Wiemy tylko tyle, ze kogos zabil - jakiegos mlodego czlowieka w Central Parku - i zdarl ze zwlok ubranie. Uniemozliwil

tez identyfikacje ciała i przybrał tożsamość nieboszczyka. Moim zdaniem na sto procent wie, że bomba nie zabiła Percey, więc chce skończyć zadanie. A z pana zrobić współsprawcę.

- Przecież nawet nie wie, że ja istnieje.

- Jezu, Reggie, chłopcze - powiedział Dellray. - Zrozum w końcu!

- Nie mów tak do mnie.

- Nie domyśla się pan? - włączyła się Sachs. - Nigdy nie miał pan do czynienia kims takim.

Patrzac na nią, Eliopolos rzekł do Sellitta:

- Chyba powinniście zrobić porządek w policji miejskiej. U federalnych każdy zna swoje miejsce.

- Nie można go traktować jak gangstera albo byłego mafiosa - ostrym tonem wtracił Rhyme. - Nikt nie umie się przed nim ukryć. Jedyńy sposób to powstrzymać go na dobre.

- Tak, Rhyme, znam twoje hasło. Nie zamierzamy jednak więcej poświęcać życia ludzi tylko dlatego, że staje ci na myśl o facecie, który pięć lat temu zabił twoich dwóch techników. O ile oczywiście w ogóle ci staje...

Eliopolos był człowiekiem pokaznej postury, więc bardzo się zdziwił, że z taką łatwością został powalony na podłogę. Z trudem łapiąc powietrze, ujrzał nad sobą purpurową twarz Sellitta i wzniesioną pięść detektywa.

- Śmiało, poruczniku - wykrztusił prokurator - a za pół godziny postawie cię w stan oskarżenia.

- Lon - odezwał się Rhyme - daj spokój, daj spokój...

Detektyw uspokoił się, zmierzyl leżacego wściekłym spojrzeniem, po czym się odsunął. Eliopolos niezdarnie dzwignął się na nogi.

Obraża nie miała żadnego znaczenia. Rhyme w ogóle nie myślał o Eliopolosie, nawet nie o Trumniarzu. Przypadkiem spojrzal na Amelie Sachs, na pustkę i rozpacz w jej oczach. Wiedział, co czuła: bezbrzeżny żal za utraconą zdobyczą. Eliopolos odbierał jej szansę złapania Trumniarza. Tak jak dla Lincolna Rhyme'a, morderca stał się mroczną obsesją jej życia.

Wszystko przez jeden jedyny błąd - wydarzenie na lotnisku i jej ucieczka przed strzałami. Drobnostka, nic nie znacząca dla nikogo, prócz niej. Głupiec potrafi wrzucić kamień do stawu, ale tuzin medrców nie potrafi go wydobyć. Życie Rhyme'a na zawsze zmienił kawałek drewna, łamiąc mu małeńki odcinek kości. Życie Sachs zmieniło się w momencie, gdy (jej zdaniem) zachowała się jak tchórz. Jednak w przeciwieństwie do Rhyme'a ona miała jeszcze szansę wyzdrowieć.

Och, Sachs, wiem, jak to boli, ale nie mam wyboru. Powiedział do Eliopolosa:

- Zgodzimy się, jeżeli zrobisz coś w zamian.

- A jeżeli nie? - prychnął Eliopolos.

- Wtedy nie powiem, gdzie jest Percey - odrzekł z prostotą Rhyme. - Tylko my o tym wiemy.

Na twarzy Eliopolosa, z której zniknął już rumieniec po zapasniczej przygodzie z Sellitem, pojawił się lodowaty uśmiech.

- Czego chcesz?

Rhyme głęboko nabral powietrza.

- Wiemy już, że Trumniarz chętnie bierze na cel ludzi, którzy go szukają. Jeżeli wy będziecie ochraniać Percey, chce, żebyście zapewnili też ochronę głównemu specjalistce kryminalistyki, który pracuje przy tej sprawie.

- Czyli tobie? - spytał prawnik.

- Nie. Amelii Sachs - odrzekł Rhyme.

- Rhyme, nie - powiedziała, marszcząc czoło.

Lekkomyslna Amelia Sachs... a ja pcham ją wprost w paszczę lwa.

Dal jej znak, by podeszła.

- Chce tu zostać - oznajmiła. - I znaleźć go.

- O to się nie martw, Sachs - szepnął. - On sam cię znajdzie. Musimy z Melem spróbować ustalić, kim teraz jest. Ale jeżeli wykona jakiś ruch na Long Island, chce, żebyś tam była. Chce, żebyś towarzyszyła Percey. Tylko ty rozumiesz Trumniarza. No, właściwie my oboje. A ja w najbliższej przyszłości nie zamierzam strzelać.

- Może tu wrócić...

- Nie sadzę. Istnieje niebezpieczeństwo, że po raz pierwszy wymknie mu się ofiara. Nie może do tego dopuścić, dlatego za wszelką cenę będzie się starał dopaść Percey. Jest zdesperowany.

Sachs zastanawiała się przez chwilę, po czym skinęła głową.

- No dobrze - rzekł Eliopolos. - Pojedziesz z nami. Samochód czeka.

- Sachs? - odezwał się Rhyme.

Przystanęła.

- Powinnismy już jechać - ponaglił ich Eliopolos.

- Za minutę będę na dole.

- Naprawde mamy malo czasu...

- Powiedzialam za minute.

Skrzyzowali spojrzenia i prokurator pierwszy odwrocil wzrok. Eliopolos i policjant, z ktorym przyszedl, odprowadzili Jodiego do wyjścia. Juz z korytarza drobny czlowiek zawolal:

- Chwileczke! - Wrocil, zlapal swoj poradnik i zbiegl po schodach.

- Sachs...

Chcial jej powiedziec, zeby unikala heroizmu, zeby nie byla wobec siebie taka ostra, chcial wspomniec Banksa.

Zeby dala spokoj zmarlym...

Lecz wiedzial, ze kazde slowo ostrzezenia albo zachety moglo ja dotknac jeszcze bardziej.

Poprzestal wiec na krotkim:

- Strzelaj pierwsza.

Polozyla reke na jego lewej dloni. Zamknal oczy, probujac poczuc dotyk jej skory. I chyba poczul, w kazdym razie na pewno na serdecznym palcu.

Spojrzel na nia.

- Miej zawsze kogos pod reka, dobrze? - poprosila.

Skinela glowa Sellittowi i Dellrayowi.

Potem w drzwiach stanal sanitariusz z pogotowia, rozgladajac sie po pokoju. Zatrzymal wzrok kolejno na Rhymie, na sprzecie, pieknej policjantce, probujac pojac, dlaczego dostal taki dziwaczny rozkaz.

- Ktos tu chcial zobaczyc zwloki? - spytal niepewnie.

- Wnosic! - krzyknal Rhyme. - Natychmiast!

Furgonetka minela brame i jechala waskim podjazdem, ktory zdawal sie liczyc pare dobrych mil.

- Jezeli to ma byc podjazd - mruknal Roland Bell - nie moze sie doczekac widoku domu.

On i Amelia Sachs siedzieli po obu stronach Jodiego, ktory irytowal wszystkich, wiercac sie nerwowo i rozpychajac w swej grubej kamizelce kuloodpornej, gdy badawczo przygladal sie wszystkim ceniom, drzwiom i mijajacym ich na drodze ekspresowej Long Island samochodom. Z tylu zajelo miejsce dwoch funkcjonariuszy z 32-E, uzbrojonych w pistolety maszynowe. Percey Clay

siedziała z przodu na fotelu pasażera. Kiedy w drodze do okręgu Suffolk odebrali ich w terminalu lotnictwa morskiego na lotnisku LaGuardia, Sachs była wstrząsnieta jej zmienionym wyglądem.

To nie wyczerpanie - choć oczywiście Percey była zmęczona. I nie strach. Nie, Sachs niepokoiła się jej kompletna rezygnacja. Podczas patrolowania ulic wielokrotnie stykała się z tragedią. Przekazywała ludziom trudne wiadomości, lecz nigdy nie widziała nikogo, kto by skapitulował tak całkowicie jak Percey Clay.

Percey rozmawiała przez telefon z Ronem Talbotem. Z urywków rozmowy Sachs wywnioskowała, że Amer-Med zerwał kontrakt, nie czekając nawet, aż dogasną zgliszczą samolotu. Percey wylaczyła telefon i przez chwilę patrzyła na mijający krajobraz. Z roztargnieniem powiedziała do Bella:

- Firma ubezpieczeniowa nie zamierza nawet płacić za ładunek. Powiedzieli, że świadomie podjęłam ryzyko. A więc koniec. Koniec. Jesteśmy bankrutami.

Za oknami samochodu migaly sosny, deby, polacie piasku. Sachs, dziewczyna z miasta, jako nastolatka jeździła do okręgów Nassau i Suffolk, ale nie na plażę czy zakupy, tylko po to, by wcisnąć do dechy gaz swojego chargeera i rozpedzać bordowy wóz od zera do szesćdziesięciu mil na godzinę w niecałe szesć sekund, i brać udział w nielegalnych wścigach, z których słynęło Long Island. Lubiała drzewa, trawę i krowy, lecz natura podobała się jej najbardziej, kiedy przemykała obok niej z szybkością stu dziesięciu mil na godzinę.

Jodie splatal i rozplatal ręce na piersi, wciskając się głęboko w środkowe siedzenie, bawił się pasem bezpieczeństwa i co chwile stukał Sachs swoim pancerzem.

- Przepraszam - mruknął.

Miała ochotę dać mu w pysk.

Okazało się, że dom nie pasował do okazalego podjazdu.

Chaotycznie zbudowany wielopoziomowy budynek, będący kombinacją dużych płaszczyzn i długich belek. Ruina, w którą w ciągu lat ładowano kupy federalnych pieniędzy, ale ani krzty pomysłu.

Noc była pochmurna, zasnutą oparami gęstej mgły, lecz mimo to Sachs zauważyła, że dom otacza ciasny krąg drzew. Wokół rozciągał się pas wolnego terenu szerokości dwustu jardów. Drzewa stanowiły dobrą osłonę dla lokatorów domu i jednocześnie wyznaczały doskonale miejsce, w którym można namierzyć i sprzątnąć każdego napastnika. W pewnej odległości widniało szarawe pasmo - zapewne las. Za domem znajdowało się duże, spokojne jezioro.

Reggie Eliopolos wygramolił się z furgonetki i dał znak reszcie, by też wysiedli. Zaprowadził ich do głównego wejścia. Tam przekazał ich pułkownikowi cywilowi, który sprawiał wrażenie wesołego, mimo że w ogóle się nie uśmiechał.

- Witam - powiedział. - Jestem komendant David Franks. Chciałbym powiedzieć parę słów o

domu. To najbardziej pewne ze wszystkich schronien dla swiadkow w calym kraju. Mamy czujniki masy i ruchu w calym budynku i w otoczeniu. Kazde przerwanie obwodu wlacza mnostwo alarmow. Komputer jest zaprogramowany tak, zeby wyczuwal ruch czlowieka i porownywal odczyt z waga, bo inaczej kazdy zablakany jelen albo pies uruchamialby alarm. Jezeli ktos - czlowiek - wejdzie tam, gdzie nie powinien, caly dom zaczyna sie swiecic jak Times Square w Wigilie Bozego Narodzenia. A jesli ktos postanowi podjechac pod dom konno? Pomyslelismy i o tym. Komputer rozpozna anomalie masy w polaczeniu z rozstawem kopyt zwierzecia i wlaczy alarm. W ogole kazdy ruch - nawet szopa czy wiewiorki - wlacza kamery na podczerwien.

- Aha, jestesmy tez obserwowani przez radar na regionalnym lotnisku Hampton, wiec o kazdej probie ataku z powietrza bedziemy wiedziec ze sporym wyprzedzeniem. Jezeli cokolwiek sie wydarzy, uslyszycie syrene i byc moze zobaczycie swiatla. Wtedy macie po prostu zostac tam, gdzie jestescie. I nie wychodzic z domu.

- Jak wyglada straz? - spytala Sachs.

- W samym domu czterech funkcjonariuszy. Dwoch w wartowni od frontu i dwoch z tylu domu, obok jeziora. Po naciśnięciu guzika alarmowego w ciagu dwudziestu minut zjawia sie woz chlopcow z brygady specjalnej.

Mina Jodiego mowila, ze dwadziescia minut to o wiele za dlugo. Sachs byla podobnego zdania.

Eliopolos spojrzal na zegarek.

- O szostej przyjedzie pancerna furgonetka, zeby zabrac pania do sadu. Przykro mi, ze nie zdazy sie pani za bardzo wyspac.

- Zerknal na Percey. - Gdyby jednak wczesniej mnie posluchano, spedzilibyscie tu cala noc, cali i zdrowi.

Gdy prokurator odwrocil sie do drzwi, nikt nie wypowiedzial ani slowa pozegnania.

- Trzeba jeszcze wspomniec o kilku sprawach - ciagnal Franks. - Prosze nie wygladac przez okna. Tamten telefon - wskazal bezowy aparat w kacie salonu - jest bezpieczny. Tylko z tego wolno wam korzystac. Telefony komorkowe prosze wylaczyc i nie korzystac z nich pod zadnym pozorem. To tyle. Jakies pytania?

- Tak, znajdzie sie tu jakas butelczyna? - zapytala Percey.

Franks pochylil sie i z szafki wydobyl butelke wodka i butelke burbona.

- Cieszymy sie, gdy nasi goscie sa zadowoleni.

Postawil butelki na stole i podszedl do drzwi wyjsciowych, narzucajac po drodze kurtke.

- Ide do domu. Dobranoc, Tom - powiedzial do gliniarza przy drzwiach i skinal glowa czworce nowych lokatorow, ktorzy wygladali dosc absurdalnie, stojac nad dwiema butelkami alkoholu

pośrodku pokoju przypominającego wewnątrz domku myśliwskiego. Ze ścian pokrytych lakierowanym drewnem spoglądało na nich kilkanaście łbów jeleni i losi.

Nagle rozdzwonił się telefon i na ten dźwięk wszyscy drgnęli. Jeden z policjantów podniósł słuchawkę po trzecim dzwonku.

- Halo?

Spojrzał niepewnie na dwie kobiety.

- Amelia Sachs?

Skinęła głową i wzięła słuchawkę.

Dzwonił Rhyme.

- Sachs, bezpiecznie tam?

- Na to wygląda - powiedziała. - Wszędzie technika najnowszej generacji. A jak z ciałem?

- Na razie nic. Na Manhattanie zgłoszono zaginięcie czterech mężczyzn w ciągu ostatnich czterech godzin. Sprawdzamy wszystkich. Jest tam Jodie?

- Tak.

- Zapytaj go, czy Trumniarz wspominał coś o nowej tożsamości.

Przekazała pytanie.

Jodie zamyslił się.

- Przypominam sobie, jak coś mówił... nic konkretnego. Powiedział tylko, że jeżeli chce się kogoś zabić, trzeba przeprowadzić rozpoznanie, ocenić, zmylić wroga, odizolować i wyeliminować cel. Czy coś podobnego. Nie pamiętam dokładnie. Mówił, że można zmylić wroga, wysyłając z zadaniem kogoś innego, a gdy wszyscy zwrócą na niego uwagę, wtedy on atakuje. Chyba wspominał coś o dostawcy albo czyszcibucie.

Twoja najniebezpieczniejsza broń jest podstęp...

Kiedy Sachs przekazała jego słowa Rhyme'owi, ten rzekł:

- Wydaje się nam, że to zwłoki młodego biznesmena. Może adwokata. Zapytaj Jodiego, czy Trumniarz mówił coś o próbie wejścia do sadu podczas posiedzenia przysięgłych.

Jodie nic takiego sobie nie przypominał.

- Dobra, Sachs, dzięki. - Usłyszała, jak Rhyme wolał coś do Mela Coopera. - Zadzwoń później.

Kiedy odłożyła słuchawkę, Percey zapytała ją:

- Masz ochotę na jednego?

Sachs nie była pewna, czy ma. Wzdrygnęła się na wspomnienie o szklaneczce szkockiej, po której nastąpiło fiasko w łozku Lincolna Rhyme'a. Lecz pod wpływem impulsu powiedziała:

- Czemu nie.

Roland Bell uznał, że na pół godziny może przerwać służbę.

Jodie wolał szybkiego, leczniczego kielicha, po którym skierował się do sypialni, sciskając pod pachą swój poradnik i gapiąc się na ogromny łeb losia z zachwytem typowym dla chłopaka z miasta.

W gestym wiosennym powietrzu rozbrzmiewała muzyka cykad i niepokojące nawoływania zab.

Patrząc przez okno w półmrok wczesnego poranka, Jodie widział snopy światel szperaczy przenikające mgłę. Tanczące cienie kładły się po bokach - tam gdzie między drzewami przepływały pasma mgły.

Odszedł od okna, zbliżył się do drzwi swojego pokoju i wyjrzał na zewnątrz.

Dwaj strażnicy pilnujący korytarza siedzieli w małym pokoiku oddalonym o dwadzieścia stop. Wyglądali na znudzonych i niezbyt czujnych.

Począł nasłuchiwać, lecz słyszał tylko odgłosy skrzypienia i stuki typowe dla starego domu, który szykował się do snu.

Jodie wrócił do łozka i usiadł na zdeformowanym materacu. Wzjął do ręki swój sfatygowany poradnik „Koniec z zależnością”. No, to do roboty, pomyślał.

Otworzył książkę szeroko, aż pekiło klejenie na grzbiecie, po czym oderwał wąski pasek taśmy przyklejony u dołu grzbietu. Na łozko wypadł długi noz. Wyglądał jak zrobiony z czarnego metalu, choć w rzeczywistości ostrze wykonano z polimeru z ceramiczną impregnacją i nie sposób było go wykryć detektorem metali. Noz był poplamiony i matowy, z jednej strony ostry jak brzytwa, z drugiej pokryty zabkami jak piła chirurgiczna. Rekojesc oklejała taśmą. Jodie sam go zaprojektował i wykonał. Jak większość niebezpiecznej broni, nie był efektowny ani piękny; miał tylko jedną zaletę - zabijał. I to doskonale.

Bez wahania wzięł noz do ręki - spokojnie dotykał też klamek i okien - ponieważ od niedawna był właścicielem nowych linii papilarnych. Skoro na opuszkach palców wypalił mu chemicznie w zeszłym tygodniu chirurg w Bernie i za pomocą lasera używanego w mikrochirurgii wyrył w świeżych bliznach nowe linie. Jego własne odciski miały się zregenerować, ale nie wcześniej niż za parę miesięcy.

Siedząc na brzegu łozka z zamkniętymi oczami, ujrzał w wyobraźni wspólny pokój i zaczął go przemierzać w myślach, zapamiętując każde drzwi, okno, mebel, każdy kiczowaty pejzaz na ścianie,

rogi losi nad kominkiem, popielniczki, bron i wszystko, co mogło stać się bronią. Jodie miał tak dobrą pamięć, że mógłby przejść przez ten pokój z zawiązanymi oczami, nie dotykając żadnego krzesła ani stolika.

Zatopiony w myślach, skierował swe wyimaginowane kroki do telefonu w rogu i przez chwilę zastanawiał się nad systemem łączności w domu. Doskonale wiedział, jak działa (większość wolnych chwil wykorzystywał na studiowanie podręczników o systemach zabezpieczeń i łączności), miał więc świadomość, że jeśli przetnie linie, spadek napięcia spowoduje wysłanie sygnału alarmowego do panelu kontrolnego u strażników i prawdopodobnie też do biura terenowego. Dlatego linie telefoniczna lepiej zostawić w spokoju.

To nie problem, tylko czynnik.

Jego pamięć ruszyła dalej. Oglądał kamery wideo w salonie - o których strażnicy „zapomnieli” im powiedzieć. Były ustawione w kształcie litery Y - oszczędnościowym układzie, zaprojektowanym na potrzeby rządowego obiektu strzeżonego przez specjalistę od zabezpieczeń, który musiał się liczyć z ograniczeniami budżetu. Ten system też znał, wiedział więc, że ma istotną wadę - wystarczy tylko mocno stuknąć w środek soczewek obiektywu. Wówczas rozstrajala się cała optyka; ekran monitora kontrolnego stawał się czarny, ale nie włączał się alarm, czym groziło przecięcie kabla koncentrycznego.

Co do świateł... Mógł odłączyć sześć - nie, pięć - z osmiu świateł, które widział w domu, lecz nie więcej. Przynajmniej dopóki będą żyli strażnicy. Zapamiętał lokalizacje wszystkich lamp i włączników, po czym kontynuował zwiedzanie domu w myślach. Pokój telewizyjny, kuchnia, sypialnie. Myślał o odległościach, katach widzenia z zewnątrz.

To nie problem...

Lokalizacja każdej z ofiar. Zastanawiał się, czy w ciągu ostatniego kwadransa mogli zmienić położenie.

...tylko czynnik.

Otworzył oczy. Pokiwał głową do siebie, wsunął noz do kieszeni i wymknął się za drzwi.

Cicho wszedł do kuchni, z suszarki nad zlewem wziął ukradkiem łyżkę cedzakową. Podeszedł do lodówki i nalal sobie szklanke mleka. Potem skierował się do wspólnego pokoju i zaczął krazyc między polkami z książkami, udając, że szuka czegoś do czytania. Mijając każdą kamerę, wyciągał rękę z łyżką w stronę obiektywu i stukał w soczewkę. Pozostawiwszy mleko i łyżkę na stole, poszedł do pokoiku strażników.

- Ty, popatrz na monitory - mruknął jeden z nich, próbując wyregulować obraz.

- Taa? - odezwał się drugi bez specjalnego zaciekawienia.

Jodie zbliżył się do pierwszego strażnika, który unosił wzrok i zapytał:

- Wszystko w porządku...?

Dwa szybkie ruchy i obfita struga ciemnej krwi trysnęła ze starannie wykonanego cicia w kształcie litery V na gardle. Partner strażnika wybaluszył oczy i sięgnął po broń, lecz Jodie wyszarpnął mu ją z ręki i wbił mu noż najpierw w gardło, a potem w piers. Mężczyzna padł na podłogę i dostał konwulsji. Głosna śmierć - tak jak Jodie się spodziewał. Ale nie mógł zadać strażnikowi więcej ciosów; potrzebował jego munduru, więc krwi musiało być jak najmniej.

Strażnik leżał na podłodze wstrząsany śmiertelnymi drgawkami i patrzył, jak Jodie zdejmuje zakrwawione ubranie. Jego oczy przesunęły się po ramieniu Jodiego i zatrzymały na tatużu.

Jodie pochylił się, by rozebrać strażnika i dostrzegł jego spojrzenie.

- To „Danse macabre” - powiedział. - Widzisz? Śmierć tańczy ze swoją następną ofiarą. Z tyłu stoi już jej trumna. Podoba ci się?

Zapytał z prawdziwej ciekawości, choć nie spodziewał się odpowiedzi. I jej nie usłyszał.

Rozdział trzydziesty szesty

45 godzin - godzina czterdziesta trzecia

Mel Cooper w lateksowych rekawiczkach stał nad ciałem młodego mężczyzny, znalezionym w Central Parku.

- Może odciski stop? - rzekł bez przekonania.

Linie papilarne na podeszwach stop były równie indywidualną cechą jak linie na palcach, lecz miały niewielką wartość, jeśli nie zdobyło się wzoru odcisków podejrzanego; nie były katalogowane w identyfikacyjnych bazach danych.

- Nie zawracaj sobie głowy - mruknął Rhyme.

Kto to u diabła jest? - zastanawiał się Rhyme, patrząc na leżące przed nim zmasakrowane zwłoki. Klucz do następnego ruchu Trumniarza. I to najgorsze z możliwych uczucie, jak swędzące miejsce, którego nie można podrapać. Miec przed sobą dowód, wiedzieć, że jest kluczowy dla sprawy, a jednocześnie nie móc go rozszyfrować.

Oczy Rhyme'a zbladziły na wieszace na ścianie tablice z listą dowodów. Z ciałem było podobnie jak z zielonymi włóknami znalezionymi w hangarze - ważny dowód, ale o niewiadomym znaczeniu.

- Coś jeszcze? - zapytał Rhyme lekarza z biura badań medycznych, który przywiozł tu ciało, młodego, łysiejącego człowieka, na którego wysokim czole perlily się grube krople potu. - Był homoseksualista, a ściśle rzecz ujmując, uprawiał praktyki homoseksualne w młodości. Częste stosunki analne, które ustaly jakiś czas temu.

- Co może oznaczać ta blizna? - pytał dalej Rhyme. - Ślad po operacji?

- Coż, wygląda na precyzyjne cięcie, ale nie wiem, z jakiego powodu mógł być operowany w tym miejscu. Może jakiś zator w jelitach. Chociaż gdyby nawet tak było, nigdy nie słyszałem o cięciu w tej części brzucha.

Rhyme zalował, że nie ma tu Sachs. Mogłby przerzucac się z nią pomysłami. Ona na pewno wpadłaby na coś, co on przeoczył.

Kto to mógł być? Rhyme wyteżal umysł. Identyfikacja była złożona nauka. Kiedyś ustalili tożsamość człowieka na podstawie jednego jedyne go zęba. Lecz cała procedura trwała zwykle kilka tygodni albo miesięcy.

- Sprawdźcie grupę krwi i DNA - rzekł Rhyme.

- Już badają - odparł lekarz. - Wysłałem próbki do miasta.

Gdyby był seropozytywny, mieli szansę go zidentyfikować, sprawdzając w szpitalach i u lekarzy. Lecz bez żadnego punktu zaczepienia badania krwi niewiele mogli zdziałać.

Odcisk palca...

Oddałbym wszystko za jeden ładny odcisk linii papilarnych, pomyślał Rhyme. Może...

- Zaraz! - Rhyme rozesmiał się w głos. - Fiut!

- Co? - zdumiał się Sellitto.

Dellray unosił tylko brew.

- Facet nie ma rak, ale jakiej części ciała na pewno dotykał przed śmiercią?

- Penisa - zawołał Cooper. - Jeżeli sikal w ciągu ostatnich kilku godzin, chyba będziemy mieli odcisk.

- Kto dokona ceremonii?

- Nie ma roboty... nie do zrobienia - rzekł technik, nakładając drugą warstwę rękawiczek lateksowych. Zabrał się do dzieła uzbrojony w listki do zdejmowania odcisków ze skóry. Zdjął dwa czyste i wyraźne ślady - kciuka z grzbietu i palca wskazującego ze spodniej części penisa.

- Doskonale, Mel.

- Tylko nie mów mojej dziewczynie - odparł z zaszewaniem. Wprowadził odciski do identyfikacyjnej bazy danych.

Na ekranie pojawił się komunikat: *Proszę czekać... Proszę czekać...*

Badz w kartotece, myślał zrozpaczony Rhyme. Błagam, badz w kartotece.

Był.

Ale gdy ukazał się wynik poszukiwań, Sellitto i Dellray, którzy stali najbliżej komputera, patrzyli

w ekran monitora z niedowierzaniem.

- Co jest, do cholery? - odezwał się detektyw.

- Co? - krzyknął Rhyme. - Kto to jest?

- To Kall.

- Co?!

- Stephen Kall - powtórzył Cooper. - Dwadzieścia cech wspólnych. Nie ma wątpliwości. - Cooper odnalazł odcisk, który ułożyli wcześniej z Sachs, by zidentyfikować Trumniarza. Położył wydruk obok świeżo zdjętych odcisków. - Identyczne.

Jak to...? - myślał Rhyme. Jak to możliwe?

- A jeśli to tylko odciski Kalla na fiucie tego gościa? - rzekł Sellitto. - Może Kall jest miłośnikiem lodu?

- Mamy przecież próbki DNA krwi Kalla, prawda? Krwi spod wieży hydrantu?

- Zgadza się - zawołał Cooper.

- Porównajcie - krzyknął Rhyme. - Chce wyników badań krwi pobranej ze zwłok. Natychmiast!

Nie był całkiem obojętny na poezję.

„Tanczący Trumniarz”... podoba mi się, pomyślał. O wiele lepsze niż „Jodie” - imię, jakie przybrał do tego zadania, ponieważ brzmiało niegroźnie. Głupie, zdrobniałe imię.

Trumniarz...

Wiedział, że imiona i nazwy są ważne. Czytał filozofów. Akt nazywania - określenia - jest cechą charakterystyczną tylko dla gatunku ludzkiego. Trumniarz mówił teraz w duchu do nieżyjącego, pozbawionego rak Stephena Kalla: To o mnie słyszałeś. To ja nazywałem swoje ofiary „zwłokami”. Ty mówiłeś o nich Zony, Mezowie, Przyjaciele, wszystko jedno.

Ale kiedy ja dostaję zadanie, są już zwłokami. Niczym więcej.

Ubrany w mundur strażnika federalnego ruszył w głąb ciemnego korytarza, zostawiwszy w pokoju ciała dwóch strażników. Oczywiście nie udało mu się uniknąć kontaktu z krwią, lecz w mroku domu nikt nie mógł zobaczyć, że na granatowym mundurze widnieją czerwone plamy.

Szedł do zwłok numer trzy.

Do Zony, jeśli wolisz, Stephen. Ale z ciebie było zagubione i nerwowe stworzenie. Te twoje wyszorowane rece i niezdecydowany fiut. Maz, Zona, Przyjaciel...

Przeprowadzić rozpoznanie, ocenić, zmylić wroga, wyeliminować cel...

Och, Stephen... Mogłbym cię nauczyć, że w tym biznesie liczy się tylko jedna zasada: trzeba zawsze iść krok przed wszystkimi.

Miał dwa pistolety, ale jeszcze z nich nie skorzystał. Nie chciał działać pochopnie. Gdyby mu się teraz nie udało, nie będzie już drugiej okazji zabicia Percey Clay przed posiedzeniem sądu przysięgłych, które miało się odbyć dziś rano.

Cicho wsunął się do salonu, gdzie siedziało dwóch strażników. Jeden czytał gazetę, drugi oglądał telewizję.

Pierwszy unosił głowę i spojrzał na Trumniarza. Zobaczył mundur, więc wrócił do gazety. Po chwili jednak ponownie unosił wzrok.

- Czekaj - rzekł, uświadamiając sobie nagle, że nie zna tej twarzy.

Lecz Trumniarz nie czekał.

Odpowiedzią był szybki ruch; błyskawicznie przeciął obie tętnice szyjne. Człowiek pochylił się naprzód i umarł na szóstej stronie „Daily Mail” tak cicho, że jego partner nie odwrócił się nawet od telewizora, na którego ekranie jakaś blondynka obficie obwieszona złotą biżuterią opowiadała, jak dzięki medium poznała swojego chłopaka.

- Czekac? Na co? - zapytał drugi strażnik, nie odrywając wzroku od ekranu.

Umierał trochę głośniejszym niż jego partner, ale wydawało się, że nikt w domu i okolicy niczego nie słyszał. Trumniarz położył obydwa ciała płasko na podłodze i zawlokł pod stół.

Przy tylnych drzwiach upewnił się, że we framudze nie ma żadnych czujników, a potem wymknął się na zewnątrz. Dwaj strażnicy od frontu rozglądali się czujnie, ale nie patrzyli w stronę domu. Jeden z nich zerknął przelotnie na Trumniarza, pozdrowił go skinieniem głowy i wrócił do lustrowania terenu. Na niebie pojawił się pierwszy promień słońca, lecz było jeszcze za ciemno, by widzieć twarze. Obaj strażnicy zginęli prawie bezgłośnie.

Natomiast ostatnich dwóch, nad jeziorkiem, Trumniarz zaszedł od tyłu. Najpierw wbił jednemu noż głęboko w plecy, aż ostrze sięgnęło serca, a potem rozplątał gardło drugiego. Leżąc w agonii na ziemi, pierwszy strażnik wydal z siebie żalony krzyk. Lecz znowu najwyraźniej nikt niczego nie usłyszał. Trumniarz uznał, że dźwięk bardzo przypomina skrzek nura, budzącego się w piękny, rozowoszary ranek.

Zanim nadszedł faks z badaniami DNA, Rhyme i Sellitto zdążyli zaciągnąć ogromny dług u nowojorskich biurokratów. Przeprowadzono szybki test wersji testu lancuchowej reakcji polimerazy; wynik był praktycznie bezdyskusyjny. Prawdopodobieństwo, że zwłoki nie są szczątkami Stephena Kalla, wynosiło jeden do sześciu tysięcy.

- Ktoś go zabił? - mruknął z niedowierzaniem Sellitto. Jego straszliwie pognieciona koszula

wygladala jak probka wlokna powiekszona piecset razy. - Po co?

„Po co?” - nie pytal zaden specjalista kryminalistyki.

Dowody... myslal Rhyme. Licza sie tylko dowody.

Spojrzał na tablice z roznych miejsc zbrodni, przygladajac sie po kolei wszystkim wynotowanym dowodom. Wlokna, pociski, stluczone szklo...

Analizuj! Mysl!

Znasz cala procedure. Robiles to miliony razy.

Identyfikujesz fakty. Okreslasz je ilosciowo i klasyfikujesz. Formulujesz zalozenia. I wyciagasz wnioski. Sprawdzasz...

Zalozenia, myslal Rhyme.

Od poczatku sprawy oparli sledztwo na jednym oczywistym zalozeniu - na przekonaniu, ze Tanczacym Trumniarzem jest Stephen Kall. A jezeli nie? Jesli byl tylko pionkiem i Trumniarz uzywal go jako broni?

Podstep...

Jesli tak, powinien istniec jakis dowod niepasujacy do reszty. Cos, co moglo wskazac prawdziwego Trumniarza.

Poczal uwaznie studiowac tablice.

Wszystko jednak zostalo wyjasnione, procz zielonych wlokien. Ktore nic mu nie mowily.

- Nie mamy zadnego ubrania Kalla, co?

- Kiedy go znalezlismy, byl zupełnie nagi - powiedzial lekarz.

- Niczego, z czym mial kontakt?

Sellitto wzruszyl ramionami.

- Chyba tylko Jodie.

- Jodie przebral sie tutaj, prawda? - spytal Rhyme.

- Zgadza sie - odrzekl Sellitto.

- Przynieście tu jego ubranie. Chcialbym rzucic na nie okiem.

- Jest wyjatkowo nieprzyjemne - rzekl z niesmakiem Dellray.

Cooper odnalazł i przyniósł ubranie. Nad czystą plachtą papieru gazetowego przejechał je szczotka i wytrzepał. Probki materiału umieścił między płytkami i wsunął pod mikroskop.

- Co mamy? - spytał Rhyme, patrząc na ekran komputera, na którym miał wierne odbicie obrazu z mikroskopu.

- Co to za białe ziarenka? - zapytał Cooper. - Mnóstwo ich. Były w szwach spodni.

Rhyme poczuł, że twarz oblewa mu fala gorąca. Częściowo winne było nieregularne ciśnienie krwi wynikające z wyczerpania, częściowo tajemniczy ból, który nekał go od czasu do czasu. Ale przede wszystkim powodem była gorączka pościgu.

- O, Boże - szepnął.

- Co, Lincoln?

- To oolit.

- Co za pieprzony oolit? - spytał Sellitto.

- Ikrowiec. Lotny piasek. Można go znaleźć na Bahamach.

- Na Bahamach? - odezwał się Cooper, marszcząc brwi. - Przy jakiej okazji słyszeliśmy o Bahamach? Nie pamiętam.

Lecz Rhyme pamiętał. Jego oczy spoczęły na tablicy, do której przypięty był raport analityka FBI na temat piasku znalezionej przez Amelie Sachs w zeszłym tygodniu w samochodzie Tony'ego Panellego - zaginionego agenta.

Przeczytał:

Substancja dostarczona do analizy, formalnie rzecz biorąc, nie jest piaskiem. To koralowe odłamki z rafy, wśród których można wyróżnić morskie bezkregowce, fragmenty morskich pierszcienic, muszli brzuchonogów i otwornic. Najbardziej prawdopodobne miejsce pochodzenia to północna część Karaibów: Kuba, Bahamy.

Agent Dellraya, pomyślał Rhyme... Człowiek, który znalazł lokalizację najlepiej strzeżonego federalnego domu na Manhattanie. I który mógł zdradzić adres torturującemu go porywaczowi.

Trumniarz mógł więc tam czekać, czekać na Stephena Kalla, żeby okazać mu życzliwą pomoc. Potem mógł załatwić wszystko tak, żeby go złapano i umieszczono niedaleko ofiar.

- Leki! - krzyknął Rhyme.

- Co? - spytał Sellitto.

- Gdzie ja miałem głowę? Dealerzy nie rozcienczą leków przepisywanych przez lekarzy! Za

duzo z tym zawracania glowy. Tylko uliczne narkotyki!

Cooper skinal glowa.

- Jodie nie rozcienczal lekow wedlug formuly niemowlecej. Po prostu je wyrzucal. Sam bral placebo, zebysmy mysleli, ze jest cpunem.

- To Jodie jest Trumniarzem! - zawolal Rhyme. - Telefon! Dzwon do nich!

Sellitto podniosl sluchawke i wstukal numer.

Czy nie za pozno?

Och, Amelio, co ja zrobilem? Zabilem cie?

Niebo powoli przybieralo barwe metalicznego rozu.

Gdzies w oddali zawyla syrena.

Sokol wedrowny - samczyk - obudzil sie i wybieral sie na lowy.

Lon Sellitto uniosl znad telefonu zrozpaczone spojrzenie.

- Nikt nie odpowiada - oznajmil.

Rozdział trzydziesty siódmy

45 godzin - godzina czterdziesta czwarta

Przez jakiś czas rozmawiali we trojke w pokoju Percey.

O samolotach, samochodach i pracy w policji.

Potem Bell poszedł się położyć, a Percey i Sachs rozmawiali o facetach.

Wreszcie Percey położyła się i zamknęła oczy. Sachs wyjęła jej z dłoni szklaneczkę burbona i zgasiła światło. Postanowiła też spróbować zasnąć.

Przystanęła w korytarzu, by spojrzeć w jasniejące świtem niebo - różowopomarańczowe - kiedy zdążyła sobie sprawę, że od dłuższego czasu w głównym korytarzu dzwoni telefon.

Dlaczego nikt nie odbiera?

Poszła dalej w głąb korytarza.

Nie widziała strażników, którzy powinni być w pobliżu. Dom wydawał się ciemniejszy niż przedtem. Wygaszono większość świateł. Ponure miejsce, pomyślała. Wzbudza grozę. Czula woniosy i pleśń. Czegoś jeszcze? Wydawało się jej, że w powietrzu unosi się jeszcze jakiś zapach, dziwnie znajomy. Co to było?

Cos związanego z miejscami zbrodni. Była zbyt zmęczona, żeby dokładnie rozpoznać te wonie.

Telefon dzwonił dalej.

Minęła pokój Rolanda Bella. Drzwi były lekko uchylone, więc zajrzała. Detektyw siedział na fotelu zwrócony plecami do drzwi, a twarzą do zaslonietego okna, z głową zwieszoną na piersi i założonymi rękami.

- Detektywie?

Nie odpowiedział.

Gleboko spał. Och, jak bardzo sama chciała zasnąć. Zamknęła cicho drzwi i poszła korytarzem do swojego pokoju.

Myslała o Rhymie. Miała nadzieję, że on też spi. Kiedyś widziała jeden z jego ataków zaburzenia dysrefleksji. To był straszny widok i nie chciała, by jeszcze raz przez to przechodził. Telefon ucichł w pol dzwonka. Zerknęła w stronę, z której dobiegał dźwięk, zastanawiając się, czy ktoś nie dzwonił do niej. Nie słyszała głosu osoby, która odebrała telefon. Zaczekała chwilę, lecz nikt jej nie zawołał.

Cisza. Jakis stukot, potem skrobnięcie. I znowu cisza.

Weszła do pokoju. Ciemno. Odwróciła się, by namacac włącznik i ujrzała parę oczu, w których odbijało się światło z korytarza.

Z prawa reka na kolbie glocka odwróciła się w lewo i zapaliła światło. Szklanymi oczami patrzył na nią rogaty lew jelenia.

- Martwe zwierzęta - mruknęła. - Ale pomyśl na dekoracje bezpiecznego domu...

Zdjęła bluzę, potem kamizelkę kuloodporną - oczywiście nie tak grubą jak pancerz Jodiego. Ale z niego model. Jak to mówił o nim Dellray? Szczaplak. Chudy jak szczapa. Głupi wymoczek.

Zaczęła się wściekle drapać pod podkoszulkiem. Drapała piersi, plecy pod biustonoszem, boki.

Uuuu, jak dobrze.

Była zmęczona, ale czy będzie w stanie zasnąć?

Łóżko wyglądało cholernie zachęcająco.

Nalozyla z powrotem bluzę, zapięła i położyła się. Zamknęła oczy. Słyszała jakies kroki?

Pewnie strażnik robi sobie kawę.

Chcesz zasnąć? Oddychaj głęboko...

Sen nie nadchodził.

Otworzyła oczy, spoglądając w lukowaty sufit.

Tanczący Trumniarz. Jak ich będzie chciał zaatakować? Jaka broń?

Jego najniebezpieczniejsza broń jest podstęp...

Zerkając przez szparę w zasłonach okiennych, ujrzała piękny, szary świt. Drzewa w oddali przykrywała delikatna zasłona mgły.

Gdzies w glebi domu rozlegl sie gluchy lomot. Czyjes kroki.

Sachs spuscila stopy na ziemie i usiadla.

Moge dac sobie spokoj ze spaniem i zrobic kawy. Jeszcze zdaze sie dzisiaj wyspac.

Poczula nagle chec, by porozmawiac z Rhyme'em i dowiedziec sie, czy czegos nie odkryl. Pewnie powie: „Gdybym cos znalazl, zadzwonilbym do ciebie. Powiedzialem, ze sie odezwe”.

Nie, nie chciala go budzic, ale watpila, ze spi. Wyjela z kieszeni telefon komorkowy i wlaczyła. Zaraz jednak przypomniała sobie, ze Franks kazal im korzystac tylko z linii w salonie.

Juz miala wylaczyc telefon, gdy glosno zadzwonil.

Wzdrygnela sie - nie na dzwiek przeszywajacego cwierkania, ale na mysl, ze Trumniarz jakos znalazl jej numer i chce sie upewnic, ze ona tez jest w domu. Przemknela jej przez glowe mysl, ze mogl podlozyc w telefonie bombe.

Niech cie szlag, Rhyme, widzisz, w jaki klebek nerwow sie zmienilam!

Nie odbieraj, powiedziala do siebie.

Ale instynkt jej podpowiadal, zeby odebrala. Wprawdzie kryminalistycy tlumia intuicje, ale gliniarze z patroli - z ulicy - zawsze sluchaja wewnetrznego glosu. Wyciagnela antene telefonu.

- Tak?

- Dzieki Bogu... - Zmrozila ja drgajaca w glosie Lincolna Rhyme'a panika.

- Rhyme, co sie...

- Posluchaj mnie uwaznie. Jestes sama?

- Tak, o co chodzi?

- Jodie to Trumniarz.

- Co?

- Stephen Kall byl przyneta, mial odwrocic nasza uwage. Jodie go zabil. To jego zwloki znaleziono w parku. Gdzie Percey?

- W swoim pokoju. Jak...

- Nie ma czasu. Jodie wlasnie do niej idzie. Jezeli straznicy jeszcze zyja, powiedz im, zeby zajeli stanowiska obronne w ktorymys pokoju. Dellray wyslal do was brygade specjalna, ale przyjada dopiero za jakies dwadziescia minut.

- Przecież tu jest osmiu strażników. Nie mogli wszystkich...

- Sachs - powiedział ostro - pamiętaj, kto to jest. Ruszaj! Odezwij się, kiedy będziecie bezpieczni.

Bell! - pomyślała, przypominając sobie jego nieruchomą sylwetkę, spuszczone głowę.

Skoczyła do drzwi, otworzyła je na oścież, sciskając broń w rękę. Salon i korytarz były ciemną pustką. Do pokoi syczało się tylko przez okna blade światło poranka. Nasłuchiwała. Szuranie. Szczęk metalu. Ale skąd dobiegały te dźwięki?

Skreśliła do pokoju Bella, idąc jak najciszej.

Ktoś rzucił się na nią, zanim zdążyła przestąpić próg.

Kucnęła, kierując głowę w stronę napastnika. Wydał gardłowy pomruk i wytracił jej pistolet z ręki. Instynktownie pchnęła go, przygniatając plecami do ściany.

Sięgnęła po sprezynowiec.

- Czekaj, o co... - sapnął Roland Bell.

Sachs puściła jego koszulę.

- To ty!

- Miałeś się nie zesz... ze strachu.

- Nic ci nie jest?

- Drzemalem jakąś minutkę. Co się dzieje?

- Jodie to Trumniarz. Właśnie dzwonił Rhyme.

- Co? Jak to?

- Nie wiem. - Rozejrzała się, drżąc w panice. - Gdzie strażnicy?

Korytarz był pusty.

Wtedy Sachs rozpoznała zagadkowy zapach. Krew! Wonię rozgrzanej miedzi. Wiedziała już, że strażnicy nie żyją. Podniosła z podłogi swoją broń. Zmarszczyła brwi, przyglądając się kolbie. Miejsce, gdzie powinien być magazynek, było puste.

- Nie!

- Co jest? - spytał Bell.

- Nie ma magazynka. - Pomacała pas. Nie miała też dwóch zapasowych magazynków.

Bell wyciągnął swoją broń - Glocka i Browninga. Oba pistolety nie miały magazynków. Komory też były puste.

- W samochodzie! - wyjąkała. - Załóż się, że zrobił to w samochodzie. Siedział między nami. Przez cały czas się wiercił i nas tracał.

- W salonie widziałem skrzynie z bronią - rzekł Bell. - Powinno w niej być kilka strzelb myśliwskich.

Przypomniała sobie.

- Tam - wskazała.

Dostrzegli skrzynie w bladym świetle poranka. Bell rozejrzał się, po czym przypadł do kufra, a Sachs pobiegła do pokoju Percey i zajrzała do środka. Kobieta spokojnie spała w łóżku.

Sachs wycofała się na korytarz, otworzyła nos i kucnęła, mrużąc oczy. W chwili później wrócił Bell.

- Włamał się do środka. Zniknęły wszystkie strzelby. Nie ma też amunicji do broni krótkiej.

- Bierzemy Percey i wiemy.

Usłyszeli dobiegający z niedaleka odgłos kroków. Szczek odbezpieczonego zamka.

Chwyła Bella za kołnierz i pociągnęła na podłogę.

Huk wystrzału był ogluszający. Kula smignęła tuż nad ich głowami. Sachs poczuła won palonych włosów - własnych. Jodie musiał zgromadzić spory arsenał - miał pewnie broń wszystkich strażników - ale strzelił ze strzelby myśliwskiej.

Biegiem rzucili się do pokoju Percey. Drzwi otworzyły się dokładnie w momencie, gdy ich dopadli, a na progu stała Percey, mówiąc:

- Boże, co się...

Roland Bell wpełchnął ją z powrotem do pokoju, przygniatając całym ciałem do podłogi. Sachs wpadła na nich. Zatrzaskała drzwi, przekreśliła klucz i podbiegła do okna, otwierając je na oścież.

- Już, już, już...

Bell poderwał z podłogi ogluszona Percey Clay i zaniósł w kierunku okna. Kilka grubych pocisków na jeniec rozpruło drzwi wokół zamka.

Zadne z nich nie popatrzyło, czy Trumniarzowi udało się sforsować drzwi. Wygramolili się przez

okno w blask switu i ruszyli po okrytej rosa trawie.

Rozdział trzydziesty osmy

45 godzin - godzina czterdziesta czwarta

Sachs przystanęła obok jeziora. Ponad szarą, nieruchomą powierzchnią wody unosiły się widmowe strzępy mgły o różowym i czerwonym zabarwieniu.

- Chodźcie - krzyknęła do Bella i Percey. - Dojdziemy do tych drzew.

Wskazała znajdującą się najbliżej naturalną osłonę - szeroki pas drzewa po drugiej stronie jeziora. Dzielilo ich od niego ponad sto jardów, ale bliżej nie było żadnego schronienia.

Sachs spojrzała przez ramię na dom. Jodiego ani śladu. Kucnęła nad zwłokami jednego ze strażników. Oczywiście mieli puste kabury i opróżnione kieszenie na zapasowe magazynki. Wiedziała, że Jodie zabrał broń, ale miała nadzieję, że o jednym nie pomyślał.

Jest przecież tylko człowiekiem, Rhyme...

Przeszukując ostygie ciało, znalazła to, czego szukała. Podciągnęła nogawkę spodni strażnika i z kabury nad kostką wydobyla jego zapasową broń. Idiotyczny gnat. Mały, pięciostrzałowy kolt z dwucalową lufą.

Znow zerknęła na dom dokładnie w chwili, gdy w oknie ukazała się twarz Jodiego. Unosił strzelbę myśliwską. Sachs obróciła się, oddając pojedynczy strzał. Pocisk rozbil szybę kilka cali od twarzy mordercy. Jodie cofnął się w głąb pokoju.

Sachs ruszyła sprintem za Bellem i Percey, którzy biegiem okrążyli jezioro, przemykając zrywkami po pokrytej rosą trawie.

Oddalili się prawie sto jardów od domu, kiedy padł pierwszy strzał. Huk odbił się echem od drzew, a pocisk wyrwał kawałek ziemi tuż obok nogi Percey.

- Kryć się! - zawołała Sachs. - Tutaj. - Wskazała płytkie obniżenie terenu.

Zanim rozległ się drugi strzał, padli na ziemię. Gdyby Bell stał, kula trafiłaby go dokładnie między łopatki.

Od najbliższej kępy drzew, która dałaby im schronienie, wciąż dzieliło ich około pięćdziesięciu stop. Jednak próba pokonania tej odległości równała się samobójstwu. Jodie miał tak samo doskonale oko jak Stephen Kall. Sachs uniosła na chwilę głowę.

Nic nie zobaczyła, ale usłyszała eksplozję. Ułamek sekundy później pocisk swisnął w powietrzu tuż obok niej. Poczuli to samo przenikające do szpiku kości przerażenie, co wtedy na lotnisku. Wtuliła w chłodną trawę twarz, mokra od rosy i potu. Zaczęły drzeć jej ręce.

Bell wyrzwał i zaraz opuścił głowę.

Następny strzał. Kawal ziemi wyrwany parę cali od twarzy detektywa.

- Chyba go widziałem - rzekł Bell. - W krzakach, na prawo od domu. Na wzgórzu.

Sachs trzy razy szybko zaczerpnęła powietrza. Potem przeturlała się pięć stop w prawo, wystawiła na moment głowę i szybko schowała.

Jodie tym razem nie strzelił, więc miała okazję lepiej się przyjrzeć. Bell miał rację: morderca był na zboczu wzgórza i mierzył do nich ze strzelby na jelenie, zaopatrzonej w celownik optyczny; zobaczyła słaby błysk lunety. Jednak z tego miejsca nie mogli ich trafić, jeśli pozostali rozciągnięci na dnie zagłębienia w ziemi. Musiał tylko wejść wyżej. Ze szczytu wzniesienia mogłby strzelać wprost do niecki, w której się ukryli - idealnej strefy rażenia.

Minęło pięć minut bez jednego strzału. Pewnie Jodie wspina się na wzgórze - ostrożnie, bo wiedział, że Sachs ma bron i przekonał się o jej umiejętnościach strzeleckich. Zdołają przeczekać? Kiedy zjawi się helikopter oddziału specjalnego?

Sachs zacisnęła oczy, wdychając zapach ziemi i trawy.

Pomyślała o Lincolnie Rhymie.

Znasz go lepiej niż ktokolwiek inny, Sachs...

Nigdy nie poznasz sprawcy, jeśli nie przejdiesz drogi, która on szedł, dopóki po nim nie posprzątasz...

Ależ Rhyme, pomyślała, przecież to nie Stephen Kall. Jodie nie jest morderca, którego znam. Nie byłam w miejscach jego zbrodni. To nie do jego umysłu zaglądałam...

Szukała wzrokiem jakiejś niżej położonej drogi, która bezpiecznie mogłoby się dostać między drzewa, ale nic nie znalazła. Gdyby ruszyli się o pięć stop w którąkolwiek stronę, Jodie miałaby sposobność do oddania celnego strzału.

Zreszta gdy tylko dotrze na szczyt wzniesienia, będzie ich miał jak na dłoni.

Cos jej nagle przyszło do głowy. Ze miejsca zbrodni, które zabezpieczala, były w istocie miejscami zbrodni, które popełnił Trumniarz. Rzecz jasna to nie on zastrzelił Brita Hale'a ani nie podłożył bomby, która rozsądziła samolot Eda Carneya, ani nie zadzgał Johna Innelmana w piwnicy biurowca. Lecz to Jodie był sprawca.

Wejdz w jego umysł, Sachs - usłyszała w głowie głos Lincolna Rhyme'a.

Jego najniebezpieczniejsza... moja najniebezpieczniejsza broń jest podstęp.

- Słuchajcie - zawołała, odwracając się. - Cofnijcie się tutaj. - Pokazała płytki wawoz.

Bell posłał jej wściekłe spojrzenie. Zobaczyła, że on też chce za wszelką cenę dostać Trumniarza. Lecz z wyrazu jej oczu odczytał, że morderca ma być jej i tylko jej zdobyczą. Bez dyskusji. Dostała te szanse od Rhyme'a i nic na świecie nie było w stanie jej powstrzymać.

Detektyw z powagą skinał głową i pociągnął Percey do ledwie widocznej bruzdy w ziemi.

Sachs sprawdziła rewolwer. Zostały cztery pociski.

Mnostwo.

O wiele więcej niż potrzeba...

Jeżeli mam rację.

A mam? - zastanawiała się z twarzą wcisniętą w pachnącą i mokrą ziemię. Uznała, że tak - ma rację. Frontalny atak nie był w stylu Trumniarza.

Podstęp...

Właśnie tym go poczęstuje.

- Nie podnoscie się. Cokolwiek się stanie, nie podnoscie się z ziemi. - Stanela na czworakach, wyglądając na zewnątrz niecki. Oddychała powoli, przygotowując się.

- Amelio, to strzał ze stu jardów - szepnął Bell. - Nie przeceniasz się?

Zignorowała jego uwagę.

- Amelio - powiedziała Percey. Przez chwilę patrzyła jej w oczy. Obie kobiety usmiechnęły się do siebie.

- Głowa w dół - rozkazała Sachs, a Percey posłusznie wtuliła się w trawę.

Amelia Sachs wstała.

Nie kucala, nie zwróciła się bokiem, by wystawić na strzał mniejszą powierzchnię ciała. Przyjęła

klasyczna pozycje strzelecka, trzymajac oburacz malenki rewolwer. Zwrocona twarza w strone domu, jeziora, przyczajonej na zboczu wzniesienia postaci, ktora kierowala wprost na nia celownik optyczny. Bron wydawala sie jej lekka jak szklaneczka ze szkocka.

Wziela na cel blask odbity od lunety, odleglej o dlugosc boiska do pilki noznej.

Na twarzy czula pot i mgle.

Oddychaj, oddychaj...

Nie spiesz sie.

Czekaj...

Dreszcz przebiegl jej po plecach, zadrzaly ramiona i rece. Nie pozwolila ogarnac sie panice.

Oddychaj...

Nasluchuj, nasluchuj.

Oddychaj...

Teraz!

Odwrocila sie, padajac na kolana w momencie, gdy w odleglosci piecdziesieciu stop za nia wypalila strzelba wystajaca spomiedzy drzew. Kula swisnela tuz nad jej glowa.

Sachs znalazla sie oko w oko z zaskoczonym Jodiem, ktory wciaz trzymal strzelbe przy policzku. Zorientowal sie, ze nie udalo mu sie jej wykiwac. Ze rozgryzla jego taktyke. Wczesniej strzelil kilka razy znad jeziora, a potem przywlokl na wzniesienie cialo jednego ze straznikow i zostawil przy nim strzelbe, by odbijajace sie od niej swiatlo zatrzymalo ich w ukryciu, a sam pobiegl droga i zaszedl ich od tyłu.

Podstep...

Przez chwile zadne z nich sie nie poruszylo.

Powietrze bylo zupełnie nieruchome. Ani sladu przepływającej mgły, zadnego szumu drzew ani traw.

Sachs uniosla oburacz bron, a na jej twarz wypelzl lekki usmiech.

Jodie goraczkowo wyrzucil luske z komory i zaladowal nowy pocisk. Kiedy unosil strzelbe, Sachs strzelila. Dwa razy.

Obydwa strzaly trafily w cel. Zobaczyla, jak leci do tyłu, a strzelba frunie w gore jak batuta kapelmistrza.

- Zostan z nia, Bell! - zawolala Sachs i rzucila sie w strone Jodiego.

Lezal na wznak w trawie.

Jedna kula zgruchotala mu lewy bark. Druga trafila w celownik optyczny, wbijajac mu w oko metal i szklo. Mial zakrwawiona cala twarz.

Odwiiodla kurek i z palcem na spuscie przycisnela lufe do jego skroni. Obszukala Jodiego. W jego kieszeni znalazla glocka i dlugi noz z nakladka ze spiekow. Innej broni nie mial.

- Czysty - zawolala.

Gdy wstawala, zdejmujac z pasa kajdanki, Trumniarz kaszlal i splunal, po czym otarl krew ze zdrowego oka. Uniosl glowe i zobaczyl Percey Clay, ktora podnosila sie z trawy ze wzrokiem utkwionym w napastniku.

Jodie zdawal sie drzec pod jej spojrzeniem. Jeszcze raz kaszlal, a potem glosno jeknal. Sachs wzdrygnela sie, gdy pchnal ja nieuszkodzonym ramieniem. Byl ranny - moze smiertelnie - i slaby. Dziwaczny gest, jak gdyby odpychal natretnego pekinczyka.

Odsunela sie, z rewolwerem wycelowanym w jego piers.

Amelia Sachs nie interesowala juz Trumniarza. Nie zwracal tez uwagi na rany ani potworny bol. Mial w glowie tylko jedno. Nadludzkiem wysilkiem obrocil sie na brzuch i drapiac ziemie i jeczac, zaczal pelznac w strone Percey Clay, kobiety, ktora mial zabic. Za ktorej smierc wzial pieniadze.

Bell stanal obok Sachs. Podala mu glocka i oboje trzymali Trumniarza na muszce. Mogli go z latwoscia zatrzymac lub zabic. Jednak stali jak wrosnieci w ziemie, przygladajac sie zalosnym ruchom czlowieka, ktorego do tego stopnia opetala obsesja wypelnienia misji, iz zdawal sie nie dostrzegac, ze ma zmasakrowane twarz i ramie.

Pokonal jeszcze kilka stop. Chwycil ostry kamien wielkosci grejpfruta i dalej sunal w kierunku swej ofiary. Jego twarz zlana krwia zmieszana z potem wykrzywial konwulsyjny grymas. Nawet Percey, ktora miala najwiecej powodow, by nienawidzic tego czlowieka i mogla wyrwac Sachs colta z reki, zeby zakonczyc zycie mordercy - nawet ona jak zahipnotyzowana obserwowala jego beznadziejne wysilki, by dopelnic rozpozetego dzieła.

- Dosc - powiedziala w koncu Sachs. Pochylila sie i wyjela mu kamien z reki.

- Nie - wycharczal. - Nie...

Skula go.

Tanczacy Trumniarz wydal przerazajacy jek - moze z bolu, ale prawdopodobnie z poczucia ostatecznej kleski - po czym jego glowa opadla na ziemie.

Lezal nieruchomo. Stali nad nim we trojke, patrzac, jak krew wsiaka w trawe i niewinne krokusy.

Niedlugo potem rozdierający serce ptasi krzyk zagłuszył warkot nadlatującego z nad drzew helikoptera. Sachs zobaczyła, że Percey Clay w jednej chwili stracił zainteresowanie człowiekiem, który dostarczył jej tylu cierpienia, a całą uwagę skupiła na niezgrabnym smigłowcu, kiedy powoli opuszczał się w porannej mgle, by miękko siąść na trawie.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

- Nielegalna, Lincoln. Nie możesz tego zrobić.

Lon Sellitto był nieugięty.

Lincoln Rhyme także.

- Daj mi pół godziny.

- Nie są z tego zadowoleni. - Sellitto wyjaśnił swe obiekcje bardziej szczegółowo - O mało się nie zesrali, gdy im o tym wspomniałem. Jesteś cywilem.

Dochodziła dziesiąta w poniedziałek rano. Zeznania Percey przed sądem przysięgłych przesunięto na następny dzień. Nurkowie znaleźli worki, które Phillip Hansen zatopił w cieśninie Long Island. Natychmiast przewieziono je do budynku federalnego, do grupy analiz dowodów fizycznych FBI. Eliopoulos odłożył posiedzenie sądu przysięgłych, by móc zgromadzić jak najwięcej dowodów obciążających Hansena.

- O co im chodzi? - zapytał nadąsany Rhyme. - Przecież go nie pobije.

Zastanawiał się, czy nie ograniczyć swojej prośby do dwudziestu minut, ale to byłoby oznaką słabości. A Lincoln Rhyme nie zwykł okazywać słabości.

- To ja go złapałem - przypomniał. - Zasłużyłem chyba na chwilę rozmowy.

I zamilkł.

Blaine, jego była żona, powiedziała kiedyś z nietypową dla siebie spostrzegawczością, że czarne jak noc oczy Rhyme'a przemawiają silniej niż słowa. Tak więc Rhyme wlepił oczy w Sellitta, a detektyw westchnął i zerknął na Dellraya.

- Jezus, pozwól mu - rzekł agent. - Co to szkodzi? Przyrowadź tu tego kowboja. A jak będzie próbował ucieczki, cholera, stuknij go w ramach ćwiczeń. I wybronisz mnie z tego.

- No dobra - powiedział Sellitto. - Zadzwoń. Tylko niczego nie spieprz.

Rhyme nie słyszał jego słów. Spojrzał na drzwi, jak gdyby Tancerzy Trumniarz miał się tam zmaterializować w każdej chwili.

Wcale by się nie zdziwił, gdyby tak się stało.

- Jak masz naprawdę na imię? Joe, Jodie?

- Co to ma za znaczenie? Złapałeś mnie. Możesz do mnie mówić, jak chcesz.

- A imię? - spytał Rhyme.

- A jakie dajecie mi imię? Trumniarz. Podoba mi się.

Drobny człowiek badawczo przyglądał się Rhyme'owi zdrowym okiem. Jeśli nawet bardzo cierpiał z powodu ran albo był oszołomiony po lekach, nie dał tego po sobie poznać. Całe ramię i bark miał w gipsie, lecz mimo to zostawiono mu kajdanki, połączone z grubą klamrą przy pasie. Nogi także skubał mu łańcuch.

- Jak sobie życzysz - odparł uprzejmie Rhyme. Nie odrywał od niego wzroku, jak gdyby morderca był pyłkiem niezwyklej rośliny znalezionym w miejscu zbrodni.

Trumniarz uśmiechał się. Z powodu uszkodzenia nerwów twarzy wyszedł z tego groteskowy grymas. Od czasu do czasu jego ciałem wstrzasaly dreszcze, drgały mu palce; złamane ramię bezwiednie unosiło się i opadało. Rhyme odniósł dziwne wrażenie, że to więzien, a nie on, jest kaleką.

W krainie ślepców krolem jest jednooki.

Trumniarz uśmiechał się do niego.

- Pewnie umierasz z ciekawości, co? - powiedział.

- Z ciekawości?

- Chcesz wszystko wiedzieć... Dlatego każesz mnie tu przyprowadzić. Mielicie szczęście, że mnie złapaliście, ale nie macie pojęcia, jak tego wszystkiego dokonałem.

- Dokładnie wiem, jak to zrobiliście - rzekł ze zniecierpliwieniem Rhyme.

- Już wiesz?

- Chciałem tylko z tobą porozmawiać - odparł Rhyme. - To wszystko. Z człowiekiem, który o mały włos mnie nie przechytrzył.

- O mały włos. - Trumniarz się zaśmiał. Znow ten upiorny uśmiech. - No dobrze, słucham.

Rhyme sacył przez słomkę sok owocowy. Zaskoczył Thoma, prosząc, by wylał szkoocka i zastąpił ją zwykłym sokiem.

- W porządku - zgodził się Rhyme. - Wynajęto cię, żebyś zabił Eda Carneya, Brita Hale'a i Percey Clay. Pewnie sporo ci zapłacono. Szesciocyfrowa suma.

- Siedmio - odrzekł z dumą Trumniarz.

Rhyme unosił brew.

- Dochodowe zajecie.

- Jeżeli człowiek zna się na rzeczy.

- Zdeponowałeś pieniądze na Bahamach. Skąd wytrzasnąłeś Stephena Kalla - nie wiem dokładnie, może z sieci najemników. - Trumniarz skinął głową. - Podnajęłeś z kolei jego. Anonimowo, może przez e-mail, może faksem, wykorzystując jakieś wiarygodne referencje. Oczywiście, nigdy się z nim nie spotkałeś. Przypuszczam też, że wcześniej go wypróbowałeś?

- Jasne. W akcji pod Waszyngtonem. Miałem zabić jednego pracownika Kongresu, który wszedł w kartotekach Komisji Sił Zbrojnych. Łatwa robota, więc zleciłem ją Stephenowi. Miałem świetną okazję, żeby go przetestować. Widziałem jego każdy krok. Sam sprawdzałem rany wlotowe na ciele. Profesjonalna. Chyba widział, że go obserwuję, i chciał mnie zlikwidować, żeby pozbyć się świadków. To też mi się podobało.

- Zostawiłeś mu forse - ciągnął Rhyme - i klucz do hangaru Phillipa Hansena, gdzie czekał, żeby podłożyć bombę w samolocie Carneya. Wiedziałeś, że jest dobry, ale nie miałeś pewności, czy da sobie radę z całą trójką. Prawdopodobnie myślałeś, że zlikwiduje jedną osobę i to odciągnie od ciebie naszą uwagę, a wtedy będziesz mógł podejść pozostałych.

Trumniarz przytaknął niechętnie, ale był pod wrażeniem.

- Zdziwiłem się, że udało mu się zabić Brita Hale'a. A jeszcze bardziej zdziwiłem się, kiedy potem uciekł i podłożył bombę w samolocie Percey Clay.

- Przypuszczałeś, że przynajmniej jedną osobę będziesz musiał zabić sam, więc w zeszłym tygodniu zmieniłeś się w Jodiego i zacząłeś wszystkim wciskać prochy, żeby każdy na ulicy o tobie wiedział. Porwałeś agenta sprzed budynku federalnego i dowiedziałeś się, w którym bezpiecznym domu będą. Zaczekałeś na Stephena w miejscu jego najbardziej prawdopodobnego ataku i pozwoliłeś się porwać. Zostawiłeś mnóstwo śladów prowadzących do swojej kryjówki w metrze, żebyśmy mogli cię znaleźć... i przez ciebie dotrzeć do Kalla. Wszyscy ci zaufaliśmy. Dokładnie wszyscy - przecież Stephen nie miał pojęcia, że to ty go wynajęłeś. Wiedział tylko, że go zdradziłeś i chciał cię zabić. Doskonała przykrywka. Ale ryzykowna.

- Czymże jest życie bez ryzyka? - spytał filuternie Trumniarz. - W nim cały smak, nie sadyisz? Poza tym, kiedy byliśmy razem w metrze, użyłem pewnych... środków zaradczych, żeby zaczął wątpić, czy warto mnie zabić. Podteksty homoseksualne zawsze pomagają.

- Ale - rzekł Rhyme, urazony, że przerwano mu opowieść - gdy Kall był w parku, uciekles z alejki, znalazles go i zabiles... Pozbawiles dloni, zebow, ubrania - i broni - które wrzuciles do kolektora kanalizacyjnego. Potem sami zaprosilismy cie na Long Island... Lis w kurniku. Tak to mniej wiecej wygladalo - dodal nieco nonszalanckim tonem Rhyme. - Schemat, szkielet... ale chyba oddaje sens calej historii.

Zdrowe oko Trumniarza zamknelo sie na moment, a potem otworzylo. Wpatrzylo sie w Rhyme'a, wilgotne i czerwone. Trumniarz lekko skinal glowa, przyznajac mu racje, a moze wyrazajac podziw.

- Co to bylo? - spytal w koncu. - Co cie naprowadzilo?

- Piasek - odrzekl Rhyme. - Z Bahamow.

Trumniarz kiwnal glowa, krzywiac sie z bolu.

- Wywrocilem kieszenie na lewa strone. Wyczyscilem cale ubranie.

- Byl w szwach. Poza tym prochy. I formula niemowleca.

- No tak. - Po chwili Trumniarz dodal: - Stephen mial racje, że sie ciebie bal. - Zdrowym okiem wciaz wpatrywal sie badawczo w Rhyme'a, jak lekarz szukajacy oznak nowotworu. - Biedny gosc. Jak myslisz, kto go rzal? Ojczym czy chlopaki w poprawczaku? A moze i on, i oni?

- Nie wiem - rzekl Rhyme. Na parapecie wyladowal sokol, skladajac skrzydla.

- Stephen sie bal - ciagnal Trumniarz. - A kiedy zaczynasz sie bac, to koniec. Myslal, że szuka go robak. Lincoln Robak. Slyszałem, jak kilka razy szepstal do siebie cos takiego. Czul przed toba prawdziwy strach.

- Ale ty nie.

- Ja nie - powiedzial Trumniarz. - Nigdy sie nie boje. - Nieoczekiwanie pokiwal glowa, jak gdyby wreszcie sie domyslil, co jest nie tak. - Ach, uwaznie mnie sluchasz, co? Chcesz ustalic moj akcent.

Rzeczywiscie, Rhyme chcial ustalic pochodzenie Trumniarza.

- Widzisz, mozna go latwo zmienic. Montana... Connecticut... Poludnie, rowniny i bagna... Missouri, Kentucky. Po co mnie wlasciwie przesluchujesz? Jesteś od kryminalistyki. Zlapaliscie mnie. Pa, pa, dobranoc. Koniec i bomba. Powiedzmy, że lubie szachy. Uwielbiam szachy. Grales kiedyś, Lincoln?

Kiedys nawet lubil szachy. Grywal dosc czesto z Claire Tripper. Thom zachecal go, zeby zaczal grac z komputerem, i kupil mu calkiem dobry program, ale Rhyme nigdy go nie uruchomil.

- Dawno juz nie galem.

- Powinnismy kiedyś zagrać partyjkę. Byłbyś niezłym przeciwnikiem... Chcesz wiedzieć, jaki błąd popełniają niektórzy gracze?

- Jaki? - Rhyme czuł na sobie jego spojrzenie. Nagle ogarnął go niepokój.

- Zaczynają za bardzo interesować się przeciwnikiem. Próbuja dowiedzieć się różnych rzeczy o jego życiu. Rzeczy zupełnie bezużytecznych. Skąd jest, gdzie się urodził, kim jest jego rodzeństwo.

- Co w tym złego?

- Zaspokajają zachcianki, ale mogą się zagubić. To niebezpieczne. Widzisz, gra toczy się na szachownicy, Lincoln. Tylko na szachownicy. - Krzywy uśmiech. - Nie możesz się pogodzić z tym, że nic o mnie nie wiesz, prawda?

Zgadza się, pomyślał Rhyme. Nie może.

- Czego właściwie chcesz? - ciągnął Trumniarz. - Adresu? Klasowego zdjęcia z matury? Może chcesz, bym podał jakieś naprowadzające hasło? Proszę bardzo: „Paczek rozy”*. Dziwię ci się, Lincoln. Jesteś najlepszym ekspertem kryminalistycznym, jakiego znam. A teraz podejmujesz jakąś żalosną podróż sentymentalną. Kim jestem? Jeżdżę bez głowy. Belzebubem. Królowa Mab. To o mnie mówi się w ostrzeżeniu: „Uważaj, przyjdą po ciebie”. Nie jestem koszmarem, bo koszmary są urojeniem, a ja jestem rzeczywisty, bardziej, niż się niektórym wydaje. Jestem rzemieślnikiem i biznesmenem. Nie poznasz mojego nazwiska, stopnia ani numeru seryjnego. Nie działam zgodnie z konwencją genewską.

Rhyme nie potrafił nic odpowiedzieć.

Rozległo się pukanie.

Przybyła eskorta.

- Możecie mi zdjąć łańcuchy z nog? - żalosnym tonem zapytał Trumniarz dwóch funkcjonariuszy. Jego zdrowe oko napelniło się łzami. - Proszę. Okropnie boli. I tak trudno chodzić.

Jeden ze strażników spojrzał na niego ze współczuciem, potem zerknął na Rhyme'a, który rzucił od niechcienia:

- Jeżeli poluzujecie choć jedną klamrę, straciecie robotę i nigdy nie będziecie mogli pracować w tym mieście.

Gliniarz patrzył chwilę na Rhyme'a, po czym skinął głową do partnera. Trumniarz rozesmiał się.

- To nie problem - powiedział z okiem wlepionym w Rhyme'a. - Tylko czynnik.

Strażnicy złapali go za zdrowe ramię i postawili na nogi. Między roslymi mężczyznami wydawał się bardzo mały. Odwrócił się.

- Lincoln?

- Tak?

- Bedzie ci mnie brakowalo. Beze mnie bedziesz sie nudzil. - W jego oku pojawil sie dziwny blask. - Beze mnie umrzesz.

Godzine pozniej ciezkie kroki obwiescily nadejście Lona Sellitta. Towarzyszyli mu Sachs i Dellray.

Rhyme od razu wiedzial, ze ich przybycie oznacza klopoty. Przemknelo mu przez mysl, ze moze Trumniarz uciekl.

Lecz nie o to chodzilo.

Sachs westchnela.

Sellitto spojrzal wymownie na Dellraya. Szczupla twarz agenta wykrzywil grymas.

- No, dobra, slucham - przerwal milczenie Rhyme.

- FBI obejrzalo zawartosc workow - poinformowala go Sachs.

- Zgadnij, co bylo w srodku - powiedzial Sellitto.

Rhyme westchnal zmeczony; nie byl w nastroju do zgadywanek.

- Zapalniki, pluton i cialo Jimmy'ego Hoffy.

- Pare ksiazek telefonicznych okregu Westchester i piec funtow kamieni - rzekla Sachs.

- Co?!

- Nic tam nie bylo, Lincoln. Zero.

- Jestescie pewni, ze to ksiazki telefoniczne, a nie zaszyfrowane zapisy transakcji?

- Kryptolodzy dobrze sie im przyjrzeli - powiedzial Dellray. - Zwykle pieprzone ksiazki telefoniczne. A kamienie byly tylko po to, zeby worki utonely.

- Wypuszcza to bydle, Hansena - mruknal ponuro Sellitto. - Wlasnie przygotowuja dokumenty. Nawet nie beda przedstawiac ich sadowi przysieglych. Wszyscy zgineli na darmo.

- Powiedz mu reszte - wtracila Sachs.

- Zaraz tu bedzie Eliopolos - rzekl Sellitto. - Ma papier.

- Nakaz? - spytal krotko Rhyme. - Jaki?

- Tak jak ci powiedział. Nakaz aresztowania. Ciebie.

Rozdział czterdziesty

W drzwiach stanął Reginald Eliopolos z obstawą dwóch rosłych agentów.

Rhyme wcześniej sądził, że prokurator jest człowiekiem w średnim wieku. W świetle dnia zobaczył jednak, że Eliopolos ma niewiele ponad trzydziestkę. Agenci też byli młodzi; ubrani równie nienagannie jak prokurator, ale Rhyme'owi przywodzili na myśl raczej wkurzonych dokerów.

Do czego mu właściwie byli potrzebni? Do obezwładnienia unieruchomionego człowieka?

- Lincoln, chyba mi nie wierzyłeś, kiedy ci mówiłem, że beda reperkusje. Mhm. Nie wierzyłeś.

- O czym ty pieprzysz, Reggie? - odezwał się Sellitto. - Przecież go złapaliśmy.

- Mhm... mhm. Powiem wam, o czym... - uniosł dłonie, rysując w powietrzu cudzysłowy - ...pieprze. Sprawa przeciw Hansenowi kaput. W workach nie ma żadnych dowodów.

- To nie nasza wina - powiedziała Sachs. - Ochroniliśmy świadka. I złapaliśmy wynajętego przez Hansena mordercę.

- Ale jest coś jeszcze, prawda, Reggie? - rzekł Rhyme.

Zastępca prokuratora zmierzył go zimnym spojrzeniem.

- Widzisz, Sachs - ciągnął Rhyme. - Jodie, czyli Trumniarz - to teraz jedyny punkt zaczepienia w sprawie przeciw Hansenowi. Tak w każdym razie myśli Reggie. Ale Trumniarz nigdy by nie wsypał klienta.

- Czyżby? Nie znasz go więc tak dobrze, jak ci się wydaje. Właśnie odbyłem z nim długą rozmowę. Bardziej niż chętnie potwierdzi udział Hansena w sprawie. Tylko że teraz opiera się przed współpracą. Przez ciebie.

- Przeze mnie? - spytał Rhyme.

- Powiedział, że mu groziles. W trakcie krotkiego, nielegalnego spotkania, jakie odbyliscie pare godzin temu. Mhm. Przez to poleca glowy. Badz pewien.

- Na litosc boska. - Rhyme rozesmial sie z gorycza. - Nie rozumiesz, co on robi? Niech zgadne... powiedziales mu, że chcesz mnie aresztowac, prawda? Zgodzil sie zeznawac pod warunkiem, że to zrobisz.

Nieznaczne drgnienie oczu Eliopolosa powiedzialo Rhyme'owi, że trafil.

- Nie rozumiesz?

Lecz Eliopolos niczego nie rozumial.

- Nie sadzisz, że mialby ochote mnie stuknac, kiedy bede w areszcie, moze kilkadziesiat stop od miejsca, gdzie bedziecie go trzymac? - ciagnal Rhyme.

- Rhyme - powiedziala Sachs, marszczac brwi.

- O czym ty mowisz? - spytal prokurator.

- On chce mnie zabic, Reggie. O to chodzi. Jestem jedynym czlowiekiem, ktoremu udalo sie uniemozliwic mu wykonanie zadania. Nie moglby wrocic do swojego zajecia, wiedzac, że pozostalem przy zyciu.

- Przeciez on nie wroci do swojej roboty. Nigdzie juz nie wroci.

Mhm.

- Kiedy zgine, wszystkiego sie wyprze. Nie bedzie zeznawal przeciw Hansenowi. I czym go wtedy przycisniecie? Nastraszycie go? On sie niczego nie boi. Niczego.

O co tu chodzi? - myslal Rhyme. Cos jest nie tak. Bardzo nie tak.

Uznal, że to te ksiazki telefoniczne...

Ksiazki i kamienie.

Pograzony w myslach, przygladal sie swoim tablicom. Uslyszal brzek i uniosl wzrok. Jeden z agentow Eliopolosa wyciagnal kajdanki i zblizal sie do lozka. Rhyme zasmial sie w duchu. Niech mu skuja nogi. Bo jeszcze gotow uciec.

- Daj spokoj, Reggie - powiedzial Sellitto.

Zielone wlokno, ksiazki telefoniczne i kamienie.

Przypomnial sobie cos, co mu powiedzial Trumniarz. Siedzac na tym samym krzesle, obok ktorego stal teraz Eliopolos.

Milion dolarow...

Rhyme nie zwracał uwagi na agenta, który zastanawiał się, jak najlepiej skuc kalekę. Nie zwracał też uwagi na Sachs, która postąpiła naprzód, zastanawiając się, jak obezwładnić agenta.

- Chwile - warknął nagle tonem, na którego dźwięk wszyscy w pokoju zamarli.

Zielone włókno...

Spojrzał na tablice.

Ktoś do niego mówił. Agent wciąż przyglądał się rekom Rhyme'a, potraszając kajdankami. On jednak nikogo nie widział ani nie słyszał. Powiedział do Eliopolosa:

- Daj mi pół godziny.

- Po co?

- Co ci szkodzi? Przecież nigdzie stąd nie pójdę. - I zanim prokurator zdążył odpowiedzieć, Rhyme krzyknął: - Thom! Thom, muszę zadzwonić. Pomoczesz mi czy nie? Nie wiem, gdzie on czasami się zasywa. Lon, zadzwonisz?

Percey Clay właśnie wróciła z pogrzebu męża, kiedy zadzwonił Lon Sellitto. Teraz, odziana w czern, siedziała na trzeszczącym krześle wiklinowym przy łóżku Lincolna Rhyme'a. Obok stał Roland Bell w jasnobrazowym garniturze, trochę zdeformowanym przez dwa wielkie pistolety, jakie przy sobie nosił. Rzadkie włosy zaczesał do tyłu, ukazując wysokie czoło.

Eliopolosa już nie było, ale dwóch zbirów zostało, trzymając straż w korytarzu. Prawdopodobnie rzeczywiście wierzyli, że korzystając z okazji, Thom wywiezie za drzwi Rhyme'a, który ucieknie na wozku z karkołomną prędkością siedmiu i pół mili na godzinę.

Stroj Percey był nieco wytarty przy kołnierzu i w pasie. Rhyme mógłby się założyć, że to jej jedyna sukienka. Siadając, chciała oprzeć kostkę nogi na kolanie drugiej, lecz w pół ruchu zdała sobie sprawę, że stroj jej na to nie pozwala, więc usiadła normalnie, ze złączonymi kolanami.

Patrzyła na niego z mieszaniną ciekawości i zniecierpliwienia. Rhyme zorientował się, że pewnie nikt - ani Sachs, ani Sellitto, którzy ją sprowadzili - nie przekazał jej najnowszej wiadomości.

Tchorze, pomyślał ponuro.

- Percey... nie wniosła sprawy Hansena przed sąd przysięgłych.

Przez chwilę w rysach jej twarzy odmalowała się ulga. Zaraz jednak pojęła znaczenie tej nowiny.

- Nie! - powiedziała niemal bez tchu.

- Wiesz, co wtedy Hansen wyrzucił w workach z samolotu? Nic. To był blef.

Zbladla.

- Wypuszcza go?

- Nie moga powiazac Trumniarza z Hansenem. Dopoki my tego nie zrobimy, bedzie wolny.

Uniosla dlonie ku twarzy.

- A wiec to wszystko na marne? Ed... i Brit? Zgineli za nic.

- Co sie teraz stanie z twoja firma? - zapytal.

Percey nie spodziewala sie tego pytania. Nie byla pewna, czy dobrze zrozumiala.

- Slucham?

- Firma. Co sie stanie z Hudson Air?

- Pewnie sprzedamy. Mielismy juz oferte od innej firmy. Sa w stanie splacic dlugi, my nie. A moze po prostu zlikwidujemy. - Po raz pierwszy w jej glosie uslyszal rezygnacje. Pokonana Cyganka.

- Co to za firma?

- Naprawde nie pamietam. Ron z nimi rozmawial.

- Ron Talbot, zgadza sie?

- Tak.

- Dobrze zna sytuacje finansowa firmy?

- Jasne. Tak samo jak adwokaci i ksiegowi. Lepiej ode mnie.

- Moglabys zadzwonic do niego i poprosic, zeby tu jak najpredzej przyszedl?

- Chyba tak. Byl na cmentarzu. Powinien juz wrocic w domu. Zadzwonie.

- Sachs? - rzekl Rhyme. - Mamy jeszcze jedno miejsce zbrodni. Musisz je przeszukac.

Natychmiast.

Rhyme patrzyl na wchodzacego do pokoju mezczyzne o zwalistej sylwetce, ubranego w granatowy garnitur. Polyskliwy ubior mial kroj i barwe munduru. Rhyme przypuszczal, ze wlasnie tak Talbot sie ubieral, kiedy jeszcze latal.

Percey przedstawila ich sobie.

- A wiec macie tego skurwysyna - sapnal Talbot. - Myslicie, ze dostanie krzeslo?

- Ja tylko zbieram smieci - rzekl Rhyme, jak zawsze zadowolony, gdy udalo mu sie wymyslic efektowna kwestie. - A co z tym robi adwokat, to juz jego sprawa. Percey mowila ci, ze mamy problem z dowodami obciazajacymi Hansena?

- Tak, podobno to byl jakis blef? Po co zrzucal do wody falszywke?

- Chyba moge to wyjasnic, ale najpierw musze miec wiecej informacji. Percey twierdzi, ze dosc dobrze znasz sytuacje firmy. Jestes wspolnikiem, tak?

Talbot skinal glowa. Wciagnal paczke papierosow, zobaczyl, ze nikt inny nie pali, wiec schowal ja z powrotem do kieszeni. Byl bardziej wymiety niz Sellitto i chyba minelo sporo czasu od chwili, gdy dopinala mu sie marynarka na pokaznym brzuchu.

- Sprobujmy tak - powiedzial Rhyme. - A jesli Hansen nie chcial zabic Eda i Percey dlatego, ze byli swiadkami?

- Wiec dlaczego? - wyrzucila z siebie Percey.

- Inny motyw? - spytal Talbot. - Jaki na przyklad?

Rhyme nie odpowiedzial wprost.

- Percey mowila, ze ostatnio firmie nie wiedzie sie najlepiej.

Talbot wzruszyl ramionami.

- Mielismy kilka ciezkich lat. Zmiany w przepisach, pojawilo sie duzo malych firm przewozowych. Konkurencja z firmami kurierskimi, UPS, FedEx. Z poczta tez. Coraz nizsze stawki.

- Ale mieliscie niezly... jak to sie mowi, Fred? Pracowales w przestepstwach gospodarczych, nie? Wplywajace pieniadze.

Dellray parsknal krotkim smiechem.

- Przychod, Lincoln.

- Mieliscie niezle przychody.

Talbot skinal glowa.

- Z obrotami nigdy nie bylo klopotow. Tyle ze wiecej wydawalismy, niz zarabialismy.

- Co sadzisz na temat takiej teorii, ze Trumniarz dostal zlecenie zabicia Percey i Eda, zeby jego zleceniodawca mogl kupic firme za nizsza cene?

- Jaka firme, nasza? - spytala Percey, marszczac brwi.

- Po co Hansen miałby to robić? - rzekł Talbot, oddychając ciężko.

- Dlaczego nie złożył nam po prostu oferty? - dodała Percey. - Nigdy nie zwrócił się bezpośrednio do nas.

- Nie powiedziałem, że chodzi o Hansena - zauważył Rhyme. - Postawiłem pytanie: a jeśli Hansen nie chciał zabić Eda i Percey? Jeśli to był ktoś inny?

- Kto? - zapytała Percey.

- Nie wiem. Tylko... to zielone włókno.

- Zielone włókno? - Talbot podążył za spojrzeniem Rhyme'a, który patrzył na tablice.

- Zdaje się, że wszyscy o tym zapomnieli. Z wyjątkiem mnie.

- Facet nigdy o niczym nie zapomina, co, Lincoln?

- Rzadko, Fred. Rzadko. To włókno... Sachs - moja partnerka...

- Pamiętam. - Talbot skinął jej głową.

- Znalazła włókno w hangarze wynajmowanym przez Hansena. Wśród innych śladów pod oknem, gdzie Stephen Kall czekał, żeby podłożyć bombę w samolocie Eda Carneya. Znalazła też drobiny mosiadzu, kilka białych włókien i klej z koperty. Wywnioskowaliśmy, że ktoś zostawił Kallowi klucz od hangaru w kopercie. Potem jednak zacząłem się zastanawiać, czemu Kall potrzebował klucza, żeby wejść do pustego hangaru? Był zawodowcem. Mogł się wszędzie włamać z zamkniętymi oczami. Odpowiedź może być tylko jedna: wszystko miało wyglądać tak, jakby to Hansen zostawił klucz. Ktoś chciał go zrobić.

- Przecież urządził napad - powiedział Talbot. - Zabił żołnierzy i ukradł broń. Wszyscy wiedzą, że to morderca.

- Och, pewnie nim jest - zgodził się Rhyme. - Ale to nie on poleciał nad cieśninę Long Island i bawił się w bombardowanie morza książkami telefonicznymi. W samolocie był ktoś inny.

Percey poruszyła się niespokojnie.

- Ktoś, kto nigdy nie przypuszczał, że znajdziemy worki - ciągnął Rhyme.

- Kto? - zapytał ostro Talbot.

- Sachs?

Wyjęła z płóciennej torby trzy duże koperty i położyła na stole.

W dwóch były księgi rachunkowe. W trzeciej plik białych kopert.

- To z twojego gabinetu, Talbot.

- Chyba nie wolno wam brac niczego bez nakazu - odparl Talbot, smiejac sie niepewnie.

Percey Clay zmarszczyła brwi.

- Ja dalem pozwolenie. Wciaz kieruje firma, Ron. Wlasciwie do czego zmierzasz, Lincoln?

Rhyme zalowal, ze wczesniej nie podzielil sie z Percey swoimi podejrzeniami; teraz bedzie to dla niej powazny wstrzas. Nie mogl jednak ryzykowac, ze zdradzi przed Talbotem wnioski, do jakich doszli. Jak dotad swietnie zacieral slady.

Zerknal na Mela Coopera, ktory powiedzial:

- Zielone wlokno znalezione przy drobinach klucza pochodzi z kartki glownej ksiegi rachunkowej. Biale z koperty. Nie ma watpliwosci, ze pasuja.

- Wszystko pochodzi z twojego gabinetu, Talbot - ciagnal Rhyme.

- Co chcesz przez to powiedziec, Lincoln? - wykrztusila Percey.

Rhyme zwrocil sie do Talbota:

- Wszyscy na lotnisku wiedzieli, ze przeciw Hansenowi toczy sie sledztwo. Pomyslales, ze mozna to wykorzystac. Zaczekales wiec do pewnego wieczoru, gdy Percey, Ed i Brit Hale pracowali do pozna. Ukradles samolot Hansena, poleciales nad ciesnине i zrzuciles worki. Wynajales Trumniarza. Przypuszczam, ze slyszales o nim, gdy pracowales w Afryce albo na Dalekim Wschodzie. Dzwonilem do kilku osob. Pracowales w silach powietrznych Botswany i dla rządu birmanskiego. Doradzales w sprawach kupna uzywanych samolotow wojskowych. Trumniarz mowil mi, ze za zlecenie dostal milion. - Rhyme pokrecil glowa. - Powinienem juz wtedy sie domyslic. Hansen mogl kazac zamordowac cala trojke za paret tysiecy. Na dzisiejszym rynku cene za zabojstwo dyktuje klient. Milion oznaczal, ze facet jest amatorem. I dysponuje sporymi pieniedzmi.

Percey Clay przerazliwie krzyknela. Skoczyla do Talbota. Ten wstal i cofnal sie.

- Jak mogles? - krzyknela. - Dlaczego?

- Moi chlopcy od przestepstw gospodarczych przegladaja wasze ksiegi - rzekl Dellray. - Chyba odkryja, ze brakuje bardzo duzo kasy tam, gdzie powinna byc.

- Hudson Air ma sie o wiele lepiej, niz sadzilas, Percey - ciagnal Rhyme. - Tyle ze wiekszosc zyskow plynela do kieszeni Talbota. Wiedzial, ze pewnego dnia wszystko sie wyda, wiec musial sie pozbyc ciebie i Eda, zeby samemu kupic firme.

- Prawo pierwokupu - powiedziala. - Jako wspolnik mogl w razie naszej smierci wykupic nasze udzialy w firmie po nizszej cenie.

- To jakas bzdura. Pamietaj, ze ten facet strzelal tez do mnie.

- Nie ty wynajales Stephena Kalla - przypomnial mu Rhyme.

- Zleciles robote Jodiemu - Trumniarzowi - ktory z kolei zlecil ja Kallowi. A ten nie mial pojecia, kim jestes.

- Jak mogles?! - powtorzyla glucho Percey. - Dlaczego? Dlaczego?!

- Bo cie kochalem! - wrzasnal Talbot.

- Co? - wykrztusila Percey.

- Smialas sie, kiedy chcialem sie z toba ozenic - ciagnal Talbot.

- Ron, nie. Ja...

- Potem wrocilas do niego. - Usmiechnal sie drwiaco. - Ed Carney, przystojny pilot myśliwca. Orzel... Pomiatal toba, a mimo to chcialas z nim byc. Potem... - Twarz spurpurowiala mu z wscieklosci. - Potem stracilem ostatnia rzecz, jaka mi zostala - zabronili mi latac. Patrzylem, jak oboje zapisujecie setki wylatanych godzin miesiecznie, a ja moglem tylko gnic za biurkiem i przekladac papierki. Mieliscie siebie nawzajem, lataliscie... nie masz pojecia, co to znaczy stracic wszystko, co kochasz. Po prostu nie masz pojecia!

Sachs i Sellitto zauwazyli, ze Talbot sie spina. Przypuszczali, ze bedzie czegos probowal, ale nie docenili jego sily. Gdy Sachs podeszla do niego, wyciagajac z kabury bron, skoczyl, przewracajac ja na stol, z ktorego pospadaly mikroskopy i inny sprzet. Rownoczesnie przycisnal Mela Coopera stołem do sciany. Wyrwal Sachs glocka z dloni.

Wycelowal pistolet w Bella, Sellitta i Dellraya.

- Rzuccie bron na podloge. Juz!

- Co ty, stary - powiedzial Dellray, przewracajac oczami. - Co chcesz zrobic? Wylezc przez okno? Nie masz dokad uciec.

Talbot podsunal lufe pod nos Dellraya.

- Nie bede powtarzal.

W jego oczach widac bylo prawdziwa desperacje. Przypominal Rhyme'owi osaczonego niedzwiedzia. Agent i obaj policjanci upuscili bron na podloge. Bell rzucil oba pistolety.

- Dokad prowadzi te drzwi? - Talbot wskazal na sciane. Na zewnatrz widzial straznikow Eliopolosa i wiedzial, ze tamtedy nie ma ucieczki.

- Do szafy - rzekl szybko Rhyme.

Otworzył i zobaczył małą winde.

- Kurwa twoja mac - szepnął Talbot, celując w Rhyme'a.

- Nie! - zawołała Sachs.

Talbot skierował pistolet w jej stronę.

- Ron - krzyknęła Percey. - Zastanów się. Proszę...

Sachs, trochę stropiona, ale cała, wstała i spojrzała na pistolety leżące na podłodze w odległości dziesięciu stop od niej.

Nie, Sachs, pomyślał Rhyme. Nie rob tego!

Przeżyła atak najniebezpieczniejszego i najbardziej opanowanego zbrojcy w kraju, a teraz mógł ją zastrzelić spanikowany amator.

Oczy Talbota spoglądały to na Sellitta, to na Dellraya, wreszcie spoczęły na windzie, szukając włącznika.

Sachs, nie rob tego.

Rhyme próbował zwrócić na siebie jej uwagę, lecz Sachs oceniała własnie dystans i kąt. Nie zdąży.

- Pogadajmy, Talbot - rzekł Sellitto. - Daj spokój, odłóż tego gnata.

Proszę, Sachs, nie... Zauważył cię. Strzelił w głowę - jak każdy amator - i umrzesz.

Spreżyła ciało. Nie odrywała oczu od sig-sauera Dellraya.

Nie...

W chwili gdy Talbot spojrzał na winde, Sachs rzuciła się na podłogę i złapała broń Dellraya. Lecz Talbot ją zauważył. Zanim zdolała podnieść ciężki automat, wycełował Glocka w jej twarz i w panice naciskał spust.

- Nie! - krzyknął Rhyme.

Ogluszający huk wystrzału. Szyby w oknach zadzwoniły, a para sokołów wzbijała się w niebo.

Sellitto chwycił swój pistolet. Drzwi otworzyły się z trzaskiem i do pokoju wpadli strażnicy Eliopolosa z bronią w reku.

Ron Talbot, z małą czerwoną dziurką w skroni, przez ułamek sekundy stał zupełnie nieruchomo, a potem zwałił się ciężko na podłogę.

- O kurcze - powiedział Mel Cooper. Stał jak wryty, patrząc na lufę własnego Smitha & Wesson.38, wysuwająca się zza jego łokcia. Bron trzymała dłoń Rolanda Bella. Detektyw wynurzył się zza pleców technika, wyjmując broń z małej kabury znajdującej się z tyłu na pasku Coopera. Bell strzelił z biodra - z biodra Coopera, ściśle rzecz ujmując.

Sachs podniosła się z podłogi i wyjęła Glocka z dłoni Talbota. Zbadala mu puls, pokręciła głową.

Pokój wypełniło głośne łkanie. Percey Clay padła na kolana i szlochając, zaczęła walić pięścią w masywne ramię Talbota. Przez dłuższą chwilę nikt się nie ruszał. Potem Amelia Sachs i Roland Bell ruszyli do niej równocześnie. Sachs cofnęła się jednak i pozwoliła, by detektyw objął ramieniem drobna kobietę i delikatnie odciągnął od ciała jej przyjaciela, a zarazem wroga.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Z oddali dobiegł odgłos burzy. Późnym wieczorem zaczął padać gęsty wiosenny deszcz.

Okno było otwarte na oścież - naturalnie nie to, na którym mieszkali sokoly; Rhyme nie lubił, by im przeszkadzano - i pokój wypełniało chłodne, rześkie powietrze.

Amelia Sachs odkorkowała butelkę i nalala chardonnay cakebread do szklaneczki Rhyme'a i swojego kieliszka.

Spojrzała na ekran i zasmiała się.

- Nie wierze.

Na monitorze obok łózka toczyła się partia szachów.

- Przecież nie grasz na komputerze - rzekła. - To znaczy nigdy nie widziałam, żebyś grał.

- Czekaj - odezwał się do niej.

Nie zrozumiałem. Powtórz - wyświetlił ekran.

Głosno powiedział:

- Wieża na D osiem. Szach i mat.

Chwila ciszy. Potem komputer powiedział: „Gratulacje” i zagrał cyfrową wersję marsza „Washington Post” Sousy.

- To nie rozrywka - oświadczył nieprzyjemnym tonem - ale ćwiczenie umysłu. Moja gimnastyka. Chcesz kiedyś zagrać, Sachs?

- Nie gram w szachy - odrzekła, przelknawszy łyk wina. - Co to znaczy, że jakiś skoczek atakuje mojego króla? Wolalabym go rozwalić, a nie kombinować, jak go tu przechytrzyć. Ile znaleźli?

- Pytasz o pieniądze? Ktore ukrył Talbot? Ponad pięć milionów.

Kiedy rewidenci federalnych skończyli sprawdzać drugi zestaw ksiąg - tych prawdziwych - stwierdzili, że Hudson Air to wyjątkowo dochodowa firma. Strata samolotu i zerwanie kontraktu z Amer-Medem były wprawdzie bolesne, lecz mieli jeszcze mnóstwo pieniędzy, by, jak się wyraziła Percey, „utrzymać firmę w powietrzu”.

- Gdzie jest Trumniarz?

- W areszcie specjalnym.

Był to mało znany areszt znajdujący się w budynku sądu karnego. Rhyme nigdy go nie widział - zresztą niewielu gliniarzy widziało - lecz w ciągu ostatnich trzydziestu pięciu lat nikomu nie udało się stamtąd uciec.

- Niezłe spilowali mu szpony - powiedziała Percey Clay, gdy Rhyme ją o tym poinformował. Wyjaśniła mu, że robi się tak sokołom używanym do polowania.

Rhyme, jako osoba zainteresowana sprawą, nalegał, by informowano go o szczegółach pobytu Trumniarza w areszcie. Dowiedział się od strażników, że pytał o okna w pomieszczeniu, rodzaj podłogi, lokalizację w mieście.

- Czy to nie zapach stacji benzynowej? - spytał zagadkowo.

Gdy Rhyme to usłyszał, natychmiast zadzwonił do Sellitta i poprosił go o interwencję u szefa aresztu, żeby ten podwoił strażę.

Amelia Sachs wzmocniła się kolejnym łykiem wina i pomyślała: raz koźcie śmierć.

Nabrała głęboko powietrza i wyrzuciła z siebie:

- Rhyme, powinienes spróbować. - Następny łyk. - Nie byłam pewna, czy to powiem.

- Słucham?

- Pasujecie do siebie. Może ci być z nią naprawdę dobrze.

Zwykle bez problemu umieli patrzeć sobie prosto w oczy. Teraz jednak, wpływając na tak niespokojne wody, Sachs wbiła wzrok w podłogę.

Co się dzieje?

Kiedy podniosła oczy i stwierdziła, że jej słowa do niego nie dotarły, powiedziała:

- Wiem, co do niej czujesz. Ona wprawdzie się nie przyznaje, ale wiem, co ona czuje do ciebie.

- Kto?

- Przecież wiesz. Percey Clay. Myślisz sobie, że skoro dopiero co została wdowa, nie będzie chciała mieć na razie nikogo. Ale... Słyszałeś, co mówił Talbot - Carney miał dziewczynę. To była kobieta z ich biura. Percey o wszystkim wiedziała. Zostali razem, bo byli przyjaciółmi. I ze względu na firmę.

- Nigdy nie...

- Śmiało, Rhyme. Mówię serio. Myślisz, że nic z tego nie wyjdzie. Ale ona nie przejmuje się twoją sytuacją. Cholera, przypomnij sobie, co przedwczoraj mówiła. Miała rację - naprawdę jesteście do siebie podobni.

Przychodzą takie chwile, kiedy chce się opuścić bezradnie ręce. Rhyme zadowolony się oszczędniejszym gestem - głowa opadła mu na komfortową poduszkę.

- Sachs, skąd ci to, u diabła, strzeliło do głowy?

- Daj spokój, przecież to widac. Przyglądam ci się od chwili, kiedy się pojawiła. Jak na nią patrzysz. Za wszelką cenę chciałeś ją ocalić. Jak gdyby coś ci opętało. Widzę, co się dzieje.

- No więc słucham, co się dzieje?

- Percey jest podobna do Claire Tripper, kobiety, która cię zostawiła kilka lat temu. Stąd to wszystko.

Ach... Skinal głowa. Więc o to chodzi.

Uśmiechnął się i powiedział:

- Jasne, Sachs. Dużo myślałem o Claire przez parę ostatnich dni. Skłamałem, kiedy ci powiedziałem, że jest inaczej.

- Ilekroć ją wspomniałeś, było słychać, że ciągle ją kochasz. Wiem, że po wypadku nigdy już jej nie widziałeś. Przypuszczałam, że traktujesz to jak niezamknięty rozdział. Jak ja i Nick, gdy mnie zostawił. Poznałeś Percey, która tak bardzo przypominała ci Claire. Zdałeś sobie sprawę, że znowu możesz z kims być. Z nią. Nie... nie ze mną. Coż, takie jest życie.

- Sachs - zaczął. - To nie o Percey powinnas być zazdrosna. Nie przez nią wyrzuciłem cię wtedy z łóżka.

- Nie?

- Przez Trumniarza.

Nalala sobie jeszcze wina. Zakreciła kieliszkiem, wpatrując się w przezroczysty płyn.

- Nie rozumiem.

Westchnal.

- Tamtej nocy musiałem wyznaczyć granice między nami, Sachs. Już i tak za bardzo zbliżyliśmy się do siebie. Jeżeli mamy dalej razem pracować, musiałem utrzymać tę barierę. Nie rozumiesz? Nie mogę być z tobą blisko, tak blisko, a jednocześnie wysyłać cię do niebezpiecznych miejsc. Nie mogę dopuścić, żeby to się powtórzyło.

- Powtórzyło? - Zmarszczyła brwi, lecz zaraz potem w jej oczach błysnęło zrozumienie.

Och, oto moja Amelia, pomyślał. Fantastyczna w badaniu miejsc zbrodni, świetna w strzelaniu. I bystra jak nikt inny.

- O, nie, Lincoln... Claire była...

Skinał głową.

- Technikiem, któremu kazałem zbadać miejsce zbrodni przy Wall Street po ataku Trumniarza pięć lat temu. To ona sięgnęła do kosza i wyciągnęła papier, co spowodowało eksplozję bomby.

Dlatego więc miał taką obsesję na punkcie mordercy. Dlatego chciał z nim rozmawiać, co dla niego było nietypowe. Chciał złapać człowieka, który zabił mu kochankę. Chciał o nim wiedzieć wszystko.

A więc chodziło o zemstę, czystą zemstę. Kiedy Lon Sellitto - który wiedział o Claire - zastanawiał się, czy nie lepiej wywieźć Percey i Hale'a z miasta, pytał Rhyme'a, czy powody osobiste nie przeszkadzają mu brać udziału w śledztwie.

Coz, przeszkadzały. Ale Lincoln Rhyme, mimo kompletnego bezruchu, jaki panował w jego życiu, miał w sobie ducha łowcy, podobnie jak mieszkające na parapecie sokoly. I gdy wyczuł zapach zdobyczy, nic nie mogło go powstrzymać.

- Widzisz więc, Sachs, że to nie ma nic wspólnego z Percey. I chociaż bardzo chciałem, żebyśmy spędzili tamtą noc razem - i wszystkie inne - nie mogłem ryzykować, że pokocham cię jeszcze bardziej.

Lincoln Rhyme był zdumiony - i skonsternowany - tą rozmową. Po wypadku doszedł do przekonania, że słaba belka, łamiąc mu kręgosłup, zniszczyła mu na zawsze serce, zabijając w nim czucie. I tak jak delikatna tkanina rdzenia, zgniotła zdolność do kochania i bycia kochanym. Lecz tamtej nocy, czując bliskość Sachs, zdał sobie sprawę, jak bardzo się mylił.

- Rozumiesz, prawda, Amelio? - szepnął.

- Bez imion - odpowiedziała, zbliżając się z uśmiechem do łóżka.

Pochyliła się i pocałowała go w usta. Wcisnął głowę w poduszkę, ale po chwili oddał pocałunek.

- Nie, nie - powtarzał uparcie. Jednak pocałował ją jeszcze mocniej.

Jej torebka poleciała na podłogę. Na nocnym stoliku obok łóżka wylądowały marynarka i zegarek, a na koncu ostatni z jej modnych dodatków - glock 9.

Znow się pocałowali.

Lecz Rhyme nadal się opierał.

- Sachs... nie ryzykujemy!

- Bog nie daje pewniaków - odrzekła, patrząc mu prosto w oczy. Potem wstała i podeszła do drzwi, by zgasić światło.

- Zaczekaj - powiedział.

Zatrzymała się i obejrzała. Rude włosy opadły na twarz, przysłaniając jedno oko.

Rhyme powiedział do mikrofonu zawieszzonego na zagłówku łóżka:

- Wylącz światła.

Pokój zalała ciemność.

* National Crime Information Center.

* Semper fidelis (łac.) - zawsze wierni; motto amerykańskiej piechoty morskiej.

* Tajemniczy zwrot z filmu Orsona Wellesa „Obywatel Kane”, który miał stanowić klucz do sekretu bohatera.